



Ivanhoe

SIR WALTER SCOTT

A
PUBLIC DOMAIN
BOOK

Walter Scott

Ivanhoe

Gdy się tak naradzali — od pół, na wieczerzę

Ze stadami świń tucznych wracali pasterze.

Świnie gnane do chlewów z chrząkaniem i kwikiem

Opierały się kijom, brykając jak dzikie.

HOMER; Odyseja

Ongiś w owej pięknej okolicy naszej wesołej Anglii, przez którą

przepływa rzeka Don, ciągnęła się wielka puszcza pokrywająca

znaczną część malowniczych wzgórz i dolin leżących między

Sheffieldem a miłym miasteczkiem Doncaster. Resztki tych wielkich

lasów można jeszcze oglądać w rodowych dobrach Wentworthów, w

Warncliffe Park i dokoła Rotherham. Tu przed wiekami miał swe

schronienie bajeczny smok z Wantley; tu rozegrało się wiele zażartych

bitew podczas wojen Białej i Czerwonej Róży i tu także w dawnych

czasach grasowały bandy odważnych straceńców, których czyny

uwieczniono w angielskich piosenkach.

Na tym tle rozegrały się sceny naszej opowieści pod koniec panowania

Ryszarda Pierwszego/, */ Ryszard I Lwie Serce (1157—1199) — król*

Anglii, jeden z przywódców trzeciej wyprawy krzyżowej; w drodze

powrotnej do kraju został uwięziony przez arcyksięcia austriackiego

Leopolda.

gdy jego zrozpaczeni poddani marzyli raczej o powrocie króla z

długotrwałej niewoli, niż się go spodziewali, a tymczasem cierpieli

srogi i różnorodne prześladowania. Możliwość, których potęgą za panowania Stefana stała się nieograniczona i których ostrożny Henryk Drugi zdołał tylko do pewnego stopnia zmusić do uległości względem Korony, znów zaczęły hulać i na wszelki sposób dokazywać. Lekceważąc siebie słabą władzę Rady Koronnej, umacniali swe zamki i powiększali liczbę wasali, przymuszając wszystkich dokoła do składania sobie przysięgi lennej i starając się wszelkimi dostępnymi środkami stanąć na czele takich sił, by móc odegrać decydującą rolę w zamieszkach grożących krajowi.

Drobni posiadacze ziemscy, czyli, jak ich powszechnie zwano, franklinowie, którzy wedle przepisów i ducha angielskiej konstytucji nie byli podporządkowani tyranii feudałów, obecnie znaleźli się w bardzo ciężkim położeniu. Jeśli, jak bywało najczęściej, oddawali się pod opiekę królewską w danej okolicy i obejmowali na ich dworach feudalne urzędy lub wiązali się układem o wzajemnym przymierzu i protekcji, obiecując baronowi pomoc w jego przedsięwzięciach, mogli sobie istotnie kupić chwilowy spokój, ale w tym celu musieli poświęcić swą niezależność, tak drogą każdemu Anglikowi: ryzykowali, że mogą zostać wciągnięci w jakąś hazardowną wyprawę, zmuszeni do wzięcia w niej udziału wskutek ambicji protektora. Z drugiej zaś strony, możni baronowie mogli im w rozmaity sposób dokuczać. Nigdy nie zabrakło im pretekstu, by nękać i doprowadzić do ostatecznej ruiny każdego ze słabszych swych sąsiadów, który usiłowałby uwolnić się od ich władzy, licząc, że postępowanie jego nikomu nie wadzi, a obronią go prawa krajowe.

Ta tyrania możnych i cierpienia niższych warstw powiększyły się jeszcze po podboju Anglii przez księcia Wilhelma Normandzkiego. Cztery pokolenia nie zdołały uśmierzyć wrogości pomiędzy Normandami a Anglo-Saksonami ani też — pomimo wspólnego języka i wzajemnych interesów — połączyć dwu nienawistnych dla siebie plemion, z których jedno wciąż jeszcze rozkoszowało się zwycięstwem, a drugie cierpiało na skutek klęski. Bitwa pod Hastings oddała całą władzę w ręce rycerzy normandzkich i, jak twierdzi historia, ręka ich nie była lekka. Wszystkie saksońskie rody książęce i szlacheckie zostały wytepiione i wydziedziczone nieomal bez wyjątku; nieliczni byli ci, co posiadali jeszcze ziemię w swej ojczyźnie, nawet jako drugiego lub niższego jeszcze rzędu właściciele ziemscy. Królewska polityka przez długi czas dążyła do osłabienia wszelkimi środkami, legalnymi i nielegalnymi, tej części narodu, która, jak słusznie uważano, żywiła głęboko zakorzenioną nienawiść do zwycięzców. Wszyscy monarchowie normandzkiego pochodzenia odznaczali się stronnictwą przychylnością dla swych normandzkich poddanych; prawa myśliwskie i wiele innych, obcych łagodniejszemu i swobodniejszemu duchowi ustaw saksońskich, spadły na podbitych mieszkańców, zwiększając ucisk więzów feudalnych. Na królewskim dworze i w zamkach wielmożów, gdzie naśladowano przepych i obyczaje dworskie, używano tylko języka franko-normandzkiego; w sądzie wygłaszano mowy obronne i wydawano wyroki w tym samym języku. Jednym słowem, język francuski był językiem spraw honoru, rycerstwa i nawet

sprawiedliwości, gdy tymczasem znacznie bardziej męski i wyrazisty język anglo-saksoński pozostawiony był kmiociom i pospólstwu, nie znającym innego. Jednak konieczność porozumiewania się władców tej ziemi z ciemieżonymi niższymi istotami, ziemię tę uprawiającymi, spowodowała stopniowo wytworzenie się dialektu, złożonego z mieszaniny francuskiej i anglosaksońskiej mowy. I tak powstał nasz obecny język angielski z udatnego połączenia mowy zwycięzców i zwyciężonych, a od tamtej pory wzbogacił się jeszcze nabytkami z języków klasycznych i języków używanych przez mieszkańców południowej Europy.

Uważałem za wskazane podkreślić na wstępie ten stan rzeczy dla użytku zwykłego czytelnika. Mógłby on łatwo zapomnieć, że choć żadne wielkie historyczne wydarzenia, jak wojny czy powstania, nie znaczą historii Anglo-Saksończyków jako niezależnego narodu po okresie panowania Wilhelma Drugiego, jednak ich narodowa odrębność, pamięć o tym, czym byli i do czego zostali doprowadzeni, nie dozwalały aż do panowania Edwarda Trzeciego zabić się ranom spowodowanym przez podbój i utrzymywały linię podziału między potomkami zwycięskich Normandów a zwyciężonymi Saksończykami.

Słońce zachodziło nad jedną z tych żyznych, bujnych polan leśnych, o których wzmiankowaliśmy na początku tego rozdziału. Setki rozłożystych, przysadzistych, rozgałęzionych dębów, może jeszcze świadków wspaniałego pochodzenia rzymskich legii, rozciągało swe

rosochate konary nad gęstym dywanem przepięknej, zielonej murawy; miejscami rosły między nimi brzozy, ostrokrzewy i różnorakie zarośla, tak gęste, że zupełnie nie przepuszczały poziomych promieni
zniżającego się słońca; w innych znów miejscach dęby rozstępowały się
tworząc długie, ciągnące się daleko aleje, w których oko z rozkoszą się
gubi, a wyobraźnia bierze je za ścieżki prowadzące do jakiejś dzikiej,
leśnej samotni. Tu czerwone promienie słońca rzucały zamglone i
bledsze światło, które częściowo oświetlało splątane krzewy i omszone
pnie drzew i błyskało jasnymi plamami na części darni, po której miało
się dalej posuwać. Wielka, otwarta przestrzeń na środku polany była
zapewne poświęcona ongiś obrządkom kultu druidycznego, szczyt
bowiem pagórka, tak foremny, że zdawał się tworem rąk ludzkich,
otaczał częściowo krąg nie ociosanych, ogromnych głazów. Siedem z
nich jeszcze stało, reszta została poruszona ze swych miejsc, zapewne
przez gorliwość nowo nawróconych chrześcijan; niektóre leżały w
pobliżu, inne na zboczu wzgórza. Jeden z tych wielkich głazów, strącony
aż do podnóża pagórka, zatrzymał bieg małego strumyczka, wijącego
się u jego stóp; zapora ta spowodowała, że struga, płynąca opodal
spokojnie i cicho, tu wydawała stłumiony szmer.

Dwie ludzkie postacie dopełniały tego widoku i nie różniły się ani
strojem, ani powierzchownością od dzikiego i pierwotnego charakteru
zachodniej części jorkszyrskiego kraju w owych czasach. Starszy z tych
ludzi miał posępny, okrutny i dziki wygląd. Ubiór jego był najprostszy,
jaki można sobie wyobrazić — składał się z obcisłego kubraka z

rękawami, uszytego ze skóry początkowo pokrytej sierścią, ale wytartej obecnie w tylu miejscach, że trudno byłoby z pozostałych kępek wywnioskować, z jakiego pochodziła zwierzęcia. To prymitywne odzienie sięgało od szyi po kolana i zastępowało wszystkie części zwykłego przyodziewku; otwór wokoło szyi wystarczał do przesunięcia przezeń głowy, z czego można było wnioskować, że suknię tę wkładało się przez głowę i ramiona jak terazniejszą koszulę lub dawną kolczugę. Stopy okrywały kierzpce przywiązane rzemieniami, a kawałek cienkiej skóry, owinięty przemyślnie dokoła nóg, osłaniał łydki pozostawiając gołe kolana, tak jak to dotychczas widzimy u szkockich górali. Kaftan, by przylegał ciasniej do ciała, ściągnięty był szerokim skórzanym pasem, zapiętym na mosiężną klamrę: z jednej jego strony zwisał rodzaj trzosa, a z drugiej .— barani róg opatrzony w ustnik, by można było w niego dąć. Za pas zatknięty był jeden z tych długich, szerokich, spiczastych i obosiecznych noży z rękojeścią z koziego rogu, które robiono w tej okolicy i które już w owych odległych czasach nosiły nazwę noży szefildzkich. Człowiek ten nie miał nakrycia głowy. Gęsta jego czupryna była splątana i zmierzwiona, a pod wpływem słońca wypłowiwała na rdzawy, ciemnoczerwony odcień, kontrastujący z porastającą policzki brodą, bardziej żółtego, niemal bursztynowego koloru. Jeszcze jedna część jego stroju pozostała do opisania, zbyt uderzająca, by ją pominąć: było to mosiężne kółko, przypominające psią obrozę, ale bez zamknięcia, spojone na stałe dokoła szyi tak luźno, by nie przeszkadzało oddychać, lecz zarazem tak obcisłe, by nie można

go zdjąć, chyba przy pomocy pilnika. Na tym dziwnym naszyjniku wyryty był pismem saksońskim napis: „Gurt, syn Beowulfa, jest poddanym Cedryka z Rotherwood”.

Obok świniarka, bo takie było zajęcie Gurta, na jednym z przewróconych pomników druidycznych siedział człowiek robiący wrażenie o dziesięć lat młodszego; jego suknia, podobna z kroju do kubraka towarzysza, uszyta była z lepszego materiału i bardziej dziwaczna. Kaftan, ufarbowany na jasnoczerwony kolor, usiłowano ozdobić różnobarwnymi, groteskowymi deseniami. Prócz tego kaftana człowiek ów miał na sobie krótki płaszcz sięgający mu zaledwie do połowy uda, z mocno przybrudzonego, czerwonego sukna, obszytego jaskrawożółtym szlakiem, a że nosił go to na jednym, to na drugim ramieniu lub owijał się nim, płaszcz ten, nieproporcjonalnie szeroki w porównaniu z długością, układał się w fantastyczną draperię. Na ramionach miał wąskie, srebrne bransolety, a na szyi obręcz z tego samego metalu z napisem: „Wamba, syn Witlesa, jest poddanym Cedryka z Rotherwood”. Osobnik ten nosił takie same kierpce jak jego towarzysz, lecz zamiast skórzanych owijaczy nogi jego okrywał rodzaj kamaszy, z których jeden był czerwony, a drugi żółty. Miał też czapkę obwieszoną mnóstwem dzwonków, wielkości tych, jakie się przywiązuje sokołom; brzęczały one za każdym poruszeniem głowy, a że ich właściciel rzadko pozostawał nawet chwilę w spokoju, dźwięk ten był niemal nieprzerwany. Dokoła tej czapki biegła sztywna, skórzana opaska, powycinana u góry w ażurowy wzór i przypominająca koronę;

zwisiał z niej na jedno ramię podłużny worek podobny do staroświeckiej szlafmycy, worka do cedzenia czy też kołpaka dzisiejszego huzara. Do tej części czapki przyczepione były dzwonki, co wskazywało — wraz z kształtem tego nakrycia głowy, a także z wyrazem twarzy na poły szalonym, na poły chytrym — że człowiek ten jest domowym błaznem, trefnisiem, jakich trzymano w domach możliwych dla rozproszenia nudy dłużącego się czasu, gdy panowie musieli spędzać go w domu. Wamba nosił, tak jak jego towarzysz, trzos przy pasie, lecz nie miał ani rogu, ani noża; zapewne uważano, że nie należy powierzać broni człowiekowi uprawiającemu jego zawód. Zaopatrzone go natomiast w drewniany miecz przypominający ten, jakim Arlekin czyni swe cuda na współczesnej scenie.

Powierzchnowość tych dwu ludzi tworzyła kontrast nie mniejszy od wyrazu ich oczu i zachowania. Spojrzenie pierwszego było smutne i posępne, jak zwykle u niewolnika, wzrok jego przykuty do ziemi wyrażał głębokie przygnębienie, które mogło być wzięte za apatię, gdyby ogień, chwilami błyskający w jego zaczerwienionych oczach, nie zdradzał, że pod pozorami ponurego przybicia tli świadomość ucisku i chęć buntu. Natomiast oczy Wamby wyrażały zwykłą w jego zawodzie ciekawość oraz niecierpliwą ruchliwość, nie pozwalającą na chwilę nawet spokoju, w połączeniu z wielkim zadowoleniem ze swej pozycji i swego wyglądu. Rozmowa między nimi toczyła się w języku anglosaksońskim, gdyż — jak już wspomnieliśmy — był on w powszechnym użyciu w niższych warstwach, z wyjątkiem

normandzkich żołnierzy i tych, którzy byli bezpośrednio zależni od wielkich panów feudalnych. Lecz rozmowa ta przytoczona w oryginale niewiele by wyjaśniła współczesnego czytelnika; dla jego więc wygody pozwolimy sobie podać następujący jej przekład:

— Bodajby święty Withold przeklął te plugawe wieprze! — rzekł świniarek zatrąbiwszy chrapliwie na rogu, aby zwołać rozproszoną trzodę; świnie odpowiedziały na jego wezwanie równie melodyjnym głosem, nie kwapiąc się jednak porzucić swej obfitej i tuczącej uczyty, składającej się z buczyny i żołądzi, ani też opuścić bagnistych brzegów strumienia, gdzie niektóre z nich leżały leniwie na wpół pogrążone w błocie, nie zwracając uwagi na głos pastucha. — Bodajby święty Withold przeklął je i mnie z nimi! — powtórzył Gurt. — Zanim wieczór zapadnie, bez ochyby dwunożny wilk porwie kilka z nich. Fangs, Fangs, do nogi! — zawołał ostro na wyleniałego psa przypominającego wilka, rodzaj gończego czy też mieszańca brytana z chartem, który biegał wokoło, kulejąc, jakby chciał pomóc swemu panu w spędzaniu opornych świń, ale w istocie — czy to nie rozumiejąc rozkazów świniarka, czy też nie znając swych obowiązków, czy też z rozmyślnej złośliwości — rozpędzał je tylko w różne strony, powiększając zamęt, któremu miał zaradzić.*

*— Bodajby diabeł powybił im zęby, a mór wydusił leśników — ciągnął Gurt — którzy poobcinali pazury u przednich łap naszym psom, że są ninie do niczego**. Wamba, wstańże, jeśliś jest człowiekiem, obejdz pogórek i dostań się za wiatr od świń, a popędzisz je przed sobą jak*

łagodne jagnięta!

— A juści — rzekł Wamba nie ruszając się z miejsca — poradziłem się własnych nóg i gadają, że hycając w moich kolorowych szmatkach przez te błota, sprzeniewierzę się mej pańskiej osobie

** Św. Withold — nie istniejący święty, zapożyczony przez Waltera Scotta od Szekspira, który go wspomina w „Królu Learze”.*

*** Prawo myśliwskie zdobywców normandzkich zakazywało polować saksońskim tubylcom i dlatego ich psom obcinano pazury.*

i mym królewskim szatom. Radzę ci tedy, Gurcie, wezwij Fangsa, a trzody poniechaj. Czy świnię napotkają bandę włóczących się żołnierzy, czy opryszków, czy też wędrownych pielgrzymów, czeka je zawsze ten sam los: przemienia się w Normandów, zanim ranek nastanie, ku twej uldze i radości!

— Jakóż świnię mogą się przemienić ku mej radości w Normandów? — zapytał Gurt. — Wytłumacz, Wambo, bowiem pomyślenie mam kiepskie, a duszę nadto osępioną, by mieć ochotę rozwiązywać zagadki.

— Jakże zwiesz te chrząkające stworzenia, co biegają na czterech nogach? — zapytał Wamba.

— Świnie, głupcze, świnię! — odparł pastuch. — Byle dureń to wie.

— Świnia to po saksońsku — odparł błazen — ale jak zwiesz maciorę, gdy jest odarta ze skóry, wypatroszona, poćwiartowana, powieszona za nogi jak zdrajca?

— Wieprzowiną — odparł świniarek.

— Raduje mnie, że to także wie byle dureń — rzekł Wamba. —

Wieprzowina jest, baczę, po normandzku. Tedy gdy zwierzę żyje i jest pod opieką poddańca saksońskiego, nosi imię saksońskie. A staje się Normandem i nazywa się wieprzowiną, gdy znajdzie się na biesiadnej sali w zamku, wśród ucztującej szlachty. Co o tym sądzisz, mój przyjacielu, hę?

— Szczera to prawda, mój Wambo, choć uległa się w twym głupim łbie.

— Mało tego, mogę ci jeszcze coś powiedzieć — ciągnął Wamba tym samym tonem. — Oto jest nasz stary byk, zwany tak po saksońsku, dopóki jest pod opieką poddańców i parobków takich jak ty, ale staje się wołowiną, francuskim przysmakiem, gdy dostanie się przed dostojne oblicze tego, co ma go spożyć. Paniczyk Cielę staje się Monsieur de Veau; gdy wymaga starań, jest Saksończykiem, a gdy ma dostarczyć przyjemności, przybiera normandzką nazwę.

— Na świętego Dunstana! — zdumiał się Gurt. — Prawdę gadasz, smutnie a prawdziwie; niewiele nam już zostało poza tym powietrzem, którym oddychamy, a i to ostawiono nam poniewoli, tylko na to, byśmy mogli wytrzymać ucisk, jaki nas gniecie. Co najlepsze i najtłuściejsze kąski przeznaczone są na ich stół; najpiękniejsze niewiasty do ich łoża; najlepsi i najdzielniejsi muszą odbywać żołnierską służbę pod obcymi panami, aż kości ich będą bieleć w dalekich krajach; a tu niewielu pozostanie takich, co by mieli chęć czy siłę bronić nieszczęsnych Saksończyków. Niech Bóg błogosławi naszego pana Cedryka: zachował się, jak przystało na męża, nie opuścił swego stanowiska. Ale Reginald Bawoli Łeb zjeżdża do naszego kraju we własnej osobie i rychło

zobaczymy, jakie Cedryk będzie miał z nim kłopoty. Fangs, do nogi, do nogi! — zawołał znów głośno. — Tak, tak, dobrze, dobrze, Fangs! Masz teraz przed sobą całe stado, dalej, zaganiaj je, bracie!

— Gurt — odezwał się błazen — wiem, że mniemasz, iżem głupiec, bo nie oddałbyś się tak w moje ręce. Jedno słowo szepnę Reginaldowi czy Filipowi de Malvoisin, żeś gadał na Normandów, a staniesz się wyrzutkiem wśród świniarek i zadyndasz na jednym z tych drzew na postrach innym, co sarkają przeciw wielmożom.

— Ty psie! Nie zdradzisz mnie chyba — krzyknął Gurt — kiedy sam mnie wyciągałeś na słówka?

— Zdradzić cię? — odparł błazen. — To zrobiłby tylko mądry człek, głupiec nie potrafi tak dbać o siebie. Cichaj! Któż to nadjeżdża? — spytał nasłuchując zbliżającego się tętentu kilku koni.

— Nic nam do tego — odparł Gurt; mając już przed sobą trzodę, z pomocą Fangsa gonił ją teraz w dół jedną z tych ciemnych polan, które usiłowaliśmy opisać powyżej.

— A nie! Trza mi popatrzeć na tych jeźdźców — odpowiedział Wamba.

— Może przybywają z czarodziejskiej krainy jako wysłannicy króla Oberona?*

**/ Oberon — król elfów, występujący w wielu baśniach i opowiadaniach średniowiecznych.*

— Niech cię zaraza! — przerwał świniarek. — Gadasz o takich rzeczach, kiedy nadciąga okropna burza z piorunami i błyskawicami! Słyszysz, jak grzmi? Nie widziałem jeszcze takich wielkich kropli padających z

chmur podczas letniej ulewy. Konary dębów, mimo ciszy, tak jęczą i skrzypią, jakby chciały zapowiedzieć burzę. Możesz bawić się w mądralę, jeśli chcesz, ale uwierz mi choć raz, wracajmy do domu, zanim rozpęta się nawałnica, bo noc będzie okropna.

Wamba zrozumiał zapewne wagę tego wezwania i ruszył za swym towarzyszem, który, zanim się zabrał do odwrotu podniósł ogromną maczugę leżącą obok niego na trawie. Ten nowy Eumeus/ szybko kroczył w dół polany, pędząc przed sobą, z pomocą Fangsa, całą gromadę swych kwiczących wychowanków.*

**/ E u m e u s - świniarek Ulissesa, wspomniany przez Homera w „Odysei”.*

II

I mnich był z nimi; miał pańskie narowy,

Uwielbiał konie i wszelakie łowy.

Chłop na schwał, z miną przyszłego opata,

Arcyświetnego miał w stajni bachmata.

Gdy dosiadł konia, całą drogę w pędzie

Brzęczały dzwonki na paradnym rzędzie

Jak dzwon w kaplicy klasztoru, gdzie wiele

Lat zamieszkiwał skromną, mniszą celą.

G. CHAUCER

Gurt poganiał wprawdzie i strofował swego towarzysza, ale gdy tętent

kopyt końskich wciąż się zbliżał, nic nie mogło wstrzymać Wamby, by

korzystając z byle sposobności, nie zatrzymywał się po drodze: to

zerwał z leszczyzny garść na wpół dojrzałych orzechów, to odwrócił się za wiejską dziewczyną, która przeszła przez ścieżkę. Toteż wkrótce jeźdźcy dogonili ich na drodze.

Było ich dziesięciu, z których dwaj, jadący na przedzie, zdawali się być ważnymi osobami, a reszta stanowiła ich orszak. Nietrudno było odgadnąć stanowisko i godność jednej z tych osób. Był to niewątpliwie wysoki dygnitarz kościelny; nosił habit cystersa/*, lecz uszyty z tkaniny cieńszej niż ta, jaką przepisywała reguła.

*/ *C y s t e r s i* — zakon reguły św. Benedykta założony w 1098 r we Francji w Citeaux (po łacinie *Cistercium*, skąd nazwa zakonu).

Jego płaszcz z kapturem, zrobiony z najpiękniejszego flamandzkiego sukna, spadał w obfitych i dość wdzięcznych fałdach wokół jego dorodnej, choć nieco otyłej postaci. Zachowanie mnicha bynajmniej nie mówiło o ascezie, jak strój nie wskazywał, by pogardzał światowym blichtrzem. Można by nazwać jego rysy twarzy przystojnymi, gdyby w głębi jego oczu nie mignął czasem błysk przebiegłego epikureizmu, zdradzający ukrytą lubieżność. Z drugiej jednak strony, jego powołanie i stanowisko nauczyły go panować nad wyrazem twarzy, której dowolnie umiał nadawać pozory powagi, choć zazwyczaj wygląd jego był raczej pełen pogodnej i uprzejmej wyrozumiałości. Wbrew zakonnej regule i edyktom papieży i soborów rękawy szaty dostojnika były podbite i obszyte kosztownym futrem, płaszcz zapięty pod brodą złotą zapinką, a cały strój zakonny tak wykwintny i ozdobny, jak w obecnych czasach suknie pięknej kwakierki, która, choć zachowała ubiór i krój

swej sekty, stara się przez wybór materiałów i umiejętne ich wykorzystanie nadać skromności pewną kokieterię, tchnącą zbytnim przywiązaniem do próżności tego świata.

Godny ten kapłan dosiadał spasionego muła, kroczącego rozważnym stępem; rząd na nim był bogaty, a uzda wedle ówczesnego obyczaju obwieszona srebrnymi dzwonkami. Zakonnik bynajmniej nie siedział na swym wierzchowcu jak niezgrabny mnich, lecz swobodnie i z wdziękiem wprawnego jeźdźca. Istotnie, zdaje się, że ten skromny wierzchowiec, choć odpowiedni do tego celu i odznaczający się dobrymi, rączymi chodami, był używany przez dzielnego mnicha tylko do podróżowania gościńcem. Bowiem jeden z braciszków, jadących w orszaku, prowadził do użytku przy innych okazjach nadzwyczaj pięknego hiszpańskiego dzianeta; tego rodzaju konie hodowano od dawna w Andaluzji, a kupcy z wielkim trudem i ryzykiem sprowadzali je czasami dla bogatych i możnych osób. Siodło i czaprak tego wspaniałego rumaka okrywał długi kropierz, sięgający prawie do ziemi, na którym wyhaftowano mitry, krzyże i inne kościelne emblematy. Drugi braciszek prowadził jucznego muła, obładowanego zapewne bagażem pana; dwaj mnisi tego samego zakonu, lecz z niższego chóru, jechali razem na końcu orszaku, śmiejąc się i rozmawiając ze sobą, nie zwracając uwagi na innych członków kawalkady.

Towarzysz kościelnego dygnitarza był człowiekiem przeszło czterdziestoletnim, chudym, silnym, wysokim i muskularnym; miał

atletyczną postawę, a długotrwałe trudy i nieustanne wysiłki pozbawiły jego postać ludzkich, miękkich kształtów, pozostawiwszy tylko mięśnie, kości i ścięgna, które wytrzymywały ciężkie znoje i gotowe były je znosić dalej. Na głowie miał obszytą futrem, szkarłatną czapkę z gatunku tych, które Francuzi nazywają *mortier*, z powodu ich podobieństwa do odwróconego mózdzierza. Twarz jego była więc w pełni widoczna, a wyraz jej — obliczony na to, by w obcych wywołać jeśli nie strach, to przynajmniej poszanowanie. Ciągłe działanie podzwrotnikowego słońca spaliło jego wydatne i bardzo wyraziste rysy na kolor nieomal czarny; można by o nich powiedzieć, że zdawały się drzemać po przejściu przez nie burzy namiętności; lecz wydatne żyły na czole i gotowość, z jaką górna warga oraz gęste, czarne wąsy drżały za najlżejszym wzruszeniem, jasno wskazywały, że burza ta może znów wybuchnąć. Jego bystre, przenikliwe, ciemne oczy każdym spojrzeniem mówiły o przewyciężonych trudach i niebezpieczeństwach, zdawały się wyzywać przeciwności dla rozkoszy usunięcia ich z drogi wysiłkiem odwagi i woli; głęboka blizna, przecinająca czoło, czyniła jego twarz bardziej jeszcze posępną, a jednemu oku nadawała wyraz dzikości. Choć oko było przy tej samej okazji nieco uszkodzone, jeździec widział nim doskonale, nieznacznie tylko zezując. Wierzchnia jego szata przypominała szatę towarzysza, była to bowiem długa, mnisza opończa, której szkarłatny kolor wskazywał jednak, że właściciel jej nie należał do żadnego z czterech regularnych zakonów*. */ Cztery zakony istniejące wówczas w Anglii to: dominikanie, franciszkanie, augustianie

i karmelici.

Na prawym ramieniu miał przyszyty krzyż z białego sukna, szczególnego kształtu. Ta wierzchnia szata zakrywała coś, co na pierwsze wejrzenie stanowiło z nią sprzeczność, a mianowicie koszulkę z siatki drucianej — z takimiż rękawami i rękawicami — w tak niezwykle sposób plecionej i przetykanej, że równie giętko układała się na ciele jak obecne tkaniny dziane na wzór pończoch z miękkiej przędzy. Przednia część ud, widoczna spod fałd płaszcza, też była przykryta drucianą siatką, a kolana i stopy ochraniały cienkie płytki stalowe, zręcznie zachodzące jedne na drugie. Nagolenniki z siatki, sięgające od kostek aż po kolana, ochraniały skutecznie nogi i uzupełniały zbroję jeźdźca. Przy pasie miał długi, obosieczny sztylet, stanowiący jedyną jego broń.

Nie dosiadał muła tak jak jego towarzysz, lecz dobrego wierzchowca zdatnego do drogi; oszczędzał w ten sposób swego szlachetnego rumaka bojowego, prowadzonego luzem przez giermka.

Koń był przystrojony w pełny rynsztunek z przyczółkiem, czyli okryciem głowy ze stali, zaopatrzonym w krótki kolec wystający na czole. Z jednej strony siodła wisiał berdysz, bogato ozdobiony damasceńską inkrustacją, po drugiej — szyszak z pióropuszem i kaptur z siatki oraz długi, obosieczny miecz, używany przez ówczesne rycerstwo. Drugi giermek trzymał wzniesioną do góry kopię swego pana, na której powiewał wąski proporczyk, ozdobiony takim samym krzyżem, jaki wyhaftowano na płaszczu. Niósł także małą, trójkątną tarczę, dość szeroką u góry dla osłonięcia piersi i zwężającą się ku dołowi. Zakryta

była czerwonym sukniem, by nikt nie mógł na niej dojrzeć godła.

Za giermkami jechali dwaj słudzy, których ciemne twarze, białe turbany i wschodnie szaty wskazywały, że pochodzą z dalekich krajów.

Wygląd rycerza i jego poczet był niezwykle i obcy; stroje giermków odznaczały się bogactwem, a wschodni słudzy mieli srebrne naszyjniki

na szyjach i także bransolety na śniadych nogach odsłoniętych od kostek do połowy łydek i na ramionach nagich do łokci. Suknie ich

jedwabne, ozdobione haftem, zdradzały zamożność i znaczenie ich

pana, tworząc jednocześnie uderzający kontrast z żołnierską prostotą

jego własnego ubioru. Uzbrojeni byli w krzywe szable z rękojeściami

wykładanymi złotem oraz w tureckie kindżały bogatszej jeszcze roboty.

Każdy z nich miał przy łęku siodła pęk dziryków długich na mniej więcej

cztery stopy, o spiczastych, stalowych ostrzach; była to broń często

używana przez Saracenów, których wspomnienie zachowało się we

wschodnich krajach do dziś w wojennych igrzyskach, zwanych el jerrid.

Wierzchowce sług miały wygląd równie obcy jak jeźdźcy. Pochodzenia

były saraceńskiego, a więc arabskiego; ich delikatne, wysmukłe

kształty, cienkie pęciny, lekkie grzywy i zwrotne, taneczne ruchy

tworzyły uderzający kontrast z grubokościstymi, ciężkimi końmi, które

hodowano we Flandrii i Normandii, by nosiły ówczesnych wojowników

zakutych w pancerze i kolczugi; przy wschodnich rumakach ciężkie

konie były jakby uosobieniem materii obok symbolu ducha.

Ta dziwna kawalkada wzbudziła ciekawość nie tylko Wamby, ale także

i jego towarzysza o mniej lotnym umyśle. Od razu poznał w mnichu

opata z Jorvaulx, znanego na wiele mil dokoła jako miłośnika łowów, uczt i choć może było to obmową — innych światowych rozrywek, bardziej jeszcze niezgodnych ze ślubami zakonnymi.

Jednak poglądy owych czasów na duchowieństwo zarówno świeckie, jak zakonne były tak swobodne, że opat Aymer cieszył się dobrą opinią w sąsiadujących z klasztorem miejscowościach. Jego otwarte i jowialne usposobienie oraz łatwość w udzielaniu rozgrzeszenia ze wszystkich powszednich grzechów uczyniły go ulubieńcem wielmożów i znaczniejszej szlachty, wśród której miał krewnych, pochodził bowiem z dobrej normandzkiej rodziny. Damy szczególnie nie zgłębiały zbytnio jego moralności, podziwiał bowiem płeć piękną, a rozporządzał różnymi środkami rozpędzenia nudy, ennui, często panującej w salach i komnatach dawnych zamków feudalnych. Opat brał udział w łowach ze zbytnią nawet gorliwością i uważano go za właściciela najlepiej ułożonych sokołów i najściślejszych chartów w Północnym Ridingu, co ściągало do niego młodzież szlachecką. Wobec starszych odgrywał inną rolę, z której, w razie potrzeby, umiał się bardzo dobrze wywiązać. Jego znajomość ksiąg, choć powierzchowna, wystarczała jednak, by rozbudzić u ciemnej ówczesnej szlachty szacunek dla jego domniemanej wiedzy, a powaga, jaką tchnęło jego zachowanie i mowa, oraz wyniosły ton, jakim się posługiwał mówiąc o autorytecie Kościoła i duchowieństwa, budziły w słuchaczach nie mniejszą pewność co do jego świętobliwości. Nawet prości ludzie, najsurowsi krytycy postępowania swych bliźnich, pobożali szaleństwu opata Aymera. Był hojny, a

wiadomo, że miłosierdzie okupuje wiele grzechów, choć nie tak, jak to rozumie Pismo święte. Dochody klasztoru, których znaczną częścią sam rozporządzał, dawały mu możliwość pokrywania własnych, ogromnych wydatków i pozwalały na hojność wobec wieśniaków oraz wspomaganie uciskanych nędzarzy.

Jeśli opat Aymer spędzał czas na łowach lub trawił go na ucztach, jeśli ludzie widzieli, jak wracał do opactwa tylnym wejściem o świcie ze schadzki nocnej, wzruszali tylko ramionami i nie oburzali się na te wybryki, przypominając sobie, ilu jego współbraci postępowało podobnie, nie okupując swych występków innymi zaletami. Osoba więc opata Aymera i jego charakter dobrze były znane naszym saksońskim wieśniakom; na ich prostacki ukłon odpowiedział:

— Benedicite, mes filz.*

**/ Benedicite, mes fliz (łac. i starofranc.) — błogosławię was, moi synowie.*

Lecz dziwaczny wygląd drugiego jeźdźca oraz jego sług przyciągnął uwagę i wzbudził zdumienie prostaczków, nie bardzo więc słuchali dalszych słów opata z Jorvaulx, który pytał, czy nie wiedzą, gdzie można by popasać w pobliżu. Zdziwił ich na wpół zakonny, na wpół rycerski strój smagłego cudzoziemca, jak również niezwykle ubiór i oręż jego wschodnich pachotków. Może też język, w jakim udzielono błogosławieństwa i postawiono pytanie saksońskim chłopom, brzmiał przykro w ich uszach, choć zapewne był dla nich zrozumiały.

— Pytałem się was, moje dzieci — powtórzył opat podniesionym głosem

w lingua franco, to znaczy w języku mieszanym, w jakim

porozumiewali się Normandowie z Saksończykami — czyli w okolicy

znalazłby się jaki zacny człowiek, który by z miłości do Boga i

przywiązania do matki naszej Kościoła ofiarował dach i strawę dwóm

jej najpokorniejszym sługom oraz ich orszakom? — Opat wymówił te

słowa z godnością, która stanowiła rażący kontrast z pokornymi

wyrazami, jakich uważał za wskazane użyć. — Może wiesz, zali

jesteśmy blisko domostwa Cedryka Saksona, i czy możesz nam wskazać

drogę do niego?

— Drogę niełatwo znaleźć — odparł Gurt, po raz pierwszy przerywając

milczenie — a domownicy Cedryka wcześniej udają się na spoczynek.

— Ostaw, nie mnie to gadaj! — rzekł zbrojny jeździec. — Nietrudno im

będzie wstać, by usłużyć takim, jak my, podróżnym, którzy nie poniżają

się do prośby o gościnność, gdy mają prawo ją nakazać.

— Nie wiada — odparł Gurt posępnie — czyli wskażę drogę do

domostwa mego pana żądającym schronienia, o które należy się

dopraszać jak o łaskę.

— Jak śmiesz się ze mną spierać, niewolniku! — zawołał rycerz.

Spiąwszy ostrogami wierzchowca, zmusił go do półobrotu na ścieżce i

wzniósłszy kańczug, chciał ukarać chłopca za zuchwalstwo. Gurt rzucił

mu spode łba posępne i mściwe spojrzenie i porywczym, choć

wahającym ruchem ujął rękojeść noża. Ale opat Aymer zapobiegł

zwadzie, wjechawszy na mule między swego towarzysza i świniarka.

— Bracie Brianie, w imię Najświętszej Panienki pomnij, żeś nie w

Palestynie, gdzieś rządził nad pogańskimi Turkami i niewiernymi Saracenami. My, wyspiarze, nie lubimy innej kąpieli prócz tej, jaką nam zsyła święty nasz Kościół, kiedy chłosta swe ukochane dzieci. Wskaż mi, mój dobry człeczko — zwrócił się do Wamby, dodając srebrną monetę — drogę do Cedryka Saksona; musisz ją znać, a obowiązkiem twoim jest wskazać ją wędrowcom, nawet gdyby nie należeli do tak świątobliwego stanu jak my.

— Dalibóg, wielbny ojczek — odparł błazen — saraceński wygląd towarzysza waszej wielbności przepłoszył całkiem z mej głowy pamięć o drodze do domu. Nie wiada, czy sam tam trafię dzisiejszego wieczoru.

— Nie gadaj byle czego — odparł opat. — Potrafisz ją wskazać, jeśli zechcesz. Ten świątobliwy brat całe swe życie walczył z Saracenami o Grób Zbawiciela. Należy do zakonu templariuszy, jest na wpół mnichem i na wpół rycerzem.*

**/ Zakon templariuszy — jeden z trzech zakonów rycerskich założonych w XII w. dla obrony Grobu Chrystusa w Palestynie. Templariusze, którzy zdobyli meczet Omara w Jerozolimie, wybudowany na miejscu dawnej świątyni (templum) Salomona, przyjęli od niej swą nazwę.*

Oprócz nich istniał też wówczas w Palestynie zakon joannitów i zakon braci teutonskich, zwanych później w Polsce Krzyżakami.

— Jeśli jest na wpół mnichem — odparł błazen — powinien rozważniej postępować z tymi, których spotyka na drodze, nawet jeśli zwlekają z odpowiedzią na pytania, które ich nie dotyczą.

— Przebaczę ci te żarty — odparł opat — jeśli zaprowadzisz nas do

domostwa Cedryka.

— Niechaj wasza dostojność — odpowiedział Wamba — trzyma się tej ścieżki aż do na wpół zapadniętego krzyża, który wystaje zaledwie na łokieć ponad ziemią; wtedy trzeba skręcić ścieżką odchodzącą na lewo, bo aż cztery drożyny przecinają się przy tym zapadniętym krzyżu.

Ręcę, że wasza dostojność znajdzie schronienie, zanim nadejdzie burza.

Opat podziękował sprytnemu doradcy i kawalkada, spiąwszy wierzchowce ostrogami, ruszyła z kopyta, jak czynią podróżni, gdy pragną dojechać do gospody, zanim rozpęta się nocna burza.

Gdy umilkł tętent kopyt, Gurt rzekł do towarzysza:

— Jeśli wielebni ojcowie posłuchają twojej mądrej rady, nie wiem, czy dojadą przed nocą do Rotherwood,

— Nie — odparł błazen uśmiechając się szyderczo — ale za to może im się uda dojechać do Sheffield, a to miejsce w sam raz nadaje się dla nich.

Nie jestem takim gajowym, który by wskazywał psu trop jelenia, jeśli nie chce, by go pogonił.

— Sprawiedliwie gadasz — rzekł Gurt. — Źle by było, gdyby Aymer ujrzał lady Rowenę, a jeszcze gorzej byłoby dla Cedryka, gdyby się powadził z tym rycerskim mnichem, na czym pewnie by się skończyło.

Jako dobre sługi, słuchajmy i patrzmy, ale milczmy.

Powróćmy do jeźdźców, którzy tymczasem daleko za sobą zostawili sługi Cedryka i taką oto prowadzili rozmowę w języku normandzko-francuskim, zwykle używanym przez wyższe klasy prócz nielicznych, dumnych ze swego saksońskiego pochodzenia rycerzy.

— *Dlaczego ci ludzie byli tak zuchwali? — pytał templariusz cystersa. —*

I czemu nie pozwoliłeś mi ich ukarać?

— *Wierzaj mi, bracie Brianie — odparł opat — że co się tyczy jednego z nich, nie mogłem brać poważnie słów, które gada głupiec w swej głupocie; drugi zaś chłop należy do tej dzikiej, okrutnej i nie ujarzmionej rasy, której przedstawiciele, jak ci to już nieraz mówiłem, jeszcze się trafiają wśród potomków podbitych Saksończyków. Nic nie sprawia im większej radości, jak móc zaznaczyć wszelkimi sposobami swoją odrazę dla zdobywców.*

— *Ja bym ich wkrótce zmusił do uległości — zauważył Brian.*

— *Umiem postępować z takiego rodzaju usposobieniem. Nasi tureccy jeńcy są tak okrutni i nieposkromnieni, jak był za pewne sam Odyn*, a jednak po dwóch miesiącach pobytu w mym domu, pod władzą mojego nadzorcy niewolników, stali się pokorni, układni, usłużni i posłuszni mej woli. Musisz jednak, sir, strzec się trucizny i kindżału, bo użyją ich, gdy tylko nadarzy się po temu sposobność.*

**/ O d y n — główny bóg w mitologii starogermańskiej.*

— *Co kraj, to obyczaj — odparł opat Aymer. — Gdybyśmy wychłostali tego człowieka, nie wskazałby nam drogi do dworzyszczu Cedryka, a gdybyśmy sami tam trafili, wywołałoby to bez wątpienia zwadę między tobą a nim. Pamiętaj, co ci powiedziałem: ten bogaty franklin jest dumny, okrutny, zawistny i drażliwy, jest przeciwnikiem całej szlachty, nawet swych sąsiadów, Reginalda Bawolego Łba i Filipa de Malvoisin, z którymi nie można żartować. Tak uparcie broni przywilejów swych*

rodaków i tak jest dumny ze swego pochodzenia w prostej linii od Harevarda obrońcy Heptarchii*, że przezywany jest powszechnie Cedrykiem Saksonem. Chwali się swym saksońskim pochodzeniem, które inni starają się ukryć, pamiętając o słowach *Vae victis***, to znaczy o surowym traktowaniu, jakiemu podlegają zwyciężeni.

— Opacie — rzekł templariusz — jesteś dwornym człekiem, znasz się na urodzie i na prawach miłości jak trubadur, ale wielka musiałaby być piękność tej osławionej Roweny, by mogła mi wynagrodzić wyrzeczenia i zaparcie się siebie, z jakim przyjdzie mi ubiegać się o łaski takiego zuchwalca, jakim przedstawiłeś jej ojca Cedryka.

*/ Harevard — ostatni saksoński bohater, który przeciwstawił się Wilhelmowi Zdobywcy. Heptarchią nazywano unię siedmiu państwewek anglo-saksońskich; zgodnie z prawdą historyczną rozpadły się one już na dwieście lat przed Hareyardem.

**/ *Vae victis!* (łac.) — biada zwyciężonym! Słowa wypowiedziane przez Brennusa, wodza Galów, do zwyciężonych Rzymian (391 p.n.e.).

— Cedryk nie jest jej ojcem — odparł opat — jeno dalekim krewnym. Rowena pochodzi ze świetniejszego rodu niżli ten, do którego on należy, i jest z Cedrykiem tylko spowinowacona. Baczę, iż sam się ustanowił jej opiekunem. Droga jest mu ona, jakby była iście jego rodzonym dzieckiem. Sam osądzisz, bracie, jej urodę, ale jeśli biel jej cery oraz pełen godności i słodczy wyraz jej błękitnych oczu nie zatrze w twej pamięci wspomnienia czarnowłosych palestyńskich dziewcząt i hurys z rajy Mahometa, będę cię uważał za poganina, a nie za wiernego syna

Kościola.

— *Pomnisz, jaki jest nasz układ — spytał templariusz — jeśli się okażą jakieś braki w tak wychwalanej przez ciebie piękności?*

— *Postawiłem mój złoty naszyjnik — odpowiedział opat — a ty dziesięć baryłek wina z wyspy Chios. Pewien ich jestem tak, jakby leżały w lochach klasztoru pod kluczem starego kanafarza Dionizego.*

— *Ale ja sam mam to osądzić — rzekł templariusz — i przyznać, że nie widziałem od ostatnich Zielonych Świątek tak doskonałej piękności.*

Taki był przecie nasz układ? Opacie, twój naszyjnik jest zagrożony!

Będę go nosił na zbroi na turnieju w Ashby-de-la-Zouche.

— *Jeśli go wygrasz uczciwie — zgodził się opat — możesz go nosić, kiedy*

zechcesz; polegam na twoim słowie rycerza i duchownego. Ale

posłuchaj mojej rady, bracie, i trzymaj język na wodzy. Wyrażaj się z

większą grzecznością, niż miałeś zwyczaj mówić do pogańskich jeńców i

wschodnich niewolników. Cedryk Sakson, jeśli się go obrazi — a łatwo

się obraża — gotów jest, nie zważając na twój stan rycerski, na moje

wysokie dostojęstwo ani na nasze suknie duchowne, wyrzucić nas ze

swego domu i kazać nam nocować pod gołym niebem, choćby to było o

północy. Bacz także, by zbyt śmiało nie spozierać na Rowenę, gdyż

Cedryk miłuje ją zazdrośnie; najmniejsze podejrzenie z tej strony, a

gorze nam! Mówią, że wyrzekł się swego rodzzonego syna, gdy ten

spojrzał czulej na tę piękność, którą, jak się zdaje, można tylko

uwielbiać z daleka, lecz nie wolno się do niej zbliżyć w innych

zamiarach niż te, jakie mamy przed ołtarzem Przenajświętszej

Dziewicy.

— *Wyjaśniłeś mi to dostatecznie — odparł templariusz. — Mogę przez jeden wieczór panować nad sobą i zachować się tak skromnie jak dziewica. Ale możesz się nie lękać: nie zdoła usunąć nas siłą z domu, a ja z moimi giermkami, z Hametem i Abdallą, jestem tego rękojmią. Nasze siły wystarczą bez ochyby, aby zapewnić nam dobrą kwaterę.*

— *Nie możesz do tego dopuścić — odparł opat. — Ale oto i ów zapadnięty krzyż, o którym wspominał chłop. Jednakowoż oćma taka, że trudno nam będzie znaleźć drogę. Widzi mi się, iż kazał nam się wziąć na lewo.*

— *Na prawo — rzekł Brian — o ile pomnę.*

— *Na lewo, na pewno na lewo, pomnę, jak wskazywał swym drewnianym mieczem.*

— *Dzierżył miecz w lewej ręce i wskazywał poprzez siebie — twierdził templariusz.*

Każdy z nich upierał się przy swoim zdaniu, jak zwykle w takich wypadkach; zapytano też sług, ale żaden z nich nie był dość blisko, by usłyszeć wskazówki Wamby.

Wreszcie Brian spostrzegł coś, czego zrazu nie dojrzał w zmroku.

— *U stóp krzyża ktoś leży, śpiący czy martwy! — zawołał. — Hugonie, dotknij go końcem swej włóczni.*

Gdy to uczyniono, leżący człowiek powstał i zapytał czystym językiem francuskim:

— *Ktokolwiek jesteście, czemu przerywacie me rozmyślenia?*

— *Chcieliśmy tylko was zapytać — odezwał się opat — którądy wiedzie droga do Rotherwood, siedziby Cedryka Saksona.*

— *Sam się tam udaję — odparł nieznajomy. — Gdybym miał konia, mógłbym was poprowadzić, bo droga jest kręta, choć doskonale mi znana.*

— *Podziękujemy ci, mój przyjacielu, i wynagrodzimy cię — rzekł opat — jeśli nas bezpiecznie przeprowadzisz do Cedryka.*

I rozkazał jednemu ze sług przesiąść się na prowadzonego przezeń luzaka, a swojego wierzchowca oddać nieznajomemu, który miał ich przeprowadzić.

Przewodnik skręcił na drogę wiodącą w przeciwnym kierunku niż ten, jaki wskazał im Wamba, umyślnie ich zwodząc. Ścieżka zagłębiała się dalej w las, niejeden strumień ją przerzynał, a przeprawa w bród była niebezpieczna ze względu na bagna, przez które płynęły; ale nieznajomy zdawał się instynktownie trafiać na najbardziej stały grunt i najbezpieczniejsze brody; dzięki swej ostrożności i uwadze doprowadził całą kawalkadę na dukt szerszy od wszystkich, jakie dotąd spotykali.

Wskazując na duży, niski, nieregularny budynek u jego wylotu, rzekł do opata:

— *Oto Rotherwood, siedziba Cedryka Saksona.*

Była to radosna wiadomość dla Aymera, który nie odznaczał się hartem i trwożył się bardzo w czasie przepraw przez niebezpieczne bagna, do tego stopnia, że nie pytał o nic nieznajomego. Gdy, uspokojony, znalazł się wreszcie w pobliżu schronienia, ciekawość jego się zbudziła i zapytał

przewodnika, kim jest.

— Pątnikiem przybyłym właśnie z Ziemi Świętej — brzmiała odpowiedź.

*— Trza ci było tam pozostać i wojować o odzyskanie Świętego Grobu —
rzekł templariusz.*

*— Masz słuszość, dostojny rycerzu — odparł pątnik, który zdawał się
znać doskonale templariusza. — Ale gdy ci, którzy ślubowali, że
odzyskają Święte Miasto, podróżują daleko od miejsca, gdzie przysięgli
pełnić swą powinność, jakże się możesz dziwować, że taki spokojny
wieśniak, jak ja, uchyla się od obowiązku, który oni porzucili?*

*Templariusz chciał coś z gniewem odpowiedzieć, ale przerwał mu opat,
wyrażając zdziwienie, że przewodnik po tak długiej nieobecności
pamięta tak dobrze przejścia przez las.*

— Urodziłem się w tej okolicy — wyjaśnił nieznajomy.

*Gdy to mówił, stanęli przed dworzyszczem Cedryka. Był to niski,
nieregularny budynek, otaczający kilka podwórców, zajmujący dużą
przestrzeń i choć wielkość jego mówiła o zamożności właściciela, był
niepodobny do wysokich, otoczonych wieżami obronnych zamków, w
których mieszkali Normandowie i których styl zapanował niepodzielnie
w budownictwie angielskim.*

*Rotherwood był jednak siedzibą obronną: w owych niespokojnych
czasach każde domostwo musiało być warowne, gdyż inaczej w
przeciągu jednej nocy zostałyby splądrowane i spalone. Dworzyszcze
otaczała głęboka fosa napęczniona wodą z pobliskiego strumienia.*

Podwójny ostrokół, zbity z ostro zakończonych bali dostarczonych przez

pobliski las, umacniał fosę po obu jej stronach. Wjeżdżało się od zachodniej strony przez zewnętrzny ostrokół połączony zwodzonym mostem z odpowiadającym mu wjazdem w wewnętrznej palisadzie.

Wejścia te były zabezpieczone przez wysunięte narożniki, które w razie potrzeby obsadzano łucznikami.

Przed bramą wjazdową templariusz głośno zadął w róg, gdyż deszcz, grożący od dawna, nagle lunął gwałtownie.

III

Wtedy (smętna pocięcha!) od brzegów, gdzie morze

Germańskie bije falą — mocny, płowowłosy

Pojawił się Saksończyk o niebieskich oczach.

J. THOMSON: Wolność

W sali, której wysokość nie była proporcjonalna do jej niezmiennej długości i szerokości, długi dębowy stół z grubo ociosanych, zaledwie oheblowanych desek nakryto do wieczery Cedryka Saksona. Salę tę chronił od deszczu dach składający się tylko z tramów i krokwi poszytych strzechą; w dwóch końcach znajdowały się ogromne kominy, ale bardzo pierwotnej konstrukcji, toteż nieomal tyle dymu tłukło się po sali, co uchodziło na zewnątrz, a gruba, czarna powłoka sadzy pokrywała belki iłaty niskiego pułapu. Na bocznych ścianach wisiał oręż wojenny i myśliwskie przybory, a w każdym rogu sali podwójne drzwi prowadziły do dalszych pomieszczeń obszernego budynku.

Inne urządzenia domostwa wzorowano na prostocie czasów starosaksońskich, czym Cedryk się chełpił ogromnie. Podłoga zrobiona

była z mieszaniny gliny z wapnem, udeptanej na twarde klepisko, takie, jakie obecnie widuje się jeszcze w stodołach. Mniej więcej na jednej czwartej przestrzeni podłoga podniesiona była o jeden stopień; wzniesienie to zwano dais i tam zasiadali najważniejsi członkowie rodu i najznakomitsi goście. Na tym podwyższeniu stał na poprzek stół nakryty szkarłatnym suknem; przystawiono do niego drugi, dłuższy i niższy, ciągnący się aż do końca sali, przy którym jedli słudzy i osoby niższej kondycji. Razem przypominały literę T jak owe stoły jadalne w ten sam sposób ustawione, które można jeszcze teraz oglądać w starodawnych kolegiach w Oksfordzie i Cambridge. Na podwyższeniu ustawiono ciężkie siedziska i rzeźbione stołki z dębowego drzewa, a ponad nimi i całym wyższym stołem rozpięto baldachim z sukna, który w razie niepogody służył także do osłonięcia dygnitarzy, siedzących na tym zaszczytnym miejscu, od deszczu przeciekającego gdzieś gdzie przez źle zbudowany dach.

Ściany wyższej części sali, wzdłuż całego wzniesienia, pokrywały wzorzyste opony, a na ziemi leżał kobierzec; i jedne, i drugi usiłowano ozdobić tkanymi lub haftowanymi deseniami, wykonanymi w jaskrawych, a nawet krzyczących barwach. Nad niższym stołem dach, jak już mówiliśmy, nie miał powały; surowe, pobielane ściany niczym nie były obite, a glinianego klepiska nie okrywał dywan; stół nie miał obrusa, a proste, ciężkie ławy zastępowały stołki. Pośrodku wyższego stołu ustawiono dwa siedziska górujące nad resztą — dla gospodarza i gospodyni domu; odgrywali oni główną rolę na biesiadach i nosili

zaszczytne saksońskie miano „krajczych chleba” od obowiązku, który spełniali. Przed każdym z tych siedzisk stał stół pod nogi bogato rzeźbiony i wykładany kością słoniową — był to przywilej gospodarzy. Na jednym karle siedział obecnie Cedryk Sakson, który choć był thanem/* ,*/ (T h a n — saksoński wielmoża.) czy też, jak go zwali Normandowie, franklinem, niecierpliwił się z powodu opóźniającej się wieczerzy jak byle rajca miejski w dawnych czy obecnych czasach. Widać było z zachowania dziedzica, że usposobienie miał szczere, lecz porywcze i choleryczne. Wzrost miał niewiele większy od średniego, lecz był barczysty, o długich rękach i silnie zbudowany jak ludzie przywykli do trudów wojennych i łowieckich. Twarz miał szeroką o dużych, niebieskich oczach, otwartą i szczerą, piękne zęby i kształtną głowę. Wygląd jego zdradzał wesole usposobienie, często idące w parze z porywczym i gwałtownym temperamentem. Można było wyczytać w jego oczach dumę i drażliwość, gdyż życie spędził w obronie praw ciągle gwałconych, a prędko, zapalczywy i zdecydowany charakter wciąż był wystawiany na próbę przez okoliczności, w jakich się obracał. Jego długie, jasne włosy, rozdzielone od środka głowy do czoła, spadały mu aż na ramiona, a choć Cedryk zbliżał się do sześćdziesiątki, tylko z lekka były przyprószone siwizną. Nosił ciemnozieloną tunikę obszytą przy szyi i rękach futrem szarej wiewiórki, zwanym popielicami, mniej cennym od gronostajów. Kaftan ten, nie zapięty, odsłaniał obcisłą, szkarłatną suknię i także spodnie, sięgające zaledwie do połowy ud i pozostawiające odkryte kolana. Na nogach Cedryk miał skórznie, takie

same jak chłopci, tylko z delikatniejszej skóry i opatrzone z przodu złotymi sprzączkami. Ramiona jego zdobiły złote bransolety, a szyję — szeroki naszyjnik z tego samego cennego kruszcu. Przepasany był bogatym pasem nabijanym drogimi kamieniami, za którym tkwił krótki, prosty, obosieczny miecz ostro zakończony i wiszący zwykle u boku nieomal prostopadle. Na poręczy karła wisiał purpurowy, sukienny płaszcz podbity futrem; także czapka, bogato haftowana, dopełniała stroju przywdziewanego przez bogatego ziemianina, gdy wyjeżdżał z domu. O siedzisko stał oparty krótki oszczep używany na dziki, z wypolerowaną stalową rękojeścią, który służył mu za laskę lub broń w zależności od potrzeby.

Kilku pacholków, noszących strój pośredni między bogatym ubiorem pana a nędznymi i prostymi sukniami Gurta świniarka, śledziło wzrok saksońskiego wielmoży, aby natychmiast spełnić jego rozkazy. Paru służących wyższej rangi stało za swym panem na podwyższeniu, reszta znajdowała się w niższej części sali. Widać też było innych domowników Cedryka, różniących się od tamtych wyglądem, oraz sporo dużych, kudłatych brytanów używanych wówczas do polowania na jelenie i wilki, kilka gończych, wielkich i kościstych, o grubych karkach, dużych łbach i długich uszach i parę mniejszych psów, zwanych też terierami; czekały z niecierpliwością na wieczerzę, lecz zmyślność i orientowanie się w wyrazie twarzy, tak charakterystyczne dla psiej rasy, nie pozwalały im przerwać posępnego milczenia pana z obawy przed krótkim, białym prętem leżącym obok miski Cedryka i służącym do

poskramiania zbytnich zapędów jego czworonożnych poddanych. Jeden tylko szary, stary wilczur z poufałością rozpieszczonego ulubieńca zasiadł tuż koło siedziska swego pana i od czasu do czasu starał się zwrócić na siebie uwagę, kładąc swój kształtny łeb na jego kolanach lub wpychając nos w jego dłoń. Ale i on został skarcony surowymi słowy:

— Leżeć, Balder, leżeć! Nie mam ochoty na zabawę. Istotnie, Cedryk, jak to już zauważyliśmy, był wyraźnie niespokojny. Lady Rowena, która wyjeżdżała do odległego kościoła na wieczorne nabożeństwo, dopiero co powróciła i przebierała się z przemoczonych deszczem szat. Nie było dotychczas wiadomości o Gurcie i jego trzodzie, a powinni już byli od dawna powrócić z lasu; w owych niepewnych czasach zupełnie prawdopodobnym powodem opóźnienia mogła być napaść rabusiów, których mnóstwo kręciło się w pobliskim lesie, lub barona z sąsiedztwa, który ufając swej sile, lekceważył prawo własności. Sprawa nie była błaha, główne bowiem bogactwo saksońskich dziedziców stanowiły liczne trzody świń, zwłaszcza w tej lesistej krainie, gdzie nierogaczna z łatwością znajdowała pożywienie.

Niezależnie od tych przyczyn do niepokoju dziedzic tęsknił za towarzystwem swego ulubionego błazna Wamby, którego żarty, jakiegokolwiek były, stanowiły przyprawę wieczerzy zakrapianej wieloma kielichami piwa i wina. Dodać należy, że Cedryk nic nie jadł od południa, a godzina wieczerzy dawno już minęła powodując irytację, zwykłą u ziemian w dawnych i obecnych czasach. Wyrażał swe niezadowolenie w urywanych zdaniach, to wymawiając je półgłosem do

siebie, to zwracając się do otaczających go sług, a szczególnie do podczaszego, który, by uspokoić pana, podawał mu od czasu do czasu srebrny kubek napeltniony winem.

— A czemuż to lady Rowena tak zwleka?

— Zmienia stroik na głowie — odparła jedna z jej służebnych, z poufalością zwykłą ulubionym pokojówkom także i obecnie, gdy odpowiadają panom domu. — Przecie wasza miłość nie chciałby, żeby lady Rowena zasiadła do uczyty w czepku i gieżle? W całym hrabstwie nie ma niewiasty, która by się tak chybko przyodziewała jak moja pani. Ten argument spowodował, że Cedryk przytaknął chrząknięciem i dodał:

— Wolej by piękniejszą pogodę wybrała na jazdę do kościoła Świętego Jana. Ale gdzie, u diabła — ciągnął dalej, zwracając się do podczaszego, jak gdyby zadowolony, że może wreszcie dać bezkarnie upust swej złości — gdzie, u diabła, Gurt się podziewa, że tak długo nie wraca? Lękam się, czy coś złego nie przygodziło się trzodzie. To wierny i przezorny sługa, przeznaczałem go do lepszej roboty, miałem chęć zrobić z niego strażnika.

Oswald, podczaszcy, zauważył pokornie, że zaledwie godzina upłynęła, jak zadzwoniono na wygaszenie ognia*, lecz tłumaczenie to źle było wybrane i przykro zabrzmiało w uszach Saksończyka.

*/ Normandowie wprowadzili obowiązek dzwonienia na wygaszenie światel, a więc i na udanie się na spoczynek. Wśród Saksończyków rozporządzenie to było bardzo niepopularne.

— Niech czarci porwą ten dzwon — zawołał Cedryk — i tego łotra, który go wymyślił, a także i tego sługę bez serca, który o tym gada po saksońsku Saksończykowi! Dzwon ten zmusza prawych mężów do gaszenia ognia — dodał po chwili — a wtedy bez ochyby złodzieje i zbójcy mogą robić swoje po ciemku! Ach, ten dzwon! Reginald Bawoli Leb i Filip de Malvoisin umieją korzystać z tego dzwonu jak i Wilhelm Bastard**, i wszyscy inni łupieżcy spod Hastings.

**/ Wilhelm Bastard — Wilhelm Zdobywca, który był nieślubnym synem księcia Normandii.

Pewnikiem dowiem się, iż moją trzodę porwali zbójcy, których własni panowie nie mogą wyżywić i którzy żyją z rabunku i kradzieży. Ubit, widno, nasz wierny poddaniec, a moje wieprze zagrabione! Ale Wamba? Gdzie jest Wamba? Ktoś mówił, że poszedł razem z Gurtem. Oswald potwierdził.

— Aj, to coraz lepiej! Porwano saksońskiego błazna, by służył normandzkiemu panu! Głupcy jesteście, że im służymy, i sprawiedliwie pogardzają nami i wydziwiają, jakbyśmy się byli urodzili przygłupkami. Ale ja się zemszczę — dodał zrywając się niecierpliwie na myśl o tej wyimaginowanej krzywdzie i chwyciwszy włócznię zawołał: — Zaniosę skargę przed Wielką Radę! Mam przyjaciół i sprzymierzeńców. Wyzwę w szranki Normandów. Niech się stawią te tchórze w zbrojach i kolczugach, bez których widocznie im odwagi nie dostaje. Taką włócznią przeszyłem ostrokół grubszy od trzech ich tarcz! Pociuszają się, że już stary, aleć się przekonają, że choć samotny i

bezdziety, krew Harevarda płynie w żyłach Cedryka. Ach, Wilfrydzie, Wilfrydzie! — zawołał ciszej. — Gdybyś był przewycięzył swą nierozsądną miłość, twój ojciec nie byłby na starość taki samotny jak ten dąb, którego połamane i bezbronne konary narażone są na podmuchy wichury!

Myśli te przemieniły jego gniew w smutek. Odstawił włócznię, siadł z powrotem ze spuszczoneymi oczami i zdawał się pogrążony w żalösnej zadumie.

Nagle jego rozmyślania przerwał głos rogu, któremu odpowiedział skowyt i szczekanie wszystkich psów w sali i dwudziestu czy trzydziestu innych w dalszych częściach dworzyszcz. Dopiero biały pręt i wysiłki służby uspokoiły ten psi zgiełk.

— Pacholki, dalej, do bram! — wołał Cedryk pośpiesznie, gdy wreszcie hałas na tyle się uspokoił, że służba mogła go usłyszeć. — Dowiedzcie się, co za nowiny przynosi nam ten głos rogu; obawiam się, że oznajmia o łupiestwie i rabunku dokonany w moich włościach.

Po chwili jeden ze strażników powrócił i oznajmił, że opat Aymer z Jorvaulx i cny rycerz Brian de Bois-Guilbert, komandor walecznego i bogobojnego zakonu templariuszy, z niewielką świtą proszą o gościnność i nocleg, udają się bowiem na turniej, który ma się odbyć za dwa dni w pobliżu Ashby-de-la-Zouche.

— Aymer! Opat Aymer! Brian de Bois-Guilbert! — mruknął Cedryk. — Obaj Normandowie; ale czy Normandowie, czy Saksończycy, nikomu w Rotherwood nie odmawia się gościnności. Musimy ich przyjąć, choć

radzi widzielibyśmy, żeby sobie pojechali dalej. Ale nie przystoi, byśmy im żalowali noclegu i wieczerzy; w gościnie nawet Normandowie muszą poniechać zuchwalstwa. Idź, Hundebencie — dodał zwracając się do burgrabiego, który stał za nim z białą laską w ręku — weź ze sobą sześciu pacholków i zaprowadź przybyłych do gościnnych izb.

Obrządźcie ich konie i muły i baczcie, by na niczym nie zbywało ich sługom. Jeśliby potrzebowali odzienia, dajcie im się w co przyodziać, rozpalcie im ogień, przynieście wody do mycia, poczęstujcie winem i piwem; rozkażcie też kucharzom, aby dodali czym prędzej co się da do wieczerzy i podali do stołu, gdy tylko goście się ochędożą. Powiedz im, Hundebencie, że Cedryk sam by ich powitał, ale ślubował, że nie wyjdzie dalej niż trzy kroki na spotkanie gości nie pochodzących z rodu królów saksońskich. Idź i bacz, by dobrze byli przyjęci, by nie mogli powiedzieć w swej dumie, że u saksońskiego dziedzica widzieli biedę i skąpstwo.

Burgrabia odszedł z kilkoma pacholkami, żeby wypełnić rozkazy pana. — Opat Aymer — powtórzył Cedryk spoglądając na Oswalda — brat, mniemam, Gilberta de Mauleverer, obecnie lorda Middleham?

Oswald z szacunkiem przytaknął.

— Jego brat iście tam osiadł zagrabiwszy dziedzictwo lepszego od siebie, Ulfgara z Middleham. Ale któryż z lordów normandzkich tego nie uczyni? Powiadają, że opat jest swobodnych obyczajów, woli wino i dźwięk rogu od dzwonów i ksiąg. Dobrze, niech tu przyjdzie, zgotujemy mu godne przyjęcie. Jak zwie się templariusz?

— Brian de Bois-Guilbert.

— Bois-Guilbert! — rzekł Cedryk półgłosem, tonem, jakiego

przyzwyczajł się używać żyjąc wśród ludzi podwładnych sobie, jak

człowiek mówiący raczej do siebie niż do otoczenia. — Bois-Guilbert!

Imię to słynie szeroko ze złego i z dobrego. Mówią, że jest on jednym z

najdzielniejszych rycerzy w swoim zakonie, ale ma też wszelkie wady

tego zakonu: dumę,uchwalstwo, okrucieństwo; człowiek o kamiennym

sercu, który nie zna lęku na ziemi ani trwogi przed Bogiem. Tak mówili

nieliczni rycerze, którzy powrócili z Palestyny. Ale przecież chodzi o

jeden tylko nocleg, toteż i jego dobrze przyjmiemy. Oswaldzie,

odszpuntuj beczkę najstarszego wina, postaw na stole najlepsze mięso,

najtęższe piwo, najmocniejszy maliniak, najbardziej musujący

jablecznik, najwonnejszy krupnik, jaki mamy, napełnij największe

puchary. Templariusze i opaci bowiem lubią dobre wina i kielichy

dobrej miary. Elgito, powiedz lady Rowenie, że nie oczekujemy jej dziś

wieczór w sali jadalnej, chyba żeby tego koniecznie pragnęła.

— Sprawiloby to jej wielką przyjemność — odparła pośpiesznie Elgita —

gdyż zawsze łaknie wieści z Palestyny.

Cedryk rzucił na zbyt śmiałą dworkę niechętnie spojrzenie, lecz Rowena

i wszystko, co się jej tyczyło, miało ten przywilej, że nie budziło jego

gniewu. Odparł więc tylko:

— Milcz, dziewczyno, trzymaj język za zębami! Tu jeszcze potomek

Alfreda ma władzę nad księżniczką.

Elgita opuściła salę.

— Palestyna! — powtórzył Saksończyk. — Palestyna! Iluż to chciwie

*słucha baśni, jakie opowiadają o tej przeklętej krainie rozwiążli
krzyżowcy albo obłudni pielgrzymi! Ja też chciałbym się pytać, ja też
chciałbym się dowiedzieć, ja też słuchałbym z bijącym sercem baśni,
które te przebiegłe obieżyświaty opowiadają, by zarobić sobie na naszą
gościnność. Lecz nie! Nieposłuszny syn przestał być moim synem; dola
jego obchodzi mnie tyle, co los najbliższego spośród tych, którzy,
kreśląc znak krzyża świętego na swych ramionach, toną w rozpuście i
rozlewają krew, a chwalą się, że wypełniają wolę boską,
Zmarszczył brwi i na długą chwilę utkwiał oczy w ziemi. Gdy je podniósł,
podwójne drzwi na końcu sali otworzyły się na rozcież i, poprzedzani
przez burgrabiego z laską w ręku i czterech pacholków niosących
zapalone pochodnie, do sali weszli goście.*

IV

*Zatem pieczeń baranią podano na stoły,
A z nią kozy na roznach i tuczone woły,
Przypiekane wnętrzności, smakołyków michy,
Wśród których win wytrawnych krążyły kielichy.
Obok w sali Telemach posadził Ulissa.
Przed nim stół niebogaty, a na stole misa
Skromniejszej, prostej strawy...*

HOMER; Odyseja

*Opat Aymer skorzystał ze sposobności, by swą podróżną szatę zmienić
na inną, z bardziej kosztownej tkaniny, a na nią wdziać kapę bogato
haftowaną. Poza masywnym, złotym sygnetem, będącym oznaką jego*

*godności, palce zakonnika, wbrew regule, pokrywały cenne gemmy;
ciężmy miał uszyte z najmiększej skóry przywiezionej z Hiszpanii, a
brodę tak krótko przystrzyżoną, jak tylko reguła na to pozwalała;
tonsurę kryła czerwona, bogato haftowana czapka.*

*Templariusz też zmienił szaty i choć mniej miał na sobie klejnotów,
suknia jego była równie bogata, a postać wspanialsza niż towarzysza.
Zamienił kolczugę na spodnią tunikę z ciemnopurpurowego jedwabiu,
obramowaną futrem, na którą spływała w bogatych fałdach
śnieżnobiała opończa. Na płaszczu widniał naszyty ośmioramienny
krzyż templariuszy wycięty z czarnego aksamitu. Wysoki szyszak nie
krył już czoła rycerza, na które spadały tylko krótkie i gęste,
kruczoczarne kędziory, harmonizujące z jego niezwykle śniadą cerą.
Trudno byłoby o równie wdzięczny chód i ruchy, gdyby nie odbijała się
w nich wyniosłość, o którą tak łatwo u ludzi sprawujących
nieograniczoną władzę. Za dwoma dostojnikami kroczyli ich słudzy, a
w pewnej odległości za nimi szedł pokornie przewodnik, który niczym
się nie wyróżniał, poza zwykłą szatą pielgrzymią. Opończa z czarnego,
prostego, grubego sukna okrywała całą jego postać, przypominając z
kroju płaszcz noszony obecnie przez angielskich huzarów, miała też
takie same klapy opadające na ramiona i zwana była sclaveyn, czyli
płaszczem „slawońskim”. Na bosych stopach pielgrzym miał proste
skórznie przywiązane rzemieniem; szerokoskrzydły kapelusz, obsyty
muszelkami, i długi kij okuty żelazem dopełniały jego stroju. Wszedł
skromnie za orszakiem wkraczającym do sali, a widząc, że niższy stół*

zaledwie będzie mógł pomieścić służbę Cedryka i świtę jego gości, usiadł na stołku nieomal pod samym okapem jednego z ogromnych kominów.

Udawał zajętego suszeniem odzieży i czekał, aż ktoś opuści stół i zrobi mu miejsce lub też gościnnie marszałek każe mu podać posiłek na uboczu, gdzie sam się usadowił.

Cedryk wstał, by powitać przybyłych z pełną godności gościnnością i zstąpiwszy z podwyższenia, uczynił trzy kroki ku nim, po czym stanął czekając, aż się przybliżą.

— Darujcie, wielebny księżę opacie — rzekł — ale moje śluby nie zezwalają mi dalej postąpić, nawet gdy w progach mych przodków trzeba witać takich gości jak wasza wielebność i prawy rycerz świętego zakonu templariuszy. Mój sługa objaśnił już powód tego, co może się zdawać brakiem dworności. Wybaczcie mi też, że przemawiam do was, dostojni goście, w mym ojczystym języku i że proszę was również o odpowiedź w tej samej mowie, o ile jej znajomość wam na to pozwala; na tyle mi jednak jest znany język normandzki, że w razie potrzeby mogę was zrozumieć.

— Można — rzekł opat — zwolnić cię ze ślubów, cny franklinie. A raczej pozwól się nazywać thanem, choć to już przestarzały tytuł. Śluby są to więzy, które nas łączą z niebem, są sznurami przywiązującymi ofiarę do ołtarza i dlatego — jakom rzekł — można je rozwiązać i zwolnić z nich każdego, o ile nasza święta matka Kościół nie rozporządzi inaczej. A co do języka, chętnie mówię tym, którego używała moja wielce szanowna babka, Hilda z Middleham, która zmarła nieomal równie świątobliwą

śmiercią jak, o ile wolno mi to powiedzieć, jej sławna imienniczka,

święta Hilda z Whitby — niech Bóg raczy się opiekować jej duszą!

Gdy opat skończył swą pojednawczą, jak mu się zdawało, przemowę,

jego towarzysz rzekł krótko i z naciskiem:

— Mówię zawsze po francusku, językiem króla Ryszarda i jego nobilów,

ale dostatecznie znam mowę angielską, by porozumieć się z miejscową

ludnością.

Cedryk rzucił na mówiącego gniewne i zniecierpliwione spojrzenie,

jakie porównywanie ze sobą obu rywalizujących narodów musiało u

niego nieuchronnie wywołać.

Wspomniawszy jednak obowiązki gościnności, pohamował gniew i

ruchem dłoni wskazał gościom dwa stołki nieco niższe od własnego

siedziska, lecz stojące tuż obok, i dał znak, by podano do stołu.

Podczas gdy służba śpieszyła spełnić rozkazy, Cedryk spostrzegł Gurta

świniarka, który wraz z towarzyszącym mu Wambą wszedł właśnie do

sali.

— Przyślijcie mi tu tych łazęgów — rzekł Saksończyk niecierpliwie. A

gdy winowajcy stanęli przed podwyższeniem, dodał: — Czemu, nygusy,

tak długo włóczyliście się po nocy? Czyś wrócił ze swoją trzodą, mości

Gurcie, czy też pozostawiłeś ją na pastwę zbójców i włóczęgów?

— Niech wasza wielmożność się nie gniewa. Trzodę przygnałem całą —

rzekł Gurt.

— Będę się gniewał, ciury — odparł Cedryk — bom przez dwie godziny

co innego mniemał i na sąsiadów wzywał pomsty, na którą sobie nie

zasłużyli. Zapowiadam wam, że następnym razem kajdany i loch ukarzą was za takie wykroczenie.

Gurt, znając porywcze usposobienie pana, nie usiłował się bronić; lecz błazen, który mógł liczyć na pobłażliwość Cedryka ze względu na swe uprzywilejowane stanowisko wesółka, odpowiedział za nich obu:

— Prawdę powiedziawszy, wuju/ Cedryku, nie jesteś dziś wieczór ani mądry, ani rozsądny.*

**/ W dawnych czasach błaznom wolno było w ten sposób zwracać się do swych panów.*

— Hola, mości panie! — zawołał franklin. — Jeśli będziesz sobie tak pozwalać, pójdiesz na odźwiernego i pokosztujesz smaku dyscypliny!

— Niech najprzód wasza mądrość raczy mi odpowiedzieć, czy jest rzeczą sprawiedliwą i rozsądną karać kogoś za cudze winy?

— Na pewno nie — odparł Cedryk.

— Dlaczego więc miałbyś zakuć w kajdany biednego Gurta za winy jego psa Fangsa? Przysięgam, że nie zmitrężyliśmy w drodze ani chwili, odkąd trzoda się zebrała, lecz Fangs zdołał ją spędzić dopiero wtedy, gdy usłyszeliśmy dźwięk dzwonu na nieszpory.

— To powieś Fangsa, jeśli to jego wina — rzekł Cedryk zwracając się z gniewem do świniarka.

— Daruj, wujaszku — odezwał się znów błazen — aleć to także nie byłoby całkiem sprawiedliwe. Fangs bowiem nie jest winien, że kuleje i nie może zaganiać trzody; wina jest zasię tych, co mu obcięli dwa pazury u przednich łap, a nie wiada, czy gdyby go zapytano, byłby się

na to zgodził.

— A kto ośmielił się okuliwić zwierzę, które należy do mojego sługi? — zapytał Saksończyk wrząc gniewem.

— Wiera, uczynił to stary Hubert — odparł Wamba — łowczy imć pana Filipa de Malvoisin. Przylapał Fangsa wałęsającego się po lesie i oskarżył go, że poluje na jelenie, które z prawa należą do jego pana jako strażnika tego okręgu.

— Niech diabli porwą Malvisina wraz z jego łowczym! — wrzasnął Saksończyk. — Dowiodę im, że owa knieja nie podlega prawom Leśnej Karty! */ Leśną Kartę regulującą prawa ludności do korzystania z lasów i polowania ogłoszono dopiero w XIII w. Walter Scott popełnił tu anachronizm powołując się na nią.*

Ale dość już o tym. Ty, chłopcze, wracaj na swoje miejsce. A ty, Gurcie, wystaraj się o innego psa, a gdyby łowczy ośmielił się go tknąć, już ja go nauczę rozumu! Niech mnie nazwą tchórzem, jeśli nie odstrzelę mu wskazującego palca u prawej ręki, by nie mógł już nigdy napiąć łuku.

Przebaczcie mi, dostojni goście. Jestem tu osaczony przez sąsiadów nie lepszych od niewiernych, z którymi wasza miłość walczył w Ziemi Świętej. Lecz oto skromny posiłek stoi przed wami, pożywajcie więc i niech serdeczna gościnność wynagrodzi jego prostotę.

Uczta zastawiona na stołach nie wymagała od gospodarza tego usprawiedliwienia. W wyższym końcu stołu podano wieprzowinę przyrządzoną na różne sposoby, drób, sarninę, koźlęta, zające i wiele gatunków ryb wraz z ogromnymi bochnami chleba i plackami, a także

rozmaite słodycze przyrządzone z owoców i miodu. Drobniejsze ptactwo, którego była wielka obfitość, podawano nie na miskach, lecz nasadzone na małe drewnienka lub roženki, a paziowie i sługi podawali je po kolei gościom, którzy odcinali sobie, jaki chcieli, kawałek. Obok każdej znaczniejszej osoby stał srebrny kubek, a przy niższym stole pito z wielkich rogów. Gdy uczta miała się rozpocząć, burgrabia wznosił laskę.

— Miejsce dla lady Roweny! — rzekł głośno.

Otworzyły się boczne drzwi w górnej części sali za poczesnym stołem i weszła Rowena z czterema dworkami. Cedryk — zdziwiony i może niezbyt zadowolony, że jego wychowanka ukazała się publicznie — pośpieszył jednak na jej spotkanie i poprowadził ją z ceremonialnym szacunkiem do wysokiego siedziska stojącego po prawej jego ręce, a przeznaczonego dla pani domu. Biesiadnicy wstali na powitanie lady Roweny, a ona odpowiedziała im w milczeniu skinieniem dłoni i z wdziękiem podeszła, by zasiąść na swym miejscu za stołem. Zanim zdążyła to uczynić, templariusz szepnął opatowi:

— Nie wdzieję na turniej twego złotego naszyjnika. A wino jest twoje.

— Czyż nie mówiłem? — odrzekł opat. — Miarkuj się jednak, bo franklin patrzy na ciebie.

Ale niepomny tych przestróg i zwykły działać tylko pod wpływem swych zachcianek, Brian de Bois-Guilbert nie spuszczał oczu z pięknej Saksonki, która dlatego może tak podziałała na jego wyobraźnię, że niczym nie przypominała wschodniej hurysy.

Rowena miała piękną kibić i słuszny wzrost, nie była jednak przesadnie wysoka. Miała niezwykle jasną cerę, szlachetnie osadzoną głowę i piękne rysy. Jej jasnoblękitne oczy, spoglądające spod ciemnych brwi, których zarys dodawał wyrazu czołu, umiały, zda się, zarówno płonąć gniewem, jak pieścić, zarówno rozkazywać, jak prosić. Choć na twarzy jej malowała się naturalna słodycz, widać było, że w owej chwili poczucie wyższości i składane jej hołdy nadały tej saksońskiej niewieście wyraz wyniosłości, który wziął górę nad przyrodzonymi jej cechami. Bujne jej włosy, koloru pośredniego między kasztanowatym a blond, utrefione były wdzięcznie w obfite loki, w czym zapewne sztuka dopomogła naturze. W loki te, których długość mówiła o znakomitym rodzie i wolnym stanie dziewczęcia, wpleciono klejnoty. Wokół jej szyi połyskiwał złoty naszyjnik z małym relikwiarzem, również złotym. Na obnażonych ramionach nosiła bransolety. Ubrana była w suknię i kaftan z jasnozielonego jedwabiu, na które spływała do samej ziemi długa i luźna wierzchnia szata z bardzo szerokimi rękawami, sięgającymi jednak zaledwie za łokcie. Szata ta była utkana z najcieńszej, purpurowej wełny. Jedwabny welon przetykany złotem, przyczepiony do górnej części sukni, mógł dowolnie zasłaniać twarz i piersi według mody hiszpańskiej bądź też spadać na ramiona. Skoro Rowena zauważyła utkwiony w niej namiętny wzrok templariusza, którego głęboko osadzone oczy płonęły jak rozżarzone węgle, z godnością zasłoniła twarz, dając mu tym do zrozumienia, że tak śmiałe spojrzenie nie jest jej mile.

Cedryk zauważył ten ruch i jego przyczynę.

— Mości rycerzu — rzekł — lica naszych saksońskich dziewic nie nawykły do promieni słonecznych, nie mogą więc znieść utkwionego w nie wzroku krzyżowca.

— Jeślim obraził ją, proszę waszą miłość o wybaczenie — odparł sir Brian. — To znaczy, proszę o przebaczenie lady Rowenę, gdyż moja pokora nie może dalej się posunąć.

— Lady Rowena — rzekł opat — skrzywdziła nas wszystkich karcąc mego przyjaciela. Mam nadzieję, że będzie mniej okrutna dla tego dostojnego zgromadzenia, jakie się zbierze na turnieju.

— Nie wiemy jeszcze, czy się tam wybierzem — odparł Cedryk. — Nie lubię tych światowych igraszek, nie były one znane naszym przodkom dawniej, gdy Anglia była jeszcze wolna.

— Spodziewamy się — rzekł opat — że w naszym towarzystwie puści się wasza miłość w tę podróż; drogi nie są bezpieczne, tedy opieką sir Briana de Bois-Guilbert nie należy pogardzać.

— Wielebny księżu opacie — odparł Saksończyk — gdym podróżował dawnymi czasy po tym kraju, nie trza mi było niczyjej pomocy, krom dobrego mego miecza i wiernych sług. A teraz, jeśli udamy się do Ashby-de-la-Zouche, wyruszymy tam z naszym szlachetnym sąsiadem i ziomkiem Athelstanem z Coningsburgha i dostatecznym pocztem dla odstraszenia zbójców i nieprzyjaciół. Piję twoje zdrowie, opacie, tym pucharem wina. Spodziewam się, że będzie ci smakowało, i dziękuję ci za twoją uprzejmość. Ale — dodał — gdybyś chciał ściśle trzymać się

reguły twego zakonu i wolałbyś mleko, sądzę, że nie złamałbyś jej przez uprzejmość dla mnie.

— Nie — odparł śmiejąc się opat. — Jeno w klasztorze poprzestajemy na lac dulce et acidum. */ Lac dulce et acidum (łac.) — mleko słodkie i kwaśne.*

Bywając w świecie, trzymamy się światowych obyczajów i dlatego spełnię twój toast tym dobrym winem, pozostawiając mniej mocny napój memu świeckiemu bratu.

— A ja — dodał templariusz napełniając kubek — piję za zdrowie pięknej Roweny. Odkąd to imię znane jest w Anglii, nigdy bardziej nie zasłużyło na taki hołd.

— Cny rycerzu, dzięki za twą uprzejmość — rzekła Rowena z godnością, nie odkrywając jednak twarzy. — Lecz wolałabym, abyś dał jej dowód opowiadając nam ostatnie wieści z Palestyny; bardziej one ucieszą nasze angielskie uszy niżli piękne słówka, jakich was uczy wasze francuskie wychowanie.

— Niewiele wam mogę opowiedzieć, mylady — odparł Brian de Bois-Guilbert. — Jedyne pewną zdaje się być wiadomość o rozejmie z Saladynem.

Nagle przerwał rycerzowi Wamba siedzący na swym miejscu, na stołku z oparciem ozdobionym oślimi uszami, o jakieś dwa kroki za siedziskiem swego pana, który od czasu do czasu podawał mu coś do jedzenia ze swego talerza; błazen dzielił tę łaskę z ulubionymi psami, a tych, jak już wspominaliśmy, było kilka. Wamba siedział za małym

stolikiem, pięty założył za nogi stolka, a policzki wciągnął do środka, robiąc się przez to podobny do dziadka do orzechów; przymrużył oczy i czekał bacznie na sposobność wypowiedzenia swych dozwolonych żartów.

— Te rozejmy z niewiernymi — zawołał nie bacząc, że przerwał nagle słowa dostojnego rycerza — bardzo mnie postarzają!

— Gadaj, błaznie, jakże to? — zachęcał go Cedryk, na którego twarzy malowało się oczekiwanie dobrego żartu.

— Pomnę bowiem — ciągnął Wamba — że już trzy rozejmy zawarto za mego życia, a każdy ponoć miał trwać pięćdziesiąt lat. Zliczywszy je, muszę mieć już przynajmniej sto pięćdziesiąt lat.

— Możesz być pewien, że nie umrzesz ze starości — odezwał się templariusz, który poznał teraz swego znajomego z puszczy. — Bez ochyby zginiesz gwałtowną śmiercią, jeśli będziesz podróżnych zwodził tak jak mnie i opata dziś wieczór.

— Jak to, łotrze — zawołał Cedryk — oszukałeś podróżnych?! Zasłużyłeś na baty! Jesteś zarówno głupcem, jak nicponiem.

— Daruj mi, wuju — odparł błazen. — Dozwól, by moja głupota choć na ten raz obroniła moją niecnotę. Pomyliłem tylko rękę prawą z lewą; a trza też wybaczyć możniejszemu ode mnie, który wziął sobie błazna za doradcę i przewodnika.

Rozmowę tę przerwało wejście wartownika, który oznajmił, że u bramy stoi jakiś obcy człowiek i prosi o przytułek i gościnę.

— Wpuśćcie go — rzekł Cedryk — kimkolwiek jest. W taką noc nawet

dzikie zwierzęta szukają schronienia u domowej trzody i pomocy u człowieka, swego śmiertelnego wroga, obawiając się zginąć od żywiołów. Dojrzyj, Oswaldzie, by podróżnemu na niczym nie zbywało. Podczaszy opuścił więc salę biesiadną, by wypełnić rozkazy pana.

V

Cóż to? Żyd nie ma oczu, cóż to — nie ma

Rąk, zmysłów, uczuć? Czyż nie jest karmiony

Tą samą stawką, od tych samych broni

Ran nie doznaje i tym samym lekiem

Czy się nie leczy, nie doznaje chłodu

Od zim tych samych, co i chrześcijanin?

W. SZEKSPIR: Kupiec wenecki

Oswald powróciwszy szepnął do ucha swemu panu:

— To Żyd, który mieni się Izaakiem z Yorku; czy wypada, bym go wprowadził do sali?

— Niech Gurt cię zastąpi — odezwał się Wamba ze zwykłą sobie złośliwością. — Pastuch świń jest przecie najodpowiedniejszym przewodnikiem dla Żyda.

— Najświętsza Panienko! — zawołał opat żegnając się. — Niewierny

Żyd ma tu być wprowadzony?

— Ten pies żydowski — dodał templariusz — ma się zbliżyć do obrońcy Świętego Grobu?

— Dalibóg — zawołał Wamba — zda się, jakoby zakon templariuszy

wolał dziedzictwo Żydów od ich towarzystwa!

— *Uciszcze się, moi dostojni goście — rzekł Cedryk. — Wasza niechęć nie może krępować mojej gościnności. Jeśli niebiosy znosiły istnienie całego narodu niewiernych przez tyle lat, że trudno je nieuczonemu zliczyć, my też możemy ścierpieć obecność jednego Żyda przez parę godzin. Ale nie przymuszam nikogo, by z nim rozmawiał czy jadł. Dajcie mu jeść przy osobnym stole, chyba — dodał z uśmiechem — że ci obcy w turbanach przyjmą go do swego towarzystwa.*

— *Sir — odparł templariusz — moi Saraceni są wiernymi mahometanami i gardzą towarzystwem Żydów, tak samo jak chrześcijanie.*

— *Iście — rzekł Wamba — nie wiada, czym wyznawcy Mahometa i Termagaunta* górują nad narodem wybranym.*

**/ Termagaunt — w wyobrażeniach średniowiecznych było to bóstwo mahometańskie, występujące w ówczesnych romansach i widowiskach na równi z Mahometem. Termagaunt miał się odznaczać gwałtownym temperamentem.*

— *Żyd będzie jadł z tobą, Wambo — rzekł Cedryk. — Błazen i niecnota to dobrana kompania.*

— *Błazen — odparł Wamba podnosząc w górę kawał szynki wieprzowej*

— *postara się odgrodzić od niecnoty murem.*

— *Zamilcz — rzekł Cedryk — bo oto i on.*

Wprowadzono bez większych ceremonii człowieka chudego, wysokiego, którego wzrost jednak zdawał się niższy, zwykł się bowiem garbić; postępował on trwożnie i niepewnie i kłaniając się pokornie, kierował

się ku niższej części stołu. Miał rysy twarzy cienkie i regularne, z orlim nosem i czarnymi, przenikliwymi oczami; jego wysokie, pomarszczone czoło, długie, siwe włosy i broda mogłyby uchodzić za piękne, gdyby nie zdradzały znamion rasy, jednakowo znienawidzonej w owych czasach ciemnoty przez łatwowierny i przesądny plebs, jak prześladowanej przez chciwych i drapieżnych wielmożów.

Odzież Żyda, która, zda się, wielce ucierpiała od burzy, składała się ze zwykłej, ciemnobraunatnej, fałdzistej opanczy okrywającej fioletową tunikę. Na nogach miał obszerne, podbite futrem buty, a przy pasie nosił niewielki nożyk wraz ze szkatułką zawierającą przybory do pisania, nie posiadał natomiast broni. We drzwiach sali zdjął z wielką pokorą wysoką, czworograniastą, żółtą czapkę szczególnego kształtu, obowiązującą Żydów dla odróżnienia ich od chrześcijan.

Osobistość tę przyjęto w biesiadnej sali Cedryka Saksona w sposób, jaki zadowolilby
najbardziej
zawziętego
nieprzyjaciela
plemienia

izraelskiego. Sam Cedryk skinął tylko chłodno głową w odpowiedzi na liczne pokłony Żyda i wskazał mu najdalszy koniec stołu, gdzie jednak nikt się nie kwapił zrobić mu miejsce. Przeciwnie, gdy przechodził wzdłuż szeregu biesiadujących, rzucając nieśmiało, błagalne spojrzenia i zwracając się do każdego z zajmujących miejsce przy końcu niższego

stołu, saksońscy słudzy rozpierali się i dalej zajadali wieczerzę nie zwracając najmniejszej uwagi na prośby nowego gościa. Dworzanie opata żegnali się z wyrazem pobożnego oburzenia, a gdy Izaak zbliżał się do saraceńskich pogan, nawet oni podkręcali gniewnie wąsa i kładli dłonie na kindzałach, jak gdyby gotowi uwolnić się od niepożądanego towarzystwa, nie przebierając w środkach.

Zapewne te same przyczyny, które spowodowały, że Cedryk kazał wpuścić do sali potomka przeklętego narodu, byłyby go skłoniły do wydania rozkazu służbie, by uprzejmiej przyjęła Izaaka, lecz właśnie w tej chwili opat wciągnął go w nadzwyczaj interesującą rozmowę o rasach i charakterze ulubionych jego psów, której nie byłby przerwał nawet dla ważniejszych spraw niż zagadnienie, czy jakiś tam Żydowin pójdzie spać bez wieczerzy. Gdy Izaak stał tak, niby wyrzutek społeczeństwa, podobnie jak jego naród wśród innych narodów, i rozglądał się na próżno, kto go przyjmie do towarzystwa i zrobi mu miejsce, pielgrzym siedzący pod kominem ulitował się nad nim i wstawszy rzekł krótko:

— Starcze, moje szaty już wyschły, głód zaspokoilem, a ty jesteś zmoknięty i na czczo.

Mówiąc to, zgarnął przygasające polana, rozrzucone po obszernym kominie, i rozniecił z nich ogień; z większego stołu wziął miskę polewki i warzonej koźlęciny, postawił na małym stoliku, przy którym sam wieczerzał, i nie oczekując na podziękowania odszedł w drugi koniec sali, nie wiadomo, czy unikając zetknięcia z tym, nad którym się

zlitował, czy też z chęci przybliżenia się do wyższego końca stołu.

Gdyby w owych czasach istnieli malarze zdolni odtworzyć podobny temat, sędziwy Żyd, nachylony nad ogniskiem i grzejący przy nim zgrabiące i drżące dłonie, mógłby być niezłym wyobrażeniem zimy.

Skoro się nieco ogrzał, zwrócił się chciwie do dymiącej miski stojącej przed nim i zaczął jeść pośpiesznie i ze smakiem, co zdawało się wskazywać, że dawno nic nie miał w ustach.

Tymczasem opat rozprawiał wciąż z Cedrykiem o polowaniu, lady

Rowena zdała się pogrążona w rozmowie z jedną ze swych dworek, a wyniosły templariusz, spozierając na przemian to na Żyda, to na piękną Saksonkę, rozważał w myśli jakieś pochłaniające go sprawy.

— Podczaszy, napełnij puchary — rzekł Cedryk — a my, panie rycerzu, i ty, wielbny opacie, wypijmy za zdrowie tych obrońców krzyża świętego w Palestynie, jakikolwiek jest ich ród i język, którzy ninie najdzielniej tam walczą.

— Nie wypada temu, kto sam nosi owo godło, odpowiadać wam, panie

— rzekł Brian de Bois-Guilbert. — Lecz komuż wśród obrońców krzyża świętego można przyznać pierwszeństwo, jeśli nie przysięgłym strażnikom Świętego Grobu?

— Rycerzom joannitom — odezwał się opat. — Mam w tym zakonie brata.

— Nie podaję w wątpliwość ich sławy — rzekł templariusz — lecz...

— Zda mi się, mój przyjacielu Cedryku — przerwał mu Wamba — że gdyby Ryszard Lwie Serce był mądry i posłuchał rady błazna, byłby

ostał doma ze swymi dzielnymi Anglikami, a zdobycie Jerozolimy pozostawiłby tym samym rycerzom, co owo miasto utracili.

— Czyż nie było wśród wojsk angielskich — spytała lady Rowena — nikogo, czyje imię należałoby wspomnieć wraz z rycerzami zakonu templariuszy i joannitów?

— Wybacz mi, pani — rzekł Bois-Guilbert. — Angielski monarcha istotnie przywiózł ze sobą mnóstwo dzielnych rycerzy, lecz muszą oni ustąpić przed tymi, których piersi stanowiły przedmurze Ziemi Świętej.

— Rycerze ci nikomu nie ustępują — rzekł pielgrzym, który stał dość blisko, by usłyszeć te słowa, a rozmowie przysłuchiwał się z wyraźnym zniecierpliwieniem. Wszyscy zwrócili się w stronę, skąd doszło to niespodziewane stwierdzenie. — Mniemam — powtórzył pielgrzym silnym i pewnym głosem — że rycerstwo angielskie nie ustępuje żadnemu wojownikowi, który stawał w obronie Ziemi Świętej. Prócz tego twierdzę, bom sam to oglądał, że król Ryszard we własnej osobie i pięciu jego rycerzy wyzwali na turnieju w Saint Jean d'Acre każdego, kto by chciał im stanąć. Twierdzę dalej, że tego dnia każdy z tych rycerzy trzykrotnie walczył i zwałił na ziemię trzech przeciwników. Dodam jeszcze, że spośród ich przeciwników siedmiu należało do zakonu templariuszy, a sir Brian de Bois-Guilbert dobrze wie, że prawdą jest to, co rzekłem.

Żadne słowa nie opiszą posepnego wyrazu wściekłości, jaki się odmalował na pociemniałej z gniewu, śniadej twarzy templariusza. W złości i pomieszeniu sięgnął drżącymi palcami do rękojeści miecza i

cofnął je, zapewne uświadomiwszy sobie, że nie może bezkarnie

dokonać aktu przemocy w tym miejscu i w takim towarzystwie.

Cedryk, który rządził się uczuciami prawymi i prostymi i rzadko myślał

o dwóch rzeczach naraz, przejęty radością na wieść o sławie swych

rodaków, nie zwrócił uwagi na gniewne pomieszenie gościa.

— Darując, pielgrzymie, ten złoty naramiennik — rzekł — jeno mi

powiedz, jak się zwą rycerze tak dobrze broniący sławy naszej pięknej

Anglii.

— Jużci, chętnie to uczynię — odparł pielgrzym — i za darmo,

ślubowałem bowiem, że do czasu nie wezmę złota do ręki.

— Tedy ja mogę, druhu pielgrzymie, miast ciebie przywdziać

naramiennik, jeśli przystaniesz na to — odezwał się Wamba.

— Pierwszy zarówno dostojnością, czynami wojennymi, jak i sławą

— rzekł pielgrzym — to dzielny Ryszard, król Anglii.

— Wybaczam mu więc — wtrącił Cedryk — że pochodzi z rodu tyrana,

księcia Wilhelma.

— Następny to grabia Leicester — ciągnął pielgrzym — a Tomasz

Multon z Gisland był trzecim z kolei.

— Ten przynajmniej jest ze krwi saksońskiej! — zawołał z radością

Cedryk.

— Czwartym był sir Foulk Doilly — wyliczał dalej pielgrzym.

— Także Saksończyk, choć po kądzieli — przerwał znowu Cedryk

śluchając w naprężeniu, zapominając częściowo przynajmniej, o swej

nienawiści do Normandów i ciesząc się tryumfem króla angielskiego i

jego wyspiarzy.

— *A kto był piątym?*

— *Sir Edwin Turneham.*

— *Prawdziwy Saksończyk, klnę się na duszę Hengista*!* — zawołał

Cedryk. — A szósty? — pytał dalej z ciekawością. — Jakie było imię szóstego?

**/ Hengist — wódz pierwszych najeźdźców germańskich, pochodzący z Jutlandii, który wraz ze swym bratem Horsą osiedlił się w Kencie; zmarł ok. 488 r.*

— *Szóstym — rzekł pielgrzym po krótkim milczeniu, jakby opanowując się — był pewien młody rycerz nie tak wielkiej sławy i nie tak wysoko postawiony; znalazł on się w tej zaszczytnej kompanii nie tyle ku pomocy, co dla zwiększenia jej liczebności. Nie pomnę już jego imienia.*

— *Pielgrzymie — rzekł hardo Brian de Bois-Guilbert — gdyś tyle spamiętał, nie uda ci się to umyślne zapomnienie. Sam powiem imię rycerza, któremu do zwycięstwa nade mną dopomogła jego szczęśliwa włócznia i potknięcie się mego wierzchowca: był to rycerz Ivanhoe; żaden z tych sześciu rycerzy nie cieszył się taką sławą wojenną jak on, choć był z nich najmłodszy. Chcę jednak powiedzieć głośno, że gdyby się znalazł w Anglii i chciał ponowić swe wyzwanie z Saint Jean d'Acree, gotów jestem na koniu, którego teraz dosiadam, i tak uzbrojony jak obecnie, udzielić mu wszelkich udogodnień w walce i czekać, jaki mnie los spotka.*

— *Wyzwanie to chętnie byłoby przyjęte — odparł pielgrzym — gdyby*

twój przeciwnik, rycerzu, znalazł się w pobliżu. Ale ninie nie zakłócaj spokoju tej sali przechwałkami o walce, która, jak wiesz dobrze, nie może mieć miejsca. Jeśli Ivanhoe powróci z Palestyny, ja będę gwarantem, że stanie ci, rycerzu!

— Dobre zapewnienie — rzekł rycerz. — Ajaki mi dasz zastaw?

— Ten oto relikwiarz — rzekł pielgrzym i przeżegnawszy się, wyjął z zanadrza małe puzderko ze słoniowej kości. — Zawiera on cząsteczkę prawdziwego Krzyża, przywiezioną z klasztoru na górze Karmel.

Opat z Jorvaulx przeżegnał się i zmówił „Ojcze nasz”, a wszyscy mu zawtórowali z wyjątkiem Żyda, mahometan i templariusza. Ten ostatni, nie obnażywszy głowy ani niczym nie okazawszy szacunku dla świętej relikwii, zdjął z szyi złoty łańcuch i rzucił go na stół, mówiąc:

— Niech opat Aymer raczy przechować mój zastaw oraz zastaw bezimiennego pątnika jako rękojmię, że gdy rycerz Ivanhoe stanie na brytyjskiej ziemi oblanej przez cztery morza, stawi się na wezwanie Briana de Bois-Guilbert. Gdyby tego nie uczynił, ogłoszę go tchórzem na murach wszystkich zamków templariuszy w Europie.

— Nie trza by mi było — odezwała się lady Rowena przerywając milczenie — głosu zabierać, gdyby ktoś inny ujął się w tej sali za nieobecny rycerzem Ivanhoe. Twierdzę, że bez ochyby stanie na każde uczciwe wyzwanie. Jeśli mój słaby głos miałby w jakiś sposób zwiększyć wagę drogiego zastawu bogobojnego pielgrzyma, gotowam ręczyć moim imieniem i dobrą sławą, że Ivanhoe stawi się na spotkanie, jakiego pragnie ten sławny rycerz.

Mnóstwo sprzecznych uczuć zdawało się miotać Cedrykiem i zmuszało go do milczenia w czasie tej sprzeczki. Radosna дума, gniew, zakłopotanie — kolejno przesuwały się po jego wysokim i otwartym czole, jak cień obłoków przepływa nad polem zboża; tymczasem jego domownicy, na których imię szóstego rycerza wywarło nieomal wstrząsające wrażenie, zawiśli wzrokiem na twarzy pana. Lecz gdy Rowena przemówiła, dźwięk jej głosu przerwał i jego milczenie.

— Pani — rzekł Cedryk — nie przystoi ci tak mówić. Jeśli potrzebne są jeszcze dalsze zapewnienia, ja, który czuję się obrażony, i słusznie, gotów jestem ręczyć mym honorem za honor rycerza Ivanhoe. Ale taka odpowiedź na wyzwanie jest chyba wystarczająca, nawet wedle dziwacznych wymagań rycerstwa normandzkiego. Nieprawdaż, wielebny opacie?

— Juści, że tak — odparł opat — a tę świętą relikwię i cenny łańcuch przechowa bezpiecznie skarbiec naszego klasztoru do chwili, gdy spór rozstrzygnie walka.

Mówiąc to, przeżegnał się raz po raz, kilkakrotnie przyklęknął i mrucząc modlitwy oddał relikwiarz bratu Ambrożemu, mnichowi ze swego orszaku, a sam bez żadnych ceremonii, ale z większym zapewne wewnętrznym zadowoleniem, ukrył złoty łańcuch w kieszeni podszytej perfumowaną skórą i umieszczonej pod ramieniem.

— Sir Cedryku — rzekł — ninie już w uszach naszych dźwięczą dzwony na niespór po twoim mocnym winie; pozwól nam jeszcze spełnić ostatni kielich za zdrowie lady Roweny, po czym udamy się na

spoczynek.

— Na święty krzyż bromholski! — wykrzyknął Saksończyk. — Gdzież twoja sława, opacie?! Prawią o tobie, żeś jest dzielnym mnichem i nie porzucisz szklanicy, póki nie zadzwonią na jutrznie. Chociem stary, bałem się, że mnie zawstydzisz. Wiera, za moich czasów dwunastoletni otrok saksoński nie wyrzekłby się tak wczesnie kielicha!

Opat miał jednak powody, dla których upierał się przy wstrzeźliwości.

Nie

tylko

był

zawodowym

mediatorem

zwaśnionych, ale i doświadczenie nauczyło go nienawidzić wszelkich sporów i burd. Nie postępował tak wyłącznie z miłości bliźniego czy też z dbałości o siebie, lecz z obu tych przyczyn razem. W danym wypadku instynktownie obawiał się gwałtowności Saksończyka i widział groźbę niebezpiecznego wybuchu, do jakiego może w końcu doprowadzić lekkomyślność i zarozumiałość templariusza. Opat napomknął więc zręcznie, że inne narody nie są w stanie dotrzymać kroku przy kielichu dzielnym Saksończykom, mającym niezwykle mocne głowy; wspomniał też coś mimochodem o swej duchownej sukience i zakończył naleganiem, by udać się na spoczynek.

Pożegnalny puchar obszedł zatem dokoła i goście, głęboko się

skłoniwszy przed gospodarzem i lady Roweną, powstali i zmieszali się z resztą uczujących; jednocześnie gospodarze wyszli ze swym orszakiem różnymi drzwiami.

— Czy udajesz się na turniej, niewierny psie? — zwrócił się templariusz do Żyda, gdy mijał go w tłumie.

— Taki mam zamiar — odparł Izaak klaniając się pokornie — jeśli to nie wadzi waszej wysokości.

*— Ach, tak! — rzekł rycerz. — Twoja chciwość pragnie wydusić ostatnią kroplę krwi z naszych wielmożów i okpić nasze niewiasty i młodzież na błyskotkach i klejnotach. Ręczę, że w swym żydowskim trzosie masz mnóstwo szekeli *. * Szekel — moneta złota używana wówczas przez Żydów.*

*— Ani jednego, ani srebrnego pensa, ani nawet pół pensa, Bóg Abrahama jest mi świadkiem — bronił się Żyd składając ręce. — Jadę prosić braci z mojego pokolenia, aby mi mogli opłacić podatek, jaki na mnie nałożyła Izba Skarbowa dla Żydów **. Oby patriarcha Jakub mi dopomógł! Jestem nędzarzem: nawet tę opończę pożyczyłem od Rubena z Tadcaster.*

***/ W owych czasach istniał specjalny urząd skarbowy dla Żydów, ściągający z nich ogromne podatki.*

Templariusz uśmiechnął się kwaśno.

— Niech cię lichy porwie, ty przewrotny kłamco! — powiedział i przeszedłszy mimo, jak gdyby zaznaczając, że gardzi dalszą rozmową, zagadnął swych muzułmańskich niewolników w języku niezrozumiałym

dla otoczenia.

Biedny Żyd zdawał się tak wstrząśnięty rozmową z templariuszem, że dopiero gdy ten doszedł do końca sali, ośmielił się podnieść pokornie opuszczoną głowę, by przekonać się, że rycerza już nie ma. A gdy się rozglądał, miał tak osłupiałe spojrzenie, jak gdyby słyszał jeszcze grzmot piorunu, który padł u jego stóp.

Wkrótce potem burgrabia i podczaszcy odprowadzili templariusza i opata do sypialni. Towarzyszyli im dwaj słudzy z pochodniami i dwaj inni niosący chłodzące napoje; skromniejsi pacholtkowie wskazali noclegi świcie dostojników i innym gościom.

VI

Za jego względy tę daję przysługę.

Przyjmie ją — dobrze, a nie — do widzenia!

Tylko nie krzywdźcie mię za moją miłość.

W. SZEKSPIR: Kupiec wenecki

Gdy pielgrzym, któremu drogę oświecał sługa z pochodnią, szedł przez szeregi komnat o zawitym rozkładzie, tworzących to ogromne, nieregularne domostwo, podczaszcy zbliżył się do niego od tyłu i szepnął mu do ucha, że jeśli chce, może u niego wypić czarkę dobrego miodu, a wielu domowników chętnie posłucha wieści z Ziemi Świętej, szczególnie tyczących się rycerza Ivanhoe. Wamba zjawił się także i powtórzywszy tę samą prośbę zauważył, że czarka miodu po północy warta jest trzech wypitych wieczorem. Nie wątpiąc w prawdę tej maksymy, wypowiedzianej przez taki autorytet, pielgrzym podziękował obu

dworzanom za ich uprzejmość, lecz oświadczył, że ślubował także nigdy nie rozmawiać w kuchni o sprawach, których nie wolno roztrząsać na pokojach.

— Ślub taki — rzekł Wamba do podczaszego — nie mógłby wiązać sługi. Podczaszy z niezadowoleniem wzruszył ramionami.

— Chciałem go umieścić w widnej izbie — rzekł — ale gdy się nie chce zadawać z chrześcijanami, będzie spał w budzie obok Izaaka Żyda.

Anwoldzie — zwrócił się do pacholka niosącego pochodnię — zaprowadź pielgrzyma do południowej izdebki. Dobranoc, pielgrzymie, nie dziękuję ci, boś pogardził moją uprzejmością.

— Dobranoc i niech Najświętsza Panienska ma cię w swej opiece — odparł pielgrzym spokojnie; jego przewodnik ruszył naprzód.

W niewielkiej sionce, na którą wychodziło kilkoro drzwi, oświetlonej małą, żelazną lampką, zatrzymała ich nowa przeszkoda: dworka Roweny. Powiedziawszy rozkazującym tonem, że jej pani pragnie pomówić z pielgrzymem, odebrała pochodnię z rąk Anwolda i poleciwszy mu czekać na jej powrót, skinęła na pielgrzyma, by szedł za nią. Ten uważał widać, że nie powinien odpowiedzieć odmownie na zaproszenie, jak to uczynił poprzednio, bo choć wezwanie przyjął ze zdziwieniem, usłuchał dworki, nic nie odpowiadając ani się wymawiając.

Do komnaty lady Roweny prowadził krótki korytarz i siedem stopni zrobionych z grubych, dębowych bali. Przepych tej izby odpowiadał poważaniu, z jakim pan domu odnosił się do swej wychowanicy. Ściany

pokrywały

obicia,

na

których

wyhaftowano

jedwabiami,

przeplatanymi złotymi i srebrnymi niciami, sceny z łowów i polowania z

sokołami z taką umiejętnością, na jaką ówczesna sztuka umiała się

zdobyć. Łoże pokryte było również bogatą tkaniną, a zasłaniały je

kotary ufarbowane na kolor purpurowy. Stołki miały również kolorowe

pokrycia, a przed jednym, wyższym od innych, stał stołeczek pod nogi

misternie rzeźbiony w kości słoniowej. Komnatę oświetlały aż cztery

srebrne lichterze z osadzonymi w nich wielkimi, woskowymi świecami.

Ale niech terażniejsze piękności nie zazdroszczą przepychu, w jakim żyła

saksońska księżniczka! Ściany jej komnaty były tak źle wyprawione i

tak pełne szpar, że bogate obicia poruszały się od podmuchów nocnego

wiatru i pomimo zasłony, która miała ochraniać świece, płomień ich

falował jak rozwinięty sztandar wodza. Panował tu przepych nie

pozbawiony nawet smaku, ale nie było wygod; ponieważ jednak prawie

ich wówczas nie znano, nikomu ich nie brakowało.

Trzy służebne stały za lady Roweną, rozczesując jej włosy przed

spoczynkiem, ona sama zaś siedziała na wzmiankowanym poprzednio

tronie. Zdawała się urodzona do odbierania od wszystkich hołdów,

toteż pielgrzym, w uznaniu tego prawa, przyklęknął przed młodą

dziewczyną.

— Powstań, pielgrzymie — rzekła Rowena łaskawie. — Obrońca.

nieobecnego ma prawo do życzliwego przyjęcia u tych, którzy cenią wierność i szanują odwagę.

Po czym zwróciwszy się do swych dworek, dodała:

— Odejdźcie wszystkie z wyjątkiem Elgity. Chcę pomówić z tym bogobożnym pielgrzymem.

Dziewczęta nie wyszły z komnaty, lecz usunęły się w najdalszy jej kąt, gdzie na niskiej ławeczce pod ścianą siedziały milcząc jak posągi, choć w tej odległości ich szept nie mógłby przeszkadzać pani w rozmowie.

— Pielgrzymie — rzekła lady Rowena po chwili milczenia, w czasie której zdawała się wahać, jak ma się do niego zwrócić — dziś wieczór wspomniałeś pewne imię. Mam na myśli — dodała jak gdyby z wysiłkiem — imię rycerza Ivanhoe. Wspomniałeś je w sali, gdzie pochodzenie i pokrewieństwo rycerza powinno mu było wyjednać dobre przyjęcie; tymczasem srogi los sprawił, że wśród wielu serc, które bez ochyby żywiej zabiły na dźwięk tego imienia, ja jedna tylko ośmielałam się zapytać, gdzie i w jakich okolicznościach pozostawiłeś tego, czyje imię wymieniłeś. Słyszeliśmy, że choroba zatrzymała go w Palestynie, a po odejściu angielskich rycerzy cierpiał prześladowania ze strony francuskiego stronnictwa, wiadomo zaś, że templariusze są z tym stronnictwem związani.

— Niewiele wiem o rycerzu Ivanhoe — odparł pielgrzym zmieszany. —

Żałuję, że nie znam go bliżej, skoro cię, pani, tak jego los obchodzi.

Ponoć dał sobie radę ze wszystkimi nieprzyjaciółmi w Palestynie i zbierał się spiesźnie w podróż powrotną do Anglii, a ty, pani, wiesz zapewne lepiej ode mnie, czy zdoła tu osiągnąć szczęście.

Lady Rowena westchnęła głęboko i zaczęła rozpytywać, kiedy można się spodziewać powrotu rycerza Ivanhoe do ojczystego kraju i czy nie grożą mu w drodze wielkie niebezpieczeństwa. Na pierwsze pytanie pielgrzym nie umiał dać odpowiedzi, a na drugie odparł, że podróż przez Wenecję i Genuę jest zupełnie bezpieczna, a także dalej przez Francję aż do Anglii.

— Ivanhoe — dodał — tak dobrze zna język i obyczaje francuskie, że nie ma obawy, by w czasie tej części podróży groziło mu jakieś niebezpieczeństwo.

— Dałby Bóg — rzekła lady Rowena — by dojechał tu szczęśliwie i mógł wziąć udział w zbliżającym się turnieju, w którym rycerstwo Anglii ma dowieść swej zręczności i męstwa. Jeżeli Athelstan z Coningsburgha uzyska pierwszeństwo, niepomyślne wieści powitają rycerza Ivanhoe w Anglii. Jakże wyglądał, cudzoziemcze, gdyś go po raz ostatni widział? Czy choroba nadwątlila jego siły i czy go zmieniła?

— Był bardziej ogorzały — odparł pielgrzym — i chudszy niż wówczas, gdy przybył z Cypru w orszaku Ryszarda Lwie Serce, a troska widniała na jego czole; alem nie widział go z bliska, bom nie jest mu znany.

— Lękam się — powiedziała lady Rowena — że w kraju rodzinnym chmury te się nie rozproszą. Dziękuję ci, pielgrzymie, za wieści o mym towarzyszu lat dziecinnych. Dziewczęta — rzekła — zbliżcie się i

podajcie temu świętemu mężowi ostatni przed snem kielich wina. Nie chcę mu dłużej przeszkadzać w spoczynku.

Jedna z dziewcząt przyniosła srebrny kubek zawierający mocne wino zaprawne korzeniami. Rowena dotknęła tylko napoju wargami, po czym podano go pielgrzymowi, który skłoniwszy się nisko, wypił kilka kropli.

— Przyjmij, przyjacielu, tę jałmużnę — ciągnęła lady Rowena ofiarowując mu sztukę złota — w nagrodę za twoje trudy i dla uczczenia świętych miejsc, które odwiedziłeś.

Pielgrzym przyjął dar, ponownie skłonił się nisko i opuścił z Elgitą komnatę.

W przedsiionku zastał swego przewodnika Anwolda, który wzięwszy pochodnię z rąk dworki, poprowadził go z większym pośpiechem niż szacunkiem do zewnętrznej, podlejszej części budynku, gdzie znajdował się szereg izb, a raczej izdebek służących za sypialnie podrzędniejszej służbie oraz skromniejszym podróżnym.

— W której z tych izb nocuje Żyd? — zapytał pielgrzym. — Kleć tego niewiernego psa — odparł Anwold — jest obok alkierza waszej świątobliwości. Święty Dunstanie, jakże trza będzie skrobać i szorować tę izbę, zanim będzie mógł znów w niej zamieszkać chrześcijanin!

— A gdzie mieszka Gurt, świniarek? — pytał dalej obcy.

— Kwatera Gurta — odparł sługa — jest po prawej stronie twojej izby, a Żyd nocuje po lewej. Odgradzasz obrzezanego od człeka, który budzi wstręt w jego pleminiu. Byłbyś miał godniejszy nocleg, gdybyś był

przyjął zaproszenie Oswalda.

— Nic złego się nie stało — rzekł pielgrzym. — Towarzystwo Żyda nie może splamić nikogo poprzez przegrodę z dębowych desek.

Mówiąc to, wszedł do przeznaczonej mu izby, a wzięwszy z rąk służki pochodnię, podziękował mu i życzył dobrej nocy. Zamknąwszy drzwi, umieścił pochodnię w drewnianym lichtarzu i rozejrzał się po swej sypialni, której umeblowanie było niesłychanie proste. Składało się ze zwykłego drewnianego stołka i jeszcze prostszego łóża wystanego czystą słomą oraz paroma owczymi skórami.

Pielgrzym zgasiwszy pochodnię padł nie rozbierając się na to proste postanie i spał czy też spoczywał leżąc aż do chwili, gdy pierwsze promienie słońca przeniknęły przez okratowane okienko, przez które przedostawało się do ciasnej izdebki powietrze i światło. Wstał wówczas, odmówił poranne modlitwy, poprawił na sobie odzież i wszedł do izby Izaaka, ostrożnie odsunąwszy ciężki skobel.

Mieszkaniec jej, pogrążony w niespokojnym śnie, leżał na takim samym postaniu, na jakim pielgrzym przepędził noc. Te części ubrania, które zdjął poprzedniego wieczoru, Żyd położył koło siebie, jak gdyby obawiał się, że mu je ktoś zabierze podczas snu. Na czole jego widniało takie zatroskanie, że należałoby je raczej nazwać rozpaczą. Jego dłonie i ramiona poruszały się konwulsyjnie, jakby walczył ze zmorą. Pomiędzy kilku hebrajskimi okrzykami następujące słowa, wymówione w miejscowym języku normandzko-angielskim, dały się wyraźnie słyszeć:

— W imię Boga Abrahama, ulituj się nad nieszczęśliwym starcem!

Jestem biedny i bez grosza; choćbyście mnie posiekali na kawałki, nic wam dać nie mogę!

Pielgrzym nie czekał na koniec koszmaru Żyda, lecz dotknął go swą laską. Dotknięcie to widać, jak to zazwyczaj bywa, starzec skojarzył z lękiem, jaki przeżywał we śnie, gdyż zerwał się i włosy nieomal zjeżyły mu się na głowie. Przygarnąwszy do siebie części swego odzienia, chwycił je w dłonie, jak jastrząb zdobycz w szpony, i utkwił w pielgrzymie przenikliwe, czarne oczy, pełne zdumienia i przest్రachu.

— Nie lękaj się mnie, Izaaku — rzekł pielgrzym. — Przybywam jako przyjaciel.

— Niech Bóg Izraela cię wynagrodzi — z ulgą odparł Żyd. — Śniłem... ale dzięki Bogu był to tylko sen! — Po chwili, przyszedłszy do siebie, dodał zwykłym tonem: — Ale czego pragniesz od biednego Żyda o tak wczesnej porze?

— Przeszedłem, by ci powiedzieć — rzekł pielgrzym — że trza ci uchodzić z tego domu nie zwlekając; jeśli się nie pośpieszysz, snadnie spotka cię coś złego w drodze.

— Święty Boże! — zawołał Żyd. — Któż może nastawać na takiego nędzarza jak ja?

— Przyczynę sam najłatwiej odgadniesz — odparł pielgrzym — lecz uwierzysz mi, gdy ci powiem, że kiedy wczoraj wieczór templariusz szedł przez salę, polecił swym muzułmańskim niewolnikom po saraceńsku, który to język dobrze rozumiem, aby dopilnowali odjazdu Żyda i napadli na niego w pewnej odległości od tej siedziby, po czym

powiedli go do zamku Filipa de Malvisin lub Reginalda Bawolego Łba.

Nie sposób opisać przerażenia, jakie ogarnęło Żyda na tę wiadomość:

zdawało się, że sparaliżowała ona wszystkie jego zmysły. Ramiona opadły mu wzdłuż ciała, głowę spuścił na piersi, nogi ugięły się pod jego ciężarem, wszystkie ścięgna i mięśnie w jego ciele nagle zwiotczały i straciły swą moc. Osunął się do stóp pielgrzyma nie tak jak człowiek, który dobrowolnie pochyla się, klęka czy pada do nóg, by wzbudzić litość, lecz jak gdyby go osaczyła zewsząd jakaś niewidzialna potęga i niezdolnego do oporu powaliła na ziemię.

— Boże Abrahama! — był to pierwszy okrzyk; jaki wydał składając i wznosząc do góry swe pomarszczone dłonie, nie odrywając jednak głowy od podłogi. — O wielki Mojżeszu! O błogosławiony Aaronie! Nie na próżno śniłem i niepłonne były me widzenia! Czuję już żelazo w moim ciele. Czuję, jak ciało moje torturują na kole, podobnie jak piły, brony i siekiery znęcają się nad ludźmi Rabbah i nad grodami dzieci Ammona!

— Wstań, Izaaku, i posłuchaj mnie — rzekł pielgrzym, który patrzył na ten wybuch rozpaczony ze współczuciem zmieszany z pogardą. —

Słuszna jest twa obawa, zważywszy, jak z twymi braćmi obchodzili się książęta i wielmoże chcąc im wydrzeć ich skarby; powiadam ci jednak:

powstań, a wskażę ci środki ocalenia. Uchodź bez zwłoki, póki

mieszkańcy tego domu uspieni są głęboko po wczorajszej biesiadzie.

Przeprowadzę cię tajnymi ścieżkami przez las. Znam go równie dobrze

jak sprawujący nad nim pieczę leśnicy i nie poniecham cię, póki nie

*oddam pod pewną opiekę jakiegoś możnowładcy lub barona
zdążającego na turniej, a którego przychylność możesz zapewne sobie
kupić.*

*Gdy do uszu Izaaka doszły słowa niosące nadzieję ocalenia, zaczął
stopniowo podnosić się z ziemi. Wreszcie, znalazłszy się na kolanach, z
rozwianymi długimi, siwymi włosami i brodą, utkwił przenikliwie,
czarne oczy w twarzy pielgrzyma z wyrazem jednocześnie nadziei i
lęku, nie pozbawionego podejrzliwości. Ale gdy usłyszał ostatnie zdanie,
jego poprzednie obawy wróciły ze wzmożoną siłą i padł znów na twarz,
wołając:*

*— Jakże mam sobie zapewnić ową przychylność? Gorze! Jedna jest
tylko droga do zjednania sobie pomocy chrześcijan, a co uczyni biedny
Żyd, którego zdzierstwo doprowadziło do nędzy Łazarza? — I nagle, jak
gdyby nieufność wzięła górę nad wszystkimi innymi jego uczuciami,
zawołał: — Zaklinam cię, młodzieńcze, w imię Boga, nie wydaj mnie! W
imię Wszechmocnego Ojca nas wszystkich, zarówno Żydów, jak i
niewiernych, zarówno Izraelitów, jak i potomków Izmaela*, nie zdradź
mnie! Nie mam czym kupić przychylności nawet chrześcijańskiego
żebraka, choćby zażądał za nią tylko jednego grosza.*

**Izmael — syn Abrahama i Hagar, legendarny praojciec nieżydowskiej
ludności Palestyny.*

*Wymawiając te słowa dźwignął się i chwycił pielgrzyma za płaszcz z
błagalnym wyrazem twarzy. Pielgrzym uwolnił się od niego, jak gdyby
się bał pokalać tym dotknięciem.*

— Gdybyś nawet posiadał wszystkie skarby twego plemienia — rzekł — dlaczego bym miał cię skrzywdzić? Ślubem ubóstwa wiąże mnie ta szata, a pomieniałbym ją tylko na konia i kolczugę. Nie myśl, że dbam o twoje towarzystwo lub że liczę na jakąś stąd korzyść; ostań tu, jeśli chcesz, może Cedryk Sakson cię obroni.

— Niestety! — odparł Żyd. — Nie zezwolił mi przyłączyć się w podróży do swego orszaku. Saksończycy i Normandowie jednako się wstydzą biednego Izraelity, a jakże mógłbym sam przebyć ziemię Filipa de Malvoisin i Reginalda Bawolego Łba? Zacny młodzieńcze, pójdę z tobą! Spieszmy więc, przyodziejmy się i uciekajmy! Oto twój kij, czemu zwlekasz?

— Nie zwlekam — rzekł pielgrzym, posłuszny naleganiom Izaaka — ale muszę obmyślić sposoby ucieczki; chodź za mną.

I poprowadził go do sąsiedniej izdebki, którą, jak wiadomo czytelnikowi, zajmował świniarek Gurt.

— Wstań, Gurcie — rzekł pielgrzym — śpiesz się! Idź, rozewrzyj nam tylne wrota i wypuść Żyda i mnie.

Zajęcie Gurta, obecnie tak mało cenione, w saksońskiej Anglii stawiało go równie wysoko w hierarchii społecznej, jak Eumeusa w Itace; obraził go więc poufały i rozkazujący ton pielgrzyma.

— Żyd opuszcza Rotherwood — odparł podnosząc się na łokciu, spoglądając podejrzliwie na starca i nie ruszając się ze swej pryczy — a z nim razem pielgrzym...

— Uwierzyłbym snadniej — dodał Wamba, który w tej chwili wszedł do

izby — że ucieknie z kawałkiem wieprzowiny.

— Wždy — odparł Gurt opierając znów głowę na drewnianym klocku służącym mu za poduszkę — porówno Żyd, jak chrześcijanin muszą poprosić, by im odemknęto wielką bramę; nie lza zezwolić, by nasi goście uchodzili potajemnie tylnym wyjściem o tej porze.

— Mniemam jednakowoż — rzekł pielgrzym rozkazującym tonem — że mi nie odmówisz.

Mówiąc to, pochylił się nad spoczywającym na łożu świniarkiem i szepnął mu coś do ucha po saksońsku. Gurt zerwał się podniecony, a pielgrzym, podniósłszy ostrzegawczo palec do góry, dodał:

— Strzeż się, Gurcie; musisz być ostrożny. Powtarzam: otwórz furtkę. Rychło dowiesz się więcej.

Gurt usłuchał pośpiesznie, a Wamba i Żyd, idąc za nim, dziwili się zmianie w jego zachowaniu.

— Mój muł, mój muł! — zawołał Żyd, zaledwie znaleźli się za furtką.

— Przyprowadź jego muła — rozkazał pielgrzym. — I... posłuchaj!

Przyprowadź jeszcze drugiego, bym mógł mu towarzyszyć, dopóki nie wydostanie się z tej okolicy. Oddam go bez ochyby któremuś z pachółków Cedryka w Ashby. I słuchaj... — resztę wyszeptał do ucha Gurtowi.

— Chętnie, chętnie to uczynię — odrzekł Gurt i ruszył, by wypełnić polecenie.

— Rad bym wiedzieć — rzekł Wamba, gdy jego kamrat odwrócił się plecami — czego wy, pielgrzymi, uczycie się w Ziemi Świętej?

— Uczymy się modlić, błażnie — odparł pielgrzym — żałować za grzechy i umartwiać się postami, czuwaniem i długimi modlitwami.

— Oraz innych, bardziej pomocnych rzeczy — odpowiedział wesolek. —

Czyż pokuta albo modlitwa zmusiłaby Gurta do grzeczności, a post i czuwanie — do pożyczania ci muła? Myślę, że gdybyś jego ulubionemu czarnemu knurowi opowiedział o swych wigiliach* i pokucie, usłyszałbyś równie grzeczną odpowiedź.

*/ Wigilie — dni poprzedzające uroczyste święta; ludzie pobożni spędzali je na modlitwie i umartwieniach.

— Daj spokój — rzekł pielgrzym. — Saksoński błazen z ciebie.

— Słusznieś rzekł — odparł Wamba. — Gdybym się był urodził Normandem, którym zapewne ty jesteś, szczęście by mi dopisywało i brano by mnie wszędy za mędrca.

W tej samej chwili po drugiej stronie fosy ukazał się Gurt z mułami.

Podróżni przeszli nad rowem przez zwodzony most, składający się tylko z dwóch desek, odpowiadający szerokością wąskiej tylnej bramie i małej furtce w zewnętrznej palisadzie, wychodzącej wprost do lasu.

Zaledwie stanęli przy mułach, Żyd drżącymi z pośpiechu rękami przymocował z tyłu za siodłem mały woreczek z niebieskiego płótna, który wydobyl spod szat, a zawierający, jak wymamrotał, „odzież na zmianę — tylko odzież i nic więcej”. Po czym dosiadł muła, zwinniej i szybciej, niż można się było spodziewać sądząc po jego wieku, i czym prędzej rozłożył tak fałdy swej oponczy, by ukryć przed wzrokiem ciekawych tobolek, który umieścił za siodłem.

Pielgrzym dosiadł wierzchowca z mniejszym pośpiechem, a odjeżdżając podał Gurtowi rękę, którą ten pocałował z największym szacunkiem. Świniarek stał patrząc za podróżnymi, póki nie znikli na ścieżce za podszyciem lasu, gdy zbudził go z zadumy głos Wamby.

— Czemuż to, mój przyjacielu — rzekł błazen — jesteś tego letniego poranka tak dziwnie uprzejmy i niezwykle pobożny? Chciałbym być opatem benedyktynów lub bosonogim pielgrzymem, by wykorzystać twoją niezwykłą gorliwość i dworność; pewnie zyskałbym na tym więcej niż jeno pocałowanie w rękę.

— Nie takiś głupi, Wambo — odparł Gurt — choć sądzisz z pozorów, bo nawet najmądrzejszy niezdolen uczynić nic innego. Ale czas zadbać o moją trzodę.

Mówiąc to, skierował się wraz z błaznem ku domowi.

A tymczasem nasi podróżni dążyli naprzód z pośpiechem, który dowodził, jak wielki był strach Żyda, gdyż ludzie w jego wieku zazwyczaj niezbyt lubią tak szybko podróżować. Pielgrzym, który zdawał się znać wszystkie drożyny i przejścia w puszczy, wiódł go poprzez najgorsze bezdroża i nieraz na nowo budził u Izraelity podejrzenia, że ma zamiar zaprowadzić go w zasadzkę.

Trzeba wybaczyć starcowi tę podejrzliwość, gdyż z wyjątkiem może latających ryb nie było takiego gatunku stworzeń na świecie, w powietrzu lub w wodzie, który by podlegał tak stałemu, powszechnemu i nieustającemu prześladowaniu jak Żydzi w owych czasach.

Wystarczył najbliższy i najgłupszy powód lub najbardziej

nieprawdopodobne i bezpodstawne oskarżenie, by ich osoby i mienie narazić na gniew ludu. Bowiem Normandowie, Saksończycy, Duńczycy i Brytyjczycy, choć wrogo do siebie usposobieni, współzawodniczyli między sobą w nienawiści do narodu, którego nienawidzić, lżyć, poniżać, rabować, prześladować uważane było za zasługę religijną. Królowie normandzcy i niezależni wielmoże, którzy naśladowali ich despotyzm, prześladowali jednak ten wyklęty naród najbardziej systematycznie, z wyrachowaniem i z myślą o własnej korzyści.

Gdy tak podróżni przedzierali się przez manowce leśne, pielgrzym wreszcie przerwał milczenie.

— Ten potężny, spróchniały dąb — rzekł — stanowi granicę włości, do których rości sobie prawa Bawoli Łeb, a daleko już jesteśmy od dóbr Filipa de Malvoisin. Nie trza się nam teraz obawiać pogoni.

— Niechby połamali koła u wozów — odezwał się Żyd — jak ongiś w wojsku faraona! Nie opuszczaj mnie jednak, dobry pątniku! Pomnij na okrutnego i dzikiego templariusza i jego saraceńskich niewolników; nie będzie on baczył, ani na czyjej jest ziemi, ani w czyim dworzyszczu, ani u jakiego pana...

— Nasze drogi muszą się tu rozejść — rzekł pielgrzym. — Iście nie przystoi, by ludzie tak odmienni jak ty i ja podróżowali razem dłużej, niż to jest konieczne. Jaką zresztą pomoc mógłbym ci dać, ja, spokojny pątnik, przeciw dwóm uzbrojonym poganom?

— O szlachetny młodzieńcze! — odparł Żyd. — Możesz mnie obronić i pewien jestem, iżbyś to uczynił. A ja, chociażem biedny,

wynagrodziłbym cię za to, nie pieniędzmi, bo ich nie mam, biorę na świadka praojca Abrahama, lecz...

— Rzekłem już — przerwał mu pielgrzym — że nie żądam od ciebie ani pieniędzy, ani nagrody. Mogę cię podprowadzić, a nawet w razie potrzeby cię bronić, gdyż dla chrześcijanina nie jest chyba rzeczą zdrożną osłaniać Żyda przed Saracenenem. Ale ninie oddam cię pod dobrą opiekę. Jesteśmy niedaleko Sheffield, gdzie nietrudno ci będzie znaleźć schronienie u któregoś z twych współbraci.

— Niech spłynie na ciebie błogosławieństwo Jakuba, cny młodzieńcze!

— powiedział Żyd. — W Sheffield mogę się schronić u mego krewniaka Zareta i poszukam sposobności, by dalej móc podróżować bezpiecznie.

— Niechaj tak będzie — rzekł pielgrzym. — Rozstaniemy się tedy w Sheffield. Jeszcze tylko pół godziny drogi, a ujrzymy to miasto.

Te pół godziny upłynęło w zupełnym milczeniu: pielgrzym gardził zapewne rozmową z Żydem bez koniecznej potrzeby, a Żyd nie śmiał wszczynać rozmowy z kimś, komu pielgrzymka do Grobu Chrystusa nadała piętno świętości.

Kiedy zatrzymali się na niewielkim wzniesieniu, pielgrzym wskazując na miasto Sheffield, leżące pod nimi, powtórzył:

— Ninie rozejdziemy się.

— Wprzódę wysłuchaj podziękowania biednego Żyda — powiedział

Izaak — nie śmiałbym bowiem prosić cię, abyś wstąpił ze mną do mego krewniaka Zareta, choć on mógłby mi pomóc wynagrodzić cię za twoją dobroć.

— *Przecz rzekłem ci — odparł pielgrzym — że nie pragnę zapłaty. Ale jeśli wśród długiej listy twych dłużników, pomnąc o mnie, zechcesz oszczędzić jakiemuś nieszczęsnemu chrześcijaninowi kajdan i więzienia, hojnie mi wynagrodzisz przysługę oddaną ci dziś rano.*

— *Zaczekaj, zaczekaj!* — zawołał Żyd przytrzymując go za odzież. —

Chciałbym coś więcej uczynić, coś dla ciebie samego. Bóg jeden wie, jakim jestem nędzarzem... tak, Izaak jest żebrakiem w swym narodzie.

Lecz czy mi wybaczysz, jeśli odgadnę, czego ci braknie?

— *Gdyby nawet udało ci się to odgadnąć — powiedział pielgrzym — nie zdołasz mi tego dostarczyć, gdybyś nawet był tak bogaty, jak udajesz biednego.*

— *Ja udaję biednego!* — powtórzył Żyd. — *Wierzaj mi, szczerą to prawda, jestem ograbiony, zadłużony i w nędzy. Okrutne ręce obdarły mnie z towarów, pieniędzy, statków i wszystkiego, co posiadałem. Mogę jednak powiedzieć, czego ci brak, i może zdołam ci tego dostarczyć.*

Pragniesz mieć konia i zbroję.

Pielgrzym drgnął i zwrócił się gwałtownie do Żyda.

— *Jakiż diabeł podsunął ci tę myśl?* — zapytał porywczo.

— *Mniejsza z tym — odparł Izaak uśmiechając się. — Ale to prawda. I tak jak odgadłem twe życzenie, mogę je też spełnić.*

— *Zważ jednak — powiedział pielgrzym — na mą pąć, na mą suknię, na mój ślub...*

— *Znam was, chrześcijanie — przerwał mu Żyd — i wiem, że najszlachetniejsi spośród was biorą kij i sandały, by wedle waszych*

przesądów pokutować i wędrować do grobów umarłych.

— Nie bluźnij, Żydzie! — zawołał groźnie pielgrzym.

— Wybacz — ciągnął Izaak — wyraziłem się zbyt pochopnie. Lecz wczoraj wieczór i dzisiaj rano wymknęły ci się słowa, które były jak iskra wykrzesana z krzemienia, zdradzająca kruszec w nim zawarty, a ta suknia pielgrzymia kryje rycerski łańcuch i złote ostrogi. Blask ich dojrzałem, gdyś się pochylał dziś rano nad moim posłaniem.

Pielgrzym nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Gdyby twoją odzież, Izaaku, równie ciekawe oko mogło przeszukać — rzekł — nie wiadomo, co by pod nią odkryło.

— Dość już o tym — przerwał Żyd mieniąc się na twarzy.

Wyciągnął przybory do pisania i zaczął pisać nie zsiadając z muła, oparłszy papier na swej żółtej czapce. Gdy skończył, oddał pielgrzymowi zwitek zapisany hebrajskim pismem i rzekł:

— Cały gród Leicester zna bogatego Żyda, Kiriatha Jairama z Lombardii. Oddaj mu to pismo. Ma on na sprzedaż sześć mediolańskich zbroi, a najpodlejsza z nich byłaby jeszcze dość dobra dla koronowanej głowy. Ma też dziesięć pięknych rumaków, z których najgorszy godny jest króla wyruszającego na bój o swój tron. Możesz sobie jednego z nich wybrać oraz wszystko to, co ci będzie potrzebne na turniej, a po turnieju oddasz mu to wiernie... chyba że będziesz wtedy w możności zapłacić za wszystko.

— Ależ, Izaaku! Czyż nie wiesz, że na turnieju zbroja i koń zwyciężonego rycerza należą do zwycięzcy? Może mi się nie powiedzie i wtedy stracę

to, czego nie będę mógł ani zastąpić, ani odkupić.

Zdawało się, że Żyda zaskoczyła ta możliwość, ale zebrawszy na odwagę, odparł skwapliwie:

— Nie, nie, nie! To być nie może. Nie chcę tego przypuszczać. Bóg ci pobłogosławi. Twoja kopia będzie miała moc laski Mojżesza.

Mówiąc to, skierował muła w bok, ale z kolei pielgrzym przytrzymał go za opończę.

— Nie, Izaaku, nie wiesz jeszcze wszystkiego, co cię czeka. Koń może paść, a zbroja może zostać uszkodzona, bo nie myślę oszczędzać konia ani siebie. Wreszcie w waszym narodzie nikt nic nie daje za darmo, trzeba więc będzie zapłacić za ich użycie.

Żyd wił się na siodle, jakby go kolki schwyciły, ale lepsze skłonności wzięły górę nad zwykłym jego usposobieniem.

— Nie dbam o to, nie dbam o to! Daj mi odjechać. Jeśli będzie jaka szkoda, to nic za nią nie zapłacisz; jeśli będzie chodziło o pieniądze, Kiriath Jairam nie upomni się o nie ze względu na swego krewnego Izaaka. Bywaj zdrów! Posłuchaj jeszcze, cny młodzieńcze — dodał odwracając się. — Nie narażaj się niepotrzebnie w tumultie walki. Nie mówię tu o koniu i zbroi, lecz oszczędzaj swe życie.

— Dzięki za ostrzeżenie — odparł pielgrzym uśmiechając się znowu. — Skorzystam z twej wspaniałomyślności i chyba bardzo źle by ze mną było, gdybym nie zdołał cię wynagrodzić.

Rozstali się i każdy z nich inną drogą udał się do Sheffield.

Z liczną giermków gromadą wjeżdżają rycerze

We wspaniałych zbroicach. Lśnią w słońcu pancerze,

Jeden giermek hełm trzyma, drugi kopii drzewo,

A trzeci niesie tarczę, co łyska polewą.

Rumak grzebie murawę nogą niecierpliwą,

Gryzie złote wędzidło i potrząsa grzywą.

Z tyłu kowal i płatnerz kolebią się w siodłach,

W ręku młotek i pilnik — zawodu ich godła

— Gwoździe, by spoić kopię roztrzaskaną w starciach,

I rzemień, gdy z ramienia osunie się tarcza.

Przy ulicach trabanci rzędami przy koniach

I tłum ciekawych chłopków z palicami w dłoniach.

J. DRYDEN: Palamon i Arcyta

W owym czasie naród angielski znajdował się w ciężkim położeniu. Król

Ryszard był nieobecny, miał go bowiem w swej mocy zdradliwy i

okrutny arcyksiążę austriacki. Nie wiadano nawet na pewno, gdzie go

uwięziono, a los jego był nie znany większości poddanych, którzy

tymczasem jęczeli pod uciskiem wielmożów.

Księżę Jan/, w zмовie z Filipem, królem francuskim, śmiertelnym*

wrogiem Ryszarda Lwie Serce, używał wszelkich wpływów na

arcyksięcia austriackiego dla przedłużenia niewoli brata, choć tak wiele

*mu zawdzięczał. */Księżę Jan — najmłodszy brat króla Ryszarda Lwie*

Serce, zwany Janem bez Ziemi (1167—1216).

Tymczasem wzmacniał w Anglii swoje stronnictwo, a w razie śmierci

króla postanowił nie dopuścić do tronu prawego spadkobiercy, Artura

księcia Bretanii, syna swego starszego brata Gotfryda Plantageneta.

Wiadomo, że później zdołał sobie tron przywłaszczyć. Lekkomyślny,

rozpustny i zdradliwy Jan łatwo przywiązał do swej osoby i

stronnictwa nie tylko tych, którzy obawiali się, aby postępowanie ich

podczas nieobecności Ryszarda nie ściągnęło na nich jego gniewu, ale

nadto mnóstwo śmiałków nie uznających żadnych praw, którzy

powracając z wypraw krzyżowych do kraju, przynieśli doń wszelkie

występki Wschodu. Ogołoceni z dóbr, z zatwardziałymi sercami, żywili

nadzieję, że obłowią się w czasie zamieszek wewnętrznych.

Do tych wszystkich publicznych nieszczęść i niedoli trzeba jeszcze dodać

zbiegłych chłopów, którzy doprowadzeni do rozpaczki przez ucisk

feudalnych panów i surowe prawa leśne zbierali się w liczne bandy i

opanowawszy lasy i pustkowia, drwili sobie z sądów i urzędów

krajowych. Wielmoże zaś, siedzący w obronnych zamkach i grający rolę

królewiat w swych włościach, stali na czele band równie łamiących

prawo i ciemiężących lud, jak tamci jawni łupieżcy. Dla utrzymania

najemników i na pokrycie wydatków na zbytki i przepych, do jakich

zmuszała ich duma, panowie pożyczali ogromne sumy od Żydów na

lichwiarski procent; rujnowało to ich dobra, jakby je toczył nieuleczalny

rak, chyba że nastręczyła się sposobność uwolnienia się od długów

przez bezprawie i gwałty nad wierzycielami.

Naród angielski cierpiał wielce, nękany uciskiem wynikającym z

takiego stanu rzeczy, a przyszłość groziła mu jeszcze większymi

nieszczęściami. Niedolę zwiększyła szerząca się w całym kraju niebezpieczna zaraza, a zjadliwszą jeszcze czynił ją brud, niedostateczna strawa i nędzne mieszkania pospólstwa. Toteż wiele ludzi pomarło, a żyjący nieomal zazdrościli im doli, która kładła kres ich udrękom. Lecz mimo tylu nieszczęść zarówno biedota, jak bogacze, zarówno gmin, jak szlachta tak byli zajęci zapowiedzianym turniejem — najznakomitszym widowiskiem owych czasów — jak przymierający głodem mieszkańcy Madrytu, nie mający nawet reala* na chleb dla rodziny, przejmują się walkami byków. Ani obowiązek, ani choroba nie mogły powstrzymać czy to młodych, czy starych od stawienia się na taką uroczystość. Igrzyska rycerskie, które miał zaszczycić swą obecnością sam książę Jan, ściągnęły powszechną uwagę. Niezmierną cizba ludzi wszelkiego stanu śpieszyła oznaczonego ranka na miejsce spotkania.

**/ Real*

drobna moneta hiszpańska.

Miejsce było istotnie romantyczne. Na brzegu lasu, położonego o milę od miasta Ashby, ciągnęła się wielka łąka pokryta pięknym, bogatym kobiercem zieloności, z jednej strony otoczona borem, a z drugiej obrzeżona rozrzuconymi pojedynczo dębami, z których niejeden był rozrośnięty nad podziw. Grunt zdawał się z natury przeznaczonym do rycerskich igrzysk, jakie miały się tu odbyć: ze wszystkich stron bowiem zniżał się stopniowo, mając na dnie równą przestrzeń otoczoną mocną palisadą, tworzącą szranki długie na ćwierć mili i o połowę węższe.

*Miały one kształt podłużnego prostokąta, lecz z zaokrąglonymi dla
wygody widzów rogami. Na północnym i południowym końcu palisady
znajdowały się wejścia dla walczących, zamknięte drewnianymi
wrotami takiej szerokości, aby dwóch rycerzy mogło obok siebie przez
nie wjechać. Przy wrotach stało po dwóch heroldów z pomocnikami i
sześciu trębaczy oraz silny oddział wojska dla utrzymania porządku i
uczczenia rycerzy, którzy mieli brać udział w zapasach.*

*Na naturalnym wzniesieniu gruntu za bramą południową rozbito pięć
bogatych
namiotów
ozdobionych
purpurowymi
i
czarnymi
chorągiewkami, były to bowiem barwy wybrane przez rycerzy
wyzywających na bój przeciwników. Sznury namiotów były tej samej
barwy. Przed każdym z namiotów wisiała tarcza rycerza, który go
zajmował, a obok niej stał jego giermek dziwacznie przebrany za
dzikiego czy leśnego stwora lub wedle gustu pana w jakiś inny
niezwykły strój odpowiadający przebraniu, jakie on sam w czasie
turnieju chciał przywdziać. Środkowy namiot, najzaszczytniejszy,
przeznaczono dla Briana de Bois-Guilbert, którego dla jego rycerskiej
sławy, a także z powodu łączącego go pokrewieństwa z rycerzami
urządzającymi turniej, chętnie przyjęto do grona walczących i wybrano*

na wodza i kierownika, choć dopiero od niedawna przystał do nich. Po jednej stronie jego namiotu rozbili swoje Reginald Bawoli Łeb i Filip de Malvoisin, a po drugiej — Hugo de Grantmesnil, szlachetny baron z sąsiedztwa, którego przodek był lordem kanclerzem Anglii za czasów Wilhelma Zdobywcy i jego syna Wilhelma Rudego. Piąty namiot zajmował Ralf de Vipont, rycerz zakonu świętego Jana Jerozolimskiego, który dzierżył starożytne włości Heather w pobliżu Ashby-de-la-Zouche. Od wrót prowadziło przejście szerokie na dziesięć jardów, wznoszące się z lekka aż do podwyższenia, na którym stały namioty. Było ono starannie ogrodzone z obu stron częstokolem, podobnie jak i plac przed namiotami; nad wszystkim tym baczenie miała zbrojna straż.

Do północnych wrót prowadziło drugie przejście, szerokie na trzydzieści stóp, kończące się obszernym, ogrodzonym placem, przeznaczonym dla rycerzy gotowych towarzyszyć walczącym w szrankach. Z tyłu rozbito namioty, w których przygotowywano różnego rodzaju strawę i gdzie gromadzili się płatnerze, kowale i inni słudzy, w razie potrzeby gotowi udzielić rycerzom pomocy.

Szranki otoczone były częściowo prowizorycznymi trybunami, zaopatrzonymi w obicia i kobierce oraz poduszki dla wygody dam i możnych, których przybycia na turniej się spodziewano. Wąskie przejście między trybunami a palisadą przeznaczono dla wolnych kmiaci i widzów nieco wyższej rangi od zwykłego plebsu; było to coś w rodzaju parteru w obecnym teatrze. Tłumy pospólstwa usadowiły się na przygotowanych w tym celu wielkich ławach z darni, które,

umieszczone na naturalnym wzniesieniu gruntu, górowały nad trybunami i pozwalały widzom oglądać walkę. Prócz korzystających z tych dogodności, setki widzów siedziało na gałęziach drzew otaczających łęg, a nawet ciekawi umieścili się tłumnie na dzwonnicy pobliskiego wiejskiego kościoła.

Należy jeszcze dodać do tego opisu, że jedna z trybun w samym środku wschodniego boku szranków, a więc dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie miało nastąpić spotkanie walczących, była wyższa od innych i bogaciej przybrana; umieszczono tam rodzaj tronu z baldachimem, na którym widniały herby królewskie. Giermkowie, paziowie i straż w bogatych barwach otaczała to zaszczytne miejsce przeznaczone dla księcia Jana i jego świty. Naprzeciw tej trybuny, po zachodniej stronie, była druga, tej samej wysokości, ozdobiona z mniejszym przepychem, ale może bardziej wytwornie niż księżęca. Orszak paziów i młodych dziewcząt, najpiękniejszych, jakie można było znaleźć, przybranych w fantastyczne a wykwintne stroje zielonej i różowej barwy, otaczał tron ozdobiony tymi samymi kolorami. Wśród chorągiewek i proporców, na których umieszczono zranione i krwawiące serca, strzały i kołczany oraz wszystkie zwykłe godła tryumfującego Kupidyna, ozdobny napis zawiadamiał widzów, że ten tron przeznaczony jest dla „Królowej de la Beaute et des Amours”. Lecz kto miał być tym razem tą Królową Urody i Miłości — nikt jeszcze nie wiedział.

Tymczasem widzowie różnej kondycji śpieszyli zająć przeznaczone dla nich miejsca; nie obeszło się przy tym bez kłótni. Część sporów

rozstrzygali zbrojni bez dłuższych ceregieli, używając jako argumentów na przekonanie najbardziej opornych — drzewc od berdyszów i główni mieczów. Gdy spór wszczywały osoby na wyższych stanowiskach, wdawali się w to heroldowie lub dwaj marszałkowie turnieju: Wilhelm de Wyvil i Stefan de Martival, którzy, uzbrojeni od stóp do głów, przejeżdżali wzdłuż szranków, by utrzymać wśród widzów porządek. Stopniowo trybuny zapełniały się rycerzami i wielmożami w zwykłych szatach, bez zbroi, a długie i jaskrawe ich płaszcze odbijały od wytworniejszych w barwie i bogatszych sukien dam, które zjechały tu jeszcze liczniej od mężczyzn, chociaż należałoby przypuszczać, że to krwawe i niebezpieczne widowisko nie powinno sprawiać przyjemności przedstawicielkom płci pięknej. Niższe, wewnętrzne przejścia wkrótce zapełnili zamożni kmiecie, mieszczaństwo i drobna szlachta, której skromność, ubóstwo czy niepewny tytuł nie pozwalały się upomnieć o lepsze miejsce. Naturalnie kłótnie o pierwszeństwo wybuchały najczęściej pomiędzy nimi.

— Psie niewierny! — wołał starzec, którego wytarta suknia zdradzała ubóstwo, a miecz, puginał i złoty łańcuch stwierdzały prawa do szlachectwa. — Obmierzła hołoto, jak śmiesz dotykać się chrześcijanina, normandzkiego szlachcica z rodu Montdidierów?

Ten, do którego zwracano się tak ostro, był nie kim innym jak naszym znajomym Izaakiem. Żyd ubrany był bogato, a nawet wspaniale, w opończę ozdobioną haftami i podbitą futrem, i usiłował zdobyć miejsce poniżej trybuny w pierwszym rzędzie dla swej córki, pięknej Rebeki, z

którą spotkał się w Ashby. Trzymała go za rękę, wcale nie wystraszona ogólną niechęcią wywołaną przez pretensje ojca.

Lecz Izaak, którego widzieliśmy w innych okolicznościach mocno onieśmiałego, wiedział, że teraz nic mu nie grozi. Na tym publicznym miejscu, w obecności zgromadzonych równych sobie, żaden chciwy czy zuchwały wielmoża nie ośmieliłby się skrzywdzić Izraelity. Na takich zgromadzeniach Żydzi podlegali ogólnym prawom i choć była to niepewna opieka, zazwyczaj jednak wśród obecnych znalazł się jakiś baron, który dla własnego interesu gotów był stanąć w ich obronie. W tym wypadku Izaak czuł się bardziej jeszcze spokojny wiedząc, że księżę Jan układa się właśnie z Żydami z Yorku o znaczną pożyczkę: miał ją zabezpieczyć na swych włościach i dać w zastaw klejnoty. Udział Izaaka w pożyczce był bardzo znaczny, sądził więc, że księżę, pragnąc doprowadzić układ do skutku, w razie potrzeby weźmie go pod opiekę. Okoliczność ta natchnęła go pewnością siebie, nie przestał więc przepychać się obok Normanda, nie zważając na jego ród, urząd i wiarę. Ale skargi starca wywołały oburzenie obecnych. Do Żyda zwrócił się nagle jeden spośród nich, silny i dobrze zbudowany, ubrany w jasnozielony strój, łucznik, który miał dwanaście strzał zatkniętych za pas, srebrny pendent i blachę na piersi, a w rękę dzierżył łuk długi na sześć stóp. Twarz jego, ogorzała na barwę orzecha, pociemniała z gniewu. Krzyknął do Żyda, że krew wyssana przez niego z jego nieszczęsnych ofiar wzdęła go niczym pająka, i radził mu pamiętać, że póki siedzi cicho w kącie, mogą o nim zapomnieć, ale rozdepczą go, gdy

tylko wyjdzie na światło. Na te słowa wypowiedziane w anglo-normandzkim języku, stanowczym i groźnym głosem, Żyd cofnął się i byłby zapewne usunął się z tak niebezpiecznego sąsiedztwa, gdyby ogólna uwaga nie zwróciła się w tej chwili na księcia Jana wchodzącego w szranki w otoczeniu licznego i wesołego orszaku, składającego się z panów świeckich i duchownych, równie jaskrawo ubranych i wesołych, jak i ich towarzysze. Wśród nich znajdował się opat z Jorvaulx ubrany tak strojnie, jak tylko było to możliwe dla dostojnika kościelnego. Jego oblamowany kosztownym futrem strój kapał od złota, a końce trzewików, nawet wedle ówczesnej śmiesznej mody, były tak przesadnie długie, że przywiązywał je już nie do kolan, ale do pasa. Nie pozwalały mu one nawet wsadzić nóg w strzemiona. Ale był to drobiazg dla dzielnego opata, który może nawet cieszył się, że ma sposobność wykazania swej zręczności w sztuce jeździeckiej przed licznymi widzami, przeważnie płci pięknej, nie posługując się strzemionami, tymi podporami bojaźliwych jeźdźców. Reszta świty księcia Jana składała się z dowódców najemnych wojsk, z kilku łupieżczych i rozpustnych baronów towarzyszących jego dworowi oraz paru templariuszy i joannitów.

Należy tu przypomnieć, że te dwa zakony rycerskie uchodziły za wrogo usposobione do króla Ryszarda, stanąwszy po stronie Filipa, króla francuskiego, w długich zatargach, które wybuchły w Palestynie między tym monarchą a Ryszardem Lwie Serce. Wiadomo, że z przyczyny owej niezgody liczne zwycięstwa Ryszarda żadnym nie przyniosły owoców,

jego romantyczne wysiłki zdobycia Jerozolimy nie odniosły skutku, a jego sława doprowadziła tylko do zawarcia wątpliwej wartości rozejmu z sultanem Saladynem. Zgodnie z polityką, która kierowała postępowaniem ich współbraci w Ziemi Świątej, templariusze i joannici w Anglii i Normandii popierali stronnictwo księcia Jana, nie mając żadnych powodów, aby pragnąć powrotu Ryszarda do kraju albo wstąpienia na tron Artura, jego prawego dziedzica. Z odmiennej znów przyczyny książę Jan nienawidził tych nielicznych, znaczniejszych saksońskich rodów, które jeszcze przetrwały, i nie pominął żadnej sposobności, aby je krzywdzić i upokarzać. Wiedział dobrze, że go nie lubią, podobnie zresztą jak większość gminu, obawiającego się, by monarcha tak rozwiązy i despotyczny nie wprowadził nowych ograniczeń praw i przywilejów ludu.

Otoczony świetnym orszakiem książę Jan — ubrany w bogate szaty purpurowe ze złotem, z sokołem na ręku, z głową nakrytą kołpakiem z cennego futra, przyozdobionym opaską wysadzaną drogimi kamieniami, spod którego spływały mu na ramiona długie, wijące się kędziory — dosiadał siwego, ognistego rumaka. Toczył nim dokoła szranków na czele swego wesołego orszaku, śmiejąc się głośno i z królewską zuchwałością rzucając spojrzenia na piękności zdobiące wysokie trybuny.

Ci nawet, którzy w twarzy księcia postrzegali rozwiązłość i zuchwalstwo połączone z niezwykłą dumą i obojętnością na cudze uczucia, nie mogli mu zaprzeczyć pewnej urody, na którą składały się

rys z natury kształtne, zwykle przybierać wyraz uprzejmości tak
szczerzej i otwartej, że zdawało się, iż nie mogą skrywać żadnych
tajników duszy. Taki wyraz twarzy często uchodzi za męską szczerść,
gdy w rzeczywistości jest oznaką niedbalej obojętności i rozwiązłego
charakteru, świadomego swej wyższości płynącej z urodzenia,
bogactwa lub innych przypadkowych przymiotów, niezależnych od
osobistych zasług. Ci zaś, którzy sądzą powierzchownie, a jest ich
prawie zawsze stu na jednego, widząc wspaniały łosiowy kubrak
księcia Jana i jego bogatą opończę podbitą najcenniejszymi sobolami,
safianowe buty i złote ostrogi oraz zręczność, z jaką zażywał rumaka,
witali go głośnymi okrzykami zachwyty. Podczas gdy wierzchowiec
sadzil w szrankach szczupakami, książę zwrócił uwagę na trwające
jeszcze zamieszanie wywołane przez Izaaka, usiłującego dostać się na
lepsze miejsce. Przenikliwym swym wzrokiem książę Jan poznał
natychmiast Żyda, ale z większą przyjemnością zatrzymał swe
spojrzenie na pięknej córce Syjonu, która przerażona tumultem
chwyciła za ramię swego starego ojca.

Rebeka pod względem urody mogła walczyć o pierwszeństwo z
najdumniejszymi pięknosciami Anglii, nawet w oczach takiego
wytrawnego znawcy, jakim był książę Jan. Kibić miała doskonale
piękną, która tym lepiej wydawała się w ubiorze wschodnim, jaki nosiła
wedle zwyczaju Żydówek. Zawój z żółtego jedwabiu podkreślał jej
ciemną cerę. Błyszczące oczy, piękne łuki brwi, zgrabny, orli nos, zęby
białe jak perły, bujne, czarne sploty uwite w drobne pukle, spływające

zarówno na cudną szyję i łono, jak i na bogatą suknię z drogocennego perskiego jedwabiu wyszywanego w kwiaty naturalnych kolorów na purpurowym tle — wszystko to składało się na urodę w niczym nie ustępującą wdziękowi otaczających ją najpiękniejszych dam. Z szeregu złotych agraf wysadzanych perłami, które zapinały kaftan Rebeki od szyi do pasa, trzy górne, z powodu upału nie zapięte, pozwalały podziwiać wdzięk opisane powyżej. Diamentowy naszyjnik z drogocennymi wisiorkami był też w ten sposób o wiele lepiej widoczny. Strusie pióro przypięte do turbanu diamentową spinką zwracało uwagę na piękną Żydówkę; dumne panie siedzące wyżej naigrawały się z niej i drwiły, ale potajemnie jej zazdrościły.

— Na tysiąć głów Abrahama! — rzekł książę Jan. — Żydówka ta musi być istnym konterfektem owej pięknej białki, dla której drzewiej najmędrszy król stracił rozum! Co wy na to, opacie? Na świątynię tego mądrego króla, której nasz ponoć mądrzejszy jeszcze brat Ryszard nie poradził zdobyć, to istna niewiasta z „Pieśni nad pieśniami”.

— Iście to róża Saronu, konwalijka — odparł opat żartobliwym tonem — ale wasza miłość powinien pamiętać, że to Żydówka.

— Ejże! — rzekł książę nie bacząc na jego słowa. — A oto ów niesprawiedliwy Mamon*, margraf marki i baron bizantów** wadzi się o miejsce z tą gromadą oberwańców, co w trzosach nie mają ani jednego szeląga z krzyżem, by ich od diabłów bronił. Na relikwie świętego Marka! Mój książę podskarbi ze swą piękną Żydówką musi zasiąść na trybunie! Kto zacz ona, Izaaku? Czy to twa żona, czy córka —

ta wschodnia hurysa wiedziona przez ciebie pod ramię, jakby była szkatułką ze skarbem?

** Mamon — W Nowym Testamencie imię to oznacza bogactwo, używane też jest jako uosobienie chciwości.*

*** Marki i b i z a n t y — ówczesne monety.*

— To moja córka Rebeka, do usług waszej wysokości — odparł Izaak kłaniając się nisko, nie zmieszany powitaniem księcia, w którym było tyleż szyderstwa, co uprzejmości.

— Mądry jesteś! — odparł Jan wybuchając śmiechem, a jego orszak zawtórował mu przypochlebnie. — Ale córka czy żona, musi zająć miejsce godne jej urody i zasług. Kto tam siedzi w górze? — ciągnął dalej, skierowawszy wzrok na trybunę. — Rozwalają się tam saksońscy wasale! Nuże! Niech się ścisną i zrobią miejsce dla księcia lichwiarzy i jego urodziwej córki. Nauczę ja tych chamów dzielić pierwsze miejsca w synagodze z tymi, do których właściwie z prawa synagoga należy.

Ci, którzy zasiadali na trybunie, a do których zwrócone były te ubliżające i nieuprzejme słowa, należeli do domowników Cedryka Saksona oraz do jego druha i krewniaka Athelstana z Coningsburgha, którego jako potomka ostatniego saksońskiego króla Anglii wielce szanowali wszyscy Saksończycy pochodzący z północnej części kraju. Z krwią starożytnego królewskiego rodu Athelstan odziedziczył i jego przywary. Twarz miał urodziwą, był barczysty, silnej budowy i w kwiecie wieku, lecz rysy jego były nieożywione, oczy bez wyrazu, ruchy ociężałe i leniwe i tak był powolnego umysłu, że nadano mu przydomek

jednego z jego przodków i zwano go powszechnie Athelstanem

Bezradnym. Przyjaciele jego, a miał ich wielu, którzy jak Cedryk byli mu całkowicie oddani, utrzymywali, że ta jego powolność nie wpływała z braku odwagi, lecz jedynie była skutkiem słabego charakteru; inni twierdzili, że dziedziczny nałóg pijaństwa zaciemnił mu umysł, który i tak nigdy nie był bystry, i że jego bierna odwaga i łagodna dobroć była już tylko cieniem cnót, których całą wartość zniszczyła długotrwała, prostacka rozpusta. Do tego to człowieka księżę zwrócił się z rozkazem, by zrobił miejsce Izaakowi i Rebecce. Athelstana zmieszało polecenie, które w świetle ówczesnych obyczajów było bardzo ubliżające; nie chciał usłuchać księcia, a nie wiedząc, jak mu się oprzeć, przeciwstawił siłę bezwładu jego woli: nie drgnął ani nie objawił chęci usłuchania; otworzył szeroko swe wielkie, szare oczy i wpatrywał się w księcia z komicznym zdumieniem. Lecz porywczego Jana bynajmniej to nie rozśmieszyło.

— Ten saksoński świniopas — rzekł — albo śpi, albo nie chce zrozumieć.

Polechtaj go swoją włócznią, de Bracy — zwrócił się do rycerza jadącego obok, kondotiera, czyli dowódcy jednej z „wolnych kompanii”, składających się z najemników różnej nacji, gotowych służyć każdemu, kto im zapłaci.

Rozkaz ten wywołał pomruk niezadowolenia nawet wśród kompanów księcia Jana, ale de Bracy, którego zawód pozbawił wszelkich skrupułów, wysunął swą długą kopię ponad przejściem oddzielającym szranki od trybun i byłby wykonał rozkaz księcia, zanimby Athelstan

Bezradny odzyskał na tyle przytomności umysłu, by się cofnąć przed włócznią, gdyby Cedryk, równie prędko w działaniu jak jego towarzysz był powolny, nie obnażył błyskawicznie swojego krótkiego miecza i jednym zamachem nie odciął ostrza włóczni od drzewca. Rumieniec oblał twarz księcia Jana. Zaklął szpetnie i byłby zapewne wypowiedział jakąś pogroźkę, gdyby go z jednej strony nie powstrzymali zgromadzeni wokół niego dworzanie, błagając o cierpliwość, a z drugiej — krzyk pospólstwa, głośno pochwalającego postępek Cedryka. Księżę potoczył dokoła pełnym wściekłości wzrokiem, jakby szukał ofiary, na której mógłby wyrzeć swój gniew, i oczy jego spotkały niewzruszone spojrzenie łuczника, wspomnianego już poprzednio, wciąż mimo groźnej twarzy księcia wyrażającego swe uznanie dla postępków Cedryka. Księżę zapytał go więc, czemu tak krzyczy.

— Zawsze głośno pochwalam — rzekł łucznik — trafny strzał czy zręczny cios.

— Tak prawisz? — odparł księżę. — Mniemam tedy, że sam zawsze trafiasz do celu?

— Jako myśliwy trafiam wszelką zwierzynę — odparł łucznik.

— Zwierzynę Wata Tyrrela z odległości stu jardów — odezwał się z tyłu jakiś głos, ale nie było wiadomo czyj.*

**/ Króla Wilhelma Rudego znaleziono zabitego na polanie leśnej ze strzałą w piersi; podejrzewano, że zabił go wypadkiem czy umyślnie sir Walter Tyrrel polujący wówczas w tej okolicy.*

Wzmianka o losie Wilhelma Rudego, krewnego księcia Jana, wzbudziła

jego gniew, ale i niepokój. Ograniczył się więc tylko do rozkazu, by zbrojni otaczający szranki mieli na oku samochwałę, i wskazując na łucznika dodał:

— Na świętą Gryzeldę, wypróbujemy zręczność tego, co tak jest skory oklaskiwać innych!

— Nie uchylę się od próby — odpowiedział łucznik ze spokojem, którym się całe jego zachowanie odznaczało.

— A teraz, wstańcie, saksoński wasalu! — zawołał porywczo książę. — Nuże, rzekłem już: Żyd musi siąść między wami!

— Za pozwoleniem waszej miłości, zwolnijcie mnie! Nie przystoi, byśmy siedzieli wśród panów tego kraju — odezwał się Żyd, którego pycha skłoniła uprzednio do sporu o miejsce z podupadłym i zubożałym potomkiem rodu Montdidierów, ale który bynajmniej nie chciał wkraczać w przywileje bogatych Saksończyków.

— Nie sprzeciwiaj mi się, psie niewierny! — krzyknął książę Jan. — Albo każę cię obdrzeć z twej ciemnej skóry i z wyprawionej każę zrobić siodło!

Tak przynaglony Żyd zaczął wstępować na strome i wąskie schody prowadzące na trybunę.

— Chciałbym zobaczyć takiego zuchwalca, który by się ośmielił go teraz zatrzymać — rzekł książę Jan wlepiając wzrok w Cedryka.

Postawa franklina zdradzała wyraźną chęć strącenia Żyda ze schodów, lecz zapobiegł temu błazen Wamba, skoczywszy między swego pana a Izaaka i wołając w odpowiedzi na pogrózkę księcia:

— *A zasię ja to uczynię!*

I podsunął pod nos Żyda kawał wieprzowiny wydobytej spod płaszcza, w którą zapewne zaopatrzył się w obawie, że turniej potrwa dłużej, niż on zdoła na czczo wytrzymać. Żyd, mając przed sobą to, co budziło największy wstręt w jego narodzie, a nad głową drewniany miecz, którym wywijał błazen, cofnął się, potknął i stoczył ze schodów, wywołując tym wypadkiem głośny wybuch śmiechu wśród widzów.

Książe Jan z całym swym orszakiem przyłączył się do ogólnej wesołości.

— *Mój ksiązęcy kuzynie, przyznaj mi nagrodę — rzekł Wamba. —*

Zwyciężyłem wroga w otwartej walce mieczem i tarczą — dodał potrząsając mięsem w jednej ręce i drewnianym mieczem w drugiej.

— *Kto zacz jesteś, szlachetny rycerzu? — zapytał ksiązę, wciąż jeszcze się śmiejąc.*

— *Błazen z dziada pradziada — odparł trefniś. — Jestem Wamba, syn Przyglupka, który był synem Pomyłonego, który sam był synem wodza klanu!*

— *Hej, zrobić tam miejsce dla Żyda na dolnej trybunie! — zawołał ksiązę Jan, zadowolony, iż znalazł pozór do odwołania swojego rozkazu. — Ceremoniał zabrania umieszczać zwyciężonego obok zwycięzcy!*

— *Gorzej jeszcze wynieść oszusta nad błazna — odparł trefniś — a najgorzej Żyda umieścić obok słoniny.*

Prawie gadasz! — zawołał ksiązę. — Podobasz mi się, pacholku! Dalej, Żydzie, pożycz mi garść bizantów.

Żyd, przerażony tym żądaniem, bał się odmówić, ale nie miał też chęci postuchać; grzebał więc w skórzanym trzosie zawieszonym u pasa, może obliczając, jaka najmniejsza ilość monet może uchodzić za garść. Wówczas książę schylił się ze swego wierzchowca i rozstrzygnął wątpliwości Izaaka oderwawszy mu trzos od pasa. Po czym rzucił Wambie parę sztuk złota, jakie zawierał mieszek, i pogalopował dalej wzdłuż szranków, pozostawiwszy Żyda na pośmiewisko otaczających go osób; sam zaś uzyskał poklask widzów, jak gdyby postąpił niezwykle uczciwie i szlachetnie.

VIII

*Potem wyzywający rzuca trąbki miedzią
Hasło: „W bój!”, a wyzwany spieszy z odpowiedzią.
Pole dudni zberkotem uprzęży i zbroi.
Aż echo u niebieskich odgrzmiewa podwoi.
Opuszczone przyłbice, kopie jak grot z kuszy
Skierowane ku barwnym kitom pióropuszy —
Z szrank na plac wypadają w susach i podskokach
I wroga ni na chwilę nie spuszczają z oka.*

J. DRYDEN: Palamon i Arcyta

Książę Jan nie ujechał jeszcze połowy drogi, gdy nagle stanął i zwracając się do opata z Jorvaulx oświadczył mu, że zapomnieli o najważniejszej tego dnia sprawie.

— Na honor — rzekł — zabaczyliśmy, panie opacie, wyznaczyć Królową Miłości i Urody, która ma swą białą dłoń rozdawać wawrzyny. Jam

wolny od przesądów i gotów jestem głosować na czarnooką Rebekę.

— Najświętsza Panienko! — oburzył się opat wznosząc w górę oczy z przerażeniem. — To przecież Żydówka! Zasłużylibyśmy na to, by nas przegnano kamieniami ze szranków, a ja nie jestem jeszcze stary i nie chciałbym zostać męczennikiem. Klnę się przy tym na mego świętego patrona, że nie równać Żydówki z piękną Saksonką, Roweną.

— Saksończyk czy Żyd — odparł książę — pies czy wieprz, wszystko to jedno! Powtarzam, wybiorę Rebekę choćby dla upokorzenia tych saksońskich gburów.

Wśród jego najwierniejszych zauszniaków rozległ się jednak szmer niezadowolenia.

— Tego już za wiele, mości książę — rzekł de Bracy. — Żaden rycerz nie osadzi kopii w toku* w razie takiego despektu.

*/ T o k — rodzaj haka przymocowanego do zbroi rycerza, na którym opierał kopię, gdy atakował przeciwnika.

— Byłaby to ciężka obraza rycerstwa — odezwał się jeden z najdawniejszych i najmocniejszych dworzan księcia Jana, Waldemar Fitzurse — a jeśli wasza dostojność trwać będzie w tym zamiarze, wniwecz obróć się twe plany.

— Sir — odparł Jan zdzierając cugle swego rumaka — trzymam cię przy sobie jako towarzysza, a nie jako doradcę.

— Lecz ci, którzy dążą tą samą ścieżką, co wasza dostojność — rzekł Waldemar szeptem — nabyli prawa doradców, gdyż chodzi tu tak samo o ich bezpieczeństwo, jak o sprawy waszej dostojności.

Z tonu, w jakim to było powiedziane, Jan wywnioskował, że musi ustąpić.

— Chciałem tylko zażartować — rzekł — a wyście się rozeźlili jako żmije!

Do diaska, wyznaczcie, kogo chcecie, i cieszcie się tym!

— Nie, nie — odparł de Bracy — niech tron królowej piękności

pozostanie nie zajęty, póki nie ogłoszą zwycięzcy; wtedy on sam

naznaczy damę, która ma na nim zasiąść. Będzie to dla niego jeszcze

jednym zaszczytem dodanym do jego zwycięstwa i nauczy białki cenić

mężnych rycerzy, mogących je tak wyróżnić.

— Jeśli Brian de Bois-Guilbert zwycięży — rzekł opat — założę się o mój

różaniec, że odgadnę imię Królowej Miłości i Urody.

— Bois-Guilbert — odparł de Bracy — dobrze włada włócznią, lecz w

tych szrankach, panie opacie, jest wielu rycerzy, którzy nie ulękną się z

nim spotkania.

— Zamilczcie, panowie — rzekł Waldemar — i pozwólcie, by książę zajął

swe miejsce. Rycerze i widzowie niecierpliwią się, czas upływa, trzeba

rozpocząć turniej.

Choć książę Jan jeszcze nie był królem, Waldemar Fitzurse był dlań tak

niewygodny, jak bywa dla panującego ulubiony minister, który służąc

monarsze postępuje jednak zawsze wedle własnego widzimisię. Tym

razem książę go usłuchał, choć chętnie opierał mu się w drobiazgach.

Zasiadł więc na tronie, otoczony swoim orszakiem, i dał znak heroldom,

by ogłosili porządek turnieju, który przedstawiał się w krótkości tak:

Po pierwsze, pięciu wyzywających rycerzy powinno potykać się z

każdym, kto tego zażąda.

Po drugie, każdy rycerz może sobie spomiędzy wyzywających wybrać przeciwnika, dotknąwszy jego tarczy. Gdy dotknie jej drzewcem włóczni, walka ma się rozegrać na oręż tak zwany grzecznościowy, to jest na włócznie, których ostrza zabezpieczono zaokrągloną, płaską deszczułką, tak że przy spotkaniu nie groziło rycerzom żadne niebezpieczeństwo, z wyjątkiem zderzenia się koni czy jeźdźców. Lecz jeżeli puklerz dotknięty został ostrzem włóczni, wówczas miała się odbyć walka a outrance, to znaczy, że rycerze mieli walczyć ostrą bronią jak w prawdziwej bitwie.*

**/ A outrance (franc.) — do ostateczności, na śmierć i życie.*

Po trzecie, gdy obecni rycerze wypełnią swój ślub, to jest, gdy każdy złamie pięć włóczni, księżę ogłosi zwycięzcę pierwszego dnia turnieju i ten otrzyma w nagrodę bojowego rumaka niezwyklej piękności i niedoścignionej wytrzymałości. A teraz dodano jeszcze do tej cennej nagrody honorowe wyróżnienie dla zwycięzcy: będzie on miał zaszczyt wyznaczyć Królową Miłości i Urody, która następnego dnia wręczać będzie nagrodę zwycięzcy.

Po czwarte, zawiadomiono, że drugiego dnia odbędzie się ogólna potyczka: wszyscy obecni rycerze pragnący walczyć o wieniec mogą w niej brać udział; zostaną podzielone na dwa jednakowo liczne hufce i będą się zmagać mężnie, dopóki księżę Jan nie przerwie walki.

Wybrana Królowa Miłości i Urody uwieńczy wówczas rycerza, którego księżę wybierze, osądziwszy, że najdzielniej się sprawił tego drugiego

dnia, i włoży mu wieniec ze złotych blaszek wyciętych w kształt liści wawrzynu.

Tego dnia kończyły się rycerskie igrzyska. Następny miał być poświęcony strzelaniu z łuku do celu, walce byków i innym ludowym zabawom przeznaczonym dla rozrywki pospólstwa. Takimi sposobami książę Jan usiłował zyskać sobie popularność, którą wciąż tracił nieobliczalnymi, swawolnymi wystąpieniami, krzywdząc i oburzając lud.

Szranki przedstawiały teraz wspaniałe widoki. Wznoszące się wysoko trybuny wypełniły się szlachetnie urodzonymi dostojnikami, bogaczami i pięknosciami z północnej i środkowej Anglii.

Różnorodne szaty czcigodnych widzów nadawały zgromadzeniu wygląd wesoły i bogaty; niższe miejsca w przejściu, wypełnione przez zamożne mieszczaństwo i wolnych kmienci angielskich, skromniej ubranych, stanowiły jakby ciemną frędzlę czy oblamowanie świętego haftu, podnosząc go i jednocześnie odbijając od jego bogactwa.

Heroldowie, ogłosiwszy to swoje obwieszczenie, dodali zwykłe wezwanie: „Bądźcie hojni, szlachetni rycerze!” W odpowiedzi na to spadł na nich z trybun deszcz srebrnych i złotych monet, gdyż rycerze mieli sobie za punkt honoru szczerze obdarzać tych, których wówczas uważano za historyków sławy. Heroldowie zaś wzniesli w podzięcie zwykłe w takich wypadkach okrzyki: „Miłość dla dam! Śmierć zwyciężonym! Sława walecznym!”

Do tych okrzyków głos swój przyłączyło pospólstwo, a liczni trębacze —

dźwięk bojowych surm. Gdy nastąpiła cisza, heroldowie w barwnym i błyszczącym pochodzie opuścili szranki; pozostali w nich tylko dwaj marszałkowie turnieju — uzbrojeni od stóp do głów siedzieli na koniach na obu krańcach szranków, nieruchomi jak posągi. Tymczasem część szranków odgradzona od północnej strony, choć bardzo obszerna, zapełniła się teraz całkowicie rycerzami pragnącymi zmierzyć się z wyzywającymi; gdy się na nich patrzyło z góry, miało się wrażenie morza poruszających się piór, pomieszanych z lśniącymi szyszakami i długimi kopiami, na których małe proporczyki, na piędź szerokie, powiewały na wietrze i wraz z bezustannie falującymi piórami dodawały życia tej scenie.

Wreszcie otwarto się wrota i pięciu wybranych przez losowanie rycerzy wstąpiło powoli w szranki; jeden z nich jechał na przedzie, a czterej za nim parami. Wszyscy byli wspaniale uzbrojeni, a saksoński rękopis, z którego czerpałem te wszystkie szczegóły, dokładnie opisuje ich godła, barwy i hafty na czaprakach koni. Lecz zbędną byłoby rzeczą rozwodzić się nad tym, gdyż jak pisze współczesny poeta, który niestety za mało takich wierszy napisał:

Czym są rycerze? Prochem, mgłą,

Ich dobre miecze — rdzą,

A dusze — w niebie chyba są.*

** Wiersze pochodzą z nie drukowanego poematu Samuela Coleridge'a (1772—1834).*

Na ścianach zamków ich tarcze herbowe od dawna rozsypały się w

proch, kasztele również obróciły się w ruiny porośłe zieloną murawą, tak że nikt już ich nie pamięta. Niejeden ród wymarł i został zapomniany nawet tam, gdzie owi rycerze zamieszkiwali i samowładnie rządzą jako feudalni lordowie. Na cóż się więc zda czytelnikowi znajomość ich imion lub zatarte ślady ich wojennej sławy? W owej chwili jednak nie przewidując zapomnienia, któremu kiedyś ich imiona i czyny miały ulec, rycerze wjeżdżali w szranki, wstrzymując swe ogniste rumaki, zmuszając je do powolnego stępu i starając się jednocześnie okazać wdzięk ich chodów i własną zręczność w sztuce jeździeckiej. Gdy orszak wjechał w szranki, rozległy się dźwięki barbarzyńskiej muzyki spoza namiotów rycerzy wyzywających, gdzie skryli się grajkowie. Była to wschodnia muzyka przywieziona z Ziemi Świętej, a pomieszane dźwięki cymbałów i dzwonków zdawały się witać, a zarazem grozić zbliżającym się współzawodnikom. Oczy widzów były zwrócone na pięciu rycerzy; wjechali oni na wzgórze, gdzie stały namioty wyzywających, tam rozdzielili się i każdy dotknął z lekka drzewcem kopii tarczy przeciwnika, z którym chciał walczyć. Całe pospólstwo, wielu spośród wyższych klas, a nawet, jak mówiono, niektóre niewiasty rozczarowane były, że rycerze wybrali broń grzecznościową. Bowiem tacy sami ludzie, którzy obecnie oklaskują najokropniejsze tragedie, interesowali się wtedy niebezpiecznym dla walczących turniejem.

Rycerze, zaznaczywszy swe bardziej pokojowe zamiary, cofnęli się na koniec szranków, gdzie ustawili się szeregiem. Tymczasem wyzywający

wyszli ze swych namiotów, dosiedli koni i mając na czele Briana de Bois-Guilbert, zjechali z pagórka i ustawili się, każdy naprzeciw tego rycerza, który dotknął jego tarczy.

Przy dźwiękach trąb i puzonów puścili się ku sobie galopem; lecz większa była zręczność czy też szczęście wyzywających i przeciwnicy Bois-Guilberta, Malvisina i Bawolego Łba spadli od razu na ziemię. Walczący z Grantmesnilem, zamiast skierować ostrze kopii wprost w szyszak czy też w tarczę nieprzyjaciela, chybił i złamał drzewce włóczni o zbroję przeciwnika, co uważano za rzecz haniebniejszą od upadku z konia, który mógł spowodować wypadek, gdy tymczasem złamanie włóczni dowodziło niezręczności lub braku doświadczenia we władaniu bronią i kierowaniu wierzchowcem. Tylko piąty rycerz utrzymał honor swej drużyny: obaj z rycerzem joannitą strzaskali swe włócznie i rozjechali się w zgodzie bez niczyjej przewagi.

Okrzyki tłumu wraz z wywoływaniem heroldów i dźwiękiem trąb ogłosili tryumf zwycięzców i porażkę zwyciężonych. Pierwsi wrócili do swych namiotów, a drudzy, zebrawszy się jak mogli, pomieszani i zawstydzeni wyszli ze szranków umawiać się z przeciwnikami o wykup zbroi i koni, które wedle praw turnieju należały do zwycięzców. Piąty tylko rycerz pozostał w szrankach, dopóki nie otrzymał oklasków od widzów, co zapewne bardziej jeszcze upokorzyło jego towarzyszy, i wtedy dopiero wycofał się z pola.

Drugi i trzeci hufiec rycerzy wjechał na plac i choć zmienne było ich szczęście, na ogół zwycięstwo pozostało w rękach wyzywających, żaden

z nich bowiem nie został wysadzony z siodła ani nie chybił włócznią, co trafiło się w każdym spotkaniu paru ich przeciwnikom. Ciągłe powodzenie wyzywających znacznie jednak ochłodziło zapal chętnych do walki. Przy czwartym spotkaniu tylko trzech rycerzy wstąpiło w szranki, a i ci unikali Bois-Guilberta oraz Bawolego Łba dotykając tylko tarczy trzech innych wyzywających, którzy nie okazali równej tamtym siły i zręczności. Jednak i ten wybór nie odmienił losu walki: wyzywający wciąż byli zwycięzcami. Jeden z ich przeciwników zwałił się z konia, a dwóm innym nie udało się attain, to znaczy nie udało im się trafić w szyszak lub tarczę włócznią wymierzoną na wprost tak silnie, by broń, jeśliby nie wysadziła jeźdźca z siodła, musiała pęknąć. Po czwartym spotkaniu nastąpiła dłuższa przerwa i zdawało się, że nikt już nie ma zamiaru wznowić walki. Widzowie szeptali między sobą, gdyż spośród wyzywających Malvoisin i Bawoli Łeb byli nie lubiani z powodu swego przykrego charakteru, a inni, z wyjątkiem Grantmesnila — z racji cudzoziemskiego pochodzenia. Lecz najbardziej niezadowolony był Cedryk Sakson, który w każdym zwycięstwie normandzkich rycerzy widział nowe upokorzenie honoru Anglii. Nie nauczono go w dzieciństwie gier rycerskich, choć władając orężem swych saksońskich przodków nieraz dowiódł, że jest dzielny i odważnym wojem. Często rzucał niespokojne spojrzenie na Athelstana, który występował niegdyś na turniejach, jak gdyby go pragnął namówić, by spróbował wydrzeć zwycięstwo z rąk templariusza i jego towarzyszy. Lecz choć Athelstanowi nie brakło odwagi i siły, był zbyt gnuśny i obojętny, by

uczynić wysiłek, jakiego Cedryk zdawał się po nim oczekiwać.

— Los dziś nie sprzyja Anglii, dostojny panie — rzekł znacząco Cedryk.

— Czy nie masz ochoty zabawić się orężem?

— Jutro będę się potykał — odparł Athelstan. — Wezmę udział w melee.*

Nie warto mi dziś zbroi przywdziewać.

**/ Melee (franc.) - zbiorowa walka.*

Dwie rzeczy nie podobały się Cedrykowi w tym oświadczeniu: słowo normandzkie melee i obojętność na honor ojczyzny, lecz ponieważ powiedział to Athelstan, dla którego odczuwał wielki szacunek, nie ośmieliłby się sądzić pobudek, jakimi się kierował, ani też jego słabostek. Poza tym nie zdążył już nic powiedzieć, gdyż Wamba wtrącił:

— Lepsze to, choć może łatwiej być pierwszym wśród stu rycerzy niż pojedynczo pokonać przeciwnika.

Athelstan wziął ten przycinek za dobrą monetę, lecz Cedryk, zrozumiałwszy lepiej intencję błazna, rzucił mu surowe i groźne spojrzenie; szczęściem było dla Wamby, że czas i miejsce raczej niż urząd i zasługi obroniły go przed bardziej bolesnymi skutkami pańskiego gniewu.

Wciąż jeszcze trwała przerwa w turnieju i rozlegały się tylko wezwania heroldów: „Miłujcie damy! Kruszcie kopie! Dalej, rycerze! Pamiętajcie, że piękne oczy patrzą na was!”

Od czasu od czasu dawały się słyszeć gromkie dźwięki tryumfalnych fanfar rycerzy wyzywających; tymczasem pospólstwo żałowało dnia spędzonego bezczynnie, a sędziwi rycerze i wielmoże po cichu ubolewali

nad upadkiem marsowego ducha, opowiadali o bohaterskich czynach swej młodości i zgadzali się, że obecnie nie było tylu doskonale pięknych niewiast, które ongiś ozdabiały turnieje. Książę Jan zaczął już wspominać swym dworakom o przygotowaniach do uczyty i zapowiedział, że przyzna nagrodę Brianowi de Bois-Guilbert, który jedną kopią strącił z siodła dwóch przeciwników, a trzeciego pokonał. Wreszcie, gdy saraceńska muzyka wyzywających rycerzy przerwała jedną ze swych długich i przeraźliwych fanfar, odpowiedział jej groźny głos pojedynczej surmy od północy. Wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę, aby ujrzeć, jakiego to jeszcze współzawodnika oznajmiał ten dźwięk. Za ledwie otwarły się wrota, nowy rycerz wjechał w szranki. O ile można określić człowieka zakutego w zbroję, był on średniego wzrostu i raczej smukły. Pancierz miał stalowy, bogato zdobiony złotem, a na puklerzu godło przedstawiające dąb wyrwany z korzeniami z napisem hiszpańskim Desdichado, co znaczy „Wydziedziczony”. Dosiadał ognistego rumaka, a wjeżdżając w szranki, uprzejmie uklonił się księciu i damom, zniżywszy kopię. Zręczność, z jaką kierował koniem, i młodzieńczy wdzięk jego obejścia zjednały mu powszechną życzliwość, co paru ludzi z gminu wyraziło wołając:

— Dotknij tarczy Ralfa de Vipont! Dotknij tarczy joanity! Najślabiej siedzi w siodle i najłatwiej dasz mu radę!

Rycerz, wśród tej życzliwej wrzawy, wjechał na pagórek stromą ścieżką wiodącą do szranków, ku zdumieniu obecnych zbliżył się wprost do środkowego namiotu i uderzył ostrym końcem włóczni w tarczę Briana

de Bois-Guilbert, aż głośno zadźwięczała. Wszyscy zdziwili się jego śmiałości, ale nikt tak bardzo, jak sam groźny rycerz, którego nieznajomy wyzwiał na śmiertelny bój stał on beztrosko u wejścia do namiotu, nie spodziewając się tak zuchwałego wyzwania.

— Czyś się spowiadał, bracie — spytał templariusz — i czyś wysłuchał dziś porannej mszy, gdy tak lekkomyślnie narażasz swe życie?

— Lepiej jestem od ciebie przygotowany na śmierć — odparł Wydziedziczony Rycerz, gdyż pod tym imieniem zapisał się w księdze turnieju.

— Idź więc zająć swe miejsce w szrankach — rzekł Bois-Guilbert — i spójrz po raz ostatni na słońce, gdyż tej nocy znajdziesz się w raju.

— Dzięki ci za uprzejmość — odparł Wydziedziczony Rycerz. — By się odwdzięczyć, poradzę ci: dosiądź świeżego konia i weź nową włócznię, bowiem — na honor! — będą ci one potrzebne.

Przemówiwszy z taką pewnością siebie, cofnął konia po zboczu pagórka i zmusił go do przebycia tyłem całych szranków aż do północnego wejścia, gdzie stanął oczekując na przeciwnika. Ten dowód sprawności jeździeckiej zjednał mu oklaski tłumu.

Chociaż rozjątrzony na przeciwnika za doradzanie mu środków ostrożności, Brian de Bois-Guilbert nie pogardził nimi, gdyż nie mógł narażać swego honoru zaniedbując czegokolwiek, co mogłoby mu zapewnić zwycięstwo nad zadufanym w sobie rywalem. Przesiadł się na świeżego, wypróbowanego i pełnego ognia i sił wierzchowca. Wybrał nową kopię z twardego drzewa, obawiając się, że dotychczasowa

włócznia mogła być nadwerżona w poprzednich spotkaniach. Wreszcie odłożył puklerz, nieco już uszkodzony, i giermkowie przynieśli mu inny. Pierwszy miał na sobie zakonny herb jeźdźca, przedstawiający dwóch rycerzy jadących na jednym koniu — był to symbol pierwotnych zalet templariuszy, pokory i ubóstwa, które później zastąpiła pycha i bogactwo doprowadzając wreszcie do skasowania zakonu. Na nowej tarczy Bois-Guilberta wyobrażony był kruk z rozpostartymi skrzydłami, niosący w szponach trupa czaszkę z godłem *Gare le Corbeau!**

Gdy obaj współzawodnicy stanęli naprzeciw siebie na dwóch krańcach szranków, podniecenie widzów doszło do szczytu. Niewielu się spodziewało, by walka mogła się skończyć przewagą Wydziedziczonego Rycerza, ale jego śmiałość i męstwo zyskały mu ogólną przychylność.

* *Gare le Corbeau!* (franc.) — strzeż się kruka!

Skoro tylko trąby dały znak, dwaj rycerze puścili się z miejsca z szybkością błyskawicy i zwarli się na środku szranków jak dwa pioruny. Kopie ich pękły w drzazgi aż do rękojeści i przez chwilę zdawało się, że jeźdźcy spadną, gdyż przy starciu oba rumaki przysiadły na zadach. Rycerze jednak uchronili konie od upadku, posłużąwszy się wędzidłem i ostrogami. Spoglądali na siebie przez chwilę oczami, które zdawały się miotać błyskawice przez kraty przyłbic, a uczyniwszy pół obrotu odjechali na końce szranków, gdzie słudzy doręczyli im nowe kopie.

Głośny okrzyk widzów, powiewające welony i chustki, powszechne

wiwaty dowodziły, jak podnieciło obecnych to spotkanie dwóch równie doskonałych współzawodników. Lecz gdy tylko rycerze znów zajęli swe miejsca, wrzawa wiwatów umilkła i zapanowała cisza tak głęboka i śmiertelna, że zdawało się, iż tłum wstrzymał oddech.

Pozwolono na parę minut przerwy, by walczący i ich wierzchowce trochę odpoczęli, po czym książę Jan dał znak buławą i trąby zagrały do ataku. Rycerze po raz wtóry skoczyli ku sobie i zwarli się na środku szranków z tą samą szybkością, zręcznością i gwałtownością. Lecz los ich tym razem nie był jednaki.

Podczas drugiego spotkania templariusz mierzył w środek tarczy przeciwnika i uderzył w nią tak celnie i mocno, że włócznia jego pękła, a Wydziedziczony Rycerz zachwiał się w siodle. On sam, pędząc galopem, z początku również mierzył kopią w tarczę Bois-Guilberta, lecz nieomal w ostatnim momencie przed starciem skierował jej ostrze w szyszak, cel znacznie trudniejszy do osiągnięcia — takiemu uderzeniu nikt jednak nie mógł się oprzeć. Wydziedziczony Rycerz celnie i prawidłowo trafił w przyłbicę Normanda, aż włócznia zaczepiła o jej kratę. Nie przyniosłoby to ujmy templariuszowi i może nie spadłby z konia, gdyby mu nie pękł popręg u siodła. W tym wypadku jednak siodło, koń i jeździec — wszystko runęło na ziemię wznosząc chmurę kurzu.

Templariusz w jednej chwili wy dostał się spod konia; rozwścieczony upadkiem i okrzykami widzów, dobył miecza i groził nim zwycięzcy. Wydziedziczony Rycerz zeskoczył ze swego rumaka i też obnażył miecz. Lecz marszałkowie, bodąc ostrogami konie, wparli się między nich i

przypomnieli im o prawach turnieju, zabraniających w tych

okolicznościach tego rodzaju walki.

— Nie wątpię, że się znów spotkamy — rzekł templariusz rzuciwszy

gniewne spojrzenie na swego przeciwnika — i to w miejscu, gdzie nas

nikt nie rozłączy.

— Jeśli to nie nastąpi — odparł Wydziedziczony Rycerz — to nie z mojej

winy. Pieszko lub konno, z włócznią, toporem czy mieczem zawsze jestem

gotów zmierzyć się z tobą.

Spór nie byłby się na tym skończył, gdyby marszałkowie nie

skrzyżowali między przeciwnikami kopii i nie zmusili ich do rozejścia

się. Wydziedziczony Rycerz wrócił na swe początkowe stanowisko, a

Bois-Guilbert do swego namiotu, gdzie spędził resztę dnia pogrążony w

rozpaczy.

Nie zsiadając z konia zwycięzca kazał sobie podać wina i otworzywszy

zasłonę, czyli dolną część hełmu, oznajmił, że spełnia kielich za zdrowie

„wszystkich prawdziwie angielskich serc i na pohybel obcym tyranom”.

Po czym rozkazał trębaczom otrąbić wyzwanie i oznajmić, że gotów jest

walczyć ze wszystkimi rycerzami wyzywającymi bez wyboru i w

porządku, w jakim zechcą wystąpić przeciwko niemu.

Ogromny rycerz Bawoli Łeb, zakuty w czarną zbroję, pierwszy stanął w

szrankach. Miał biały puklerz z czarną głową byka, na pół zatartą od

ciosów, jakie na nią spadły w czasie licznych walk, zdobny w zuchwałę

godło: Cave, adsum. */ Cave, adsum (łac.) — strzeż się, jestem.*

Wydziedziczony Rycerz uzyskał nad nim niewielką, lecz decydującą

przewagę. Obaj kruszyli odważnie kopie, lecz Bawoli Łeb zgubił

strzeżenie w czasie walki, ogłoszono go więc za zwyciężonego.

Nieznajomemu powiodło się również w trzecim spotkaniu, z Filipem de

Malvoisin; tak silny cios zadał w szyszak barona, że pękły zawiązki

hełmu, a rycerz, mając głowę obnażoną, wprawdzie ocalał od upadku,

lecz niemniej ogłoszony został za zwyciężonego jak jego towarzysz.

W czwartym spotkaniu, z Grantmesnilem, Wydziedziczony Rycerz

okazał się równie uprzejmy, jak był dotychczas odważny i zręczny. Koń

bowiem Grantmesnila, młody i narowisty, tak stawał dęba i wierzgał w

czasie galopu, że jeździec chybił kopią, lecz nieznajomy nie chciał

korzystać z tego przypadku, podniósł swoją kopię i minął przeciwnika

nie dotknąwszy go nią, po czym zatoczył koniem, wrócił na swój koniec

szranków i kazał heroldowi zapytać Grantmesnila, czy zechce po raz

wtóry mu stanąć. Lecz ten odpowiedział, że uznaje się za zwyciężonego

zarówno przez uprzejmość swego przeciwnika, jak przez jego zręczność.

Ralf de Vipont dopełnił tryumfu nieznajomego: został wysadzony z

siodła z taką siłą, że krew rzuciła mu się ustami i nosem i wyniesiono go

nieprzytomnego z szranków.

Tysiąc wiwatów powitało jednogłośnie postanowienie księcia i

marszałków, gdy oznajmili, że Wydziedziczony Rycerz został zwycięzcą

tego dnia turnieju.

IX

Pośrodku ujrzano

Niewiastę, która inne przewyższała głową.

Piękność i wzrost świadczyły, że była królową.

Podobnie jak pięknocią siąła spustoszenie,

Tak wspanialsze od innych było jej odzienie.

Białą skroń jej złocista korona oplata,

Prosta i niezbyt strojna, a jednak bogata;

Gałzka agnus castus w królowej prawicy*

Jako symbol jej władzy i symbol dziewicy.

G. CHAUCER; Kwiat i liść

** Agnus c a s tu s (łac.) —baranek niewinny", roślina o białych*

kwiatach, gatunek werbeny, którą uważano w średniowieczu za symbol niewinności.

Wilhelm de Wyvil i Stefan de Martival, marszałkowie turnieju, pierwsi

złożyli powinszowania zwycięzcy prosząc go jednocześnie, by pozwolił

rozwiązać rzemienie swego szyszaka lub przynajmniej podniósł

przyłbicę, zanim go zaprowadzą przed księcia Jana, który ma mu

wręczyć nagrodę zwycięzcy pierwszego dnia turnieju. Wydziedziczony

Rycerz odpowiedział odmownie na ich prośbę, choć po rycersku

uprzejmie, tłumacząc, że nie wolno mu w tym czasie odsłonić twarzy dla

przyczyn, które podał heroldom, gdy wchodził w szranki. Marszałkowie

zadowolili się tą odpowiedzią, gdyż pośród częstych i dziwacznych

ślubów, jakimi w owych czasach się wiązano, bardzo pospolity był ślub,

który nakazywał rycerzowi zatajenie swego imienia na pewien okres

lub dopóki nie dokona jakiegoś znakomitego czynu. Marszałkowie

uszanowali więc tajemnicę Wydziedziczonego Rycerza i oznajmiwszy

księciu Janowi, że chce on pozostać nie znany, prosili, by stawił się przed oblicze władcy dla odebrania z jego rąk zasłużonej nagrody.

Tajemnica nieznanego zaostrzyła ciekawość księcia Jana, a że był niezadowolony z wyniku turnieju, podczas którego rycerze cieszący się jego względami kolejno zostali pokonani przez jednego przeciwnika, odpowiedział wyniośle marszałkowi:

— Na Najświętszej Panny świetliste liczko! Ten rycerz jest widocznie wydziedziczony nie tylko ze swych posiadłości, ale i z grzeczności, jeśli nie chce stanąć przed nami z odsłoniętą przyłbicą. Panowie — zwrócił się do dworzan — czy wiecie, kim jest ten śmiałek, co się tak wysoko nosi?

— Nie odgadnę — odparł de Bracy — i nie myślałem, by w obrębie tych czterech mórz, co oblewają Anglię, znalazł się zawodnik, który by mógł pokonać w jednym dniu owych pięciu rycerzy. Dalibóg, do końca życia nie zapomnę, z jaką siłą zwałił Viponta! Biedny joannita wyleciał z siodła jak z procy.

— Nie szydźcie z nas — odezwał się jeden z obecnych joannitów. — Waszemu templariuszowi nie lepiej się powiodło. Widziałem, jak wasz dzielny Bois-Guilbert trzykrotnie potoczył się po ziemi, za każdym razem chwytając rękami garście piachu.

De Bracy, przychylny templariuszom, byłby mu coś odrzekł, ale książę Jan zawołał:

— Zamilczcie, panowie! Zbędne to swary!

— Zwycięzca — rzekł Wyvil — czeka na wolę waszej miłości.

— *Wola jest naszą — odparł Jan — by czekał, póki się nie znajdzie ktoś, co zdoła przynajmniej odgadnąć jego imię i godność. A choćby czekał do nocy, po takich trudach nie będzie mu zimno.*

— *Wasza miłość — odezwał się Waldemar Fitzurse — uchybi względom należnym zwycięzcy, jeżeli każe mu czekać, póki nie wyjawimy tego, czego nie możemy przecie wiedzieć. Ja przynajmniej nie podejmuję się odgadnąć... chyba że jest on jednym z owych dzielnych rycerzy, którzy towarzyszyli królowi Ryszardowi do Palestyny i którzy teraz, błądząc samopas, wędrują do kraju z Ziemi Świętej.*

— *Może to grabia z Salisbury? — rzekł de Bracy. — Podobnego jest wzrostu.*

— *Snadniej Tomasz de Multon, pan na Gilsland; Salisbury jest bardziej pleczysty — wtrącił Fitzurse.*

Wśród dworzan poszedł szept:

— *Może to król? Może to sam Ryszard Lwie Serce?*

— *Nie daj Boże! — zawołał mimo woli książe Jan i zbladł jak śmiertelne giezło; drżał, jakby grom padł u jego stóp. — Waldemarze! De Bracy!*

Dzielni rycerze i panowie, pomnijcie o waszej obietnicy, że mnie nie poniechacie w potrzebie!

— *Nie grozi nam to ninie — rzekł Waldemar Fitzurse. — Czyżbyś, książe, zapomniał o krzepkiej postaci swego brata, że sądzisz, iżby wdział na się tę zbroję? De Wyvil i Martival! Przysłużycie się najlepiej księciu, gdy spiesznie przyprowadzicie zwycięzcę przed jego tron i wyjaśnicie pomyłkę, która bladością okryła jego lice. Wasza książęca mość —*

ciągnął dalej — przyjrawszy się bacznie Wydziedziczonemu Rycerzowi zauważy, że on jest o trzy cale niższy od króla Ryszarda, a dwa razy szczuplejszy w barach. Koń zaś, którego dosiada, nie uniósłby ciężaru króla nawet w jednej gonitwie.

Gdy mówił, marszałkowie podprowadzili Wydziedziczonemu Rycerza do drewnianych stopni prowadzących ze szranków do tronu księcia Jana. Księżę nie ochłonął jeszcze po przypuszczeniu, że jego brat, tak bardzo przez niego skrzywdzony, a któremu tyle zawdzięczał, nagle powrócił do kraju. Nawet różnice w wyglądzie, podkreślone przez Fitzurse'a, nie uciszyły całkowicie obaw Jana, toteż gdy w zwięzłych słowach chwalił z zakłopotaniem zastugi Wydziedziczonemu Rycerza i polecił wydać mu bojowego rumaka, stanowiącego nagrodę za zwycięstwo, lękał się jeszcze, czy ta postać zakuta w zbroję nie odezwie się spod przyłbicy głębokim i donośnym głosem Ryszarda Lwie Serce.

Lecz Wydziedziczony Rycerz nie odpowiedział ani słowa na pochwalną mowę księcia — złożył mu tylko głęboki ukłon.

Dwaj pacholcy w bogatych strojach wprowadzili w szranki rumaka, którego okrywał cenny rząd; niewiele jednak dodawał on wartości szlachetnemu zwierzęciu w oczach znawców. Oparłszy dłoń na lęku Wydziedziczony Rycerz wskoczył lekko na siodło, nie dotknąwszy strzemięcia nogą, i potrząsając kopią objechał dwukrotnie szranki, zmieniając chody konia z biegłością wytrawnego jeźdźca.

To popisywanie się zręcznością byłoby może przypisane próżności rycerza, gdyby nie chodziło tu o przedstawienie w jak najlepszym

świetle nagrody książęcej, co znów wywołało oklaski obecnych.

Tymczasem zawsze prędko opat z Jorvaulx przypomniał szeptem księciu Janowi, że zwycięzca, dowiodłszy swej odwagi, powinien dać również dowody swego smaku wybierając spośród piękności zdobiących trybuny damę, która by zasiadła na tronie Królowej Urody i Miłości i uwieńczyła następnego dnia zwycięzcę turnieju. Książę uczynił więc znak buławą, gdy rycerz mijał go, objeżdżając po raz wtóry szranki.

Wydziedziczony Rycerz zwrócił się do tronu i opuściwszy kopię na stopę od ziemi, stanął bez ruchu, jakby czekając na rozkaz księcia Jana.

Wzbudził przy tym ogólny podziw niezwykłą zręcznością, z jaką zmusił swego ognistego wierzchowca do przejścia od pełnego galopu do nieruchomego spokoju posągu.

— Wydziedziczony Rycerzu, boć jest to jedyny tytuł, z jakim możemy się do ciebie zwrócić — przemówił książę Jan — obecnie twym obowiązkiem, a zarazem przywilejem, jest wybrać piękną damę, która jako Królowa Urody i Miłości przewodniczyłaby w jutrzejszym turnieju. Gdybyś jako obcy w naszym kraju potrzebował rady przy dokonywaniu tego wyboru, zwrócę ci uwagę, że Alicja, córka walecznego rycerza Waldemara Fitzurse, jest uważana na naszym dworze za najpiękniejszą damę tak wdziękami, jak i dostojnością. Zresztą jest to twoim niezaprzeczalnym przywilejem ofiarować wybranej przez siebie damie wieniec, który uczyni z niej królową jutrzejszego turnieju. Podnieś, rycerzu, kopię.

Rycerz usłuchał, a książę włożył na ostrze kopii opaskę z zielonego

atlasu, ujętą w złotą obręcz zakończoną wystającymi ostrzami strzał na przemian z sercami, jak na książęcej koronie umieszczone są na przemian kulki i liście poziomkowe.

Księżę Jan uczynił niedwuznaczną wzmiankę o córce Waldemara Fitzurse z kilku powodów, których należy szukać w jego charakterze będącym dziwną mieszaniną lekkomyślności i zarozumiałości z podłą chytrą i przebiegłością. Przede wszystkim pragnął wymazać z pamięci rycerzy ze swego otoczenia swój nieprzystojny żart tyczący się Żydówki Rebeki; chciał też pozyskać sobie Waldemara, ojca Alicji, z którym się liczył, zwłaszcza że ten okazał mu dziś kilkakrotnie swe niezadowolenie; na koniec, chciał sobie zasłużyć na względy tej damy, gdyż Jan był przynajmniej równie rozwiązły jak ambitny. Ale nade wszystko chciał z Waldemara uczynić wroga Wydziedziczonego Rycerza, którego księżę już znienawidził; gdyby bowiem rycerz, jak należało przypuszczać, uczynił wybór inny, Fitzurse będzie to uważał za krzywdę wyrządzoną jego córce.

I tak istotnie się stało. Wydziedziczony Rycerz minął trybunę obok książęcego tronu, gdzie lady Alicja roztaczała swe dumne wdzięki, i zwolniwszy klusa, jakim objeżdżał dotychczas szranki, zdawał się, korzystając ze swego prawa, przyglądać się tłumom pięknych twarzy, zdobiących to wspaniałe zgromadzenie. Warto było popatrzeć na rozmaite zachowanie się piękności podczas tego przeglądu. Jedne się czerwieniły, inne przybierały postawę dumną i godną, inne znów patrzyły prosto przed siebie i starały się udawać obojętność na to, co się

działo dokoła; jedne cofały się z lękiem, który może był udany; inne usiłowały ukryć uśmiech, a kilka śmiało się otwarcie. Były też takie, które skryły swe wdzięki pod zasłoną, ale rękopis z Wardour mówi, że były to piękności sprzed dziesięciu lat, można więc mniemać, że nasycone już próżnościami tego świata, chętnie ustępowały miejsca rozwijającym się dopiero wdziękom.

Na koniec zwycięzca zatrzymał się pod trybuną, na której siedziała lady Rowena, i wtedy zaciekawienie widzów doszło do największego napięcia.

Przyznać należy, że gdyby Wydziedziczony Rycerz mógł ocenić życzliwość widzów, towarzyszącą jego zwycięstwu, i gdyby mogła go ona przekupić, uczciłby właśnie tę trybunę, przy której się zatrzymał.

Cedryk Sakson cieszył się niezmiernie z upokorzenia templariusza, a bardziej jeszcze z klęski swych dwóch złych sąsiadów, Bawolego Łba i Malvoisina, wychylony więc z trybuny do połowy ciała, śledził zwycięzcę podczas każdej walki nie tylko oczami, lecz całym sercem i duszą. Lady Rowena patrzyła też na wypadki tego dnia z wielką uwagą, choć nie zdradzała otwarcie swego żywego nimi zajęcia. Nawet obojętny Athelstan otrząsnął się, rzekłbyś, ze zwykłej apatii, rozkazał, by mu podano wielki złoty puchar muszkatołowego wina i wzniosł nim zdrowie Wydziedziczonego Rycerza.

Inna grupa widzów, siedząca na dole pod trybuną zajęta przez Saksończyków, okazywała nie mniejsze zainteresowanie wydarzeniami tego dnia.

— *Ojcie Abrahamie!* — zawołał Izaak z Yorku, gdy odbywała się pierwsza walka między templariuszem a Wydziedziczonym Rycerzem.

— *Jakże nierozważnie jedzie ten niewierny! Jakby nie dosiadał świętego rumaka przywiezionego aż hen, z Berberii! Dbaj o niego tyle, co o źrebię dzikiego osła! I z tą wspaniałą zbroją obchodzi się tak, jakby ją znalazł na gościńcu, a ileż trzeba było za nią zapłacić cekinów**
Józefowi Pereira z Mediolanu, nie licząc siedemdziesięciu procent zysku!

**/Cekiny — weneckie monety.*

— *Jeśli, ojcie, naraża tak bardzo własną osobę — wtrąciła Rebeka — dlaczego by miał bardziej oszczędzać konia i zbroję?*

— *Moje dziecko — odparł Izaak rozgorączkowany — nie wiesz, co mówisz. Jego szyja i członki należą do niego, lecz koń i zbroja należą...*

Wielki Boże! Czegom to o mało nie powiedział! Ale mimo wszystko dobry to młodzieniec. Spójrz, Rebeko, spójrz! Znow będzie walczył z Filistynem! Módl się, dziecko, módl się do Boga, żeby oszczędził dobrego młodzieńca, bystrego rumaka i bogatą zbroję. Boże moich przodków — zawołał znow Izaak — on zwyciężył! A nie obrzezany Filistyn padł pod uderzeniem włóczni, jak Og, król Basramu, i Sikon, król Antorytów, legli pod ciosami naszych przodków! Z pewnością zdobędzie ich złoto i srebro, ich bojowe konie i zbroje z miedzi i stali jako łup!

Zacny Żyd w czasie wszystkich następnych walk okazywał ten sam niepokój, rzadko zapominając obliczyć naprędce cenę konia i zbroi, jakie przypadają zwycięzcy przy każdym nowym powodzeniu. Jak widzimy, los Wydziedziczzonego Rycerza żywo obchodził widzów

siedzących na tej trybunie, przed którą się zatrzymał.

Czy to brak decyzji, czy inny jakiś powód skłoniły zwycięzcę do zatrzymania się bez ruchu przez chwilę, a oczy milczących widzów śledziły jego gesty. Na koniec, zniżając stopniowo i z wdziękiem ostrze swej włóczni, zsunął znajdujący się na nim wieniec do stop Roweny.

Natychmiast rozległ się dźwięk trąb, a heroldowie ogłosili lady Rowenę Królową Urody i Miłości na następny dzień, grożąc karami tym, którzy byliby jej nieposłuszni.

Po czym powtórzyli okrzyk: „Bądźcie hojni, rycerze!”, na co Cedryk, uniesiony radością, obdarował ich szczodrze, a Athelstan, choć nie z takim pośpiechem, dorzucił nie mniejszą sumę.

Szmer rozległ się wśród dziewic normandzkich, nie przyzwyczajonych, by dawano przed nimi pierwszeństwo saksońskim pięknościom, tak jak normandzcy rycerze nie przywykli do porażek w czasie igrzysk, które sami wprowadzili. Lecz te głosy niezadowolenia stłumił krzyk tłumu:

„Niech żyje lady Rowena, prawnie wybrana Królową Miłości i Urody!”

A u stóp trybuny dodawano: „Niech żyje saksońska księżniczka! Niech żyje ród nieśmiertelnego Alfreda!” Jakkolwiek okrzyki te zapewne nie w smak były księciu Janowi i jego otoczeniu, czuł się jednak zmuszony potwierdzić wybór zwycięzcy. Kazał podać sobie konia, opuścił tron i dosiadłszy wierzchowca, wraz ze swą świtą wjechał znów w szranki.

Zatrzymał się przez chwilę u stóp trybuny lady Alicji, którą powitał, mówiąc do swego otoczenia:

— Klnę się na wszystkie świętości, panowie, że jeśli czyny bojowe tego

rycerza dowiodły siły jego ramion i mięśni, wybór jego dowodzi, że wzrok ma słaby!

W tym wypadku, jak zresztą przez całe jego życie, nieszczęściem Jana był brak zrozumienia charakteru tych, których chciał sobie zjednać.

Waldemar Fitzurse czuł się bardziej obrażony niż zadowolony, że książkę tak otwarcie wspomina o niepowodzeniu jego córki.

— Nie znam cenniejszego i bardziej nienaruszalnego przywileju rycerstwa nad ten, który każdemu wolnemu rycerzowi pozwala wybierać damę serca. Moja córka nie dobija się o niczyje hołdy, a pośród równych sobie na pewno zyska uznanie, jakie jej się należy.

Książę Jan nic mu nie odpowiedział, lecz spiął konia ostrogami, jakby dając upust swemu niezadowoleniu, i poskoczył galopem do trybuny, gdzie siedziała lady Rowena mając wciąż u swych stóp wieniec.

— Przyjm, piękna pani, tę oznakę swej władzy, a nikt szczerzej nie składa ci hołdu niż my, Jan Andegaweński. Jeżeli zechcesz zaszczyścić dziś swoją obecnością wraz ze szlachetnym twym opiekunem i przyjaciółmi ucztę na zamku Ashby, radzi będziemy bliżej poznać królową, której jutro służyć będziemy.

Rowena milczała, a Cedryk odpowiedział w swym ojczystym saksońskim języku:

— Lady Rowena nie zna języka, w którym powinna by odpowiadać waszej książęcej mości czy też podtrzymywać rozmowę w czasie uczyty.

Ja również, podobnie jak i szlachetny Athelstan z Coningsburgha, znam tylko język i obyczaje naszych przodków. Dziękujemy więc za

zaproszenie na ucztę, lecz przyjąć go nie możemy. Jutro lady Rowena wypełni obowiązki, do jakich została wybrana przez zwycięskiego rycerza i który to wybór potwierdziły okrzyki tłumu.

Mówiąc to, podniósł wieniec i włożył go na głowę lady Roweny, dając tym poznać, że przyjęła przyznaną jej czasowo władzę.

— Co on powiedział? — zapytał książę udając, że nie zna saksońskiego języka, choć, po prawdzie, doskonale go rozumiał. Powtórzono mu po francusku znaczenie słów Cedryka.

— To dobrze — rzekł. — Jutro posadzimy tę niemą królową na tronie. Ale przynajmniej ty, panie rycerzu — dodał zwracając się do zwycięzcy, który pozostał w pobliżu trybuny — zechcesz chyba zasiąść z nami do uczy?

Rycerz odezwał się po raz pierwszy cichym i śpiewnym głosem.

Wymówił się zmęczeniem oraz koniecznością przygotowania się do jutrzejszej walki.

— Doskonale! — zawołał książę Jan wyniosłym tonem. — Acz nie jesteśmy przyzwyczajeni, by nam odmawiano, będziemy starali się spożyć jak się da naszą ucztę, choć zwycięzca i wybrana przez niego Królowa Piękności nieradzi ją zaszczyścić swoją obecnością.

Mówiąc to, opuścił szranki, a jego odjazd stał się sygnałem rozejścia się widzów.

Obrażona duma ma mściwą pamięć, szczególnie gdy łączy się z poczuciem niższości, toteż zaledwie książę Jan odjechał trzy kroki, odwrócił się i wlepił wzrok pełen posepnego gniewu w łuczника, który

mu się tego dnia rano naraził, i rozkazał strażnikom stojącym blisko:

— Nie dajcie mu uciec, życiem za to odpowiadacie!

Łucznik wytrzymał rozwścieczone spojrzenie księcia z nieulętkłym spokojem, jaki już poprzednio okazał, i rzekł z uśmiechem:

— Nie opuścę Ashby wcześniej jak pojutrze. Chcę zobaczyć, jak łucznicy z hrabstwa Strafford i Leicester władają swoją bronią. Lasy Needwood i Charmwood kryją zapewne dobrych łuczników.

— A ja — księżę zwrócił się do swoich dworzan nie odpowiadając wprost łucznikowi — chciałbym zobaczyć, jak on sam napina łuk. Biada mu, jeśli zręcznością nie zdoła okupić swego zuchwalstwa!

— Czas już — rzekł de Bracy — poskromić bezczelność tych chłopów jakąś dobrą nauczka.

Waldemar Fitzurse uważał zapewne, że pan jego nie obrał najlepszej drogi do zdobycia sobie przychylności pospólstwa, wzruszył więc ramionami i milczał. Księżę Jan opuścił szranki, a tłumy widzów poszły za jego przykładem.

Widać ich było na równinie oddalających się większymi i mniejszymi gromadkami w różne strony, zależnie od tego, skąd przybyli.

Największa ich liczba kierowała się do Ashby, gdzie wiele znaczniejszych osób znalazło pomieszczenie w zamku, gdy inni zakwaterowali się w samym mieście. Wśród tych ostatnich znajdowała się większość rycerzy, którzy już wzięli udział w turnieju lub którzy mieli walczyć nazajutrz; gdy jechali wolno, rozmawiając o zdarzeniach tego dnia, witały ich głośne okrzyki pospólstwa. Takie same okrzyki

rozbrzmiewały na widok księcia Jana, ale zawdzięczał je raczej bogactwu swego stroju i świetności orszaku niż przywiązaniu gminu. Bardziej szczerze, jednogłośnie i zasłużone okrzyki witały zwycięzcę. Rycerz, chcąc się ukryć przed ciekawością tłumów, przyjął wreszcie jeden z namiotów ofiarowany mu uprzejmie przez marszałków turnieju. Skoro wszedł do środka, liczne rzesze, przebywające wciąż jeszcze w obrębie szranków, by się mu przyglądać i snuć tyczące się go domysły, też się rozeszły.

Gwar zgromadzonych tłumów, przejętych wypadkami tego dnia, przemienił się w daleki szmer głosów oddalających się w różne strony, po czym szybko ucichł. Słysząc już było tylko głosy sług uprzątających z trybun poduszki i obicia, by je przez noc przechować, wydzierających sobie na wpół opróżnione butelki wina i resztki poczęstunku podawanego z rozkazu księcia widzom.

W pobliżu szranków wzniesiono kilka kuźni; rozbłyły one teraz w mroku, dowodząc pracowitości płatnerzy, którzy w nocy mieli naprawiać zbroje do jutrzejszej walki.

Liczna, zbrojna straż, zmieniana co dwie godziny, otaczała szranki przez całą noc.

X

Jak kruk, co wróży nieszczęście i w dziobie

Glejt dla chorego na tamten świat niesie,

A w mrokach nocy milczącej otrząsa

Na ziemię z czarnych piór straszną zarazę —

Tak udręczony i wściekły Barabasza

Z klątwą na ustach mknie ku chrześcijanom.

CH. MARLOWE: Żyd z Malty

Zaledwie Wydziedziczony Rycerz wszedł do swego namiotu, liczni giermkowie i paziowie przyszedli ofiarować mu swe usługi przy zdejmowaniu broni, wdziwaniu świeżej odzieży oraz przy orzeźwiającej kąpieli. Gorliwość ich zapewne podsycała ciekawość, każdy z nich bowiem chciał ujrzeć rycerza, zdobywcę tylu wawrzynów, który nawet na rozkaz księcia Jana nie chciał podnieść przyłbicy i wyjawić swego imienia. Lecz ich uprzejma ciekawość nie została zaspokojona. Wydziedziczony Rycerz odrzucił ich propozycję, zadowolając się służbą własnego giermka czy raczej łucznika o wyglądzie wieśniaka, odzianego w ciemną opończę z normandzkim kapturem z czarnego futra, głęboko nasuniętym na głowę i twarz. Zdawał się on na równi ze swym panem dbać o to, by pozostać nie znanym. Gdy wszyscy już wyszli z namiotu, sługa uwolnił swego pana od najbardziej niewygodnych części zbroi i postawił przed nim wino i jadło, tak upragnione po trudach tego dnia.

Zaledwie rycerz skończył jeść swój śpieszny posiłek, sługa oznajmił mu, że pragnie z nim mówić pięciu ludzi, z których każdy prowadzi wierzchowca w kropierzu i blachach. Wydziedziczony Rycerz przebrał się już w długą szatę noszoną wówczas przez ludzi jego stanu, zaopatrzoną w kaptur mogący w razie potrzeby zasłonić twarz nieomal tak dokładnie jak przyłbica szyszaka. Co prawda zmrok, szybko teraz

zapadający, czynił przebranie niepotrzebnym, chyba przed osobą, która znałaby dobrze Wydziedziczonego Rycerza.

Wyszedł on śmiało przed namiot i zastał tam stojących na baczność giermków wyzywających rycerzy; poznał ich z łatwością po szatach purpurowo-czarnych; każdy z nich przyprowadził wierzchowca swego pana wraz ze zbroją, w której walczył tego dnia.

— Stosując się do praw rycerskich — rzekł pierwszy z nich — ja, Baldwin Ogley, giermek groźnego rycerza Briana de Bois-Guilbert, przychodzę ofiarować tobie, mianującemu się ninie Wydziedziczonym Rycerzem, konia i zbroję używane przez wyżej wymienionego Briana de Bois-Guilbert w dzisiejszych gonitwach, pozostawiając do wyboru twej wspaniałomyślności, czy zechcesz je zatrzymać, czy też naznaczysz okup. Takie jest bowiem prawo rycerskie.

Inni giermkowie powtórzyli nieomal bez zmiany tę formułę, po czym czekali na wolę zwycięzcy.

— Wam czterem, giermkowie — odparł rycerz zwracając się do czterech ostatnich — oraz waszym cnym i walecznym panom dam wspólną odpowiedź. Pozdrówcie ode mnie szlachetnych rycerzy, a waszych panów, i powiedzcie, że wyrzucalbym sobie, gdybym ich pozbawił zbroi i koni, bowiem nie mogliby ich dosiąść dzielniejsi od nich jeźdźcy.

Pragnąłbym na tym rzecz moją zakończyć, lecz będąc prawdziwie jak i z imienia Wydziedziczonym Rycerzem, trza mi prosić waszych panów, aby wykupili swe wierzchowce i zbroje, jako że nawet zbroi noszonej przeze mnie nie mogę nazwać własną.

— Zlecono każdemu z nas — odparł giermek Reginalda zwanego Bawoli

Łeb — ofiarować sto cekinów jako wykup konia i zbroi pana.

— Wystarczy — rzekł Wydziedziczony Rycerz. — Okoliczności, w jakich się znalazłem, zmuszają mnie do przyjęcia połowy tej sumy; co zaś do reszty, to jedną jej połowę podzielcie się, giermkowie, a drugą rozdajcie heroldom, ich sługom, minstrelom i pacholkom.

Giermkowie z odkrytymi głowami wyrazili mu podziękę za taką wspaniałomyślność i nieczęsto się zdarzającą hojność. Wydziedziczony Rycerz zwrócił się teraz do Baldwina, giermka Briana de Bois-Guilbert.

— Od twego pana — rzekł — nie przyjmę ani broni, ani konia. Powiedz mu w moim imieniu, że nasz zatarg jeszcze nie zakończony. Skończy się dopiero wtedy, gdy się spróbujemy zarówno na miecze, jak na włócznie, pieszo, jak konno. Sam mnie wyzwiał na śmiertelną walkę i ja mu tego nie zabaczę. Powiedz mu, że tymczasem nie traktuję go tak, jak jego towarzyszy, miło mi bowiem świadczyć im grzeczności, a on mi jest śmiertelnym wrogiem.

— Mój pan — odparł Baldwin — umie odpłacić wzgardą za wzgardę, ciosem za cios, a grzecznością za grzeczność. Ponieważ pogardziłeś okupem, któryś nałożył na oręż innych rycerzy, muszę ostawić tu jego zbroję i konia; mniemam bowiem, iż nigdy już nie zechce dosiąść tego wierzchowca ani przywdziać tej zbroi.

— Sprawiedliwie rzekłeś, zacny giermku — rzekł Wydziedziczony Rycerz — sprawiedliwie i śmieie, jak przystoi temu, kto przemawia w imieniu nieobecnego pana. Nie ostawiaj tu konia i zbroi. Oddaj je

swemu panu, ale jeśli wzgardzi nimi, zatrzymaj je sobie, przyjacielu.

Ponieważ są moje, więc ci je darowuję.

Baldwin, nisko się skłoniwszy, odszedł z towarzyszami, a

Wydziedziczony Rycerz wszedł do namiotu.

— Widziałeś, Gurcie — rzekł zwracając się do swego sługi — że sława angielskich rycerzy nie ucierpiała w mych rękach.

— A ja — dodał Gurt — jak na saksońskiego świniarka nieźle udawałem normandzkiego giermka.

— Juści — odparł Wydziedziczony Rycerz — jeno wciąż się bałem, czy twój wieśniaczy wygląd cię nie zdradzi.

— Ano — rzekł Gurt — nie boję się, by mnie kto poznał, chyba tylko jeden mój kompan Wamba, trefniś, który nie włada, czy jest większym obwiesiem, czy głupcem. Ale ledwie się wstrzymał od śmiechu, kiedy mój dawny pan przechodził podle mnie, myśląc, że Gurt pasa jego świnię kajś o milę stąd, w zaroślach i bagnach Rotherwoodu. Jeśli mnie odkryją...

— Dość — rzekł Wydziedziczony Rycerz. — Znasz moją obietnicę!

— Nie stoję o to — odparł Gurt. — Nie poniecham przyjaciela ze strachu o własną skórę. Grubą ci ją mam, wytrzymałą na nóż czy chłostę jak skóra moich wieprzy.

— Zawierz mi, że wynagrodzę cię za niebezpieczeństwo, na jakie się narażasz z przywiązania do mnie — rzekł rycerz. — A ninie weź te dziesięć sztuk złota.

— Bogatszy jestem bez ochyby od wszystkich świniarków i ludzi

niewolnych! — zawołał Gurt.

— Zaniesiesz ten trzos ze złotem do Ashby — ciągnął dalej jego pan. —

Wyszukaj tam Żyda z Yorku, imieniem Izaak: niechaj weźmie sobie zapłatę za konia i zbroję, którą mi zakredytował.

— Na świętego Dunstana! — odparł Gurt. — Tego nie uczynię.

— Jak to, pacholku? — odparł jego pan. — Nie postuchasz mego rozkazu?

— Postucham rozkazu uczciwego, rozumnego i chrześcijańskiego —

odparł Gurt — ale nie takiego. Nie byłoby uczciwe dopuścić, by Żyd sam sobie wyznaczał zapłatę, bo to byłoby oszukiwaniem mego pana.

Byłoby to nierozumnie, głupio i nie po chrześcijańsku; byłaby to grabież chrześcijanina dla wzbogacenia Żyda.

— Bacz, głupcze, byś go jednak zadowolił! — zawołał rycerz.

— Uczynię to — odparł Gurt i schowawszy trzos pod opończę, opuścił namiot. — Diabła zje — mrucał odchodząc — jeśli go nie zadowolę połową tego, czego zażąda.

Mówiąc to, odszedł pozostawiawszy Wydziedziczonego Rycerza

pogrążonego w przykrych rozmyślaniach, do których miał wiele

niepokojących i bolesnych powodów, lecz obecnie nie możemy się jeszcze nimi podzielić z czytelnikami.

Musimy się na razie przenieść do wioski Ashby, a raczej do wiejskiego

domku stojącego na przedmieściu i należącego do bogatego Żyda, u

którego zatrzymał się Izaak z córką i służbą. Wiadomo, że Izraelici

ściśle spełniają obowiązki gościnności i miłosierdzia względem swoich

współwyznawców, jednocześnie niechętnie się odnosząc do tych, których nazywają Nazarejczykami; sposób, w jaki Żydzi byli przez tych ostatnich traktowani, nie zachęcał bowiem do okazywania im gościnności.

W niewielkiej izbie, bogato urządzonej na modłę wschodnią, Rebeka siedziała na stosie haftowanych poduszek, ułożonych wzdłuż niskiego podwyższenia, zastępującego krzesła i stołki, które hiszpańską modą bieгло dokoła komnaty. Młoda Żydówka śledziła wszystkie poruszenia ojca wzrokiem, w którym odbijał się niepokój i czułość dziecięca, on zaś przechadzał się po izbie ze stroskaną twarzą, niespokojnym krokiem, to załamując dłonie, to podnosząc oczy w górę, jak gdyby trapiły go ciężkie troski.

— O Jakubie! — zawołał. — I wy praojcowie dwunastu pokoleń izraelskich! Co za nieszczęsne zdarzenie dla człowieka całe życie spełniającego co do joty wszystkie przepisy mojżeszowego zakonu!

Szpony tyrana wydarły mi za jednym zamachem pięćdziesiąt cekinów!

— Ależ, ojczy — odparła Rebeka — zdało mi się, żeś z dobrawoli dał to złoto księciu Janowi?

— Z dobrawoli! Niech spadną na niego wszystkie plagi egipskie! Z dobrawoli, powiadasz? Aj, równie z dobrawoli jak drzewiej, kiedy w Zatoce Lwów trza mi było wrzucić do morza wszystkie towary dla ulżenia statkowi, gdy walczył z nawałnicą.

— Z pewnością wszakże — odparła Rebeka — nie pożałujesz, żeś się odwdzięczył za usługę, jaką ci oddał ten nieznajomy rycerz.

— Nie wierzę — rzekł Izaak — w to, że oglądać będę na własne oczy mury i bastiony nowej świątyni Syjonu; tak samo nie wierzę, by chrześcijanin, choćby najlepszy z nich wszystkich, zapłacił dług Żydowi nie pod strachem sądu i więzienia.

Rzekłszy to, powrócił do swej niespokojnej przechadzki po izbie, a Rebeka widząc, że jej słowa pociechy były tylko powodem do nowych skarg, rozsądnie porzuciła te bezowocne wysiłki; przezorne to bardzo postępowanie i polecam je każdemu, kto w podobnych okolicznościach chce występować w roli pocieszyciela.

Mrok już zaczął zapadać, gdy żydowski sługa wszedł do izby i postawił na stole dwie srebrne lampy napelnione wonną oliwą; jednocześnie dwaj inni słudzy zastawili na wniesionym przez siebie małym, hebanowym stoliczku, wykładanym srebrem, najlepsze wino i najbardziej wyszukane potrawy, gdyż w swych domach bogaci Żydzi nie odmawiali sobie niczego. Jeden ze sług oznajmił wówczas Izaakowi, że jakiś Nazarejczyk (bo tak Żydzi zwali między sobą chrześcijan) chce się z nim widzieć. Ten, kto żyje z handlu, musi być na usługi każdego, kto ma do niego interes. Izaak natychmiast postawił na stole kielich greckiego wina nie pokosztowawszy go nawet, choć właśnie podnosił go do ust i rzekłszy pośpiesznie do córki: „Rebeko, zasłoń twarz”, kazał wprowadzić przybysza.

Zaledwie Rebeka zdążyła zakryć swą piękną twarz zasłoną ze srebrnej gazy spadającą aż do stóp, drzwi się otworzyły i wszedł Gurt, okryty szerokim, normandzkim płaszczem. Powierzchność miał bynajmniej

nie pociągającą, raczej podejrzaną, szczególnie że zamiast zdjąć czapkę, nasunął ją bardziej jeszcze na pomarszczone czoło.

— Czy to ty jesteś Żydem Izaakiem z Yorku? — zapytał Gurt po saksońsku.

— Tak jest — odparł Izaak w tym samym języku, jako że handel zmusił go do poznania wszystkich narzeczy, jakimi mówiono w Brytanii. — A jak ty się zwiesz?

— To cię nic nie obchodzi — odpowiedział Gurt.

— Tak samo jak ciebie moje imię — odparł Izaak. — Ale nie znając cię, jakże mam z tobą gadać?

— Łatwo się dogadamy — powiedział Gurt — gdyż przybyłem tu, by zapłacić, muszę tedy wiedzieć, że pieniądze doręczam, komu należy.

Tobie, który masz pieniądze odebrać, myślę, że obojętne będzie, czyje ręce ci je oddadzą.

— Och — zawołał Żyd — przybyłeś zapłacić?! Święty ojciec Abrahamie! To zmienia całą sprawę. A od kogo przynosisz pieniądze?

— Od Wydziedziczonego Rycerza — rzekł Gurt — zwycięzcy dzisiejszego turnieju. Przyniosłem należność za zbroję dostarczoną mu za twoją poręką przez Kiriatha Jaira z Leicesteru. Konia odprowadziłem do twej stajni. Chciałbym wiedzieć, jaką sumę mam zapłacić za zbroję.

— Mówiłem, że to zacny młodzieniec! — zawołał Izaak z radością. — Nie zaszkodzi ci kielich wina — dodał i nalał świniarkowi napój tak znakomity, jakiego ten nigdy jeszcze nie kosztował. — A ileś przyniósł pieniędzy? — ciągnął dalej Izaak.

— *Najświętsza Panno!* — rzekł Gurt stawiając na stole kielich. — *Co za nektar piją te niewierne psy, gdy prawdziwi chrześcijanie muszą żłopać piwo tak mętne i gęste jak pomyje, którymi poimy wieprze! Ile przyniosłem pieniędzy?* — dodał przerywając swą grubiańską przemowę. — *Niewiele, choć nie przyszedłem z próżnymi rękami. Ale, Izaaku, chociażś Żyd, masz przecie sumienie?*

— *Twój pan* — rzekł Izaak — *zdożył dobre konie i bogate zbroje ostrzem swej włóczni i siłą swej prawicy. Lecz zacny to młodzian, przeto Żyd przyjmie to wszystko jako zapłatę, a nadwyżkę odda mu gotówką.*

— *Mój pan już rozporządził końmi i zbrojami* — rzekł Gurt.

— *O, to źle!* — odparł Żyd. — *Nierozsądnie sobie postąpił. Żaden chrześcijanin nie kupi tylu koni i zbroi, a żaden Żyd nie da mu i połowy tego, co ja. Ale masz chyba ze sto cekinów w tym trzosie* — ciągnął odchylając opończę Gurta. — *Ciężki bardzo.*

— *Mam w nim belty od strzał* — odparł bez wahania Gurt.

— *Aha* — rzekł Izaak niepewnie, wahając się między chęcią zysku a niezwykłym u niego pragnieniem okazania w tym wypadku wspaniałomyślności. — *A jeślibym za tę bogatą zbroję i tego doskonałego konia zażądał tylko osiemdziesiąt cekinów, nic wtedy na tym nie zarabiał, czy wysupłasz tyle pieniędzy?*

— *Z ledwością* — odparł Gurt, choć żądana suma była niższa, niż się spodziewał — *a mój pan zostanie wtedy bez grosza. Lecz jeżeli takie jest twoje ostatnie słowo, niech tak będzie.*

— *Nalej sobie jeszcze jeden kubek wina* — dodał Żyd. — *Ach!*

Osiemdziesiąt cekinów to bardzo mało. Nic nie zyskam wtedy na tej sumie, a ten piękny koń może ucierpieć dziś podczas spotkania.

Ciężka to była i niebezpieczna walka! Rycerze i rumaki, rzuciły się na siebie jak byki z Bashanu. Koń na pewno ochwacony?*

** Byk z Bashanu — wspomniany jest w jednym z psalmów.*

— Jużem ci mówił — odparł Gurt — że koń zdrow i cały, możesz go obejrzeć w twojej stajni. Iście siedemdziesiąt cekinów dość za zbroję, bez ochyby słowo chrześcijanina tyleż warte, co Żyda. Jak nie weźmiesz siedemdziesięciu cekinów, odniosę trzos memu panu! — I potrząsnął nim tak, aż pieniądze w nim zadźwięczały.

— Nie, nie — rzekł Izaak — daj te talenty, te szekele, te osiemdziesiąt cekinów, a zobaczysz, jaki będę dla ciebie hojny.

Gurt zgodził się wreszcie i odliczył na stół osiemdziesiąt cekinów, a Żyd wydał mu pokwitowanie na konia i zbroję.

— Osiemdziesiąt zamyka rachunek. Myślę, że twój pan wynagrodzi cię hojnie. Z pewnością — dodał spoglądając uważnie na trzos — masz w tym mieszkui więcej pieniędzy?

Gurt wykrzywił się, co zastępowało u niego uśmiech, i odparł:

— Mniej więcej drugie tyle, coś przerachował tak dokładnie. Złożył starannie kwit i schował go pod czapkę, dodając:

— Biada twojej brodzie, jeśliś nie zapisał tego uczciwie i w porządku.

Nie proszony nalał sobie trzeci kubek wina i opuścił komnatę bez ceremonii.

— Rebeko — rzekł Izaak — ten Izmaelita trochę za wiele sobie pozwala.

Ale niech tam! Jego pan jest zacnym młodzieńcem i cieszę się, że zarobił złote i srebrne szekele rącością swego konia i mocą swej włóczni.

Gdy odwrócił się, by usłyszeć odpowiedź Rebeki, przekonał się, że podczas targów z Gurtem niepostrzeżenie opuściła izbę.

Tymczasem Gurt zszedł ze schodów i gdy w ciemnej sieni szukał omackiem drzwi wejściowych, biała postać, na którą padał blask od małej srebrnej lampki trzymanej w ręce, skinęła na niego, przyzywając go do komnaty na uboczu. Gurt zawahał się, czy ma usłuchać. Jak dzik odważny i gwałtowny, gdy chodziło o ziemskie potęgi, żywił jak wszyscy Saksończycy zabobonny lęk, przyniesiony przez ich przodków z puszczy germańskich, przed leśnymi stworami, upiorami i białymi zjawami. Poza tym pamiętał, że jest w domu Żyda, należącego do narodu, który powszechnie oskarżano nie tylko o różne przykre wady, lecz także o zajmowanie się czarną magią i kabalistycznymi praktykami. Jednak po krótkim wahaniu posłuchał wezwania zjawy i wszedł za nią do wskazanej przez nią komnaty; tam przekonał się z radością, że pod białą postacią jego przewodniczki kryła się piękna Żydówka, którą widział na turnieju i przez krótką chwilę w komnacie jej ojca. Rozpytywała go o szczegóły układu zawartego z Izaakiem, które on dokładnie powtórzył.

— Mój ojciec żartował tylko, mój dobry człowieku — rzekła Rebeka — winien on jest twemu panu dziesięciokrotnie więcej, niż jest wart koń i zbroja. Ile zapłaciłeś memu ojcu?

— Osiemdziesiąt cekinów — odparł Gurt zdziwiony tym pytaniem.

— *W tej sakiewce — rzekła Rebeka — znajdziesz sto cekinów. Oddaj twemu panu, co mu się należy, a resztę zachowaj dla siebie. Spiesz się, nie trać czasu na podziękowania i miej się na baczności przechodząc przez to ludne miasto, gdyż snadnie możesz stracić sakiewkę i życie.*

Ruben — zawołała klaszcząc w dłonie — poświęć temu obcemu i pamiętaj zamknąć za nim skobel i antabę!

Ruben, Izraelita o ciemnych brwiach i czarnej brodzie, usłuchał rozkazu: z pochodnią w ręku otworzył drzwi wejściowe i przeprowadziwszy Gurta przez brukowany podwórzec, wypuścił go furtką w bramie, którą zabezpieczył następnie takimi zasuwami i łańcuchami, jakie mogłyby śmiało zamykać więzienie.

„Na świętego Dunstana — rzekł Gurt do siebie, krocząc ciemną ulicą — to nie Żydówka, ale istny anioł z nieba! Dziesięć cekinów od mojego zacnego pana, dwadzieścia od tej perły Syjonu! Co za szczęśliwy dzionek! Jeszcze jeden taki dzień, Gurcie, a zrzucisz swe więzy i staniesz się wolnym człkiem! Wtedy pożegnam się z mym rogiem i kijem świniarka, wezmę miecz i puklerz i będę służył memu młodemu panu aż do śmierci, nie kryjąc już ani mej twarzy, ani imienia”.

XI

I Zbójca

Hej, stójcie, panie! Odrzućcie precz wszystko -

Inaczej siłą do cna was obierzem.

Śpioch

Tośmy zgubieni. Panie, to te lotry,

Których tak wszyscy boją się podróżni.

Walentyn

Druhowie!

I Zbójca

Gdzież tam! Myśmy raczej wrogi.

II zbójca

Cicho! Słuchajcie!

III Zbójca

Na brodę, słuchajmy, To jakiś szlachcic...

W. SZEKSPIR: Dwaj panowie z Werony

Nie skończyły się jednak nocne przygody Gurta; on sam obawiał się ich,

gdy minąwszy parę domów, stojących osobno na końcu wioski, znalazł

się w wąwozie między dwoma wzgórzami porośniętymi leszczyną i

ostrokrzewem, spośród których gdzieś tam karłowaty dąb wyciągał

ramiona ponad ścieżką. Poza tym droga była wyboista i porżnięta

koleinami wozów, które ostatnio przewoziły różne materiały potrzebne

do urządzenia turnieju; panowały też na niej ciemności, gdyż urwisko i

krzewy przysłaniały światło jesiennego księżyca.

Z wioski dochodziły dalekie odgłosy hulanki, zmieszane z głośnymi

śmiechami; czasem dolatywały stamtąd wrzaski, czasem przytłumione

dźwięki prostej muzyki. Wszystkie te hałasy, przywodzące na myśl

Gurtowi rozprężenie w mieście przepelnionym tłumem rycerzy i

rozpasanych pacholków, napawały go niepokojem.

„Słuszność miała Żydówka — myślał sobie. — Klnę się na niebo i jego

świętych, chciałbym już być bezpieczny u celu mej drogi z tym skarbem!

*Tylu, że tak rzeknę, jest tutaj nie tylko wałęsających się łotrów, ale także błędnych rycerzy i nobilów, wędrownych mnichów, rybaltów, igrców i goliardów, że człowiek, który miałby jednego tylko tynfa, byłby już w niebezpieczeństwie, a co mówić o wędrownym świniarku z całym mieszkaniem cekinów! Chciałbym się co rychlej wydostać z tej diabelskiej ołomy w onych krzaczach, żebym choć mógł dojrzeć sługi świętego Mikołaja *, zanim skoczą mi do gardła".*

**/ Św. Mikołaj był w dawnej Anglii patronem podróżnych, stąd przypuszczalnie jego władztwo nad zbójcami.*

Gurt przyśpieszył więc kroku, by wydostać się prędzej na pastwisko, którym kończył się wąwóz, ale mu się to nie udało. W chwili bowiem, gdy znalazł się u krańca wąwozu, w miejscu gdzie zarośla były najgęstsze, czterech ludzi rzuciło się na niego, jak się tego obawiał, po dwóch z każdej strony ścieżki, i tak go mocno przytrzymali, iż wszelki opór na nic się nie zdał.

— Oddaj, co masz — rzekł jeden z nich. — Jesteśmy powszechnymi wyzwolicielami, każdego oswobodzamy od jego ciężaru.

— Nie tak łatwo byście mnie oswobodzili — mruknął Gurt, którego prostacka szczerść nie ulękła się nawet przemocy — gdybym mógł w swojej obronie rozdać choć parę ciosów.

— Przekonamy się zaraz — rzekł zbójca i zwracając się do swych towarzyszy, dodał:

— Weźcie go. Widzę, że chce, aby mu nie tylko mieszek obciąć, ale i

głowę roztrzaskać; wypuścimy mu więc krew od razu z tych dwu żył.

Stosując się do tego polecenia, zbójcy powlekli Gurta na urwisko po lewej stronie wąwozu, gdzie znalazł się w rzadkich zaroślach na skraju otwartego pastwiska. Zmuszono go, by wszedł ze swymi przewodnikami w największą gęstwinę. Gdy ją minęli, znaleźli się nagle na otwartej polanie o nierównym kształcie, prawie zupełnie ogołoconej z drzew, gdzie gałęzie i liście nie zasłaniały księżycowego światła. Tu do napastników przyłączyło się jeszcze dwóch ludzi, widocznie należących też do tej samej bandy. Przy boku mieli krótkie miecze, w rękach maczugi, toteż Gurt — dojrzawszy teraz, że wszyscy mieli twarze zakryte maskami — nie mógł już mieć wątpliwości, jakim parali się rzemiosłem, nawet gdyby ich poprzednie postępowanie nie było ich wcześniej zdradziło.

— Ile masz, chłopie, pieniędzy? — zapytał jeden z rabusiów.

— Moich własnych trzydzieści cekinów — odparł stanowczo Gurt.

— Łiesz! — krzyknęli zbójcy. — Saksończyk mający trzydzieści cekinów nie wróciłby trzeźwy z miasta! Niewątpliwy to i niezaprzeczalny dowód, że kłamiesz!

— Zbierałem te pieniądze na wykupienie się z niewoli — rzekł Gurt.

— Osioł jesteś — odparł mu jeden z rabusiów. — Trzy kwarty podwójnego piwa uczyniłyby cię równie wolnym jak twój pan, a nawet wolniejszym od niego, jeśli jest Saksończykiem jak ty.

— Iście to prawda — odpowiedział Gurt — ale jeśli tymi trzydziestoma cekinami wykupię się z waszych rąk, to mnie rozwiążcie, a zaraz wam

je wypłacę.

— *Poczekaj — rzekł jeden z rabusiów, który zdawał się przewodzić bandzie. — W twoim trzosie, o ile mogę wymacać przez opończę, siła jest gorsza, więcej, niż nam wyznałeś.*

— *Ono grosiwo jest mojego pana, dobrego rycerza — odparł Gurt — i nie gadałbym o nim, gdybyście poprzestali na tym, co do mnie należy.*

— *Dalibóg, prawy z ciebie pachol — rzekł zbójca. — Nie zaprzędaliśmy jeszcze całkiem naszych dusz diabłu i może uratujesz swe trzydzieści cekinów, jeśli prawdę nam rzekniesz. A ninie oddawaj swój ciężar.*

Mówiąc to, wyciągnął zza pazuchy Gurta skórzany worek, zawierający sakiewkę otrzymaną od Rebeki oraz resztę pieniędzy, i dalej ciągnął, swe badanie:

— *Kto jest twym panem?*

— *Wydziedziczony Rycerz.*

— *Ten, co dziś włócznią zdobył pierwszeństwo na turnieju? Jak się zowie i z jakiego pochodzi rodu?*

— *Wola jest jego — odparł Gurt — aby to pozostało utajone, więc ode mnie nic się nie dowiedziecie.*

— *A jakie jest twoje imię i ród?*

— *Gdybym to wyznał, zdradziłbym imię mego pana.*

— *Zuchwały z ciebie chłop — rzekł zbójca — ale o tym potem. Jak twój pan zdobył to złoto? Czy odziedziczył je, czy też w inny sposób do niego doszedł?*

— *Zdobyl je swą dzielną włócznią — odparł Gurt. — W mieszkaniu tym jest*

wykup za cztery dobre konie i cztery piękne zbroje.

— *Sila tego?*

— *Dwieście cekinów.*

— *Ino dwieście cekinów!* — zawołał rozbójnik. — *Twój pan okazał się wielce wspaniałomyślny względem zwyciężonych i nałożył na nich za niski okup. Wymień tych, co dali to złoto.*

Gurt wymienił nazwiska.

— *A ile wyniósł okup za zbroję i konia templariusza, Briana de Bois-Guilbert? Widzisz, nie uda ci się mnie oszukać!*

— *Mój pan* — odparł Gurt — *nic nie chciał przyjąć od templariusza, bo łaknie tylko jego krwi. Między nimi trwa śmiertelny zatarg i nie mogą sobie świadczyć żadnych grzeczności.*

— *Iście* — przytaknęła zbójca i po chwili milczenia dodał: — *A co robieś teraz w Ashby mając przy sobie tyle grosza?*

— *Byłem tam, by oddać Izaakowi, Żydowi z Yorku* — odparł Gurt — *cenę zbroi, której użyczył memu panu na turniej.*

— *A ileś zapłacił Izaakowi? Zda się, sądząc po wadze, że w mieszku jest jeszcze te dwieście cekinów?*

— *Dałem Żydowi* — rzekł Saksończyk — *osiemdziesiąt cekinów, a on mi zwrócił sto.*

— *Niepodobna!* — chórem zawołali zbójcy. — *Jak śmiesz żarty sobie z nas stroić, opowiadając takie łgarstwa?*

— *To, co mówię* — rzekł Gurt — *jest szczerą prawdą, tak samo jak to, że księżyc świeci na niebie. Znajdziecie tę właśnie sumę w jedwabnej*

sakiewce znajdującej się w skórzanym mieszku, oddzielnie od reszty pieniędzy.

— Zastanów się, człeku — powiedział dowódca — mówisz o Żydzie, a Izraelita nie odda przecie złota, jak wyschły piasek na pustyni nie zwróci kubka wody, który wędrowiec nań wyleje.

— Nie ma on więcej litości — dodał drugi zbójca — niż nieprzekupny dowódca straży.

— A jednak to prawda, com rzekł — upierał się Gurt

— Zapal światło bez zwłoki — rozkazał herszt. — Chcę obejrzeć ten mieszek i jeśli prawdą jest, co gada ten człowiek, to wspaniałomyślność onego Żyda jest nieomal takim samym cudem jak źródło, które wytrysnęło dla ocalenia jego przodków na pustyni.

Zapalono światło i rozbójnik zaczął oglądać trzos. Inni obstąpili go i nawet dwaj zbójcy, którzy trzymali Gurta, wyciągali szyje, by zobaczyć, czym się to skończy. Gurt, spostrzegłszy ich niedbałość, silnym i gwałtownym ruchem otrząsnął się z ich uścisku i byłby uciekł, gdyby się nie obawiał stracić pieniędzy pana. Wyrwał jednemu z łotrów pałkę, uderzył nią wodza, który nie spodziewał się niczego, i omal nie odzyskał trzosa ze skarbem. Lecz zbójcy byli od niego zręczniejsi i z powrotem stali się panami mieszka i wiernego sługi.

— Hultaju! — zawołał podnosząc się dowódca. — Roztrzaskałeś mi łeb!

Gdybyś miał do czynienia z kimś innym spośród naszych kamratów, drogo byś zapłacił za swoją zuchwałość! Za chwilę dowiesz się, co cię czeka. Najprzód jednak musimy pomówić o twym panu. Sprawy

pasowanego mają pierwszeństwo przed sprawami giermka wedle praw rycerskich. Tymczasem stój spokojnie, bo jak się tylko ruszysz, to ci tak dogodzę, że już nie drgniesz.

Towarzysze — zwrócił się do swej bandy — ta sakiewka wyszywana jest w hebrajskie litery, snadź giermek powiedział prawdę. Nie będziemy więc żądać okupu od jego pana. Zbyt on, podobien do nas, byśmy go mieli złupić: kruk krukowi oka nie wykolę.

— Podobien do nas? — zapytał jeden ze zbójców. — Jak to może być, rzeknijcie?

— Jak, głupcze? — zawołał herszt. — Zali nie jest równie biedny i wydziedziczony jak my? Zali nie zarabia na życie, jak my, orężem? Zali nie zwyciężył Bawolego Łba i Malvoisina, czego i my z duszy pragniemy? Zali nie jest śmiertelnym wrogiem Briana de Bois-Guilbert, którego i my mamy powody się wystrzegać? A nie gadając wiela, czyż chcielibyście być gorsi od niewiernego Żyda?

— Iście, byłby to wstyd — mruknął zbójca — ale kiej służyłem w bandzie dzielnego starego Gandelina, nie marudziliśmy tak długo. A pewnikiem puścisz wolno i tego zuchwałego chłopca i nie ukarzesz go?

— Sam go ukarż! — odparł dowódca. — Nuże, chłopie — zwrócił się do Gurta — a umiesz ty władać pałką, kiedy się tak na nią rzuciłeś?

— Mniemam — rzekł Gurt — iż sam potrafisz najlepiej na to odpowiedzieć.

— Iście, nieźle mnie zdzieliłeś przez łeb — przyznał herszt. — Potraktuj tak samo tego pacholka, a puścimy cię wolno; jak ci się zaś nie uda, no

to, mniemam, będę musiał za takiego jak ty śmiałka zapłacić okup. A ty, Młynarzu — dodał — weź pałkę i osłaniaj łeb; wy zaś, puśćcie tego chłopca i dajcie mu też pałkę. Do takiej walki dość światła.

Dwaj zapaśnicy, jednakowo uzbrojeni w pałki, wyszli na środek polanki, by walczyć w pełnym świetle księżyca. A tymczasem opryskli śmiały się i wołały do swego kamrata:

— Młynarzu! Uważaj na łeb!

Ten, trzymając pałkę pośrodku jej długości, zakręcił nią młyńca dokoła głowy i zaczął się przechwalać:

— Podejdz no bliżej, chłopie, jeśli się ośmielisz, a chcesz poczuć rękę Młynarza!

— Jeśliś młynarzem — odparł nieustraszony Gurt kreśląc młyńca pałką dokoła głowy z równą jak przeciwnik zręcznością — toś podwójny złodziej, a ja, jako uczciwy człek, rozkazuję, miej się na baczności!

Zapaśnicy zwarli się i zmagali przez kilka minut, wykazując jednakową siłę, odwagę i zręczność, odparowując ciosy i zadając je z równą szybkością; a taki był trzask ich oręża, że z odległości można by mniemać, iż przynajmniej ze sześciu ludzi walczy z każdej strony. Mniej zacięte i nawet mniej niebezpieczne zapasy opiewane były w bohaterskich wierszach, lecz bitka Gurta z Młynarzem nie zostanie opisana w pieśni z braku natchnionego poety. Ale choć obecnie walka na maczugi nie jest już w modzie, odmalujemy jak się da w prozie zmagania tych dwóch dzielnych zapaśników. Długo toczyły się one bez przewagi z jednej ze stron, aż wreszcie Młynarz rozeźlił się trafiwszy na

tak silny opór i usłyszawszy, jak zwykle w takim wypadku, śmiechy towarzyszy szydzących z jego gniewu. Nie był to stan umysłu sprzyjający szlachetnej walce na pałki, wymagającej, podobnie jak zwykły palant, zimnej krwi; dało to Gurtowi, obdarzonemu mężnym, a jednocześnie spokojnym usposobieniem, możność uzyskania przewagi i wykorzystania swej wielkiej biegłości we władaniu tą bronią. Młynarz nacierał jak szalony, rozdając ciosy na przemian obydwoma końcami maczugi i usiłując zbliżyć się do przeciwnika na odległość mniejszą od pałki, gdy tymczasem Gurt bronił się przed atakiem, waląc maczugą trzymaną w wyciągniętej ręce i niesłychanie szybkimi ruchami swego oręża osłaniając głowę i ciało. Bronił się, dbając o to, by oczy, nogi i ręce współdziałały jednocześnie, aż do chwili, gdy spostrzegł, że przeciwnik traci siły; wtedy podniósł pałkę w lewej dłoni na wysokość twarzy, a gdy Młynarz usiłował odparować cios, prawą ręką zadał na odlew silne uderzenie z lewej strony w głowę przeciwnika, który padł jak długi na zieloną murawę.

— Dzielnieś się spisał! — krzyknęli zbójcy. — Walka była sprawiedliwa. Niech żyje Anglia! Saksończyk obronił mieszek i własną skórę, a Młynarz ma, na co zasłużył.

— Możesz odejść w swoją drogę, przyjacielu — rzekł do Gurta dowódca rozbójników, jak gdyby wypowiadając pogląd całej bandy. — Każę cię odprowadzić najbezpieczniejszą drogą do namiotu twego pana i obronić cię przed nocnymi włóczęgami, którzy mogą mieć sumienie mniej wrażliwe niż my; wielu czyha w zasadzce w taką noc. Ale — dodał

posepnie — skoroś nie chciał nam wyznać, jak się zwiesz, nie pytaj więc i o nasze imię ani nie staraj się dowiedzieć, kim jesteśmy, bo wpadniesz w gorszą biedę niż ta, która ci się teraz przydarzyła.

Gurt podziękował hersztowi za jego uprzejmość i obiecał pamiętać o jego poleceniach. Dwóch opryszków, zbrojnych w maczugi, kazało mu iść za sobą; poprowadzili go krętą dróżką poprzez krzaki i rozpadliny.

Na skraju zarośli dwóch ludzi porozumiało się szeptem z przewodnikami i cofnęło się do lasu, pozwalając im przejść swobodnie.

Gurt wywnioskował z tego, że banda musi być liczniejsza i że rozstawiono strażę dokoła miejsca zbiórki.

Gdy przybyli na otwarte pastwisko, gdzie Gurt nie mógłby się jeszcze zorientować, zbójcy zaprowadzili go na mały pagórek, skąd dojrzał w świetle księżyca u swoich stóp ostrokół otaczający szranki; na ich krańcach widniały namioty z chorągwiemi zatkniętymi na szczytach i powiewającymi w poświacie księżyca. Z daleka dochodził dźwięk pieśni, którą nocna warta urozmaicała sobie czuwanie.

Zbójcy zatrzymali się tutaj.

— Nie pójdziem z tobą dalej — rzekli. — Nie byłoby to dla nas bezpiecznie. Pomnij o naszym ostrzeżeniu i nie zdradź tego, co ci się dzisiejszej nocy przydarzyło, a nie pożałujesz; ale jeśli nas nie posłuchasz, to nawet Twierdza Londyńska nie obroni cię przed naszą pomstą.

— Dobranoc, zacni panowie — rzekł Gurt. — Nie zabaczę tego, coście mi przykazali. Sądzę, iż snadnie moglibyście mi wziąć za złe, gdybym wam

życzył bezpieczniejszego i uczciwszego zajęcia.

Na tym się rozstali; rozbójnicy wrócili, skąd przyszli, a Gurt wszedł do namiotu swego pana, któremu — mimo otrzymanych poleceń — opowiedział wszystko, co mu się przydarzyło tego wieczoru.

Wydziedziczony Rycerz był zdumiony zarówno wspaniałomyślnością Rebeki, z której postanowił jednak nie skorzystać, jak i hojnością zbójców, nie idącą w parze z ich rzemiosłem. Przestał jednak zastanawiać się nad tymi dziwnymi wypadkami, potrzebował bowiem odpocząć po trudach poprzedniego dnia i zażyć spoczynku przed jutrzejszym turniejem.

Rzucił się więc na bogate posłanie, w jakie zaopatrzony był namiot, a Gurt wyciągnął swe krzepkie ciało na niedźwiedziej skórze, która tworzyła u wejścia rodzaj chodnika, tak że nikt nie mógł zakraść się do namiotu, nie zbudziwszy wiernego sługi.

XII

Oto heroldów ukończone dzieło —

Tysiąc trąb naraz do boju zadęło.

Nawoływaniom kres; z obojej strony

Trzon kopii mocno w rękę osadzony,

Drze bok ostroga i chrzęszczą uprzęże —

Już do potyczki wyruszyli męże.

Zadrżała tarcza skroś poszyta grotem

Truchleje serce, czoło splywa potem,

Kopie w powietrzu śmigają i warczą,

Miecz łyska srebrem, gdy spotka się z tarczą...

Hełmy pocięte, wzniesione ramiona

I z ran potokiem krew bluzga czerwona.

G. CHAUCER

Dzień wstał jasny i bezchmurny i zanim słońce wzniosło się nad horyzontem, już na polu ukazali się widzowie. Najbardziej dbali o wygodę czy może najniecierpliwszi z nich dążyli do szranków, by zapewnić sobie dobre miejsca, z których mogliby najdokładniej widzieć rycerskie igrzyska. Po nich na polu zjawili się marszałkowie ze swymi sługami oraz heroldowie, by zapytać rycerzy pragnących wystąpić w szrankach o ich imiona oraz po której stronie chcą walczyć. Było to konieczne, aby zapewnić równowagę sił między dwoma hufcami, mającymi się zetrzeć ze sobą.

Zgodnie ze zwyczajem Wydziedziczony Rycerz miał być wodzem jednego z hufców, podczas gdy Briana de Bois-Guilbert, który poprzedniego dnia zajął następne po nim miejsce, mianowano pierwszym zawodnikiem w drugim hufcu. Ci, którzy wczoraj walczyli z Wydziedziczonym Rycerzem, stanęli po stronie Briana z wyjątkiem naturalnie Ralfa de Vipont, nie mógł on bowiem po swym upadku jeszcze przywdziać zbroi. Ale nie brakło dzielnych i dobrze urodzonych zawodników pragnących stanąć w szeregach każdego z hufców.

W istocie, choć turnieje, na których walczono gromadnie, były niebezpieczniejsze niż spotkania samowtór, rycerstwo owych czasów często wolało w nich właśnie brać udział. Liczni rycerze, którzy nie

ufając własnej biegłości, nie ośmieliliby się wyzwać do walki przeciwników o wielkiej sławie, pragnęli jednak okazać swą odwagę w zbiorowej walce, gdzie mieli sposobność zewrzeć się z równymi sobie. W tym wypadku zapisało się po dwudziestu pięciu rycerzy pragnących walczyć w każdym z przeciwnych sobie hufców, gdy marszałkowie oznajmili, że nikt już więcej nie będzie przyjęty, wywołując tym żal u wielu spóźnionych.

Około dziesiątej cała równina zappełniła się jeźdźcami, amazonkami oraz pieszymi dążącymi na turniej; wkrótce potem dźwięk trąb oznajmił przybycie księcia Jana ze świtą, w otoczeniu rycerzy, z których wielu miało brać udział w igrzyskach.

Mniej więcej równocześnie przybył Cedryk Sakson z lady Roweną, ale bez Athelstana. Ten ostatni bowiem, odziawszy swą wysoką i barczystą postać w zbroję, stanął wśród zawodników, i to — ku zdumieniu Cedryka — po stronie templariusza. Saksończyk ostro wymawiał przyjacielowi ten nierozsądny wybór, lecz dostał taką odpowiedź, jaką zwykli dawać ludzie, którzy w swe postanowienia wkładają więcej uporu niżli w ich wytłumaczenie.

Główniej, jeśli nie jedynej przyczyny, dla której stanął po stronie Briana de Bois-Guilbert, Athelstan wolał nie zdradzać przed nikim. Chociaż flegmatyczne jego usposobienie nie pozwoliło mu przedsięwziąć żadnych kroków dla zjednania sobie przychylności lady Roweny, nie był jednak nieczuły na jej wdzięki i uważał małżeństwo z nią za rzecz bezwzględnie pewną dzięki uzyskaniu zgody Cedryka i innych jej

opiekunów. Toteż ze stłumionym niezadowoleniem dumny, lecz gnuśny pan na Coningsburghu patrzył, jak poprzedniego dnia zwycięzca wybrał Rowenę, by ją zaszczyścić tytułem, jaki mógł dzięki swemu przywilejowi jej nadać. Athelstan chcąc go ukarać za ten wybór, który, jak się zdawało, miał na celu pokrzyżowanie jego planów małżeńskich, postanowił — ufając swej sile i wierząc pochlebcom, przypisującym mu wielką wprawę we władaniu orężem — pozbawić Wydziedziczonego Rycerza nie tylko swej potężnej pomocy, ale jeśli się nadarzy po temu sposobność, dać mu poczuć siłę swego topora.

De Bracy i inni rycerze z orszaku księcia Jana zgodnie z jego rozkazem przyłączyli się do wyzywających, książę pragnął bowiem, jeśli się tylko da, przechylić na tę stronę szalę zwycięstwa. Mimo to wielu rycerzy, Anglików i Normandów, miejscowych i cudzoziemców, stanęło po przeciwnej stronie z tym większą chęcią, że hufiec drugi miał być dowodzony przez tak znakomitego wojownika, jakim się okazał Wydziedziczony Rycerz.

Gdy tylko książę Jan spostrzegł królową tego dnia przybywającą w szranki, z uprzejmością — w którą umiał, gdy chciał, się przybrać — wyjechał na jej spotkanie, a zeskoczywszy z konia, zdjął czapkę i pomógł lady Rowenie zsiąść z wierzchowca, podczas gdy jego dworzanie jednocześnie odkryli głowy, a jeden z najlepiej urodzonych przytrzymał jej rumaka.

— Oto jak — rzekł książę Jan — dajemy przykład należnego uszanowania dla Królowej Miłości i Urody! Sami poprowadzimy ją na

tron, który dziś ma zajmować. A wy, dostojne panie — dodał — uczcie waszą królową tak, jak byście chciały, by was uczczono.

Mówiąc to, księżę poprowadził Rowenę na zaszczytne miejsce naprzeciw swego siedziska, a najpiękniejsze i najlepiej urodzone damy ubiegały się o miejsca najbliższe tronu swej tymczasowej królowej.

Gdy tylko lady Rowena usiadła, rozległy się dźwięki muzyki na pół zagłuszone przez okrzyki tłumów wiwatujących na cześć jej nowej godności. Tymczasem gorące słońce w całym swym blasku odbijało się w polerowanych zbrojach rycerzy z obu hufców, którzy, zgromadzeni na dwóch krańcach szranków, naradzali się z ożywieniem, jaki szyk bojowy zastosować i w jaki sposób poprowadzić walkę.

Heroldowie nakazali ciszę: chcieli przypomnieć prawa turnieju. Były one tak ułożone, by do pewnego stopnia zmniejszyć niebezpieczeństwo grożące tego dnia walczącym — ostrożność taka była tym bardziej wskazana, że miano walczyć na ostre.

Pchnięcie mieczem zostało więc zapaśnikom wzbronione — wolno im było tylko nim uderzyć. Oznajmiono też, że dopuszcza się używanie buzdyganów i berdyszów, natomiast wyklucza — posługiwanie się sztyletem. Rycerz wysadzony z siodła może wznowić walkę pieszo z każdym zapaśnikiem strony przeciwnej tak samo spieszonym jak on, ale jeźdźcowi nie wolno na niego nacierać. Gdy któryś z rycerzy zostanie odepchnięty przez swego przeciwnika aż do końca szranków, tak że sobą samym lub swoją bronią dotknie ostrokołu, będzie musiał uznać się za zwyciężonego, a jego zbroja i koń staną się własnością

zwycięzcy. Taki pokonany rycerz nie może już brać udziału w dalszej walce. Gdy któryś z zapaśników zostanie powalony i nie będzie mógł stanąć na nogach, jego giermek lub paź powinien wejść w szranki i wynieść swego pana z tłumu; w takim wypadku jednak rycerza uznaje się za pokonanego i straci on zbroję i konia. Walka miała ustać z chwilą, gdy książę Jan rzuci swoją buławę — była to ostrożność stosowana także dla zapobieżenia niepotrzebnemu rozlewowi krwi, w razie zbyt długo przeciągających się, niebezpiecznych zapasów. Każdy rycerz, który by przekroczył prawa turnieju lub w jakikolwiek inny sposób splamił honor rycerski, miał być rozdzielony ze zbroi i z odwróconą tarczą posadzony okrakiem na ogrodzeniu na pośmiewisko spóółstwa. Po ogłoszeniu tych praw heroldowie wezwali na zakończenie dobrych rycerzy, by spełnili swój obowiązek i zasłużyli tym sobie na łaski Królowej Miłości i Urody, po czym powrócili na swoje miejsca. Rycerze wjechali z obu stron szranków długimi szeregami i ustawili się w dwa rzędy, jeden dokładnie naprzeciw drugiego. Wodzowie stanęli w samym środku pierwszego szeregu, ale dopiero wtedy, gdy dokładnie sprawdzili swe zastępy i każdemu wyznaczili właściwe miejsce. Był to wspaniały, a zarazem przerażający widok, gdy tylu walecznych rycerzy okrytych bogatymi zbrojami, dosiadających dzielnych rumaków przygotowywało się do niebezpiecznej walki; siedzieli tak na swych bojowych kulbakach na kształt żelaznych posągów, oczekując na hasło do natarcia z równym zapalem jak ich rumaki, które niecierpliwiły się rżąc i bijąc kopytami o ziemię.

Tymczasem rycerze trzymali włócznie wzniesione w górę. Ostrza ich błyszczały w słońcu, a proporczyki, którymi je ozdobiono, powiewały nad pióropuszcami hełmów. Tkwili bez ruchu, póki marszałkowie turnieju nie obejrzeliby szyków z największą dokładnością, aby żaden z hufców nie miał większej czy mniejszej liczby zawodników niż ustalona poprzednio. Okazało się, że liczba ta nie została przekroczona.

*Marszałkowie wycofali się wtedy ze szranków, a Wilhelm de Wyvil grzmiącym głosem wypowiedział hasło: „Laissez aller!” * Jednocześnie zabrzmiały trąby, rycerze zniżyli kopie opierając je w tokach; konie spięli ostrogami, dwa pierwsze szeregi ruszyły na siebie w pełnym galopie i zwały się pośrodku szranków z taką siłą, że odgłos tego starcia słychać było na milę. Drugi szereg każdego hufca zbliżał się wolniej, by zastąpić rycerzy, którzy ulegli, i pomóc tym, którzy zwyciężali.*

** Laissez aller! (franc.) — pozwólcie im ruszyć; zaczynajcie!*

Na razie nie można było ocenić skutków pierwszego, natarcia, gdyż kurzawa wzniesiona kopytami tylu koni zasłoniła widok i dopiero po chwili niecierpliwi widzowie zobaczyli, jakie były losy walczących. Kiedy dało się ogarnąć wzrokiem pole walki, połowa rycerzy po obu stronach została już wysadzana z siodeł: niektórych zwyciężyła celność uderzenia włóczni, innych — waga i siła przeciwnika, który powalił wierzchowca razem z jeźdźcem; niektórzy leżeli na ziemi i zdawało się, że nigdy już z niej nie powstaną; inni znów zerwali się z powrotem na nogi i walczyli wręcz z tymi adwersarzami, którzy znaleźli się w takiej

*samej sytuacji; wielu rycerzy z obu zastępów, którzy odnieśli
obezwładniające ich rany, tamowało krew szarfami i usiłowało
wydostać się z zamieszania. Konni, których włócznie wszystkie nieomal
zostały strzaskane w gwałtownym spotkaniu, bili się teraz mieczami,
wydając wojenne okrzyki i nie żałując razów, jakby ich honor i życie
zależały od wyniku walki.*

*Zamieszanie wzmogło się, gdy drugie, odwodowe szeregi w obu
zastępach pośpieszyły na pomoc swym towarzyszom. Poplecznicy
Briana de Bois-Guilbert wołali: „Hej! Beauseant! Beauseant!* Za
Świątynię! Za Świątynię!” A przeciwna strona odpowiadała okrzykiem:
„Desdichado! Desdichado!”, powtarzając godło wyryte na puklerzu ich
wodza.*

**Beauseant (franc.) — była to nazwa chorągwi i zawołanie
templariuszy.*

*Zawodnicy rzucili się na siebie z niesłychaną gwałtownością, lecz ze
zmiennym szczęściem; nasilenie walki przenosiło się z południowego
krańca szranków na północny, w zależności od tego, który hufiec brał
górze. Tymczasem szczęk broni i krzyk walczących mieszał się z
przeróżnym odgłosem trąb, głusząc jęki powalonych, którzy
dostawali się pod kopyta końskie. Świetne zbroje zawodników pokryły
się kurzem i krwią, pękając pod ciosami mieczów i berdyszów.*

*Wspaniałe pióra, zdarte z szyszaków, wiatr niósł jak płatki śniegu,
znikła cała uroda i świetność strojów rycerskich, a to, co pozostało,
budziło przestрах lub litość.*

Jednak taka jest moc przyzwyczajenia, że nie tylko gmin, który ma pociąg zazwyczaj do każdego okropnego widowiska, lecz nawet wykwintne damy, zapelniające trybuny, śledziły walkę z niezwykle podnieceniem, nie mogąc oderwać oczu od tego przerażającego widoku.

Wprawdzie niekiedy piękne jakieś lico bladło lub rozlegał się cichy okrzyk, gdy kochanek, brat czy mąż zwałił się z konia, na ogół jednak damy zagrzewały walczących, nie tylko klaszcząc w ręce i powiewając welonami i chustkami, lecz wykrzykując:

„Dzielna włócznia! Tęgi miecz!”, gdy dojrzały jakieś udane pchnięcie czy cios.

Jeśli nawet płeć piękna tak się przejmowała tymi krwawymi igrzyskami, to tym bardziej można zrozumieć uczucia mężczyzn.

Objawiały się one głośnymi okrzykami przy każdej odmianie fortuny, a oczy z taką uwagą wlepiano w szranki, jakby widzowie sami zadawali i odbierali razy, którymi tak obficie tam szafowano.

W czasie każdej przerwy w walce rozlegały się wołania heroldów:

„Walczcie śmiało, mężni rycerze! Człowiek ginie, lecz sława żyje!

Walczcie: łatwiej znieść śmierć niż porażkę! Walczcie śmiało, mężni rycerze! Piękne oczy patrzą na was!”

Pośród zmiennych kolei bitwy oczy widzów starały się śledzić wodzów obu zastępów, którzy rzucali się w największy wir walki, głosem i przykładem zachęcając innych. Obaj dawali dowody niestłuchanej odwagi i ani Bois-Guilbert, ani Wydziedziczony Rycerz nie mogli znaleźć w nieprzyjacielskich zastępach równych sobie. Obaj, parci

wzajemną nienawiścią, nieraz starali się zmierzyć w pojedynczej walce, zdając sobie sprawę, że porażka jednego z wodzów będzie uważana za zwycięstwo przeciwnej strony. Ale taki panował tłok i zamieszanie w początkach walki, że próżne były ich wysiłki i raz po raz rozdzielał ich zapal zwykłych zapaśników, z których każdy pragnął zmierzyć się z wodzem przeciwnego hufca.

Dopiero gdy liczba walczących się przerzedziła, gdy jedni uznali się za zwyciężonych i musieli wycofać się na kraniec szranków lub w inny sposób stali się niezdolni do dalszej walki, templariusz i Wydziedziczony Rycerz spotkali się wreszcie oko w oko i natarli na siebie z zaciekłością, jaką tylko śmiertelna nienawiść i chęć sławy mogła ich natchnąć. Taka była ich biegłość w odparowywaniu i zadawaniu ciosów, że widzowie wybuchnęli jednogłośnie i mimowolnym krzykiem wyrażającym zachwyt.

Aż do tego czasu hufcowi Wydziedziczonego Rycerza nie powodziło się zbyt dobrze. Na jednej jego flance Bawoli Łeb potężnym swym ramieniem, a na drugim Athelstan wielką swą siłą pokonali bezpośrednich przeciwników, a innych rozpędzili na wszystkie strony.

Gdy uwolnili się w ten sposób od najbliższych swych wrogów, obu rycerzom, wydało się jednocześnie, że najlepiej przysłużą się swoim, pomagając templariuszowi w jego walce z rywalem. W tej samej więc chwili zawrócili wierzchowce; Normand, spiąwszy konia ostrogami, rzucił się z jednej strony na Wydziedziczonego Rycerza, podczas gdy z drugiej natarł na niego Saksończyk. Napadnięty nie zdołałby

wytrzymać tak nierównego i niespodziewanego ataku, gdyby go nie ostrzegł krzyk wszystkich widzów, których uwagę przyciągnął zawodnik narażony na takie niebezpieczeństwo. „Strzeż się, Wydziedziczony Rycerzu!” — wołano ze wszystkich stron, tak że ów poczuł, co mu grozi, i zadawszy potężny cios templariuszowi, w tej samej chwili ściągnął konia, by uniknąć podwójnego natarcia Athelstana i Bawolego Łba. Obaj nacierający, gdy zabrakło im celu ataku, runęli z dwóch przeciwnych stron między templariusza i jego rywala z taką siłą, że nie mogąc zatrzymać swych wierzchowców, nieomal wpadli na siebie. W końcu zatrzymali je wszakże i zatoczywszy rumakami,

we

trzech

usiłowali

teraz

wysadzić z

siodła

Wydziedziczonych Rycerza.

Nic by go nie ocaliło, gdyby nie siła i zwinność szlachetnego

wierzchowca, zdobytego poprzedniego dnia.

Zresztą koń Bois-Guilberta był ranny, wierzchowce Bawolego Łba i

Athelstana — zmęczone dźwiganiem ogromnych swych jeźdźców

zakutych w ciężkie zbroje oraz wysiłkiem dokonanym już tego dnia.

Znajomość sztuki jeździeckiej Wydziedziczonych Rycerza i zwinność

szlachetnego zwierzęcia pozwoliły napadniętemu przez kilka chwil utrzymywać w pewnej odległości przeciwników; kręcił się przy tym i wywijał niczym sokół unoszący się w powietrzu. Starał się też rozdzielić swych wrogów, rzucał się to na jednego, to na drugiego i kreślił mieczem młyńce, nie czekając, aż razy przeciwników spadną na niego. Lecz choć szranki brzmiały oklaskami widzów, widoczną było rzeczą, że w końcu będzie musiał ulec; panowie otaczający księcia Jana błagali go jednogłośnie, by rzucił swą buławę i ocalił dzielnego rycerza od sromotnej porażki w nierównej walce.

— Nigdy, na światło niebieskie! — odparł książę. — Ten chłystek, który ukrywa swe imię i pogardza naszą gościnnością, już raz uzyskał nagrodę, niech wiec teraz inni ją zdobędą.

*Gdy wymawiał te słowa, nieprzewidziane wydarzenie nagle odmieniło losy walczących. W szeregach hufca Wydziedziczonego Rycerza znajdował się wojownik w czarnej zbroi, na wielkim, karym rumaku, równie ciężkim i silnym jak jeździec, który go dosiadał. Rycerz ten, nie mający na tarczy żadnego godła, dotychczas mało na siebie zwracał uwagi w czasie walki; odpierał z łatwością tych, którzy na niego nacierali, lecz ani nie starał się wyzyskać swej przewagi, ani sam nie próbował atakować. Jednym słowem, dotychczas raczej odgrywał rolę widza niż uczestnika turnieju, toteż obecni nadali mu przezwisko *Le Noir Faineant* - Czarny Gnuśnik.*

Nagle rycerz ten, gdy ujrzał wodza swego zastępu w takich opałach, jakby się zbudził; spiął ostrogami konia, jeszcze zupełnie nie

zmęczonego, i jak piorun rzucił się na pomoc Wydziedziczonemu Rycerzowi, wołając grzmiącym głosem: „Ratujcie Desdichada!” Istotnie, był już najwyższy po temu czas, bowiem gdy nieznajomy nacierał na templariusza. Bawoli Łeb przyskoczył do niego ze wzniesionym mieczem. Lecz zanim go opuścił, Czarny Rycerz zadał mu cios w głowę; miecz osunął się po gładkim szyszaku i z całą siłą uderzył w naczólek konia, a Bawoli Łeb legł na ziemi wraz z wierzchowcem, ogłuszonym tak potężnym ciosem. Le Noir Faineant zwrócił wtedy rumaka ku Athelstanowi z Coningsburgha, a że w spotkaniu z Bawolim Łbem miecz jego został strzaskany, wyrwał z ręki zdumionego Saksończyka topór, którym ten się na niego zamierzał, i jakby dobrze obeznany z tą bronią, uderzył przeciwnika tak silnie w głowę, że ten padł bez czucia na ziemię. Odniósłszy te dwa zwycięstwa, które mu tym więcej zjednały oklasków, że się ich po nim nie spodziewano, rycerz powrócił, rzekłbyś, do swej poprzedniej gnuśności i stanął znów spokojnie na północnym krańcu szranków, opuściwszy swego wodza, który zmagał się z Brianem de Bois-Guilbert. Walka ta nie była już jednak trudna. Wierzchowiec templariusza mocno się wykrwawił i padł, gdy Wydziedziczony Rycerz natarł na niego ostro. Brian de Bois-Guilbert runął na ziemię, nie mogąc uwolnić nogi, która uwięzła w strzemieniu. Jego przeciwnik zeskoczył z konia i wzniosłszy swój groźny miecz nad głowę wroga, rozkazał mu się podnieść. Lecz księżę Jan

bardziej

teraz

przejęty

niebezpieczeństwem,

jakie

groziło

templariuszowi, niżli wtedy, gdy miał być pokonany jego przeciwnik, obronił go przed upokarzającą klęską — rzucił buławę i tym sposobem zakończył walkę.

Zresztą bitwa i tak już wygasła, gdyż z niewielkiej ilości rycerzy, jaka pozostała w szrankach, większość w milczącej zgodzie przerwała walkę, pozostawiając wozom jej rozstrzygnięcie.

Giermkowie, którzy z powodu niebezpieczeństwa i trudności nie mogli w czasie walki dotrzeć do swych panów, teraz pośpieszyli w szranki, by zaopiekować się rannymi; przeniesiono ich ostrożnie i troskliwie do pobliskich namiotów lub do kwater przygotowanych w sąsiedniej wiosce.

Tak zakończył się pamiętny turniej w Ashby-de-la-Zouche, jeden z najslawniejszych w owych czasach; bo choć poległo w szrankach tylko czterech rycerzy, łącznie z tym, który się udusił w swej rozgrzanej zbroi, przeszło trzydziestu odniosło ciężkie rany, a z tej liczby czterech czy pięciu wkrótce zmarło. Kilku innych zostało okaleczonych do końca życia, a tych, którzy wyszli cało, aż do zgonu znaczyły zdobyte wówczas blizny. Z tego powodu dawne kroniki turniej ten zawsze zowią „miłym i wesołym igrzyskiem rycerskim w Ashby”.

Obowiązkiem księcia Jana było teraz ogłosić, który z rycerzy najlepiej

stawał w walce, zdecydował więc, że zwycięzcą w tym dniu był rycerz, którego widzowie przezwali Czarnym Gnuśnikiem. Na próżno zwracano księciu uwagę, przeciwstawiając się jego dekretowi, że w istocie zwycięzcą był Wydziedziczony Rycerz, który własną ręką pokonał sześciu adwersarzy i ostatecznie wysadził z siodła i pokonał wodza przeciwnego zastępu. Książę Jan upierał się przy swoim zdaniu, że Wydziedziczony Rycerz i jego hufiec właściwie zostaliby tego dnia zwyciężeni, gdyby nie pomoc rycerza w czarnej zbroi, wobec czego jemu trzeba przyznać nagrodę. Jednakże, ku zdziwieniu wszystkich obecnych, nigdzie nie można było odnaleźć wyróżnionego rycerza. Opuścił szranki natychmiast po ukończonych zapasach i widziano, jak wjeżdżał na jedną z leśnych dróg z ową powolnością i obojętnością, z powodu których zyskał przezwisko Czarnego Gnuśnika. Gdy dwukrotnie na próżno wzywały go trąby i wywoływali heroldowie, trzeba było wyznaczyć innego rycerza, który by podjął przyznaną nagrodę. Wtedy książę Jan nie znalazł już wykrętu, by odmówić Wydziedzicznemu Rycerzowi nagrody i ogłosił go zwycięzcą tego dnia.

Przez pole walki, śliskie od przelanej krwi, pokryte szczątkami zbroi oraz zabitymi i rannymi końmi, marszałkowie turnieju znów poprowadzili zwycięzcę do stopni tronu księcia Jana.

— Wydziedziczony Rycerzu — rzekł książę — który pod tym tylko imieniem chcesz być przez nas znany, po raz wtóry uznajemy cię zwycięzcą turnieju i zawiadamiamy cię, że masz prawo żądać i otrzymać z rąk Królowej Miłości i Urody wieniec sławy, na który

męstwem swym zasłużyłeś.

Rycerz pokłonił się nisko i z wdziękiem, ale nic nie odpowiedział.

Podczas gdy rozbrzmiewał głos trąb, gdy heroldowie głosili chwałę

walecznego i sławę zwycięzcy, gdy damy powiewały jedwabnymi

chustkami i haftowanymi welonami, a wszystkie stany jednogłośnie

wydawały okrzyki zachwytu, marszałkowie turnieju poprowadzili

rycerza poprzez szranki do tronu, na którym zasiadała lady Rowena.

Rozkazano zwycięzcy uklęknąć na najniższym stopniu tronu. Od

zakończenia walki zdawało się, że Wydziedziczony Rycerz porusza się,

ulegając jedynie woli otaczających go osób; zauważono, że po raz wtóry

przeszedł przez szranki chwiejnym krokiem. Rowena, zstąpiwszy z

tronu z wdziękiem i godnością, chciała włożyć wieniec trzymany w ręku

na hełm zwycięzcy, gdy marszałkowie zawołali jednogłośnie:

— Nie może to być, musi mieć głowę odkrytą!

Rycerz cichym głosem wyszeptał parę słów, które tłumila jeszcze

spuszczona przyłbica, lecz zdawało się, że wzbrania się przed zdjęciem

hełmu.

Marszałkowie turnieju, bądź powodując się szacunkiem dla zwyczajów,

bądź może przez ciekawość, nie zważali na jego protesty i zdjęli mu

szyszak przerznąwszy podpinkę i rozpiąwszy napierśnik. Gdy odkryto

głowę rycerza, ukazała się opalona, o regularnych rysach twarz

dwudziestopięcioletniego młodzieńca, otoczona gęstwiną jasnych

włosów. Lico jego było śmiertelnie blade i w paru miejscach poplamione

krwią. Lady Rowena, skoro tylko go ujrzała, wydała słaby okrzyk, ale

natychmiast całą mocą swego charakteru zapanowała nad sobą, choć drżała jeszcze pod wpływem niespodziewanego wrażenia. Włożyła na schyloną głowę zwycięzcy piękny wieniec, który był nagrodą za ten dzień, wymawiając czystym i wyraźnym głosem te słowa:

— Daję ci ten wieniec, panie rycerzu, jako nagrodę wyznaczoną dla zwycięzcy dzisiejszego turnieju.

Tu zatrzymała się na chwilę i dodała:

— Nigdy wieniec rycerski nie zdołał godniejszego czoła!

Rycerz skłonił głowę i pocałował dłoń pięknej królowej, która wynagrodziła jego męstwo; po czym pochylił się jeszcze i nagle runął do jej stóp.

Przerażenie ogarnęło obecnych. Cedryk, który osłupiał ujrawszy swego wygnanego syna, rzucił się teraz ku niemu, jakby chcąc go odsunąć od Roweny. Lecz uprzedzili go marszałkowie turnieju, którzy domyśliwszy się przyczyny omdlenia młodzieńca, pośpieszyli zdjąć mu zbroję; przekonali się, że ostrze włóczni, przebiwszy pancerz, zadało mu ranę w bok.

XIII

Zbliźcie się tu, heroje — Atryda zawoła —

I wystąpcie odważnie z wojowników koła.

Wy, których wieść stugębna wystawia i chwali,

Że siłą i zręcznością bijecie rywali —

Tę krowę wartą ośmiu zdobędzie ten śmiałek,

Kto najdalej skrzydlatą wyśle z łuku strzale.

Zaledwie wymówione zostało imię Wydziedziczonego Rycerza, okrzyk „Ivanhoe!” lotem strzały przeleciał z ust do ust, budząc wszędzie ogromną ciekawość. Wkrótce też imię to doszło do otoczenia księcia i zasępiło jego czoło. Książę spojrział dokoła pogardliwie i rzekł:

— *Moi panowie, a szczególnie ty, wielbny opacie, co sądzicie o tej nauce przekazanej nam przez mędrców o wrodzonej sympatii i odrazie?*

Mniemam, że odgadł obecność ulubieńca mego brata, mimo że nie mógł się domyślić, kogo ta zbroja kryje.

— *Bawoli Łeb musi się gotować do oddania lenna należnego temu rycerzowi — odezwał się de Bracy, który z honorem wypełniwszy swój obowiązek podczas turnieju, odłożył tarczę i szyszak i znów przyłączył się do świty książęcej.*

— *Ejże! — wtrącił Waldemar Fitzurse. — Ten młody śmiałek gotów jest upomnieć się o kasztel i ziemie nadane mu przez Ryszarda, a które wasza wysokość, w hojności swej, przyznał Bawolemu Łbu.*

— *Bawoli Łeb — odpowiedział książę Jan — prędzej połknie trzy takie posiadłości, niżli odda jedną. Zresztą sądzę, że nikt spośród was nie zaprzeczy, że mam prawo rozdawać lenna koronne wiernym sługom z mojego otoczenia, gotowym do wojaczki w zastępstwie tych, którzy wywędrowali do obcych krajów i nie mogą nam ani składać hołdu, ani służyć w razie potrzeby pomocą. .*

Obecni zbyt byli zainteresowani w tej sprawie, by nie przyznać, że księciu niewątpliwie przysługuje takie prawo.

— *Wspaniałomyślny i szlachetny książę uważa za swoją powinność
wynagradzać swe wierne służki!*

*Takie oto słowa rozległy się wśród dworzan, wszyscy oni bowiem albo
się spodziewali, że coś otrzymają kosztem ulubieńców króla Ryszarda,
albo już zostali obdarowani. Opat Aymer przyłączył się do nich,
zauważył jednak:*

— *Świętej Jerozolimy nie można nazwać obcym krajem. Jest to
communis mater * — Communis mater (łac.) — wspólna matka. /
wszystkich chrześcijan. Ale — dodał — nie wiem, dlaczego by rycerzowi
Ivanhoe miała z tego tytułu należeć się jakaś nagroda, gdyż jak mi
zaręczano, krzyżowcy pod wodzą Ryszarda nigdy nie posunęli się dalej
jak do Askalonu, a ogólnie wiadomo, że jest to miasto Filistynów, nie
zasługuje więc na przywileje przywiązane do Ziemi Świętej.*

*Waldemar, ciekawością wiedziony, udał się na miejsce, gdzie Ivanhoe
padł na ziemię, i powróciwszy rzekł:*

— *Dzielny ten rycerz zapewne nie przysporzy kłopotów waszej
wysokości ani Bawolemu Łbu nie przeszkodzi korzystać z lenna, jest
bowiem ciężko ranny.*

— *Cokolwiek mu się przydarzy — rzekł książę — jest dzisiejszym
zwycięzcą; i gdyby był po dziesięciokroć naszym wrogiem i oddanym
przyjacielem mego brata, co bez wątpienia na jedno wychodzi, trzeba
mu rany opatrzyć. Nasz nadworny lekarz będzie go pielęgnował.*

*Posępny uśmiech igrał na jego wargach, gdy to mówił. Waldemar
Fitzurse pośpieszył zapewnić, że Ivanhoe już został wyniesiony ze*

szranków i znajduje się pod opieką swych przyjaciół.

*— Wzruszył mnie — dodał — żal Królowej Miłości i Urody, której
jednodniowe panowanie wypadek ten okrył żałobą. Nie należę do tych,
których rozczulić mogą łzy kobiety oplakującej swego kochanka, ale
lady Rowena umiała z godnością stłumić swój smutek i zdradzały go
tylko załamane jej dłonie oraz suche oczy wlepione w omdlałe ciało
leżące przed nią.*

*— Któż to jest ta lady Rowena — zapytał księżę — o której ciągle
słyszemy?*

— Jest to Saksonka, dziedziczka rozległych dóbr — odparł opat Aymer.

*— Róża piękności, drogocenny klejnot, najurodziwsza spośród tysięcy
urodziwych, wiązka mirry i owoc z drzewa kamforowego *.*

*— Pocieszymy ją — rzekł księżę Jan — i zmażemy plamę jej pochodzenia
zaślubiając ją Normandowi. Zapewne nie osiągnęła jeszcze
pełnoletności, my więc, królewskim naszym prawem, wydamy ją za
mąż. Co na to powiesz, de Bracy? Co myślisz o zdobyciu pięknych włości
i bogactw przez ożenek z Saksonką, za wzorem dworzan Wilhelma
Zdobywcy?*

*— Jeśli włości przypadną mi do gustu — odparł de Bracy — to i żona mi
się spodoba. Będę się czuł bardzo zobowiązany waszej wysokości za ten
dobry uczynek, który będzie spełnieniem obietnic danych waszemu
słudze i lennikowi.*

*— Nie zabaczym o tym — rzekł księżę — i nie zwlekając rozkażemy
naszemu seneszałowi**, aby zaprosił na dzisiejszą wieczorną ucztę lady*

*Rowenę i jej towarzyszy, to jest jej opiekuna, gburowatego prostaka, oraz owego saksońskiego wołu wysadzonego podczas turnieju z siodła przez Czarnego Rycerza. De Bigot — zwrócił się do swego seneszala — przedłóż im nasze wezwanie w tak uprzejmych słowach, by polechtać dumę Saksończyków i uniemożliwić im ponowną odmowę; chociaż — na kości świętego Tomasza Becketa ***! — grzeczność względem tych ludzi to rzucanie pereł przed wieprze.*

Zaledwie książę domówił tych słów i miał dać znak do opuszczenia szranków, wsunięto mu do ręki małą kartkę.

— Od kogo? — zapytał książę patrząc na tego, który mu list oddał.

— Nie wiem, ale z obcego kraju — odparł sługa książęcy. — Pismo to przywiózł pewien Francuz, który powiada, że jechał dniem i nocą, by doręczyć list do rąk własnych waszej książęcej mości.

**/ Są to słowa z „Pieśni nad pieśniami” Salomona.*

***/ Seneszal — tu: urzędnik w służbie feudalnego władcy, zarządzający jego dworem*

****/ Św. Tomasz B e c k e t — arcybiskup kanterberyjski, zamordowany na rozkaz Henryka II.*

Książę obejrzał dokładnie podpis, a potem pieczęć z wyobrażeniem trzech lilii, wiszącą na jedwabnym sznurze, którym związano list. Jan otworzył go z pomieszaniem, wyraźnie wzrastającym w miarę, jak odczytywał słowa zawarte w piśmie: „Strzeż się, gdyż diabeł zerwał kajdany!” Książę zbladł śmiertelnie, spuścił wzrok ku ziemi, potem podniósł go do nieba jak skazaniec, który wysłuchał wyroku śmierci. Ochłonąwszy jednak z początkowego zaskoczenia, odprowadził na bok Waldemara Fitzurse'a i de Bracy'ego i kolejno dał im do przeczytania list.

— Znaczy to — rzekł drżącym głosem — że mój brat Ryszard wy dostał się na wolność.

— Może to płonna obawa lub list sfalszowany — zauważył de Bracy.

— Poznaję pismo i pieczęć króla Francji — odparł książę Jan.

— Trza nam więc — odezwał się Fitzurse — zebrać naszych stronników bądź w Yorku, bądź gdzie indziej, byle w środku kraju, i to co rychlej. Za parę dni może być za późno. Niech wasza wysokość porzuci myśl o wszelkich zabawach.

— Nie lza — rzekł de Bracy — by wasale i pospólstwo odjechało niezadowolone, że nie brało udziału w igrzyskach.

— Jeszcze nie jest późno — dodał Waldemar — niech więc łucznicy postrzelają nieco do celu i otrzymają nagrody. I tak książę dotrzyma obietnic, jakie poczynił temu stadu saksońskich niewolników.

— Dziękuję ci, Waldemarze — odparł książę. — Przypomniałeś mi też, że

mam pewien dług do spłacenia temu zuchwałemu chłopu, co wczoraj ubliżył mojej osobie. Dziś wieczór, tak jak postanowiłem, odbędzie się uczta. Choćby to miała być ostatnia godzina mojego panowania, chcę ją poświęcić zemście i zabawie. Jutrzejszy dzionek i tak przyniesie nam nowe troski.

Dźwięk trąb przywołał z powrotem tych widzów, którzy już zaczęli opuszczać swe miejsca; ogłoszono, że księżę Jan, niespodziewanie wezwany przez ważne i nie dające się odwlec sprawy, musi odwołać jutrzejsze igrzyska. Nie chce jednak, by tylu dobrych łuczników rozeszło się nie okazawszy swych umiejętności, wzywa ich, aby nim opuszczą szranki, natychmiast stanęli do zawodów łuczniczych, które miały się odbyć nazajutrz. Nagrodą dla najlepszego łucznika miał być róg oprawny w srebro na jedwabnym sznurze, bogato zdobiony, z medalionem świętego Huberta, patrona myślistwa.

Na to wezwanie stawilo się przeszło trzydziestu zawodników, wśród nich wielu leśników i gajowych z królewskich puszczy Needwood i Charmwood. Gdy jednak dowiedzieli się, z kim mają się mierzyć, przeszło dwudziestu się wycofało, nie chcąc się narazić na wstyd pewnej nieomal porażki. W owych czasach bowiem każdy dobry strzelec znany był o mile całe, tak jak obecnie każdy uczęszczający na wyścigi w Newmarket zna zalety biegającego tam konia.

Liczba zawodników ubiegających się o sławę myśliwską zmalała do ośmiu. Księżę Jan zstąpił ze swego tronu, by obejrzeć wybranych łuczników, z których paru nosiło królewskie barwy. Zaspokoiwszy swą

ciekawość, rozejrzał się szukając wzrokiem przedmiotu swej niechęci; dostrzegł go stojącego na tym samym, co poprzedniego dnia, miejscu, równie spokojnego i obojętnego.

— Cóż — rzekł książę — domyślałem się, sądząc po twym zuchwałym gadaniu, że jesteś niezbyt zamięłowanym łucznikiem. Widzę teraz, że nie śmiesz się zmierzyć ze stojącymi tam dzielnymi ludźmi!

— Za pozwoleniem waszej miłości — odparł łucznik — mam zaiste inne przyczyny, by nie strzelać, niżli obawa porażki i niełaski.

— Jakież to inne przyczyny? — spytał książę, którego człowiek ten zaciekawił, sam nie wiedział dlaczego.

— Iście nie wiada — odparł myśliwy — czy ci łucznicy i ja zwykliśmy strzelać do jednego celu; a lękam się, czy wasza książęca mość będzie rad widział, gdy trzecią nagrodę zdobędzie człowiek, który mimo woli naraził się na jego niełaskę.

Książę Jan zaczerwienił się i spytał:

— Jakie jest twoje imię?

— Locksley — odparł łucznik.

— A więc, Locksleyu — rzekł książę — na ciebie przyjdzie kolej, gdy tamci łucznicy wykażą swą zręczność. Jeśli zdobędziesz nagrodę, dorzucę do niej dwadzieścia noblów/. Ale jeśli ci się nie uda, zedrą z ciebie twe zielone ubranie i wypędzą cię ze szranków cięciwami łuków za twe łgarstwa i zuchwałe przechwałki.*

**/ Nobel - dawna złota moneta wartości sześciu szylingów i ośmiu pensów.*

— *A jeśli nie będę chciał stanąć do zawodów na takich warunkach? —*

zapytał łucznik. — Wasza miłość ma wielu zbrojnych do pomocy, może mnie obdrzeć z szat i wychłostać, ale nie może mnie przymusić, bym naciągnął łuk i wypuścił strzałę.

— *Jeśli odrzucisz to, co ci ofiarowałem — rzekł książę — sędzia tych zawodów przetnie twą cięciwę, połamie twój łuk i strzały i wypędzi cię jako obdarzonego zajęczym sercem.*

— *Nie jesteś dla mnie sprawiedliwy, dostojny książę — odparł łucznik. — Zmuszasz mnie bowiem do zmierzenia się z najlepszymi łucznikami hrabstw Leicesteru i Staffordu, grożąc mi hańbą, jeśli zostaną zwyciężony. Będę jednak posłuszny waszej książęcej mości.*

— *Straż niech pilnuje go dobrze — rzekł książę Jan. — Snadź traci odwagę, a nie lza, by wykręcił się od próby. A wy, moi przyjaciele, mierzcie dobrze; w tym oto namiocie czekać na was będzie, w razie zwycięstwa, comber jeleni i baryłka wina w nagrodę.*

Umieszczono cel na końcu południowej drogi wiodącej w szranki.

Współzawodnicy stawali kolejno u wylotu tego przejścia; tam dzieliła ich od celu odpowiednia odległość, pozwalająca na tak zwany strzał „stromym torem”.

Łucznicy losowali, w jakim porządku będą strzelać; każdy miał prawo wypuścić trzy strzały. Zawodami kierował teraz urzędnik niższej rangi, zwany sędzią, bowiem marszałkowie turnieju uważali, że zajmowanie się igrzyskami łuczników ubliża ich godności. Zawodnicy występowali jeden po drugim i wypuszczali strzały zręcznie i pewnie. Z dwudziestu

czterech wypuszczonych strzał dziesięć trafiło do celu, a inne tak blisko, że zważywszy na odległość, z jakiej strzelano, można było nazwać wszystkich łuczników bardzo dobrymi strzelcami. Z dziesięciu strzał, które trafiły w cel, dwie utknęły w wewnętrznym kole tarczy. Wypuścił je Hubert, leśnik na służbie Malvoisina, i jego ogłoszono zwycięzcą.

— Cóż, Locksleyu? — spytał książę Jan śmiałego łucznika, drwiąco się uśmiechając. — Chceszli się zmierzyć z Hubertem czy też wolisz od razu oddać sędziemu swój łuk, pas i kołczan?

— Kiedy już nie może być inaczej — rzekł Locksley — muszę poprobować szczęścia, ale pod warunkiem, że jeśli dwukrotnie trafię do tego celu, w który trafił Hubert, on będzie musiał raz trafić w cel, jaki mu wyznaczę.

— Dobrze — odparł książę Jan — twoja prośba będzie spełniona. Jeśli uda ci się, Hubercie, zwyciężyć tego samochwała, napelnię twój róg srebrnymi monetami.

— Uczynię, co się da — odrzekł Hubert. — Mój pradziad dobrze naciągał swój łuk pod Hastings, mam nadzieję, że nie ubliżę jego pamięci.

Usunięto poprzednią tarczę służącą za cel i na jej miejsce postawiono inną tej samej wielkości. Hubert, jako zwycięzca w pierwszych zawodach, miał prawo strzelać pierwszy; długo celował mierząc okiem odległość, trzymając w ręku już naciągnięty łuk ze strzałą na cięciwie. Wreszcie uczynił krok naprzód i podniósł łuk na długość lewego ramienia, tak iż uchwyt jego znalazł się na wysokości twarzy — wtedy dopiero przyciągnął cięciwę aż do ucha. Strzała poleciała ze świstem i utknęła w wewnętrznym kole tarczy, ale nie w samym jej środku.

— Nie liczyłeś się z wiatrem, Hubercie — rzekł jego przeciwnik

naciągając łuk. — Mogłeś lepiej trafić.

Mówiąc to i nie wykazując żadnych obaw, czy zwycięży, Locksley stanął na oznaczonym miejscu i wypuścił strzałę niedbale i jakby wcale nie patrząc na cel. Mówił jeszcze w chwili, gdy strzała opuszczała cięciwę, mimo to utkwiała o dwa cale bliżej od białego punktu oznaczającego środek tarczy niżli strzała Huberta.

— Na Boga! — krzyknął książę do Huberta. — Jeśli dasz się zwyciężyć temu zbuntowanemu pachołkowi, pójdziesz na szubienicę!

Hubert na każdą okazję miał tylko jedną odpowiedź:

— Gdyby mnie wasza książęca mość miał nawet powiesić, zrobię tylko to, co będę mógł. Ale mój pradziad dobrze naciągał...

— Do diabła z twoim pradziadem i całym jego potomstwem! —

przerwał mu książę. — Strzelaj, chłopie, strzelaj, jak umiesz najlepiej, bo źle będzie z tobą!

Na takie ponaglenie Hubert powrócił na swoje miejsce i nie lekceważąc rady przeciwnika wziął pod uwagę lekki powiew wiatru, który się właśnie zerwał, po czym wypuścił strzałę tak zręcznie, że utkwiała w samym środku tarczy.

— Niech żyje Hubert! Niech żyje Hubert! — wołano z tłumu sprzyjającego bardziej swojakowi niżli obcemu. — Trafił, trafił! Niech nam żyje!

— Nie zdołasz trafniej strzelić, Locksleyu — rzekł książę z szyderczym uśmiechem.

— *Mogę rozszczepić jego strzałę — odparł Locksley. I wypuścił swą strzałę, mierząc jednak z większą uwagą niż poprzednio, a grot jej trafił w strzałę przeciwnika rozszczepiając ją na drzazgi. Tłum, stojący dokoła, tak był zdumiony jego niezwykłą zręcznością, że nawet nie objawił swego zdziwienia zwykłymi okrzykami.*

— *To diabeł wcielony, a nie człowiek z krwi i kości — szeptali łucznicy między sobą. — Od czasu jak zaczęto giąć łuki w Anglii, nie było jeszcze takiego strzelca!*

— *A ninie — rzekł Locksley — zwólcie mi, wasza miłość, naznaczyć taki cel, jaki jest w użyciu na Północy; zapraszam każdego dobrego łucznika, by spróbował doń trafić, a zasłuży sobie na uśmiech ślicznotki, która mu się najbardziej podoba.*

I kierując się do wyjścia ze szranków, dodał:

— *Każcie iść za mną swej straży, księżę, jeśli taka wasza wola. Chcę tylko wyciąć pręt wierzbiny.*

Księżę Jan dał znak kilku ludziom ze straży, by pilnowali łucznika i nie dali mu uciec, ale rozlegające się w tłumie okrzyki:

„To wstyd! To wstyd!” zmusiły go do cofnięcia tego podłego rozkazu.

Locksley powrócił prawie natychmiast z prętem wierzbowym długim na sześć stóp, zupełnie prostym, trochę grubszym niż palec. Zaczął bardzo powoli obdzierać go z kory, mówiąc, że kazać dobremu strzelcowi trafić do tak szerokiego celu, jak dotychczas, byłoby natrzęsaniem się z jego umiejętności. W jego rodzinnym kraju bowiem — powiadał — wzięto by równie snadnie za cel okrągły stół króla

Artura, dokoła którego mieściło się sześćdziesięciu rycerzy.

— Siedmioletnie dziecko trafiłoby do takiej tarczy — rzekł — strzałą bez grotu. Natomiast — dodał z rozwagą, odszedłszy na drugi koniec szranków i zatknąwszy tam pręt prostopadle — tego, kto trafi w ten kij z odległości stu jardów, uważać będę za godnego nosić łuk i kołczan przed królem, choćby nawet był nim sam sławny król Ryszard.

— Mój pradziad — rzekł Hubert — dobrze naciągał swój łuk pod Hastings, ale nie zdarzyło mu się nigdy strzelać do takiego celu. Przeto i ja tego nie uczynię. Jeśli ten łucznik rozszczepi pręt, uznam jego wyższość i co żywiej poddam się diabłu, co bez ochyby w nim siedzi, boć to nie w ludzkiej jest mocy. Nikt przecie nie może zrobić lepiej, niż umie, tedy i ja nie będę strzelał, kiedy jestem pewien, że chybię. Celować do tego błyszczącego pręta, ledwie widocznego, to iście tyle, co starać się trafić w ostrze nożyka plebana lub w źdźbło pszenicy czy w promień słońca.

— Tchórzliwy psie! — zawołał książę Jan. — A ty, Locksleyu, strzelaj! Jeśli trafisz, przyznam, żeś pierwszy, któremu się to udało. Jeśli zaś nie, nie będziesz się już mógł po próżnicy chępić swą zręcznością.

— Zrobię, co będę mógł, jak powiada Hubert — odparł Looksley. — Więcej nikt nie jest zdolny uczynić.

Mówiąc to, znów naciągnął łuk, ale tym razem opatrzył go starannie i zmienił cięciwę, która nie była już dostatecznie obła po paru poprzednich strzałach. Mierzył dokładnie, a milczący tłum zastygł w oczekiwaniu. Łucznik nie zawiódł ich wiary w jego biegłość: strzala

rozszczepiła wierzbowy pręt! Rozległy się oklaski i nawet księżę Jan, porzuciwszy na chwilę swą niechęć, podziwiał zręczność Locksleya.

— Te dwadzieścia noblów, które wraz z rogiem wygrałeś, słusznie ci się należą — rzekł. — Dostaniesz pięćdziesiąt, jeśli przywdziejesz nasze barwy i zaciągniesz się do nas na służbę jako łucznik w przybocznej straży przy naszej osobie. Nigdy bowiem silniejsza dłoń nie napinała łuku ani bystrzejszy wzrok nie kierował strzałą.

— Wybacz mi, szlachetny księżę — odparł Locksley. — Przysiągłem, że jeśli kiedy zaciągnę się na jakąś służbę, to tylko do brata waszej wysokości, króla Ryszarda. Te dwadzieścia noblów oddam Hubertowi, strzelał bowiem dziś równie dobrze jak jego pradziad pod Hastings. Prawdziwie, gdyby mu skromność nie broniła stanąć do zawodów, trafiłby, tak jak ja, do tego celu.

Hubert potrząsnął głową, przyjmując niechętnie ten dar nieznanego, a Locksley, nie chcąc dłużej zwracać na siebie uwagi, zmieszał się z tłumem i nie pokazał się więcej.

Może nie byłoby mu się tak łatwo udało zniknąć przed oczu księcia, gdyby ten nie miał w owej chwili ważniejszych spraw na głowie.

Zawołał swego seneszala, gdy ten dawał znak tłumom do rozejścia się, i rozkazał mu natychmiast pośpieszyć do Ashby i odszukać tam Żyda Izaaka.

— Powiedz temu psu — rzekł — by mi przysłał jeszcze przed wschodem słońca dwa tysiące koron. Wie już, jakie będzie zabezpieczenie tej sumy, ale na znak możesz mu pokazać ten oto pierścień. Reszta pieniędzy ma

być wyplacona w Yorku za sześć dni. Jeśli niewierny pies tego nie uczyni, każę mu obciąć głowę. Uważaj, żeby się z nim nie zminąć w drodze, gdyż ten obrzezany łotr był tu i roztaczał swe kradzione bogactwo wśród nas podczas turnieju.

Księżę, mówiąc to, dosiadł konia i powrócił do Ashby, a tłum zaczął się rozchodzić ciągnąc tą samą, co i on, drogą.

XIV

Gdy ongi szumnie i wspaniale

Rycerstwo w dawnej, zmierzchłej chwale

Szło z kopiażem na spotkanie —

Na odgłos trąby strojne panie

U boku książąt barwnym wiankiem

W krąg zasiadały pod krużgankiem.

TH. WARTON

Księżę Jan wydał swą wielką ucztę na zamku Ashby. Nie był to ten

budynek, którego ogromne ruiny dotychczas budzą podziw podróżnych

i który wzniesiony został później przez lorda Hastingsa, podskarbiego

Anglii. Lord ten, jeden z pierwszych, padł ofiarą tyranii Ryszarda

Trzeciego i bardziej jest znany jako bohater tragedii Szekspira niż jako

postać historyczna. W owej epoce zamek i miasto Ashby były

własnością Rogera de Quincy, hrabiego Winchester, przebywającego w

czasach naszej opowieści w Ziemi Świętej. Tymczasem książę Jan zajął

jego kasztel, a włościami rozporządzał bez skrupułów; teraz zaś, chcąc

zamydlić ludziom oczy gościnnością i przepychem, rozkazał czynić tu

wielkie przygotowania do najwspanialszej z uczt.

Szafarze księcia, obdarzeni w tym wypadku i w wielu innych władzą równą królewskiej, nie przepuścili w okolicy żadnym zapasom, które mogłyby się przydać na pański stół. Zaproszono bardzo wielu gości, a księżę Jan, który chciał zyskać sobie względy poddanych, zaprosił nie tylko okolicznych wielmożów i szlachtę normandzką, ale także kilku przedstawicieli znakomitych rodów saksońskich i duńskich.*

**/ Od czasu inwazji Duńczyków w IX w. pozostali na wschodzie Anglii ich potomkowie.*

Anglo-Saksończycy, choć zwykle wyszydzani i pogardzani, byli tak liczni, że w razie grożących wówczas wewnętrznych zamieszek mogli stać się groźni; polityka nakazywała więc zjednać sobie przychyłność ich wodzów.

Księżę postanowił, przynajmniej przez pewien czas, przyjmować tych niepożądanych gości z uprzejmością, do której nie przywykli. Lecz chociaż nikt nie umiał tak jak on wyrzekać się swych zwyczajów i uczuć dla interesu, na swoje nieszczęście zawsze zdradzał się przez lekkomyślność i popędliwość, przy czym tracił to, co zyskał poprzednią grą.

Dał już raz dowód tego kapryśnego usposobienia, gdy ojciec, Henryk Drugi, wysłał go do Irlandii, by pozyskał tam przychyłność mieszkańców tych nowo przyłączonych, a tak dla Anglii ważnych ziem. Wodzowie irlandzcy przy tej sposobności ubiegali się kto pierwszy złożyć młodemu księciu hołd i pocałunek pokoju. Lecz zamiast przyjąć ich

uprzejmie, Jan i jego rozzuchwaleni dworzanie nie mogli się powstrzymać, by nie szarpnąć za długie brody irlandzkich wodzów, co naturalnie, jak można się było spodziewać, wywołało wielkie oburzenie u obrażonych dostojników i pociągnęło za sobą fatalne skutki dla panowania angielskiego w Irlandii. Należy mieć zawsze w pamięci tę niestałość charakteru księcia Jana, by zrozumieć jego postępowanie podczas owego wieczoru.

Uczyniwszy na zimno wiele rozsądnych postanowień, książę Jan przyjął Cedryka i Athelstana z wyszukaną uprzejmością i, nie zdradziwszy swego niezadowolenia, wyraził żal, kiedy ten ostatni oznajmił mu, że lady Rowena z powodu niedyspozycji nie mogła przybyć na jego uprzejme zaproszenie. Cedryk i Athelstan przyodziani byli w dawny strój saksoński, który, chociaż niebrzydki i uszyty z bogatego materiału, tak jednak różnił się krojem i wyglądem od ubioru innych gości, że książę Jan pochwalił się przed Waldemarem Fitzurse'em, iż ledwie zdołał się wstrzymać od śmiechu na widok sukien, które tak zabawnie odbijały od ówczesnej mody. A jednak w oczach nie uprzedzonych krótka, obcisła tunika i długa opończa Saksończyków była ładniejszym, a zwłaszcza wygodniejszym strojem od ubioru Normandów, składającego się z długiego kaftana, tak luźnego, że przypominał koszulę lub płaszcz woźnicy, i z opończy tak krótkiej, że nie osłaniała ani od zimna, ani od deszczu i służyła jedynie do roztaczania bogactwa futer, haftów i klejnotów, jakimi krawiec potrafił ją przyozdobić. Widać ubiór ten bardzo dokuczył Karolowi Wielkiemu, za którego panowania

wszedł w modę, cesarz bowiem mówił:

— Na miłość boską, na co się zdadzą te kuse płaszcze? Nie okrywają nas na poślaniu, nie ochraniają na koniu przed wiatrem i deszczem, a gdy usiądziemy na ziemi, nie osłaniają nam nóg przed wilgocią i zimnem.

Jednak mimo tej nagany cesarskiej krótkie płaszcze nie przestały być w modzie aż do czasów, o których tu mowa, szczególnie u książąt z domu andegaweńskiego. Były więc też w użyciu wśród dworzan księcia Jana, a wyszydzano długie opończe stanowiące zwierzchnią szatę Saksończyków.

Goście zasiedli do stołu uginającego się pod obfitością znakomitego jadła. Liczni kucharze, towarzyszący księciu w jego podróżach, tyle sztuki włożyli w urozmaicenie kształtu potraw, że — podobnie jak dzisiejsi mistrze wiedzy kulinarnej — pozbawili je całkowicie ich naturalnego wyglądu. Prócz potraw pochodzenia krajowego podano mnóstwo smakołyków przywiezionych z obcych stron, różnorodnych antypastów, kołaczy i ciast, które ukazywały się tylko na stołach wysokich dygnitarzy. Koronę bankietu stanowiły najlepsze wina, zagraniczne i krajowe.*

**/ Antypast (z włos. antipasto) — przekąska dla zaostżenia apetytu.*

Normandowie kochali się w zbytkach, ale na ogół cechowała ich wstrzeźliwość. Choć lubili dobre jadło, chodziło im raczej o smak delikatnych potraw i jedli dość umiarkowanie. Chętnie więc zarzucali podbitym Saksończykom żarłoczność i pijaństwo, jako wady odpowiadające ich niskiemu poziomowi. Książę Jan wszakże i jego

otoczenie, naśladowujące wszystkie jego przywary, chętnie oddawali się rozkoszom stołu; wiadomo przecież, że przyczyną śmierci tego księcia było przejedzenie się brzoskwiniami, które popił niedowarzoną piwem. Stanowił on pod tym względem wyjątek na tle obyczajów większości swych rodaków.

Normandzcy rycerze i panowie ze złośliwą powagą, potajemnie dając sobie znaki porozumiewawcze, podpatrywali prostackie zachowanie Cedryka i Athelstana, nie obeznanych ze zwyczajami obowiązującymi w czasie uczt. A kiedy tak z nich szydzono, nieświadomi tego Saksończycy mimo woli przekraczali dość zresztą dowolnie nałożone zasady dobrego wychowania. Wiadomo zaś, iż człowiekowi łatwiej wybaczą uchybienia przeciw dobrym obyczajom lub moralności niż nieznaną choćby najdrobniejszych prawideł modnej etykiety. Tak więc Cedryk, który otarł ręce w serwetę zamiast pozwolić im wyschnąć, poruszając nimi wdzięcznie naraził się na większą śmieszność od swego towarzysza Athelstana, który zjadł sam cały ogromny pasztet, nazywany wówczas „karum-pie”, a zrobiony z samych wykwinnych smakołyków sprowadzonych z obcych krajów. Jednakże gdy odkryto w krzyżowym ogniu pytań, że władca na Coningsburghu — czyli jak go nazywali Normandowie, franklin — nie ma pojęcia, co zezarł, i że wyobrażał sobie, iż pasztet składał się ze skowronków i gołębi, gdy tymczasem był z figojadek i słowików, jego nieświadomość wywołała szyderstwa, które należały się raczej jego żarłoczności.

Wreszcie długa biesiada dobiegła końca i gdy puchary krążyły dokoła,

rozmowa potoczyła się o wypadkach zaszytych podczas turnieju, o nieznanym zwycięzcy zawodów łuczniczych, o Czarnym Rycerzu, który dobrowolnie wyrzekł się zaszczytów, jakich mu mogło przysporzyć jego zwycięstwo, oraz o walecznym Ivanhoe, który tak drogo zapłacił za swój tryumf. Panowała iście żołnierska szczerłość, a żarty i śmiechy rozlegały się w sali. Ale czoło księcia Jana zalegały chmury; widać było, że jakaś wielka troska zaprzęta jego myśli i tylko wtedy, gdy dworacy zwracali się wprost do niego, zdawał się zauważać to, co się dokoła niego działo. Zrywał się wówczas, wychylał kielich wina jakby dla dodania sobie animuszu i wtrącał się do rozmowy na chybił trafił.

— Wypijemy ten puchar — rzekł — za zdrowie Wilfryda Ivanhoe, zwycięzcy turnieju, żałując, że rany nie pozwoliły mu zaszczyścić tej uczyty swą obecnością. Wznieśmy ten toast wszyscy, a szczególnie Cedryk z Rotherwoodu, godny ojciec tak obiecującego syna.

— Nie, książę — odparł Cedryk wstając z miejsca i stawiając na stole nie napoczęty puchar. — Nie nazywam moim synem tego nieposłusznego młodzieńca, który zlekceważył moje rozkazy i porzucił zwyczaje i obyczaje swych ojców.

To niemożliwe — zawołał książę z dobrze udanym zdziwieniem — by taki dzielny rycerz mógł być niegodziwym czy nieposłusznym synem!

— A jednak — odparł Cedryk — takim jest Wilfryd. Opuścił moje skromne progi, by brać udział w zabawach na dworze brata waszej książęcej mości, gdzie nauczył się tej sztuki jeździeckiej, którą tak wysoko cenicie. Opuścił mój dom wbrew moim chęciom i rozkazom; za

czasów króla *Alfreda* takie postępowanie byłoby uważane nie tylko za nieposłuszeństwo, ale i za zbrodnię godną najsurowszej kary.

— *Niestety* — odparł książę *Jan* z głębokim westchnieniem udanego współczucia — *jeśli syn twój był dworzaninem mego nieszczęsnego brata, nie trzeba pytać, gdzie i od kogo nauczył się synowskiego nieposłuszeństwa.*

Tak rzekł książę Jan, rozmyślnie zapominając, że spośród wszystkich synów Henryka Drugiego, choć żaden nie był bez winy, on sam w stosunku do swojego ojca okazał się najbardziej buntowniczy i niewdzięczny.

— *Zdaje mi się* — dodał po chwili milczenia — *że mój brat chciał nadać swemu ulubieńcowi bogate lenno *Ivanhoe*.*

— *Istotnie tak było* — odparł *Cedryk*. — *Jednym z najważniejszych powodów mojego zerwania z synem było właśnie to jego poniżenie, gdy zgodził się otrzymać w lennie dobra, które jego przodkowie posiadali na prawach ludzi wolnych i niezależnych.*

— *A więc, szlachetny Cedryku, nie będziesz się sprzeciwiał* — rzekł książę *Jan* — *gdy lenno to przekazemy osobie, która nie uważa za poniżenie przyjmowania dóbr od Korony. *Sir Reginaldzie*, zwany *Bawolim Łbem* — książę zwrócił się do barona — *mam nadzieję, że zechcesz zatrzymać dla siebie piękną baronię *Ivanhoe*, a *sir Wilfryd* tym sposobem nie ściągnie już na siebie gniewu ojca.**

— *Na świętego Antoniego!* — zawołał ciemnobrewy olbrzym. — *Pozwolę się waszej książęcej mości nazwać *Saksończykiem*, jeśli *Cedryk* czy*

*Wilfryd albo ktokolwiek mający w sobie krew angielską zdoła mi
wydrzeć dar otrzymany z rąk waszej wysokości.*

— Ktokolwiek nazwie cię Saksończykiem, panie baronie — odparł

*Cedryk dotknięty wyrażeniem, jakiego Normandowie często używali
dla okazania swej pogardy wobec rodowitych Anglików — uczyni ci
honor równie wielki, jak niezastężony.*

*Bawoli Łeb chciał odpowiedzieć, lecz uprzedził go popędliwy i
lekkomyślny książę.*

— Z pewnością, baronie — rzekł. — Szlachetny Cedryk słusznie prawi.

*Bowiem ród jego może dobijać się istotnie o pierwszeństwo przed nami
zarówno z powodu swej długiej genealogii, jak i swych długich szat.*

*— Saksończycy wyprzedzają nas też w polu podobnie jak jeleń
wyprzedza ogary — dodał Malvoisin.*

*— Iście, mają prawo pierwszeństwa przed nami — wtrącił opat. — Nie
zapominajcie, o ile przyzwoitsze i obyczajniejsze mają maniere.*

*— Takż trza mieć wzgląd na ich wstrzemiężliwość i umiarkowanie —
dorzucił de Bracy zapominając o obiecanej mu saksońskiej oblubienicy.*

— A takż na ich męstwo i zachowanie — dodał Brian de Bois-Guilbert

— jakim się odznaczyli pod Hastings i w innych potrzebach.

*Kiedy tak gładcy i uśmiechnięci dworacy naśladowali przykład księcia
obrzucając Cedryka*

gradem

szyderstw,

twarz Saksończyka

pociemniała z gniewu. Spozierał na nich kolejno straszonym wzrokiem, jak gdyby te szybko następujące po sobie obelgi nie pozwalały mu odpowiadać na każdą z nich po kolei; wyglądał jak rozjuszony byk, otoczony przez prześladowców, który nie wie, na kim najpierw ma wyrzucić swą zemstę. Wreszcie przemówił głosem zduszonym przez gniew, zwracając się do księcia Jana jako do dowódcy swych krzywdzicieli i głównego sprawcy uczynionej mu zniewagi.

— Jakiegokolwiek są przywary i wady naszego narodu — rzekł — Saksończyk, który by we własnym domu, gdy jego puchar krąży dokoła stołu, tak się obszedł z gościem, który go nie obraził, albo pozwolił, aby się inni z nim obeszlili, jak wasza wysokość pozwolił się dziś ze mną obejść, uważany byłby za nideringa (słowo to wyraża po saksońsku największą pogardę). Jakiegokolwiek był los naszych przodków na polach pod Hastings, to ci przynajmniej powinni milczeć — tu spojrzął na Bawolego Łba i templariusza — którzy przed paroma godzinami zostali wysadzeni z siodeł przez włóczęgę Saksończyka.

— Dalibóg, ostro wam przyciął.— rzekł książę Jan. — Jak wam się to podoba, panowie? Nasi poddani, Saksończycy, podnoszą głowy, nabierając odwagi, stają się dowcipni i śmiali w tych niepewnych czasach. Cóż wy na to, lordowie? Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak wsiąść z powrotem na nasze korabie i nie zwlekając powrócić do Normandii.

— Ze strachu przed Saksonami? — zapytał śmiejąc się de Bracy. — Niepotrzebny oręż, wystarczą oszczepy myśliwskie, by poszczuć te

niedźwiedzie!

— *Dość tych żartów, panowie rycerze!* — przerwał Fitzurse i zwracając się do księcia, dodał: — *Dobrze byłoby, aby wasza miłość upewnił zacnego Cedryka, iż nikt nie zamierzał mu ubliżyć żartami, które muszą brzmieć twardo w uszach obcego.*

— *Ubliżyć mu?* — odparł książę Jan, znów przybierając grzeczny ton. — *Nikt chyba nie może mnie podejrzewać, że mógłbym mu ubliżyć sam lub innym na to pozwolić. Oto wznoszę puchar za zdrowie Cedryka, kiedy on nie chce pić za zdrowie swego syna.*

Puchar przeszedł z rąk do rąk wśród nieszczerých oklasków dworzan, którym się jednak Saksończyk nie dał zwieść. Choć nie posiadał wrodzonej bystrości, ale źle by go osądził ten, kto by mniemał, że uprzejme pochlebstwo zatrze w jego umyśle poprzednią zniechęć.

Milczał jednak, gdy książę wzniósł z kolei zdrowie „sir Athelstana z Coningsburgha”.

Rycerz skłonił się i odpowiedział na ten zaszczyt wychylając do dna ogromny kielich.

— *A teraz, panowie* — rzekł książę Jan nieco już podniecony wypitym winem — *kiedyśmy już uczcili naszych gości, poprosimy ich, aby się odwzajemnili za naszą grzeczność. Szlachetny thanie* — ciągnął zwracając się do Cedryka — *prosimy cię, abys wymienił Normanda, którego imię najmniej pokalałoby twe usta, i abys splukał kielichem wina gorycz, jaką dźwięk tego imienia mógłby pozostawić po sobie.*

Fitzurse wstał, gdy książę to mówił, i wśliznąwszy się za krzesło

Saksończyka szepnął mu, by skorzystał ze sposobności i położył koniec niechęci między dwoma narodami wymieniwszy księcia Jana.

Saksończyk nic nie odpowiedział na tę zręczną namowę, lecz powstał i napelniwszy po brzeg swój kielich, zwrócił się do księcia Jana tymi słowy:

— Wasza wysokość zażądał, bym wymienił Normanda godnego wspomnienia przy naszej biesiadzie. Ciężkie to jest zadanie, gdy niewolnik zmuszony jest śpiewać pochwały swego pana, zwyciężony, uginający się pod ciężarem przegranej — swego zwycięzcy. Jednak wymienię pewnego Normanda — pierwszego w boju i pierwszego w kraju — najlepszego i najszlachetniejszego w swym narodzie. A kto nie chce mi wtórować w pochwałach jego dobrze zasłużonej sławy, tego uważać będę za fałszywego i podłego, co gotów jestem przypieczętować własną krwią. Piję ten kielich za zdrowie Ryszarda Lwie Serce!

Księżę Jan, który spodziewał się usłyszeć swoje imię na końcu przemówienia Saksończyka, zadrzał, gdy padło imię jego brata. Mimo woli podniósł do ust kielich, ale natychmiast postawił go z powrotem na stole, by się przekonać, jakie wrażenie wywołał na biesiadnikach ten niezwykły toast; wielu spośród obecnych obawiało się zarówno uchylić od niego, jak go wznieść. Niektórzy, dawni i doświadczeni dworacy, wiernie naśladowując przykład księcia, podnieśli kielich do ust i postawili go z powrotem przed sobą. Liczni jednak biesiadnicy, pod wpływem szlachetniejszych uczuć, zawołali: „Niech żyje król Ryszard i niech wraca wkrótce do nas!”

Niewielu, a wśród nich Bawoli Łeb i templariusz, z posępną pogardą nie pokosztowali nawet wina z pucharów. Lecz nikt nie ośmielił się otwarcie sprzeciwić wzniesieniu zdrowia panującego monarchy.

Cedryk przez chwilę cieszył się tym tryumfem, po czym odezwał się do swego towarzysza:

— Wstań, szlachetny Athelstanie! Dość już długo pozostaliśmy na tej uczcie, odpłacając się za gościnę i uprzejmość księcia Jana. Kto chce lepiej poznać nasze proste obyczaje, musi odtąd szukać nas w domach przodków naszych, bowiem mamy już dosyć uczt królewskich i normandzkiej grzeczności.

Mówiąc to, powstał i opuścił salę biesiadną, a za nim wyszedł Athelstan i kilku innych gości należących do rodów saksońskich, którzy poczuli się obrażeni żartami księcia i jego dworaków.

— Na kości świętego Tomasza! — zawołał książę Jan po ich odejściu. — Saksońscy lennicy zagarnęli dziś dla siebie wszystkie zaszczyty i odeszli w tryumfie!

— Conclamatum est, poculatum est — rzekł opat Aymer. —

Nakrzyczeliśmy się i napili, a teraz czas porzucić dzbany wina.

— Mnich musi zapewne jeszcze dzisiejszego wieczoru wyświadczyć jakąś piękną penitentkę, gdy tak mu spieszo odejść — odezwał się de Bracy.

— Bynajmniej, panie rycerzu — odparł opat — ale muszę jeszcze dzisiejszego wieczoru ujechać parę mil drogi powrotnej.

— Już się rozchodzą — szepnęła książę do Fitzurse'a. — Ich bojaźń

uprzęda wypadki, a ten tchórz opat pierwszy mnie poniechał.

— Nie obawiaj się, książę — odparł Waldemar. — Mam argumenty, które go nakłonią do przybycia do Yorku, gdy się tam zjedziemy. Wasza wielebność — zwrócił się do opata — chciałbym się na osobności rozmówić z wami, zanim dosiędziecie wierzchowca.

Inni goście rozeszli się teraz pośpiesznie z wyjątkiem najbliższych stronników księcia Jana i dworzan z jego świty.

— Oto skutki twoich rad! — rzekł z gniewem książę zwracając się do Fitzurse'a. — Przy moim własnym stole zostałem znieważony przez pijanego Saksończyka, a na sam dźwięk imienia mego brata ludzie zaczynają ode mnie stronić jak od zapowietrzonego.

— Pomiarkuj się, książę — powiedział doradca. — Mógłbym zarzuty te odeprzeć oskarżając w tym wypadku twoją lekkomyślność, która pokrzyżowała moje plany i wypaczyła twój zdrowy sąd. Ale nie czas na wymówki. Pójdziemy zaraz z de Bracy'm do tych podłych tchórzów i dowiedzimy im, że posunęli się za daleko, by móc się cofnąć.

— Próżny trud — rzekł książę przebiegając niepewnym krokiem komnatę i mówiąc z podnieceniem, do którego częściowo przyczyniło się wypite wino. — Próżny trud! Oni ujrzeli na murze wypisane słowa, dostrzegli na piasku ślady lwa, usłyszeli jego zbliżający się ryk, który wstrząsa lasem; nic już nie przywróci im odwagi.

— Dalby Bóg — szepnął Fitzurse do de Bracy'ego — aby cokolwiek mogło mu przywrócić jego własne męstwo! Samo imię brata lękiem go przejmuje. Nieszczęśni doradcy księcia, który nie ma ani stałości, ani

wytrwania zarówno w dobrym, jak złym!

XV

On jednak myśli — cha, cha, cha! — on myśli,

Żem jego woli narzędziem i sługą.

Niechże mu będzie! Przez labirynt cierpień,

Które zadaje swym podłym uciskiem,

Ku wyższym celom utoruje drogę...

Któż mi odmówi racji?

Bazyli. Tragedia

Nigdy pająk nie naprawiał tak starannie swej uszkodzonej sieci, jak

Waldemar Fitzurse przykładał się do zgromadzenia i ponownego

wciągnięcia do intrygi rozpierzchłych stronników księcia Jana.

Niewiele ludzi przywiązało się do niego, a nikt nie miał dla jego osoby

szacunku. Musiał więc Fitzurse ukazać im nowe korzyści i przypomnieć

te, które już osiągnęli. Młodych, wyuzdanych szlachciców nęcił

widokami bezkarnej swawoli i nieograniczonych hulanek; ambitnych

przyciągał obietnicą zaszczytów, a chciwym przyrzekał pomnożenie

bogactw i nadanie obszernych włości. Dowódców najemnych band

obdarzał złotem, co było dla nich najbardziej przekonującym

argumentem, bez którego wszystkie inne by nie podziałały. Ten

ruchliwy poplecznik księcia hojniej jeszcze rozdawał obietnice niż

pieniądze, słowem — nic nie zostało zaniedbane, co mogłoby nakłonić

wahającego się lub pokrzepić tracącego odwagę. Mówił o powrocie

króla Ryszarda jako o rzeczy zupełnie niemożliwej, skoro jednak

spostrzegał po nieufnym wzroku i niepewnych odpowiedziach, że tego właśnie współwinowajcy najbardziej się obawiają, śmiało twierdził, że gdyby nawet taki wypadek miał nastąpić, nie powinno to wpłynąć na ich polityczne rachuby.

— Jeśli Ryszard powróci — mówił Fitzurse — będzie się starał wzbogacić swych głodnych i zubożałych krzyżowców kosztem rycerzy, co nie poszli za nim do Ziemi Świętej. Zażąda srogiego rachunku od tych, którzy podczas jego nieobecności dopuścili się czynów mogących być w jego oczach przekroczeniem lub obrazą prawa czy przywilejów Korony. Wróci, by pomścić się na zakonie templariuszy i na zakonie joannitów, którzy w Ziemi Świętej trzymali stronę Filipa, króla francuskiego. Słowem — powróci, by ukarać jako buntowników wszystkich stronników swego brata Jana. Czyż obawiacie się jego potęgi? — ciągnął przebiegły zausznik księcia. — Wiemy, że jest równie silny jak odważny, ale to nie są czasy króla Artura, gdzie jeden rycerz mógł stawić czoło całej armii. Jeżeli Ryszard istotnie powróci, to powróci sam, bez orszaku i bez przyjaciół. Kości jego dzielnych wojów bieleją na piaskach Palestyny. Mała zaś liczba jego zwolenników, która powróciła, dowlokła się tu jak ów Wilfryd Ivanhoe, jako wynędzniali żebracy. A cóż znaczy jego pierworództwo? — mówił dalej w odpowiedzi tym, którzy mieli pod tym względem wątpliwości. — Czyż primogenitura Ryszarda jest pewniejsza niżli prawo pierwszeństwa księcia Roberta Normandzkiego, najstarszego syna Wilhelma Zdobywcy? A przecież naród kolejno wybierał jego młodszych braci,*

Wilhelma Rudego i Henryka. Robert miał wszystkie przymioty

Ryszarda: był walecznym rycerzem, doskonałym wodzem, hojnym dla przyjaciół i Kościoła, a ponad wszystko był krzyżowcem i zdobywcą Świętego Grobu. Mimo to jednak zmarł jako niewidomy, nędzny więzień w zamku Cardiff, bo oparł się woli narodu, który nie chciał, by on nad nim panował. Mamy prawo — dodał Waldemar — wybrać z rodu królewskiego księcia, który najlepiej będzie nami rządził, to jest — poprawił się — takiego, który najbardziej będzie się starał popierać możliwych. Co do osobistych zalet, książę Jan nie dorównuje może swemu bratu, ale gdy się zważy, że ten ostatni powraca z mieczem zemsty w rękę, a tamten ma do rozdania nagrody, przywileje, wyróżnienia, bogactwa i zaszczyty, nie ma wątpliwości, kogo szlachta powinna wybrać.

** Primogenitura (z łac.) — tu: prawa przysługujące pierworodnemu synowi.*

Te i tym podobne rozumowania, niektóre przystosowane do szczególnych okoliczności i charakteru tych, dla których były przeznaczone, odniosły spodziewany skutek. Większość baronów, zwolenników księcia Jana, przyrzekła stawić się na zwołane do Yorku zebranie, które miało ostatecznie postanowić oddanie mu korony.

Była już późna noc, gdy zmęczony i wyczerpany swymi różnorodnymi zabiegami, choć zadowolony z ich wyników, Fitzurse wracając do zamku Ashby spotkał de Bracy'ego. Rycerz zamienił swój bogaty strój świąteczny na krótki, zielony kaftan oraz spodnie z tego samego

materiału i tej samej barwy, a na głowę wdział. kaptur skórzany; miał krótki miecz przy boku, przez ramię przewiesił róg, długi łuk dzierzył w ręku, a za pas zatknął pęk strzał. Gdyby Fitzurse spotkał go w sieniach, przeszedłby mimo, biorąc go za jednego z łuczników ze straży, ale natknąwszy się nań w wewnętrznej sali, spojrzał baczniej i poznał normandzkiego magnata, w stroju angielskiego łuczniaka.

— Cóż znaczy to przebranie, de Bracy? — zapytał zgryźliwie Fitzurse. — Nie jest to chwila odpowiednia na igry i maskary, gdy losy naszego pana mają się rozstrzygnąć. Dlaczegoś ze mną nie był wśród tych nikczemnych tchórzów, których samo imię Ryszarda lękiem napętnia, jak pono przeraża saraceńskie dzieci?

— Doglądałem moich własnych spraw — odparł spokojnie de Bracy — tak jak ty swoich.

— Ja doglądałem moich spraw? — powtórzył Waldemar. — Zajmowałem się sprawami księcia Jana, naszego wspólnego dobroczyńcy.

— A jakież był do tego powód, Waldemarze — spytał de Bracy — jeśli nie twój własny interes? Ejże, Fitzurse, znamy się dobrze: twoim celem jest wysokie stanowisko, a moim — zabawa i każdy z tych celów odpowiada naszemu wiekowi. O księciu Janie masz sąd jednaki ze mną: że jest za słaby, by rządzić silną ręką, zanadto samowładny, by być dobrym królem, zbyt nieuprzejmy i zarozumiały, aby stać się lubianym monarchą, wreszcie zbyt niestały i lękliwy, by długo się utrzymać na jakimkolwiek tronie. Lecz jest monarchą, pod którego panowaniem

Fitzurse i de Bracy mogą osiągnąć zaszczyty i bogactwa, i dlatego ty pomagasz mu radą, a ja kopiami mej wolnej kompanii.

— Obiecujący z ciebie sprzymierzeniec — odparł zniecierpliwiony

Fitzurse. — Zajmujesz się głupstwami w najważniejszej chwili. Co u licha zamierzasz czynić w tym głupim przebraniu, i to w takim momencie?

— Chcę zdobyć żonę — odparł z zimną krwią de Bracy — tak jak to czyniono w pokoleniu Beniamina.

— W pokoleniu Beniamina?! — zadziwił się Fitzurse. — Nie rozumiem cię.

— Czyś nie był wczoraj przy tym — odparł de Bracy — jak opat Aymer w odpowiedzi na pieśń minstrela opowiedział nam bajkę? Jak to dawno temu w Palestynie wybuchła śmiertelna nienawiść między pokoleniem Beniamina a resztą narodu żydowskiego i jak wyrżnięto nieomal całe rycerstwo w tym pokoleniu, a Żydzi poprzysięgli na Najświętszą Pannę, że nie dozwolą tym, którzy ocaleli, żenić się z ich kobietami? I jak ci, zmartwieni tą przysięgą, posłali prosić jego świątobliwość, Ojca świętego, by przysięgę unieważnił, i jak za radą papieża młodzieńcy z pokolenia Beniamina porwali w czasie wspaniałego turnieju wszystkie damy na nim obecne i w ten sposób zdobyli sobie żony bez zezwolenia zarówno młódek, jak ich rodzin?

— Słyszałem tę opowieść — rzekł Fitzurse — choć bądź opat, bądź ty musieliście poczynić jakieś dziwne zmiany w datach i okolicznościach.

— Powiadam ci więc — ciągnął de Bracy — że pragnę zdobyć sobie żonę

sposobem pokolenia Beniamina, to znaczy, że w tym przebraniu chcę napaść na stado saksońskich byków, które wczorajszej nocy opuściło nasz zamek. Chcę porwać piękną lady Rowenę.

— De Bracy, czyś oszalał?! — zawołał Fitzurse. — Opamiętaj się! Choć to Saksończycy, ale są bogaci, możni i szanowani przez swych ziomków tym bardziej, że majątki i stanowiska są w tym narodzie udziałem niewielu!

— A nie powinny być udziałem żadnego z nich, jeśli mamy ukończyć podbój.

— Nie czas o tym myśleć — odparł Fitzurse. — Zbliżające się wypadki wymagają koniecznie zjednania sobie tłumów i księżę Jan nie mógłby odmówić sądu nad kimś, kto by skrzywdził ulubieńców narodu.

— Niechaj to uczyni, jeśli się ośmieli — rzekł de Bracy — a wkrótce przekona się, jaka jest różnica pomiędzy pomocą hufca dzielnych kopii, takich jak mój, a tą gromadą tchórzliwych chłopów saksońskich.

Zresztą nie mam na razie zamiaru się zdradzić. Czyż nie wyglądam w tym stroju na dzielnego leśnika, który przez całe życie dmie tylko w swój myśliwski róg? Oburzenie za napaść spadnie na opryszków z lasów jorkszyrskich. Mam dobrych szpiegów, którzy śledzą Saksończyków. Dzisiejszą noc spędzą w klasztorze Świętego Wittola czy Witholda, czy jak tam zwą tego chłopskiego świętego, w Burton-on-Trent. Nazajutrz droga ich wieść będzie niedaleko od nas i spadniemy na nich jak jastrzębie na zdobycz. Zaraz potem ukażę się w mej własnej postaci, odegram rolę dwornego księcia, wyzwolę nieszczęsną i

stroskaną piękność z rąk dzikich zbójów, odprowadzę ją do kasztelu

Bawolego Łba lub do Normandii, jeśli będzie trzeba, i ukazę ją światu

dopiero jako małżonkę i panią Maurycego de Bracy.

— *Plan nader przemyślny — rzekł Fitzurse — ale nie zdaje mi się, aby był całkowicie przez ciebie ułożony. Ejże, de Bracy, bądź szczery, kto ci go podszeptał? I kto ci pomoże w jego wykonaniu? Gdyż wydaje mi się, że twoja wolna kompania grasuje obecnie gdzieś pod Yorkiem.*

— *A dlaczego bym nie miał ci powiedzieć? — odparł de Bracy. — To templariusz Brian de Bois-Guilbert ułożył ten plan, którego pomysł podsunęła mi opowieść o mężach z plemienia Beniamina. Templariusz ma mi pomóc w napaści, on i jego dworscy mają odegrać rolę opryszków, od których, gdy się przebiorę, tym dzielnym ramieniem mam uwolnić piękną damę.*

— *Na mojego patrona! — zawołał Fitzurse. — Plan ten godny jest waszych głów! I rzeczywiście dajesz dowód wielkiej ostrożności, de Bracy, godząc się na pozostawienie damy w rękach twego godnego kompana. Wierzę, iż uda ci się ją porwać z rąk jej saksońskich przyjaciół, ale czy ją wydobędziesz potem ze szponów Bois-Guilberta — wydaje się mniej pewne. Jest to sokół nawykły do porywania kuropatw i nie wypuści swej zdobyczy tak łatwo.*

Jest templariuszem, nie będzie więc moim rywalem do ręki lady Roweny. Miałżeby nieprawie powziąć zamysły względem przyszłej małżonki de Bracy'ego? Na Boga! Gdyby w swej osobie przedstawiał całą kapitułę zakonu, nie ośmieliłby się chyba wyrzucić mi takiej

obraży!

— Ponieważ wszystko, co ci przedstawiam — rzekł Fitzurse — nie może ci wybić z głowy tego głupstwa, znam bowiem dobrze twój upór, nie trać więc na próżno czasu, niech to szaleństwo zbytnio się nie przeciąga i nie trwa za długo!

— Zapewniam cię, Waldemarze — odparł de Bracy — że potrwa tylko parę godzin. Stawię się potem w Yorku na czele mych dzielnych i śmiałych ludzi, gotów ci pomóc w każdym twoim politycznym przedsięwzięciu. Ale słyszę już, że moi towarzysze się zebrali, słyszę rżenie i tupot ich koni na zewnętrznym podwórku. Żegnaj! Jadę jak prawdziwy rycerz zdobywać uśmiech piękności.

— Jak prawdziwy rycerz! — powtórzył Fitzurse spoglądając za nim. — Jak głupiec raczej czy dzieciak, który rzuca najpoważniejsze i najpożyteczniejsze sprawy, by pogonić za puchem ostu. Takie są moje narzędzia, których muszę używać, i to na czyją korzyść? Na korzyść księcia równie nierozsądnego jak występnego i który zapewne okaże się podobnie niewdzięcznym władcą, jak był złym synem i wyrodnym bratem. Ale on jest też tylko narzędziem w moim ręku i gdy zechce przez próżność pokierować swe sprawy innymi drogami niż moje, rychło przekona się, czym to grozi.

Te rozmyślenia męża stanu przerwane zostały nagle, przez okrzyk dobiegający z wnętrza zamku.

— Szlachetny rycerzu Fitzurse! — wołał książę.

Zdjawszy czapkę, przyszły podskarbi, gdyż po to wysokie stanowisko

sięgał Normandczyk, pośpieszył na rozkaz swego przysłego władcy.

XVI

W głębokiej puszczy już od lat unika

Ludzkiego wzroku oko pustelnika.

Mech mu jest łóżem, jaskinia — pokojem,

Karmą jagody, a woda napojem.

Z dala od ludzi — li z Bogiem w przymierzu —

Pracę i rozkosz zamyka w pacierzu.

TH. PARNELL

Czytelnik zapewne nie zapomniał, że losy turnieju rozstrzygnął

nieznany rycerz przewany przez widzów Czarnym Gnuśnikiem z

powodu biernego i obojętnego swego zachowania w pierwszej połowie

dnia; nigdzie jednak nie można go było znaleźć, gdy nadeszła chwila

wynagrodzenia go za waleczność. Kiedy go wzywały głosy trąb

heroldów, on sam kierował się na północ, unikając uczęszczanych

gościńców i przecinając puszcę najkrótszą drogą. Zanocował w małej

karczmie leżącej na uboczu, gdzie jednak napotkał rybałta, który mu

opowiedział, co się wydarzyło podczas turnieju.

Nazajutrz rycerz wyjechał wczesnym rankiem, chcąc tego dnia odbyć

daleką drogę; koń jego, którego poprzedniego dnia oszczędzał, mógł

nieść go długo bez popasania. Lecz rycerzowi nie udało się ten zamiar,

musiał bowiem jechać przez bezdroża i gdy noc zapadła, znajdował się

dopiero na zachodniej granicy hrabstwa Yorku. Obaj, zarówno jeździec,

jak wierzchowiec, byli tak zdrożeni, że należało się rozejrzeć za

noclegiem, gdyż mrok zapadał szybko.

W miejscu gdzie się wówczas rycerz znalazł, trudno było dostać schronienie i strawę: zdawało się więc, że będzie musiał spędzić noc tak, jak w podobnych okolicznościach spędzali ją ówczesni błędni rycerze, którzy konie puszczali na pastwisko, a sami kładli się na ziemi i oparłszy głowę o pień dębu marzyli o swej damie serca. Lecz Czarny Rycerz bądź nie miał damy serca, o której by mógł rozmyślać, bądź też był równie obojętny w sprawach miłości, jak zdawał się nim być w sprawach rycerskich, a myśl jego niedostatecznie była zajęta pięknnością i okrucieństwem kochanki, by móc zapomnieć o zmęczeniu i głodzie, ani też miłość nie mogła mu zastąpić wygodnego postania i wieczerzy. Nie był również zadowolony, gdy rozejrzawszy się, spostrzegł, że zabrnął głęboko w puszcę; wprawdzie urozmaicało ją wiele polanek i przecinało wiele ścieżek, lecz zdawało się, że raczej wydeptały je liczne stada bydła pasącego się w lasach lub zwierzyna i polujący na nią myśliwi.

Słońce, którym się rycerz kierował, zaszło po jego lewej stronie, za wzgórzami hrabstwa Derby, i gdyby posuwał się dalej, mógłby równie łatwo zablądzić, jak zbliżyć się do celu swej podróży. Na próżno starał się wybierać najbardziej ubite ścieżki w nadziei, że zaprowadzą go do chaty pasterza lub do leśnej siedziby gajowego; nie mogąc się na żadną z nich ostatecznie zdecydować, postanowił zaufać zmyślności swego wierzchowca, gdyż z doświadczenia wiedział, że konie posiadają jakiś niezwykle instynkt kierujący nimi w takich wypadkach.

Szlachetny rumak, chociaż zmęczony długą, całodzienną podróżą pod jeźdźcem zakutym w zbroję, gdy tylko poczuł, że rzucono mu wodze i puszczono na wolę, nabrał nowych sił i animuszu. I gdy przedtem, spinany ostrogą, stękał tylko, teraz, jak gdyby dumny z zaufania, zastrzygł uszami i z własnej chęci ruszył kłusa.

Ścieżka wybrana przez konia nie prowadziła w tym kierunku, w jakim przez cały dzień rycerz się posuwał, ale że wierzchowiec zdawał się być pewien swego, jeździec poddał mu się ślepo.

Zaufanie to okazało się słuszne, gdyż ścieżka rozszerzyła się nieco i wyglądała na bardziej wydeptaną, a odgłos dzwonka oznajmił rycerzowi, że znajduje się w pobliżu jakiejś kaplicy czy pustelni.

Istotnie, wkrótce wyszedł na otwartą, równą polankę pokrytą murawą; po przeciwnej jej stronie z łagodnej pochyłości rycerzowi nagle ukazała się skała, szara i spękana od deszczów, wznosząca się nieomal prostopadle w górę. Miejscami zbocza jej pokrywał bluszcz, miejscami rosły na nich dęby i krzaki ostrokrzewu, które zapuściły korzenie w rozpadlinach wypełnionych ziemią i zwieszały się nad przepaścią jak pióropusz na stalowym szyszaku rycerza, dodając wdzięku temu, co zwykle budzi postrach. U stóp skały, oparta o nią, stała chata z pni drzew zrąbanych w sąsiednim lesie, szpary między nimi utkano mchem zmieszanym z gliną jako zabezpieczenie przed chłodem. Ustawiony koło drzwi pień młodej jodły okrzęsanej z gałęzi, do którego w poprzek przymocowano kawałek drzewa, był prostym wyobrażeniem krzyża świętego. W pobliżu, po prawej stronie, ze skały sączyło się źródło

czystej wody, która wpadała w wydrążone w dużym głazie zagłębienie tworzące rodzaj miski, wypływała z niego szemrzącym strumykiem i sunęła dalej łożyskiem przez siebie wyżłobionym, wijąc się poprzez małą polankę i ginąc w sąsiednim lesie.

Obok źródła stały ruiny małej kapliczki, nakrytej na wpół zawalonym dachem. Niewielka ta budowla, zanim popadła w ruinę, nie była dłuższa nad szesnaście stóp, a szerokości miała dwanaście; nisko opadający dach opierał się na czterech zbiegających się w środku sklepienia łukach, podtrzymywanych w rogach budynku przez cztery niskie i ciężkie kolumny. Żebra dwóch spośród tych łuków trzymały się jeszcze, a choć dach zapadł się między nimi, nakrywał jednak dwa pozostałe. Wchodziło się do tej starodawnej kaplicy pod niskim,

półkolistym

łukiem,

ozdobionym

rzeźbionym,

zygzakowatym

ornamentem przypominającym zęby rekina, tak często spotykanym w

starosaksońskiej

architekturze.

Nad portykiem

wznosiła

się

dzwonniczka na czterech małych filarach, a w niej wisiał dzwon

zaśniedziały od deszczu i niepogody, którego przytłumiony dźwięk doszedł niedawno do uszu Czarnego Rycerza.

Ten widok nie zmaconego niczym spokoju zamajaczył o zmroku przed oczami podróżnego obietnicą noclegu; należało bowiem do obowiązków pustelników leśnych dawać schronienie zapóźnionym czy zabłąkanym wędrowcom.

Toteż rycerz, nie tracąc czasu na oglądanie szczegółów opisanych przez nas, podziękował świętemu Julianowi, patronowi podróżnych, który mu zesłał dobry nocleg, zeskoczył z konia i zastukał we drzwi pustelni drzewcem włóczni, by zwrócić na siebie uwagę i zostać wpuszczonym do środka.

Minęło sporo czasu, zanim otrzymał niezbyt przyjazną odpowiedź.

— Kimkolwiek jesteś, przejdź mimo — odezwał się zachrypły, głęboki głos z wnętrza chaty — i nie przeszkadzaj służce Boga i świętego Dunstana w jego wieczornych modłach.

— Cny ojciec — powiedział rycerz — jestem biednym wędrowcem zabłąkanym w tych kniejach. Nadarza ci się sposobność spełnienia dobrego uczynku, zgodnie z obowiązkiem miłosierdzia i gościnności.

— Bracie mój — odparł mieszkaniec pustelni — spodobało się Najświętszej Pannie i świętemu Dunstanowi, aby mnie wspomagało miłosierdzie innych, zamiast żebym sam tę cnotę uprawiał. Nawet pies nie skosztowałby mego jadła, a wybredniejszy koń pogardziłby moim postaniem jako ściółką. Podążaj więc dalej i niech Bóg cię prowadzi.

— Jakoż mam odnaleźć drogę skroś tę puszcę — pytał rycerz — gdy noc

zapada? Upraszam cię, wielebny ojcze, jako chrześcijanina,

przynajmniej odeprzyj drzwi i wskaż mi drogę.

— A ja cię upraszam, mój dobry chrześcijaninie — powtórzył pustelnik

— byś mnie poniechał. Przerwałeś mi już jedno Pater, dwa Ave, jedno

Credo, a ja, nędzny grzesznik, ślubowałem, że odmówię te modlitwy,*

zanim księżyc wzejdzie.

**/ Pater — Ojciec nasz; Ave — Zdrowaś Maria; Credo — Wierzę w Boga.*

— To wskaż mi drogę, wskaż drogę! — wrzasnął rycerz. — Wskaż drogę,

jeśli niczego innego nie chcesz dla mnie uczynić!

— Drogę łatwo znaleźć. Ścieżka z lasu prowadzi przez bagno aż do

brodu, który zapewne łatwo przebrniesz, jako że deszcze ustały. Gdy się

przeprawisz przez strumień, uważaj, bo lewy jego brzeg jest urwisty, a

dróżka wisząca nad samą rzeką ponoć, jak mówiono — bo sam rzadko

porzucam me obowiązki, wiążące mnie z kaplicą — w paru miejscach

się zapadła. Dalej będziesz, szedł już prosto...

— Zerwana droga, urwisko, bród, bagno! — przerwał mu rycerz. — Imć

panie pustelniku, gdybyś był najpobożniejszym z eremitów noszących

brodę i klepiących pacierze, nie namówisz mnie, abym po nocy puścił

się w taką drogę. Żyjesz z miłosierdzia współziomków, lecz źle nań

zasługujesz! Nie wolno ci odmówić noclegu podróżnemu w potrzebie.

Żywo, odemknij drzwi albo, przysięgam na krucyfiks, wylamię je sam!

— Bracie podróżny — powiedział pustelnik — poniechaj mnie; bo

gdybym dobył oręża w mojej obronie, pożałowałbyś snadnie tego.

W tej właśnie chwili stłumione szczekanie i warczenie, jakie podróżny

słyszał od pewnego czasu, stało się nadzwyczaj głośne i zażarte, budząc podejrzenie rycerza, że pustelnik, wystraszony jego groźbą, iż będzie się starał wdrzeć do niego siłą, przywołał na pomoc psy zamknięte w jakimś wewnętrznym pomieszczeniu. Rycerz, rozgniewany tymi przygotowaniami niegościnnego pustelnika, kopnął drzwi z taką siłą, że zatrzęsł się nie tylko skobel, ale nawet i odrzwia.

Pustelnik, nie chcąc narazić drzwi na drugie takie uderzenie, zawołał teraz głośno:

— Z wolna, z wolna, oszczędź swych sił, zacny przyjacielu, wnet ci odemknę dźwierza, choć może pożałujesz tego!

Jakoż drzwi się otworzyły i pustelnik — wysoki, barczysty mężczyzna w zgrzebnym habicie z kapturem, przepasany sznurem z sitowia — stanął przed rycerzem. W jednej ręce trzymał zapaloną pochodnię czy też smolne łuczywo, a w drugiej kij wycięty z dzikiej jabłoni, tak ciężki i gruby, że można by go nazwać maczugą. Dwa ogromne, kudłate kundle, mieszańce charta z brytanem, zdawały się tylko czekać na otwarcie drzwi, by rzucić się na podróżnego. Lecz gdy światło pochodni padło na wysoki pióropusz i złote ostrogi rycerza stojącego przed drzwiami, pustelnik zmienił zapewne swój pierwotny zamiar, uspokoił swych rozwścieczonych stróżów i zmieniwszy ton na pewnego rodzaju prostacką uprzejmość, poprosił wędrowca, by wszedł do jego chaty. Tłumaczył się, że po zachodzie słońca niechętnie otwiera drzwi izby obawiając się zbójców i opryszków licznie kręcących się po okolicy, którzy nie szanowali ani Matki Boskiej, ani świętego Dunstana, ani też

pobożnych mężów poświęcających swe życie ich czci.

— Mając tak ubogą celę, mój ojciec — rzekł rycerz rozejrzawszy się dokoła i zoczywszy tylko posłanie z liści, prosty krucyfiks z dębowego drzewa, mszał, ledwie ociosany stół i dwa stołki oraz kilka innych skromnych sprzętów — nie powinieneś się obawiać rabusiów. Nie mówię już o twych wiernych psach, tak silnych i wielkich, że jak mi się zdaje, bez trudu powalibyby jelenia i bez ochyby poradziłyby sobie z każdym napastnikiem.

— Poczciwy leśnik — odparł pustelnik — pozwolił mi je trzymać dla mojej obrony w tej samotni, póki nie nastaną spokojniejsze czasy.

Mówiąc to, zatknął pochodnię w skręcone pręty żelazne zastępujące lichtarz, do wygasłych popiołów na kominie dorzucił suchych drew i postawił przed nim trójnożny, dębowy stół; potem przysunął doń z jednej strony stołek i poleciał rycerzowi, by uczynił to samo z drugiej. Obaj usiedli, z wielką powagą przyglądając się sobie, i każdy z nich w głębi duszy pomyślał, że nieczęsto zdarzyło mu się spotkać równie silnego i barczystego człowieka.

— Wielebny ojciec — odezwał się rycerz przyjrawszy się długo i bacznie swemu gospodarzowi — gdybym się nie obawiał przerwać twych pobożnych rozmyślań, zadałbym ci trzy pytania: po pierwsze, gdzie mam postawić mego konia, po drugie, co będę jadł na wieczerzę, a po trzecie, gdzie mam tej nocy spać?

— Odpowiem ci — rzekł pustelnik — skinieniem ręki, gdyż postanowiłem jak najmniej mówić, kiedy mogę się porozumieć na migi.

Wypowiedziawszy te słowa, wskazał kolejno na dwa kąty chaty.

— Oto twa stajnia — rzekł — a tam twe posłanie. — Zdjąwszy zaś z pobliskiej półki talerz z dwoma garściami prażonego grochu, postawił go na stole i dodał: — A to twoja wieczerza.

Rycerz wzruszył ramionami i wyszedłszy z chaty wrócił z koniem, którego poprzednio przywiązał do drzewa; starannie rozkulbaczył zmęczonego wierzchowca i nakrył go własną opończę.

Pustelnika wzruszyła widocznie dbałość nieznajomego o konia, gdyż mruknął coś o obroku pozostawionym dla wierzchowca leśnika i ze schowka przyniósł wiązkę siana, którą położył przed koniem rycerza; zaraz potem ustał sporo suchych liści paproci w kącie, który przeznaczył na sypialnię podróżnego. Rycerz podziękował mu za uprzejmość, po czym obaj siedli za stołem, na którym stanął talerz z grochem. Pustelnik odmówił długą modlitwę w języku, który zapewne był ongiś łacina, ale pozostało z niej niewiele brzmień; tylko gdzieś odzywały się one chrapliwie w zakończeniu słowa lub zdania. Następnie gospodarz dał dobry przykład gościowi włożywszy skromnie parę suchych ziarn grochu do szerokich ust uzbrojonych w białe i ostre jak kły dzika zęby; lecz groch ten zdawał się zbyt lichym mlewem dla tak wielkich i sprawnych żarn.

Rycerz, chcąc naśladować ten zachęcający przykład, zdjął szyszak, napierśnik i większą część zbroi; pustelnik ujrzał wtedy jego głowę pokrytą gęstymi, jasnymi kędziorami, wydatne rysy, niebieskie oczy nadzwyczaj przejrzyste i błyszczące, usta kształtne z wąsem nieco

ciemniejszym od włosów; w oczy biła jego śmiałość, odwaga i przedsiębiorczość, które zdawała się potwierdzać silna postać przybysza.

Pustelnik, jakby pragnąc się odwzajemnić za zaufanie gościa, odrzucił kaptur; ukazała się głowa człowieka w sile wieku, okrągła jak kula.

Jego dokładnie wygolona tonsura, otoczona sztywnymi, wijącymi się włosami, przypominała nieco gminne pastwisko ogrodzone wysokim żywopłotem. Twarz mnicha bynajmniej nie nosiła śladów zakonnych wyrzeczeń czy ascetycznej wstrzemięźliwości, przeciwnie, miała raczej wygląd śmiały i szczery. Na pięknym czole rysowały się czarne, krzaczaste brwi, policzki były tłuste i rumiane niczym policzki trębacza, a spływała z nich długa, wijąca się, czarna broda. Twarz ta w połączeniu z krzepką postacią nasuwała raczej myśl o polędwicy i combrze niż o grochu i jarzynach. Ta sprzeczność nie uszła uwagi gościa. Gdy z trudem pożył nieco suchego grochu, poczuł się zmuszony poprosić gospodarza o jakiś napój; ten w odpowiedzi postawił przed nim wielki dzban czystej wody źródlanej.

— Woda jest ze źródła świętego Dunstana — rzekł. — Ochrzcił on w nim między jednym wschodem słońca a drugim pięciuset pogan, Duńczyków i Brytyjczyków, niech błogosławione będzie jego imię!

I przyłożywszy czarną brodę do dzbana, wypił nieco wody, ale znacznie mniej, niż można się było spodziewać po jego pochwałę źródła.

— Mniemam, wielebny ojcze — rzekł rycerz — iż to ździebło strawy, którą się karmisz, wraz z tym świętym, lecz nieco cienkim napitkiem idą

ci na zdrowie. Zdasz się mężem zdolnym raczej wygrać barana na zawodach, zdobyć pierścień w walkach na maczugi lub puklerz przy starciu na miecze* niżli odprawiać msze w tej opuszczonej samotni, żywiąc się suchym grochem i zimną wodą.

*/ Wymienione tu nagrody były tradycyjnie rozdawane na wiejskich zawodach w dawnej Anglii.

— Panie rycerzu — odparł pustelnik — twe myśli są równie przyziemne jak myśli nieświadomego pospólstwa. Podobało się Najświętszej Pannie i memu świętemu patronowi pobłogosławić pokarm, na którym przestają, jak pobłogosławił jarzyny i wodę spożywane przez dzieci Szadracha, Meszecha i Abednega nie pozwalając, aby się pokalali winem i mięsem, jakie podano im z rozkazu króla Saracenów.

— Wielebny ojcze, na którego twarzy podobało się niebiosom uczynić taki cud, czy pozwolisz grzesznikowi zapytać o twoje imię?

— Możesz mnie nazywać — odezwał się pustelnik — eremitą z Copmanhurst, gdyż tak zwą mnie w tych stronach. Dodają wprawdzie przydomek „święty”, ale nie dbam o to, gdyż wiem, żem go niegodzien. A zasię, prawy rycerzu, czy mogę cię zapytać o twe zawołanie?

— Iście, święty mężu z Copmanhurst — odpowiedział mu rycerz — zwą mnie w tych stronach Czarnym Rycerzem, a wielu dodaje przezwisko „Gnuśnik”, ale nie dbam o to, bo nie chcę się niczym odznaczać.

Pustelnik z trudem powstrzymał uśmiech na tę odpowiedź gościa.

— Baczę — rzekł — panie Gnuśniku, że jesteś roztropny i dobrej rady, a co więcej, spostrzegłem, że nie w smak ci moja biedna zakonna strawa;

zapewne przywykłeś do zbytków dworskich i obozowych oraz do rozpusty w miastach. Przepomniałem całkiem, że gdy ów miłosierny leśnik tej kniei ostawił mi do obrony psy oraz tę wiązkę siana, wtedy dodał też trochęjadła, ale że o nie nie stoję, pogrążony w mych medytacjach, całkiem o tym zabaczyłem.

— Nie dziwię się temu wcale — powiedział rycerz. — Byłem pewien, od chwili gdyś odrzucił kaptur, że w celi musi być lepsze jadlo. Twój leśniczy jest bez ochyby zacnym chłopem; każdy, kto by widział, jak twe zęby żują groch, a gardło łyka ten mdły napitek, jak skazano cię na koński obrok i koński napój — tu wskazał jadlo stojące na stole — musiałby cię zaopatrzyć w lepszą strawę. Nie zwlekajmy więc i zobaczmy, co zostawił dobry leśnik.

Pustelnik rzucił baczne spojrzenie na rycerza; w jego wzroku odbijała się zabawna niepewność, jak gdyby nie wiedział, czy może bezpiecznie zaufać swemu gościowi. Ale twarz przybysza wyrażała rzadko spotykaną otwartość, a uśmiech jego był niezwykle wesoły i budził taką wiarę w jego wierność i stałość, że gospodarz poczuł od razu dla niego życzliwość.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, wreszcie pustelnik skierował się w głąb chatki i otworzył komorę, która była starannie i przemyślnie ukryta. Z głębi ciemnej skrytki wyjął wielki pasztet upieczony w niezwykłych rozmiarów glinianym naczyniu. Tę ogromną misę postawił przed gościem, który użył swej mizerykordii, by pasztet rozkroić, i nie tracąc czasu zaczął go kosztować.

— *Jak dawno był tu ten poczciwy leśnik?* — zapytał rycerz gospodarza, łapczywie zajadając znakomity dodatek do pustelniczej stawy.

— *Przed dwoma miesiącami* — pośpieszył odpowiedzieć mnich.

— *Na Boga!* — zawołał rycerz. — *Wszystko w tej pustelni jest cudowne, świątobliwy ojcze! Przysięgnę, że ten tłusty jelen, który dostarczył mięsa na pasztet, jeszcze przed tygodniem biegał na własnych nogach.*

Uwaga ta zmieszała nieco pustelnika, którego mina wydłużała się, w miarę gdy patrzył na spustoszenie, jakie gość robił w pasztecie; nie śmiał przy tym brać udziału w uczcie po zapewnieniach o swej wstrzeźliwości.

— *Byłem w Palestynie, mój pustelniku* — rzekł rycerz nagle, przestawszy jeść — *i pomnę, iż jest tam zwyczaj, że gospodarz, częstując gościa, razem z nim biesiaduje, by upewnić go, że potrawy nie są zatrute. Daleki jestem od tego, by posądzać świętego męża o zdradzieckie zamiary, ale pragnę bardzo, byś zastosował się do tego wschodniego obyczaju.*

— *By cię uspokoić, panie rycerzu, raz jeden odstąpię od mych ślubów* — odparł pustelnik, a ponieważ w owych czasach nie znano jeszcze widelców, w tejże chwili zagłębił palce we wnętrzu pasztetu.

Gdy tak lody zostały przełamane, gość i gospodarz zaczęli rywalizować między sobą, kto lepszym odznaczy się apetytem, i choć pierwszy zapewne dłużej pościł, pustelnik nieomal go prześcignął.

— *Świątobliwy ojcze* — odezwał się rycerz zaspokoiwszy głód — *postawiłbym mego konia przeciw jednemu cekinowi, że tenże poczciwy*

leśnik, któremu zawdzięczamy pasztet, zostawił ci też dzban lub beczułkę wina kanaryjskiego czy innego do popicia tej znakomitej potrawy. Zapewne jest to drobiazg niewart, aby o nim pamiętał surowy anachoreta, ale myślę, że gdybyś jeszcze raz dobrze przeszukał tamten loszek, przekonałbyś się, że mam słuszość.

Pustelnik odpowiedział na to tylko uśmiechem i otworzywszy znów komorę wydobyl skórzany bukłak, pojemności około czterech kwart.

Wyjął też dwa spore kubki z rogu tura, oprawne w srebro.

Przygotowawszy napitek do popicia wieczerzy, odłożył na bok dalsze ceremonie i napełniwszy kubki rzekł obyczajem saksońskim:

— *Waes hael, panie Gnuśniku!* — i duszkiem wychylił swój kubek.

— *Drink hael, czcigodny pustelniku!* — odparł rycerz i naśladując gospodarza, wypróżnił swoją czarę. — *Świątobliwy ojciec* — dodał, gdy wypili pierwsze kubki — *nie mogę się nadziwić, że człowiek o takich potężnych muskułach i ścięgnach jak twoje, a przede wszystkim taki jak ty smakosz, zamieszkał samotnie na pustkowiu. Baczę, żeś zdatniejszy na dowódcę zamku czy twierdzy, który jada tłusto i pija zdrowo, a nie pości i pije czystą wodę licząc na miłosierdzie jakiegoś tam leśnika. A przynajmniej, gdybym się znalazł na twoim miejscu, zabawiałbym się i żywił polując na królewskie jelenie. W tej puszczy liczne są ich stada i nie żal by było byka, którego by spożył kapelan świętego Dunstana.*

— *Panie rycerzu* — odparł mnich — *niebezpieczna to mowa i proszę, byś zamilknął. Jestem pustelnikiem wiernym królowi i prawu. Gdybym pozwolił sobie zapolować na zwierzynę mego pana, dostałbym się do*

więzienia, a gdyby mnie nie broniła moja suknia zakonna, groziłaby mi nawet szubienica.

— Wždy będąc tobą — rzekł rycerz — przeszedłbym się czasem przy księżycu, kiedy gajowi i leśnicy śpią głęboko, i klepiąc pacierze, puściłbym strzałę w stado jeleni pasących się na polanie. Przyznaj się, świętobliwy ojcze, czyś nigdy się tak nie zabawiał?

— Mój gnuśny przyjacielu — odpowiedział pustelnik — widziałeś wszystko, co może cię obchodzić w moim gospodarstwie i nawet więcej, niż wart tego człowiek, co przemocą wdarł się do mojej chaty. Wierzaj, korzystaj z dóbr zesłanych ci przez Boga, a nie pytaj zuchwale, skąd się wzięły. Nalej sobie kubek wina, nie żałuj, ale proszę, poniechaj dalszych, niepotrzebnych pytań, bym nie był przymuszony ci dowieść, że gdybym chciał, nie zdołałbyś przestąpić progu tego domu.

— Na Boga! — zawołał rycerz. — Coraz bardziej pobudzasz moją ciekawość! Nie napotkałem jeszcze tak tajemniczego pustelnika i nim się rozstaniemy, chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o tobie. A co do twych pogroźek, wiedz, że z tych, co szukają niebezpieczeństwa.

— Twoje zdrowie, panie rycerzu — rzekł pustelnik. — Szanuję twoje męstwo, lecz nie dowierzam twej roztropności. Jeśli chcesz walczyć ze mną na równą broń, to mimo przyjaźni i miłości bliźniego zadałbym ci taką pokutę i udzielił tak zupełnej absencji, że i za rok nie grzeszyłbyś zbytkiem ciekawości.

Rycerz spełnił toast i zapytał, o jakiej to broni mowa.

— Gotów jestem ci stanąć z każdą bronią — od nożyczek Dalili i wielkich

gwoździ Jaela aż po miecz Goliata. Ale gdyby mnie przysługiwał wybór, co powiedziałbyś, przyjacielu, na te oto cacka?

Mówiąc to, otworzył inną skrzynię i wyjął z niej dwa miecze i dwa szczyty, jakich wówczas używali łucznicy. Rycerz, śledząc jego ruchy, zauważył, że w schowku było parę dobrych, długich łuków, parę kusz i z pół tuzina wiązek strzał. Gdy ciemna skrytka stała otworem, dojrzał w niej też harfę oraz parę innych przedmiotów bynajmniej nie do użytku duchownego.

— Przymierzam ci, bracie pustelniku — odezwał się rycerz — że nie będę ci już zadawał drażliwych pytań, dostrzegam bowiem oręż — tu pochylił się i wyjął harfę — którego chętniej użyję do walki z tobą niż miecza i szczytu.

— Tuszę, panie rycerzu — rzekł eremita — żeś bez powodu dostał przyzwisko Gnuśnika. Ostrzegam cię jednak, że rychło zacznę podejrzewać, iż jest ono słuszne. Atoli jesteś moim gościem, nie będę zatem wystawiał na próbę twojej odwagi, wbrew twej woli. Siadaj i napełnij kubek, będziemy pić, śpiewać i weselić się. Jeśli znasz jaką piękną balladę, zawsze w Copmanhurst dostaniesz kawał pasztetu, dopóki nie opuszczę kaplicy świętego Dunstana, co da Bóg nie nastąpi wcześniej, aż zamienię mój szary habit na zielone ubranie. Dalej, napełnij dzban, bo upłynie nieco czasu, zanim nastroję harfę, a nic tak nie dodaje głosu i nie wyostrza słuchu, jak kubek wina. Co do mnie, lubię, gdy sok winogron doplynie mi do czubków palców, zanim zacznę nimi brząkać o struny harfy.

*Gdy wieczór dnia obejmie warty,
Otwieram księgi mojej karty
I czytam męczenników dzieje,
Od których niebo w krąg jaśnieje.
A gdy już noc powieje zimnem,
Nim zasnę, Boga chwałę hymnem.*

*Któż tego świata złote mary
Zamieniłby na habit szary,
Kto świata rzuciłby wesele
I pustelnika wybrał celę?*

TH. WARTON

*Pomimo rady wesołego pustelnika, do której nasz rycerz chętnie się
dostosował, niełatwo mu było nastroić harfę.
— Mniemam, mój świętobliwy ojczy — rzekł — iż harfie brak jednej
struny, a reszta też jest nietęga. — Tak uważasz? — odparł eremita. —
Snadź jesteś biegły w tej sztuce. Wino i hulanki! — dodał poważnie,
wznosząc w górę oczy. — Wszystkiemu winne wino i hulanki! Mówiłem
Alanowi-a-Dale, minstrelowi z Północy, że popsuje harfę, gdy się do niej
zabierze po siódmym kielichu; ale mnie nie usłuchał. Przyjacielu, piję za
twe powodzenie w pieśni.
Wymawiając te słowa, podniósł do ust z powagą kielich, jednocześnie
kiwając z ubolewaniem głową nad brakiem wstrzemięźliwości
szkockiego harfiarza.*

Tymczasem rycerz doprowadził do porządku struny i po krótkiej przygrywce zapytał swego gospodarza, czy chciałby usłyszeć pieśń w języku prowansalskim czy francuskim, czy może w ludowej angielszczyźnie.

— Angielską ludową balladę! — zawołał pustelnik. — Jamci prawy Anglik, panie rycerzu, i takimże prawym Anglikiem był mój patron, święty Dunstan; gardzę francuską mową, jak on gardził obrzynkami diabelskiego kopyta. W tej celi śpiewa się tylko po angielsku!

— Spróbuję więc zaśpiewać balladę — odrzekł rycerz — ułożoną przez saksońskiego rybaltta, którego poznałem w Ziemi Świętej.

Choć rycerz nie był mistrzem w sztuce minstrelów, musiał go jednak uczyć jakiś doskonały śpiewak. Sztuka bowiem pomogła mu przewyciężyć braki głosu, niezbyt silnego i z natury raczej ostrego.

Toteż nawet więksi znawcy od pustelnika oceniliby wielki kunszt jego śpiewu, szczególnie że rycerz zależnie od potrzeby wkładał w swój śpiew bądź wiele uduchowienia, bądź szczerego podziwu, wydobywając w ten sposób wyrazistość i siłę pieśni.

POWRÓT KRZYŻOWCA

Gdy się już wslawił wspaniałymi czyny,

Rycerz po wojnie wrócił z Palestyny.

Z bojów zaciekłych, ze spotkań zżartych

Płaszcz uniósł z krzyżem splawiały, podarty,

A szczerby w tarczy i pogięta zbroja

Świadczą, że wcale nie próżnował w bojach.

I oto staje pod oknem swej pani,

Taka balladę przynosząc jej w dani:

„Cześć najpiękniejszej! Przybywa w twe progi

Rycerz, co wrócił z ziemi nieubogiej.

Skarbów nie przywiózł — bo cenił najwięcej

Konia pod siodłem i mocne swe ręce.

Cenił ostrogi, by w bój gnać rumaka,

I miecz, by wrogom skry krzesać z szyszaka.

To tylko przywiózł — a także pociechę,

Że dama serca przyjmie go z uśmiechem.

Cześć najpiękniejszej, której urok miły

Do srogich bojów użyczył mu siły!

Niechże jej udział w jego wielkich czynach

Po wszystkie czasy historia wspomina,

Niech minstrel śpiewem zdradzi tajemnice:

Patrzcie, rycerze, na piękną dziewicę,

Dla której oczu zeszły zwyciężone

Pogańskie wojska z pól pod Askalonem.

Spójrzcie na uśmiech — to nim wyostrzony

W płaczące wdowy miecz zamienił żony,

Gdy — mimo wróżby Mahounda proroka —

Sułtana krwawa zalała posoka.

Spójrzcie na włosy, co jak złote żmije

W krąg oplatają śnieżnobiałą szyję.

Choć z nich niewierny nie tknął ni pasemka —

Dla nich złej śmierci razila go ręka.

Cześć najpiękniejszej! Nie znasz mego miana,

Lecz wszelka sława tobie jest pisana.

Już noc rozpina namiot granatowy,

Otwórz, o pani, drzwi słodkiej alkowy.

Spalony żarem pustyni gorącej,

Do drzwi kołatam zmarznięty i drżący.

Otwórz dziewicy ramiona nieśmiałe —

I daj mi rozkosz za sławę i chwałę".

Podczas gdy rycerz śpiewał, pustelnik zachowywał się jak w

teraźniejszych czasach zachowuje się najlepszy krytyk na pierwszym

przedstawieniu nowej opery: oparty, z wółprzymkniętymi oczyma, to

składał ręce i kręcił palcami, to zdawał się słuchać uważnie, to znów

wyciągniętymi naprzód dłońmi wybijał takt. W miejscach, które mu się

szczególnie podobały, gdy zdawało się, że głos rycerza nie wzniesie się

tak wysoko, jak tego pragnął, dopomagał mu nawet swym głosem. Gdy

pieśń dobiegła końca, pustelnik z zachwytem osądził, że była piękna i

dobrze odśpiewana.

— Jednakowoż — powiedział — wydaje mi się, że nasi saksońscy rodacy

za długo zadawali się z Normandami, aż przejęli od nich w końcu te

smętne pieśni. Cóż skłoniło tego prawego rycerza do porzucenia

domostwa? Powinien się był spodziewać, że po powrocie zastanie swą

kochankę mile się zabawiającą z jego rywalem i że na tę serenadę, czy

jak ją tam nazywają, zwróci ona tyle uwagi, co na miauczenie kota w rynsztoku. Tedy, panie rycerzu, piję w twoje ręce zdrowie wszystkich żarliwych kochanków. Lękam się jednak, że do nich nie należysz —
dodał zauważywszy, że rycerz, któremu zaczęło się kurzyć z czupryny po tyłu kielichach, chrzcił swoje wino wodą z dzbana.

— Powiedz, dlaczegóż to? — spytał rycerz. — Zaliś mi nie ręczył, że woda ta jest zaczerpnięta z krynicy świętego Dunstana?

— Iście — rzekł eremita — ochrzcił w niej wiele setek pogan, alem nie słyszał, aby z niej pił. Na tym świecie każda rzecz ma swe przeznaczenie. Święty Dunstan zresztą dobrze wiedział, do czego ma prawo wesoly mnich.

Mówiąc to, wziął harfę i zaśpiewał gościowi następującą piosenkę z powtarzającym się przyśpiewem podłożonym pod starą angielską melodię:

BALLADA O BOSYM MNICHU

*Więc daję ci, chłopcze, rok, dwa — ile chcesz,
Przeszukaj Europę wzdłuż, w poprzek i wszerz,
A nigdzie nie znajdziesz, byś nie wiem jak wzdychał,
Nikogo, kto bardziej jest szczęsny od mnicha.
Twój rycerz dla damy naraża się — lecz
Wieczorem w spotkaniu przeszywa go miecz.
Spowiadam rycerza — a dama drze włosy!
Szczęśliwy na ziemi jest tylko mnich bosy.
Twój rycerz czy książę? Dziesiątki ich znasz,*

Co chcieli na habit zamienić swój płaszcz.

Lecz wskaż mi braciszka, co chciałby, u licha,

Zamienić na berło pielgrzymi kij mnicha'

Mnich bosy wędruje wśród lasów i gór,

W co ziemia bogata — to wpada mu w wór.

Tu spocznie, tu znowu pofrunie jak pliszka,

Bo każdy dom w świecie jest domem braciszka.

Gdy przyjsć ma na obiad — nie waży się nikt

Bez niego zjeść kurę lub wypić choć łyk.

Bo kąsek najlepszy — czym chata bogata —

To prawo najświętsze bosego jest brata.

Gdy przyjsć ma wieczorem — na roźnie już wól

I piwa wnet garniec podają na stół.

A nocą gospodarz spać może na strychu,

Byś jeno ty ciepłą pierzynę miał, mnichu.

Niech żyją sandały i habit, i Rzym,

I tryumf wieczysty dobrego nad złym!

Bo życie na różach, bo życie bez cierni

Pisane jest mnichom, co niebu są wierni.

— Wiera! — zawołał rycerz. — Pienia twe są przednie i ochocze,

pochwaliłeś w nich wielce twój stan. Ale wspomniawszy diabła,

świętobliwy ojczy, czyż się nie lękasz, że cię nawiedzi, gdy się tak nie po

mniszemu zabawiasz?

— Nie po mniszemu! — oburzył się pustelnik. — Mierzi mnie takie

gadanie! Wypełniam pilnie me obowiązki kapłańskie przy kaplicy.

Odprawiam codziennie dwa nabożeństwa, rano i wieczór, jutrznię i nieszpory, odmawiam zdrowaśki, ojczenaszki i skład apostolski...

— Jeno nie w te noce, kiedy miesiąc świeci, a zwierzyny pełno — odparł gość.

— Exceptus excipiendis — odciął się mnich. — Tak nauczył mnie odpowiadać mój stary opat, gdy zbyt ciekawi świeccy rozpytywali się o szczegóły reguły zakonnej.*

**/ Exceptus excipiendis (łac.) — z wyjątkiem wyjątków.*

— Słusznie prawicie, świątobliwy ojczu — rzekł rycerz — ale diabeł nie śpi, lecz krąży wszędy, jak wiesz, niby lew ryczący.

— Niech ośmieli się tu zaryczeć — odparł mnich — a spiorę go mym sznurem niczym święty Dunstan obcęgami. Nigdy nie byli mi straszni ludzie ani zły duch i jego diabelski pomiot. Z pomocą świętego Dunstana, świętego Dutoryka, świętego Winibalda, świętego Winifreda, świętego Swibeta, świętego Wilika, a także świętego Tomasza z Kentu oraz moich własnych skromnych zasług gotów jestem wyzwąć na rękę każdego diabła z ogonem lub bez. Ale wyznam ci w tajemnicy, że nigdy takich rzeczy nie wspominam aż po porannych modłach.

I zaczął mówić o czymś innym; wesolość dwóch kompanów szybko się wzmagała, odśpiewali jeszcze wiele pieśni, gdy nagle i głośne stukanie przerwało ich zabawę.

*Dalejże! Wąwozami wiedzie nasza droga,
Gdzie ręce sarnię drepce za płochliwą matką,
Gdzie przez splątaną gęstwę dębowych gałęzi
Słońce w trawie rysuje pozłociste wzory.*

*Dalej, w górę! Jak miłe stopom naszym ścieżki,
Gdy na niebiosach górze promieniste słońce,
A jakże pełne zdrady — kiedy lampa Cyntii
Zapala w mrocznym borze niepewną poświatę.*

J. HOGG; Las Ettrick

*Gdy Cedryk Sakson zobaczył na turnieju w Ashby, jak jego syn padł
nieprzytomny na ziemię, chciał już rozkazać swym sługom, aby się nim
zaopiekowali i mieli o nim staranie, lecz słowa uwięzły mu w gardle.
Nie mógł się przemóc, by wobec licznego zgromadzenia przyznać się do
syna, którego się wyrzekł i którego wydziedziczył. Rozkazał jednak
Oswaldowi, by miał nad nim pieczę, i polecił jemu oraz dwóm swoim
poddanym, by odwieźli Wilfryda do Ashby, gdy tylko tłum się
rozproszy. Lecz zanim Oswald spełnił ten dobry uczynek, już go ktoś w
tym uprzedził. Tłum wkrótce się rozszedł, ale rycerza nigdzie nie było.
Na próżno podczaszy Cedryka rozglądał się za swym młodym panem:
ujrzał tylko krwawą plamę w miejscu, gdzie młodzieniec padł
niedawno, lecz jego samego już nie było; można by sądzić, że go
porwały wróżki. Oswald byłby zapewne skłonny uwierzyć w taki
powód zniknięcia rycerza (gdyż Saksończycy byli bardzo przesądni),
gdyby wzrok jego nagle nie padł na człowieka ubranego w strój*

giermka, w którym poznał swego kompana Gurta. Zaniepokojony

*losem młodego pana i zrozpaczony jego nagłym zniknięciem, przebrany
świniarek szukał go wszędzie, nie pamiętając o ostrożności i o własnym
bezpieczeństwie. Oswald uważał za swój obowiązek zatrzymać go jako
zbiega, ale o jego losie mógł zawyrokować tylko Cedryk.*

*Dopytując się dalej o Wydziedziczonego Rycerza, podczaszy dowiedział
się od przygodnych widzów, że dobrze ubrani słudzy ostrożnie podnieśli
rannego i umieściwszy w lektyce pewnej damy będącej na trybunie,
wynieśli go natychmiast z tłumu. Oswald, dowiedziawszy się o tym,
postanowił wrócić do swego pana po dalsze wskazówki; zabrał też ze
sobą Gurta, którego uważał za zbiega ze służby Cedryka.*

*Pan na Rotherwood był niezmiernie niespokojny o syna, zbudził się w
nim bowiem głos natury wbrew jego niezłomnemu patriotyzmowi,
nakazującemu tłumić ojcowskie uczucia. Lecz skoro się tylko dowiedział,
że Ivanhoe jest w troskliwych, a zapewne i życzliwych rękach, miłość
jego, zbudzona obawą o los syna, musiała znów ustąpić przed uczuciem
obrażonej dumy i urazy, które w nim zrodziło jego nieposłuszeństwo.*

*— Niech idzie sobie, gdzie chce — rzekł — niechaj jego rany leczą ci, dla
których miłości został ranny. Nadaje się lepiej do kuglarskich sztuczek
normandzkiego rycerstwa niżli do obrony sławy i czci swych
angielskich przodków mieczem i berdyszem, dawną bronią swego
kraju.*

*— Jeśli dla obrony chwały przodków — odezwała się obecna przy tym
Rowena — wystarczy być mądrym w radzie, mężnym w czynach,*

najodważniejszym spośród odważnych i najłagodniejszym wśród

łagodnych, nie znam nikogo, poza jego ojcem, kto by...

— Zamilcz, pani! O tej jednej sprawie nie chcę słuchać. Przystrój się na

biesiadę u księcia: zaproszeni zostaliśmy z uprzejmością i niezwykłymi

względami, jakie rzadko ci dumni Normandowie okazują nam od

nieszczęsnego dnia bitwy pod Hastings. Pójdę choćby dla pokazania

tym pysznym Normandom, jak mało obchodzi Saksończyka los syna,

który zdołał pokonać ich najdzielniejszych rycerzy.

— A ja nie pójdę — odparła Rowena. — Pamiętaj, aby to, co nazywasz

męstwem i stałością, nie było wzięte za brak serca.

— Pozostań więc w domu, niewdzięczna! — odpowiedział Cedryk. — Ty

sama masz twarde serce, skoro nad dobro uciśnionego narodu

przekładasz

lekkomyślną

i

niedozwoloną

miłość.

Odszukam

szlachetnego Athelstana i razem pójdziemy do Jana Andegaweńskiego.

Jakoż udał się na ucztę, której główniejsze wypadki już

opowiedzieliśmy. Gdy tylko saksońscy thanowie opuścili kasztel ze

swymi sługami, natychmiast dosiedli koni; podczas zamieszania

panującego przy ich odjeździe Cedryk po raz pierwszy spostrzegł

zbiegłego Gurta. Dostojny Saksończyk, jak już widzieliśmy, powrócił z

uczty w niezbyt łagodnym usposobieniu i szukał tylko powodu, by móc na kimś wyrzucić swój gniew.

— Związać go — zawołał — związać go! Oswald, Hundebert! Nędzne psy! Jak mogliście nie związać tego łotra?

Nie śmiejąc się sprzeciwić, towarzysze Gurta związali go w braku sznura uździenicą. Poddał się temu w milczeniu, rzuciwszy tylko spojrzenie pełne wyrzutu na swego pana, i rzekł:

— I to dlatego, że miłuję bardziej krew twoją niż moją własną.

— W konie i naprzód! — zawołał Cedryk.

— Iście czas — dodał szlachetny Athelstan. — Jeśli się nie pośpieszymy, to wieczerza zgotowana przez opata Waltheoffa na nic się popsowa.

Podróżni pośpieszyli więc, by stanąć w klasztorze Świętego Witholda, zanim nastąpi to nieszczęście. Opat, sam pochodzący ze starożytnego rodu saksońskiego, przyjął dostojnych Saksończyków hojnie i wystawnie, z właściwą swej nacji gościnnością; wieczerza przeciągnęła się do późnej godziny, a raczej do wczesnego ranka. Goście rozstali się z wielebnym ojcem dopiero nazajutrz, po obfitym posiłku. Gdy orszak opuszczał podwórzec klasztorny, zdarzył się wypadek, który przejął pewną obawą Saksończyków, ze wszystkich bowiem narodów Europy byli oni chyba najbardziej zabobonni. Normandowie, ludzie mieszanego pochodzenia i na owe czasy względnie oświeceni, porzucili większość zabobonów, jakie ich przodkowie wynieśli ze Skandynawii, i na te sprawy mieli bardziej swobodne poglądy.

W tym wypadku czcigodnym prorokiem, który wywołał przesądny lęk

w Saksończykach, był wychudły, duży, czarny pies siedzący na tylnych łapach. Gdy pierwsi jeźdźcy przejeżdżali przez bramę, zaczął wyć żałośnie, a potem, ujadając groźnie i skacząc dokoła orszaku, wyraźnie chciał się do niego przyłączyć.

— Nie lubię tej muzyki, ojcze Cedryku — rzekł Athelstan zwracając się w ten sposób do thana, dla okazania mu należnego szacunku.

— Ja też, wuju — dodał Wamba — lękam się, że to my będziemy musieli opłacić kosztą tej muzyki.

— Mniemam — ciągnął Athelstan, któremu zapadło w pamięć dobre piwo klasztorne, już wówczas bowiem miasto Burton słynęło z tego orzeźwiającego napitku — mniemam, że słuszniej uczynilibyśmy zawracając i zatrzymując się u opata do popołudnia. Źle się puszczać w drogę, kiedy przejdzie ją mnich, zając lub wyjący pies; trza przeczekać do następnego posiłku.

— Naprzód! — zawołał niecierpliwie Cedryk. — I tak dzionek za krótki na naszą długą podróż. Znam tego psa, to kundel mojego zbiegłego niewolnika Gurta, taki sam nicpoń i obieżyświat jak jego pan.

Mówiąc to, podniósł się w strzemionach i zły z przeszkody w podróży, cisnął oszczepem w biednego Fangsa, gdyż był to Fangs, który towarzysząc swemu panu w tajnej jego wyprawie, tu go zgubił i teraz po swoim cieszył się z jego powrotu. Oszczep zranił psa w łopatkę i omal nie przygwoździł go do ziemi. Fangs skomląc uciekł przed rozgniewanym thanem. Serce zabolalo Gurta na ten widok; do pewnego stopnia głębiej odczuł nawet ten zamach na życie swego

wiernego towarzysza niż surowe postępowanie względem siebie. Na próżno usiłował podnieść rękę do oczu, wreszcie zwrócił się do Wamby, który widząc zły humor pana, wolał skryć się ostrożnie na końcu orszaku.

— Obetrzyj mi, proszę, oczy skrajem twej opończy. Podrażnił mi je kurz, a skrępowanymi rękami nie mogę tego sam uczynić; dopomóż mi.

Wamba uczynił, o co Gurt prosił, i przez jakiś czas jechali obok siebie; świniarek milczał posepnie. Wreszcie, nie mogąc zapanować nad swymi uczuciami, rzekł:

— Mój przyjacielu, ze wszystkich głupców, którzy służą Cedrykowi, ty jeden potrafiłeś wkupić się swoją głupotą w jego łaski. Idźże więc do niego i powiedz mu, że Gurt ani z przywiązania, ani z bojaźni nie będzie mu już dłużej służył. Może mi głowę obciąć, może mnie wychłostać, okuć w kajdany, ale nie zmusi mnie, abym go kochał i słuchał. Idź więc i powiedz mu, że Gurt, syn Beowulfa, nie będzie mu dłużej służył.

— Iście — odparł Wamba — chociażem głupiec, nie zaniosę mu twego głupiego posłania. Cedryk ma jeszcze drugi oszczep, a wiesz, że nie zawsze chybia celu.

— Nie stoję o to, czy będę mu za cel służyć — odparł Gurt. — Wczoraj porzucił Wilfryda, mego młodego pana, broczącego krwią; dziś w moich oczach chciał zadać śmierć drugiemu żywemu stworzeniu, które mi okazywało zawsze przywiązanie. Klnę się na świętego Edmunda, świętego Dunstana, świętego Witholda, świętego Edwarda Wyznawcę i wszystkich świętych saksońskiego kalendarza! (Cedryk zaklinał się

tylko na świętych pochodzenia saksońskiego, a wszyscy słudzy naśladowali jego przykład). Przysięgam, że nigdy mu tego nie przebaczę.

— Zda mi się — rzekł błazen, który chętnie odgrywał rolę rozjemcy wśród domowników Cedryka — że nasz pan zgoła nie chciał ranić twego Fangsa, jeno go nastraszyć. Boć, jeśliś to miarkował, pan podniósł się w strzemionach, jakby chciał rzucić oszczepem nad jego głowę i byłby na pewno tak uczynił, gdyby Fangs właśnie nie podskoczył. Toteż zadrasnął go jeno i wyleczę ci psisko maleńkim plasterkiem ze smoły.

— Oby tak było — zawołał Gurt — i obym mógł w to uwierzyć! Lecz widziałem, że oszczep był dobrze wymierzony; słyszałem, jak świsnął w powietrzu całą złością tego, który go miotał; widziałem, jak drżał utkwivszy w ziemi, jakby żałował, że chybił celu. Na wieprza miłego świętemu Antoniemu! Wyrzeknę się Cedryka!

Oburzony świniarek zamknął się w posępnym milczeniu i żadne usiłowania błazna nie zdołały go nakłonić do pogawędki.

Tymczasem Cedryk i Athelstan, jadąc na przedzie orszaku, rozmawiali o stanie kraju, o niezgodzie w królewskiej rodzinie, o lennach, o niesnaskach wśród normandzkich wielmożów i o możliwości, jaką mieli uciśnieni Saksończycy, by wyzwolić się spod jarzma Normandów albo przynajmniej uzyskać uznanie i niezależność w czasie wewnętrznych zamieszek, jakich należało oczekiwać. Przedmiot ten zawsze ożywiał Cedryka. Odzyskanie niepodległości kraju było jego marzeniem, dla

którego chętnie poświęcił osobiste szczęście i dobro własnego syna. By dokonać jednak tak wielkiego przewrotu na rzecz rodowitych Anglików, trzeba, aby zapanowała między nimi zgoda i aby wybrali jednego, uznawanego przez wszystkich wodza. Należało go wybrać koniecznie z rodu królów saksońskich, bo ci, którym Cedryk powierzył swe skryte zamiary i nadzieje, postawili to uroczyście za warunek.

Jedynie Athelstan posiadał królewskie pochodzenie i choć niezbyt był wykształcony ani nie odznaczał się zdolnościami potrzebnymi wodzowi, miał niezłą postawę, nie splamił się tchórzostwem, znał rycerskie rzemiosło i zdawał się skłonny słuchać rad mądrzejszych od siebie. A nade wszystko wiadano, że jest hojny i gościnny, i myślano, że ma dobre serce. Lecz mimo słusznych roszczeń Athelstana do wodzostwa nad konfederacją saksońską, wielu uważało, że większe prawa od niego miała lady Rowena, pochodząca w prostej linii od króla Alfreda. Ojciec jej był wodzem znanym z mądrości, odwagi i wspaniałomyślności, czczonym przez swych uciśnionych rodaków.

Nietrudno byłoby Cedrykowi, gdyby tego zapragnął, stanąć na czele trzeciego stronnictwa, równie przynajmniej potężnego jak tamte dwa. Choć w jego żyłach nie płynęła krew królewska, był za to odważny, czynny i sprężysty, a przede wszystkim tak oddany sprawie ojczystej, że zyskał sobie przydomek „Saksona”, urodzeniem zaś ustępował tylko Athelstanowi i swej wychowanicy. Wszystkim tym zaletom nie towarzyszył nawet cień samolubstwa, toteż zamiast dzielić osłabiony naród utworzeniem jeszcze jednego stronnictwa, zamiarem Cedryka

było połączenie dwóch już istniejących facji przez popieranie małżeństwa Athelstana z Roweną. Na przeszkodzie tym zamiarom stanęła jednak miłość wychowanki Cedryka do jego syna. Był to główny powód wygnania młodzieńca z domu.

Cedryk chwycił się tego surowego środka w nadziei, że podczas nieobecności Wilfryda Rowena zapomni o dawnej miłości. Ale omylił się w swych rachubach, po części właśnie z powodu wychowania, jakie otrzymała Rowena. Cedryk, dla którego imię Alfreda równało się imieniu bóstwa, odnosił się do ostatniej latorośli wielkiego monarchy z taką czcią, z jaką w owych czasach traktowano jedynie księżniczki z panujących domów. Wola Roweny była prawem w jego domu, a sam Cedryk, jak gdyby chcąc, by jej władza suwerenna uznawana była przynajmniej w tym małym kółku, zdawał się czerpać dumę z odgrywania roli pierwszego spośród jej poddanych. Lady Rowena przywykła nie tylko kierować się własną wolą, ale postępować wręcz despotycznie; na skutek takiego wychowania skłonna więc była opierać się i przeciwstawiać każdej próbie kierowania jej uczuciami lub dysponowania jej ręką wbrew skłonnościom serca i pragnęła zaznaczyć swą niezależność w wypadku, w którym nawet kobiety przywykłe do posłuszeństwa i uległości nieraz opierają się władzy opiekunów i rodziców. Z dumą przyznawała się do swych uczuć, a Cedryk, nie mogąc się otrząsnąć ze zwykłej uległości wobec jej woli, nie wiedział, jak ma ją skłonić do posłuszeństwa.

Na próżno usiłował ją mamić nadzieją na urojony tron. Rowena, która

miała dużo zdrowego rozsądku, nigdy nie wierzyła w urzeczywistnienie jego planów ani nie pragnęła dla siebie korony, choćby to nawet okazało się możliwe. Nie usiłując tajić swej miłości do Wilfryda z Ivanhoe, oświadczyła, że gdyby ukochany rycerz nie wchodził w rachubę, schroniłaby się raczej do klasztoru, niżby miała dzielić tron z Athelstanem, którym zawsze pogardzała, a którego teraz na skutek udręczeń, jakie cierpiała z jego powodu, zaczęła nienawidzić.

Cedryk jednak, nie bardzo wierząc w stałość kobiet, używał wszelkich dostępnych mu środków, by doprowadzić do skutku projektowany związek, zdawało mu się bowiem, że w ten sposób przyłoży się walnie do zwycięstwa sprawy saksońskiej. Nagłe i romantyczne pojawienie się syna na turnieju w Ashby słusznie uważał za śmiertelny nieomal cios zadany owym nadziejom. Wprawdzie miłość ojcowska na chwilę wzięła górę nad dumą i patriotyzmem, ale wkrótce uczucia te znów powróciły z dawną siłą. Pod ich wpływem postanowił uczynić decydujące kroki dla doprowadzenia do skutku małżeństwa Athelstana z Roweną oraz chwycić się wszelkich środków, aby odzyskać niepodległość dla Saksończyków.

W tej ostatniej sprawie mozolił się nad Athelstanem, od czasu do czasu słusznie biadając, że podobnie jak Hotspur*, nie może poruszyć tej miski ciepłych klusek i zachęcić do działania w tak zaszczytnej sprawie.

Wprawdzie Athelstanowi nie zbywało na próżności i lubił, gdy mu bajano o jego wysokim urodzeniu i prawach dziedzicznych do hołdów i władzy, ale jego małostkowa pycha zadowalała się hołdami

najbliższego otoczenia oraz tych Saksończyków, którzy mieli do niego dostęp. Jeśli nie obawiał się niebezpieczeństwa, to w każdym razie nie lubił się trudzić. Zgadzał się na ogół z poglądem Cedryka, że słusznie należy się Saksończykom niepodległość, a łatwiej jeszcze dał się przekonać, iż on właśnie powinien nimi rządzić, gdy odzyskają wolność. Ale gdy dochodziło do roztrząsania, w jaki sposób ją odzyskać, stawał się znów Athelstanem Bezradnym — powolnym, niezdecydowanym, zwlekającym i pozbawionym energii. Gorące i namiętne błagania Cedryka takie robiły wrażenie na jego obojętnej duszy, jak rozpalona do czerwoności kula, która wpadłszy do wody wydaje cichy syk, trochę pary i po chwili gaśnie.

**/ Hotspur, Percy Henry — postać historyczna, występująca w sztuce Szekspira „Henryk IV”.*

Cedryk porzucił wreszcie te wysiłki — dające się porównać do popędzania ostrogami zmęczonej kobyły lub do kucia zimnego żelaza — i zwrócił się do swej wychowanki, ale i tu niewiele więcej wskórał. Nadejście jego przerwało rozmowę między Roweną a jej ulubioną dworką o męstwie i losach Wilfryda i Elgita pomściła swoją panią i siebie, wspomniawszy o tym, jak Athelstan został powalony w szrankach; nie mogło być przykrzejszego tematu dla Cedryka. I tak dla tego upartego Saksończyka podróż owa obfitowała w same przykrości i niepowodzenia, klął więc w głębi duszy i turniej, i tego, kto go ogłosił, a także własną głupotę, która go tam zawiodła.

W południe na wniosek Athelstana podróżni zatrzymali się w cienistym

gaju przy źródle, by dać wypocząć koniom i posilić się zapasami, którymi gościnnie opat kazał obładować jucznego muła. Posiłek trwał długo, a dalsze kilkakrotne popasy odebrały podróżnym nadzieję, że dojadą do Rotherwood przed nocą. Postanowili więc podążać prędzej niż dotychczas.

XIX

Zbrojny oddziałek, który towarzyszy

Damie (a wiem to ze słów zastyszanych,

Gdym za ich tropem z daleka się skradał),

Jest już w pobliżu i myśli noc spędzić

W komnatach zamku...

Orra. Tragedia

Nasi podróżni przybyli wreszcie na skraj puszczy i mieli się w nią

zagłębić. Uważano wówczas lasy za niebezpieczny teren, gdyż wielu

Saksończyków, których do ostateczności doprowadził ucisk i bieda,

schroniło się tam, a połączywszy się w spore gromady, mogło

skutecznie stawić czoło ówczesnym słabym oddziałom utrzymującym

porządek. Pomimo późnej godziny Cedryk i Athelstan nie obawiali się

jednak napadu wyjętych spod prawa włóczęgów, towarzyszyło im

bowiem dziesięciu ludzi, prócz Wamby i Gurta, na których nie można

było liczyć, skoro pierwszy był błaznem, a drugi jeńcem. Dodać jeszcze

należy, że puszczając się o tak późnej porze drogą przez las, Cedryk i

Athelstan liczyli na szacunek saksońskich zbójów dla pochodzenia,

stanowiska i odwagi podróżnych. Straceńcy, których surowe prawa

myśliwskie zmusiły do włóczęgi i ciężkiego życia, byli przeważnie Saksonami i powszechnie mniemano, że oszczędzają osoby i mienie swych rodaków.

Nagle jadących przez bór podróżnych przeraziły wezwania o pomoc.

Gdy udali się na miejsce, skąd dochodziły krzyki, ujrzeli lektykę stojącą na ziemi: obok siedziała młoda osoba ubrana w bogaty strój żydowski, a starzec, którego żółta czapka zdradzała, że należy do tej nacji, chodził tam i z powrotem w rozpacz i załamywał ręce, jakby mu się przytrafiło wielkie nieszczęście.

Na pytania Athelstana i Cedryka stary Żyd przez pewien czas

odpowiadał wzywając tylko wszystkich patriarchów Starego

Testamentu na pomoc przeciw synom Izmaela, którzy dybali na niego z mieczami.

Dopiero gdy Izaak z Yorku (był to bowiem nasz stary przyjaciel)

otrząsnął się po dłuższej chwili ze strachu, mógł opowiedzieć, że w

Ashby wynajął sześciu strażników z mułami, które miały nieść lektykę

chorego przyjaciela. Ludzie ci zobowiązali się doprowadzić ich do

Doncaster. Dojechali spokojnie aż do tego miejsca, lecz gdy drwale

ostrzegli podróżnych, że silna banda zaczęła się w lasach przed nimi,

najemnicy Izaaka nie tylko sami uciekli, lecz zabrali też ze sobą muły i

pozostawili Żyda wraz z córką, nie mogących się ani bronić, ani

uciekać, na pastwę zbójców, którzy lada chwila mogli na nich napaść,

ograbić i prawdopodobnie zamordować.

— Racście, dostojni panowie — dodał Izaak uniżenie — zezwolić, by

biedny Żyd mógł odbyć dalszą podróż pod waszą opieką. Przysięgam na tablice Mojżeszowe, że od czasu babilońskiej niewoli nikt się jeszcze tak nie odwdzieczył, jak ja to uczynię.

— Ty psie żydowski! — zawołał Athelstan, obdarzony tym rodzajem pamięci, która zbiera wspomnienia wszelkich drobnych zdarzeń, szczególnie gdy mniemał, że są dla niego obraźliwe. — Czyś zapomniał, jakieś się nam hardo stawiał na trybunach w czasie turnieju? Uchodź stąd lub bij się ze zbójcami, albo paktuj z nimi, jak wolisz, ale nie spodziewaj się po nas ani opieki, ani pomocy. Jeśliby rozbójnicy obdzierali tylko takich jak ty grabieżców, uważałbym ich za całkiem uczciwych ludzi.

Cedryk nie pochwalał surowej odpowiedzi swego towarzysza.

— Baczę, iż lepiej będzie ostawić im parę koni i dwóch ludzi — rzekł — by powiedli ich z powrotem do najbliższej wioski. Niewiele to zmniejszy nasze siły, a z pomocą twego dzielnego miecza, dostojny Athelstanie, i z pomocą reszty naszych sług nietrudno nam będzie stawić czoło nawet dwudziestu opryszkom.

Rowena, choć zaniepokojona wzmianką o siłach napastników, gorąco poparła projekt swego opiekuna. Ale Rebeka zerwała się nagle, przedostała się przez orszak do siedzącej na koniu saksońskiej damy i uklękawszy ucałowała rąbek jej szaty, jak to czynią ludzie na

Wschodzie zwracając się do swych przełożonych. Po czym powstała z klęczek, odrzuciła z twarzy zasłonę i zaczęła błagać Rowenę w imię Wszechmogącego Boga, którego obie wyznawały, oraz przykazań

danych na górze Synaj, w które obie wierzyły, by się ulitowała nad nimi i pozwoliła im odbyć podróż pod opieką jej towarzyszy.

— Nie proszę o tę łaskę dla siebie — rzekła Rebeka — ani nawet dla tego biednego starca. Wiem, że chrześcijanie uważają krzywdzenie i grabienie naszego narodu za drobne tylko przekroczenie, jeśli nie za zasługę, i nikt w mieście, w puszczy czy na wsi nie zważa na to, co się nam może złego przydarzyć. Ale w imię pewnej osoby, kochanej przez wielu i nawet tobie drogiej, błagam cię, zezwól, byśmy tego chorego mogli ostrożnie i troskliwie powieźć pod waszą opieką. Zważ, że gdybyś mi odmówiła tej łaski, a jemu przydarzyłoby się jakieś nieszczęście, ostatnie chwile twego życia zatrułby gorzki żal.

Szlachetny i uroczysty ton, z jakim Rebeka wypowiedziała te słowa, dodały jeszcze wagi jej prośbie w oczach pięknej Saksonki.

— Starzec jest zgrzybiały i słaby — rzekła do swego opiekuna — dziewczyna młoda i piękna, a przyjaciel ich chory i umierający; choć są to Żydzi, my, jako chrześcijanie, nie możemy ich tu zostawić. Każ zdjęć tłumoki z jucznych mułów i umieścić na koniach za sługami. Muły niech poniosą lektykę, a starzec i jego córka mogą jechać na luzakach.

Cedryk chętnie na to przystał, tylko Athelstan postawił jeden warunek:

— Ale niech jadą na końcu orszaku, tam Wamba ich osłoni puklerzem z szynki dzika.

— Zgubiłem mój puklerz w szrankach — odparł błazen — co się zdarzyło także rycerzowi lepszemu ode mnie.

Ciemny rumieniec oblał twarz Athelstana, gdyż on właśnie miał taki

wypadek w ostatnim dniu turnieju. Rowena, zadowolona z przycinka trefnisia i chcąc wynagrodzić Rebecę brutalny żart swego bezlitosnego konkurenta, wezwała dziewczynę, by jechała obok niej.

— Nie przystoi mi to — odparła Rebeka ze skromnością nie pozbawioną dumy. — Moja kompania może być snadnie uważana za hańbiącą dla ciebie, pani moja i opiekunko.

Tymczasem szybko przeladowano tłumoki, gdyż słowo „zbójcy” każdego przynaglało do pośpiechu, a zapadający zmierzch trwogę tę jeszcze powiększał. Wśród ogólnego zamieszania zdjęto z konia Gurta; poprosił wtedy błazna, by mu rozluźnił sznur, którym był związany. Wamba, może umyślnie, zrobił to tak nieostrożnie, że świniarkowi bez trudu udało się uwolnić ręce, po czym wśliznął się w krzaki i opuścił na dobre kompanię.

Zamieszanie trwało długo i nieprędko spostrzeżono zniknięcie Gurta; miał być posadzony na koniu za jednym z pacholków — każdy z nich przypuszczał, że ktoś inny ma go pod swoją pieczę, a gdy zaczęli szeptać między sobą, że jeniec gdzieś znikł, wszyscy tak byli zajęci oczekiwaniem napadu zbójców, że nikt nie zwrócił uwagi na jego ucieczkę.

Ścieżka, na którą teraz orszak wkroczył, była tak wąska, że tylko dwóch konnych mogło nią jechać obok siebie; wkrótce zaczęła schodzić do parowu przeciętego strumieniem o brzegach poszarpanych, bagnistych i porośniętych łożą. Cedryk i Athelstan, jadący na czele orszaku, obawiali się napadu w tym przesmyku; ale nie mając wojennego

doświadczenia, nie wpadli na żaden inny sposób obrony, tylko postanowili jak najspieszniej przeprawić się przez bród. Część orszaku bezładną gromadą przejechała już przez strumień, gdy nagle została napadnięta z boków i od tyłu jednocześnie; atak był tak gwałtowny, że podróżni, nie przygotowani do obrony, nie mogli stawić oporu.

Zewsząd rozległy się wojenne okrzyki: „Biały Smok! Biały Smok! Święty Jerzy, broń Anglii!”, napadający udawali bowiem saksońskich zbójców.

Ze wszystkich też stron ukazali się nagle wrogowie, a szybkie poruszenia zdawały się mnożyć ich liczbę. Obaj wodzowie saksońscy dostali się jednocześnie do niewoli, każdy z nich w sposób zgodny z jego charakterem. Cedryk, gdy tylko ukazał się pierwszy nieprzyjaciel, cisnął w niego drugim swym oszczepem, który okazał się celniejszy od rzuconego w Fangsa i przygwoździł zbrojcę do drzewa znajdującego się za nim. Cedryk, widząc swą przewagę, spiął konia ostrogami i wyciągnąwszy miecz, z taką furią podniósł go w górę, że zawadził nim o zwisający nisko konar i własnym ciosem pozbawił się oręża.

Natychmiast został wzięty do niewoli, a zbrojcy, którzy go obkoczyli, ściągnęli go z konia. Athelstan zaś podzielił jego los, gdyż zanim zdołał wyciągnąć miecz czy przybrać obronną postawę, schwytano jego wierzchowca za uzdę.

Pachołcy, obarczeni bagażem, zaskoczeni i przerażeni losem swych panów, z łatwością zostali pojmani przez napastników, tak samo jak lady Rowena, będąca w środku orszaku, i Żyd z córką, znajdujący się na samym końcu. Nikt z podróżnych nie uszedł niewoli z wyjątkiem

Wamby, który w tym wypadku okazał więcej odwagi niż inni, obdarzeni większym od niego rozumem. Porwał miecz jednemu ze sług, który opieszale i niepewnie wyciągnął go z pochwy, i bronił się nim jak lew, zmusiwszy kilku napastników do ucieczki, a nawet odważnie, lecz bezskutecznie usiłował stanąć w obronie swego pana. W końcu jednak, widząc przeważające siły nieprzyjaciela, zeskoczył z konia, skrył się w krzakach i korzystając z ogólnego zamieszania, umknął z pola bitwy. Jednakże mężny błazen, gdy tylko poczuł się bezpieczny, zaczął się wahać, czy nie powinien zawrócić i podzielić niewoli pana, do którego był szczerze przywiązany.

— Nieraz słyszałem, jak ludzie opowiadali o szczęściu wolnego życia — powiedział do siebie — ale chciałbym, aby mnie teraz taki mądry człowiek pouczył, co mam począć ze zdobytą wolnością?

Gdy głośno wymawiał te słowa, tuż koło niego ktoś cicho i ostrożnie zawołał: „Wamba!” i w tej samej chwili skoczył do niego łaszcząc się pies, w którym poznał Fangsa. „Gurt!” odpowiedział błazen na wołanie, ciągle zachowując taką samą ostrożność, a świniarek stanął przed nim natychmiast.

— Co to się dzieje? — zapytał. — Co znaczą te krzyki i szczęk broni?

— Zwykły w naszych czasach przypadek — odparł Wamba. — Wszyscy dostali się do niewoli.

— Kto się dostał do niewoli?! — zawołał zniecierpliwiony Gurt.

— Nasz pan i mylady, Athelstan, Hundebert i Oswald.

— Na Boga! — zawołał Gurt. — W jaki sposób i kto ich pojmał?

— Naszemu panu zanadto było spieszno do walki — odparł błazen —

Athelstanowi za mało, a reszcie wcale. Wzięły więc ich do niewoli zielone kabaty i czarne maski. Leżą teraz wyciągnięci na trawie niby ulęgałki, co je otrząsas z drzew dla świń. Śmiałym się z nich — dodał poczciwy Wamba — gdyby mi się na płacz nie zbierało.

I zalał się łzami szczerego żalu.

— Wambo, masz broń przy sobie, a serce lepsze od głowy! Jest nas tylko dwóch, ale nagła napaść odważnych wiele może zdziałać. Idźmy więc!

— wykrzyknął Gurt z zapalem.

— Dokąd? I po co? — zapytał błazen.

— Na pomoc Cedrykowi.

— Przecieżeś porzucił dopiero co jego służbę!

— Porzuciłem go, gdy mu się dobrze wiodło! A teraz nuże, za mną!

W chwili gdy błazen miał go posłuchać, ukazała się nagle trzecia osoba i kazała im stanąć. Z ubioru i oręża sądząc, Wamba mógł go wziąć za jednego z opryszków, którzy napadli na Cedryka; lecz nie miał na twarzy maski i mimo mroku — po błyszczącym pasie przerzuconym przez ramię i zawieszonym na nim bogatym rogu oraz po spokojnym i rozkazującym tonie głosu i ruchach — poznał Locksleya, który zdobył w tak trudnych warunkach nagrodę za strzelanie z łuku do celu.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał łucznik. — I kto w tych lasach z bronią w ręku ośmiela się grabić i brać do niewoli?

— Przyjrzyj się ich kbatom — odparł Wamba. — Czy nie są bliźniaczo podobne do twojego odzienia? Niczym dwa ziarnka grochu.

— Dowień się zaraz — rzekł Locksley — a wam przykazuję pod groźbą śmierci, byście się nie ruszali z tego miejsca do mojego powrotu.

Słuchajcie mnie dla waszego własnego i waszych panów dobra.

Poczekajcie, muszę, o ile się da, upodobnić się do tamtych zupełnie.

Mówiąc to, odpiął pas wraz z rogiem, wyjął pióro z czapki i oddał

Wambie; po czym z mieszka wyciągnął maskę i przykazawszy jeszcze raz naszym znajomym, by nie odchodzili nigdzie, ruszył na zwiady.

— Czy będziemy tu czekać — spytał Wamba — czy też damy drapaka?

Wedle mego głupiego rozeznania ten zuch ma w zbyt wielkim pogotowiu złodziejski przyodziewek, by być prawym człowiekiem.

— Choćby był nawet diabłem — odparł Gurt — nic nie stracimy czekając na niego. Jeśli należy do zbójców, już im dał znać i nie pozostanie nam nic innego, jak bić się albo uciekać. Zresztą niedawno się przekonałem, że te włóczęgi nie są jeszcze najgorszymi ludźmi, z jakimi miałem do czynienia.

Łucznik wkrótce powrócił.

— Moi przyjaciele — rzekł — wmieszałem się w ich gromadę i dowiedziałem się, do kogo należą i dokąd się udają. Mniemam, że na razie nie uczynią jeńcom żadnej krzywdy. Szaleństwem byłoby napadać teraz na nich we trzech, bo to doświadczeni wojownicy i, jako tacy, rozstawili czaty: podniosą one od razu gwałt, gdy się ktoś tylko przybliży. Spodziewam się jednak wkrótce brać siły z którymi będzie można napaść na nich mimo ich ostrożności. Jesteście, jak mniemam, sługami, i to wiernymi, Cedryka obrońcy praw Saksończyków. Nie

zbraknie mu ich pomocy w tym niebezpieczeństwie. Chodźcie więc ze mną, póki nie zbiorę posiłków.

Powiedziawszy to, spiesznie ruszył przez las, a za nim błazen i świniarek. Ale Wamba nie mógł długo zachować milczenia.

— Zdaje się — rzekł spoglądając na pas i róg, które jeszcze miał na sobie

— że widziałem strzałę, co niedawno zdobyła nagrodę.

— A ja — dodał Gurt — przysiągłbym, że słyszałem i we dnie, i w nocy głos tego dobrego łuczника, który tę nagrodę zdobył, a księżyc od tej pory nie urósł nawet o trzy dni.

— Moi mili przyjaciele — odparł łucznik — kim jestem, nie należy do rzeczy; jeśli uwolnię waszego pana, słusznie będziecie mogli mnie uważać za najlepszego przyjaciela. A czy tak, czy inaczej się nazywam, czy umiem dobrze, czy źle strzelać z łuku, czy lubię przechadzać się przy świetle słońca, czy księżycy — nic was nie obchodzi, więc się tym nie turbujcie.

— Głowy nasze są w paszczy lwa — szepnął Wamba Gurtowi — i nie włada, jak je stamtąd wydostaniemy.

— Cicho, milcz! — odparł świniarek. — Nie obraż go tylko jakim głupstwem, a ufam, że wszystko będzie dobrze.

XX

Gdy noc jesienna w mgłach i dymach,

Gdy ścieżki mroczne pośród drzew,

Jak słodko w uszach brzmi pielgrzyma

Nabożny pustelnika śpiew.

Z muzyki pacierz bierze tony

I tonem górny znacząc szlak —

Szybują razem w nieba strony

Jak śpiewający ptak.

Pustelnik u źródła Św. Klemensa

Po trzech godzinach pośpiesznego pochodu słudzy Cedryka wraz ze swym przewodnikiem doszli do niewielkiej polanki w lesie, pośrodku której stał rozłożysty dąb roztaczając dokoła swe poplątane konary.

Pod nim leżało na ziemi paru łuczników, a jeden, pełniący wartę, przechadzał się tam i z powrotem w świetle księżyca.

Ustyszawszy zbliżające się kroki, wartownik natychmiast wszczął alarm, a śpiący zerwali się i naciągnęli łuki. Sześć strzał na cięciwach skierowano w stronę, skąd nadchodzili przybysze, lecz gdy poznano ich przewodnika, łucznicy porzucili wrogą postawę i powitali go z oznakami szacunku i przywiązania. Pierwsze jego pytanie było:

— Gdzie jest Młynarz?

— W drodze do Rotherham.

— Ilu ma towarzyszy? — zapytał Locksley, który zdawał się być wozem tych ludzi.

— Sześciu. Spodziewa się dobrych łupów, jeśli święty Mikołaj pobłogosławi.

— Dobrze gadasz — rzekł dowódca. — A gdzie jest Alan-a-Dale?

— Poszedł rzymską drogą czatować na opata z Jorvaulx.

— Także dobra myśl — pochwalił Locksley. — A gdzie Braciszek?

— *W swojej pustelni.*

— *Pójdę do niego. A wy rozbiegnijcie się i wyszukajcie wszystkich towarzyszy. Skrzyknijcie ich jak najwięcej: jest zwierzyna, którą trzeba ścigać, a która potrafi się bronić. Spotkamy się tu o świcie. Zaczekajcie jeszcze — dodał. — Zabaczyłbym o najważniejszym. Dwóch z was niech podąży co żywo do Torquillstone, kasztelu Bawolego Łba. Gromada łotrzyków przebranych w nasze stroje prowadzi tam jeńców. Miejcie na nich baczenie: choćby przybyli do zamku, zanim zbierzemy się wszyscy, honor nakazuje nam ukarać ich i musimy to uczynić. Baczcie na nich i pchnijcie do nas najlepszego biegacza, by przyniósł wiadomości o tych łotrach. Łucznicy obiecali spełnić dokładnie polecenia i rozeszli się szybko, by je wykonać. A tymczasem ich przywódca ze swymi dwoma towarzyszami, którzy spoglądali teraz na niego zarówno z uszanowaniem, jak z bo jaźnią, udał się dalej w drogę do kaplicy w Copmanhurst.*

Gdy doszli do polanki oświetlonej blaskiem księżyca i znaleźli się przed starą, zrujnowaną kapliczką i skromną pustelnią, tak stosowną do pobożnych rozmyślań, Wamba szepnął Gurtowi:

— *Jeśli to jest siedziba zbója, słuszne zdaje się dawne przysłowie: „Im bliżej kościoła, tym dalej od Boga”. A klnę się na moją czapkę błazeńską, że chyba tak jest. Posłuchaj, jak w tej pustelni diabeł śpiewa godzinki! Istotnie pustelnik ze swym gościem ile sił w płucach śpiewali starą, pijacką pieśń, której ostatnia zwrotka powtarzała się:*

A lejże, lej mi wina dzban,

Dobry chłopcze, dzielny chłopcze,

A lejże, lej mi wina dzban!

Ho, jak to, jak to, Jenkin!

Toś już pijaniusienki?

A lejże, lej mi wina dzban!

— *Nie najgorzej pieją — rzekł Wamba, który dorzucił parę nut do tego chóru. — Ale, na wszystkich świętych, kto by się spodziewał usłyszeć w pustelni o północy taką wesołą piosenkę?*

— *Mnie to nie dziwi — odparł Gurt. — Wiadomo, że wesoły brat z Copmanhurst sam ubił połowę jeleni, skradzionych w tym rewirze.*

Gadają, że leśnik skarżył się jego przełożonym i że zedrą z niego habit i kaptur, jeśli się nie poprawi.

Gdy tak rozmawiali, długie i głośne dobijanie się Locksleya zwróciło wreszcie uwagę pustelnika i jego gościa.

— *Na mój święty różaniec! — zawołał eremita przerywając nagle swe pienia. — Znów jacyś nocni goście! Na mój habit, nie chciałbym, aby nas zastali przy tych wesołych ćwiczeniach! Każdy ma swoich wrogów, panie Gnuśniku, i zawsze się znajdzie jakiś złośliwiec, który przedstawi moje przygodne, gościnne przyjęcie podróżnego jako pijaństwo i rozpustę, a są to wady nie licujące z moim powołaniem i stanem.*

— *Podli to oszczercy — odparł rycerz — i pokarałbym ich chętnie. Ale sprawiedliwie prawicie, świętobliwy ojcze, każdy ma swoich wrogów i są w tym kraju tacy, których wolałbym spotkać ukryty pod przyłbicą szyszaka niżli z gołą twarzą.*

— *Nakryj więc czym prędzej głowę swym garnkiem, mój przyjacielu* —
rzekł pustelnik — *a ja co rychlej ukryję dzbany. Szumi mi jeszcze*
potężnie w głowie, więc żeby stłumić hałas przy sprzątanu — *bo nie*
bardzo się czuję pewny na nogach — *zauć ze mną to, co ja będę*
śpiewał. Nie bacz na słowa, ja sam nie bardzo je znam.

*Po czym zaintonował grzmiącym głosem De profundis clamavi**,
chowając naczynia po uczcie; rycerz tymczasem, zaśmiewając się i
wdziękując
jednocześnie
zbroję,
dopomagał
swym
głosem
gospodarzowi, o ile mu śmiech na to pozwalał.

** De profundis clamavi (łac.) — psalm pokutny śpiewany w czasie*
pogrzebów.

— *Jaką tam jutrznię, u diabła, śpiewasz o tej porze?* — *odezwał się głos z*
zewnątrz.

— *Niech ci Bóg przebaczy, panie podróżniku* — *odparł eremita, któremu*
własny głos, a może i nocna libacja, nie dozwoliły poznać głosu dość
dobrze mu znanego. — *W imię Boga i świętego Dunstana, idź dalej*
swoją drogą i nie przeszkadzaj mnie i memu świątobliwemu bratu w
modlitwach.

— *Szalony mnichu* — *odpowiedział głos z zewnątrz* — *otwórz*

Locksleyowi!

— *Dobra nasza!* — *wykrzyknął pustelnik.*

— *Ale kto to?* — *zapytał Czarny Rycerz.* — *Muszę to wiedzieć.*

— *Kto?* — *powtórzył pustelnik.* — *Gadam ci przecie, że przyjaciel.*

— *Ale co za przyjaciel?* — *nalegał rycerz.* — *Może to twój, ale nie mój
druh.*

— *Co za przyjaciel?* — *zafrasował się eremita.* — *Łacniej się o to zapytać
niż odpowiedzieć. Co za przyjaciel? Mniemam, że to jest właśnie ten sam
prawy leśnik, o którym ci już wspominałem.*

— *Taki sam prawy leśnik, jak ty pobożny mnich!* — *zawołał rycerz.* —
Nie wątpię w to. Ale odemknij drzwi, zanim je wywali.

*A tymczasem psy, które, gdy zaczęło się dobijanie, okropnie szczekały,
poznały, rzekłbyś, głos stojącego na dworze, gdyż zmieniły swe
postępowanie, drapały do drzwi i popiskiwały, jakby wstawiając się za
przybyszem. Pustelnik szybko odsunął zasuwę i wpuścił Locksleya i jego
dwóch towarzyszy. Łucznik, gdy tylko ujrzał rycerza, zapytał:*

— *Ejże, pustelniku, cóż to za wesoly kompan?*

— *Braciszek z naszego zakonu* — *odparł mnich potrząsając głową.* —
Całą noc odmawialiśmy modlitwy.

— *Mniemam, że należy do kościoła wojującego* — *odparł Locksley* — *a
takich jest siła w okolicy. Porzuć, bracie, różaniec, a weź maczugę.*

Każdy z naszych, brat czy świecki, będzie nam potrzebny. Ale — *dodał
odprowadzając go na bok* — *czyś ty zgłupiał, by wpuszczać tutaj
nieznajomego rycerza? Czyś zabaczył o naszych prawach?*

— *Jak to nieznajomego?* — *odparł zuchwale braciszek.* — *Znam go jak zły szeląg.*

— *Jak się więc nazywa?* — *spytał Locksley.*

— *Nazywa się* — *rzekł pustelnik* — *sir Anthony ze Scrabblestone.* *Jakże bym pił z kimś, kogo nie znam?*

— *Wypiłeś aż za wiele, bracie* — *stwierdził mieszkaniec lasu.* — *Boję się, że i nagadałeś za wiele.*

— *Zacny panie* — *rzekł rycerz występując naprzód* — *nie gniewaj się na mego wesołego gospodarza. Użyczył mi gościny, bo byłbym ją i tak na nim wymusił, gdyby mi odmówił.*

— *Ty byłbyś ją na mnie wymusił?!* — *zawołał brat.* — *Poczekaj, aż zmienię ten bury habit na zielony kaftan, a palnę cię w łeb ze dwanaście razy maczugą, jakem prawy mnich i zuch z lasu!*

Mówiąc to, zdjął habit i ukazał się w obcistej, czarnej, skórzanej kurcie i spodniach, na które pośpiesznie wdział zielony kaftan i spodnie tego samego koloru.

— *Proszę cię, zasznurowaj mi odzienie* — *zwrócił się do Wamby* — *a poczęstuję cię za to kielichem wina.*

— *Dzięki* — *odparł Wamba* — *ale czy mniemasz, że słusznie uczynię pomagając ci przedzierzgnąć się z świątobliwego mnicha w grzesznego leśnego człowieka?*

— *Nie lękaj się* — *rzekł eremita* — *wyspowiadam się z grzechów mego zielonego stroju buremu habitowi i wszystko będzie znów w porządku.*

— *Amen!* — *zawołał błazen.* — *Grzesznik w sajetach będzie miał*

*zgrzebnego spowiednika, a w dodatku twój habit może też rozgrzeszy
mój pstry kaftan.*

*Powiedziawszy to, zabrał się do przewlekania mnóstwa sznurowadeł,
którymi wówczas przymocowywano spodnie do kaftana.*

Tymczasem Locksley odprowadził na bok rycerza i rzekł do niego:

*— Rycerzu, nie możesz zaprzeczyć, że to ty przeważyłeś zwycięstwo na
stronę Anglii przeciw tym obcym na turnieju w Ashby.*

— No i co z tego, gdyby nawet tak było, cny łuczniku? — odparł rycerz.

— Uważałbym cię wtedy za stronnika słabszych.

*— Toć to obowiązek prawego rycerza i nie chciałbym, aby mi
zarzucano, że go nie wypełniam.*

*— Co do mnie — powiedział łucznik — chciałbym, abyś był równie
dobrym Anglikiem, jak prawym rycerzem, gdyż to, o czym chcę z tobą
mówić, jest powinnością każdego uczciwego człowieka. ale nade
wszystko rodowitego Anglika.*

*— Nie znajdziesz — odparł rycerz — nikogo, komu by droższa była
Anglia i życie każdego z jej mieszkańców.*

*— Oby tak było! — zawołał Locksley. — Nigdy bowiem Anglia tak nie
potrzebowała pomocy tych, co ją miłują. Posłuchaj mnie, a wyjawię ci
przedsięwzięcie, w którym możesz wziąć udział, jeśliś jest taki, jakim się
wydajesz. Banda łotrzyków, przebranych za lepszych od siebie, porwała
szlachetnego Anglika, zwanego Cedrykiem Saksonem, wraz z jego
wychowanką*

przyjacielem Athelstanem z

Coningsburgha;

przewieziono ich lasami do zamku, zwanego Torquilstone. Pytam się więc ciebie, jako prawego rycerza i dobrego Anglika, czy chcesz dopomóc nam do ich uwolnienia?

— Mój ślub mnie do tego zobowiązuje — rzekł rycerz. — Ale chciałbym wiedzieć, ktoś zacz, że żądasz mej pomocy dla nich.

— Jam człek bezimienny, ale jestem przyjacielem mego kraju i tegoż kraju przyjaciół. Niechaj ci to wystarczy, jako że sam chcesz pozostać nie znany. Wierzaj jednak: możesz na moim słowie polegać, jak gdybym nosił złote ostrogi.

— Iście w to wierzę — odparł rycerz. — Przywykłem badać ludzkie twarze i z twojej wyczytałem godność i odwagę. Nie będę pytał, lecz pomogę ci uwolnić tych nieszczęśliwych jeńców. Po czym, mniemać należy, że rozstaniemy się znając się lepiej i nawzajem z siebie zadowoleni.

— Ano — odezwał się Wamba do Gurta, gdy przebrawszy mnicha i zbliżywszy się do radzących w drugim końcu chaty, usłyszał koniec rozmowy. — Mamy nowego sprzymierzeńca. Miarkuję, że męstwo tego rycerza więcej będzie warte od pobożności pustelnika lub uczciwości leśnego człeka, ten Loeksley patrzy mi bowiem na prawdziwego kłusownika, a mnich na rozpustnego łotra.

— Cichaj, Wamba — odparł Gurt. — Może i tak jest, ale gdyby nawet sam diabeł rogaty chciał mi pomóc w uwolnieniu Cedryka i lady

*Roweny, moja pobożność nie powstrzymałaby mnie od przyjęcia
czartowskiej przysługi.*

*Mnich był już przebrany całkowicie za łuczniaka, z mieczem, tarczą,
łukiem i kołczanem oraz z ciężkim berdyszem na ramieniu. Opuścił
pustelnię na czele małego oddziałku i zamknąwszy starannie drzwi,
wsunął klucz pod próg.*

*— Czyś zdolny do czynu, bracie — zapytał Locksley — czy też jeszcze ci
szumi we łbie?*

*— Zaradzi na to haust wody ze źródła świętego Dunstana — odparł
mnich. — Trochę mi szmerze w głowie i nogi mam niepewne, ale
zobaczycie, wszystko zaraz minie.*

*I podszedłszy do kamiennej miski, do której sphywała woda tworząc
bąble tańczące w białym świetle księżyca, pił tak długo, że zdawało się,
iż wypije całe źródło.*

*— Świętobliwy ojcze, kiedyś ostatni raz wypił tyle wody? — zapytał go
Czarny Rycerz.*

*— Kiedy baryłka z winem przeciekała i cały napój przepadł — odparł
brat. — Nie pozostało mi wówczas nic innego, jako korzystać z
łaskawości mojego patrona.*

*Po czym zanurzywszy ręce i głowę w źródle, obmył z nich ślady nocnej
pijatyki. Odświeżywszy się w ten sposób i wytrzeźwiawszy, wesoly
mnich okręcił trzema palcami dokoła głowy ciężki swój berdysz, jak
gdyby to była trzcinka, i wykrzyknął:*

— Dajcie mi tu tych podstępnych uwodzicieli, co porywają dziewice

wbrew ich woli! Niech mnie diabli wezmą, jeśli dwunastu nie dam rady!

— Nie klnij, świętobliwy mnichu! — zwrócił mu uwagę Czarny Rycerz.

— Nie omniszaj mnie! — wykrzyknął odmieniony zakonnik. — Na

świętego Jerzego i jego smoka, nie jestem już podgolonym mnichem,

bom zrzucił habit. Kiedy mam na sobie zielony kaftan, chcę pić, kłąć i

umizgać się do dziewczuch jak każdy wesoly leśny człek z Zachodniego

Ridingu.

— Cichaj, księżulu — odezwał się Loeksley — cichaj! Tyle robisz hałasu,

co cały klasztor w Wigilię, gdy przeor pójdzie spać. Chodźcie też i wy,

panowie! Musimy zebrać wszystkie nasze siły i wtedy nawet nie będzie

nas za wielu, jeżeli przyjdzie szturmować zamek Reginalda Bawolego

Łba.

— Jak to? To Bawoli Łeb zatrzymał na gościńcu lenników królewskich?

Został tedy rabusiem i ciemieżycielem?

— Ciemieżycielem był zawsze.

— A rabusiem jest, zaręczam, gorszym od wielu znanych mi zbójców —

wtrącił mnich.

— Pośpieszaj, mnichu, i milcz! — rzekł łucznik. — Prowadź nas na

miejsce spotkania, zamiast pleść to, o czym przez przyzwoitość i

ostrożność należałoby zamilczeć.

XXI

O, ileż godzin, ileż lat minęło,

Gdy ludzkie kształty siedziały za stołem

Blaskiem pochodni wywołane z cienia!

Zda się, że słyszę szept minionych czasów,

Co ponad nami szemrze pod powalą

Niby westchnienia starych, dobrych druhów,

Którzy od dawna już drzemią w mogile...

Orra. Tragedia

Podczas gdy gotowano się tak do przyjscia z pomocą Cedrykowi i jego towarzyszom, zbrojni, którzy wzięli ich do niewoli, pośpieszali, by doprowadzić jeńców w bezpieczne miejsce, gdzie zamierzali ich uwięzić.

Ale mrok zapadł wcześniej, a rabusie, jak się zdawało, niezbyt dobrze znali drogę. Kilkakrotnie musieli zatrzymywać się na dłużej, a czasem nawet zawracać. Dopiero o świcie przekonali się, że nie błądzą. Za dnia wróciła im pewność siebie i kawalkada szybko ruszyła naprzód.

Wówczas obaj przywódcy następującą wszczęli rozmowę:

— De Bracy, czas, byś nas opuścił — odezwał się templariusz. — Trza ci ninie odegrać drugą część misterium udając rycerza-zbawcę.

— Postanowiłem postąpić inaczej — odparł de Bracy. — Nie opuszczę was, póki zdobyczy nie ukryjem bezpiecznie w zamku Bawolego Łba.

Wtedy stanę przed lady Roweną we własnej postaci i mniemam, że przypisze mej gwałtownej namiętności porwanie, którego się uznam winnym.

— Co cię zasię tak odmieniło? — zapytał templariusz.

— Nie twoja rzecz — odpowiedział jego towarzysz.

— Tuszę, panie rycerzu — rzekł templariusz — iż ta odmiana nie pochodzi z potwarzy, jaką na mnie rzucił sir Fitzurse.

— *Zwykłem się radzić tylko siebie samego — odparł de Bracy. —*

Prawią, że diabeł się śmieje, kiedy jeden złodziej okrada drugiego. A wiadomo, że gdyby zły ział nawet ogniem i siarką, nie odwiedzie templariusza od jego zamiarów.

— *Nie powstrzymałby też przywódcy wolnej kompanii — odciął się templariusz — od pokrzywdzenia towarzysza i przyjaciela, jako zwykł krzywdzić innych.*

— *Próżny to i ryzykowny zarzut — odrzekł de Bracy. — Wystarczy, gdy powiem, że znam uczciwość zakonu templariuszy i nie dam sobie wydrzeć tej pięknej zdobyczy, dla której się tak narażałem.*

— *Phi! — odparł templariusz. — Czego się lękasz? Nie wieszli, jakimi ślubami jesteśmy związani?*

— *Juści, że wiem, ale wiem także, jak są dotrzymywane — odpowiedział de Bracy. — Ejże, mój templariuszu! W Palestynie prawa rządzące miłością bardzo są swobodne! A w tym wypadku tym bardziej nie spuściłbym się na twoje sumienie.*

— *Dowiedz się zatem prawdy — rzekł templariusz. — Nie stoję o twoją błękitnooką piękność. W tym orszaku jest ktoś, kto mi się więcej podoba.*

— *Co? Czyżbyś się chciał zniżyć do dworki?! — zawołał de Bracy.*

— *Nie, panie rycerzu — odparł wyniośle templariusz. — Tak się nie poniżę. Ale jest wśród niewolnic inna, nie szpetniejsza od twojej wybranki.*

— *Na mszę świętą! Zalibyś sięgał po piękną Żydówkę? — spytał de Bracy.*

— *A jeśli tak jest, to kto mi się sprzeciwi?*

— *Nie znam takiego — odparł de Bracy — ale możeć powstrzymają śluby lub sumienie będzie ci wyrzucało taki związek.*

— *Wielki mistrz zwolnił mnie od ślubu czystości — oświadczył templariusz. — A sumienie człowieka, co zabił trzystu Saracenów, nie jest tak wrażliwe na byle fraszki, jak serce wiejskiego dziewczęcia spowiadającego się w Wielki Piątek.*

— *Sam znasz najlepiej reguły twego zakonu — powiedział de Bracy. — Ale przysiągłbym, że chodzi ci więcej o trzos starego lichwiarza niż o czarne oczy jego córki.*

— *Po równi je podziwiam — odrzekł templariusz — lecz przypadnie mi tylko połowa okupu za starego Żyda. Wypadnie mi się bowiem nim podzielić z Bawolim Łbem, boć przecie nie za darmo udzieli nam schronienia w swym zamku. Ja zaś muszę też coś zyskać na tej grabieży i wybrałem jako zdobycz piękną Żydówkę. A ninie, kiedy już wiesz, co zamierzam, czy powrócisz do swego pierwszego planu?*

Widzisz, że nie potrzebujesz się mnie obawiać.

— *Nie — odparł de Bracy — nie opuszczę mej zdobyczy. To, coś rzekł, patrzy mi na prawdę, ale nie podobają mi się przywileje uzyskane przez dyspensę wielkiego mistrza i zdobyte kosztem zabicia trzystu Saracenów. Masz z tego powodu takie zasługi, że niechybnie przestałeś się liczyć z powszednimi grzechami.*

Podczas tej rozmowy Cedryk usiłował wydobyć od pilnujących go ludzi, kim są i jakie mają zamiary.

— *Możeście i Angliki — mówił — ale dalibóg, obchodźcie się z rodakami*

*jak prawi Normandowie. Pewnieście moi rodacy, a w takim razie i moi
druhowie, bo dlaczego by każdy angielski rodak nie miał być mym
druhem? Powiadam wam, że nawet was, zbójców, otaczałem zawsze
swoją opieką, bo litowałem się nad wami, a przeklinałem waszych
możnych ciemiężycieli. Czego więc chcecie ode mnie? Postępujcie z
nami gorzej niż dzikie bestie i chcecie widać naśladować takż ich brak
mowy?*

*Daremnie Cedryk robił wymówki strażnikom, którzy zbyt ważne mieli
powody do milczenia, by dali się nakłonić gniewem czy narzekaniem do
odpowiedzi. Przynaglali więc tylko jeńców do pośpiechu, aż wreszcie w
głębi gościńca obsadzonego wielkimi drzewami ukazał się zamek
Torguilstone, starożytna siedziba Reginalda Bawolego Łba. Była to
niewielka twierdza, składająca się ze stołpu, czyli czworograniastej
wieży otoczonej niższymi budynkami, które zamykały wewnętrzny
podwórzec. Dokoła zewnętrznego muru ciągnęła się głęboka fosa,
zasilana wodą z pobliskiego strumienia.*

*Zły charakter Bawolego Łba przysporzył mu nieprzyjaciół, musiał więc
umocnić znacznie swój zamek, budując dodatkowo baszty na rogach
zewnętrznego muru. Wejście, jak zwykle w owych czasach, prowadziło
poprzez sklepiony barbakan, czyli przedszańcze bronione przez dwie
małe wieżyczki.*

*Gdy Cedryk ujrzał baszty zamku Bawolego Łba, których szare mury
obrosnięte mchem ukazały się w rannym słońcu ponad lasem*

otaczającym je dokoła, od razu domyślił się, jaki był powód ich nieszczęśliwej przygody.

— Skrzywdziłem — rzekł — złodziei i opryszków z tych lasów, posądzając ich, że ci zbójcy należą do ich band: równie słusznie mógłbym być wziąć lisy z tutejszych zarośli za drapieżne wilki francuskie. Powiedzcie mi, łotry, czy wasz pan dybie na moje życie, czy na majątek? Czy może Normandowie sądzą, że to za wiele, gdy dwóch Saksończyków, ja i szlachetny Athelstan, posiadamy jeszcze ziemię w kraju, który ongiś cały należał do naszych przodków? Niechże więc odbiorą nam życie, by dopełnić miary normandzkiej tyranii, tak jak odebrali nam wolność! Jeśli Cedryk Sakson nie może wybawić Anglii, gotów jest umrzeć dla niej. Powiedzcie temu tyranowi, a waszemu panu, że go proszę tylko, by uszanował lady Rowenę i zapewnił jej bezpieczeństwo. To kobieta i niczego nie powinien się z jej strony obawiać, a wraz z nami zginą wszyscy ci, co walczyliby w jej sprawie. Na te przemowę strażnicy odpowiedzieli takim samym jak poprzednio milczeniem. Tymczasem orszak zatrzymał się przed bramą zamku; de Bracy trzykrotnie zadął, w róg, a łucznicy i procarze, którzy obsadzili mury, na widok zbliżających się jezdnych śpiesznie opuścili zwodzony most i wpuścili ich do środka. Jeńcom kazano zsiąść z koni; zaprowadzono ich do izby, gdzie podano im naprędce posiłek, którego nikt prócz Athelstana nie miał ochoty skosztować. Potomek króla Edwarda Wyznawcy niewiele miał jednak czasu, by cieszyć się smacznym jadłem, jakie im podano, gdyż straż oznajmiła, że nie będą

więzieni razem z lady Roweną. Na nic się nie zdał opór; zmuszeni byli udać się do wielkiej sali, wspartej na ciężkich, saksońskich filarach, która przypominała refektarze i kapituły, jakie można do dziś oglądać w najstarszych częściach naszych klasztorów.

Lady Rowenę odłączono od jej świty i zaprowadzono, uprzejmie wprawdzie, ale nie pytając jej o zdanie, do odległych komnat. Z takimi samymi budzącymi niepokój względami postąpiono z Rebeką, wbrew prośbom Izaaka, który nawet w swym strapieniu ofiarowywał od razu pieniądze, byleby pozwolono mu pozostać z córką.

— Niewierny łotrze — odpowiedział mu na to jeden ze strażników — kiej obaczysz swoją norę, nie będziesz chciał, by córka dzieliła ją z tobą.

I nie słuchając dłużej starego Żyda, powlekli go w inną stronę niż resztę jeńców. Sługi starannie obejrzano i rozbrojono, po czym umieszczono w innej części twierdzy, a Rowenie odmówiono nawet pociechy towarzystwa jej dworki, Elgity.

Zajmiemy się najprzód saksońskimi wodzami; zamknięto ich w izbie będącej obecnie więzieniem, a która dawniej stanowiła główną salę zamkową. Służyła teraz innym, gorszym celom, obecny pan bowiem, przebudowując swą baronowską siedzibę, zarówno dla wygody, jak i dla obrony i upiększenia, dobudował nową, wspaniałą salę, której sklepienie podtrzymywały lekkie i wykwintne filary, ozdobione pięknymi ornamentami, jakie Normandowie wprowadzili do architektury.

Cedryk przechadzał się po sali pogrążony w gniewnych rozmyślaniach

o przeszłości i terażniejszości, gdy tymczasem jego towarzyszowi nie tyle może cierpliwość i stoicyzm, ile obojętność pozwalała nie przejmować się niczym, prócz bieżących niewygód.

Nagle drzwi więzienia otworzyły się i wszedł krajczy trzymając w ręku białą laskę, oznakę swej godności. Ta dostojna osobistość wkroczyła poważnie do sali, a za nim czterech pacholków niosących stół zastawiony potrawami; widok i zapach jadła natychmiast przysłonił Athelstanowi wspomnienie wszystkich przykrości, jakich doświadczył. Służba usługująca przy biesiadzie miała na twarzach maski i okryta była płaszczami.

— Cóż to za maskarada? — zapytał Cedryk. — Zali sądzicie, że nie wiemy, kto nas więzi, gdy jesteśmy w zamku waszego pana? Powiedzcie mu — ciągnął dalej, chcąc wykorzystać tę sposobność, by wszcząć rokowania o zwolnienie — powiedzcie swemu panu, Reginaldowi Bawolemu Łbu, że nie rozumiemy, dlaczego nas więzi, chyba dla bezprawnej chęci wzbogacenia się naszym kosztem. Powiedzcie mu, że musimy ustąpić przed jego chciwością, jak ustąpilibyśmy w podobnych okolicznościach przed żądaniem zwykłego rozbójnika. Niech powie, ile żąda okupu za naszą wolność, a zostanie mu on wypłacony, jeśli nie będzie przekraczał naszych możliwości.

Krajczy nic nie odpowiedział, skłonił tylko głowę.

— Powiedz też Reginaldowi Bawolemu Łbu — dodał Athelstan — że wyzywam go na śmiertelny bój, pieszo lub konno, w miejscu wybranym przez niego, w osiem dni po naszym uwolnieniu, a jeśli jest prawym

rycerzem, to stanie mi i nie uchyli się od przyjęcia wyzwania.

— Powtórzę baronowi wasze słowa, panie — odparł krajczy. — Ale teraz pożywajcie.

Wyzwanie Athelstana nie wypadło zbyt zręcznie, gdyż usta miał pełne jadła i poruszał szczękami, co nie ułatwiało mu wymowy, którą i tak z natury miał trudną; uczyniło to jego słowa znacznie mniej groźnymi, niżby pragnął. Cedryk jednak uznał przemowę swego towarzysza za dowód budzącego się w nim bojowego ducha, bowiem poprzednia jego obojętność, mimo szacunku Saksończyka dla dostojnego pochodzenia Athelstana, zaczynała go już niecierpliwić. Ścisnął mu więc prawicę, chcąc wyrazić uznanie, lecz ostygł nieco, gdy Athelstan dodał, iż gotów byłby stanąć do walki z tuzinem takich rycerzy jak Bawoli Łeb, gdyby to miało przyspieszyć jego uwolnienie z więzienia, gdzie dodają tyle czosnku do zupy.

Mimo stwierdzenia, że Athelstan znów grzęźnie w łakomstwo, Cedryk zasiadł naprzeciw niego i wkrótce dowiódł, że jeśli nieszczęścia kraju mogły w nim stłumić wszelką myśl o jadłe, póki stół był nie nakryty, to teraz, gdy potrawy się na nim ukazały, zaraz wrócił mu apetyt odziedziczony po saksońskich przodkach wraz z innymi ich cnotami.

Niedługo jednak więźniowie mogli się posilać, gdyż wkrótce uwagę ich oderwał od tego poważnego zajęcia głos rogu odzywającego się spod bramy. Zabrzmiał on trzykrotnie i tak donośnie, jak gdyby przed zaklętym zamkiem zatrąbił zaczarowany rycerz, a na ten odgłos komnaty i wieże, barbakan i blanki miały się rozwiać jak mgła

poranna. Obaj Saksończycy zerwali się i pośpieszyli do okna. Lecz nie mogli zaspokoić swej ciekawości, gdyż wychodziło ono na podwórze zamkowe, a dźwięk rogu dochodził spoza murów. Niemniej głos ten musiał mieć nie lada znaczenie, gdyż natychmiast wywołał w twierdzy wielki popłoch.

XXII

O moja córko! Dukaty — o córko!

O chrześcijańskie dukaty!

Prawo! Sędziowie! Dukaty — o córko!

W. SZEKSPIR: Kupiec wenecki

Pozostawmy saksońskich wodzów, którzy nie mogąc zadowolić ciekawości, zabrali się z powrotem do zaspokajania swego na pół tylko nasyconego apetytu, i zajrzyjmy do znacznie gorszego więzienia Izaaka z Yorku. Biedny Żyd został pośpiesznie wtrącony do sklepionego lochu położonego głęboko pod powierzchnią ziemi, poniżej fosy, co było powodem wielkiej wilgotności podziemia. Światło dochodziło tu jedynie przez parę strzelnic umieszczonych wyżej, niż mogło dosięgnąć ramię więźnia. Otwory te nawet w południe przepuszczały tylko odrobinę zamglonego i niepewnego światła, które zamieniało się w głębokie ciemności daleko wcześniej, nim mrok okrył resztę zamku. Łańcuchy i kajdany, pozostałe po poprzednich więźniach, co do których istniała obawa, że będą usiłovali uciec, wisiały zardzewiałe i puste, przytwierdzone do ścian lochu; w jednych okowach widniały jeszcze dwie zmurszałe kości, rzekłbyś — pozostałości z ludzkiej nogi, jak gdyby

więzień nie tylko tu zmarł, lecz nawet zgnił. W jednym końcu tego okropnego lochu wznosił się duży komin, nad którym tkwiło kilka poziomych, żelaznych sztab, na wpół zżartych przez rdzę.

Wygląd tej izby mógł zatrwożyć mężniejszego człowieka niż Izaak, który jednak w obliczu bezpośrednio grożącego niebezpieczeństwa więcej okazywał spokoju, niż kiedy obawiał się rzeczy dalekich i nieokreślonych. Zamiłowani myśliwi zapewniają, że zając przeżywa gorsze obawy podczas pogoni chartów, niż kiedy szamocze się już w ich zębach.

Zapewne Żydzi, żyjąc w ciągłej bojaźni, byli przygotowani na wszelkie okrutne pomysły, jakie prześladowcy zdołaliby względem nich zastosować, tak że żaden gwałt nie mógł ich już zaskoczyć, a zaskoczenie bardziej od strachu pozbawia duszę hartu. Nie pierwszy też raz Izaak znalazł się w takim niebezpieczeństwie. Mógł się więc opierać na doświadczeniu i spodziewać się, że znów jak poprzednio uda mu się wymknąć niczym zdobyczy z sidła ptasznika. Ale nade wszystko posiadał nieugięty upór swego narodu i niezachwianą wytrzymałość, z jaką Żydzi opierają się przemocy i gwałtom, nie ustępując przed żądaniami swych ciemiężycieli.

Zdecydowawszy się na taki bierny opór, Izaak podgarnął pod siebie swe szaty, by ochronić się przed wilgocią podłogi, usiadł w kącie lochu i złożył ręce. Ze swymi potarganymi włosami i brodą, w opończy futrem podbitej i wysokiej czapce, mógłby w tym niepewnym i zmiennym oświetleniu być świetnym modelem dla Rembrandta, gdyby ten sławny

malarz żył już w owych czasach. I tak Żyd przesiedział bez ruchu blisko trzy godziny; po upływie tego czasu na schodach rozległy się kroki.

Odsuwany rygiel zazgrzytał, skrzypnęły zawiasy i do więzienia wszedł Reginald Bawoli Łeb, a za nim dwóch saraceńskich niewolników templariusza.

Bawoli Łeb, wysoki i barczysty, spędził życie na wojnach, prywatnych najazdach i zatargach, nie wahając się nigdy w wyborze środków, gdy chodziło o rozszerzenie jego feudalnej władzy. Rysy wielmoży

odpowiadały dzikiemu charakterowi i wyrażały okrucieństwo oraz złe skłonności tej posępnej duszy. Blizny na twarzy rycerza budziłyby współczucie i poważanie należne chwalebnej zastudze, lecz rysom Bawolego Łeba dodawały tylko okrucieństwa i budziły przerażenie.

Groźny ten baron odziany był w skórzany kaftan, bardzo obcisły i wytarty od zbroi. Nie miał innej broni prócz mizerykordii u pasa, przy którym po prawej stronie wisiał także pęk kluczy.

Czarni niewolnicy towarzyszący Bawolemu Łebu nie nosili świetnych wschodnich strojów: przyodziani byli w kaftany i spodnie z grubego płótna, a rękawy mieli zakasane po łokcie jak rzeźnicy zabierający się do roboty; każdy z nich niósł zakryty koszyk. Wszedłszy do lochu stanęli przy drzwiach, póki Bawoli Łeb nie zamknął starannie drzwi na dwa spusty. Po zastosowaniu tego środka ostrożności rycerz powoli posunął się w stronę Żyda, utkwivszy w nim wzrok, jak gdyby go chciał obezwładnić spojrzeniem. Tak podobno postępują niektóre drapieżne zwierzęta wobec swej ofiary. Zdawało się istotnie, że posępny i złośliwy

wzrok Bawolego Łba posiada nieco tej władzy nad nieszczęsnym więźniem. Żyd siedział z otwartymi ustami, z oczami utkwionymi w okrutnego barona, pogrążony w takiej trwodze, że zdawał się dosłownie kurczyć i maleć pod wpatrzonymi w niego złowrogimi oczami Normanda. Nieszczęsny Izaak nie tylko nie mógł powstać, by ukłonić się, jak mu nakazywał strach, ale nie mógł nawet zdjąć czapki czy wymówić choćby jednego błagalnego słowa, tak głęboko był przekonany, że grożą mu tortury i śmierć.

Potężna postać Normanda zdawała się natomiast rozrastać jak orzeł, który stroszy pióra, gdy ma się rzucić na bezbronną zdobycz. Zatrzymał się o trzy kroki od kąta, w którym nieszczęsny Żyd skulił się, by zająć jak najmniej miejsca, i skinął na jednego z niewolników, by się zbliżył. Czarny sługa postąpił naprzód i z kosza wyjął szalki i parę ciężarków, które złożył u stóp Bawolego Łba, po czym cofnął się z uszanowaniem do miejsca, gdzie stał jego towarzysz.

Ruchy tych ludzi były powolne i uroczyste, jak gdyby na ich duszach ciążyła świadomość mającej nastąpić okropnej i okrutnej sceny.

Wreszcie Bawoli Łeb zapoczątkował ją, zwracając się do nieszczęsnego swego więźnia.

— Psie przeklęty z przeklętego narodu — rzekł budząc swym ponurym głosem posępne echo w sklepionym lochu — czy widzisz tę wagę?

Nieszczęśliwy Żyd przytaknął słabym głosem.

— Na tej wadze musisz mi odważyć — rzekł nieubłagany baron — tysiąc funtów srebra wedle wagi i próby Londyńskiej Twierdzy.

— *Błogosławiony Abrahamie!* — *odparł Żyd odzyskując głos w obliczu niebezpieczeństwa.* — *Czy ktoś słyszał kiedy coś podobnego? Czy kto słyszał nawet w pieśni minstrela o takiej sumie! Czyje oczy oglądały taki skarb? Gdybyś w murach Yorku przetrząsnął mój dom i domy całego mojego plemienia, nie znajdziesz nawet dziesiątej części tego srebra, o jakim wspomniałeś.*

— *Jestem rozsądny* — *odrzekł Bawoli Łeb.* — *Jeśli brak ci srebra, nie odrzucę złota. Jedna grzywna złota w zamian za sześć funtów srebra, a ocalisz twoje nędzne ciało od tortur, jakich sobie nawet nie możesz wyobrazić.*

— *Miej litość nade mną, dobry rycerzu!* — *zawołał Izaak.* — *Jestem stary, biedny i bezbronny. Niegodną byłoby rzeczą znęcać się nade mną. Rozdeptać marnego robaka nie jest uczynkiem chwalebnym.*

— *Juści, żeś stary* — *odparł rycerz* — *ale hańba to, że ci pozwolono osiwieć, gdy parasz się lichwą i łotrostwem. Juści, żeś bezbronny, bo kto kiedy słyszał, by Żyd był odważny i dzielnie władał orężem? Ale wiadomo też, żeś bogaty.*

— *Przysięgam ci, dobry rycerzu* — *rzekł Izaak* — *na wszystko, w co wierzę, na wszystko, w co obaj wierzymy...*

— *Nie przysięgaj krzywo* — *przerwał mu Normand* — *i niech twój upór nie przesądzi o twym losie, zanim nie rozważysz, co cię czeka. Nie myśl, że mówię to tylko, by cię nastraszyć i wykorzystać podle tchórzostwo wrodzone całemu twemu narodowi. Przysięgam na to, w co ty nie wierzysz, na Ewangelię, której naucza nasz Kościół, na moc*

związkiwania i rozwiązywania, którą otrzymał, na powierzone mu klucze niebios, że powziąłem niezachwiane postanowienie i wykonam je. W tym lochu żartować nie można. Więźniowie dziesięciokrotnie godniejsi od ciebie zginęli w tych murach i nikt się nigdy o ich losie nie dowiedział! Zasię śmierć ich była rozkoszą w porównaniu z powolnym i długim konaniem, jakie ciebie czeka.

Znów skinął na niewolników, by się przybliżyli, i porozmawiał z nimi na osobności w ich języku, gdyż i on bywał w Palestynie, gdzie, być może, nauczył się też i okrucieństwa. Saraceni wyjęli ze swych koszyków węgle, mieszek i butelkę oliwy. Podczas gdy jeden z nich skrzesał ognia krzesiwem, drugi ułożył węgle w wielkim, zardzewiałym palenisku i z pomocą mieszka rozżarzył do czerwoności paliwo.

— Czy widzisz, Izaaku — rzekł Bawoli Łeb — te żelazne sztaby nad rozpalonymi węglami? Spocziesz na tym rozgrzanym łożu obnażony z szat, jakbyś miał się ułożyć na puchowym pościeliu. Jeden z niewolników będzie podsyczał ogień pod tobą, gdy tymczasem drugi namaści twoje podłe ciało oliwą, aby się pieczeń nie przypaliła. A teraz wybieraj między takim ognistym łożem a okupem tysiąca funtów srebra, gdyż, na głowę mego ojca, nie masz innego wyboru.

— Nie może to być! — wykrzyknął nieszczęsny Żyd. — Nie może to być, byś miał naprawdę taki zamiar! Dobry Bóg nie mógł stworzyć serca zdolnego do takiego okrucieństwa!

— Nie wierz w to, Izaaku — odparł Bawoli Łeb. — Popęłniłbyś fatalną omyłkę. Przecz sądzisz, że mnie, którym widział zdobyte miasta, gdzie

tysiące chrześcijan, mych rodaków, ginęło od miecza, od wody i od ognia, miałyby od dokonania mego zamiaru powstrzymać krzyki i jęki jednego nędznego Żyda? Przecz możesz się spodziewać litości po tych czarnych niewolnikach, którzy nie znają innych praw, nie mają innej ojczyzny ani sumienia prócz woli swego pana i za najmniejszym jego skinieniem gotowi są posłużyć się trucizną, stosem, sztyletem lub sznurem? Przecz sądzisz, że się ulitują, gdy nie znają nawet języka, w którym będziesz ich prosił o litość? Starcze, bądź rozsądny: pozbądź się części twych zbędnych bogactw, oddaj w ręce chrześcijańskie choć część tego, coś wycisnął lichwą od innych chrześcijan. Wkrótce znów twoja przebiegłość wypełni ci trzos, gdy tymczasem ani znachor, ani lekarz nie wykurują twej spalonej skóry i ciała, kiedy raz legniesz na tych sztabach. Złóż okup, powtarzam, i ciesz się, że możesz tanim kosztem wydostać się z lochu; niewielu z niego wyszło, by opowiedzieć jego tajemnice. Nie będę dłużej na darmo tracił czasu. Wybieraj, co ci miłsze: twe skarby czy twoje ciało i krew, a jak wybierzesz, tak się stanie.

— Niech więc mnie ratuje Abraham, Jakub i wszyscy patriarchowie — rzekł Izaak. — Nie mogę wybierać, nie mam bowiem sposobu zaspokojenia twych nadmiernych żądań.

— Niewolnicy, bierzcie go więc i rozbierajcie — rozkazał rycerz — i niech jego patriarchowie go ratują, jeśli zdołają.

Słudzy, kierując się raczej spojrzeniem oczu i ruchem ręki barona niżli jego słowami, znów postąpili naprzód, schwycili nieszczęsnego Żyda, podnieśli go z ziemi i przytrzymując go między sobą, czekali na dalsze

skinienie okrutnika. Nieszczęsny Żyd śledził ich zachowanie i zachowanie Bawolego Łba w nadziei, że zauważy jakieś oznaki litości; lecz na twarzy rycerza przewijał się wciąż chłodny, na poły posępny, na poły drwiący uśmiech, który był odbiciem jego okrucieństwa, a Saraceni spod czarnych brwi toczyli złowrogo swymi dzikimi oczami, którym sroższy jeszcze wyraz nadawały białka otaczające ciemne źrenice. Oczy te wyrażały raczej skrytą radość z powodu oczekiwanej sceny niżli niechęć do brania w niej udziału.

— Zapłacę te tysiąc funtów srebra! — zawołał Żyd. — To jest — dodał po chwili — zapłacę je przy pomocy mych braci, będę bowiem zmuszony żebrać u drzwi synagogi, zanim zbiorę tak ogromną sumę. Kiedy i gdzie mam ją złożyć?

— Tutaj — odparł Bawoli Łeb. — Tu musi być złożona, przeważona i obliczona na tej oto podłodze lochu. Czy myślisz, że cię uwolnię, zanim otrzymam okup?

— A któż mi zaręczy — zapytał Żyd — iż odzyskam wolność, gdy wpłacę okup?

— Słowo normandzkiego szlachcica, podły lichwiarzu — powiedział rycerz — jest więcej warte od złota i srebra, jakie ty i całe twoje plemię posiadacie razem.

— Pokornie błagam o przebaczenie, szlachetny rycerzu — wtrącił Żyd nieśmiało — ale dlaczego mam wierzyć słowu człowieka, który nie chce zawierzyć memu słowu?

— Nic na to nie poradzisz, Żydzie — rzekł posępnie rycerz. — Gdybyś był

*w swoim skarbcu w Yorku, a ja prosiłbym cię o pożyczenie pewnej sumy
szekeli, wtedy ty ustaliłbyś termin oddania pożyczki i naznaczyłbyś
zastaw. Ale tu jest mój skarbiec. Tu mam cię w ręku i nie będę
powtarzał warunków, na jakich możesz odzyskać wolność.*

Żyd jęknął boleśnie i rzekł:

— To przynajmniej zwolnij razem ze mną mych towarzyszy podróży.

*Gardzili mną jako Żydem, ale ulitowali się nade mną, a gdy mi
pomagali, moja bieda spadła częściowo i na nich. Poza tym może by się
przyczynili do zapłacenia okupu.*

*— Jeśli masz na myśli tych saksońskich chamów — odezwał się rycerz —
to wyznaczmy im okup na innych warunkach. Patrzaj swego, Żydzie, i
nie mieszaj się do cudzych spraw.*

*— Mam więc odzyskać wolność — spytał Żyd — tylko wraz z moim
rannym przyjacielem?*

*— Czyż mam powtarzać synowi Izraela — zawołał Bawoli Łeb — żeby
swojej patrzył sprawy i nie mieszał się do cudzych?! Gdyś już wybrał,
pozostaje ci tylko wpłacić okup, i to jak najspieszniej.*

*— Posłuchaj mnie jednak, panie — rzekł Żyd — i to w imię owego srebra,
które chcesz zdobyć kosztem twego własnego... — tu zatrzymał się w
strachu, iż rozgniewa porywczego Normanda, lecz Bawoli Łeb
roześmiał się tylko i sam dopowiedział słowa, które Żyd obawiał się
wymówić:*

— Kosztem mego własnego sumienia, chciałeś powiedzieć, Izaaku?

Gadaj śmiało, mówiłem ci już, że jestem cierpliwy. Zniosę wyrzuty

pokonanego, nawet gdy jest nim Żyd. Nie byłeś taki cierpliwy, Izaaku, gdy zapozwalesz przed sąd Jakuba Fitzdotterela za nazwanie cię lichwiarską pijawką, kiedy twoje zdzierstwo pozbawiło go ojcowizny.

— Przysięgam na Talmud — odparł Żyd — że w tej sprawie oczerniono mnie przed waszą dostojnością. Fitzdotterel groził mi w mojej własnej komnacie sztyletem, bo upomniałem się u niego o moją należność. Termin jej minął jeszcze na Paschę. — Nie obchodzi mnie, co on zrobił — rzekł Bawoli Łeb. — Pytam teraz, kiedy ty mi zapłacisz. Kiedy, Izaaku, dostanę szekele?

— Wyślij tylko moją córkę, Rebekę, do Yorku z glejtem, szlachetny rycerzu, a po upływie czasu potrzebnego, by człowiek i koń mógł powrócić, skarb... — tu Żyd jęknął boleśnie i po paru chwilach milczenia dodał: — zostanie tu, na tej podłodze odliczony.

— Twoją córkę? — zawołał rycerz udając zdziwienie. — Dalibóg, Izaaku, szkoda, że o tym nie wiedział. Sądziłem, że ta czarnobrewa jest twoją nałożnicą, i darowałem ją jako służkę Brianowi de Bois-Guilbert idąc za przykładem twoich patriarchów i bohaterów z zamierzchłych czasów. Na tę bezlitosną wieść Żyd zawył przeraźliwie, aż głos odbił się echem od sklepienia lochu i zdumiał do tego stopnia saraceńskich niewolników, że puścili swoją ofiarę. Izaak skorzystał z tego, by rzucić się na ziemię i objąć za kolana rycerza.

— Weź wszystko, co chciałeś! — zawołał. — Weź dziesięć razy więcej! Jeśli mało tego, zasztyletuj mnie, usmaż mnie na tym kominie, ale oszczędź moją córkę, oddaj ją zdrową i nieskalaną! Pomnij, żeś

zrodzony z niewiasty, oszczędź więc niewinną dziewczynę. Ona jest obrazem mej zmarłej Racheli — ostatnią z sześciu darów jej miłości.

Chceszże pozbawić osieroconego wdowca ostatniej jego pociechy?

Chceszże, by ojciec pragnął, żeby jego jedyne żyjące dziecko spoczęło obok zmarłej matki w grobie naszych przodków?

— Szkoda — rzekł Normand jakby zdjęty po trosze litością — żem tego przody nie wiedział. Myślałem, że wasz naród kocha tylko swój trzos.

— Nie sądz tak źle o nas, Żydach — wtrącił Izaak chcąc wykorzystać ten moment wyraźnego współczucia. — Ścigany lis, dręczony żbik kochają swe małe; wydrwiony i prześladowany ród Abrahama kocha swoje dzieci.

— Może tak i jest — rzekł rycerz. — Na przyszłość będę w to wierzył przez wzgląd na ciebie, Izaaku. Ale na nic się to teraz nie zda; co się stało, już się nie odstanie: dałem słowo towarzyszowi broni i nie złamię go nawet dla dziesięciu Żydów czy Żydówek. Zresztą, dlaczego przypuszczasz, że coś złego spotka dziewczynę w rękach Bois-Guilberta?

— Jak to! — zawołał Izaak łamiąc ręce. — Wiadomo, że templariusze okrutni są dla mężczyzn i dybią na cześć kobiet!

— Psie niewierny! — krzyknął Bawoli Łeb z błyszczącymi oczami, rad może, że znalazł pretekst, by wpaść w złość. — Nie bluźnij przeciwko świętemu zakonowi Syjońskiej Świątyni, lecz myśl, w jaki sposób wypłacisz mi obiecany okup. Inaczej biada ci!

— Zbójco i łotrze! — zawołał Żyd obrzucając rycerza nawzajem obelgami, przejęty teraz gniewem, którego nie mógł opanować. — Nic ci

nie dam, ani grosza ci nie zapłacę, dopóki nie oddasz mi córki!

— Czyś ty oszalał, Izraelito? — odparł posepnie Normand. — Czyżbyś posiadał czary, które ocalą twoją skórę i ciało od rozpalonego żelaza i wrzącego oleju?

— Nie dbam o to! — wykrzyknął Żyd doprowadzony do ostateczności ciosem zadany jego ojcowskiej miłości. — Rób, co chcesz. Moja córka jest także mym ciałem i moją krwią, tysiącrotnie mi droższą od mego własnego ciała, któremu grozisz swym okrucieństwem. Nie dam ci srebra, chyba że ci je wleję stopione w twoją chciwą gardziel! Nie, nie dam ci ani grosza, Nazarejczyku, choćbym cię miał tym wybawić od wiecznego potępienia, na które całym swoim życiem zasłużyłeś! Pozbaw mnie życia, jeśli chcesz, a dowiesz się, jak torturowany Żyd umie sprawić zawód chrześcijaninowi.

— Zobaczmy — rzekł rycerz — gdyż klnę się na święte drzewo krzyża, którym się brzydzi twój przeklęty naród, że poczujesz smak ognia i żelaza! Niewolnicy, rozbierzcie go i przy wiążcie łańcuchami do sztab! Pomimo słabego oporu starca Saraceni zdarli z niego wierzchnie szaty i już mieli go dalej rozdziewać, gdy nagle pod murami twierdzy zabrzmiał trzykrotny dźwięk rogu, który przeniknął aż do lochu, a zaraz potem rozległo się wołanie wzywające sir Reginalda. Okrutny baron, nie chcąc, aby go zastano przy takim piekielnym zajęciu, dał znak niewolnikom, by z powrotem przydzielili Izaaka. Po czym opuścił więzienie pozostawiając w nim Żyda, który w zależności od tego, czy przeważały w nim samolubne uczucia, czy ojcowska miłość, na

przemian dziękował Bogu za ocalenie lub oplakiwał niewolę i

przypuszczalny los swej córki.

XXIII

Jeśli szlachetny dźwięk najczulszych słów

Nie zdoła duszy natchnąć łaskawością,

Będę w zalotach jak żołnierz — i miłość

Przeciw naturze narzucę ci gwałtem.

W. SZEKSPIR: Dwaj panowie z Werony

Komnatę, do której wprowadzono lady Rowenę, usiłowano z

prostackim smakiem jak najwspanialej przyozdobić. Pomieszczenie jej

tutaj należało traktować za szczególną oznakę uszanowania, którego

inni więźniowie nie dostąpili. Lecz żona Bawolego Łba, dla której

komnata ta kiedyś została urządzona, dawno już nie żyła, znać więc

było ślady zniszczenia i zaniedbania na skąpych ozdobach, jakimi ją

upiększono. Obicia w niejednym miejscu zwisały oderwane od ścian, w

innych zbrudziły się i wypłwiałały od słońca lub z czasem podarły się i

zniszczyły. Choć izba ta w tak smutnym była stanie, niemniej osądzono,

że była najstosowniejszym pomieszczeniem dla dziedziczki saksońskiego

tronu. Pozostawiono Rowenę samą i mogła rozmyślać nad swym losem,

dopóki aktorzy niegodziwego dramatu nie podzielili między siebie ról,

jakie mieli w nim odgrywać. Zostało to postanowione na naradzie, w

której brali udział Bawoli Łeb, de Bracy i templariusz. Po długich i

gorących sporach dotyczących korzyści, jakie każdy z nich chciał

wyciągnąć z tego śmiałego przedsięwzięcia, rozstrzygnęły się wreszcie

losy nieszczęsnych więźniów, toteż dopiero około południa de Bracy, dla którego początkowo zaplanowano tę wyprawę, postanowił doprowadzić do skutku swe zamiary zdobycia ręki i posiadłości lady Roweny.

Jednak całego tego czasu nie poświęcono wyłącznie naradzie sprzymierzeńców — część jego de Bracy zużył na przystrojenie się wedle ówczesnej przesadnej mody. Zrzucił zielony kaftan i maskę. Jego długie, bujne włosy, utrefione w kędziory, spływały na płaszc podbity kosztownym futrem. Brodę miał ogoloną, kaftan sięgał mu do połowy łydek, a przepasał się pasem haftowanym i nabijanym złotem, przy którym wisiał ciężki miecz. Wspomnieliśmy już o ówczesnej modzie dziwacznych trzewików, lecz nikt zapewne nie nosił tak niezwykle modnego obuwia jak Maurycy de Bracy: ciżmy jego miały nosy zadarte i kręcone jak rogi baranie. Taki był strój eleganta z owych czasów; w tym wypadku podnosiła go dorodna postać i wykwintne obejście do Bracy'ego, którego zachowanie miało wdzięk dworaka połączony z żołnierską prostotą.

Pokłonił się Rowenie zdjawszy aksamitną czapkę ozdobioną złotą zapinką przedstawiającą świętego Michała walczącego z księciem

ciemności. Uprzejmym gestem zaprosił damę, by usiadła, a gdy stała nadal, zdjął rękawicę z prawej ręki i ruszył, by ją podprowadzić do stołka. Lecz ona potrząsnęła głową, odrzucając wypowiedzianą przez niego w tym względzie prośbę, i rzekła:

— Jeśli, panie rycerzu, jestem w przytomności mojego dozorca więziennego, co potwierdzają okoliczności, nie przystoi mi siadać, dopóki nie dowiem się o mym przeznaczeniu.

— Niestety, piękna pani — odparł de Bracy — jesteś w obecności jeńca, nie dozorca, i twoje piękne oczy muszą wydać na de Bracy'ego wyrok, którego ty od niego oczekujesz.

— Nie znam cię, panie — rzekła lady Rowena podnosząc piękną głowę z dumą obrażonej godności. — Nie znam cię, a zuchwała poufalość, z jaką w gwarze trubadurów zwracasz się do mnie, nie tłumaczy cię ze zbójeckiego napadu.

— Ciebie to, piękna pani — odparł de Bracy poprzednim tonem — i twoje wdzięki należy oskarżać, że do ciebie, którą obrałem za panią mego serca i gwiazdę przewodnią, nie odniosłem się z należnym szacunkiem.

— Powtarzam ci, panie rycerzu, że cię nie znam i że nikt, kto nosi łańcuch i złote ostrogi, nie powinien narzucać się bezbronnej niewieście.

— Nieszczęściem jest moim, że mnie nie znasz! Mniemać mi jednak wolno, że imię de Bracy'ego nieraz bywało sławione przez minstrelów i heroldów za rycerskie czyny bądź w szrankach, bądź na polu bitwy.

— Pozostaw, panie rycerzu, heroldom i minstrelom opiewanie twej

chwaly. Im bardziej to przystoi niżli tobie. Lecz powiedz mi, który z nich opiewać będzie w pieśni lub w księdze turniejów pamiętne twe zwycięstwo nad starcem i towarzyszącymi mu kilkoma nieśmiały mi ciurami oraz nad twą branką, nieszczęsną białką uprowadzoną wbrew woli do zamku rozbójnika?

— Jesteś, lady Roweno, niesprawiedliwa — odparł nieco stropiony rycerz przygryzając wargi i mówiąc już teraz zwykłym głosem, a nie tonem sztucznej galanterii, jaki przybrał z początku. — Jesteś sama wolna od namiętności i dlatego nie uznajesz wymówek cudzego uczucia, jakie wzbudziła twoja piękność.

— Proszę cię, panie rycerzu — rzekła Rowena — przestań mówić językiem używanym przez wędrownych minstrelów, bo to nie przystoi rycerzowi i szlachcicowi. Zmuszasz mnie, abym usiadła słuchając tych pospolitych słów, jakich wędrowni lutniści mają tak niewyczerpany zapas, że mogliby pleść aż do przyszłych Godów.

— Dumna białko — zawołał de Bracy, urażony, że jego zaloty spotkały się tylko z pogardą — trafiłaś na równie dumnego! Dowiedz się tedy, że chciałem zdobyć twą rękę w sposób najlepiej ci odpowiadający. Lecz widzę, że raczej należy cię zdobywać z mieczem w ręku niż słodkimi słówkami i dwornością.

— Dworność — odparła Rowena — gdy służy za przykrywkę podłym postępkiem, jest jak pas rycerski na nędznym chłopie.

Nie dziwię się, że takie udawanie jest ci niemiłe: zaszczytniej byłoby dla ciebie zachować ubiór i mowę rozbójnika niżli ukrywać jego czyny pod

wyszukanymi słowami i manierami.

— Dobrze mi radzisz, pani — rzekł Normand — i śmiałą mową, która najlepiej tłumaczy śmiałe uczynki, powiem ci, że nie opuścisz tego zamku, póki nie zostaniesz małżonką Maurycego de Bracy. Nie nawykłem do sprzeciwu, a normandzki szlachcic nie potrzebuje się tłumaczyć ze swego postępowania przed Saksonką, którą zaszczycił ofiarowując jej małżeństwo. Dumna jesteś, Roweno, a więc tym godniejsza, aby zostać moją żoną. Jakimże sposobem mogłabyś się wznieść na książęcy tron, jeśli nie przez małżeństwo ze mną? Jakimże innym sposobem mogłabyś się wydostać z tej wiejskiej chałupy, gdzie Saksończycy gnieźdzą się razem ze świniami stanowiącymi ich jedyne bogactwo, by zająć odpowiednie miejsce i być wyróżniona, jak na to zasługujesz, spośród tych, które w Anglii słyną z piękności lub potęgi?

— Panie rycerzu — odpowiedziała Rowena — pogardzana przez ciebie chałupa była moim domem od urodzenia; wierzaj mi, że gdy ją opuszczę — jeśli ten dzień kiedykolwiek przyjdzie — to tylko z człowiekiem, który wie, że nie wolno pogardzać ani moją siedzibą, ani obyczajami, wśród których się wychowałam.

— Rozumiem cię, pani — rzekł de Bracy — choć może myślisz, że się zbyt niejasno wyraziłaś, abym cię mógł pojąć. Ale porzuć marzenia o powrocie na tron Ryszarda Lwie Serce, a tym mniej, by jego ulubieniec, Wilfryd Ivanhoe, poprowadził cię do stóp jego tronu, gdzie byłabyś powitana jako małżonka królewskiego faworyta. Kto inny na tę myśl mógłby doświadczać uczucia zazdrości, ale moim mocnym

postanowieniem nie zachwieje takie dziecinne i beznadziejne uczucie.

Wiedz, pani, że ten rywal jest w mojej mocy i ode mnie zależy, czy zdradzę jego obecność w zamku Bawolemu Łbu, którego zazdrość jest bardziej niebezpieczna od mojej.

— Wilfryd miałby być tutaj? — rzekła wyniośle Rowena. — Taka to prawda, jak że Bawoli Łeb mógłby być jego rywalem.

De Bracy przez chwilę spoglądał na nią uważnie.

— Czyżbyś istotnie nie wiedziała o tym? — zapytał. — Czyś nie wiedziała, że to rannego Wilfryda niesiono w lektyce Żydówki? Niezbyt to właściwy sposób podróżowania dla krzyżowca, którego dzielny miecz miał walczyć o Święty Grób! — zaśmiał się drwiąco.

— A jeśli jest tu — zapytała Rowena usiłując ukryć pod obojętnym tonem drzenie wywołane obawą, nad którą nie mogła zapanować — w czym mógłby rywalizować z Bawolim Łbem i czegoż ma się obawiać poza krótkotrwałym więzieniem i okupem zgodnym z obyczajem rycerskim?

— Lady Roweno — odparł de Bracy — czyż i ty dałaś się zwieść pomyłce wspólnej waszej płci, sądząc, że współubiegać się można tylko o wasze wdzięki? Czy nie wiesz, że zaszczyty lub majątek mogą budzić zazdrość tak samo jak miłość? Czyż pan tego zamku nie jest gotów usunąć ze swej drogi równie gorliwie i bez skrupułów każdego, kto chciałby odebrać mu piękną baronię Ivanhoe, jak tego, kto by z nim rywalizował o błękitnooką białkę? Ale jeśli, pani moja, uśmiechniesz się do mnie przychylnie, ciężko ranny zwycięzca niczego nie będzie potrzebował się

obawiać ze strony Bawolego Łba; w przeciwnym razie możesz go już teraz oplakiwać, gdyż dostanie się w ręce, które nie znają litości.

— Ratuj go, na miłość boską! — zawołała Rowena załamując się w obawie o los umiłowanego.

— Mogę to uczynić... taki jest mój zamiar... — odrzekł de Bracy. — Z chwilą gdy Rowena zgodzi się na małżeństwo ze mną, któż by się ośmielił skrzywdzić jej krewniaka, syna jej opiekuna, towarzysza jej lat dziecinnych? Lecz twoją miłością do mnie musisz kupić dlań bezpieczeństwo. Nie jestem tak głupi i romantyczny, bym miał odwrócić grożące mu niebezpieczeństwo lub popierać tego, który mógłby być przeszkodą do osiągnięcia mych zamiarów. Użyj na mnie swojego wpływu, a ocalisz go; jeśli mi odmówisz, Wilfryd zginie, a ty sama nieprędko odzyskasz wolność.

— Mowa twoja — powiedziała Rowena — taka chłodna i twarda, ma w sobie jednak coś przeczącego okrucieństwu, które chce wyrazić. Nie wierzę, byś miał aż tak złe zamiary ani też dostateczną władzę do ich wykonania.

— Możesz się tym ludzić — odparł de Bracy — dopóki nie przekonasz się, że się mylisz. Twój ukochany leży ranny w tym zamku — ten, którego miłujesz ponad wszystko. Jest on przeszkodą dla Bawolego Łba w zamiarach droższych mu od ambicji czy kobiety. Uwolnić się od tej przeszkody może jednym pchnięciem mizerykordii czy włóczni. A gdyby obawiał się popełnić tak jawną zbrodnię, toć przecie lekarz może się pomylić dając pacjentowi lekarstwo lub sługa czy pielęgniarka

wyciągnie mu spod głowy poduszkę i Wilfryd, w obecnym swoim stanie, przeniesie się na tamten świat bez rozlewu krwi. Cedryk także...

— I Cedryk także! — powtórzyła Rowena. — Mój szlachetny, zacny opiekun! Zasłużyłam na te nieszczęścia, zapominając o nim w mej trosce o jego syna!

— Los Cedryka też zależy od ciebie — rzekł de Bracy. — Zastanów się nad nim.

Lady Rowena podczas tej sceny nie straciła odwagi, ale głównie dlatego, że nie wierzyła, by niebezpieczeństwo było groźne i bliskie.

Usposobienie miała takie, jakie fizjonomiści przypisują zwykle blondynkom — łagodne, nieśmiałe i czułe; lecz wychowanie zahartowało ją i do pewnego stopnia uczyniło twardszym jej charakter.

Przyzwyczała się, że wszyscy — nie wyłączając Cedryka, dość bezwzględnego w stosunku do innych — ustępują przed jej wolą; nabyła więc niejakiej odwagi i ufności w siebie na skutek powszechnej i nieustannej uległości całego otoczenia. Zaledwie mogła wyobrazić sobie, iż ktoś może się jej przeciwstawić, a tym bardziej, aby się mógł odnieść do niej bez szacunku. Jej wyniosłość i władczość były jednak czymś sztucznym, kryjącym naturalne jej skłonności, i cechy te opuściły ją, gdy ujrzała, jak poważne niebezpieczeństwo grozi jej samej, kochanemu przez nią człowiekowi i staremu opiekunowi. A gdy przekonała się, że wola jej, której najmniejsze życzenie spełniano z uszanowaniem i dokładnie, napotkała teraz sprzeciw człowieka silnego, okrutnego i zdecydowanego na wszystko, posiadającego nad nią

przewagę, którą postanowił wykorzystać, wówczas Rowena załamała się. Rzuciła spojrzenie dokoła, jakby szukając pomocy, której nie było, wydała parę okrzyków bez związku, podniosła ręce do nieba i wybuchnęła słowami rozpacz i żalu. Trudno było, widząc ją w tym stanie, nie uzalić się nad nią, toteż de Bracy nie pozostał nieczuły, choć bardziej był zakłopotany niż wzruszony. Wprawdzie za daleko się posunął, by móc się cofnąć, ale w danej chwili ani tłumaczenia, ani groźby nie wpłynęłyby już na Rowenę. Chodził więc po izbie tam i z powrotem, zaklinając wylęknioną dziewczynę, by się uspokoiła. Sam nie wiedział, co ma czynić.

Jeśli dam się rozczulić — myślał — łzami i żalem tej nieszczęsnej białki, będę musiał porzucić nadzieje na spełnienie mych pragnień, dla których na takie się naraziłem niebezpieczeństwo, a poza tym zostanę wyszydzony przez księcia Jana i jego towarzyszy. A jednak — dodał — czuję, że nie zostałem stworzony do roli, jaką odgrywam. Nie mogę patrzeć na tę piękną twarz zmienioną przez rozpacz ani na jej oczy zalane łzami. Wolałbym, żeby zachowała swoją zwykłą dumę lub żebym miał choć w części tak zatwardziałe serce jak Bawoli Łeb!"

Miotany takimi uczuciami, prosił tylko Rowenę, by się uspokoiła, i zapewniał ją, że, jak dotychczas, nie ma jeszcze powodu do tak krańcowej rozpacz. Ale gdy tak ją pocieszał, nagle przerwał mu dźwięk rogu, „który brzmiał donośnie i groźnie" i który jednocześnie zatrwożył innych mieszkańców zamku, przeszkadzając im w zaspokojeniu ich chciwości i żądz. Wśród nich de Bracy był zapewne

tym, który najmniej żałował, że mu przerwano; rozmowa jego z lady Roweną doszła do punktu, w którym było mu równie trudno dalej ją prowadzić, jak odstąpić od swych zamiarów.

XXIV

Będę się do niej zalecał jak lew

Do swojej lwicy...

G.DOUGLAS

Podczas gdy opisane powyżej wypadki rozgrywały się w innych częściach zamku, Rebeka czekała na swoje przeznaczenie w jednej z odległych, odosobnionych baszt. Przyprawdzili ją tu dwaj zamaskowani napastnicy i wepchnęli do małej izdebki, gdzie znalazła się w obecności starej wiedźmy, która pod nosem mruczała saksońską śpiewkę, jak gdyby wybijając nią takt do tańczącego po podłodze wrzeciona. Jędza podniosła głowę, gdy weszła Rebeka, i spojrzała spode łba na piękną Żydówkę z tą złośliwą zazdrością, z jaką zazwyczaj starość i szpetota, gdy łączą się z nędzą, skłonne są traktować młodość i urodę.

— Wstawaj i wynoś się stąd, stary grzybie — odezwał się do niej jeden z pachotków. — Taki jest rozkaz pana. Musisz ustąpić miejsca godniejszemu gościowi.

— Ach — gderła jędza — taka to zapłata za moją służbę! Był czas, kiedy jedno moje słowo mogło najdzielniejszego woja wysadzić z siodła i ze służby. A teraz muszę słuchać rozkazów byle pachotka.

— Mościa pani Urfrydo — odezwał się drugi — nie gadaj wiele, tylko

wstawaj i wynoś się. Pańskie rozkazy należy migiem wykonywać. Twój czas już minął. Jesteś jak stary bojowy rumak na łaskawym chlebie; miał on wspaniałe chody, ale teraz ledwo posuwa się stępa. Jazda, ruszaj stąd!

— Psy jesteście — zawołała stara — i jak psy zdechniecie! Niech mnie sam Lucyfer rozerwie na sztuki, jeśli ruszę się stąd, zanim wyprzedę do końca moją kądziel.

— Odpowiesz za to przed panem, obmierzła wiedźmo — odparł sługa i wyszedł zostawiając Rebekę w narzuconym wbrew jej woli towarzystwie staruchy.

— Co za diabelskie sprawy oni tam knują? — mruczała do siebie jęzda, od czasu do czasu rzucając z ukosa złośliwe spojrzenie na Rebekę. — Łatwo się domyślić. Piękne oczy, czarne kędziory, a skóra biała jak papier, zanim go klechy pobazgrzą inkaustem! Ach łatwo się domyślić, po co ją tu przywiedli do tej samotnej baszty, skąd nie dojdzie krzyk do uszu ludzkich, niczym z najgłębszego podziemia. Będziesz miała sowy za sąsiadki, ich krzyk rozlegać się będzie równie daleko jak twój, ale nikt nie zwróci nań większej uwagi niż na twoje wołanie. Jesteś cudzoziemką — dodała przyjrząwszy się sukni i zawojowi Rebeki. — Z jakiego jesteś kraju? Saracenka czy Egipcjanka? Czemu mi nie odpowiadasz? Umiesz płakać, więc umiesz pewnie i mówić?

— Nie gniewaj się, dobra matko — rzekła Rebeka.

— Nie potrzebujesz już więcej się odzywać — odparła Urfryda. — Lisa po ogonie, a Żydówkę można poznać po mowie.

— *Na miłość boską!* — zawołała Rebeka. — *Powiedz mi, czego się mam obawiać po tym porwaniu, które mnie tu sprowadziło! Czy nastają na moje życie z powodu mej wiary? Chętnie je złożę w ofierze.*

— *Nie na twoje życie, kochaneczko!* — wyjaśniła wiedźma. — *Co by im z tego przyszło? Wierzaj, życiu twojemu nic nie grozi. Ale nie obejdą się z tobą lepiej niżli ongiś z saksońskimi szlachciankami. I taka Żydówka jak ty miałaby z tego powodu się martwić? Spójrz na mnie. Byłam młoda i piękniejsza od ciebie, gdy Bawoli Łeb, ojciec Reginalda, wraz ze swymi Normandami zdobył szturmem ten zamek. Mój ojciec i siedmiu jego synów bronili swego kasztelu piętro po piętrze, izbę po izbie. Nie było komnaty, nie było jednego stopnia na schodach, który by nie był śliski od krwi. Zginęli... wszyscy zginęli, a zanim ich ciała ostygły, zanim ich krew skrzepła, stałam się pogardzanym łupem zwycięzców!*

— *Czyż nie ma ratunku? Czy nie ma sposobu, aby stąd uciec?* pytała Rebeka. — *Hojnie ci zapłacę, jeśli mi powiesz!*

Nie myśl nawet o tym — odparła jędza. — *Jedyna droga wiodąca stąd na wolność to wrota śmierci, a te późno, bardzo późno* — dodała potrząsając swą siwą głową — *otwierają się dla nas. Pociesza mnie jedynie myśl, że pozostawiam na ziemi inne, których los będzie równie nieszczęśliwy jak mój. Żegnaj, Żydówko! Czyś Żydówką, czy chrześcijanką, jednakowy los cię czeka, bo będziesz miała do czynienia z ludźmi, którzy nie mają ani sumienia, ani litości. Żegnaj, powtarzam. Kądział moja się skończyła, ale twoje przeznaczenie dopiero się zacznie.*

— *Zostań! Zostań! Błagam cię, na miłość boską!* — krzyknęła Rebeka. —

Zostań, choćbyś miała mnie przeklinać i lżyć! Obecność twoja jest dla mnie obroną.

— Nawet obecność Matki Boskiej cię nie obroni — odparła starucha i wskazała na prostackiej roboty wizerunek Najświętszej Panny. — Oto ona. Czyż może odwrócić twój los?

Mówiąc to, opuściła izbę z twarzą wykrzywioną szyderczym uśmiechem, jeszcze bardziej szpecącym jej rysy. Zamknęła za sobą drzwi i Rebeka słyszała, jak za każdym stopniem przeklinała strome schody, po których powoli i z trudnością schodziła.

Rebekę czekał los gorszy niżli Rowenę, bo jeśli odnosili się z pewną łagodnością czy względami do dziedziczki saksońskiego tronu, jakież nikły ślad tego szacunku mógł pozostać w odniesieniu do przedstawicielki prześladowanego narodu? Lecz rozwaga i wrodzona siła ducha Żydówki lepiej ją przygotowały do spotkania z groźącym jej niebezpieczeństwem. Od najmłodszych lat odznaczała się silnym i rozważnym charakterem; przepych i bogactwa, którymi ją w domu otaczał ojciec i które widywała u innych zamożnych Żydów, nie zaślepiły jej do tego stopnia, by nie spostrzegła, w jakiej niepewności z nich korzystają. Jak Damokles podczas jego sławnej uczy, Rebeka wciąż pamiętała pośród otaczającego ją przepychu o mieczu wiszącym na włosku nad głowami jej rodaków. Rozważania te uczyniły jej charakter dojrzałym, choć w innych okolicznościach mógł być stać się wyniosły, dumny i uparty.

Za przykładem i dzięki pouczeniom ojca Rebeka przywykła być

uprzejma względem wszystkich, z którymi miała do czynienia. Nie mogła naśladować jego uniżoności, gdyż w duszy jej nie było miejsca na podłość ani nieśmiałą lękliwość; postępowanie jej odznaczało się skromną dumą, jak gdyby stosowała się do okoliczności, w jakich znalazła się będąc córką pogardzanego narodu, żywiąc jednak w duszy przekonanie, że mogłaby odgrywać ważniejszą rolę niż ta, do jakiej ją zepchnęły religijne przesady. Tak przygotowana na spotkanie z przeciwnościami losu, nabyła potrzebnego hartu. Obecne jej położenie wymagało od niej całej przytomności umysłu, którą też wezwiała na pomoc.

Przede wszystkim dokładnie zbadła swe więzienie. Mało jednak było nadziei na ucieczkę czy schowanie się tutaj. Nie znalazła ani tajnego korytarza, ani ukrytych drzwi i tylko wejście, którym ją wprowadzano, łączyło z głównym budynkiem basztę otoczoną warownym murem. Drzwi nie miały ani skobla, ani zasuw. Jedyne okno wychodziło na blanki wieńczące basztę, co w pierwszej chwili obudziło w sercu Rebeci nadzieję na możliwość ucieczki; lecz wkrótce przekonała się, że blanki nie łączą się z niczym, był to bowiem jakby odosobniony ganek czy balkon, otoczony jak zwykle parapetem i wnękami, mogącymi pomieścić kilku łuczników dla obrony wieży i ostrzeliwania nieprzyjaciela z tej strony zamku. Nie pozostawała jej więc żadna nadzieja prócz biernej wytrwałości i ufności w Bogu, co jest cechą silnych i szlacheckich charakterów.

Zadrżała jednak i zbladła usłyszawszy kroki na schodach, a zwłaszcza

gdy drzwi do baszty z wolna się otworzyły i wysoki mężczyzna w ubiorze zbójców, którzy byli przyczyną jej niedoli, wszedł i zamknął je za sobą. Czapka, nasunięta na czoło, zakrywała górną część jego twarzy, a płaszcz zasłaniał jej dół. Tak zamaskowany, jakby miał zamiar dokonać czynu, którego sam się wstydził, stanął przed wystraszoną branką; choć strój określał go jako zbójcę, zdawało się, że sam nie wie, jak ma wyrazić powód, który go tu sprowadził, toteż Rebeka miała dość czasu, by zapanowawszy nad sobą, uprzedzić jego objaśnienia. Odpięła dwie kosztowne bransolety i naszyjnik, które pośpieszyła ofiarować domniemanemu rozbójnikowi, przypuszczając, że gdy zaspokoi chciwość napastnika, zyska sobie jego łaski.

— Weź to, przyjacielu — rzekła. — Zaklinam cię w imię Boga, zlituj się nade mną i moim starym ojcem. To cenne klejnoty, ale są niczym w porównaniu z tym, co gotowi jesteśmy dać, jeśli zostaniemy cali i zdrowi, uwolnieni z tego zamku.

— Piękny kwiecie Palestyny — powiedział zbójca — kosztowne perły są niczym w porównaniu do twych zębów; diamenty olśniewają wzrok, ale gasną przy blasku twych oczu; a odkąd oddałem się zbójcekiemu rzemiosłu, przysiągłem, że przenosić będę urodę ponad bogactwo.

— Nie szkaluj w ten sposób sam siebie — odparła Rebeka. — Weź okup i zlituj się nad nami! Złoto dostarczy ci rozkoszy, a krzywdę naszą wyrzucać ci będzie sumienie. Mój ojciec zaspokoi wszelkie twoje żądania, a jeśli rozsądnie będziesz postępował, łupy na nas zdobyte pozwolą ci wrócić do społeczności; uzyskasz przebaczenie za twe

poprzednie winy i uchronisz się od popełnienia nowych przestępstw.

— Dobrześ to powiedziała — odparł rozbójnik po francusku, gdyż widocznie rozmowa po saksońsku, tak jak ją rozpoczęła Rebeka, sprawiała mu trudność. — Lecz wiedz, wdzięczna lilio z doliny Bakka, że twój ojciec jest w rękach potężnego alchemika, który wie, jak przemienić rdzą pokryte kraty więzienne w złoto i srebro. Zaczny Izaak traktowany jest alembikiem, pod wpływem którego wyrzeknie się wszystkich swych dóbr, bez mojej prośby ani wysiłku. A ty musisz mi zapłacić okup miłością i urodą, innego nie przyjmę.

— Nie jesteś więc zbójcą — powiedziała Rebeka w tym samym języku, w którym się nieznajomy do niej odezwał — gdyż żaden zbójca nie odrzuciłby takiego daru. Żaden też zbójca w tym kraju nie mówi językiem, jakim ty przemawiasz. Nie jesteś rozbójnikiem, lecz Normandem, może nawet szlachetnie urodzonym... Bądź też szlachetny w swych postępkach i przestań udawać gwałt i rozbój.

— A ty, co tak trafnie odgadujesz — rzekł Brian de Bois-Guilbert odsłaniając twarz — chyba nie jesteś córką Izraela! Gdyby nie twoja młodość i uroda, wziąłbym cię za czarownicę z Endor. Piękna różo Saronu, nie jestem, istotnie, zbójcą, a nawet jestem bardziej skory ozdobić twą szyję i ramiona perłami i diamentami, które tak ci przystoją, niżli cię z nich ograbiać.*

— Czegóż, więc chcesz ode mnie — spytała Rebeka — jeśli nie żądasz mych bogactw? Nic przecież nie mamy ze sobą wspólnego: tyś chrześcijanin, a jam Żydówka. Związek nasz byłby przeciwny prawom

zarówno kościoła, jak synagogi.

— Istotnie — odparł templariusz ze śmiechem. — Ożenić się z Żydówką!

*Despardieux\ ** Nawet gdybyś była królową Sabą!*

**/ Czarownica z Endor udzielała rad królowi Saulowi.*

***/ Despardieux! - (starofranc.) — na Boga!*

— Jeśliś czytał Pismo święte — powiedziała dziewczyna — by znaleźć wymówkę dla własnej swawoli i rozpusty, popełniasz występki taki, jak człowiek, który wyciąga truciznę z najzdrowszych i najpotrzebniejszych ziół.

Oczy templariusza zaiskrzyły się gniewem na ten zarzut.

— Postuchaj, Rebeko — rzekł. — Dotychczas zwracałem się do ciebie łagodnie, lecz teraz będę mówił jako zwycięzca. Zdobyłem cię włócznią i mieczem i wedle praw wszystkich narodów podlegasz mojej woli. Nie odstąpię od moich praw ani na jotę i wezmę cię gwałtem, gdy nie zechcesz ulec ni prośbie, ni konieczności.

— Stój, stój! — krzyknęła Rebeka. — Stój i postuchaj mnie, zanim popełnisz śmiertelny grzech! Z łatwością możesz wziąć nade mną górę, gdyż Bóg stworzył kobietę słabą i zawierzył jej cześć szlachetności mężczyzn, ale ja rozgłoszę twoją hańbę, templariuszu, w całej Europie. Wymogę na przesądach twoich braci to, czego by ich litość odmówiła. Wszystkie komandorie i kapituły twego zakonu dowiedzą się, że jak heretyk grzeszyłeś z Żydówką. Nawet ci, którzy nie obawiają się takiej jak twoja zbrodni, przeklinać cię będą, żeś zhańbił krzyż, noszony przez ciebie na płaszczu, i zadawałeś się z kobietą należącą do innego narodu.*

**/ Komandoria — zgromadzenie rycerzy zakonnych będące jak gdyby filią głównego klasztoru.*

— Bystry masz dowcip, Żydówko — odparł templariusz zdając sobie dobrze sprawę ze słuszności jej słów i wiedząc, że romans, jaki teraz usiłował nawiązać, był przez regułę bezwzględnie potępiany i surowo karany, a w niektórych wypadkach pociągał za sobą nawet wydalenie z zakonu. — Ostry masz język, lecz musiałabyś się skarżyć wiele głośniej, by usłyszano cię poprzez mury tego kasztelu, gdyż żadne szemranie, skargi, błagania o sprawiedliwość i krzyki nie mogą ich przebić. Jedno tylko może cię uratować, Rebeko. Poddaj się twemu losowi, nawróć się na naszą wiarę i wtedy osiągniesz takie stanowisko, że niejedna dama normandzka będzie musiała ustąpić przed bogactwem i urodą faworyty najdzielniejszego obrońcy Świątyni.

— Ja miałabym się poddać memu losowi?! — zawołała Rebeka. — I, o nieba, jakimuż losowi? Przyjąć twoją wiarę! I cóż to za wiara, którą wyznają takie łotry? Ty miałbyś być najdzielniejszym obrońcą Świątyni? Nikczemny rycerzu, wyrodny mnichu! Pluję na ciebie i gardzę tobą! Obietnica Boga Abrahama otwiera bramę ucieczki jego córce nawet z tej otchłani hańby!

Mówiąc to, otworzyła zakratowane okno wychodzące na blanki i za chwilę stanęła na samym skraju parapetu, tak że nic jej nie oddzielało od okropnej przepaści. Bois-Guilbert nie spodziewając się takiego rozpaczliwego kroku, gdyż do tej chwili Rebeka stała bez ruchu, nie miał już czasu, by jej przeszkodzić lub zatrzymać ją. Gdy chciał podbiec ku

niej, zawołała:

— Nie ruszaj się z miejsca, dumny templariuszu, lub jeśli wolisz, podejdź do mnie! Ale kiedy postąpisz o krok, rzucę się w przepaść i roztrzaskam ciało na kamieniach podwórca, zanim stanie się pastwą twej zwierzęcej chuci!

Załamala ręce i wzniosła je ku niebu, jakby błagając Boga o miłosierdzie nad swoją duszą, zanim skoczy w przepaść. Templariusz zawahał się i choć nigdy się nad nikim nie litował ani nie żałował nikogo, teraz przejął go podziw dla jej odwagi.

— Zejdź — zawołał — niebaczna dziewczyno! Biorę na świadka ziemię, morze i niebo, że cię nie skrzywdzę!

— Nie wierzę ci, rycerzu — odparła Rebeka. — Nauczyłeś mnie, jak mam szacować cnoty twego zakonu. Najbliższa kapituła rozwiąże cię z przysięgi, od której zawisła cześć czy niesława biednej żydowskiej dziewczyny.

— niesprawiedliwa jesteś dla mnie! — zawołał gorąco templariusz. — Przysięgam ci na imię, które noszę, na krzyż na mych piersiach, na miecz przy mym boku, na starożytny herb moich przodków, że nigdy cię nie skrzywdzę! Jeśli o sobie zapominasz, to miej wzgląd na swego ojca! Będę mu przyjacielem, a w tym zamku potrzebny mu możny przyjaciel.

— Niestety! — rzekła Rebeka. — Wiem o tym aż nazbyt dobrze. Lecz czy mogę ci zaufać?

— Niech moja broń obróci się przeciwko mnie, a moje imię niech będzie zhańbione — rzekł Brian de Bois-Guilbert — jeśli dam ci powód do

skargi na siebie. Nie zawsze byłem posłuszny prawu i rozkazom, lecz nigdy nie złamałem mego słowa.

— Na tyle mogę ci uwierzyć — rzekła Rebeka; zeszła z parapetu blanki, lecz stanęła tuż przy strzelnicy. — Tutaj pozostanę. A ty stój tam, gdzie jesteś, i jeśli się ośmielisz choć o jeden krok przybliżyć do mnie, zobaczysz, że żydowska dziewczyna powierzy raczej swą duszę Bogu niżli swoją cześć templariuszowi.

Te wzniosłe i nieugięte słowa, tak odpowiadające jej wyrazistej urodzie, nadały jej twarzy, postaci i ruchom nadziemskie wprost dostojęństwo. Bojaźń bliskiej i okropnej śmierci nie zaćmiła jej spojrzenia ani nie powlokła bladością jej lic; przeciwnie, myśl, że jest panią swego losu, że ma przed hańbą ucieczkę w śmierć, zaróżowiła jej twarz i dodała blasku jej oczom. Bois-Guilbert, sam dumny i mężny, pomyślał, że nie widział jeszcze nigdy tak pełnej życia i władczej piękności.

— Zawrzyjmy pokój, Rebeko — powiedział.

— Niechaj tak będzie, jeśli chcesz — odparła dziewczyna — ale w takiej od siebie odległości.

— Już nie potrzebujesz się mnie obawiać.

— Nie lękam się ciebie dzięki budowniczemu, który wznosił tę niebotyczną wieżę, bowiem kto z niej spadnie, nie może ocalić życia.

— Jesteś niesprawiedliwa! Wzywam na świadka ziemię, morze i niebo, że jesteś dla mnie niesprawiedliwa! Nie jestem z natury taki, jakim ci się zdałem: twardym, samolubnym, bezlitosnym. Niewiasty nauczyły mnie okrucieństwa, stosuję je więc do niewiast, ale nie takich jak ty.

Posłuchaj mnie, Rebeko. Nigdy jeszcze żaden rycerz nie ujął kopii w rękę z sercem bardziej oddanym damie swych myśli niżli Brian de Bois-Guilbert. Imię córki skromnego barona, posiadającego za cały majątek walącą się wieżę, nieurodzajną winnicę i parę włók bezużytecznych wrzosowisk pod Bordeaux, stało się głośnie, gdziekolwiek dokonywały się jakieś czyny rycerskie, głośniejsze od imienia niejednej damy mającej całe hrabstwo w posagu. Tak — ciągnął dalej templariusz chodząc wszerz i wzdłuż małego ganku, z ożywieniem, które zdawało się tak go pochłaniać, że zapomniał o obecności Rebeki — tak, moje czyny, niebezpieczeństwa, na które się narażałem, krew przelewana przeze mnie, rozstawiły imię Adelajdy de Montemare od Kastylii aż po Bizancjum. I jakąż otrzymałem za to nagrodę? Gdy wróciłem, drogo opłaciwszy moje laury trudami i własną krwią, zastałem ją poślubioną gaskońskiemu szlachcicowi, którego imienia nikt nie znał poza granicami jego nędznej posiadłości! Szczerze ją kochałem i pomściłem się dotkliwie za jej wiarołomstwo! Lecz zemsta spadła na moją własną głowę. Od tego dnia zerwałem wszystkie więzy łączące mnie z życiem. Mój wiek męski nie będzie znał własnego domu ani kochającej małżonki. Starości nie spędzę przy domowym ognisku. Grób mój będzie samotny i nie pozostawię potomka noszącego starożytne imię Bois-Guilbert. U stóp wielkiego mistrza złożyłem swobodę działania — przywilej niezależnych. Templariusz, któremu brak tylko nazwy niewolnika, nie może posiadać ani ziemi, ani majątku, a żyje, porusza się i oddycha tylko dzięki cudzej woli i rozkazom.

— *Niestety!* — *westchnęła Rebeka.* — *Jakież korzyści wynagrodzą ci tak wielkie ofiary?*

— *Pomsta, Rebeko* — *odparł templariusz* — *i nadzieja na sławę.*

— *Marna zapłata za utratę wszystkiego, co jest drogie człowiekowi.*

— *Nie mów tak, dziewczyno* — *powiedział templariusz.* — *Zemsta jest rozkoszą bogów! A jeśli zachowali ją dla siebie, jak nas uczą kapłani, uczynili to dlatego, że uważają ją za zbyt cenną dla śmiertelnych. A sława! Jest ona tak kusząca, że mąci nawet szczęście niebiańskie.*

Chwilę milczał, po czym dodał:

— *Rebeko, ty, któraś przeniosła śmierć nad hańbę, musisz mieć dumną i silną duszę. Musisz tedy być moją! Ale nie lękaj się* — *dodał.* — *Stanie się to za twoją zgodą i na warunkach, które sama postawisz. Musisz ogarnąć szersze nawet horyzonty niż te, jakie ogląda się ze stopni tronu. Wysłuchaj mnie, nim mi odpowiesz, i zastanów się, zanim odrzucisz moją prośbę. Templariusz, jak sama powiedziałaś, traci swe społeczne prawa i możliwość swobodnego działania, lecz staje się za to członkiem i częścią potężnego zgromadzenia, przed którym drżą nawet trony — kropla deszczu spadłszy do morza staje się częścią niezwyciężonego oceanu, który podmywa skały i zatapia królewskie armady. Takim rozhukanym żywiołem jest to potężne zgromadzenie. Nie jestem już prostym członkiem tego możnego zakonu, lecz jednym z głównych jego komendantów i mam nadzieję, że zostanę z czasem wielkim mistrzem. Ubodzy żołnierze Świątyni Pańskiej nie są zdolni postawić stopy na karkach królów, nie może uczynić tego mnich obuty w proste sandały!*

Ale my okutą stopę postawimy na stopniach tronu i żelazną rękawicą wydrzemy berło. Królestwo waszego na próżno oczekiwanego Mesjasza nie da takiej władzy waszemu rozproszonemu narodowi, jak ta, do której ja dążę. Szukałem przyjaznej duszy, by dzieliła ze mną tę władzę, i w tobie ją znalazłem.

— Mówisz tak do córki Izraela? — zdumiała się Rebeka. — Zastanów się...

— Nie mów — przerwał jej templariusz — że inną mam wiarę. Na tajnych naszych zebraniach wyśmiewaliśmy te dziecinne bajki. Nie myśl, żeśmy się nie poznali na zaślepieniu naszych założycieli, którzy wyrzekli się wszelkich rozkoszy dla otrzymania kiedyś męczeńskiej korony i umierali z głodu, pragnienia, zarazy lub od miecza barbarzyńców, na próżno usiłując obronić jałową pustynię, mającą wartość tylko w oczach przesądnych. Wkrótce nasz zakon powziął ambitniejsze i szersze plany i znalazł stosowniejsze wynagrodzenie za naszą ofiarność. Ogromne posiadłości we wszystkich królestwach Europy, wielka sława wojenna, która ściąga do nas kwiat rycerstwa ze wszystkich krajów chrześcijańskich — wszystko to zmierza do celu, o którym się nie śniło naszym pobożnym założycielom. Jest on też utajony przed słabymi duszami tych, którzy wstępują do naszego zakonu opierając się na dawnych jego założeniach, ale przesady, jakie żywią, czynią ich bezwolnymi narzędziami w naszych rękach. Nie chcę jednak dalej podnosić zasłony okrywającej nasze tajemnice. Dźwięk rogu zapowiada może jakieś zdarzenia, które wymagają mej obecności.

Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Żegnaj! Nie proszę o przebaczenie za gwałtowność, z jaką odnosiłem się do ciebie, gdyż dała mi ona poznać twój charakter. Złoto można poznać tylko probierczym kamieniem. Wkrótce powrócę i dalej będę się z tobą naradzał.

Cofnął się do izby i zszedł po schodach, zostawiając Rebekę samą. Tak niemal jak przed chwilą oczekiwanie śmierci, przeraziła teraz Żydówkę niezmierna ambicja tego złego i pysznego człowieka, w którego mocy na swe nieszczęście się znalazła. Gdy z powrotem weszła do baszty, pierwszą jej myślą było podziękować Bogu Jakuba za opiekę i błagać, by dalej roztaczał ją nad nią oraz nad jej ojcem. Jeszcze inne imię wmieszała w swe prośby: było to imię rannego chrześcijanina, którego zły los oddał w ręce krwiożerczych i zaciętych wrogów. Serce wyrzucało jej jednak, że do swych modłów wtrąca wspomnienie tego, z którym nie powinna mieć żadnej styczności, był to bowiem Nazarejczyk i wróg jej wiary. Ale prośbę swą już zaniósła do Boga, a ciasne przesady nie mogły zmusić Rebeki do jej odwołania.

XXV

To najzawilsze pismo, jakie w życiu

Moim widziałem...

O, GOLDSMITH: Pochyliła się, żeby zwyciężyć

Gdy templariusz wszedł do sali zamkowej, zastał tam już de Bracy'ego.

— Mniemam — rzekł de Bracy — że ten natrętny dźwięk rogu przerwał tak samo twoje, jak i moje zaloty. Ale zwlekałeś dość długo, musiały więc być przyjemniejsze od moich.

— *Nic tedy nie wskórałeś u dziedziczki saksońskiego tronu?* — spytał templariusz.

— *Na kości świętego Tomasza Becketa!* — zawołał de Bracy. — *Lady Rowena musiała słyszeć, że nie znoszę kobiecych łez.*

— *Gorze ci!* — roześmiał się templariusz. — *Wódz wolnej kompanii turbuje się o łzy niewieście! Parę kropel łez wylanych na pochodnię miłości podsyca ją tylko.*

— *Nie stoję o nie* — odparł de Bracy — *ale ta młódka, wylewając łzy, ugasiłaby nimi ognisko. Zapewne wodnik opętał piękną Saksonkę.*

— *A cały oddział diabłów opętał Żydówkę* — powiedział templariusz — *bo nie myślę, aby jeden, choćby sam Belzebub, potrafił ją natchnąć taką pychą i odwagą. Ale gdzie jest Bawoli Leb? Coraz głośniejszym dźwiękiem dmą w róg.*

— *Pewnikiem targuje się z Żydem* — odparł spokojnie de Bracy — *i wycie Izaaka zagłusza wezwanie rogu. Powinieneś wiedzieć z doświadczenia, sir Brianie, że gdy Żyd musi się wyrzec swych skarbów na warunkach, jakie mu ofiarowuje nasz przyjaciel, zagłuszy swym wrzaskiem dwadzieścia rogów i trąb. Ale każemy sługom wezwać Reginalda.*

Wkrótce jednak rycerz nadszedł sam. Wiemy, jak mu przeszkodzono w okrutnym znęcaniu się nad Żydem; wracając z lochu, kilka chwil zmitrężył na wydanie koniecznych rozkazów.

— *Zobaczmyż, jaka jest przyczyna tego przekłętego hałasu* — rzekł. — *Oto list i o ile się nie mylę, pisany po saksońsku.*

Przyglądał mu się obracając papier w palcach, jak gdyby się

spodziewał, że tym sposobem odgadnie jego treść; wreszcie podał go de Bracy'emu.

— Mogą to być łącno czarnoksiężskie znaki — odezwał się de Bracy, który nie ustępował w ignorancji innym rycerzom owych czasów. — Nasz kapelan próbował mnie nauczyć pisać, aleć moje litery podobniejsze były pono do główicy włóczni czy ostrza miecza i stary klecha dał spokój nauce.

— Daj mi ten list — rzekł templariusz. — Z tegośmy do mnichów podobni, żeśmy nieco nauki liznęli, by nią męstwo nasze przyozdobić. — Skorzystamy więc, wielebny ojcze, z twej uczoności — ucieszył się de Bracy. — Co też tam stoi w onym pośłaniu?

— Prawdziwe wyzwanie — powiedział templariusz. — Lecz, na Najświętszą Pannę Betlejemską, jeśli to nie głupi żart, nikt jeszcze takiego wyzwania nie przesłał baronowi przez zwodzony most do jego kasztelu!

— Żart! — zawołał Bawoli Łeb. — Ciekawym, kto ośmieliłby się żartować ze mnie w takiej materii! Czytaj, sir Brianie.

— „Ja, Wamba, syn Przygłupka, błazen szlachetnego władcy, Cedryka z Rotherwood, zwanego Saksonem, i ja, Gurt, syn Beowulfa, świniarek...”

— Czyś ty zgłupiał? — przerwał czytanie Bawoli Łeb.

— Na świętego Łukasza! — zawołał templariusz. — Tak tu stoi napisane!

— I czytał dalej: — „...ja, Gurt, syn Beowulfa, świniarek wyżej wymienionego Cedryka, oraz nasi sprzymierzeńcy i sojusznicy,

wspólnie w tej potrzebie z nami działający, mianowicie prawy rycerz,
zwany obecnie Czarnym Gnuśnikiem, a także dzielny łucznik, Robert
Locksley, zwany Rozszczepiaczem Prętów, czynimy wiadome wam,
Reginaldowi Bawolemu Łbu i wszystkim waszym sprzymierzeńcom i
wspólnikom, kimkolwiek oni są — którzyście bez podania powodów ani
ogłoszenia nieprzyjacielskich kroków, nieprawnie i siłą uwięzili naszego
lorda i pana, wyżej wzmiankowanego Cedryka, jako też szlachetnie
urodzoną damę, Rowenę z Hargottstandstede, szlachetnie urodzonego
Athelstana z Coningsburgha oraz wolnych ludzi, kmienci, poddańców i
sługi, a także pewnego Żyda, Izaaka z Yorku, wraz z córką, ich konie i
muły owi urodzeni zaś, wraz ze swymi kmięciami i ludźmi niewolnymi,
a także z końmi i mułami, i wyżej wzmiankowanym Żydem i Żydówką
byli w stanie pokoju z jego królewską mością i podróżowali jako jego
lennicy królewskim gościńcem — iż żądamy i domagamy się, aby wyżej

wspomniani

urodzeni

Cedryk

z

Rotherwood,

Rowena

z

Hargottstandstede, Athelstan z Coningsburgha wraz ze sługami,
kmięciami i dworzanami oraz z wyżej wzmiankowanymi Żydem i
Żydówką, ich dobrem i ruchomościami w godzinę po odebraniu

niniejszego pisma wydani zostali nam lub tym, których wyznaczymy, cali, bez szwanku na ciele i mieniu. W przeciwnym razie ogłaszamy, że uważać was będziemy za zbójców i zdrajców i nastawać będziemy na waszą zgubę w walce wręcz, w oblężeniu lub jakimkolwiek innym sposobem. Niech Bóg was od tego uchroni. Podpisane przez nas w wigilię świętego Witholda pod umówionym wielkim dębem na ścieżce do Harthill. Pisał zaś niniejsze sługa Boży, Najświętszej Panny i świętego Dunstana, pustelnik przy kaplicy w Copmanhurst".

Pod dokumentem na pierwszym miejscu widniała niezgrabnie wyrysowana głowa koguta z grzebieniem, a podpis objaśniał, że jest to własnoręczny znak Wamby, syna Przyglupka. Pod tym szacownym znakiem stał krzyżyk, określony jako znak Gurta, syna Beowulfa. Potem śmiało, acz niewprawną ręką napisane były słowa *Le Noir Faineant*. Na końcu dobrze odrysowana strzała stanowiła znak łuczника Locksleya.

Rycerze wysłuchali niezwykłego posłania od początku do końca i spoglądali po sobie ze zdumieniem, jakby nie mogąc zrozumieć, co to znaczy. De Bracy pierwszy przerwał milczenie wybuchnąwszy nieopanowanym śmiechem, po czym zawtórował mu nieco ciszej templariusz. Natomiast Bawoli Łeb zdawał się urażony ich niewczesną wesołością.

Słuszniej byście uczynili, panowie rycerze, zastanawiając się co nam trzeba w tych okolicznościach uczynić, niżli oddając się takowym prześmichom.

— *Widać Bawoli Łeb jeszcze nie odzyskał w pełni zmysłów, odkąd się w Ashby zwałił z konia — odezwał się de Bracy do templariusza — przeląkł się bowiem samego wyzwania, choć go wyzywa tylko błazen i świniarek.*

— *Na świętego Michała! — zawołał Bawoli Łeb. — Chciałbym, de Bracy, żebyś sam dał odpór temu wyzwaniu. Te łotry nie byłyby takie zuchwałe, gdyby nie miały za sobą silnych band. W puszczy siła jest opryszków niezadowolonych z tego, że bronię im polować na jelenie. Kiedy jednego z nich, przyłapanego na gorącym uczynku, kazałem przywiązać do rogów dzikiego jelenia, a ten ci go co rychlej zabódl na śmierć, przez pomstę więcej strzał wypuszczono do mnie niżli do celu w Ashby. Nuże, chłopcze — dodał zwracając się do jednego ze swych dworzan — czyś posłał kogoś zobaczyć, jakie siły przywiedli ci dostojni rycerze?*

— *W lesie zgromadziło się co najmniej dwustu ludzi — odparł giermek będący na służbie.*

— *Ot, co jest! — zawołał Bawoli Łeb. — Oto mam zapłatę, żem użyczył wam schronienia w mym zamku! Zamiast cichaczem wykonać wasze zamiary, naprowadziliście na mnie ten rój szerszeni!*

— *Szerszeni! — powtórzył pogardliwie de Bracy. — Raczej trutki bez żądeł! To banda leniów, którzy uciekli do lasu i wolą tępić zwierzynę niż pracować!*

— *Bez żądeł! — wykrzyknął Bawoli Łeb. — A czyż nie są żądlami na łokieć długie strzały o rozwidlonych grotach, które trafiają celnie nawet*

w rzucony pieniążek?

— *Wstydz się, rycerzu — odezwał się templariusz. — Skrzyknijmy naszych ludzi i zrobmy na nich wycieczkę. Jeden rycerz, co mówię, jeden zbrojny pacholek stawia czoło dwudziestu takim chłopom!*

— *Bez ochyby!* — *zawołał de Bracy. — Wstyd byłoby mi samemu użyć na nich mojej kopii.*

— *Miałbyś słuszość, templariuszu, i ty, de Bracy — odparł Bawoli Łeb*

— *gdyby to byli czarni Turcy czy Maurowie lub lękliwi chłopci francuscy.*

Lecz to są angielscy łucznicy, możemy poradzić im tylko lepszą bronią i końmi; niewielka jednak będzie z tego korzyść na leśnych polanach.

Wspomniałeś o wycieczce, a mamy zaledwie wystarczającą liczbę ludzi

do obrony zamku. Moi najlepsi żołnierze są w Yorku, tak samo jak i

twój hufiec, de Bracy; zostało zaledwie dwudziestu zbrojnych, prócz tej

garści, która brała udział w naszej szalonej wyprawie.

— *Czy lękasz się — zapytał templariusz — że ci zbóje, zgromadziwszy*

większe siły, mogą zagrażać kasztelowi?

— *Tego się nie boję, sir Brianie — odparł Bawoli Łeb. — Te opryszki*

mają wielce odważnego wodza, lecz bez wież oblężniczych, drabin i

doświadczonych wojowników nie zdołają zdobyć mego zamku.

— *Ślij do sąsiadów — rzekł templariusz — niech zbiorą ludzi i przyjdą na*

pomoc trzem rycerzom obleganym przez błazna i świniarka w

baronowskiej siedzibie Reginalda Bawolego Łba!

— *Żartujesz sobie, panie rycerzu — odparł baron. — Do kogo miałbym*

śłać? Malvoisin jest w Yorku ze swymi lennikami, jako też wszyscy inni

moi sprzymierzeńcy. I ja bym tam był, gdyby nie ta przeklęta wyprawa.

— Ślij więc do Yorku i odwołaj naszych ludzi — zaproponował de Bracy.

— Jeśli te lotry nie złączą się mej chorągwi czy też mej wolnej kompanii, uważać ich będę za najodważniejszych zbójców, jacy kiedykolwiek strzelali z łuku w kniei.

— Ale kto zanieśie tę wiadomość? — spytał Bawoli Łeb. — Tamci obsadzą każdą ścieżkę i od posłańca wydobędą polecenie. Ale wiem, co zrobię — dodał po chwili milczenia. — Panie rycerzu, przecie umiesz pisać nie gorzej jak czytać i jeśli się tylko znajdą przyrządy do pisania mego kapelana, co pomarł blisko rok temu w same Gody podczas biesiady...

— Za pozwoleniem waszej miłości — odezwał się giermek, który był właśnie na służbie. — Zdaje się, że stara Urfryda przechowuje to wszystko jako pamiątkę po spowiedniku. Był on, jak opowiada starucha, ostatnim człowiekiem, który przemawiał do niej dwornie, jak powinien się odzywać mężczyzna do niewiasty.

— Idź więc i przynieś, co trzeba, Engelrydzie — rozkazał Bawoli Łeb. — My zaś, templariuszu, odpowiemy na to zuchwałe wyzwanie.

— Wolałbym dać na nie odpowiedź mieczem niżli piórem — odparł Bois-Guilbert — ale niechaj i tak będzie.

Zasiadł i ułożył w języku francuskim następujący list:

„Rycerz Reginald Bawoli Łeb i szlachetni rycerze, jego sprzymierzeńcy i druhowie, nie przyjmują wyzwania od ludzi niewolnych, sług i zbiegów.

Jeżeli człowiek nazywający siebie Czarnym Gnuśnikiem ma istotnie

prawo do godności rycerza, powinien wiedzieć, że upodlił się tym towarzystwem i nie ma prawa żądać tłumaczenia od prawych szlachciców. Co zaś do jeńców naszych, w imię miłosierdzia chrześcijańskiego wzywamy, abyście przysłali im kapłana. Niech się wyspowiadają i pogodzą z Bogiem, gdyż jest naszym mocnym postanowieniem ściąć ich dzisiejszego ranka przed południem. Głowy ich, zatknięte na murach, świadczyć będą o tym, jak mało cenimy tych, którzy ruszyli im na odsiecz. Jedynie więc, jak już wzmiankowaliśmy, wzywamy was, byście przysłali kapłana dla pogodzenia ich z Bogiem i tym oddacie im ostatnią ziemską przysługę".

List złożono i doręczono giermkowi, a ten oddał go posłańcowi czekającemu pod murami zamku na odpowiedź.

Łucznik, któremu wyznaczono to zadanie, spełniwszy je, powrócił do głównej kwatery przybyłych na odsiecz oddziałów, znajdującej się na razie pod prastarym dębem w odległości około trzech strzałów z łuku od zamku. Tu Wamba i Gurt wraz ze swymi sprzymierzeńcami, Czarnym Rycerzem, Locksleyem oraz wesołym pustelnikiem, czekali z niecierpliwością na odpowiedź. Dokoła nich i w pewnej odległości za nimi widać było wielu dzielnych łuczników, których leśny strój i ogorzałe oblicza zdradzały, jakie było ich zajęcie. Zebrało się ich już przeszło dwustu, a więcej jeszcze nadciągało. Ci, których uważano za wodzów, odznaczali się tylko piórem na czapce, cały ich strój, oręż i rynsztunek były poza tym takie same jak u reszty łuczników.

Poza ich bandami przybył tu również oddział mniej karny i gorzej

uzbrojony, składający się z saksońskich mieszkańców okolicznych osad oraz wielu poddanych i sług z rozległych włości Cedryka, którzy pośpieszyli mu na pomoc. Większość z nich uzbroiła się w rolnicze narzędzia, jakich z konieczności używano czasami do wojennego rzemiosła. Główną ich bronią były myśliwskie oszczepy, kosy i cepy, gdyż Normandowie, zgodnie ze zwykłym obyczajem zwycięzców, zabraniali Saksończykom używać mieczy i włóczni. Z tego też powodu Saksończycy nie byliby groźni dla oblężonych, gdyby nie siła tych ludzi, ich liczebność i zapał płynący z przekonania, że walczą w słusznej sprawie. Pismo templariusza zostało teraz doręczone wodzom tej różnorodnej zbieraniny. Zwrócono się naprzód do kapelana, by odczytał list.

— Na pastorał świętego Dunstana — rzekł godny kapłan — którym więcej owieczek zapędził do owczarni Pańskiej niżli wszyscy inni święci! Przysięgam, że nie zdołam wam przelożyć tego pisania, nie umiem bowiem nawet powiedzieć, czy jest po francusku, czy po arabsku. Oddał list Gurtowi, który posepnie potrząsnął głową i wręczył go Wambie. Błazen przypatrzył się czterem rogom papieru strojąc domyślne miny jak małpa, gdy naśladuje człowieka, po czym podskoczył i oddał list Locksleyowi.

— Gdyby duże litery były łukami, a małe strzałami, może bym coś zrozumiał — wyznał mężny łucznik. — Ale tak jak jest, równie trudno zrozumieć mi to pismo, jak ubić jelenia z odległości dwudziestu mil. — Tedy trza mi się zabawić w mnicha — rzekł Czarny Rycerz i

odebrawszy list od Locksleya, naprzód przeczytał go po cichu, a potem przetłumaczył na saksoński swoim towarzyszom.

— Chcą ściąć szlachetnego Cedryka! — wykrzyknął Wamba. — Na mój kaduceusz, musiałeś się pomylić, panie rycerzu!

— Nie, przyjacielu — odparł rycerz. — Przetłumaczyłem tak, jak tu stoi napisane.

— W takim razie, na świętego Tomasza Kanterberyjskiego — wykrzyknął Gurt — musimy zdobyć zaraz zamek, chociażbyśmy mieli rozdrapać go pazurami!

— Bo i nie mamy go czym innym zdobywać — wtrącił Wamba — a moje pazury nie na wiele się dadzą napotkawszy kamień i wapno.

— To tylko wybieg dla zyskania na czasie — rzekł Locksley. — Nic ośmielą się popełnić zbrodni, pomściłbym ją okrutnie!

— Trzeba tedy — odezwał się Czarny Rycerz — by znalazł się między nami ktoś, co by się dostał do zamku i sprawdził, jak sprawa stoi z oblężonymi. Mniemam, że gdy żądają przysłania spowiednika, świątobliwy pustelnik mógłby snadnie wypełnić swe pobożne obowiązki i dostarczyć nam potrzebnych wiadomości.

— Bodajby cię zaraza zadusiła razem z twoją radą! — rozgniewał się pobożny mąż. — Rzekłem ci już, Gnuśny Rycerzu, że gdy zrzucam habit, razem z nim porzucam też kapłaństwo, pobożność i łacinę; a gdy przywdzieję mój zielony kaftan, wolę ubić dwadzieścia jeleni niż wyspowiadać jednego chrześcijanina.

— Miarkuję — rzekł Czarny Rycerz — że nie ma tu krom ciebie nikogo,

kto by mógł odegrać nawet raz jeden rolę kapłana. Obecni popatrzyli na siebie w milczeniu.

— Widzę — odezwał się w końcu Wamba — że błazen zawsze musi być błaznem i nadstawiać karku tam, gdzie nie chcą mądrzy ludzie. Trzawam wiedzieć, drodzy krewniacy i ziomkowie, że nosiłem zgrzebny habit, zanim przywdziałem pstre szatki błazeńskie; kształciłem się na mnicha, aż tu jakowaś gorączka padła mi na umysł i tyle jeno rozumu mi ostawiła, ile potrzeba trefnisiowi. Spodziewam się, że przy pomocy habitu dobrego pustelnika i jego kaptura, który bez ochyby nasiąkł kapłaństwem, pobożnością i nauką, zdołam przynieść duchową i ziemską pociechę memu zacnemu panu Cedrykowi i jego towarzyszom niedoli.

— Czy sądzisz, że ma na to dość rozumu? — zapytał Czarny Rycerz Gurta.

— Nie wiem — odparł Gurt — ale mniemam, że nawet jeśli go nie ma, to po raz pierwszy w życiu wykorzysta jak należy swoją głupotę.

— Wdziewaj więc habit, chłopcze — rzekł Czarny Rycerz — i niech twój pan przyśle nam wiadomość, co się dzieje w zamku. Pewnikiem skąpo mają ludzi: postawiłbym pięć przeciw jednemu, że kasztel zdobyć by można nagłym i gwałtownym natarciem. Ale czas ucieka, ruszaj więc.

— A my tymczasem — odezwał się Locksley — tak obstawimy zamek, że mucha się z niego nie wydostanie z wieściami. Zatem, przyjacielu — ciągnął dalej, zwracając się do Wamby — możesz upewnić tyranów, że jeśli włos spadnie z głowy ich więźniów, drogo im przyjdzie za to

zapłacić.

— *Pax vobiscum*/* — rzekł Wamba otulony już w szaty zakonne.

Mówiąc to, ruszył dostojnym i poważnym krokiem mnicha, by spełnić swe posłannictwo.

*/ *Pax vobiscum* (łac.) — pokój z wami.

XXVI

W gorącym koniu gaśnie skra,

A zimny ogniem prycha —

Mnich często gęsto błazna gra,

Błazenek zasię — mnicha.

Stara pieśń

Gdy błazen odziany w habit przepasany węzlastym sznurem stanął przed bramą zamku Bawolego Łba, strażnik zapytał go, jak się zowie i czego żąda.

— *Pax vobiscum* — odpowiedział mu błazen. — *Jestem ubogim braciszkiem z żebrzącego zakonu świętego Franciszka i przychodzę tu dopełnić obowiązków mego powołania względem nieszczęśliwych więźniów znajdujących się obecnie w tym kasztelu.*

— *Zuchwały z ciebie mnich* — odparł strażnik. — *Od dwudziestu lat, z wyjątkiem naszego zapijaczzonego spowiednika, nigdy żaden ptaszek o takim upierzeniu tu nie śpiewał.*

— *Proszę jeno, byś doniósł panu tego zamku, żem przybył* — odparł domniemany mnich. — *Nie lękaj się, przyjmie to dobrze; a ptaszek tak zaśpiewa, że cały zamek go usłyszy.*

— Słusznie — odparł strażnik — ale jeśli wystawię się na urągowisko, żem opuścił wartę dla ciebie, żebraku? Lepiej chyba będzie spróbować, czy strzała przeszyje twój habit.

Mimo tej groźby strażnik opuścił wieżyczkę, by zanieść do sali zamkowej niezwykle wieść o mnichu stojącym pod bramą i żądającym, by go natychmiast wpuszczono. Z niemałym zdziwieniem wysłuchał rozkazu swego pana, by wpuścić zaraz świątobliwego człeka, i przestrzegłszy strażę przy bramie przed zaskoczeniem, bez dalszej zwłoki wykonał rozkaz. Lekkomyślna zarozumiałość, która skłoniła Wambę do podjęcia się tej niebezpiecznej wyprawy, opuściła go prawie zupełnie, gdy znalazł się w obecności człowieka tak groźnego i budzącego przerażenie, jak Reginald Bawoli Łeb; z większym lękiem i wahaniem, niż czynił to dotychczas, wymówił słowa *Pax vobiscum*, na które liczył, że pomogą mu odegrać jego rolę. Ale Bawoli Łeb przyzwyczajony był, że ludzie wszelkich stanów drżeli przed nim, toteż bojaźliwość domnianego mnicha nie obudziła w nim podejrzeń.

— Kto jesteś i skąd przybywasz, ojczy? — zapytał.

— *Pax vobiscum* — powtórzył błazen. — Jestem pokornym sługą świętego Franciszka, a wędrując przez puszcze, wpadłem w ręce złoczyńców, jak o tym jest mowa w Ewangelii. Rozbójnicy ci wystali mnie do tego zamku, bym wypełnił duchowny obowiązek mego powołania względem dwóch osób skazanych na śmierć wyrokiem sądu waszej dostojności.

— To prawda — odparł Bawoli Łeb. — A czy mógłbyś mi powiedzieć,

świętobliwy ojcie, ilu jest tych zbójców?

— Mężny rycerzu — odpowiedział błazen — nomen illis legio.*

— Gadaj mi po prostu, ilu ich jest, bo ani habit, ani twój święty sznur cię nie obronią, podły klecho!

*— Niestety! — zawołał domniemany mnich. — Cor meum eructavit**, to znaczy, że o małym nie umarł ze strachu! Mniemam wszakże, iż razem łuczników i gminu będzie najmniej pięćset człeka.*

**/Nomen. illis legio (łac.) — imię ich jest legion (cytat z Ewangelii).*

***/ Cor meum eructavit (łac.) — serce moje zatrzęsło się ze strachu (cytat z psalmu Dawida).*

— Co? — wmieszał się do rozmowy templariusz wszedłszy w tej chwili do sali. — Tyle tu ściągnięto tych os? Czas wydusić to przeklęte plemię!

— I wzięwszy na bok Bawolego Łba, dodał: — Znaszli tego klechę?

— To obcy, z odległego klasztoru — odparł baron. — Nie znam go.

— Nie zwierzaj mu nic ustnie — powiedział templariusz. — Daj mu na piśmie rozkaz do wolnej kompanii de Bracy'ego, by natychmiast śpieszyła na pomoc swemu panu. A tymczasem, nie budząc podejrzeń w mnichu, pozwól mu spełnić jego obowiązek i niech przygotuje te saksońskie świnię na rzeź.

— Zrobię tak — odrzekł Bawoli Łeb i natychmiast rozkazał jednemu ze sług zaprowadzić Wambę do komnaty, gdzie zamknięto Cedryka i Athelstana.

Rozdrażnienie Cedryka nie zmniejszyło się, raczej wzrosło w zamknięciu. Chodził z jednego końca sali w drugi, zachowując się tak,

jakby chciał się rzucić na wroga lub szturmować obleganą twierdzę.

Czasem gadał coś do siebie, czasem zwracał się do Athelstana.

Ten zaś ze stoicką odwagą oczekiwał końca wydarzeń, trawiąc

tymczasem spokojnie obfity posiłek spożyty w południe i nie troszcząc

się zbytnio, jak długo potrwa niewola; uważał bowiem, że skończy się

jak wszelkie ziemskie zło, gdy się to Bogu spodoba.

— Pax vobiscum — rzekł błazen wchodząc do komnaty. — Niech was

błogosławi święty Dunstan, święty Dionizy, święty Dutok i wszyscy

święci, jacy kiedykolwiek istnieli.

— Wejdz śmiało — zaprosił Cedryk domniemanego mnicha. — Z czym tu

przychodzisz?

— Przygotować was na śmierć — odparł błazen.

— Niepodobna! — wzdrygnął się Cedryk. — Choć to zatwardziali

zbrodniarze, nie ośmielą się jednak popełnić otwarcie takiego

okrucieństwa!

— Bogać! — rzekł błazen. — Powstrzymać ich od zbrodni, odwołując się

do ich ludzkości, to jakby chcieć okiełznać ponoszącego konia uzdą z

jedwabnej nici. Zastanów się więc, szlachetny Cedryku, i ty, mężny

Athelstanie, jakie popełniliście grzechy, gdyż dziś jeszcze staniecie przed

sądem Najwyższego.

— Słyszysz, Athelstanie? — rzekł Cedryk. — Wnieśmy serca nasze w tej

ostatniej godzinie, lepiej bowiem umrzeć, jak przystoi mężom, niżli żyć

jako niewolnicy.

— Jestem gotów — odparł Athelstan — przyjąć najgorszy los, jaki ich

złość nam zgotuje. Pójdę na śmierć równie spokojnie, jakbym szedł do stołu.

— Tedy, świętobliwy ojcze, czyń swoją powinność — powiedział Cedryk.

— Jeszcze chwilkę, wujaszku — rzekł błazen zwykłym swym głosem. —

Lepiej zastanówmy się, zanim się zaczniemy hazardować.

— Dlaboga! — zawołał Cedryk. — Znam ten głos!

— Jest to głos twego wiernego poddańca i błazna — odparł Wamba odrzucając kaptur. — Gdybyś się był, panie, posłuchał przódziej rady błazna, nie byłbyś się tu znalazł. Posłuchaj więc jej ninie, a długo tu nie będziesz popasał.

— Jak to rozumiesz, błażnie? — zapytał Saksończyk.

— Ano tak — odparł Wamba. — Weź ten habit i sznur, bo to całe moje święcenia, i wyjdź spokojnie z zamku pozostawiwszy mi swoją opończę i pas, abym zamiast ciebie mógł przenieść się na tamten świat.

— Zamiast mnie! — wykrzyknął Cedryk zdumiony. — Ależ powieszą cię, biedaku, bez ochyby!

— Niech robią, co chcą — odparł Wamba. — Mniemam, że ci to, panie, nie ubliży, jeśli syn Przyglupka zawiśnie na stryczku z taką samą powagą, z jaką jego przodek wójt nosił łańcuch na szyi.

— Zgoda, Wambo — rzekł Cedryk. — Ale pomieniasz się na odzienie z lordem Athelstanem, nie ze mną.

— Nie, na świętego Dunstana! — zaprotestował Wamba. — Nie mam powodu tego czynić. Sprawiedliwą jest rzeczą, aby syn Przyglupka poświęcił się dla syna Harevarda, ale popełniłby głupstwo, gdyby

zginął dla tego, którego przodkowie niczym nie byli dla jego przodków.

— Nikczemniku! — zawołał Cedryk. — Przodkowie Athelstana byli królami Anglii!

— Mogli sobie być, czym chcieli — odparł Wamba — ale wolę mej głowy dla nich nie narażać. Zatem, mój dobry panie, albo przyjmij moją ofiarę, albo pozwól, bym opuścił ten zamek, wolny jak tu wszedłem.

— Niechaj stare drzewo zginie — mówił Cedryk — byle zachował się młody pęd, nadzieja lasu. Wierny Wambo, ocal szlachetnego Athelstana, to obowiązek każdego, w czyich żyłach płynie krew saksońska. Ty i ja stawimy razem czoło złości naszych podłych prześladowców, on zasię, wolny i bezpieczny, pobudzi ducha naszych rodaków do zemsty.

— Nie, ojcze — rzekł Athelstan ujmując dłoń Cedryka; gdy bowiem coś zdołało rozbudzić jego myśl i energię, postęпки i uczucia thana godne były wysokiego rodu, z jakiego pochodził. — Nie, wolałbym raczej cały tydzień przebywać w tej komnacie o więziennym chlebie i skąpej mierze wody niżli odzyskać wolność kosztem poddańca, który z dobrowoli chce się za swego pana ofiarować.

— Uważają was za mądrych ludzi — odezwał się trefniś — a ja jestem zbzikowanym błaznem; lecz teraz ciebie, wuju Cedryku, i ciebie, kuzynie Athelstanie, właśnie błazen rozsądzi i oszczędzi wam trudu dalszych ceremonii. Jestem jak ta kobyła Johna Ducka, która nikomu nie pozwala na siebie wsiąść, jeno swemu panu. Jam tu przyszedł ocalić mego chlebowodawcę, a jeśli on nie chce na to przystać, pójdę sobie do

domu. Przysługi nie można odrzucać z ręki do ręki niczym piłki. Ja dam się powiesić tylko za mojego rodzzonego pana.

— Idź więc, szlachetny Cedryku — rzekł Athelstan — korzystaj z tej sposobności. Twoja obecność może zachęci przyjaciół, by ruszyli nam na pomoc, a gdy zostaniesz, zginiemy wszyscy.

— A czy jest jaka nadzieja na pomoc z zewnątrz? — spytał Cedryk spoglądając na błazna.

— Nadzieja! — powtórzył Wamba. — Rzeknę ci jeno, że gdy przywdziejesz ten habit, stanie się on płaszczem wodza. Za murami stoi pięciuset ludzi, a dziś rano ja byłem jednym z ich wodzów. Moja czapka błazeńska była szyszakiem, a mój kaduceusz — buławą. Nie wiada tylko, czy zyskają zamieniwszy błazna na mądrego człeka. Boję się, prawdę mówiąc, by nie utracili na męstwie, zyskując na roztropności. Żegnaj więc, panie, bądź dobry dla Gurta i jego psa Fangsa; powieś moją czapkę błazeńska w wielkiej sali w Rotherwood na pamiątkę, że oddałem życie za mego pana jako prawy głupiec.

Ostatnie słowa wypowiedział trefniś na poły żartem, na poły poważnie.

Łzy stanęły w oczach Cedryka.

— Pamięć o tobie nie zaginie — rzekł — póki wierność i przywiązanie czczone będą na ziemi! Ale mam nadzieję, że znajdę sposób ocalenia Roweny i Athelstana, a także i ciebie, biedny mój Wambo; nie odstąpię ci tu pierwszeństwa!

Zamieniono już odzienie, gdy nagle Cedryka ogarnęły wątpliwości.

— Nie znam żadnego innego języka prócz mego własnego — rzekł —

oraz parę słów w tej ich przesadnej mowie normandzkiej. Jakże

uchodzić będę za wielebnego ojca?

— Sekret leży w dwóch słowach — odparł Wamba. — Pax vobiscum będzie odpowiedzią na wszystkie pytania. Czy idziesz, czy wracasz, czy jesz, czy pijesz, błogosławisz lub przeklinasz, słowa Pax vobiscum w każdym posłużą ci wydarzeniu. Te słowa dla mnicha są tak potrzebne jak miotła dla czarownicy lub laska czarnoksiężka dla czarodzieja.

Wymawiaj tylko te słowa ot, takim głębokim i poważnym głosem — pax vobiscum — a nie zawiedziesz się. Na wartę i strażników, na rycerzy i giermków, na pieszych i jezdnych słowa te działają jak zaklęcie.

Mniemam, że gdy mnie jutro będą prowadzić na szubienicę, choć niełatwo mi w to uwierzyć, popróbuję potęgi tych słów na tym, któremu powierzą wykonanie wyroku.

— Jeśli tak jest — rzekł Cedryk — snadnie wyświęcę mnie na mnicha.

Pax vobiscum!. Myślę, że zapamiętam to hasło. Dostojny Athelstanie, żegnaj i żegnaj mi też, biedny błaznie, którego serce więcej warte od umysłu. Ocalę was albo wrócę, by razem z wami zginąć. Królewska krew naszych saksońskich monarchów nie będzie wylana, póki moja własna płynie w mych żyłach; ani też włos nie spadnie z głowy zacnego człeka, który się poświęcił dla swego pana, o ile Cedryk będzie mógł temu zapobiec nawet z narażeniem swego życia. Żegnajcie!

— Żegnaj, szlachetny Cedryku! — zawołał Athelstan. — Pomnij, że chcąc dobrze odegrać rolę mnicha, nie wolno ci nigdy wzgardzić poczęstunkiem.

— Żegnaj, wujaszku — dodał Wamba. — I pamiętaj *pax vobiscum!*

Tak pożegnany, Cedryk ruszył w drogę i wkrótce nadarzyła mu się sposobność wypróbowania wszechmocnego zaklęcia polecanego mu przez błazna. W nisko sklepionym i mrocznym korytarzu, którym chciał się przedostać do głównej sali zamkowej, zatrzymała go nagle kobieca postać.

— *Pax vobiscum* — powiedział rzekomy mnich i usiłował ją wyminąć, gdy nagle usłyszał w odpowiedzi słodki głos: — *Et vobis; quaeso, domine reverendissime, pro misericordia vestra **.

— Nie dosłyszę trochę — odparł Cedryk po saksońsku, a jednocześnie mruknął do siebie: — Niech lichy porwie błazna z jego *pax vobiscum*. Zapomniałem od razu języka w gębie.

W owych czasach nie był wyjątkiem ksiądz nie znający łaciny, o czym dobrze wiedziała osoba, która przemówiła do Cedryka.

— Zlituj się, wielbny ojcze — powtórzyła w jego języku — i racz udzielić duchowej pociechy w tym zamku rannemu więźniowi. Okaż jemu i nam litość, jaka przystoi twojemu powołaniu. Dobry ten uczynek ściągnie błogosławieństwo na twój klasztor.

— Moja córko — odparł zakłopotany Cedryk — czas nie pozwala mi dopełnić tego obowiązku. Muszę natychmiast opuścić zamek, życie i śmierć zawisły od mojego pośpiechu.

— Przypominam ci jednak, ojcze, o twoich obowiązkach — odparła petentka. — Nie lza ci opuszczać w potrzebie uciemiężonych i zagrożonych nie udzieliwszy im rady lub pomocy.

— *Niech mnie diabeł porwie do Ifrinu razem z duszą Odyna i Tora! *** —

wykrzyknął Cedryk zniecierpliwiony i byłby zapewne dalej przeklinał, przestawszy udawać zakonnika, gdyby mu nie przerwał krzykliwy głos Urfrydy, starej jędzy z baszty.

— *Jakże to, kochaneczko* — zwróciła się do nieznajomej — *to ty mi się tak odwdzięczasz za pozwolenie opuszczenia twej więziennej celi? Twoja nachalność zmusza wielebnego ojca do używania grubych słów, byle się tylko pozbyć Żydówki.*

**/ Et v o bis; q u a e s o, domine reverendissime, pro misericordia vestra (łac.) — i z tobą; proszę cię, wielebny ojcze, o zlitowanie.*

— ***/ I f r i n — piekło, Odyn i Tor — bogowie z mitologii germańskiej.*

— *Żydówki!* — zawołał Cedryk korzystając z tej sposobności, by się uwolnić. — *Puść mnie, kobieto! Nie waz się mnie zatrzymywać!*

Niedawno odprawiałem mszę świętą, nie chcę więc, abyś mnie pokalala!

— *Chodź tędy, ojcze* — rzekła stara wiedźma. — *Nie znasz tego zamku i bez przewodnika nie uda ci się z niego wyjść. Chodź tędy, bo chcę ci coś rzec. A ty, córo przeklętego plemienia, wracaj do chorego i opiekuj się nim, póki nie wrócę; a biada ci, jeśli jeszcze raz opuścisz jego izbę bez mego pozwolenia.*

Rebeka odeszła. Usilnymi prośbami uzyskała od starej pozwolenie opuszczenia baszty; wiedźma użyła ją do posług, o jakich dziewczyna sama marzyła — mianowicie do pielęgnowania rannego Wilfryda Ivanhoe. Rozumiejąc grożące jeńcom niebezpieczeństwo i umiejac

korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, Rebeka spodziewała się jakiejś pomocy od kapłana, który, jak się dowiedziała od Urfrydy, dostał się do tej twierdzy bezbożności. Czatowała więc na powrót rzekomego księdza chcąc ubłagać go, by się wstawił za więźniami. Widzieliśmy, że jej się to nie powiodło.

XXVII

Po cóż, nędznico, po cóż mi twój głos?

Znam twoje zbrodnie, hańbę i twe czyny.

Mamy dowody — a ty znasz swój los.

Jeśli chcesz mówić — słucham. Zobaczymy.

O, ja mam żale odmiennej natury,

Stokroć straszniejsze od zbrodni i kar.

Jeśli mej duszy chcesz zmniejszyć tortury,

O, użycz ucha spowiedzi mych skarg.

Zwól, jeśli nie mam przyjacielskiej dłoni,

Niech chociaż ucho się ku mnie nakłoni.

G. CHABBE; Sala sprawiedliwości

Gdy Urfryda krzycząc i wygrażając odprawiła Rebekę z powrotem do komnaty rannego, poprowadziła Cedryka, który niechętnie za nią podążył, do małej izdebki i drzwi jej starannie za sobą zamknęła. Po czym wyjąwszy z szafy gąsior wina i dwa kubki, postawiła je na stole i powiedziała tonem raczej stwierdzającym fakt niż pytającym:

— Jesteś Saksończykiem, ojczu. Nie przecz — ciągnęła dalej,

zauważywszy, że Cedryk nie śpieszy się z odpowiedzią. — Dźwięk

ojczystego języka mile brzmi w mym uchu, choć rzadko go słyszę, i to chyba z ust nieszczęśliwych, pognębionych niewolników, których pyszni Normandowie zmuszają do najpodlejszych robót w tym zamku. Jesteś, ojcze, Saksończykiem i... wolnym człkiem, mimo że jesteś sługą Bożym.

— Czyż nigdy saksońscy księża nie odwiedzają tego kasztelu? — spytał Cedryk. — Wydaje mi się, że ich obowiązkiem jest pocieszać wyzutyh z mienia i uciskanych mieszkańców tego kraju.

— Nigdy tu nie bywają, a jeśli który się zjawi, to woli biesiadować u stołu zwycięzców — odparła Urfryda — niż słuchać narzekań swych rodaków; przynajmniej tak ludzie mówią, bo ja sama mało o tym wiem.

Kasztel ten od dziesięciu lat nie oglądał w swych murach żadnego księdza, prócz rozpustnego kapelana normandzkiego, który brał udział w nocnych hulankach Bawolego Łba, ale już dawno zszedł z tego świata, aby zdać rachunek ze swych uczynków. Ale że jesteś Saksończykiem — saksońskim księdzem — chcę cię o coś zapytać.

— Jestem Saksończykiem — odparł Cedryk — ałem niegodny, by mnie nazywano księdzem. Pozwól mi odejść. Przysięgam, że wrócę lub przyślę jednego z naszych ojców godniejszych wysłuchać twej spowiedzi.

— Zaczekaj jeszcze chwilę — rzekła Urfryda. — Głos, który teraz słyszysz, wkrótce zamilknie w grobie, ale nie chciałabym być pochowana jak zwierzę, choć żyłam jak zwierzę. Najpierw wino musi mi dodać odwagi, bym mogła wyznać wszystkie te okropności.

Nalała sobie kubek i wypila go chciwie, jakby się obawiała zostawić

choć kroplę.

— Wino oszołamia — rzekła podniósłszy oczy — ale nie pociesza. Napij się też, ojcze, jeśli chcesz mnie wysłuchać i nie paść zemdlony.

Cedryk byłby wolał nie brać udziału w tej posępnej pijatyce, lecz gest, jakim go starucha do niej zachęcała, wyrażał taką niecierpliwość i rozpacz, że uległ jej żądaniu i przepił do niej pełnym kubkiem. Wtedy rozpoczęła swą opowieść, jakby uspokojona nieco:

— Nie urodziłam się, ojcze, taką nędzarką, jaką mnie teraz widzisz.

Należałam do wolnego stanu, byłam szczęśliwa, szanowana, kochana i kochająca. Dziś jestem niewolnicą, nędzną i poniżoną; byłam igraszką namiętności moich panów, póki byłam urodziwa, a gdy moja piękność zwiędła, stałam się przedmiotem ich pogardy, drwin i niechęci. Czyż możesz się dziwić, ojcze, że pałam nienawiścią do ludzi, a przede wszystkim do narodu, który doprowadził mnie do tego stanu? Czyż ta pomarszczona, zgrzybiała wiedźma, jaką widzisz przed sobą i której gniew może się wyladować tylko w bezsilnych przekleństwach, może zapomnieć, że była kiedyś córką szlachetnego thana z Torquilstone, przed którym, gdy zmarszczył czoło, drżały tysiące wasali?

— Ty jesteś córką Torquila Wolfgangera? — zawołał Cedryk cofając się.

— Ty, ty jesteś córką tego szlachetnego Saksończyka, przyjaciela i towarzysza broni mego ojca?!

— Przyjaciela twego ojca! — powtórzyła Urfryda. — A więc to Cedryk stoi przede mną, gdyż szlachetny Harevard z Rotherwoodu jednego miał tylko syna, a imię jego dobrze jest znane jego rodakom. Lecz jeśliś

jest Cedrykiem z Rotherwood, skąd ten duchowny strój? Czyś zwątpił w ocalenie ojczyzny i szukałeś schronienia przed ciemżycielami w murach klasztoru?

— Mniejsza z tym, kim jestem — rzekł Cedryk. — Ciągnij dalej, nieszczęsna, twą opowieść o okropnościach i występkach. Musi ona mówić o występkach, bowiem to samo, że żyjesz i opowiadasz, jest już występkiem.

— Tak, tak — potwierdziła nieszczęsna kobieta. — Są to ciężkie, posępne, potępiania godne występki. Ciężą one na mej duszy jak kamień, a nie zmaże ich nawet pokutny ogień czyścica. Tak, w tych komnatach splamionych krwią niewinną mego ojca i braci, w tych samych komnatach byłam kochanką ich mordercy, niewolnicą, która dzieliła z nim rozkosze, każdy więc mój oddech był zbrodnią i przekleństwem.

— Nieszczęsna! — zawołał Cedryk. — Przyjaciele twego ojca i wszyscy prawi Saksończycy ilekroć modlili się za jego duszę i za dusze jego dzielnych synów, nie zapominali też westchnąć za zamordowaną Ulrykę. A kiedy wszyscy żalowali i czcili zmarłą, tyś żyła zasługując sobie na naszą nienawiść i wzgardę: żyłaś z tym podłym tyranem, który pomordował twych najbliższych i najdroższych, który przelał krew dzieci w obawie, aby żaden męski potomek szlchetnego rodu Torquilów Wolfgangerów nie pozostał przy życiu! Tyś z nim żyła, połączona więzami nieprawej miłości!

— Nieprawymi więzami istotnie, ale nie miłości! — odparła wiedźma. — Łatwiej znaleźć miłość w krainie wiecznego potępienia niż pod tym

przeklętym dachem. Nie, tego sobie nie mogę wyrzucić: nienawiść do Bawolego Łba i jego narodu rządziła zawsze mym sercem nawet w chwilach zbrodniczej rozkoszy.

— Nienawidziłaś go, a jednak żyłaś, podła! Czyż nie było sztyletu, noża, iglicy? Szczęście to dla zdrajczynie, która ceniła sobie takie życie, że normandzki zamek umie ukrywać swe tajemnice jak w grobie. Bo gdybym się był domyślał, że córka Torquila żyje w nieprawym związku z mordercą swego ojca, miecz prawdziwego Saksończyka byłby ją poraził nawet w ramionach kochanka.

— Czy byłbyś istotnie wymierzył tę sprawiedliwość rodowi Torquilów?

— spytała Ulryka, bo odtąd przestaniemy się posługiwać jej przybranym imieniem Urfrydy. — Jesteś więc tym prawym Saksończykiem, o którym dochodziły mnie wieści! Gdyż nawet w tych przeklętych murach, gdzie, jak słusznie powiedziałeś, nieprzenikniona tajemnica kryje zbrodnię, nawet tu powtarzano imię Cedryka, a mnie, acz winną i poniżoną, cieszyła myśl, że żyje choć jeden mściciel naszego narodu. Ja też nie przestawałam myśleć o pomście. Nieraz siałam niezgodę między naszymi nieprzyjaciółmi i rozniecałam w czasie pijatyk kłótnie, które doprowadzały do krwawych bójek. Patrzyłam na przelaną krew, słyszałam jęki konających! Spójrz na mnie, Cedryku! Czy na tej zeszpeconej i zwiędłej twarzy odnajdziesz wspomnienie rysów Torquila?

— Nie pytaj mnie o to, Ulryko — odparł Cedryk ze smutkiem połączonym z odrazą. — Jest to podobieństwo trupa powstałego z grobu

mocą szatańską!

— *Niechaj tak będzie* — *odparła Ulryka* — *ale te rysy szatańskie przywdziały maskę anioła światłości, kiedy udało mi się zasiać nienawiść między starym baronem a jego synem Reginaldem.*

Ciemności piekielne niech okryją to, co potem nastąpiło, ale zemsta uchyli zasłonę i wyjawia sprawy, o których zmarli mogliby opowiedzieć.

Długo tliło zarzewie niezgody między ojcem-tyranem a jego okrutnym synem; długo podsycalam tę wyrodną nienawiść, wybuchła wreszcie w czasie pijatyki i u własnego stołu mój prześladowca padł z ręki syna.

Taką tajemnicę kryją te sklepienia! Zawalcie się, przeklęte mury — dodała spoglądając w górę — i pogrzebcie pod swymi gruzami wszystkich, którzy znają tę okropną tajemnicę!

— *A jakież był twój los, nieszczęsna i występna* — *spytał Cedryk* — *po śmierci twego uwodziciela?*

— *Domyśl się, ale mnie nie pytaj. Mieszkałam tu, dopóki starość, przedwczesna starość, nie wyryła swego okropnego piętna na mej twarzy. Pogardzano mną i ubliżano mi tam, gdzie dawniej rozkazywałam; a moją zemstę, która dawniej miała tyle możliwości, musiałam ograniczyć do małostkowych złośliwości niezadowolonej sługi czy też do bezskutecznych przekleństw starej wiedźmy. Do mej samotnej baszty dochodziły już tylko odgłosy biesiad, w których ongiś brałam udział, lub krzyki i jęki nowych ofiar samowoli pana zamku.*

— *Ulryko* — *odezwał się Cedryk* — *z sercem, które, obawiam się, że jeszcze żałuje minionych chwil pomsty i postępków, które ci taką*

przyniosły nagrodę, jak śmiesz się zwracać do człowieka noszącego tę suknię? Zastanów się, nieszczęsna, co by dla ciebie mógł zrobić sam Edward Wyznawca, gdyby tu nagle stanął .we własnej osobie? Ten nasz święty król otrzymał od Boga władzę leczenia wrzodów ciała, lecz sam Stwórca tylko zdolny jest wyleczyć wrzody duszy.

— Nie odwracaj się ode mnie, ponury proroku pomsty! — zawołała starucha. — Powiedz mi, jeśli możesz, co wyniknie z tych nowych i strasznych uczuć wylętych w samotności? Czemu dawno popełnione zbrodnie stają mi przed oczami w całej swej grozie? Jakaż przyszłość czeka za grobem tę, której Bóg przeznaczył na tym świecie tak niewymownie okrutny los? Wolałabym powrócić do Wodana, Herthy, Zemebocka, Misty i Skoguli, do bogów naszych pogańskich przodków, niż przeżywać te okropne obawy, które ścigają mnie we śnie i na jawie.

— Nie jestem kapłanem — odparł Cedryk odwracając się ze wstrętem od tego obrazu występku, nędzy i rozpaczy. — Nie jestem kapłanem, choć noszę suknię duchownego.

— Czyś kapłanem, czy świeckim — zawołała Uiryka — jesteś jedynym człowiekiem bojącym się Boga i szanującym ludzi, któregom widziała od dwudziestu lat! Powiedz, czy mam się oddać rozpaczy?

— Polecam ci skruchę — odparł Cedryk. — Módl się, pokutuj, a może uzyskasz przebaczenie! Ale nie mogę i nie chcę dłużej z tobą pozostawać.

— Chwilę jeszcze — powiedziała Ulryka. — Nie opuszczaj mnie, synu przyjaciela mego ojca, obawiam się bowiem, by szatan, który mną całe życie rządził, nie zechciał mnie namówić do zemsty za twą Nielitościwą

pogardę. Czy sądzisz, że gdyby Bawoli Łeb znalazł w swym zamku

*Cedryka w takim przebraniu, pozwoliłby mu żyć? Już wzrok jego
spoczął na tobie jak sokół na upatrzonej zdobyczy.*

*— Niechaj tak będzie — rzekł Cedryk — niechaj mnie rozszarpie swym
dziobem i pazurami, zanim me wargi wymówią jedno słowo, którego by
nie potwierdziło serce. Umrę jak Saksończyk: wierny danemu słowu i
szczery w swych czynach. Usuń się, nie dotykaj mnie, nie zatrzymuj!
Widok Bawolego Łba nie jest mi tak wstrętny, jak widok spodlonej i
poniżonej istoty.*

*— Dobrze — powiedziała Ulryka przestając go zatrzymywać. — Idź i
zapomnij w swej dumie, że niegodna istota, stojąca przed tobą, jest
córką przyjaciela twego ojca. Idź swoją drogą; cierpienia oddaliły mnie
od ludzi, oddaliły od tych, od których mogłam się słusznie spodziewać
pomocy, toteż pozostanę samotna w mej zemście! Nikt mi nie pomoże,
ale świat cały sławić będzie to, co ośmielę się uczynić! Żegnaj! Twoja
pogarda zerwała ostatnią nić łączącą mnie z bliźnimi i zniweczyła
nadzieję, że moje cierpienia mają prawo do litości mego narodu.*

*— Ulryko — odezwał się Cedryk, wzruszony jej słowami — czemu żyjąc
tak długo wśród występków i nędzy, poddajesz się teraz rozpaczy, gdy
otwarły ci się oczy na twe zbrodnie i gdy powinnaś oddać się pokucie?*

*— Nie znasz serca ludzkiego, Cedryku. Aby tak działać, jak ja działałam,
myśleć, jak ja myślałam, trzeba pragnąć do szaleństwa rozkoszy i
łączyć to z nienasyconym pragnieniem zemsty oraz pragnieniem
władzy — są to uczucia tak upajające dla serca ludzkiego, że nie ma od*

nich silniejszych. Dawno już to przeminęło. Starość nie zna rozkoszy, zmarszczki nie mają na nikogo wpływu, nawet zemsta kończy się na bezsilnych przekleństwach. Po czym przychodzi całe wężowisko wyrzutów sumienia, gdy serce żałuje przeszłości i rozpacza nad przyszłością! Wreszcie, kiedy miną silne uczucia, stajemy się podobni do szatanów w piekle, którzy może odczuwają wyrzuty sumienia, ale nigdy skruchy. Lecz słowa twe odrodziły mą duszę. Słusznie powiedziałaś, że nie ma nic niemożliwego dla tego, kto się nie boi śmierci! Wskazałaś mi narzędzie zemsty i bądź pewien, że się nimi posłużę. Dotychczas zemsta dzieliła się mą zgubioną duszą z innymi namiętnościami, odtąd obejmie całkowicie władzę nade mną i sam przyznasz, że jakiegokolwiek było życie Ulryki, śmierć jej godna będzie córki szlachetnego Torquila.

Nieprzyjaciel oblega ten przeklęty zamek; śpiesz się poprowadzić wojska do szturm, a gdy zobaczysz czerwoną chorągiew wywieszoną na wschodniej baszcie, ostro zaatakujcie Normandów: dość będą mieli roboty wewnątrz zamku i może uda się wam wdrzeć na mury pomimo luków i katapult... Proszę cię, odejść już; idź za twym przeznaczeniem, a mnie pozostaw memu losowi.

Cedryk miał ochotę zażądać, by wytłumaczyła mu lepiej swoje zamiary, tak niejasno wyrażone, lecz rozległ się nagle ponury głos Bawolego Łba, który wołał:

— Czemu ten próżniak tak się ociąga? Na muszle z Compostelli, jeśli on się tu włóczy i buntuje mi służbę, zrobię z niego męczennika!*

— Zaiste, dobrym prorokiem jest nieczyste sumienie — rzekła Ulryka. —

Ale nie zważaj na niego, idź i wracaj do swoich. Daj znak Saksończykom do szturmu i każ im nucić pieśń wojenną, a zemsta moja będzie jej wtórować!

**/ Pielgrzymi wracając z Compostelli w Hiszpanii, gdzie znajdował się rzekomy grób św. Jakuba Apostoła, przynosili ze sobą na pamiątkę muszle zbierane nad morzem.*

Mówiąc to, znikła za tajemniczymi drzwiami, w chwili gdy Reginald wszedł do komnaty. Cedryk z trudem przemógł się i skłonił przed dumnym baronem, który w odpowiedzi pochylił z lekka głowę.

— Twoi penitenci, ojcze, długo ci się spowiadali. Tym lepiej dla nich, bo zapewne ostatnia to spowiedź w ich życiu. Czyś ich przygotował na śmierć?

— Zastąłem ich — powiedział Cedryk kulawą francuszczyzną — przygotowanych na najgorsze, wiedzą bowiem, w jakie się ręce dostali.

— Jakże to, braciszku? — zdziwił się rycerz. — Twoja mowa zalatuje mi nieco saksońskim językiem!

— Wychowałem się w klasztorze Świętego Witholda w Burton — odrzekł Cedryk.

— Ach — zawołał baron — lepiej by było dla ciebie, a także i dla mnie, gdybyś był Normandem, ale nie mogę przebierać! Ten klasztor Świętego Witholda w Burton to gniazdo puszczyków, które warto przepłoszyć. Wkrótce nadejdzie chwila, gdy habit, tak jak i zbroja, nie obroni już Saksończyka.

— Niech się dzieje wola boża — odparł Cedryk głosem drżącym z

gniewu, co baron przypisał bojaźni.

— Widno — odpowiedział — myślisz już o tym, jak nasi zbrojni wędrują się do refektarza i piwnicy twego konwentu. Ale jeśli trochę czasu przeznaczonego na modlitwy mnie poświęcisz, to cokolwiek by spotkało innych braci, będziesz mógł spać spokojnie w twojej celi jak ślimak w skorupie.

— Rozkazuj — rzekł Cedryk z tłumionym wzruszeniem.

— Pójdź za mną tym przejściem, bym cię mógł wypuścić tajną furtką.

Prowadząc rzekomego mnicha rycerz pouczał go, co ma czynić.

— Widzisz tam, imć klecho, to stado wieprzów saksońskich otaczających zamek Torquilstone? Napleć im, co ci ślina na język przyniesie, o słabym ubezpieczeniu tej warowni czy coś innego, byleby ich zatrzymać tutaj na dwadzieścia cztery godziny. A tymczasem zaniesiesz to pismo... Czy biegle czytasz, imć klecho?

— Nic oprócz mego brewiarza — odparł Cedryk. — Jego litery znam, boć na pamięć umiem święte słowa, dzięki Najświętszej Marii Pannie i świętemu Witholdowi!

Takiego mi trza posłańca. Zaniesiesz to pismo do zamku Filipa de Malvisin, powiesz, że przychodzisz ode mnie, a list pisał templariusz Brian de Bois-Guilbert, i że go proszę, aby spiesznie, co koń wyskoczy, pismo to przesłał do Yorku. Powiedz mu też, żeby był o nas spokojny, bo siedzimy za tymi murami zdrowi i cali. Wstyd, że musimy się tak kryć przed gromadą nicponiów, którzy zwykli uciekać na widok naszej chorągwi lub słysząc tętent naszych koni. Powtarzam ci, klecho, obmyśl

jaki fortel, by tych łotrów powstrzymać, póki nasi przyjaciele nie przyjdą nam na pomoc. Zemsta moja czuwa, a jest ona jak sokół, co nie zadrzemie, póki się nie nasyci.

— Na mego świętego patrona! — wykrzyknął Cedryk z większym zapalem, niż wymagała jego rola. — Na wszystkich świętych, co żyli i umierali w Anglii, rozkaz twój zostanie wykonany! Ani jeden Saksończyk nie odejdzie spod tych murów, jeśli tylko zdołam mą namową ich zatrzymać.

— Ha! — zawołał rycerz. — Zmieniłeś ton, klecho, przemawiasz krótko i odważnie, jakbyś pragnął zguby tej zgrai saksońskiej, a przecież jesteś z ich rodu.

Cedryk nie był biegły w sztuce udawania i w tej chwili przydałaby mu się rada bardziej pomysłowego Wamby. Lecz, jak powiada dawne przysłowie, potrzeba jest matką wynalazków, mruknął więc coś pod nosem, że ci ludzie byli łotrami wyklętymi zarówno przez Kościół, jak i przez państwo.

— Dalibóg — potwierdził Bawoli Łeb — masz słuszność; zapomniałem, że te łotry umieją tak obedrzeć tłustego opata, jak gdyby się urodzili po tamtej stronie kanału. Wszakże to przeora z Saint Ives przywiązali do dębu i zmusili, by odśpiewał mszę, podczas gdy oni przetrząsali jego łuby i tłumoki. Chociaż nie, na Najświętszą Pannę! Żart ten wymyślił nasz towarzysz broni Gaultier z Middletonu. Ale za to Saksończycy obrabowali kaplicę w Saint Bees z kielichów i lichtarzy, nieprawdaż?

— To byli iście bezbożnicy — odparł Cedryk.

— *Aj! I wypili też najlepsze wino i piwo, chowane przez was na tajne pohulanki, kiedy udajecie zajętych wigiliami i prymariami! Klecho, musisz pomścić takie świętokradztwo.*

— *Tak, zaprzysiągłem pomstę — szepnął Cedryk. — Święty Withold widzi moje serce.*

Tymczasem baron zaprowadził go do tajnej furtki, gdzie przeszli po desce na drugą stronę fosy i dostali się do małego barbakanu, czyli zewnętrznego bastionu, skąd było wyjście na świat zewnętrzny przez dobrze ubezpieczoną bramę.

— *Ruszaj więc — rzekł Bawoli Łeb — a jeśli wypełnisz moje polecenie i powrócisz tutaj, będziesz mógł kupić saksońską padlinę taniej niżli w Sheffield wieprzowinę w jatkach. Słuchaj, zdajesz się ochoczym mnichem, wróc więc tu po szturmie, a dostaniesz tyle małmazji, że cały klasztor mógłbyś nią upoić.*

— *Spotkamy się znów bez ochyby — odparł Cedryk.*

— *Tymczasem naści — ciągnął Normand i gdy rozstawali się przy furcie, Cedryk musiał, acz niechętnie, przyjąć z rąk barona złotego bizanta.*

— *Pomnij, że jeśli na zdradzie mi staniesz — dodał Reginald — obedrę cię z habitu i ze skóry.*

— *Daję ci na to moje zezwolenie — odparł Cedryk przekroczywszy furkę i rażnym krokiem ruszając w pole — gdyż jeśli się spotkamy, nie będę zasługiwać na nic lepszego z twojej ręki.*

Odwrócił się ku zamkowi i rzucił pieniądz w stronę ofiarodawcy,

wołając:

— *Normandzki zdrajco, zgiń jak ten pieniądz!*

Bawoli Łeb nie dosłyszał tych słów, ale ruch wydał mu się podejrzany.

— *Łucznicy — zawołał do wart na wałach — puśćcie strzałę w ten habit!*

Choć lepiej zaczekajcie — dodał, gdy zaczęli naciągać łuki. — Na nic się

to nie zda. Musimy mu zawierzyć, gdy nie możemy się kim innym

posłużyć. Sądzę, że nie ośmieli się nas zdradzić; w najgorszym razie

będę paktował z tymi saksońskimi psami, które mam zamknięte w

psiarni. Hola! Gilbercie, przyprowadź mi z więzienia Cedryka z

Rotherwoodu, a także i tego drugiego, jego towarzysza, tego z

Coningsburgha — Athelstana czy jak go tam zwą... Te ich plugawe

imiona nie dadzą się wymówić ustami Normanda i pozostawiają smak

zjełczalej słoniny. Idź po gąsior wina, abym sobie przepłukał usta, jak

powiada wesoły książę Jan. Zanieś go do zbrojowni i tam przyprowadź

więźniów.

Wypełniono jego rozkazy i gdy Bawoli Łeb wszedł do gotyckiej sali

ozdobionej licznymi trofeami, które zdobył jego ojciec i on sam, zastał

na ciężkim, dębowym stole gąsior wina oraz dwóch swych saksońskich

jeńców pod strażą czterech pacholków. Rycerz pociągnął spory haust

wina i zwrócił się do więźniów. Nie spostrzegł przy tym, że wymknął

mu się najważniejszy z jego jeńców, gdyż Wamba nacisnął czapkę

głęboko na oczy, odmieniła go też szata, a baron w słabym i

niewyraźnym oświetleniu nie mógł odróżnić go od Cedryka, którego

mało znal. Saksończyk unikał bowiem normandzkich sąsiadów i rzadko

wyjeżdżał poza granice swych dóbr.

— Mężni rycerze angielscy — odezwał się Bawoli Łeb — jak wam się podoba wasz pobyt w Torquilstone? Czy wiecie, na co zasługuje wasze zuchwalstwo i zarozumiałość okazywane na biesiadzie księcia Andegaweńskiego? Czyście już zapomnieli, jak zapłaciliście za niezasłużone szczęście gościny u księcia Jana? Przez Boga żywego i świętego Damiana, jeśli nie złożycie mi bogatego okupu, powieszę was za nogi na kratkach żelaznych w tych oknach, by jastrzębie i wrony odziobały was do kości! Gadajcie, psy saksońskie, co mi dacie za wasze nędzne życie? Ty, panie na Rotherwood, odpowiadaj!

— Ani grosza — odparł Wamba. — Od kołyski nosiłem głowę do góry, ale mówią, że zawsze miał kielbie we łbie; może jak mnie powieszysz głową na dół, wszystko się w niej ułoży?

— Święto Genowefo! — zawołał Bawoli Łeb. — Ki diabeł to?

I wierzchem dłoni zrzucił czapkę Cedryka z głowy błazna, po czym, rozchyliwszy jego opończę, ujrzał srebrną obrozę z nieszczęsną oznaką poddaństwa.

— Gilbercie, Klemensie, psie syny! — wrzeszczał Normand. — Kogoście mi tu przywiedli?!

— Mniemam, że będę mógł ci to powiedzieć — rzekł wchodząc do sali de Bracy. — To błazen Cedryka, który tak dzielnie startł się z Izaakiem z Yorku o pierwszeństwo na trybunach.

— Rozsądzę ich — odparł Bawoli Łeb. — Powieszę obu na jednej szubienicy, chyba że jego pan i ten wieprz z Coningsburgha złożą mi

okup za ich życie. Ale to najmniejsze, co mi dadzą: muszą zabrać stąd ten motłoch, co oblega mój zamek, muszą podpisać zrzeczenie się swych domniemanych przywilejów i uznać się za naszych poddanych i lenników. Niech się uważają za szczęśliwych, jeśli w tym nowym ładzie, jaki ma zapanować, pozwolimy im oddychać. Idź — zwrócił się do jednego ze sług — sprowadź mi tu prawdziwego Cedryka, a przebaczę ci tym razem, tym bardziej żeś wziął głupca za saksońskiego franklina.

— Tak — odezwał się Wamba — wasza rycerska mość znajdzie tu łącno więcej głupców niżli franklinów.

— Co on mówi? — spytał Bawoli Łeb spoglądając na sługi, ale ci, ociągając się, wyjąkali niechętnie, że jeśli stojący przed nimi człek nie jest Cedrykiem, to oni nie wiedzą, co się z franklinem stało.

— Wszyscy święci! — zawołał de Bracy. — Musiał umknąć w przebraniu mnicha!

— Do wszystkich diabłów z piekła! — zawtórował mu Bawoli Łeb. — A ja tego wieprza z Rotherwood sam odprowadziłem do furtki i własnymi rękami go wypuściłem! Ty zaś — zwrócił się do Wamby — głupotą swoją zwiodłeś większych jeszcze durniów od ciebie. Poczekaj, wyświęcę ja cię, wygolę ci tonsurę na głowie! Nuże, zedrzyjcie mu skórę z głowy, a potem zrzucicie go z murów! Twoim zawodem jest strojenie żartów — zali potrafisz teraz żartować?

— Juści, przecie obejdiesz się ze mną nie najgorzej, szlachetny rycerzu

— wyjąkał pochlipując biedny Wamba, który nie przestawał błaznować nawet w obliczu śmierci. — Boć jeśli mi dasz taką czerwoną czapkę,

uczynisz prostego mnicha od razu kardynałem.

— Nieborak — rzekł de Bracy — chce umrzeć wierny swemu powołaniu.

Reginaldzie, oszczędź go. Daruj mi go dla zabawy mej wolnej kompanii.

Co na to powiesz, błaznie? Zbierz odwagę i chodź ze mną na wojnę.

— Ale tylko za pozwoleniem mego pana — odparł Wamba — bo widzisz, nie mogę zdjąć tego naszyjnika (tu dotknął swej obroży) bez jego zgody.

— Och, normandzki pilnik z łatwością rozetnie saksońską obrozę — zaśmiał się de Bracy.

— Ach, szlachetny panie — rzekł Wamba — stąd pochodzi przysłowie:

Normandzka pita w angielskiej dąbrowie,

Normandzkie jarzmo na angielskiej głowie,

Normandzka łyżka na angielskiej misie,

Normandzkie w Anglii rządzi widzimisie.

Tak długo w Anglii śmiech nie będzie w cenie,

Póki tych czterech Anglik nie wyżenie.

— Dobrze sobie poczynasz, de Bracy — rzekł Bawoli Łeb — słuchając

bredni błazna, kiedy grozi nam zguba! Czyli nie miarkujesz, że

zostaliśmy wyprowadzeni w pole i że przez tego błazna, z którym się tak

pokumałeś, nie zniesiemy się z naszymi przyjaciółmi? Jeno patrzeć,

kiedy do szturmu ruszą!

— Na mury więc! — zawołał de Bracy. — Zalim się kiedy sumował przed

bitwą? Zawołaj templariusza, niech broni swego życia z męstwem

choćby o połowę mniejszym, niż kiedy bronił swego zakonu, Ruszże swe

grube cielsko i stań na murach. A ja też po swojemu uczynię, co będę

mógł. *Baczę, iż tym saksońskim zbójcom równie niesporo będzie się dostać do zamku Torquilstone, jak wdrzeć do nieba. Chcecie paktować z tymi zbójcami, to użyjcie tego godnego franklina, co się jeno gapi na gąsior z winem. Hej, Saksończyku — zwrócił się do Athelstana podając mu kielich*

— *popłucz sobie gardło tym szlachetnym trunkiem, a podniósłszy się na duchu, gadaj, co nam dasz za wypuszczenie cię na wolność?*

— *Co tylko w mocy śmiertelnego człeka — odparł Athelstan — byleby to przystało mężowi. Puść mnie wolno z towarzyszami, a zapłacę ci okup tysiąca marek.*

— *A czy prócz tego przyobiecasz, że ten motloch, który oblega zamek wbrew prawom boskim i królewskim, odstąpi od murów?*

— *Będę usiłował ich do tego nakłonić — odparł Athelstan — i nie wątpię, że rycerz Cedryk mi w tym pomoże.*

— *A zatem zgoda — rzekł Bawoli Łeb — ty i, twoi będziecie zwolnieni i pokój ma zapanować między nami, gdy złożysz tysiąc marek. To okup bardzo niewielki, Saksończyku, i wdzięczność nam winieneś za takie umiarkowanie. Ale zważ, że ugoda nie obejmuje Żyda Izaaka.*

— *Ani jego córki — dodał templariusz, który wszedł w tej chwili do sali.*

— *Nie należą przecie do twej saksońskiej kompanii — zauważył Bawoli Łeb.*

— *Nie byłbym godny imienia chrześcijanina, gdybym to twierdził — odparł Athelstan. — Możecie postąpić z niewiernymi, jak chcecie.*

— *Okup nie obejmuje też lady Roweny — odezwał się de Bracy. — Nikt*

nie powinien gadać, że zdołał wyrwać mi z rąk taką zdobycz, a ja jej nie broniłem orężnie.

— Nie oddam także — dorzucił Bawoli Łeb — tego przeklętego błazna, którego zatrzymam dla przykładu, aby poddańce nie ośmiały się żartować z rzeczy poważnych.

— Lady Rowena — przerwał Athelstan ze spokojem — jest moją narzeczoną. Snadziej rozerwalibyście mnie dzikimi końmi, niżlibym miał się jej wyrzec. Poddaniec Wamba zaś ocalił dziś życie mego ojca Cedryka, prędzej więc zginę, niż ścierpię, aby jeden włos spadł mu z głowy.

— Twoja narzeczona! Lady Rowena narzeczoną takiego wasala! — zawołał de Bracy. — Marzy ci się, Saksończyku, że powróciły czasy, gdy panowaliście nad siedmioma królestwami. Powiadam ci, że książęta z andegaweńskiego domu nie oddają dziewic, którymi się opiekują, ludziom z takiego, jak twój, rodu!

— Pyszny Normandzie — odparł Athelstan — pochodzenie mego rodu jest starsze i czystsze od pochodzenia Francuza, który zarabia na życie, sprzedając krew hordy złoczyńców, zgromadzonych pod jego nikczemnym sztandarem. Mymi przodkami byli królowie odważni na wojnie i mądrzy w radzie, którzy codziennie gościli przy swym stole więcej setek dworzan, niżli ty liczysz ludzi w swym hufcu; opiewali ich minstrele, a prawa ich spisali Witenagemoci; kości ich pochowano uroczyście wśród modłów świętych, a nad ich grobami wzniesiono świątynie.*

**/ Witenagemoci — „rada mędrców”; był to tytuł najwyższej rady za czasów anglo-saksońskich.*

— Masz, na coś zasłużył, de Bracy — rzekł Bawoli Łeb, zadowolony z odprawy, jaka spotkała jego towarzysza. — Saksończyk celnie trafił.

— Tak celnie, jak może trafić niewolnik — odparł de Bracy z pozorną niedbałością — który, mając ręce spętane, może jednak swobodnie obracać językiem. Lecz — zwrócił się do Athelstana — gładka twoja mowa nie zwróci wolności lady Rowenie.

Na to Athelstan, który rzadko mówił tak długo, nawet o sprawach najbardziej go obchodzących, nie dał żadnej odpowiedzi.

Rozmowę przerwało przybycie żołnierza zawiadamiającego, że jakiś mnich przy tylnej furcie pragnie, by go wpuszczono.

— Na świętego Bernarda, księcia wszystkich tych straszydeł! — zawołał Bawoli Łeb. — Czy to prawdziwy mnich, czy może znów jakiś oszust?

Obszukajcie go, sługi, bo jeśli się dacie po raz wtóry otumanić, wydrę wam oczy, a w oczodoły wsadzę rozżarzone węgle.

— Niech twój gniew spadnie na mnie, panie — rzekł Gilbert — jeśli to nie prawdziwy klecha. Twój giermek, Jocelin, zna go dobrze i przysięga, że jest to Ambroży, mnich z orszaku opata z Jorvaulx.

— Wpuścić go — rzekł Bawoli Łeb. — Pewnie przynosi nam wieści od swego wesołego pana. Widać diabeł świętuje, więc klechy nie mają nic do roboty i włóczą się po kraju. Odprowadź więźniów, a ty, Saksończyku, rozważ to, coś usłyszał.

— Żądam — powiedział Athelstan — odpowiedniego pomieszczenia,

dobrej strawy i wygodnego łoża, jakie przystoją mi stosownie do mego stanowiska i jakie się należą komuś, kto prowadzi układy o okup. Nadto wyzywam tego, który się poczytuje za najmężniejszego spośród was, by w pojedynczej walce zapłacił mi za pozbawienie mnie wolności.

Wyzwanie to posłałem wam już przez waszego krajczego: obowiązkiem twoim jest mi na nie odpowiedzieć. Oto moja rękawica.

— Nie stanę memu brańcowi — odparł Bawoli Łeb — ani ty nie powinieneś mu stanąć, de Bracy. Gilbercie — ciągnął — powieś rękawicę franklina na gałęzi tego jeleniego rogu, niech tam wisi, póki Saksończyk nie wyjdzie na wolność. Wówczas, jeśli się ośmieli upomnieć o nią lub będzie twierdził, że bezprawnie został uwięziony, na pas świętego Krzysztofa, będzie miał do czynienia z rycerzem, który nigdy jeszcze nie odmawiał spotkania z wrogiem pieszo lub konno, sam lub na czele swych wasali!

Wyprowadzono saksońskich więźniów w chwili, gdy do sali wchodził mnich Ambroży, wielce, zdawało się, strwożony.

— Oto prawdziwy pax vobiscum — rzekł Wamba przechodząc obok wielebnego ojca. — Tamci byli tylko marnym naśladownictwem.

— Najświętsza Panno! — zawołał mnich widząc zebranych rycerzy. — Jestem wreszcie bezpieczny i wśród chrześcijan!

— Jesteś bezpieczny — odparł de Bracy — a z chrześcijan jest tu mężny baron Reginald Bawoli Łeb, który brzydzi się Żydami, oraz dobry rycerz zakonny, templariusz Brian de Bois-Guilbert, którego rzemiosłem jest zabijanie Saracenów. Jeślić te oznaki dobrych

chrześcijan nie wystarczają, nie umiem ci wskazać innych.

*— Jesteście, panowie rycerze, druhami i sprzymierzeńcami naszego
wielebnego ojca w Bogu, Aymera, opata z Jorvaulx — powiedział mnich
nie zwracając uwagi na ton odpowiedzi de Bracy'ego — winniście mu
więc okazać wierność rycerską i miłosierdzie...*

*— Bracie — rzekł templariusz — wszystko to wiemy lub domyślamy się
tego; powiedz tedy po prostu, czy twego przełożonego, opata Aymera,
uwięziono i kto to uczynił?*

— Prawdziwie — odparł Ambroży — wpadł w ręce synów Beliala/,
napastujących podróżnych w tych lasach, którzy postępują wbrew
świętemu słowom psalmu: „Nie dotykaj się mego pomazańca i nie czyn
nic złego moim prorokom”.*

**/ Belial — szatan.*

*— Oto, panowie, nowe zadanie dla naszych mieczów — rzekł Bawoli Łeb
do towarzyszy. — Miasto udzielić nam pomocy, opat z Jorvaulx wzywa
nas na ratunek. Widzicie, na co się człękowi zdadzą te kościelne lenie,
gdy sam ma pełne ręce roboty! Ale powiadaj, ojcze, co rychlej, czego
twój pan oczekuje od nas?*

*— Za pozwoleniem, panowie rycerze — odparł Ambroży — gwałt
uczyniono memu wielebnemu opatowi: wbrew świętym nakazom,
przytoczonym przeze mnie, dzieci Beliala złupiły jego łuby i tłumoki,
zabrały mu dwieście marek czystego złota, a prócz tego żądają
ogromnej sumy za wypuszczenie go ze swych pogańskich łap. Wielebny
więc nasz ojciec w Bogu prosi was, swych ukochanych druhów, byście*

go wyzwolili płacąc za niego okup czy też z bronią w rękę, wedle waszego wyboru.

— Niech wszyscy diabli porwą opata! — zawołał Bawoli Łeb. — Musiał chyba dziś rano tęgo sobie tyknąć! Zali twój pan słyszał kiedy, by normandzki baron rozwiązał swój mieszek dla ratowania klechy, który ma trzos dziesięć razy cięższy? I jakże możemy go uwolnić z bronią w rękę, gdy jesteśmy otoczeni w zaniku przez dziesięciokrotnie przeważające siły i każdej chwili spodziewamy się szturmu?

— I o tym też miałem wam powiedzieć — odezwał się mnich — gdyby wasza niecierpliwość nie była mi przeszkodziła. Niech Bóg mi wybaczy, ale nie jestem już młody, a widok tych złoczyńców pomieszał rozum starca. Iście prawdą jest, że zakładają obóz i sypią szanice naprzeciw murów zamku.

— Na mury! — wykrzyknął de Bracy. — Spójrzmy, co te łotry robią! Mówiąc to, otworzył okratowane okno, które prowadziło na rodzaj wykuszu czy wysuniętego ganku, i stamtąd zawołał do pozostałych w komnacie towarzyszy:

— Na świętego Dionizego, mnich prawdę gada! Nieprzyjaciel podsuwa wieże oblężnicze kryjąc się za pawężę, a łucznicy zgromadzili się pod lasem jak ciemna chmura zapowiadająca burzę gradową.

Reginald Bawoli Łeb wyjrzał też na pole i natychmiast chwycił za róg. Zadął w niego długo i głośno, rozkazując swym ludziom zająć stanowiska na murach.

— De Bracy, pilnuj wschodniej strony, tam gdzie mury są najniższe! Ty

zaś, dostojny panie de Bois-Guilbert, nauczyłeś się w twym rzemiośle wojennym, jak atakować i bronić, czuwaj więc nad zachodnią stroną twierdzy. Ja sam obejmę dowództwo barbakanu. Ale, przyjaciele, nie ograniczajcie się do obrony jednego tylko punktu! Dziś musimy być jednocześnie wszędzie, musimy się, o ile możliwości, dwoić i troić, by nieść pomoc i odsiecz, gdzie wrzeć będzie najgorętsza walka. Niewielu nas jest, ale pomnoży naszą liczbę ruchliwość i męstwo, zwłaszcza że mamy do czynienia z podłym chłopstwem.

— Szlachetni rycerze! — zawołał ojciec Ambroży wśród wrzawy i zamieszania spowodowanego przygotowaniami do obrony. — Czy nikt z was nie chce wysłuchać zaleceń wielebnego ojca w Bogu, Aymera, opata z Jorvaulx? Błagam cię, wysłuchaj mnie, szlachetny panie Reginaldzie!

— Wolej zanieść do nieba twe błagania — odparł srogi Normand — bo tu na ziemi nie mamy czasu ich słuchać. Hola! Anzelmie! Nagotuj wrzącą smołę i olej, będziemy je lać na głowy tych zuchwałych zdrajców. Miej baczenie, by nie zabrakło strzał do kusz! Wywieście moją chorągiew ze starodawnym godłem Bawolego Łba: niech te łotry wiedzą, z kim mają do czynienia. Ale mnich usiłował dalej zwrócić na siebie uwagę. — Zważ na mój ślub posłuszeństwa — ciągnął — i zezwól, szlachetny rycerzu, bym ci objawił posłanie mego przełożonego.

— Precz z tym gadatliwym niemrawcem! — rozgniewał się Reginald. — Zamknijcie go w kaplicy, niech tam odmawia różaniec, póki się to zamieszanie nie skończy. Niezwykła to będzie rzecz dla świętych słyszeć

*w Torquilstone odmawiane zdrowaśki i ojczenaszki: nikt ich tak nie
czcił u nas, odkąd wykuto ich z kamienia.*

— Nie bluźnij świętym, Reginaldzie — odezwał się de Bracy. —

*Będziemy potrzebowali dzisiaj ich pomocy, póki nie uporamy się z tą
bandą łotrów.*

*— Nie liczę na ich pomoc — odparł Bawoli Łeb — chyba żebyśmy te
ciężkie posągi zrzucili z murów na głowy łajdaków. Jest tam ogromny
święty Krzysztof, którym można by ubić cały hufiec.*

*Tymczasem templariusz przyglądał się krzątaniu oblegających z
większą uwagą niż prostacki Reginald czy też jego lekkomyślny
towarzysz.*

*— Wierzcie mi — rzekł — ludzie ci podchodzą pod mury w większym
porządku, niż można się było po nich spodziewać. Spójrzcie, jak
przemysłnie wykorzystują ochronę każdego drzewa czy krzaka, jak
umieją się kryć przed pociskami naszych kusz. Nie widzę wśród nich ani
chorągwi, ani proporca, ale założyłbym się o mój złoty łańcuch, że
dowodzą nimi jakiś rycerz czy szlachcic biegły w rzemiośle wojennym.*

*— Wypatrzyłem go już — rzekł de Bracy. — Widzę czub na jego hełmie i
połysk jego zbroi. Spójrz na tego wysokiego w czarnej kolczudze:
ustawia dalsze oddziały tej hołoty. Na świętego Dionizego, miarkuję, iż
to ów rycerz przezwany przez nas Czarnym Gnuśnikiem. On to w
szrankach w Ashby zwałił cię z konia, Reginaldzie!*

*— Tym lepiej, że się tu zjawił — powiedział Bawoli Łeb. — Będę mógł
wywrzeć na nim pomstę. Musi to być jakiś podły tchórz, jeśli się nie*

ośmielił pozostać i upomnieć o nagrodę, trafem przez niego zdobytą. Po próżnicy szukałbym go tam, gdzie rycerze i szlachta mogą znaleźć swych wrogów, i cieszę się, że pokazał się tu wśród tej chłopskiej hołoty. Przygotowania nieprzyjaciela do bezzwłocznego szturmu przerwały dalsze rozmowy. Rycerze odeszli na swe stanowiska na czele nielicznych zbrojnych, jakich udało im się w zamku zebrać i których liczba była niewystarczająca, by obsadzić całą długość murów. Mimo to odważnie i ze spokojem czekali na szturm,

XXVIII

Ci koczownicy odcięci od świata

Z wiedzą i sztuką żyją w zażyłości.

Bór, morze, puszcza, gdzie wiodą ich drogi,

Chętnie im swoje ukazują skarby,

A dzikie zioła zebrane ich ręką

Nieprzeczuwane objawiają siły.

CH. MARLOWE: Żyd z Malty

Musimy się teraz cofnąć nieco wstecz, by opowiedzieć czytelnikowi

pewne szczegóły, które powinien znać, by móc zrozumieć dalszy ciąg tej

historii. Wszyscy zapewne domyślają się, że gdy Ivanhoe upadł i zdawał

się opuszczony przez bliskich, Rebeka uprosiła ojca, by kazał przenieść

mężnego junaka ze szranków do oberży, którą Żydzi zajmowali

czasowo na przedmieściu Ashby.

W innych okolicznościach bez trudu namówiłaby do tego Izaaka, który

był litościwy z natury i umiał się odwdzięczyć za wyświadczoną

przysługę. Ale Żyd nie był też pozbawiony przesądów i odznaczał się wielką lęklivością, cechującą jego prześladowany naród, i to należało przewyciężyć.

— Błogosławiony Abrahamie! — zawołał. — To zacny młodzieniec i serce mi się kraje, gdy widzę, jak krew płynie po jego bogato haftowanej jace i kosztownym pancerzu. Ale jakże mamy go przenieść do naszego domu? Czyś się nad tym, córko, zastanowiła? To chrześcijanin, a wedle naszych praw nie wolno nam obcować z cudzoziemcami i chrześcijanami, chyba że handel tego wymaga.

— Nie mów tak, drogi ojcze — rzekła Rebeka. — Nie powinni byśmy się z nimi zadawać w czasie uczt i zabaw, ale gdy są ranni i nieszczęśliwi, chrześcijanie stają się braćmi Żydów.

— Chciałbym znać w tej materii zdanie rabiego Jakuba ben Tudela — odparł Izaak. — Jednakże nie mogę pozwolić, by ten zacny młodzieniec wykrwawił się na śmierć. Niech Set i Ruben zanoszą go do Ashby.

— Nie, niech położą go w mojej lektyce — sprzeciwiła się Rebeka — a ja dosiędę jednego z wierzchowców.

— Narazisz się na spojrzenia tych psów z rodu Izmaela i Edoma — szepnął Izaak patrząc podejrzliwie na tłum rycerzy i giermków.

Ale Rebeka zajęta już była wykonywaniem swego miłosiernego uczynku i nie słuchała, co ojciec mówi. Izaak chwycił ją za rękaw płaszcza i rzucił pośpiesznie:

— Na brodę Aarona! A co będzie, jeśli młodzieniec zemrze? Jeśli się to stanie, gdy będzie pod naszą opieką, będziemy odpowiadać za jego

śmierć i tłum nas rozszarpie na sztuki!

— On nie umrze, ojczy — rzekła Rebeka, łagodnie uwalniając się od Izaaka. — Ale jeśli go opuścimy, będziemy rzeczywiście winni jego śmierci przed Bogiem i ludźmi.

— Tak — rzekł Izaak puszczał jej rękę — każda kropla krwi, którą on traci, jest dla mnie równie cenna jak złoty bizant, wydobyty z mego trzосу. Wiem, że wiele nauczyłaś się w sztuce leczenia od Miriam, córki rabiego Manaszesa z Bizancjum, której dusza jest już w raju, i że znane ci są własności ziół i moc driakwi. Czyń więc, co ci rozum dyktuje: jesteś dobrą dziewczyną, błogosławieństwem i koroną mego żywota, a także psalmem radości dla mnie, mego domostwa i narodu mych ojców.

Obawy starca nie były jednak płonne, a wspaniałomyślna i pełna wdzięczności dobroczynność jego córki naraziła ją w czasie powrotnej drogi do Ashby na lubieżne spojrzenia Briana de Bois-Guilbert.

Templariusz dwukrotnie mijał orszak Izaaka, wlepiając zuchwały i płonący wzrok w piękną Żydówkę. Widzieliśmy skutki zachwyty, jaki wzbudziła w nim uroda Rebeki, gdy opisane już wypadki wydały ją w ręce tego wyuzdanego rozpustnika.

Rebeka, nie tracąc czasu, kazała przenieść pacjenta do swej tymczasowej kwatery i, po zbadaniu go, własnoręcznie opatrzyła jego rany. Młodzi moi czytelnicy, którzy czytali romanse i ballady romantyczne, pamiętaj, że w owych czasach, nazywanych czasami ciemnoty, kobiety były obznajmione z tajnikami chirurgii i nieraz rany męznego rycerza opatrywała osoba, której oczy głębsze

jeszcze rany zadały jego sercu.

Ale wśród Żydów także i mężczyźni posiadali wiedzę medyczną i praktykowali ją, a monarchowie i możni baronowie w owych czasach nieraz, gdy byli ranni lub chorzy, powierzali swe osoby staraniom doświadczonych mędrców pochodzących z pogardzanego narodu.

Uciekano się do żydowskich lekarzy pomimo rozpowszechnionego wśród chrześcijan mniemania, iż rabini obeznani są z tajnymi naukami, szczególnie z kabalistyką, której nazwa i pochodzenie sięgało dawnych mędrców Syjonu. Sami rabini nie zaprzeczali temu, pogląd taki bowiem nie mógł zwiększyć nienawiści, z jaką odnoszono się do ich narodu, zmniejszał natomiast pogardę łączącą się z tą niechęcią. Żyd czarnoksiężnik budził odrazę na równi z Żydem lichwiarzem, ale nie można było nim tak samo gardzić. Poza tym bardzo jest prawdopodobne, zważywszy na cudowne uzdrowienia, jakich umieli ci lekarze dokonywać, że posiadali jakieś tajemnice medyczne, sobie tylko wiadome, których w swym szczególnym odosobnieniu mogli ustrzec dobrze przed chrześcijanami.

Piękna Rebeka była starannie wychowana i poznała całą wiedzę swego narodu; wybitnie zdolna, mogła zapamiętać, uporządkować i powiększyć nabyte wiadomości, niezwykle dla jej wieku, płci i czasów, w jakich żyła. Medycyny i pielęgnowania chorych uczyła ją stara kobieta, córka jednego z najslawniejszych lekarzy żydowskich; kochała ona Rebekę jak własne dziecko i mniemano, że powierzyła jej tajemnice lekarskie, którymi podzielił się z nią samą jej ojciec. Miriam padła

*ofiara ówczesnego fanatyzmu, lecz jej wiedzę tajemną przechowała
pojętna uczennica.*

*Rebeka obdarzona zarówno urodą, jak wiedzą była w swym narodzie
ogólnie szanowana i podziwiana; uważano ją za jedną z tych
wybitnych niewiast, o których wspomina historia święta. Ojciec przez
szacunek dla jej zdolności, a jednocześnie kochając dziewczynę bez
granic, dawał jej więcej swobody, niż wedle zwyczajów ich narodu
miała na ogół jej płeć, i jak to widzieliśmy, często kierował się jej
zdaniem, choćby nie zgadzało się ono z jego własnym.*

*Gdy przyniesiono rycerza Ivanhoe do domu Izaaka, był on jeszcze
nieprzytomny po wielkiej utracie krwi w czasie turnieju. Rebeka,
obejrzawszy ranę i opatrzywszy ją gojącymi maściami, nakazanymi
przez sztukę lekarską, oznajmiła ojcu, że jeśli nie nastąpi gorączka,
czego nie można było wykluczyć po tak wielkim upływie krwi, i o ile
balsamy Miriam nie utraciły swych właściwości, nie należy się lękać o
życie gościa, który bez obawy będzie mógł znieść podróż do Yorku.*

*Izaak, usłyszawszy to, zbladł. Jego miłosierdzie nie sięgało poza Ashby i
najchętniej pozostawiłby rannego chrześcijanina w oberży, gdzie
przebywali obecnie, obiecawszy pewnemu Izraelicie, który by go dalej
pielegnował, zwrot wszelkich kosztów. Ale Rebeka wysunęła przeciw
takiemu projektowi mnóstwo obiekcji, z których przytoczymy dwie
najbardziej ważne w oczach Izaaka. Pierwszą było to, że Rebeka nigdy
nie powierzyłaby ampułki ze skutecznym balsamem żadnemu
lekarzowi, nawet należącemu do jej własnego narodu, by cenna*

tajemnica nie wyszła na jaw; poza tym dziewczyna przypomniała ojcu, że ranny rycerz, Wilfryd z Ivanhoe, był ulubieńcem Ryszarda Lwie Serce. Gdyby ten monarcha miał wrócić, Izaak, który dostarczył księciu Janowi znacznych sum dla doprowadzenia do skutku jego rokoszu, będzie potrzebował możnego obrońcy, cieszącego się łaskami króla.

— Masz słuszość, Rebeko — przyznał Izaak ustępując wobec takich argumentów. — Byłoby to obrazą boską zdradzić tajemnicę Miriam, gdyż dóbr od nieba otrzymanych nie należy zbyt pochopnie rozdawać bliźnim, czy to będzie złoto, czy srebro, czy tajemnice mądrych lekarzy; niech pozostaną w rękach ludzi, którym użyczyła ich opatrzność. A co do władcy, zwanego przez Nazarejczyków w Anglii Lwim Sercem, z pewnością lepiej, abym się dostał w pazury potężnego lwa z Idumei niżli w jego ręce, jeśliby się dowiedział o mych konszachtach z księciem Janem. Usłucham więc twej rady, córko, i ten młodzieniec pojedzie z nami do Yorku; nasz dom będzie jego domem, dopóki rany mu się nie zagoją. A jeśli król o lwim sercu powróci do kraju, jak już chodzą o tym słuchy, to ów Wilfryd z Ivanhoe stanie się przedmurzem, gdy gniew królewski rozgorzeje przeciw twemu ojcu. Jeżeli zaś król nie powróci, to Wilfryd odda nam może wydane na niego pieniądze, gdy zdobędzie włócznią i mieczem bogate łupy, jak to mu się i wczoraj, i dziś udało. Bo ten waleczny młodzieniec wiernie dotrzymuje terminu i oddaje, co winien; uratował też Izraelitę, potomka naszego rodu, gdy go osaczyli zbójcy, synowie Beliala.

Dopiero wieczorem Ivanhoe odzyskał przytomność. Ocknął się z

niespokojnego snu, niejasno rozpoznając otoczenie, jak to zwykle bywa gdy się z zamroczenia wraca do przytomności. Przez pewien czas nie mógł sobie dokładnie przypomnieć okoliczności poprzedzających jego upadek w szrankach ani też pasma wydarzeń, w których brał udział poprzedniego dnia. Ból, jaki sprawiały mu rany połączone z wielkim osłabieniem i wyczerpaniem, mieszał się ze wspomnieniem zadawanych i otrzymywanych razów, rozpędzonych rumaków, tratujących się wzajemnie i padających na ziemię, krzyków i szczęku broni, wrzawy i zamieszania. Z trudem udało mu się odsunąć zasłonę łoża — było to połączone z dotkliwym bólem.

Ze zdumieniem ujrzał wspaniałe urządzonej komnatę, w której zamiast krzesel leżały na podłodze poduszki. Inne szczegóły również zdradzały wschodni gust, tak że Ivanhoe zaczął przypuszczać, iż podczas snu przeniesiono go z powrotem do Palestyny. Wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy ktoś odsunął kotarę zasłaniającą ukryte drzwi i ukazała się w nich kobieca postać, bogato przystrojona według azjatyckiej raczej niż europejskiej mody. Za kobietą wszedł sługa o śniadym licu.

Gdy ranny rycerz chciał przemówić do tego uroczego zjawiska, kobieta położyła palec na rubinowych wargach, nakazując mu tym znakiem milczenie. Sługa, zbliżywszy się, odkrył bok rannego, a piękna Żydówka sprawdziła tylko, czy bandaż się nie zsunął i czy rana się goi. Wykonała to z wdzięczną i pełną godności prostotą i skromnością, która nawet w bardziej oświeconych czasach odkupiłaby to, co mogło razić kobietą wstydlivością. Świadomość, że młoda i piękna istota pielęgnuje

chorego i opatruje rany mężczyzny, znikła i zatraciła się w poczuciu Wilfryda na skutek jej dobroczynnych starań, które przynosiły ulgę w cierpieniu i oddalały groźbę śmierci. Rebeka wydała kilka krótkich poleceń w języku hebrajskim, a stary sługa, który nieraz już pomagał jej w podobnych wypadkach, wypełnił je w milczeniu.

Dźwięki nieznanego języka, które wymawiane przez inną osobę mogły się wydawać twarde, w ustach pięknej Rebeki miały romantyczny urok, a wyobraźnia przypisywała im własności czarodziejskiego zaklęcia dobroczynnej wróżki; a choć słowa niezrozumiałe były dla ucha, słodycz wymowy i łagodność postaci Żydówki głęboko wzruszyły serce młodzieńca. Nie usiłując zadawać pytań, Ivanhoe w milczeniu poddawał się niezbędnym zabiegom. Dopiero gdy zostały skończone, a dobra lekarka zabierała się do odejścia, nie mógł dłużej zapanować nad ciekawością.

— Piękna dziewico — przemówił w języku arabskim, który poznał w czasie swych podróży na Wschód; zdawało mu się, że stojąca przed nim niewiasta w turbanie i kaftanie lepiej go w tym języku zrozumie. —
Dziękuję ci, piękna dziewico, za twoją dobroć...

Lecz piękna lekarka przerwała mu z uśmiechem, z trudem powstrzymywanym, który na chwilę rozjaśnił jej twarz, zazwyczaj zadumaną i melancholijną:

— Urodziłam się w Anglii, panie rycerzu, i mówię po angielsku, choć mój ubiór i mój ród z innego kraju pochodzą.

— Szlachetna dziewico... — zaczął znów Ivanhoe i znów Rebeka

pośpieszyła mu przerwać:

— Nie nadawaj mi, rycerzu, tytułu szlachej. Chciałabym, abyś się dowiedział od razu, że twoja służebnica jest biedną Żydówką, córką Izaaka z Yorku, któremu niedawno okazałeś tyle dobroci i troskliwości. Przystoi więc, aby on sam i jego domownicy pielęgnowali cię troskliwie, teraz kiedy wymaga tego twoje zdrowie.

Nie wiem, czy piękna Rowena byłaby bardzo zadowolona z uczucia, z jakim jej rycerz spoglądał dotychczas na regularne rysy, zgrabną kibić i płomienne oczy ślicznej Rebeki, na jej oczy, których blask przysłaniały długie, jedwabiste rzęsy i które minstrel porównałby do gwiazdy wieczornej przeświecającej poprzez krzak jaśminu. Lecz Ivanhoe zbyt dobrym był katolikiem, by uczucia te zachował, gdy dowiedział się, że dziewczyna jest Żydówką. Przewidywała to Rebeka i pośpieszyła wyjawić mu imię i pochodzenie swego ojca. Pomimo to (ponieważ piękna i mądra córka Izaaka nie była wolna od słabości niewieściej) nie mogła powstrzymać westchnienia, gdy zauważyła, że spojrzenie, jakie Wilfryd rzucał na nieznajomą opiekunkę, pełne szacunku i podziwu, w którym czytało się też pewne tkliwsze uczucie — nagle stało się zimne, poważne i opanowane, nie wyrażające nic innego prócz uprzejmej wdzięczności za usługi nieoczekiwane mu świadczone przez osobę należącą do niższej rasy. Wprawdzie poprzednie zachowanie rycerza nie zdradzało żywszych uczuć niż te, jakie zazwyczaj kierują młodzieńcem, gdy oddaje hołd piękności, lecz dla biednej Rebeki, której nie można posądzać, by nie zdawała sobie sprawy, że zasługuje na

podziw, było wielkim upokorzeniem, że jedno słowo, jak zaklęcie, zepchnęło ją do rangi istot, którym nie przystoi składać takich hołdów. Lecz łagodna i zdolna do bezstronnych sądów natura Rebeki nie poczytała za złe Wilfrydowi, że podzielał przesady właściwe jego czasom i religii. Przeciwnie, piękna Żydówka — choć cierpiała, że pacjent odnosi się teraz do niej jak do istoty należącej do wzgardzonego narodu, z którym należy mieć stosunki tylko w wyjątkowych wypadkach — nie przestała dbać o jego zdrowie i bezpieczeństwo z taką samą jak poprzednio cierpliwością i oddaniem. Zawiadomiła go, że muszą wyjechać do Yorku, dokąd ojciec jej postanowił go zabrać, by tam móc go pielęgnować aż do zupełnego powrotu do zdrowia. Ivanhoe odniósł się z wielką niechęcią do tego zamiaru, tłumacząc, że nie chce dłużej przysparzać kłopotu swym dobrodziejom.

— Czy nie znalazłby się w samym Ashby lub w pobliżu — zapytał — jakiś franklin lub nawet zamożniejszy chłop, który by się zgodził przyjmując do siebie rannego współziomka do chwili, gdy ten będzie mógł znów przywdziać zbroję? Czy nie ma tu jakiegoś klasztoru ufundowanego przez Saksończyków, gdzie znalazłbym schronienie? A może dałoby się mnie przenieść aż do Burton, gdzie znalazłbym niewątpliwie gościnę u mego krewniaka Waltheoffa, przeora klasztoru Świętego Witholda?

— Najgorsze nawet pomieszczenie — odpowiedziała Rebeka ze smutnym uśmiechem — byłoby z pewnością odpowiedniejszym dla ciebie mieszkaniem od domu pogardzanego Żyda. Ale, panie rycerzu, nie możesz zmienić kwatery, o ile nie chcesz odprawić swego lekarza.

Jak wiesz, naród nasz umie leczyć rany, choć sam ich nie zadaje, a w naszej rodzinie przechowujemy tajemnice lekarskie pochodzące jeszcze z czasów Salomona; ich skutków doświadczyłeś już na sobie. Żaden Nazarejczyk — wybac mi, panie! — żaden chrześcijański lekarz zamieszkujący te brytyjskie ziemie, położone między czterema morzami, nie zdołałby cię nawet za miesiąc do tego stopnia postawić na nogi, byś mógł przywdziać z powrotem pancerz.

— A kiedy ty mnie na tyle wyleczysz? — zapytał niespokojnie Ivanhoe.

— Za tydzień, jeśli cierpliwie będziesz wypełniał moje polecenia — odparła Rebeka.

— Najświętsza Panno! — zawołał Wilfryd. — Jeśli nie grzeszę wymawiając tu jej imię, nie czas, by prawy rycerz leżał przykuty do łoża! A jeśli dotrzymasz twego przyrzeczenia, obiecując, dziewczyno, pełen szyszak srebrnych monet, jakimkolwiek sposobem je zdobędę.

— Dotrzymam tego przyrzeczenia — odparła Rebeka. — Od dziś za tydzień przywdziejesz zbroję, jeżeli mi obiecasz, zamiast srebra, spełnienie jednej prośby...

— Jeśli będzie to w mej mocy i jeśli będzie to coś, co chrześcijański rycerz może przyrzec komuś należącemu do twego narodu — odpowiedział Ivanhoe — to prośbę twoją spełnię z radością i wdzięcznością.

— A więc poproszę cię tylko — rzekła Rebeka — byś wierzył na przyszłość, że Żyd może oddać chrześcijaninowi przysługę nie żądając od niego innej zapłaty prócz błogosławieństwa Wszechmocnego

naszego Ojca, który stworzył zarówno Żydów, jak chrześcijan.

— Byłoby grzechem w to wątpić — odparł Ivanhoe. — I polegając w zupełności na twych umiejętnościach, nie waham się ani nie pytam, natomiast wierzę, że za twym staraniem za tydzień przywdzieję pancerz. A teraz, miły mój lekarzu, pozwól mi postawić ci parę pytań: co się stało z Cedrykiem i jego orszakiem oraz z piękną lady... — Tu przerwał, jakby nie chciał wymówić imienia Roweny w domu Żyda. — To znaczy, chciałem zapytać o tę, która została ogłoszona królową turnieju...

— I którą ty, rycerzu, tą godnością obdarzyłeś. Trafność twego wyboru podziwiano na równi z twoją odwagą — wtrąciła Rebeka.

Mimo wielkiej utraty krwi rumieniec oblał policzki Wilfryda, gdy zdał sobie sprawę, że dziwnym swym zachowaniem mimo woli zdradził ukrywane, lecz głębokie uczucie do lady Roweny.

— Nie tyle o niej chciałem mówić, co o księciu Janie — rzekł. — A także pragnąłbym wiedzieć, co się stało z moim wiernym giermkim i dlaczego mnie nie dogląda?

— Pozwól, bym użyła teraz mej władzy lekarza — odparła Rebeka. — Nakazuję ci milczeć i unikać myśli, które by cię mogły wzruszyć, a ja odpowiem ci na te wszystkie pytania. Księżę Jan rozkazał nagle zakończyć turniej i pośpieszył do Yorku ze szlachtą, rycerzami i duchowieństwem stojącym po jego stronie, ściągając w przód tyle pieniędzy, ile mógł wycisnąć po dobrej woli lub siłą od tych, którzy są uważani za najbogatszych w tym kraju. powiadają, że zamierza

przywłaszczyć sobie koronę brata.

— *Nie uda mu się to bez walki — zawołał Ivanhoe podnosząc się na łożu*

— *póki żyje w Anglii choć jeden wierny poddany Ryszarda! Gotów*

jestem stawić czoło najmężniejszym rycerzom spośród nich! Będę sam

walczył przeciw dwóm naraz za słuszną sprawę króla Ryszarda!

— *Ale teraz — rzekła Rebeka, z lekka dotykając dłonią jego ramienia —*

musisz słuchać mych poleceń i zachowywać się spokojnie.

— *Masz słusność — przyznał Ivanhoe. — Będę spokojny, o ile pozwolą*

mi na to te niespokojne czasy. A co wiesz o Cedryku i jego orszaku?

— *Zarządca thana przybył tu niedawno w wielkim pośpiechu — odparła*

Żydówka — i domagał się zapłaty za wełnę z Rotherwoodu.

Dowiedziałam się od niego, że Cedryk i Athelstan z Coningsburgha,

bardzo niezadowoleni, opuścili zamek księcia Jana i mieli właśnie

wyruszyć w drogę powrotną.

— *Czy jakaś dama towarzyszyła im na owej uczcie? — spytał Wilfryd.*

— *Lady Rowena — rzekła Rebeka, a odpowiedź jej była bardziej*

dokładna od jego pytania — nie była na uczcie księcia i, jak nam mówił

zarządca, znajduje się obecnie wraz ze swym opiekunem w drodze do

Rotherwoodu. A co do twego giermka Gurta...

— *Ach! — zawołał Ivanhoe. — Znasz więc nawet jego imię? Naturalnie*

— *dodał natychmiast — musisz je znać, boć to przecie z twej dłoni, jak*

sobie przypominam, z twej hojnej dłoni otrzymał wczoraj sto cekinów.

— *Nie mów o tym! — Rebeka zaczerwieniła się gwałtownie. — Widzę,*

jak łatwo język zdradza to, co serce rade by ukryć.

— *Ale mój honor żąda — rzekł Ivanhoe z powagą — bym oddał te*

pieniądze twemu ojcu.

— *Za tydzień postąpisz, jak będziesz chciał — odparła Rebeka — Ale*

teraz nie myśl i nie mów o niczym, co może opóźnić twój powrót do

zdrowia.

— *Niech i tak będzie, miła dziewczeczko — zgodził się Ivanhoe. — Byłbym*

niewdzięcznikiem, gdybym nie słuchał twych rad. Ale powiedz jeszcze

choć jedno słowo o Gurcie, a więcej pytać nie będę.

— *Przykro mi ci donieść, panie rycerzu, że z rozkazu Cedryka jest on*

pod strażą — powiedziała Żydówka, ale widząc, jak ta wiadomość

zaniepokoiła Wilfryda, dodała zaraz: — Lecz Oswald mówił, że jeżeli nic

się nie przytrafi, co by wzmogło gniew jego pana, pewien jest, że Cedryk

przebaczy Gurtowi, którego tak lubił i który zawinił tylko wskutek

przywiązania do jego syna. Mówił też, że on sam i inni służą Cedryka,

szczególnie błazen Wamba, zdecydowani byli pomóc Gurtowi do

ucieczki w drodze, w razie gdyby Cedryk nie dał się ubłagać.

— *Daj Boże, żeby im się to udało! — zawołał Ivanhoe. — Wydaje się, że*

jest moim przeznaczeniem ściągać nieszczęście na każdego, co mi jest

życzliwy. Widzisz, że przeciw mojemu królowi, który mnie obdarzył

łaskami i zaszczytami, brat jego, tyle mu zawdzięczający, zbroi się, by

mu wydrzeć koronę. Względy moje ściągnęły też na najpiękniejszą z

kobiet przykrości i kłopoty, a teraz mój ojciec w przystępie gniewu

gotów zabić tego biednego sługę tylko za jego przywiązanie i wierność

dla mnie! Zważ więc, dziewczeczko, jakiego to nieszczęśnika wspomagasz!

Bądź rozsądna i porzuć mnie, zanim ściągniesz na siebie zły los, który mnie ściga jak sfora gończych.

— Nie wierz temu, panie rycerzu — odparła Rebeka. — Będąc słaby i smutny, źle sobie tłumaczysz boskie zamiary. Powróciłeś do ojczyzny, gdy ona najbardziej potrzebuje pomocy silnego ramienia i wiernego serca. Upokorzyłeś własnych nieprzyjaciół i wrogów króla, gdy duma ich dosięgła szczytu. Czyż nie widzisz, że Bóg, gdy znalazłeś się w biedzie, zesłał ci pomoc i lekarza wśród najbardziej pogardzanych w tym kraju? Bądź więc dobrej myśli i wierzaj, że niebo wybrało cię, byś dokonał własnoręcznie jakiegoś wielkiego czynu. Żegnaj, a gdy wypijesz lekarstwo, które ci przyślę przez Rubena, spoczywaj i nabieraj sił do jutrzejszej podróży.

Wilfryda przekonało to rozumowanie i posłuchał wskazówek Rebeki.

Kordiał podany mu przez Rubena był środkiem uspokajającym i sprowadził głęboki sen. Nazajutrz dobra lekarka stwierdziła, że gorączka opuściła pacjenta, który winien podolać teraz trudom podróży.

Umieszczono go w konnej lektyce, w której został przywieziony z turnieju, i dołożono wszelkich starań, by mógł wygodnie podróżować.

W jednej tylko sprawie Rebeka nie mogła uzyskać od ojca dostatecznych względów dla ранego rycerza. Izaaka, jak owego wzbogaconego podróżnego z satyry Juwenala, (* J u w e n a l (Juvenalis) poeta rzymski z I w.n.e., autor słynnych satyr.) nie opuszczał ani na chwilę lęk przed ograbieniem; wiedział, że zarówno włóczący się Normandowie,*

jak opryszki saksońskie nie poczytują sobie za grzech obrabowanie Żyda, toteż podróżował szybko, zatrzymywał się tylko na krótkie postoje i na jeszcze krótsze popasy. Wyprzedził nawet Cedryka i Athelstana, którzy wyjechali o kilka godzin wcześniej od niego, lecz których opóźniła długa biesiada w klasztorze Świętego Witholda. Takie było jednak przemożne działanie balsamu Miriam czy też tyle sił miał Ivanhoe, że ta pośpieszna podróż nie zaszkodziła mu, jak się tego obawiała jego zacna lekarka.

Z drugiej strony szybkość, z jaką Żyd podróżował, spowodowała niezamierzony skutek. Pośpiech, jakiego żądał, wywołał opór wynajętych do obrony ludzi. Byli to Saksończycy, którzy jak wszyscy ich ziomkowie lubili wygody i dobrą strawę, wskutek czego Normandowie zarzucali im lenistwo i obżarstwo. Najemnicy ci ugodzili się z bogatym Żydem w nadziei, że przez pewien czas żyć będą na jego koszt, i bardzo byli niezadowoleni z pośpiechu, jakiego od nich żądał. Tłumaczyli mu, że taki forsowny marsz może zaszkodzić koniom. W końcu między Izaakiem a jego najemnikami powstał gwałtowny spór o ilość wina i piwa, jaką mogą wypić przy każdym posiłku. Toteż gdy zbliżało się niebezpieczeństwo, którego Izaak tak się obawiał, opuścili go niezadowoleni najemnicy, na których liczył, a których przywiązania nie postarał się pozyskać. Jak to już opisaliśmy, w tym smutnym położeniu znalazł Cedryk Żyda z córką i jej rannym pacjentem, po czym wszyscy razem wpadli w ręce de Bracy'ego i jego towarzyszy. Nie zważano z początku na lektykę i zapewne pozostawiono by ją w lesie, gdyby nie

ciekawość de Bracy'ego, który zajrzał do środka, myśląc, że ukrywa się w niej przedmiot jego pragnień, bowiem lady Rowena nie dała się wtedy jeszcze poznać. Zdumienie napastnika było niemałe, gdy w lektyce zastał rannego mężczyznę. Ten, przypuszczając, że wpadł w ręce saksońskich opryszków i że imię jego może nie tylko jemu, ale i jego towarzyszom zapewnić bezpieczeństwo, szczerze się przyznał, iż jest Wilfrydem z Ivanhoe.

De Bracy, mimo że płochy i rozwiązły, zachował jednak pewne zasady rycerskiego honoru, które nie pozwalały mu uczynić krzywdy bezbronnemu, a także wydać go Bawolemu Łbu. Reginald bowiem nie zawahałby się zabić człowieka, który miał takie same jak on prawa do lenna Ivanhoe. Ale z drugiej strony, wrócić wolność pretendentowi do ręki lady Roweny, która go wyróżniała, jak tego dowiodły wypadki na turnieju oraz głośne wygnanie Wilfryda z ojcowskiego domu — na tyle szlachetności de Bracy już się nie zdobył. Wybrał drogę pośrednią między złem a dobrem: kazał dwóm swoim giermkom nie odstępować lektyki i nikomu nie pozwalać zbliżać się do niej. Kazał im także odpowiadać, gdyby się ktoś pytał, że w pustej lektyce lady Roweny przenoszą jednego ze swych towarzyszy, który został ranny w czasie potyczki. Po przybyciu do Torquilstone, gdy pan zamku i templariusz zajęci byli własnymi sprawami — jeden skarbami Żyda, a drugi jego córką — giermkowie de Bracy'ego przenieśli Wilfryda, wciąż jako rannego kolegę, do ustronnej komnaty. Tak samo tłumaczyli się Bawolemu Łbu, gdy ich przynaglał, aby udali się na mury.

— *Ranny towarzysz!* — zawołał z gniewem i zdziwieniem baron. — *Nie dziw, że chłopci i opryszki śmią oblegać zamek, a błazny i świniarki wyzywają szlachtę na udeptaną ziemię, skoro zbrojni pielęgnują chorych, a członkowie wolnej kompanii czuwają nad umierającymi, gdy grozi szturm na zamek! Na mury, nikczemnicy!* — ryknął stentorowym głosem, aż zatrzęsły się łuki sklepienia. — *Na mury albo połamię wam kości tym obuszkiem!*

Odpowiedzieli mu nadąsani, że sami niczego bardziej nie pragną jak pójść na mury, ale niech rycerz wytłumaczy to ich panu, który kazał im pilnować umierającego.

— *Umierającego, szelmy?! — przerwał im baron. — Zaręczam wam, że wszyscy pomrzemy, jeżeli nie będziemy mężnie stawać. Już ja znajdę inną straż dla tego waszego cherlaka. Hola, Urfrydo, hej, więdźmo saksońska! Czy nie słyszysz? Pilnuj tego chorego, kiedy go trza pilnować, a te chłopcy muszą iść walczyć. Macie tu dwie kusze, z lewarami i strzałami. Dalej, do barbakanu! I starajcie się każdą strzałą uśmiercić jednego Saksończyka.*

Dwaj giermkowie, jak większość ludzi tego rodzaju, lubili bój, a nie cierpieli bezczynności, toteż z radością udali się na zagrożone miejsca. Tym sposobem Ivanhoe dostał się pod opiekę Urfrydy, czyli Ulryki, a ta, ponieważ umysł jej zaprzątnięty był wyłącznie rozpamiętywaniem krzywd i marzeniami o zemście, powierzyła z kolei Rebecce staranie o chorego.

Wdrap się, żołnierzu, na polną strażnicę

I powiedz, jaki bitwa bierze obrót.

F. SCHILLER: Dziewica Orleańska

Często w chwili niebezpieczeństwa tkliwość otwiera serce. Przystajemy się mieć na baczności i pod wpływem wzburzonych uczuć wyjawiamy te, które w spokojniejszych momentach ostrożność nakazuje nam ukrywać lub nawet tłumić. Gdy Rebeka znalazła się znów u boku Wilfryda, zaskoczyła ją radość, jaką odczuła mimo otaczającej ich trwogi i rozpacz. Gdy badała mu tętno i pytała o zdrowie, łagodne jej dotknięcie i słodczy głos wyrażały większe zajęcie rannym, aniżeli byłaby sobie na to świadomie pozwoliła. Głos jej się załamywał, ręka drżała i odzyskała panowanie nad sobą dopiero wtedy, gdy Ivanhoe zapytał chłodno:

— Czy to ty, miła dziewczeczko?

Uprzytomniła sobie wówczas, że uczucie jej nie było i nie mogło być odwzajemnione. Z ust jej wyrwało się ledwo dostyszalne westchnienie, ale spytała rycerza o zdrowie spokojnym i przyjacielskim tonem.

Ivanhoe pośpieszył ją zapewnić, że czuje się dobrze, a nawet lepiej, niż mógł się spodziewać.

— Dzięki twoim staraniom, droga Rebeko — dodał. „Nazywa mnie drogą Rebeką — pomyślała — ale zimnym i obojętnym tonem, który jest w sprzeczności z tym słowem. Droższy mu jego koń bojowy i pies myśliwski od pogardzanej Żydówki!”

— Cierpienia cielesne, miła dziewczeczko — ciągnął Ivanhoe — są mniej

przykre od niepokoju, w jakim pogrążona jest moja dusza. Z ust moich dotychczasowych strażników dowiedziałem się że jestem więźniem, a usłyszawszy szorstki głos, który im zlecał jakieś inne obowiązki wojskowe, osądziłem, o ile się nie mylę, iż znajduję się w zamku Bawolego Łba. Jeśli tak jest istotnie, nie wiem, jak się to skończy i czy będę mógł dopomóc Rowenie i memu ojcu.

Nie wspomniał ani Żyda, ani Żydówki — pomyślała Rebeka. — Jakże mało go obchodzimy i jak słusznie niebiosy mnie karzą, że osmieliła się zwrócić moje myśli ku niemu!"

Po tym samooskarżeniu pośpieszyła podzielić się z rycerzem tym, co wiedziała. Niewiele tego jednak było: oznajmiła mu, że templariusz i Bawoli Łeb dowodzą obroną zamku, który jest oblegany, ale przez kogo — nie wiedziała. Dodała, że był tu niedawno ksiądz chrześcijański, który zapewne udzieliłby mu więcej niż ona wiadomości.

— Chrześcijański ksiądz! — zawołał z radością Ivanhoe..— Postaraj się, Rebeko, sprowadzić go tutaj. Powiedz, że chory pragnie jego duchowej pomocy... zresztą, powiedz mu, co chcesz, ale przyprowadź mi go koniecznie. Muszę coś zdziałać albo przynajmniej spróbuję coś uczynić, ale jakże mam się zdecydować, gdy nie wiem, co się dzieje na zewnątrz.

Rebeka usiłowała spełnić to życzenie i przyprowadzić Cedryka do komnaty rannego, ale przeszkodziła temu, jak widzieliśmy, Urfryda, która też czatowała na mnicha. Wtedy Rebeka wróciła do rycerza, by mu donieść o swym niepowodzeniu.

Nie mieli jednak czasu żałować, że nie mogą zasięgnąć wiadomości z

tego źródła, ani też zastanawiać się, w jaki sposób temu zaradzić, gdyż wewnątrz zamku wrzawa przygotowań do obrony, przez pewien czas niezbyt głośna, teraz wzmogła się nieomal dziesięciokrotnie i wybuchła hałasem i krzykami. Pośpieszne i ciężkie stąpania zbrojnych biegnących na mury rozlegały się w wąskich, krętych korytarzach i na schodach prowadzących do bastionów i punktów obrony. Słysząc było rycerzy dodających ducha swym żołnierzom lub wydających rozkazy, a głosy ich często głużył szczęk broni i okrzyki tych, do których się zwracali. Jakkolwiek przeraźliwe były te odgłosy, a zdawały się zapowiadać gorsze jeszcze wypadki, łączyły się z nimi wzniosłe uczucia, które wrażliwa dusza Rebeki w takiej nawet chwili odczuwała. Żrenice jej płonęły, choć rumieńce znikły z jej twarzy, a w głosie brzmiała zarówno bojaźń, jak i dojmujące poczucie wzniosłości wydarzeń; gdy na poły do siebie, a na poły do swego towarzysza wymawiała szeptem słowa Księgi Hioba: „Nad nim chrzęścić będzie sajdak, błyskać będzie drzewce i tarcza”.

Ivanhoe podczas tych niezwykłych wydarzeń zachowywał się jak rumak bojowy; niecierpliwiła go własna bezczynność i płonął pragnieniem, by wziąć udział w boju, który zapowiadały te dźwięki.

— Gdybym choć mógł dowlec się do okna — rzekł — i widzieć, jak ta rycerska zabawa będzie się rozgrywała! Gdybym choć miał łuk i mógł miotać z niego strzały lub berdyszem zadać jeden cios dla odzyskania wolności! Ale próżne me pragnienie... Przeciem bez sił i bez broni!

— Nie turbuj się, szlachetny rycerzu! — odparła Rebeka. — Hałas nagle

ucichł, widno nie stają do boju.

— Nie na twoje to rozumienie — rzekł niecierpliwie Wilfryd. — Ta cichość oznacza, iż zbrojni stanęli na wyznaczonych miejscach na murach, czekając na szturm; to, cośmy słyszeli, to był jeno daleki pomruk nawałnicy, która rychło wybuchnie wściekłością. Gdybym tak mógł zawlec się do okna!

— Zaszкодziłbyś tym sobie, dobry rycerzu — powiedziała Rebeka, ale widząc, jak gorąco tego pragnie, dodała: — Ja stanę przy oknie i będę ci mówić, co się dzieje na zewnątrz.

— Nie czyn tego, nie pozwalam! — zawołał Ivanhoe. — Każde okno, każdy otwór będzie rychło celem dla łuczników i snadnie jakaś zabłąkana strzała...

— Upragniona będzie! — wyszeptała Rebeka wstępując nieustraszenie na parę stopni prowadzących do okienka.

— Rebeko, droga Rebeko! — wołał Ivanhoe. — To nie są dziewczęce igraszki, nie narażaj się na rany i śmierć, bo wyrzucalbym sobie zawsze, żem był tego przyczyną! Zasłoń się chociaż tym starym puklerzem i pokazuj się jak najmniej w oknie.

Rebeka pośpiesznie usłuchała wskazówek rycerza i skryła się za wielkim, starodawnym szczytem, który oparła o dolną część okna. W ten sposób, względnie bezpieczna, mogła widzieć, co się dzieje na zewnątrz twierdzy i opowiedzieć Wilfrydowi, jakie przygotowania czynią do szturm oblegający. Znajdowała się w nadzwyczaj dogodnym do tego celu miejscu, w narożniku głównego budynku, skąd

nie tylko widziała, co się dzieje w obrębie twierdzy, ale także miała przed oczami przedmurze, na które, jak się zdawało oblegający mieli najprzód uderzyć. Był tam zewnętrzny bastion niezbyt wysoki ani silnie ufortyfikowany, mający bronić tylnej furty, którą niedawno Bawoli Łeb wypuścił Cedryka. Fosa zamkowa odgradzała ten barbakan od samej twierdzy; w razie gdyby został zdobyty, łatwo było przerwać połączenie z zamkiem podnosząc zwodzony most. W przedmurzu była brama prowadząca do bramy wypadowej zamku, a wszystko razem otaczał mocny częstokół. Rebeka wywnioskowała z liczby zbrojnych, punktu tego broniących, że oblężeni boją się o niego, a z ruchów oblegających, którzy gromadzili się naprzeciw barbakanu, z równą pewnością wynikało, że wybrali ten właśnie punkt, widocznie najslabszy, jako cel ataków.

Rebeka pośpiesznie podzieliła się z rycerzem swymi spostrzeżeniami i dodała:

— Skraj lasu, zdaje się, obstawiony jest przez łuczników, choć niewielu wysunęło się z niego.

— Pod jaką stoją chorągwią? — zapytał Ivanhoe.

— Nie widzę żadnego godła — odparła Rebeka.

— Dziwny to jakiś nowy obyczaj — mruknął rycerz — by iść do szturmującego takiego kasztelu bez rozwiniętych chorągwi czy proporca. A czy widzisz, kto nimi dowodzi?

— W oczy rzuca się najbardziej rycerz w czarnej zbroi — odpowiedziała Żydówka. — On jeden uzbrojony jest od stóp do głów i zdaje się

wszystkim rozkazywać.

— Jakie ma godło na puklerzu?

— Coś jakby żelazną sztabę oraz błękitne łańcuchy na czarnym polu.

— Pęta i okowy błękitne — sprostował Ivanhoe. — Nie wiem, czyj to znak, ale sądzę, że mógłby być moim. Czy możesz odczytać zawołanie?

— Ledwo z tej odległości dojrzałam godło. Kiedy nań słońce padło, zobaczyłam to, co ci opisałam.

— A czy innych wodzów nie widać?! — zawołał rycerz niespokojnie.

— Nie mogę stąd dojrzeć nikogo znaczniejszego. Pewnie uderzają i na tamtą stronę zamku. Przygotowują się już do natarcia.

Boże Syjonu, miej nas w swojej pieczy! Co za straszny widok! Wojacy w pierwszym szeregu niosą ogromne tarcze i zasłony zbite z desek; ci, co idą za nimi, naciągają łuki i podnoszą je w górę! Boże Mesjasza, przebacz swoim dzieciom!

Opis ten przerwało nagle hasło do szturmów dane przez chrapliwe granie rogów, którym odpowiedziały natychmiast na murach dźwięki normandzkich trąb wraz z głębokim i głuchym dudnieniem kotłów, śmiało odpowiadających na wyzwanie wroga. Okropny ten hałas wzmagający jeszcze z obu stron krzyki walczących. Szturmujący wołali: „Święty Jerzy, broń Anglii!”, na co Normandowie odpowiadali głośnym wrzaskiem, powtarzając wojenne zawołania każdego ze swych wodzów.

Jednak o wyniku walki nie krzyki miały zdecydować; zajadłe wysiłki atakujących napotkały równie silny opór obleganych. Łucznicy,

wyćwiczeni w kniejach w użyciu łuków, szyli taką „ćmą strzał”, jak się wówczas mówiło, że każdy otwór, gdzie mógłby się pokazać obrońca, stawał się ich celem. W wyniku tego kilku ludzi załogi zostało zabitych, a kilku innych — rannych. Lecz wojacy Bawolego Łba, ufając swym wypróbowanym zbrojom i osłonie, jaką im dawało ich stanowisko, stawiali równie zacięty opór, jak zacięty był szturm; na nieustanny i gęsty grad strzał odpowiadali napastnikom zarówno ze swych wielkich kusz, jak z łuków, proc i innej broni miotającej pociski. Toteż atakujący, gorzej osłonięci, ponosili znacznie większe straty. Nad świstem strzał i pocisków, lecących z obu stron, górowały okrzyki, gdy jedni lub drudzy zadali lub ponieśli jakąś poważną stratę.

— A ja muszę tu leżeć jak mnich w klasztorze — zawołał Ivanhoe — gdy inni toczą walkę, od której zawisła moja wolność lub śmierć! Wyjrzyj raz jeszcze przez okno, moja dobra Rebeko, ale strzeż się, by cię łucznicy nie zauważyli z dołu. Wyjrzyj raz jeszcze i powiedz, czy idą dalej do szturm?

Z niewzruszoną odwagą, umocniona na duchu modlitwą, którą w przerwie odmówiła, Rebeka znów powróciła do okna, kryjąc się, by jej z dołu nie dojrzano.

— Co tam widzisz, Rebeko? — zapytał ranny rycerz.

— Widzę tylko chmurę strzał, tak gęstą, że zaćmiła mi oczy i zakryła łuczników.

— Nie dadzą rady — rzekł Ivanhoe — jeśli nie spróbują zdobyć zamku szturmem; strzały nic nie znaczą przeciw murom i bastionom.

Wyszukaj rycerza z okowami w herbie, piękna Rebeko, i opowiedz, jak postępuje, bo jaki wódz, tacy i żołnierze.

— Nie mogę go dojrzeć — odparła Rebeka.

— Podły tchórz! — zawołał Ivanhoe. — Czyżby porzucił ster, gdy najsilniejszy sztorm wieje?

— Nie porzucił! Nie porzucił! — krzyknęła Rebeka. — Widzę go teraz, dowodzi oddziałem pod samym zewnętrznym częstokołem barbakanu.

Obalają kobyłkę i okrągłaki, wyrąbują palisadę toporami. Jego wysoki, czarny pióropusz płynie ponad tłumem jak kruk nad pobojewiskiem.

Zrobili wylom w palisadzie... rzucili się weń... zostali odparci! Bawoli

Łeb prowadzi obrońców; widzę jego ogromną postać ponad tłuszcza.

Znów rzucili się w wylom; rozgorzał srogi bój wręcz! Boże Jakuba! To spotkanie dwóch żywiołów, jakby walka dwóch oceanów, które przeciwne wichry na siebie miotają.

Odwróciła głowę od okna, jakby nie mogła znieść już dłużej tak okrutnego widoku.

— Patrz dalej, Rebeko! — wołał Ivanhoe nie pojmując, dlaczego odeszła od okna. — Musieli przecie zaprzestać strzelania z łuków, kiedy rozpoczęli walkę wręcz! Spójrz jeszcze, niebezpieczeństwo się zmniejszyło.

Rebeka znów wyjrzała, ale zaraz zawołała:

— Święci prorocy! Bawoli Łeb i Czarny Rycerz walczą wręcz na wylomie, wśród krzyków swych ludzi śledzących walkę. Niebiosa, brońcie sprawy uciśnionego i więźnia! Wtem wydała głośny okrzyk:

— *Padł! Padł!*

— *Kto?! — zawołał Ivanhoe. — Przez miłość Najświętszej Panny, powiedz, kto padł?*

— *Czarny Rycerz — rzekła słabym głosem Rebeka, lecz zaraz zawołała z radością: — Nie, nie! Niech Bóg będzie błogosławiony! Powstał i walczy znów, jak gdyby jego ramię miało moc dwudziestu rycerzy. Miecz jego strzaskany... lecz wyrwał berdysz z ręki jakiegoś łucznika. Naciera na Bawolego Łba, zadaje mu cios za ciosem. Olbrzym zatacza się i chwieje jak dąb pod razami topora drwala... Pada! Pada!*

— *Bawoli Łeb?! — zawołał Ivanhoe.*

— *Tak, Bawoli Łeb — odparła Żydówka. — Jego wojacy śpieszą mu na pomoc, a na ich czele dumny templariusz; wspólnymi siłami zatrzymali Czarnego Rycerza i niosą Bawolego Łba za mury.*

— *Czy oblegający wdarli się za częstokół? — pytał Ivanhoe.*

— *Wdarli się, wdarli! — zawołała Rebeka. — Przycisnęli oblegających do wewnętrznego muru; jedni przystawiają drabiny, inni usiłują wejść na ramiona towarzyszy, roją się niczym pszczoły; na głowy ich leżą kamienie, belki, drwa; a gdy rannych wynoszą na tyły, natychmiast zamiast nich nowi biorą udział w szturmie. Wielki Boże! Czyś na to stworzył człowieka na swoje podobieństwo, by tak okrutnie ginął z ręki swych bliźnich!*

— *Nie myśl o tym — rzeki Ivanhoe. — Nie czas myśleć o takich rzeczach. Kto jest górą? Kto zwycięża?*

— *Zrzucono drabiny — odparła Rebeka drżąc cała. — Wojacy leżą pod*

nimi jak rozgniecione płazy. Oblężeni górą!

— *Broń nas, święty Jerzy! — zawołał rycerz. — Czyżby łucznicy uciekali?*

— *Nie! — krzyknęła Rebeka. — Dzielnie się trzymają. Czarny Rycerz zbliża się znów do bramy ze swym ogromnym toporem. Czy słyszysz, jak huk jego ciosów góruje nad hałasem i krzykiem bitewnym? Na męznego rycerza spadają kamienie i belki, ale nie dba o nie, jak gdyby to był puch ostu czy pierze.*

— *Na świętego Jana z Acre! — zawołał Ivanhoe podnosząc się z radością na łożu. — Wiera, jeden tylko człowiek w Anglii zdolny jest do takiego czynu!*

— *Brama trzeszczy — ciągnęła dalej Rebeka — pęka, rozpada się pod jego ciosami... wpadają... bastion zdobyty. O Boże! Obrońców strącają z murów, spychają w fosę. O ludzie, jeśliście ludźmi, oszczędźcie tych, co się nie mogą już bronić!*

— *A most... most, po którym się przechodzi do zamku? Czy zdobyli to przejście?! — wykrzyknął Ivanhoe.*

— *Nie — odparła Rebeka. — Templariusz porąbał deski, po których wbiegł z kilkoma towarzyszami do zamku. Jaki los spotkał resztę, możesz odgadnąć po ich krzykach i wrzaskach. Niestety! Widzę, że przykrzejszy jest widok zwycięstwa niż samej walki.*

— *Ale co się tam jeszcze dzieje, Rebeko? — pytał Ivanhoe. — Patrz dalej, nie czas mdleć na widok krwi!*

— *Na razie przestała płynąć — odrzekła Rebeka. — Nasi przyjaciele*

umacniają się teraz w zdobytym bastionie, a jego mury tak ich dobrze osłaniają przed strzałami wrogów, że załoga z rzadka tylko strzela do nich z łuków, nie mogąc ich razić skutecznie.

— Nasi przyjaciele z pewnością nie wyrzekną się korzyści z tak świętego i pomyślnie osiągniętego zwycięstwa. Z pewnością!

Pokładam ufność w dzielnym rycerzu, którego topór porąbał częstokół dębowych bali i żelazne kraty. Dziwne to — mruknął znów do siebie Ivanhoe — nie myślałem, by mogło być na świecie dwóch tak śmiałych ludzi! Pęta i okowy na czarnym polu... co by to mogło znaczyć? Czy nie spostrzegłaś czegoś jeszcze, po czym by można było poznać Czarnego Rycerza?

— Nie. Odziany jest cały w czarną jak skrzydło kruka zbroję — odparła Żydówka. — Nie widzę nic, czym by się odznaczał, ale ujrzawszy, jak wielką siłę wykazał podczas walki, myślę, że poznałabym go teraz wśród tysiąca zbrojnych. Rzuca się w bój jak w taniec. I jest nie tylko silny: zda się, że całą swą duszę i cały zapał wkłada w każdy cios zadany wrogom. Niech mu Bóg przebaczy przelaną krew! Straszny to widok, ale i wspaniały, kiedy ramię i męstwo jednego człeka odnoszą zwycięstwo nad tłumem nieprzyjaciół.

— Rebeko — rzekł Ivanhoe — odmalowałaś bohatera. Zapewne teraz oblegający odpoczywają, by nabrać sił lub przygotować przejście przez fosę. Pod takim wodzem, jakiegoś opisała, nie powstrzyma ich od dalszej walki ani bojaźń, ani opieszałość, gdyż im większe stoją przed nimi trudności, tym większa będzie ich sława. Przysięgam na honor

meo rodu i na imię mej bogdanki, że zgodziłbym się na dziesięć lat niewoli, byleby móc choć jeden dzień walczyć u boku tak dzielnego rycerza w czasie takiej, jak dzisiejsza, bitwy!

— Niestety! — odrzekła Rebeka opuszczając swe miejsce przy oknie i zbliżając się do postania rannego rycerza. — Pragnienie czynu, zmaganie się ze sobą i żale nad obecną słabością opóźnią tylko twój powrót do zdrowia. Jak możesz innym zadawać rany, nim się zagoją te, któreś sam odebrał?

— Rebeko — powiedział Ivanhoe — nie możesz zrozumieć, jak komuś, przywykłemu do rycerskiego życia, przykra jest bezczynność, która przystoi kapłanowi lub niewieście, gdy wokół wre walka. Smak walki jest naszą ulubioną strawą i z rozkoszą wdychamy kurz unoszący się nad polem bitwy! Żyjemy i nie chcemy żyć inaczej jak dla zwycięstwa i sławy. Takie są prawa rycerskie, które ślubowaliśmy i którym poświęcamy wszystko, co jest nam drogie.

— Niestety, mężny rycerzu — rzekła piękna Żydówka — czyż nie składacie ofiary próżnej chwale, czyż nie rzucacie się w ogień dla Molocha? W nagrodę za krew przez was rozlaną, za trudy i cierpienia, za wszystkie łzy, które wyciskacie, cóż wam zostanie, gdy śmierć złamie włócznię rycerza i prześcignie jego rumaka?

— Co pozostanie? Sława, dziewczyno, i ona doda blasku naszym grobom i nieśmiertelnymi uczyni nasze imiona.

— Sława! — ciągnęła Rebeka. — Czyż jest nią zardzewiała kolczuga, zawieszona nad opuszczoną i mchem zarosłą mogiłą bohatera, czy może

*jest nią zatarty napis na pomniku, który nieuczony mnich zaledwie
zdoła odczytać zaciekawionemu wędrowcowi? Czyż jest to dostateczną
nagrodą za wyrzeczenie się najdroższych uczuć, za ciężkie życie
spędzone w wysiłkach, by innych unieszczęśliwić? Czy może nieudolne
wiersze wędrownego barda mają taki urok, że warto przeżrymarczyć
szczęście rodzinne, przywiązanie i spokój, by stać się bohaterem jednej z
tych ballad, które wędrowni minstrelle śpiewają pijanym chłopom
żłowiącym wieczorem piwo?*

— Na duszę Harevarda! — wykrzyknął rycerz zniecierpliwiony —

*Gadasz, dziewczyno, o czymś, na czym się nie rozumiesz. Chciałabyś
zdusić czysty płomień rycerstwa, który pozwala odróżnić szlachetność
od podłości, prawego rycerza od chłopca i prostaka, który stawia honor
wyżej niż przywiązanie do życia, uczy nas gardzić cierpieniem, trudem i
bólami oraz niczego się nie lękać prócz niesławy! Nie jesteś
chrześcijanką, Rebeko, nie możesz więc zrozumieć uczucia
przejmującego serce szlachetnej dziewicy, gdy luby jej dokonał jakiegoś
znakomitego czynu, usprawiedliwiającego jej miłość. Czyż rycerskość
nie karmi najczystszych i najwznioślejszych uczuć, nie wspiera
uciśnionych, nie wynagradza krzywd i nie poskramia władzy tyranów?
Gdyby nie rycerskość, szlachectwo byłoby czczym tytułem, a wolność
znajduje w jej włóczni i mieczu najlepszą obronę.*

*— Pochodzę — rzekła Rebeka — z narodu, który odznaczył się męstwem
w obronie własnego kraju; ale nawet wówczas, gdy był jeszcze
niepodległy, walczył tylko na rozkaz Boga lub broniąc swych ziem*

przed najeżdźcą. Teraz trąba wojenna nie budzi już Izraela do walki, a pogardzane jego dzieci są bezwolnymi ofiarami wrogiego i wojującego ucisku. Dobrześ powiedział, panie rycerzu: dopóki Bóg Jakuba nie ześle swemu wybranemu narodowi drugiego Gedeona lub nowych Machabeuszy, żydowskiej dziewczynie nie przystoi mówić o bitwach i wojnie.

Dumna dziewczyna wypowiedziała te słowa z żalem, który jasno wyrażał, jak głęboko odczuwała poniżenie swego narodu; łączyła się z tym może gorycz na myśl, że Ivanhoe nie przyznawał jej prawa do zabierania głosu w sprawach honoru ani do szlachetnych i wspaniałomyślnych uczuć.

„Jak mało zna moje serce — pomyślała — jeśli wyobraża sobie, że gości w nim tchórzostwo i podłość dlatego tylko, że zganiałam romantyczne rycerstwo chrześcijańskie! Dałby Bóg, bym mogła oddać własną wysączoną do ostatniej kropli krew za wykupienie z niewoli mego ojca i jego dobroczyńcy! Dumny ten chrześcijanin przekonałby się wtedy, czy córka przez Boga wybranego narodu nie potrafi zginąć równie odważnie jak najbardziej próżna dziewczyna chrześcijańska, która pyszni się swym pochodzeniem od jakiegoś tam małego królika z dzikiej, lodowatej Północy!”

Po chwili Rebeka spojrzała na posłanie rannego rycerza.

— Śpi — szepnęła. — Wyczerpana natura, zmęczony umysł i osłabione ciało skorzystały z chwilowego spokoju, by zapaść w sen. Gorze mi! Czy popełniam przestępstwo, patrząc tak na niego, gdy czynię to pewnie po

raz ostatni? Może już wkrótce tych nadobnych rysów nie będzie ożywiać
dumna i płomienna dusza, którą nawet przez sen można w nich dojrzeć.
Wtedy nozdrza będą rozdęte, usta — otwarte, oczy — nieruchome i
przekrwione, a dumnego i szlachetnego rycerza deptać będzie
najpodlejszy łotr w tym przeklętym zamku. A on nie będzie mógł nawet
drgnąć pod jego stopą! A mój ojciec? Och, ojciec mój! Źle się dzieje z
twoją córką! Zapomniała o twych siwych włosach dla jasnych
kędziorów młodzieńca! Kto wie, czy niedola nasza nie jest zapowiedzią
gniewu Jehowy na tę wyrodną córkę, która myśli więcej o niewoli
obcego niż o niewoli własnego ojca, która nie pamięta o strapieniach
plemienia Judy, lecz podziwia urodę niewiernego? Ale wyrwę to
szaleństwo z mego serca, choćby miało pęknąć z żalu!

Otuliła się szczelniej welonem, usiadła w pewnej odległości od postania
rannego rycerza, odwrócona do niego plecami, i usiłowała uzbroić się w
odwagę nie tylko przeciw grożącemu jej niebezpieczeństwu z zewnątrz,
ale także przeciw zdradliwym porywom własnego serca.

XXX

Wejdz w próg komnaty i spojrzysz na łożo.
O, niespokojny duch tak nie odchodzi
Niby skowronek, co w niebo się wzbija
Wśród rannej rosy i wonnych powiewów,
Jakby na skrzydłach westchnień dobrych ludzi.
Anzelm umiera inaczej...

Stara tragedia

Podczas gdy chwilowy spokój zapanował po pierwszym zwycięstwie oblegających i kiedy jedna strona przygotowywała się do wykorzystania swej przewagi, a druga starała się wzmocnić obronę, templariusz i de Bracy odbyli krótką naradę w sali zamkowej.

— Gdzie jest Bawoli Łeb? — zapytał ten ostatni, który dowodził obroną twierdzy od wschodniej strony. — Żołnierze mówią, że zabity.

— Żyje — odparł oziębłe templariusz — żyje jeszcze; gdyby miał nawet bawolą głowę, taką jak w swoim godle, a na niej dziesięć blach żelaznych, musiałby lec pod ciosami tamtego potężnego topora. Za parę godzin Bawoli Łeb połączy się z duszami swoich przodków. Wielka to strata dla naszego księcia.

— A wspomniała zdobycz dla królestwa szatana — zauważył de Bracy. — Taki bywa koniec, gdy ktoś szydzi ze świętych i aniołów i każe strącać cudowne posągi i pomniki błogosławionych na głowy saksońskiej hołoty.

— Głupiec z ciebie — rzekł templariusz. — Jesteś równie przesądny, jak Bawoli Łeb bezbożny, a żaden z was nie umie wytłumaczyć ani swej wiary, ani swej niewiary.

— Benedicite, panie templariuszu — odparł de Bracy. — Pohamuj swój język, kiedy o mnie mówisz. Bogać tam, lepszy ze mnie chrześcijanin od ciebie i twych kompanów! Dużo o tym gadają, że zakon obrońców Świątyni Syjonu liczy w swym gronie niejednego heretyka, a wśród nich jest także Brian de Bois-Guilbert.

— Nie wierz takiemu gadaniu — uciął templariusz. — Pomyślmy lepiej o

obronie zamku. Jak od twojej strony walczyła ta hołota?

— Niczym wcielone diabły — rzekł de Bracy. — Podeszli pod same mury, a na ich czele, jak mi się zdaje, był ten łotr, co zdobył nagrodę za strzelanie z łuku; poznałem go po pasie i rogu. Piękny to skutek owej tak wychwalanej polityki Fitzurse'a, zachęcającej zuchwałych łotrów do buntu przeciw nam! Szczęściem, że mam wypróbowaną zbroję, bo ten hultaj siedem razy do mnie strzelał z tak zimną krwią, jakbym był jeleniem. Porachował wszystkie nity w mojej zbroi swoimi długimi strzałami. Tłukły o moje żebra, jakbym miał kości z żelaza. Włożyłem jednak pod pancerz kolczugę z hiszpańskiej stali, przeto nic mi się, szczęśliwie, nie stało.

— Ale czy utrzymałeś swoje stanowisko? — zapytał templariusz. — Bo my, po naszej stronie, oddaliśmy barbakan.

— Duża to strata — rzekł de Bracy. — Te łotry będą mogły pod jego osłoną z bliska szturmować zamek, a jeśli się nie będziemy dobrze pilnowali, gotowi są z za jakiegoś źle strzeżonego węgła baszty czy przez jakieś zapomniane okno wdrzeć się do nas. Jest nas za mało, aby całą twierdzę obsadzić, a ludzie narzekają, że nie mogą się nigdzie pokazać, bo strzały szyją w nich zaraz jak do celu na odpuszcie. Bawoli Łeb umiera i już nam nie pomoże ani swoją głową, ani potężną siłą. Czy nie sądzisz, Brianie, że trzeba nam z konieczności uczynić cnotę i pogodzić się z łotrami oddając im więźniów?

— Jak to?! — zawołał templariusz. — Wydać naszych więźniów i stać się zarówno celem szyderstwa, jak i nienawiści? Cóż to za waleczni rycerze,

którzy nocą ośmielają się napadać na bezbronnych podróżnych, a nie umieją obronić silnej twierdzy przed bandą włóczęgów dowodzoną przez świniarka, błazna i innych hultajów. Wstydz się, de Bracy, dawać takie rady! Raczej pogrzebię pod gruzami tego zamku siebie samego wraz z moją hańbą, niżlibym miał się zgodzić na taki podły i upokarzający układ.

— Chodźmy więc na mury — rzekł niedbale de Bracy. — Jeszcze się taki nie urodził, ani Turek, ani templariusz, który by bardziej lekce sobie ważył życie niżli ja. Mniemam, że nie przynosi mi ujmy żal, iż nie mam przy sobie ze czterdziestu towarzyszy z mojej wolnej kompanii! Och, moi dzielni kopijnicy! Gdybyście wiedzieli, w jakich opałach znalazł się dziś wasz dowódca, pewnie bym wkrótce ujrzał moją chorągiew powiewającą na czele waszych kopii! I jak by ta obmierzła hołota zmykała przed waszym atakiem!

— Wzywaj na pomoc, kogo chcesz — rzekł templariusz — ale tymczasem brońmy się jak możemy z tą garstką, która nam pozostała. Są to głównie ludzie Bawolego Łba, znienawidzeni przez Anglików za tysiące zniewag i krzywd.

— Tym lepiej — odparł de Bracy. — Będą się raczej bronić do ostatniej kropli krwi, niż narażą na zemstę oblegającego nas chłopstwa. Dalej więc, do czynu, Brianie de Bois-Guilbert! Żywy czy umarły, Maurycy de Bracy zachowaj się dziś tak, jak przystoi rycerzowi z dobrego starożytnego rodu!

— Na mury! — zawołał templariusz i obaj pobiegli, by w obronie

twierdzy dokonać wszystkiego, co nakazywało doświadczenie wojenne, a ludzka siła mogła wypełnić.

Zgodzili się natychmiast, że najbardziej zagrożone było stanowisko naprzeciw bastionu zdobytego przez szturmujących. Wprowadzie fosa oddzielała zamek od barbakanu i nieprzyjaciel nie mógł uderzyć na wejście nie przedostawszy się przez nią, ale templariusz i de Bracy byli zdania, że napastujący, o ile będą się trzymać dotychczasowej taktyki swego wodza, spróbują potężnym szturmem ściągnąć uwagę obrońców na to właśnie miejsce, a sami skorzystają z najmniejszego ich zaniedbania, aby wdrzeć się gdzie indziej. Rozporządzając skąpą liczbą zbrojnych, a chcąc uniknąć takiego zaskoczenia, rycerze rozstawili na wałach pojedyncze strażę w takiej odległości, by mogły się między sobą porozumiewać i alarmować o grożącym niebezpieczeństwie. Na razie stanęło na tym, że de Bracy będzie bronił bramy, a templariusz z dwudziestoma ludźmi stanowić będzie rezerwę, gotową ruszyć na pomoc każdego nagle zagrożonego odcinka. Utrata barbakanu spowodowała także i tę niepomysłną sytuację, że mimo znacznej wysokości murów obronnych zamku, oblężeni nie mogli już z nich widzieć tak dokładnie jak przedtem ruchów nieprzyjaciół, gdyż podszycie skraju lasu dochodziło do samej bramy wyjściowej bastionu i napastnicy mogli niepostrzeżenie wprowadzić doń tyle nowych sił, ile uważali za potrzebne. Zupełnie nieświadomi, gdzie rozpocznie się szturm, de Bracy i jego towarzyszy musieli więc być przygotowani na wszelkie niespodzianki, a ich wojacy, choć odważni, odczuwali jednak

przygnębienie, jakie zwykle ogarnia ludzi otoczonych przez nieprzyjaciół, od których zależy wybór odpowiedniej chwili i sposobu ataku.

W tym czasie pan oblężonego i zagrożonego zamku leżał na swym łożu, cierpiąc katusze cielesne i męki duszy. Nie chciał bowiem zastosować zwykłej w owych przesądnych czasach ucieczki pobożnych, którzy mniemali, że zbrodnie swoje okupią hojnymi darowiznami dla Kościoła, i zagłuszali trwogę myśląc, że tym sposobem prześlą Boga i uzyskają Jego przebaczenie. Wśród wad Bawolego Łba, twardego i chciwego człeka, pierwsze miejsce zajmowało skąpstwo, wolał zatem zachować się wyzywająco wobec Kościoła i duchowieństwa niżli kosztem złota i ziem kupić sobie darowanie win i rozgrzeszenie. Wolał nie wierzyć w skuteczność lekarstwa niż opłacać lekarza.

Nadszedł jednak czas, kiedy przed jego oczu miała zniknąć ziemia wraz ze wszystkimi swymi bogactwami, a serce barona, twarde jak kamień, przejęła trwoga, gdy wzrokiem sięgnął w ciemną otchłań przyszłości.

Gorączka, która trawiła jego ciało, wzmagala niepokój i lęk duszy.

— Gdzież są te psy — mrucał — te klechy, co tak drogo sprzedają swe cudackie praktyki? Gdzież są bośi karmelici? Jeszcze mój ojciec, stary rycerz Bawoli Łeb, ufundował im klasztor Świętej Anny, pozbawiając swego prawego dziedzica wielu akrów pięknych łąk i wielu urodzajnych pól! Gdzież są teraz te chciwe psy? Żłopia pewnie piwo lub odprawiają swe kuglarskie sztuczki przy postaniu jakiegoś nędznego chłopa. A mnie — syna ich dobrodzieja, którego fundacja zobowiązuje do modłów za

mnie — mnie te niewdzięczne łotry pozwalają umierać jak bezdomnemu psu bez spowiedzi i rozgrzeszenia! Wezwijcie tu templariusza; jest zakonnikiem, powinien więc coś poradzić. Lecz nie! Wolej spowiadać się diabłu niżli Brianowi de Bois-Guilbert! Nie wierzy on ani w niebo, ani w piekło! Słyszałem starców mówiących, że aby się modlić, należy modlić się samemu. Wtedy nie trzeba ani prosić, ani opłacać fałszywych księży. Lecz ja... ja nie śmiem się modlić!

— Czyż Reginald Bawoli Łeb jeszcze żyje — odezwał się nagle słaby i chrapliwy głos — jeśli mówi, że nie śmie czegoś uczynić?

Nieczyste sumienie i rozdrażnienie Bawolego Łba nasunęły mu myśl, że do jego monologu tak dziwnie się wmieszał głos jednego z tych piekielnych duchów, które, jak ówczesni przesądni ludzie wierzyli, obsiadają łożę umierającego, by odwrócić jego myśli od medytacji nad zbawieniem wiecznym. Zadrzał i skulił się, lecz zaraz potem, zebrawszy całą swą odwagę, zawołał:

.— Kto tu jest?! Kto ośmiela się przedrzeźniać moje słowa złowieszczym głosem puszczyka? Przybliź się do mego postania!

— Reginaldzie, jestem twoim złym duchem — powiedział ten sam głos.

— Niech więc ujrzę cię w ludzkiej postaci, jeśliś jest istotnie diabłem — rzekł umierający rycerz. — Nie myśl, że się ciebie zleknię. Na piekielne wrota! Gdybym mógł stanąć do walki z otaczającymi mnie okropnościami, jak walczyłem z niebezpieczeństwem grożącym śmiercią, ani niebo, ani piekło nie mogłoby się pochwalić, że im nie stanął!

— *Pomyśl o twoich grzechach, Reginaldzie — odezwał się znowu*

nieziemski prawie głos. — Pomyśl o rokoszu, o rabunku, o

*morderstwach! Kto podburzył tego wyuzdanego księcia Jana przeciw
jego siwowłosemu ojcu i jego szlachetnemu bratu?*

— *Wszystko jedno, czyś czartem, księdzem, czy szatanem — odparł*

Bawoli Łeb. — Skłamałeś! Nie ja buntowałem Jana, nie ja sam:

buntowało go też pięćdziesięciu innych rycerzy i baronów, kwiat

rycerstwa ze środkowych hrabstw, najlepiej władających włóczniami.

Mamże odpowiadać za grzechy pięćdziesięciu rycerzy? Idź precz i nie

zbliżaj się do mego łóża! Pozwól mi umrzeć w spokoju, jeśliś jest

śmiertelny, a jeśliś szatanem — to twoja godzina jeszcze nie nadeszła!

— *Nie umrzesz spokojnie — ciągnął głos. — W chwili śmierci będziesz*

myślał o swoich zbrodniach, będziesz słyszał jęki, jakie rozlegały się w

tym zamku, ujrysz krew, którą nasiąkły te kamienie!

— *Nie myśl, że mnie przestraszysz takimi głupstwami — odparł Bawoli*

Łeb z okropnym, wymuszonym śmiechem. — Moje potraktowanie

niewiernego Żyda będzie mi przecie poczytane w niebie za zasługę, bo

inaczej czyżby ludzie, którzy ręce swoje unurzali we krwi Saraceńców,

byli tak wychwalani? A te saksońskie wieprze, które pomordowałem, to

byli wrogowie mojego kraju, rodu i mego lennego pana. Widzisz więc,

że nie ma słabych miejsc w mojej zbroi. Czyś odszedł, czy zamilkł?

— *Nie, obmierzły ojcobójco — odezwał się znów głos. — Pomnij na*

twego ojca! Pomnij na jego śmierć! Pomnij na salę biesiadną zbroczoną

jego krwią, wylaną przez rodzzonego syna!

— Ha — zawołał baron po dłuższym milczeniu — jeśli wiesz o tym, jesteś zaiste ojcem zła i wszechwiedzącym duchem, jak cię mnichy nazywają! Sądziłem, że tajemnica ta ukryta jest w mej duszy i w jednej jeszcze duszy — w duszy kusicielki, współniczki mej zbrodni. Idź precz, szatanie! Znajdź tę saksońską wiedźmę, Ulrykę, ona jedna ci opowie, czegośmy oboje byli świadkami. Idź, powiadam, do niej! Ona to obmyła rany i ułożyła trupa nadając zamordowanemu pozory naturalnej śmierci ze starości. Idź do niej; ona była moją kusicielką, przeklętą przyczyną i stokroć bardziej przeklętą nagrodą tej zbrodni. Daj jej zakosztować, tak jak mnie, tych męczarni, które czekają nas w piekle!

— Ona już ich doznaje — rzekła Ulryka ukazując się przy łożu rycerza.

— Od dawna pije z tego kielicha goryczy, ale słodszy jej się teraz wydaje, gdy wie, że i ty z nią razem z niego pijesz. Nie zgrzytaj zębami, Bawoli Łbie, nie tocz oczami, nie ściskaj pięści i nie wygrażaj mi nimi! Twoje ramię, podobnie jak ramię przodka, od którego pochodzi twoje nazwisko, mogło jednym uderzeniem zabić dzikiego bawołu, ale teraz jest tak słabe i bezsilne jak moje!

— Podła, okrutna wiedźmo! — krzyknął Bawoli Łeb. — Wstrętny puszczyku! Przyszłaś się nacieszyć niedolą, do której się sama przyczyniłaś.

— Ach, Reginaldzie — odparła. — To ja, Ulryka, córka zamordowanego Torquila Wolfgangera i siostra jego pobitych synów! Przybywam, by zażądać od ciebie, od twego rodu, od twego ojca i pobratymców twoich, od twego zawołania i twego honoru rachunku z tego wszystkiego, co

straciłam przez was, przez ród Bawolego Łba. Wspomnij me krzywdy i odpowiedz mi, czy nie mówię prawdy? Byłeś moim złym duchem, teraz ja chcę być twoim. Będę cię prześladowała do ostatniego twego tchnienia!

— Wstrętna jędzo! — zawołał Bawoli Łeb. — Nie będziesz tego świadkiem! Hej! Idzi, Klemensie, Eustachy, Maurycy, Stefanie, schwycić mi tę przeklętą wiedźmę i zrzucić ją z murów! Wydala nas Saksończykom! Hejże! Maurycy, Klemensie! Zdrajcy, łotry! Gdzieście się podzieli?

— Możesz ich wzywać, mężny baronie — rzekła wiedźma z szyderczym uśmiechem — gromadzić dokoła siebie wasali i grozić opieszalym chłostą czy więzieniem. Ale wiedz, potężny wodzu — ciągnęła dalej, nagle zmieniawszy ton — że nie możesz już od nich oczekiwać ani odpowiedzi, ani pomocy, ani posłuchu. Słyszysz ten okropny zgiełk? (Właśnie z murów obronnych zamku dochodziły odgłosy wznowionego szturm i obrony). Te okrzyki bojowe wróżą upadek twego rodu. Potęga Bawolego Łba, na krwi zbudowana, chwieje się w posiadach pod ciosami wrogów najbardziej przez ciebie pogardzanych! Saksończycy, Reginaldzie, pogardzani Saksończycy szturmują twoje mury! Czemu leżysz tu jak goniona łania, gdy Saksończycy szturm przypuszczają do twojej twierdzy?

— Bogowie i szatani! — zawołał ranny rycerz. — Och, przywróćcie mi na chwilę siły, bym mógł rzucić się w wir walki i zginąć śmiercią, która przystoi memu imieniu!

— Ani myśl o tym, waleczny baronie! — odrzekła stara. — Nie umrzesz śmiercią rycerza, lecz jak lis w norze, gdy chłopci podpalą dokoła podszycie lasu!

— Kłamiesz, obmierzła jęzdo! — krzyknął rycerz. — Moi wojacy oprą im się dzielnie! Mury są silne i wysokie, a moi towarzysze broni nie ulękną się całego wojska saksońskiego, choćby dowodzili nim Hengist i Horsa! Zawołanie templariusza i wolnej kompanii zagłusza zgiełk bitwy. Na mój honor rycerski, gdy rozpalimy ognisko dla uczczenia naszego zwycięstwa, spłonie w nim twoje ciało i kości. A ja dożyję tej chwili, w której się dowiem, że z tego ogniska dostałaś się prosto w płomienie piekła. Nigdy ono jeszcze nie wysłało na ten świat takiego wcielenia diabła, jak ty!

— Ciesz się nadzieją — odparła Ulryka — póki się sam nie przekonasz o twym losie. Lecz nie! — przerwała sobie. — Powinieneś od razu się dowiedzieć, co cię czeka; nie unikniesz przeznaczenia mimo całej swej potęgi, siły i odwagi, przeznaczenia, które przygotowała ta oto słaba dłoń. Czy widzisz ten gęsty, duszący dym, który pełźnie już czarną chmurą przez komnatę? Może myślałeś, że to mrok powleka twe chore oczy, że to twój oddech trudniejszym się staje? Nie, Bawoli Łbie, inna jest tego przyczyna. Czy przypominasz sobie, że skład opatu znajduje się pod tą izbą?

— Niewiasto! — wykrzyknął gniewnie rycerz. — Chybaś nie podłożyła tam ognia? Dalibóg! Tyś to uczyniła! Zamek płonie!

— Przynajmniej wkrótce będzie płonął — rzekła Ulryka z przerażającym

spokojem. — Wkrótce też sygnał pewien da znać oblegającym, ażeby ostro natarli na tych, co zajmą się gaszeniem pożaru. Żegnaj, Bawoli Łbie! Oby Mista, Skogula i Zernebock, bogowie dawnych Saksończyków, zwani obecnie przez księży szatanami, zajęli miejsce pocieszycieli przy twym śmiertelnym łożu, które im teraz Ulryka ustępuje! Dowiedz się, jeśli to będzie dla ciebie pociechą, że ona wraz z tobą przeprawi się na tamten posępny brzeg, dzieląc z tobą karę, tak jak dzieliła zbrodnię. A teraz, ojcobójco, żegnam cię na zawsze! Och, gdyby każdy kamień w tym sklepieniu mógł powtarzać ci to słowo do ucha! To rzekłszy, wyszła z izby i Bawoli Łeb usłyszał, jak dwukrotnie przekręciła w zamku ogromny klucz, pozbawiając go w ten sposób najmniejszej nawet nadziei ocalenia. W rozpaczy zaczął wzywać pachołków i sprzymierzeńców:

— Stefanie! Maurycy! Klemensie! Idzi! Spłonę tu żywcem bez pomocy! Ratunku! Ratunku! Mężny rycerzu de Bois-Guilbert! Waleczny rycerzu de Bracy! To ja, Bawoli Łeb, was wzywam! To wasz pan was woła, podli giermkowie! Wasz sprzymierzeniec, wasz towarzysz broni, wiarołomni i zdradzieccy rycerze! Niechaj spadną na was wszystkie przekleństwa, na jakie zasłużyliście, wyrodki, pozwalając mi ginąć tak marnie! Nie słyszą mnie... nie mogą mnie usłyszeć, zgiełk bitwy zagłusza mój głos. Dym coraz gęstszy, ogień już dosięga podłogi. Och, choć przez chwilę jeszcze odetchnąć czystym powietrzem! Gotów bym zapłacić za to życiem!

I oszalały z rozpaczy nędznik dołączał swój krzyk do wrzasku

walczących, to znów niewyraźnym głosem przeklinał siebie, ludzkość i niebiosą.

XXXI

Raz jeszcze do ataku, dalej, przyjaciele,

Lub wyrwę zamurujcie ciałami Anglików!

Wy, wolni poddani,

Wyrośli przecież w Anglii, pokażcie nam teraz

Tężyżnę waszych mięśni, byśmy mogli przysiąc,

Żeście warci zachodu...

W. SZEKSPIR; Henryk V

Choć Cedryk niezbyt dowierzał Ulryce, nie omieszkał jednak

opowiedzieć o jej obietnicy Czarnemu Rycerzowi i Locksleyowi.

Wodzowie oblegający ucieszyli się, że mają przyjaciela wewnątrz

twierdzy, który w razie potrzeby ułatwi im wdarcie się do środka.

Zgodzili się zatem z Saksonem, że należy przypuścić szturm, jakikolwiek

będzie jego wynik; był to jedyny sposób uwolnienia więźniów z

okrutnych rąk Bawolego Łba.

— Królewska krew Alfreda jest w niebezpieczeństwie — powiedział

Cedryk.

— Nastają na cześć szlachetnej damy — dodał Czarny Rycerz.

— Na świętego Krzysztofa na mym pasie! — zawołał zacny łucznik. —

Gdyby szło o ocalenie jednego tylko biednego, wiernego Wamby, gotów

jestem raczej utracić rękę czy nogę, niżbym miał zezwolić, aby mu spadł

choć jeden włos z głowy.

— *Ja też stanę za niego — rzekł pustelnik. — Iście to błazen, panowie, ale wierzajcie mi, że wyzwolony przez swój cech trefniś, mistrz w swoim zawodzie, dodaje więcej smaku i aromatu napitkom niż kawał szynki. Wierzajcie mi, bracia, błazen nie potrzebuje mnicha, by się za niego pomodlił, lub wojaka, co by się za niego bił, bo ja i mszę odprawię, i władać umiem berdyszem.*

Mówiąc to, zakreślił młyńca nad głową ciężkim berdyszem jak pasterz swym lekkim kijem.

— *Sprawiedliwie gadasz, świętobliwy bracie — powiedział Czarny Rycerz. — Sam święty Dunstan nie mógłby lepiej rzec. A ninie, mój drogi Locksleyu, czy nie byłoby rzeczą słuszną, by szlachetny Cedryk objął dowództwo nad szturmem?*

— *Bogać tam! Nie! — odparł Cedryk. — Nigdy nie chciałem się nauczyć, jak się zdobywa czy broni tych twierdz, ostoj tyrańskiej władzy Normandów, którzy je wznieśli w naszym uciśnionym kraju. Iście będę walczył w pierwszych szeregach, lecz moi zacni sąsiedzi dobrze wiedzą, że nie mam doświadczenia w wojowaniu i w zdobywaniu twierdz.*

— *Jeśli takie jest postanowienie szlachetnego Cedryka — rzekł Locksley*

— *juści chętnie będę dowodził łucznikami. Możecie mnie powiesić na naszym umówionym dębie, jeśli każdego obrońcy, co wychynie znad muru, nie naszpikują strzałami, jak się nadziewa na Gody szynkę goździkami.*

— *Sprawiedliwie gadasz, dzielny łuczniku — pochwalił Czarny Rycerz.*

— *Jeśli zasię uważacie, żem godny jest objąć tu jakiś urząd, i jeśli jeno*

*znajdę między tymi dzielnymi wojakami chętnych, co by poszli za
prawym angielskim rycerzem — bo mogę się niechybnie za takiego
uważać — gotów jestem poprowadzić ich do ataku z umiejętnością
zdobytą doświadczeniem.*

*Dowódcy, podzieliwszy w ten sposób role, rozpoczęli pierwszy szturm,
którego wyniki czytelnicy już znają.*

*Gdy barbakan został zdobyty, Czarny Rycerz zawiadomił o tym
sukcesie Locksleya, zalecając jednocześnie, by pilnie uważał na zamek i
nie dozwolił obrońcom połączyć się dla dokonania niespodziewanej
napaści w celu odzyskania utraconego bastionu. Tego szczególnie
rycerz chciał uniknąć, zdając sobie sprawę, że ochotnicy, którymi
dowodził — nieostrożni, nie wyćwiczeni, źle uzbrojeni i nie nawykli do
dyscypliny — mogli z łatwością ulec przy spotkaniu z normandzkimi
weteranami, dobrze zaopatrzonymi w bron zaczepną i odporną.*

*Przeciwstawiali oni zapalowi i odwadze oblegających pewność siebie,
wynikającą z niezwyklej karności i doskonałego władania bronią.*

*Rycerz podczas przerwy w walce kazał wybudować rodzaj pływającego
mostu czy też długiej tratwy, za pomocą której chciał przedostać się
przez fosę mimo usiłowań obrońców. Zbijanie tratwy przeciągnęło się,
lecz dowódcy nie żalowali straconego czasu, gdyż tymczasem Ulryka
mogła działać na ich korzyść.*

*Gdy tratwa była już zbudowana, Czarny Rycerz zwrócił się tymi słowy
do oblegających:*

— Nie ma potrzeby dłużej zwlekać, przyjaciele. Słońce chyli się już ku

*zachodowi, a na mnie czeka jeszcze zadanie, którego nie za mi
poniechać, i nie mogę ani jednego dzionka tu dłużej zmitrężyć. Iście
byłby to cud, gdyby z Yorku nie spadła nam na kark jazda, musimy
więc się pośpieszyć. Jeden z was niech powiadomi Locksleya, by zasypał
strzałami drugą stronę twierdzy i ruszył naprzód, jakby chciał uderzyć
na zamek, a wy, mężni Anglicy, stójcie przy mnie i bądźcie gotowi
przerzucić most przez fosę, gdy tylko otworzy się brama od naszej
strony. Wtedy rzućcie się za mną odważnie przez most i dopomóżcie mi
przy zdobywaniu wrót w głównym murze obronnym zamku. A ci,
którym nie w smak taki bój czy też nie mają dobrego oręża, niech celują
z łuków w blanki i każdego, kto się nad nimi pokaże, niech zasypią
strzałami. Ty, szlachetny Cedryku, chceszli objąć dowództwo nad
pozostałymi wojami?*

*— Nie, na duszę Harevarda! — zawołał Sakson. — Nie chcę być wodzem,
lecz niech mnie potomność przeklnie w grobie, jeśli nie pójdę za
pierwszym, który mi wskaże drogę. Walka o mnie się toczy, przystoi
więc, bym znalazł się w przedniej straży.*

*— Ale zważ, szlachetny panie — rzekł rycerz — iż nie masz ani kolczugi,
ani pancerza, tylko ten lekki szyszak, małą tarczę i miecz.*

*— Tym lepiej — odparł Cedryk. — Łacniej mi będzie drapać się na mury.
I przebac mi przechwałkę, panie rycerzu, ale ujrzysz dziś Saksończyka
równie odważnie nadstawiającego swą nie osłoniętą pierś w boju jak
Normand okryty stalowym pancerzem.*

— A więc w imię Boga — rzekł rycerz. — Otwórzcie wrota i rzućcie

tratwę!

Brama prowadząca z wnętrza bastionu na fosę, naprzeciw której widniały wrota w murach zamku, otworzyła się nagle; tratwa, rzucona na wodę, połączyła zamek z bastionem, tworząc śliskie i tak wąskie przejście, że zaledwie dwóch ludzi obok siebie mogło przedostać się na drugą stronę fosy. Wiedząc, jak ważne było zaskoczenie nieprzyjaciela, Czarny Rycerz rzucił się na ten ruchomy most, a zaraz za nim pośpieszył Cedryk i obaj przedostali się na drugą stronę. Tu Czarny Rycerz zaczął walić we wrota; przed strzałami i kamieniami miotanymi przez obrońców osłaniały go ruiny zwodzonego mostu, zerwanego przez templariusza, gdy się cofał z barbakanu, pozostawiając dźwig do podnoszenia mostu przymocowany do górnej części portalu. Inni oblegający nie mieli tej osłony: dwóch zostało natychmiast trafionych z kuszy, a dwóch wpadło do fosy; reszta cofnęła się do barbakanu. Położenie Cedryka i Czarnego Rycerza było teraz bardzo groźne i stałoby się jeszcze groźniejsze, gdyby nie pomoc łuczników pozostałych w barbakanie; nieustannie zasypywali mury strzałami, odwracając uwagę od szturmujących i osłaniając w ten sposób obu wodzów, którym groziła niechybna śmierć. Niemniej położenie ich było niezwykle ciężkie i stawało się z każdą chwilą niebezpieczniejsze.

— Hańba wam wszystkim! — zawołał de Bracy do żołnierzy zgromadzonych wokół niego. — Nazywacie siebie strzelcami, a pozwalacie tym psom trzymać się pod murami zamku? Zrzućcie na nich kamienie z blanków, jeśli nic innego nie potraficie. Weźcie topory i

dragą i zwalcie ten szczyt muru!

I wskazał na ciężką, kamienną ozdobę sterczącą na, parapecie murów.

W tej samej chwili oblegający ujrzeli czerwoną chorągiew nad narożnikiem wieży, który wskazała Cedrykowi Ulryka. Pierwszy spostrzegł ją znamienity łucznik Locksley, gdy biegł zniecierpliwiony ku bramie, by się przekonać, jak idzie szturm.

— O święty Jerzy! — zawołał. — O święty Jerzy, patronie Anglii! Do szturm, dzielni łucznicy! Jak możecie pozwolić, by dobry rycerz i szlachetny Cedryk sami zdobywali wrota? Naprzód, szalony mnichu, pokaż, czy umiesz bronić swego różańca! Naprzód, dzielni łucznicy! Zamek już nasz, mamy w nim przyjaciół. Patrzcie na tę chorągiew, to umówiony znak — Torquilstone pada! Pomnijcie na sławę, pomnijcie na łupy! Jeszcze jeden wysiłek, a zdobędziemy zamek!

Mówiąc to, naciągnął łuk i przeszył strzałą pierś jednego ze zbrojnych, którzy w myśli rozkazu de Bracy'ego usiłowali oderwać część parapetu, aby go zrzucić na głowy Cedryka i Czarnego Rycerza. Drugi żołnierz porwał żelazny drag z rąk trafionego śmiertelnie towarzysza i zaczął nim podwierać szczyt muru, aż sam trafiony w głowę spadł martwy prosto w fosę. Wystraszyło to innych obrońców twierdzy, gdyż zdawało się, że żadna zbroja nie osłoni przed strzałami strasznego łucznika.

— Ustępujecie, nędznicy?! — zawołał de Bracy. — Montjoye Saint-Denis! Dajcie mi drag!*

**/ Montjoye Saint-Denis — święty Dionizy patron Francji miał ponieść śmierć męczeńską w Paryżu na wzgórzu zwanym Montjoie i stąd to*

„zawołanie” rycerzy normandzkich.

Porwawszy go, zaczął dalej podwagać chwiejający się już szczyt muru, który był tak ciężki, że strącony nie tylko strzaskałby resztę mostu zwodzonego osłaniającą dwóch pierwszych szturmujących, ale także i tratwę skleconą naprędce z desek, po której się przedostali. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i najodważniejsi, nawet nieustraszony pustelnik, obawiali się stanąć na tratwie. Trzykrotnie Locksley wypuszczał strzałę w de Bracy'ego i trzykrotnie odbiła się ona od jego hartowanej zbroi.

— Niech diabli porwą ten hiszpański pancierz! — wykrzyknął Locksley. —

Gdyby go wykuli angielski płatnerz, moje strzały przeszyłyby go jak jedwab! Towarzysze! Przyjaciele! — zaczął wołać. — Szlachetny

Cedryku! Wracaj i przeczekajmy, aż się ten występ muru zwali!

Lecz jego ostrzegawczy głos ginął wśród huku topora Czarnego

Rycerza, który zagłuszyłby nawet dźwięk dwudziestu surm bojowych.

Natenczas wierny Gurt skoczył na tratwę, by przestrzec Cedryka przed

groźącym mu niebezpieczeństwem lub podzielić jego los. Lecz było już

za późno: ciężki szczyt muru chwiał się i de Bracy, podważając go

wciąż, byłby zapewne go zrzucił, gdyby nagle nie usłyszał tuż koło siebie

głosu templariusza:

— Wszystko stracone, zamek płonie!

— Oszalałeś! — wykrzyknął rycerz.

— Od zachodu wszystko się pali. Na próżno usiłowałem ugasić pożar.

Brian de Bois-Guilbert oznajmił tę okropną wieść z posępnym spokojem,

stanowiącym istotę jego charakteru, lecz nie została ona z równym spokojem przyjęta przez jego towarzysza.

— Ratujcie, wszyscy święci! — zawołał de Bracy. — Gorze nam! Ofiaruję świętemu Mikołajowi w Limoges świecznik szczerozłoty...

— Nie pora na śluby — rzekł templariusz. — Posłuchaj mnie. Sprowadź na dół swych ludzi, jakbyś zamiarował wypad, i otwórz wrota. Jeno dwóch ludzi stoi na tratwie, zepchnij ich do fosy i przedostań się do barbakanu. Ja wypadnę z głównej bramy i uderzę na barbakan od zewnątrz. Jeśli zdołamy go odbić, będziemy się w nim bronić aż do nadejścia odsieczy lub może uda nam się uzyskać korzystną kapitulację.

— Przednia myśl — odparł de Bracy. — Wypełnię swoje zadanie. Ale ty, templariuszu, nie zawiedzieszli mnie?

— Klnę się na rękawicę i pas rycerski! — zawołał Bois-Guilbert. — Lecz, na miłość boską, pośpieszaj!

De Bracy nie zwlekając zebrał swych ludzi i pobiegł do wrót, które kazał natychmiast otworzyć. Lecz wówczas Czarny Rycerz dzięki swej niezwyklej sile utorował sobie drogę do środka twierdzy, choć de Bracy i jego ludzie stawiali zacięty opór. Dwóch pierwszych obrońców padło, a reszta cofnęła się mimo wysiłków wodza, by ich powstrzymać.

— Podłe psy! — wołał de Bracy. — Czy zezwolicie, by dwóch ludzi mogło nam zagrozić jedyną drogę ratunku?

— To diabeł! — rzekł jeden ze starych wojaków cofając się przed razami czarnego przeciwnika.

— A gdyby nawet był diabłem — odparł de Bracy — czy uciekalibyście

przed nim do piekła? Kasztel płonie za nami! Niech rozpacz doda wam odwagi, lotry, albo raczej puśćcie mnie naprzód! Zmierzę się z tym zuchem.

De Bracy dzielnie i po rycersku poczynił sobie tego dnia, usprawiedliwiając swą sławę, zdobytą w wojnach domowych toczonych w tych okropnych czasach.. Sklepione przejście, do którego prowadziły wrota i gdzie dwaj groźni zapaśnicy walczyli teraz wręcz, rozbrzmiewało szczękiem oręża i potężnych ciosów zadawanych sobie przez przeciwników: de Bracy walił mieczem, a Czarny Rycerz — ogromnym toporem. Wreszcie ten ostatni zadał Normandowi tak potężny cios, że gdyby go częściowo nie osłaniał puklerz, wyzionąłby ducha; jednak uderzenie spadło na jego szyszak z taką siłą, że runął jak długi na ziemię.

— Poddaj się, de Bracy — rzekł Czarny Rycerz pochylając się nad nim i przykładając mu do kraty szyszaka ten złowieszczy sztylet, którym rycerze dobijali swych wrogów i który nosił miano mizerykordii. — Poddaj się, de Bracy, zdaj się na moją łaskę i niełaskę lub zginiesz.

— Nie poddam się — odparł słabym głosem de Bracy. — Nie poddam się nieznanemu zwycięzcy. Wyjaw mi swe imię albo uczyni ze mną, co zechcesz. Niech nikt nie ośmieli się twierdzić, że się poddał nieznanemu chłopu.

Czarny Rycerz szepnął mu coś na ucho.

— Jestem twym jeńcem i zdaję się na twoją łaskę i niełaskę — odparł wtedy Normand zmieniawszy ton z ponurego i zdecydowanego uporu na

posępną uległość.

— Idź do barbakanu — rzekł zwycięzca rozkazującym tonem — i czekaj tam na moje dalsze rozkazy.

— Wpierw pozwól — rzekł de Bracy — bym ci powiedział ważną dla ciebie rzecz. Wilfryd z Ivanhoe jest ranny i wzięty przez nas do niewoli; bez natychmiastowej pomocy zginie w płonącym zamku.

— Wilfryd z Ivanhoe?! — zawołał Czarny Rycerz. — Jest w niewoli i może zginąć? Załoga zamku odpowie swym życiem, gdyby mu spadł choć włos z głowy! Wskaż mi, gdzie on przebywa.

— Wejdziesz tymi krętymi schodami na górę, prowadzą do jego izby. Czy chcesz, żebym cię poprowadził? — dodał pokornym głosem de Bracy.

— Nie. Idź do barbakanu i tam czekaj na moje rozkazy. Nie ufam ci, de Bracy.

Podczas tego pojedynku i krótkiej po nim rozmowy Cedryk na czele oddziału zbrojnych, wśród których znajdował się i mnich, przeprawił się przez most, gdy tylko ujrzał otwarte wrota. Odepchnęli wystraszonych i zrozpaczonych pacholców de Bracy'ego, których część się poddała, część stawiała słaby opór, a większość pierzchła na podwórzec. De Bracy powstał i spojrzał z żalem na swego zwycięzcę.

— Nie ufa mi! — powtórzył. — Ale czy zasłużyłem na zaufanie?

Po czym podniósł z ziemi swój miecz, zdjął hełm na znak uległości i udawszy się do barbakanu, oddał miecz Locksleyowi spotkanemu po drodze

Gdy pożar się rozszerzył, zmiarkowano to wkrótce i w izbie, gdzie

Rebeka pielęgnowała rannego Wilfryda. Z krótkiej drzemki zbudził go zgiełk bitwy; na jego naleganie Żydówka znów stanęła w oknie, by przyglądać się walkom i zdawać mu sprawę z przebiegu szturm, lecz wkrótce przeszkodził jej coraz gęstszy, duszący dym. Wreszcie, gdy do komnaty przedostał się gęstymi kłębami, a nad hałasem bitewnym zaczęły górować wołania o wodę, zrozumieli oboje, jakie im nowe grozi niebezpieczeństwo.

— Zamek się pali! — zawołała Rebeka. — Pali się! Co zrobić, żeby się ocalić?

— Uciekaj, Rebeko, i ocal swe życie — odparł Ivanhoe. — Mnie już nikt nie uratuje.

— Nie będę uciekać — powiedziała Rebeka. — Albo razem ocalejemy, albo razem zginiemy. Ale... wielki Boże! Mój ojciec, mój ojciec! Jakież los go czeka?

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich templariusz; wyglądał okropnie: złocona zbroja była pogięta i zakrwawiona, pióropusz na szyszaku częściowo zdarty, częściowo nadpalony.

— Znalazłem cię wreszcie — rzekł do Rebeki. — Widzisz, że dotrzymałem słowa i dzielić będę z tobą złą i dobrą dolę. Jedna jest tylko droga ocalenia: przedarłem się przez liczne niebezpieczeństwa, by ci ją ukazać. Wstań i idź za mną.

Nie pójdę sama z tobą — odparła Rebeka. — Jeśliś jest zrodzony przez kobietę, jeśli masz choć źdźbło litości w duszy, jeśli twe serce nie jest tak twarde jak twój pancerz, ocal też mego starego ojca i tego rannego

rycerza!

— *Każdy rycerz — odparł templariusz ze swym zwykłym spokojem — musi być przygotowany na śmierć, czy to od miecza, czy od ognia. A któż by się troszczył, gdzie i jak zginie Żyd?*

— *Okrutny rycerzu! — zawołała Rebeka. — Raczej zginę w płomieniach, niżlibym miała przyjąć twą pomoc!*

— *Nie ty będziesz wybierać, Rebeko. Raz mi się wymknęłaś, lecz nikomu jeszcze nie udało się to dwukrotnie.*

Mówiąc to, porwał wystraszoną dziewczicę i mimo jej krzyków wyniósł ją z izby, nie zważając na groźby i złorzeczenia, które miotał za nim

Ivanhoe:

— *Ty psie! Zakąło twego zakonu! Poniechaj tej dziewczyny! Zdrajco, ja, Ivanhoe, rozkazuję ci! Łotrze, wytoczę krew z ciebie!*

— *Gdybyś tak nie krzyczał, nie byłbym cię znalazł, Wilfrydzie — odezwał się Czarny Rycerz, który wszedł w tej chwili do komnaty.*

— *Jeśliś jest prawym rycerzem — zawołał Wilfryd — nie myśl o mnie! Ścigaj tego grabieżcę, ocal lady Rowenę i szlachetnego Cedryka!*

— *Na każdego przyjdzie kolej — odparł rycerz z okowami na tarczy — lecz ty jesteś pierwszy w kolei.*

Porwał rannego i poniósł z taką łatwością jak templariusz Rebekę; pobiegł do wrót i oddawszy swój ciężar dwóm łucznikom wrócił do zamku, by ratować innych więźniów.

Jedna z baszt stała już w płomieniach, buchających przez okna i strzelnice, natomiast w innych częściach grube mury i sklepienie

komnaty nie dozwalały, by pożar szybko się rozszerzał. Tam też nienawiść ludzka brała jeszcze górę nad żywiołem. Napastnicy ścigali obrońców zamku z komnaty do komnaty i we krwi topili zemstę, jaką od dawna pałali przeciw drużynie okrutnego Bawolego Łba. Załoga przeważnie broniła się do upadłego; niewielu prosiło o życie, a żaden nie otrzymał pardonu. Wszędzie rozlegały się jęki i szczęk broni, a podłogi śliskie były od krwi rannych i umierających.

Wśród tego zamieszania Cedryk szukał Roweny, a wierny Gurt szedł za nim krok w krok wśród tłumu walczących, nie zważając na własne bezpieczeństwo, lecz starając się odparowywać ciosy wymierzone w jego pana. Szlachetnemu Saksonowi udało się szczęśliwie dostać do komnaty swej wychowanki w chwili, gdy lady Rowena straciła już nadzieję ocalenia i z krucyfiksem przyciśniętym do piersi czekała na rychłą śmierć. Cedryk powierzył dziewczynę opiece Gurta, który miał ją doprowadzić do barbakanu; droga wiodąca tam była wolna od nieprzyjaciół i pożar jeszcze nie doszedł do bastionu. Cedryk pobiegł dalej na poszukiwanie Athelstana, postanowił bowiem, nie bacząc na niebezpieczeństwo, ocalić ostatniego potomka saksońskich królów. Lecz zanim znalazł się w starożytnej sali, w której sam był niedawno więziony, pomysłowy Wamba zdołał już uwolnić siebie i swego towarzysza niedoli.

Gdy bój stał się najgorętszy, o czym świadczyła wzmożona wrzawa, błazen zaczął wrzeszczeć, ile miał sił:

— Święty Jerzy ze smokiem! Święty Jerzy, broń naszej Anglii!

Zdobyliśmy zamek!

Powiększał jeszcze hałas uderzając w zardzewiałe części zbroi, które walały się w nieładzie na podłodze sali.

Wartownik stojący na straży w przedsionku, mocno już wystraszony, przeląkł się krzyku Wamby i nie zamknąwszy za sobą drzwi, pobiegł do templariusza, by ostrzec go, że nieprzyjaciel dostał się do starej sali zamkowej. Tymczasem więźniowie bez trudu wymknęli się do przedsionka, a stamtąd na podwórzec zamku, gdzie toczyły się ostatnie boje. Okrutny templariusz walczył na koniu w otoczeniu kilku konnych i pieszych ludzi z załogi, którzy przyłączyli się do tego znamienitego wodza, by razem z nim skorzystać z ostatniej może sposobności ocalenia i ucieczki. Rycerz de Bois-Guilbert kazał spuścić most zwodzony, ale przejście to było zamknięte; łucznicy bowiem, dotychczas ostrzeliwujący tylko zamek z tej strony, gdy ukazały się płomienie, a most został spuszczone, rzucili się do bramy, by nie dać się wymknąć załodze, a także by wziąć udział w grabieży, zanim kasztel spłonie całkowicie. Z drugiej zaś strony, część napastników, która się wdarła do zamku przez tylną bramę, wpadła teraz na podwórzec i rzuciła się z wściekłością na pozostałych obrońców twierdzy, w ten sposób zaatakowanych z obydwu stron.

Garstka zbrojnych, doprowadzona do rozpacz i zachęcona przykładem swego nieustraszonego wodza, dokazywała cudów waleczności, a będąc lepiej od napastników uzbrojona, choć mniej liczna, kilkakrotnie odepchnęła ich ataki. Rebeka, posadzona na koniu przed jednym z

saraceńskich niewolników templariusza, znajdowała się w samym środku obrońców, a Bois-Guilbert, pomimo zamieszania panującego w czasie krwawej potyczki, czuwał nad jej bezpieczeństwem. Co chwila zwracał się do niej i nie myśląc o własnej obronie, zasłaniał ją swą trójkątną tarczą obitą blachą, po czym nagle wydawał okrzyk wojenny, rzucał się w wir walki, obalał najbliższego napastnika i natychmiast znów powracał do dziewczyny.

Athelstan, który, jak wiadomo czytelnikowi, był opieszaty, lecz nie tchórzliwy, widząc postać kobiecą tak troskliwie osłanianą przez Briana de Bois-Guilbert, nie wątpił, że jest to Rowena, którą templariusz chciał uprowadzić pomimo oporu, jaki mu przeciwstawiano.

— Na duszę świętego Edwarda! — zawołał. — Ocalę ją z rąk tego pysznego rycerza, a on zginie od mego miecza!

— Pomiarkujcie się, panie — rzekł Wamba. — Zbyt pochopnie działając, możecie wyłowić żabę zamiast ryby. Na mój kaduceusz, to nie lady Rowena! Spójrzcie, panie, na jej długie, ciemne kosy! Jakoż możecie być wodzem, skoro nie odróżniacie czarnego od białego? Ja tam nie będę pod wami służył: nie dam sobie kości łamać za byle kogo! Nie macie też, panie, zbroi! Baczcie, przecie jedwabna czapka nie osłoni przed ciosem przedniej stali. Kto spragniony, niechaj pije. Pax vobiscum, waleczny Athelstanie — zakończył wypuszczając z ręki połę sukni Saksończyka, za którą go dotychczas przytrzymywał.

Dla takiego siłacza jak Athelstan, któremu wściekłość dodawała jeszcze mocy, porwać z ziemi maczugę wypuszczoną z dłoni przez któregoś z

umierających, rzucić się na oddział templariusza, uderzyć na prawo i na lewo, za każdym razem obalając zbrojnego, było dziełem jednej chwili. Wkrótce znalazł się w odległości dwóch stóp od templariusza i zaczął go głośno wyzywać:

— Broń się, fałszywy gadzie! Puść tę, któregoś niegodzien dotknąć! Broń się razem z twą bandą łupieżców, rzeźmieszków, opryszków!

— Ty psie! — odpowiedział mu templariusz zgrzytając zębami. —

Nauczę cię bluźnić przeciw świętemu zakonowi obrońców Świątyni Syjońskiej!

Z tymi słowy zatoczył koniem, szarpnął wodze, aż rumak stanął dęba — i uniósłszy się w strzemionach, by wykorzystać siłę skoku wierzchowca, zadał potężny cios w głowę Athelstana.

Słusznie Wamba powiedział, że jedwabna czapka nie osłoni przed stalową klingą miecza. Tak ostry był oręż templariusza, że rozszczepił jak wierzbowy pręt uchwyt maczugi, którą nieszczęsny Athelstan wzniosł nad głową, by odparować cios, i powalił na ziemię przeciwnika.

— Hej! Beauseant! — zawołał Bois-Guilbert. — Taki los spotka wszystkich oszczerców zakonu templariuszy! I korzystając z popłochu, wywołanego upadkiem Athelstana, dorzucił:

— Za mną, komu życie miłe!

Torując sobie drogę poprzez usiłujących zatrzymać go łuczników, pomknął przez zwodzony most. Za nim podążyli Saraceni i pięciu czy sześciu zbrojnych, którzy dosiedli swych koni. Niebezpieczna to była ucieczka, bo i na rycerza, i na jego orszak posypały się strzały. Mimo to

okrążył twierdzę aż do barbakanu, przypuszczając, że zgodnie z poprzednio ułożonym planem, de Bracy ma go już, być może, w swoim ręku.

— *De Bracy! De Bracy!* — wołał. — *Bywaj!*

— *Jestem tu* — odparł de Bracy — *ale w niewoli.*

— *Mogę ci pomóc?* — wołał dalej templariusz.

— *Nie* — odparł de Bracy. — *Poddałem się na łaskę i niełaskę! Muszę dotrzymać rycerskiego słowa. Ratuj się! Wypuszczono sokoła na wolność. Niechaj morze odgrodzi cię od Anglii. Nie mogę ci rzec nic więcej.*

— *Dobrze* — rzekł templariusz. — *Pomnij jednak, że się wywiązałem z danego słowa. Nie boję się sokoła, mury komandorii Templestowe będą mi dostateczną obroną i tam podążę jak czapla do rodzinnego gniazda.* Wypowiedziawszy te słowa, puścił się galopem wraz ze swym orszakiem.

Ci obrońcy zamku, którzy nie zdolali dosiąść koni, po odjeździe templariusza dalej walczyli rozpaczliwie z napastnikami, chcąc raczej drogo sprzedać życie niżli wierząc w możliwość ocalenia. Pożar rozszerzał się szybko w całym zamku, gdy nagle Ulryka, która go sama wznieciła, ukazała się na wieży. Podobna do jednej ze starożytnych furii zanuciła pieśń wojenną, którą ongiś śpiewali na polach bitew skaldowie pogańskich jeszcze Saksonów. Jej długie, rozpuszczone włosy powiewały wokół odkrytej głowy; w jej oczach widniała rozkosz zaspokojonej zemsty i płomień szaleństwa; potrząsała trzymanym w

dłoni wrzecionem, jak gdyby była jedną ze złowrogich sióstr, które
przędły i przecinały nić ludzkiego żywota. Tradycja przechowała kilka
prostych strof tego barbarzyńskiego hymnu, śpiewanego niegdyś wśród
ognia i mordy.*

**/ Mowa tu o trzech Parkach z mitologii greckiej, które miały prząść nić
życia ludzkiego.*

I

Ostrzcie lśniąca stal,

Synowie Białego Smoka!

Zapal pochodnie,

Córo Hengista!

Nie dla świetności uczty błyska stal,

Stal twarda, lśniąca i ostra,

Nie dla łóżnicy pochodni blask,

Co żółtosiną zakrywa się chmurą.

Ostrzcie stal — krocze kruk,

Zapalajcie pochodnie — wyje Zernebock!

Ostrzcie stal, synowie Smoka!

Zapal pochodnię, o córo Hengista!

II

Czarna chmura nad zamkiem thana,

Orzeł skrzeczy cwałując na chmurze.

Nie skrzecz, szary rycerzu na czarnym rumaku,

Uczta dla ciebie gotowa!

Dziewki Walhalli, czekajcie cierpliwie,

Pośle wam gości wnet Hengista ród.

Dziewki Walhalli, potrząsajcie włosom

I radość głoście hejnałami trąb.

Nie jeden dumny krok podąża w wasze hale,

Nie jednej głowy pochyla się hełm.

III

Ponuro zasiadł wieczór na zamczysku thana,

Czarnych chmur kłęby krążą dookoła,

Lecz wkrótce spleoną czerwienią jak krew;

Niszczyciel lasów wstrząśnie czerwonym grzebieniem,

Jasny podpalacz pałaców

Rozwinie płonącą chorągiew,

Czerwoną, szeroką, dymiącą

Nad bojem dzielnych.

Trzask tarcz i szczek brzeszczotów —

Oto czym się raduje,

Krew tryskającą pijąc z świeżych, gorących ran!

IV

Śmierć wszystkiemu i wszystkim.'

Brzeszczot rozcina hełmy,

Zbroja pęka pod ciosem włóczni — jak obucha.

Ogień, ogień pożera dumny, książęcy dom,

A taran w proch rozwala murów barykady.

Śmierć wszystkiemu i wszystkim!

Oto Hengista ród

Wyciera z księgi żywych imię rodu Horsy.

Nie drżycie przed przeznaczeniem, synowie miecza,

Niech wasze klingi krew pija jak wino!

Tuczcie się uczta mordu

W płomieniach zamkowych hal.

Niech wasze miecze będą pełne siły,

A krew niech będzie gorąca.

Nie szczędźcie niczyich głów

Ani z obawy, ani z miłosierdzia,

Bo zemsty żywot — to jedna godzina,

A nienawiści żar sam się wypali.

Śmierć wszystkiemu,

Śmierć wszystkim —

I mnie!

Płomienie przewyciężyły wreszcie wszelkie przeszkody i buchnęły pod

same niebiosa ogromnym słupem ognia, widnym z daleka w całej

okolicy. Wieże zapadały się jedna po drugiej, płonące dachy i krokwie

leciały w dół, walczący musieli więc wycofać się z podwórca.

Zwycięzeni, których niewiele pozostało przy życiu, rozproszyli się i

uciekli do pobliskiego lasu. Zwycięzcy zbijali się w duże grupy i

przyglądali ze zdumieniem i lękiem płomieniom rzucającym czerwone

blaski na nich samych i ich broń. Oszałałą Ulrykę długo można było

dostrzec na wyniosłej wieży. Wyciągała ramiona z dziką radością, jak gdyby rządziła pożarem przez siebie wznieconym. Wreszcie wieża zapadła się z przerażającym trzaskiem, a Saksonka zginęła w płomieniach, które w popiół obróciły także jej tyrana. Przerazenie ogarnęło widzów; przez dłuższy czas stali nieporuszeni, żegnając się tylko znakiem krzyża. Nagle rozległ się głos Locksleya:

— Ludzie, wiwatujcie! Runęła siedziba tyranów! Niech każdy zanieś swoje łupy na miejsce spotkania pod umówionym dębem na drodze do Harthill. O świcie będziemy dzielić zdobycz między nasze oddziały i naszych sprzymierzeńców, którzy wraz z nami przyczynili się do tej wspaniałej zemsty.

XXXII

Wierzcie mi, każde państwo musi mieć swe prawa:

Królestwo ma edykty, miasto — zarządzenia.

Nawet dziki rozbójnik w swym leśnym ostępie

Też się trzyma pozorów jakichś własnych ustaw —

Bo od czasów, gdy Adam nosił liść figowy,

Nie było społeczności, która by bez prawa,

Niby więzi wewnętrznej, żyła na tym świecie.

Stara Tragedia.

Dzień zaczął świtać na polanach dąbrowy. Zielone krzewy błyszczały

perłami rosy. Sarna wyprowadziła swoje kozłatko, ukryte w wysokich

paprociach, na odsłonięte leśne ścieżki, a żaden myśliwy nie czatował,

by powstrzymać wspaniałego jelenia, biegnącego na czele stada.

Buntownicy zgromadzili się dookoła umówionego dębu przy drodze do Harthill, gdzie przez całą noc odpoczywali po trudach oblężenia — jedni popijali wino, drudzy drzemali, wielu rozprawiało o wypadkach minionego dnia, oceniając stosy łupów, które dzięki ich zwycięstwu wpadły w ręce wodza.

Zdobycz była istotnie ogromna, bo chociaż pożar sporo zniszczył, wiele jeszcze srebrnych naczyń, bogatych zbroi i wspaniałych szat uratowano dzięki odwadze nieustraszonych buntowników; nic ich nie mogło powstrzymać, gdy taka ich czekała nagroda. Rządziły nimi jednak tak surowe prawa, że nikt nie ośmielił się przywłaszczyć sobie choćby części łupów zgromadzonych jako wspólne dobro, którym rozporządzać miał wódz.

Miejszem ich schadzki była polana pod starym dębem, lecz nie pod tym, pod który Locksley zaprowadził Gurta i Wambę na początku tej opowieści; rósł on pośrodku leśnego półkola o pół mili od zburzonego zamku Torquilstone. Tu Locksley zasiadł na tronie z darniny pod gęstymi konarami ogromnego dębu, a jego leśni towarzysze stanęli dookoła niego. Czarnemu Rycerzowi wskazał miejsce obok siebie po prawej stronie, a po lewej — Cedrykowi.

— Wybaczcie mi, szlachetni panowie — rzekł — lecz na tych leśnych polanach ja jestem królem, a one są moim królestwem; moi dzicy poddani patrzyliby niechętnym okiem, gdybym w moich dziedzinach ustąpił pierwszeństwa jakiemuś zwykłemu śmiertelnikowi. A teraz, panowie, kto z was widział naszego kapelana? Gdzie się podziewa nasz

odmniszony pustelnik? Wśród chrześcijan wypada dzień rozpocząć od mszy świętej.

Ale nikt nie widział pustelnika z Copmanhurst.

— Niech Bóg ma go w swej pieczy — rzekł wódz buntowników. —

Miarkuję, że pewnikiem zabawiał się zbyt długo dzbanem wina. Kto go widział po wzięciu kasztelu?

— Jam go widział — odezwał się Młynarz — jak mocował się z drzwiami do lochu, zaklinając się na wszystkich świętych, że musi pokosztować gaskońskiego wina Bawolego Łba.

— Nic mu już nawet wszyscy święci, jacy tylko są w niebie, nie pomogą

— rzekł wódz — jeśli tak długo spijał wino z beczek, aż się nad nim

zamek zawalił. Ruszaj, Młynarzu, weź ze sobą sporą garść ludzi,

przeszukajcie to miejsce, gdzieś go widział po raz ostatni, a wodą z fosy

ugaście tlejące gruzy; rozbierzcie je kamień po kamieniu, bo żal mi

mego odmniszonego pustelnika.

Liczba tych, którzy stawili się na wezwanie, mimo iż właśnie miano

dzielić łupy, dowodziła, jak bardzo łucznicy byli przywiązani do

swojego kapelana.

— Trza nam się śpieszyć — rzekł Locksley — bo gdy rozejdzie się wieść o

naszej wojennej przewadze, oddziały de Bracy'ego, Malvoisina i innych

sprzymierzeńców Bawolego Łba zwałą się nam na karki; bezpieczniej

więc będzie, gdy się wycofamy z tej okolicy. Szlachetny Cedryku — rzekł

zwracając się do Saksona — łupy podzielone są na dwie części: wybierz,

które ci się bardziej podobają, i rozdaj je swym ludziom, co się razem z

nami potykali w tej potrzebie.

Dzielny łuczniku — odparł Cedryk — serce moje przejęte jest bólem. Padł

szlachetny Athelstan z Coningsburgha, ostatni potomek Króla

Wyznawcy! Wraz z nim zgasła też ostatnia nasza nadzieja. Krew jego

stłumiła iskrę, której już żadne wysiłki nie zdołają na nowo

rozdmuchać! Moi ludzie, prócz tych, co są tu ze mną, czekają tylko na

mój powrót, by złożyć jego zwłoki na ostatni spoczynek. Lady Rowena

ruszy wnet do Rotherwood i musi mieć dostateczną ochronę w drodze.

Już bym was opuścił, ale czekałem nie na podział zdobyczy — niech

mnie Bóg broni i święty Withold, abym ja czy ktokolwiek z moich ludzi

wziął choćby grosz — jeno by wam i waszym dzielnym łucznikom dzięki

złożyć za ocalenie nam życia i honoru.

— My zasię — odparł wódz buntowników — dokonaliśmy jeno połowy

tego dzieła, weźcie więc połowę zdobyczy dla sąsiadów i wojaków

waszych.

— Dość jestem bogaty, by sam ich wynagrodzić — odparł Cedryk.

— A siła było mądrych, co sami się wynagrodzili — dodał Wamba. — Ci

nie odejdą z pustymi rękami. Nie wszyscy są tacy głupi, jak błazen.

— Nie żałuję im tego — rzekł Locksley. — Nasze prawa obowiązują tylko

nas samych.

— Ale jak wynagrodzę cię, mój biedny chłopcze? — rzekł Cedryk

zwracając się do błazna i ściskając go. — Jak ci się odwdzięczę? Tyś się

nie wahał dać w zastaw własnego życia i wolności za moje. Wszyscy

mnie opuścili, prócz jednego wiernego błazna.

Łza stanęła w oczach srogięgo thana, gdy wymawiał te słowa — takiego wzruszenia nie wywołała w nim nawet śmierć Athelstana; przywiązanie i wierność błazna wzbudziły w nim żywsze uczucia niżli żal po utracie przyjaciela.

— Dalibóg! — wykrzyknął błazen uwalniając się z objęć swego pana. —

Jeśli wynagradzasz mnie łzami, to i twój błazen tym samym będzie musiał ci odplacić, a co wtedy będzie z jego obowiązkami? Ale, wujaszku, jeśli chcesz mnie prawdziwie uradować, to proszę, wybacz memu towarzyszowi Gurtowi, który ujął ino tydzień ze służenia tobie, by poświęcić się twojemu synowi.

— Przebaczyć mu?! — zawołał Cedryk. — Nie tylko mu przebaczę, ale go wynagrodzę. Klęknij, Gurcie! Świniarek niezwłocznie rzucił mu się do stóp.

— Od tej chwili przestajesz być poddańcem — rzekł Cedryk dotykając go laską. — Wolny odtąd jesteś w mieście i na wsi, w lesie i na polu. Dajęć łan ziemi w dobrach mych Walbrugham, którą to ziemię trzymać będziesz teraz i na zawsze ode mnie i mych potomków, a kara Boża niech spadnie na tego, kto by ci chciał tego zaprzeczyć.

Gurt — już nie poddaniec, lecz człek wolny i posiadacz ziemi — dwukrotnie podskoczył z radości nieomal na własną wysokość.

— Nuże! Dajcie mi tu kowala z pilnikiem! — wołał. — Precz z tą obrozą na szyi wolnego człeka! Szlachetny panie! Twa wspaniałomyślność podwoiła me siły i z podwójną odwagą będę teraz stawać w twej obronie! Czuję, jak wolne serce bije w mej piersi. Czuję, jak się sam

zmieniłem i dokoła mnie wszystko się zmienia. Hej, Fangs! — ciągnął dalej, gdyż wierny kundel, widząc radość swego pana, zaczął też skakać, by mu okazać swe przywiązanie. — Czy poznajesz swojego pana?

— Gurcie — odezwał się Wamba — jeszcze poznajemy cię obaj z Fangsem, bo nie możemy porzucić obroży; to raczej ty gotów. jesteś o nas i o sobie zahaczyć.

Iście, wolej mi zahaczyć o sobie niżli o tobie, wierny mój bracie — rzekł Gurt. — Gdyby zaś wolność miała ci być przydatna, Wambo, byłby cię twój pan nią obdarzył.

Nie — powiedział Wamba — nie myśl, że ci zazdroścę:

Poddaniec spokojnie siedzi, przy kominie w izbie, gdy wolny człek musi ruszać na pole bitwy. A co prawi Aldhelm z Malmsbury? „Lepiej być błaznem na uczcie niż mądrym wśród bitwy”.

Nagle rozległ się tętent koni i ukazała się lady Rowena w otoczeniu kilku jeźdźców oraz licznego oddziału pieszych, cieszących się z jej uwolnienia i radośnie potrząsających włóczniami i halabardami. Ona sama, bogato przystrojona, siedząc na gniadym rumaku, odzyskała już całą swoją godność i tylko niezwykła bladość zdradzała cierpienia, jakie przebyła.

Piękne jej czoło z lekka jeszcze zasępiała chmura smutku, ale malowała się już na nim nadzieja oraz wdzięczność za odzyskaną wolność.

Wiedziała, że Ivanhoe jest wolny, a Athelstan nie żyje. Pierwsza z tych wiadomości napełniła ją szczerą radością i choć nie cieszyła się z drugiej, można jej jednak wybaczyć, że była zadowolona, iż skończy się

nareszcie nacisk wywierany na nią w sprawie zamążpójścia przez jej opiekuna Cedryka.

Gdy Rowena skierowała wierzchowca ku siedzisku Locksleya, dowódca wstał wraz ze swymi łucznikami, aby ją uprzejmie powitać. Twarz dziewczyny okrył rumieniec, gdy skinąwszy im dłonią, tak nisko opuściła głowę, że jej wspaniałe, rozpuszczone kosy na chwilę zmieszały się z bujną grzywą rumaka; w krótkich słowach wyraziła Locksleyowi i reszcie swych zbawców gorącą wdzięczność.

— Niech Bóg was błogosławi, zacni mężowie — zakończyła. — Niech Bóg i Najświętsza Panna was błogosławią i wynagrodzą, żeście się tak ochoczo narażali w obronie uciśnionych. Jeśli który z was będzie łaknął, pomnijcie, że Rowena go nakarmi, jeśli który będzie spragniony, pomnijcie, że Rowena ma beczki wina i mocnego piwa; a jeśliby was Normandowie zmusili do opuszczenia tych lasów, pamiętajcie, że Rowena ma własną puszcę, gdzie jej mężni obrońcy mogą polować do woli, gdzie leśnik ich nie spyta, czyja strzała trafiła jelenia.

— Dzięki ci, szlachetna pani — rzekł Locksley. — Dzięki ci składam w swoim imieniu i w imieniu mych towarzyszy. Twoje ocalenie jest samo przez się dla nas nagrodą. Nie wszystkie nasze postęпки — nas, którzy grasujemy po lasach — są godne pochwały, niech więc uwolnienie lady Roweny będzie odkupieniem za tamte grzechy.

Lady Rowena, znów im się pokłoniwszy z konia, chciała już ruszyć w drogę, lecz zatrzymała się przez chwilę, czekając na Cedryka, który miał jej towarzyszyć; znalazła się wtedy niespodziewanie tuż koło jeńca de

Bracy'ego. Stał pod drzewem w głębokiej zadumie, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i Rowena miała nadzieję, że przejdzie obok niego nie zauważona. Rycerz podniósł jednak wzrok i gdy ją spostrzegł, ciemny rumieniec wstydu oblał jego przystojną twarz. Przez chwilę stał niezdecydowany, wreszcie wysunął się naprzód, schwycił za cugle jej konia i zgiął przed nią kolano.

— Czy lady Rowena raczy spojrzeć na rycerza zhańbionego niewolą?

— Panie rycerzu — odparła Rowena — w podobnym przedsięwzięciu jak wasze największą hańbę przyniosłoby wam jego powodzenie.

— Zwycięstwo łagodzi zwykle urażone serce — odparł de Bracy. —

Niech tylko się dowiem, że lady Rowena raczyła mi przebaczyć postępek, do którego mnie popchnęła nieszczęśliwa namiętność, a wkrótce zobaczą wszyscy, jak de Bracy potrafi jej służyć w szlachetniejszy sposób.

— Przebaczam ci, panie rycerzu — rzekła Rowena — jako chrześcijanka.

— To znaczy — wtrącił Wamba — że niezupełnie przebacza.

— Nie zapomnę ci jednak nigdy wszystkich tych nieszczęść i niedoli, których przyczyną było twe szaleństwo — zakończyła Rowena.

— Puść cugle konia tej damy — rzekł Cedryk podchodząc do nich. — Na to słońce, które świeci nad nami, gdyby mi nie było wstyd, przygwoździłbym cię do ziemi tym oto oszczepem! Ale bądź pewien, Maurycy de Bracy, że drogo jeszcze zapłacisz za twój udział w tym szalonym przedsięwzięciu.

— Łatwo grozić więźniowi — rzekł de Bracy. — Ale czy kto widział

dwornego Saksończyka?

I odstąpiwszy o dwa kroki, pozwolił odjechać damie. Cedryk, zanim się pożegnał, wyraził swą szczególną wdzięczność Czarnemu Rycerzowi i poważnie go namawiał, by mu towarzyszył do Rotherwood.

— Wiem — powiedział — że wy, błędni rycerze, chcecie zdobyć sławę ostrzem włóczni, nie dbając o ziemię czy bogactwa. Lecz sława wojenna jest zmienną kochanką, a dachu nad głową zapragnie czasem nawet wędrowny bohater. Znajdziesz go zawsze w Rotherwood, szlachetny panie. Cedryk jest dosyć bogaty, by wynagrodzić ci krzywdy wyrządzone przez los, a wszystko, co posiadam, należy do mego wybawcy. Jedź więc do Rotherwoodu nie jako gość, lecz jako mój syn czy brat.

— Już mnie Cedryk dostatecznie wzbogacił — odparł rycerz — gdyż dał mi poznać wartość Saksończyków. Przyjadę do Rotherwood, i to niedługo; lecz teraz ważne i niecierpiące zwłoki sprawy każą mi podążyć w inną stronę. Może się jednak zdarzyć, że gdy się tu zjawię, poproszę cię o taką łaskę, która nawet twoją wspaniałomyślność wystawi na próbę.

— Obiecuję ci ją, zanim wypowiedziałeś swą prośbę — odpowiedział Cedryk ściskając dłoń Czarnego Rycerza okrytą rękawicą. — Obiecuję, choćby tu szło o połowę moich majątkości.

— Nie przyrzekaj tak lekkomyślnie — rzekł rycerz z okowami w herbie

— choć myślę, że otrzymam to, o co będę prosić. Tymczasem żegnaj.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć — dodał Sakson — że w czasie

uroczystości pogrzebowych szlachetnego Athelstana mieszkać będą w jego zamku w Coningsburghu. Stać on będzie otworem dla każdego, kto będzie chciał wziąć udział w stypie. I zaręczam w imieniu szlachetnej Edyty, matki nieboszczyka księcia, że drzwi jej nigdy nie będą zamknięte przed tym, który usiłował tak odważnie, choć bezskutecznie, ocalić Athelstana z niewoli Normandów i obronić go przed ich mieczem.

— Aj, aj — odezwał się Waba, który znów zajął miejsce przy boku swego pana — przednie będzie jadło na stypie! Szkoda, że sam Athelstan nie może wziąć udziału w tej uczcie. Lecz on — ciągnął dalej, podnosząc z powagą oczy — wieczerza już w raju i z pewnością smakuje mu to, co spożywa.

— Milcz i idź precz! — krzyknął Cedryk, którego gniew z powodu tego niewczesnego żartu tłumilo jednak wspomnienie przysługi niedawno mu oddanej przez Wambę.

Rowena pokłoniła się wdzięcznie rycerzowi, Sakson oddał go w opiekę Bogu i ruszyli szeroką drogą przez knieję.

Zaledwie znikli z oczu, gdy zza gęstwiny drzew ukazała się nagle procesja, która obeszła dokoła polanę i skierowała się w tę samą stronę, co orszak Roweny. Byli to zakonnicy z pobliskiego klasztoru, spodziewający się hojnego daru obiecanego przez Cedryka za modlitwy za duszę zmarłego; szli za wozem, na którym złożono zwłoki Athelstana, a potem śpiewali pieśni, gdy wasale nieśli wolno jego ciało na ramionach do zamku Coningsburgh. Tam nieboszczyk miał być pochowany w grobie Hengista, z którego starożytnego rodu pochodził.

Na wieść o śmierci Athelstana zbiegło się wielu jego lenników, którzy szli za trumną z wszelkimi, przynajmniej pozornymi, oznakami smutku i żalu. Wywołańcy po raz wtóry zerwali się z miejsc, oddając równie prosty i samorzutny hołd śmierci, jak niedawno oddawali piękności; uroczysty śpiew i posępny pochód zakonników przywiódł im na myśl wspomnienie towarzyszy zabitych we wczorajszej potyczce. Lecz taka zaduma niedługo trwa u ludzi, którzy pędzą życie pełne niebezpieczeństw i przygód; toteż zanim hymn pogrzebowy zamilkł w oddali, łucznicy zajęli się znów podziałem łupów.

— Waleczny panie — odezwał się Locksley do Czarnego Rycerza — gdyby nie twoja odwaga i dzielne ramię, ponieśliśmy porażkę.

Zechciej więc wybrać sobie z naszej zdobyczy, co ci się spodoba i co by ci przypominało to drzewo, pod którym się zbieramy.

— Przyjmuję twoją ofiarę równie szczerym sercem, jak mi ją dajesz — odparł rycerz — i proszę, abyś oddał mi Maurycego de Bracy.

— Jest on już twoim brańcem — rzekł Locksley — i szczęście to dla niego, gdyż ozdobiłby najwyższą gałąź tego dębu, a naokoło niego, jak żołędzie, wisiałoby tylu towarzyszy z jego wolnej kompanii, ilu byśmy zdołali schwytać. Ale teraz jest twoim więźniem, więc nic mu nie grozi, choć zamordował mojego ojca.

— De Bracy — zwrócił się do niego Czarny Rycerz — jesteś wolny, możesz odejść. Ten, którego jesteś brańcem, gardzi okrutną zemstą za to, co stało się w przeszłości. Lecz strzeż się postępować podobnie w przyszłości, bo może cię wtedy spotkać coś gorszego. Powtarzam ci,

Maurycy de Bracy, strzeż się!

*De Bracy pokłonił się nisko w milczeniu i miał już odejść, gdy łucznicy
jednogłośnie zaczęli mu złorzeczyć i szydzić z niego.*

*Dumny rycerz zatrzymał się natychmiast, odwrócił, skrzyżował
ramiona i wyprostowawszy się, zawołał:*

*— Milczeć, podłe kundle! Ujadacie teraz, choć przedtem nie śmieliście
gonić za tropem jelenia. De Bracy gardzi zarówno waszymi
zniewagami, jak pogardziłby waszą pochwałą! Precz! Ukryjcie się znów
w waszych norach i zaroślach, zbuntowani zbójcy! I nie śmiejcie się
odzywać, gdy mowa jest o rycerskich i szlacheckich sprawach!*

*Na niewczesne te pogróżki odpowiedziano by mu niewątpliwie cimą
strzał, gdyby się w to natychmiast nie wmieszał wódz buntowników.*

*Tymczasem de Bracy schwytał za uzdę jednego z przywiązanych w
pobliżu koni, zabranych ze stajni Bawolego Łba i stanowiących
drogocenną część zdobyczy, wskoczył na siodło i pogalopował przez las.*

*Gdy zamieszanie spowodowane tym wydarzeniem nieco się uspokoiło,
wódz buntowników zdjął ze swej szyi bogaty róg i ozdobny pas, które
zdobył niedawno na zawodach łuczników w pobliżu Ashby.*

*— Szlachetny panie — rzekł do rycerza z okowami w herbie — jeśli nie
wzgardzisz rogiem, który nosił przedtem angielski łucznik, to proszę,
przyjmij go na pamiątkę mężnych twych czynów. A jeśli byś, jak się to
często zdarza mężnym rycerzom, znalazł się w potrzebie, idź do lasów
między Trentem a Tees* i zatrąb na rogu te trzy słowa: Wo-sa-hoa!** , a
otrzymasz pomoc i obrońców.*

**/ Trent i Tees — rzeki w środkowej Anglii.*

***/ Za dawnych czasów dźwięki rogu miały swoje nazwy i w starych dziełach traktujących o łowach oznaczano je nie nutami, lecz pisanymi słowami (przyp. autora).*

Zadął w róg i powtórzył kilkakrotnie dźwięki, o których mówił, póki rycerz ich nie zapamiętał.

— Dzięki za ten dar, dzielny łuczniku — powiedział Czarny Rycerz. —

Nigdzie nie znajdę lepszych obrońców od ciebie i twoich towarzyszy.

I sam z kolei powtórzył na rogu wezwanie, aż echem rozległo się w puszczy.

— Dobrze i czysto zagrałeś — rzekł łucznik. — Baczę, żeś równie sprawny w łowiectwie, jak w boju! Siła jeleni musiałeś w swoim czasie ubić! Zważcie, kamraci: te trzy słowa to wezwanie rycerza z okowami na tarczy. Kto go usłyszy, a nie pośpieszy na pomoc, tego przepędzę z naszej gromady własnym jego łukiem.

— Niech żyje nasz wódz! — zawołali łuczniczy. — Niech żyje Czarny Rycerz z okowami w herbie! Obyśmy rychło mogli mu okazać naszą gotowość!

Locksley zabrał się następnie do podziału łupów, czego dokonał z jak największą bezstronnością. Wyznaczono dziesiącinę dla kościoła i na pobożne cele, część złożono do wspólnego skarbca, a inną znów przeznaczono dla wdów i sierot po poległych lub na msze za dusze tych, którzy nie pozostawili rodzin. Resztę podzielono między buntowników wedle stopnia i zasługi; wszelkie sporne sprawy załatwiał bardzo

zręcznie sam wódz, a jego sądom poddawano się z zupełną uległością.

*Czarny Rycerz nie bez zdziwienia stwierdził, że te wyrzutki
społeczeństwa rządzą się między sobą bezstronnie i sprawiedliwie;
wszystko, co tu zobaczył, zwiększyło tylko jego szacunek dla
sprawiedliwości i rozumu ich wodza,*

*Gdy już każdy dostał swoją część zdobyczy, skarbnik w towarzystwie
czterech krzepkich łuczników przeniósł to, co było wspólną własnością,
w bezpieczne miejsce; tylko dziesięcina kościelna pozostała na miejscu.*

*— Chciałbym — rzekł wódz — wiedzieć już coś o naszym wesołym
kapelanie; nie zdarzyło się jeszcze, by go brakowało, gdy trzeba
odmówić modlitwę przed ucztą czy dzielić się łupami; do niego też
należy piecza nad zdobytą przez nas dziesięciną. Może za to
przebaczone mu będą wykroczenia przeciw zakonnej regule. Mam tu
niedaleko stąd więźnia konfratra i chciałbym, aby nasz pustelnik
dopomógł mi załatwić z nim moje porachunki. Boję się bardzo o naszego
rubaszego klechę.*

*— Żał by mi go było — rzekł rycerz z okowami w herbie. — Jestem mu
wdzięczny za gościnę w jego celi, gdzie wesoło spędziliśmy noc. Udajmy
się do ruin spalonego zamku, może zasięgniemy tam o nim języka.*

*Gdy to mówił, głośnie okrzyki łuczników oznajmiły im powrót tego, o
którego się kłopotali, a zanim ujrzeli tęgą postać mnicha, doszedł ich
jego donośny głos.*

*— Rozstąpcie się — wołał — dajcie drogę waszemu dobremu ojczulkowi i
jego jeńcowi! Wiwatujcie tu jeszcze! Wracam, dzielny nasz wodzu, jak*

orzeł ze zdobyczą w szponach.

I torując sobie drogę wśród koła śmiejących się łuczników, ukazał się tryumfujący, z wielkim berdyszem w jednym ręku, w drugim trzymając uzdę, do której przywiązany był za szyję nieszczęśliwy Izaak z Yorku, przygnębiony i zalękniony. Zwycięski mnich prowadził go, wrzeszcząc głośno:

— Gdzie jest Alan-a-Dale, by ułożył na mą cześć balladę lub przynajmniej piosenkę? Na świętą Hermenegildę, ten łazęga zawsze się gdzieś zapodzieje, gdy nadarza się sposobność opiewania czynów rycerskich!

— Ejże, odmniszony pustelniku — odezwał się wódz — jużes tak wcześnie zalał pałę, miasto mszę odprawiać? Ale na świętego Mikołaja, gadaj, kogo nam wieszysz?

— Brańca zdobytego mieczem i włócznią — odparł pustelnik z Copmanhurst — a raczej berdyszem i łukiem. Ale uwolniłem go ze znacznie gorszej niewoli. Gadaj, Żydzie, czym cię nie wybawił z łap samego szatana? I czym cię nie nauczył Credo, Pater i Ave Maria? Czym całą noc nie przepijał do ciebie i nie objaśniał ci wszystkich tajemnic wiary świętej?

— Na miłość boską! — zawołał biedny Żyd. — Czyż nikt mnie nie uwolni z rąk tego szaleńca... to jest, chciałem powiedzieć, tego świętego męża?

— Jak to, Żydzie?! — zawołał mnich przybierając groźny ton. — Czyżbyś się cofał? Zastanów się, bo jakbyś znów powrócił do swego pogaństwa, to choć nie jesteś tak tłusty jak wieprz — a ja chętnie bym post złamał

dla tłustego wieprza — jednak i ciebie można by upiec! Bądź posłuszny,

Izaaku, i powtarzaj za mną Ave Maria...

— Dość, klecho — rzekł Looksley. — Nie chcemy słuchać bluźnierstw.

Opowiedz nam raczej, gdzieś zdobył tego brańca?

— Na świętego Dunstana! — rzekł mnich. — Znalazłem go, szukając czegoś lepszego! Zszedłem do lochów, by zobaczyć, co się tam da ocalić; bo choć szklanica grzanego wina z korzeniami jest przy wieczerzy napojem godnym cesarza, ale pomyślałem, że byłoby marnotrawstwem zagrzać od razu tyle dobrego trunku; znalazłem już baryłkę kanaryjskiego wina i chciałem zawołać jednego z tych próżniaków, których nigdy nie ma, gdy są potrzebni, kiedy natrafiłem na okute drzwi. „Aha — pomyślałem sobie — tu pewnie, w tym ukrytym loszku, są najprzedniejsze wina, a łotr piwniczny, nagle spłoszony, zostawił klucz w zamku”. Wszedłem więc, lecz nie znalazłem tam nic prócz zardzewiałych łańcuchów i tego żydowskiego psa, który oddał mi się na łaskę i niełaskę. Zaledwie zdążyłem orzeźwić się wraz z tym niewiernym po trudach wojaczki jednym kubkiem pieniacego się wina i zamierzałem wyprowadzić mego brańca, gdy nagle rozległ się trzask po trzasku, jak gdyby grzmot i uderzenie po nim piorunu: to runęła wieża — niechaj choroba pokręci ręce temu, co ją budował! — i zawaliła przejście. Zaraz po tym trzasku rozległ się huk: to waliła się druga wieża. Pożegnałem się już z życiem, a uważając za wstyd wynosić się z tego świata w kompanii Żyda, podniosłem mój berdysz, by roztrzaskać mu łeb. Lecz żal mi się zrobiło jego siwych włosów i pomyślałem, że lepiej odłożę

obuszek, a wezmę się do duchowego oręża. Iście za sprawą świętego Dunstana słowa padły na podatny grunt; ale gdy tak całą noc klarowałem mu tajemnice naszej świętej wiary, i to na czczo — bo nie można rachować tych paru kropel małmazji, co mi tylko dowcip zaostrzyły — głowa mi się nieco zaczęła kołować. Gilbert i Wilibart wiedzą najlepiej, w jakim mnie stanie znaleźli — całkiem osłabłego.

— Iście, możemy temu przyświadczyć — odparł Gilbert — bo gdyśmy uprzątnęli gruzy i przy pomocy świętego Dunstana dostali się na schody do lochu, zastaliśmy baryłkę wina do połowy opróżnioną, Żyda na wpół żywego, a naszego pustelnika bardzo, jak mówi, osłabłego.

— Łotrze! Łiesz! — odparł obrażony braciszek. — To ty i twoi towarzysze-opoje wypiliście małmazję mówiąc, że to wasza ranna polewka. Nazwijcie mnie poganinem, jeśli wina nie chował dla naszego wodza. Ale co tam! Najważniejsze, że nawróciłem Żyda. Zrozumiał wszystko, co mu gadałem, to jest prawie wszystko, tak dobrze, jak ja sam to rozumiem.

— Żydzie — przemówił wódz — czy to prawda? Czyś się wyrzekł swej wiary pogańskiej?

— Obym tak miłosierdzie znalazł u ciebie — odparł Żyd — jak to jest prawdą, że nie zrozumiał ani słowa z tego, co wielebny prałat mówił mi przez całą tę okropną noc. Niestety, tak byłem przejęty smutkiem, strachem, żalem, że gdyby nawet sam nasz ojciec Abraham zstąpił, by mnie nawracać, przemawiałby jak do głuchego.

— Łiesz, Żydzie, wiesz dobrze, że łiesz! — zawołał pustelnik. —

Przypomnę ci jedno z naszej rozmowy: obiecałeś oddać cały swój majątek naszemu klasztorowi.

— Klnę się na wszystkich proroków — zawołał Żyd bardziej jeszcze niż przedtem przerażony — że podobne słowa nie wyszły z moich ust!

Jestem ubogim starcem, może nawet pozbawionym ukochanej córki!

Zlitujcie się nade mną i pozwólcie mi odejść!

— Nie — odparł mnich. — Jeśli cofasz swoją obietnicę uczynioną świętemu Kościołowi, musisz za to odpokutować.

I podniósłszy w górę berdysz byłby go spuścił na plecy Żyda, gdyby Czarny Rycerz nie osłonił starca przed ciosem, ściągając na siebie gniew mnicha.

— Na świętego Tomasza z Kentu — zawołał — ujmę się za moją bronią!

Dam ci nauczkę, ty Gnuśniku w żelazo zakuty! Czemu się wtrącasz w nie swoje sprawy?

— Daruj — odparł rycerz. — Pomnij, żeśmy zaprzysięgli sobie drużstwo wojenne.

— Nic nie pomnę — odparł mnich — mam cię za wartogłowa i chłystka!

— Czyś zabaczył — ciągnął dalej rycerz, jakby mu przyjemność sprawiało drażnić swego niedawnego gospodarza — czyś zabaczył, jak z mojego powodu — bo nie sądzę, że cię skusił dzban wina i pasztet — jakoś złamał ślub postu w wigilię?

— Dalibóg, strzeż się, przyjacielu — odparł mnich ściskając swą ogromną pięść — bo zdzielę cię kulakiem!

— Nie przyjmuję takich darów — odparł rycerz. — Uważać to będę za

pożyczkę i oddam ci z takim lichwiarskim procentem, jakiego nawet

twój braniec nie ośmielił się nigdy żądać.

— Zobaczymy to zaraz!

— Hola! — zawołał wódz. — Co tam wyrabiasz, czyś oszalał, mnichu?

Bijatyka pod naszym dębem?

— To nie bijatyka — odparł rycerz — to tylko przyjacielska wymiana grzeczności. Braciszku, wal, jeśli się ośmielisz; zezwalam, ale i ty musisz potem mój cios wytrzymać.

— Masz nade mną przewagę z tym żelaznym garnkiem na głowie — rzekł mnich — ale niech tam będzie. Gdybyś był nawet Goliatem z Gazy w brązowym szyszaku, legniesz, tak jak on, na ziemię.

Mnich obnażył swe śniade ramię aż po łokieć i wymierzył rycerzowi cios, który byłby powalił wolu. Ale przeciwnik stał niewzruszony jak skała. Łucznicy wydali głośny okrzyk, gdyż pięść pustelnika była im dobrze znana i niewielu tylko nie zakosztowało jej siły na żarty czy na serio.

— Na mnie teraz kolej, mnichu — rzekł rycerz ściągając rękawicę. — Jeśli miałem przewagę w hełmie na głowie, nie chcę mieć żadnej w pięści; zobaczymy, czy się okażesz prawym wojem.

— Genom meam dedi vapulatori — nadstawiłem policzek dłoni nieprzyjaciela — rzekł pustelnik. — Jeśli drgnę choć na włos, daruję ci okup tego Żyda.

Tak wyzywająco mówił barczysty mnich. Lecz któż zdoła uniknąć swego przeznaczenia? Rycerz zadał mu cios tak mocny i niezawodny, że

braciszek przekoziółkował po ziemi ku wielkiemu zdumieniu widzów.

Ale ani go to nie rozgniewało, ani nie zbiło z tropu.

— Bracie — odezwał się do rycerza — powinieneś był oszczędniej użyć swej siły. Jam tylko wymamrotał cichą mszę, a tyś od razu szczękę mi naruszył. Ale oto masz moją rękę na znak, że nigdy już z tobą nie będę walczył na pięści, bobym źle na tym wyszedł. Koniec więc zatargów. A teraz wyznaczmy okup jeńcowi, bo tak jak lampart nie pozbędzie się plam na futrze, tak Żyd pozostanie Żydem.

— Mnich — wtrącił jeden z łuczników — już nie jest tak pewien nawrócenia Żyda, odkąd dostał po łbie.

— Hola, łotrze, co tam pleciesz o nawróceniu? Czyż nie ma już posłuchu? Czyż sami są już tylko wodzowie, a nie ma żołnierzy? Bacz, hultaju, żem był nieco osłabły, gdy mnie zwała pięść dobrego rycerza, inaczej byłbym mu się nie dał. Ale jeśli będziesz jeszcze o tym gadał, to ci pokażę, że nie tylko umiem brać, ale i rozdawać razy!

— Milczeć! — zawołał wódz buntowników. — A ty, Żydzie, pomyśl o okupie. Nie potrzebuję ci chyba powtarzać, że twój naród jest przez chrześcijan uważany za wyklęty i twoja obecność jest nam niemiła.

Zastanów się więc, co nam ofiarujesz?

— Boże moich ojców, ratuj mnie! — zawołał Żyd. — Chcecie mnie chyba zgubić! Wczoraj utraciłem moje dziecko, a teraz chcecie mnie pozbawić środków do życia!

— Czy twoja córka miała ciemne włosy? — spytał jeden z buntowników.

— I czy nie osłaniała jej jedwabna zasłona haftowana srebrem?

— *Tak, tak — odparł starzec drżąc z niecierpliwości, jak przedtem drżał z trwogi. — Niech cię błogosławi Bóg Jakuba! Czy możesz mi powiedzieć, co się z nią stało?*

— *Uwiózł ją ze sobą dumny templariusz — rzekł łucznik — gdy przebijał się przez nasze szeregi wczoraj wieczorem. Naciągnąłem nawet łuk, by posłać za nim strzałę, ale oszczędziłem go ze względu na białkę, w którą obawiałem się trafić.*

— *Och! — wykrzyknął Żyd. — Dalibóg wolałbym, abys strzałą przeszył jej łono! Lepszy grób jej ojców niżli haniebne łoże rozwiązłego i okrutnego templariusza! Zgasło światło mego domu!*

— *Przyjaciele — rzekł wódz spoglądając dokoła — choć to Żyd, lecz ból tego starca mnie wzrusza. Powiedz nam uczciwie, Izaaku: czy okup tysiąca koron pozbawi cię całego majątku?*

Izaak znów był zmuszony powrócić do bogactw ziemskich, których umiłowanie współzawodniczyło u niego nawet z miłością rodzicielską; zbladł, zająknął się i nie zaprzeczył, że może mu jeszcze cośkolwiek zostanie.

— *Dobrze — rzekł Locksley — nie będziemy się z tobą zbyt dokładnie rozliczali. Bez pieniędzy byłoby ci równie trudno wyrwać córkę ze szponów Briana de Bois-Guilbert, jak ustrzelić jelenia strzałą bez beltu. Templariusze lubią połysk srebrnych szekeli nie mniej jak blask czarnych oczu. Nie trać czasu i pośpiesz brzęknąć pieniędzmi Brianowi, zanim nie stanie się coś złego. Moi zwiadowcy donieśli mi, że znajdziesz go w najbliższej komandorii jego zakonu. Czy zgadzacie się ze mną, moi*

mili kamraci?

Łucznicy wyrazili zgodę na tę propozycję, a Izaak na wpół pocieszony wiadomością, że córka jego żyje i że może uda mu się ją wykupić, rzucił się do nóg wodza.

Zanim odszedł, Locksley dal mu jeszcze taką radę na pożegnanie:

— Bądź hojny, Izaaku, i nie oszczędzaj, gdy chodzi o ocalenie córki.

Wierzaj mi, złoto, które teraz oszczędzisz, takie ci sprawi później cierpienia, jak gdyby roztopione wlewano ci do gardła.

Izaak głęboko wzdychając, przyznał mu słuszność i ruszył w drogę w towarzystwie dwóch ogromnych łuczników, którzy mieli być jego przewodnikami, a jednocześnie czuwać nad nim w puszczy.

Czarny Rycerz, z zaciekawieniem śledzący te różnorodne wydarzenia, z kolei sam się pożegnał z buntownikami, nie mógł jednak się powstrzymać i nie okazać zdziwienia z powodu porządku panującego wśród tych ludzi wyjętych spod prawa.

— Złe drzewo, dzielny rycerzu — rzekł łucznik — wydaje czasem dobre owoce, w złych czasach zło z dobrem się łączy. Wśród tych, których okoliczności zmusiły do życia poza prawem, wielu zapewne żałuje, że muszą się parać takim procederem.

— Mniemam — rzekł rycerz — że oto gadam z jednym z nich...

— Dobry rycerzu — odparł banita — każdy z nas ma swoją tajemnicę.

Możesz snuć domysły co do mnie, ale i ja mogę się czegoś domyślać o tobie, choć może żadna z tych strzał nie trafi do celu. Nie prosiłem cię o dopuszczenie mnie do twej tajemnicy, daruj tedy, że i ja mojej nie

wyjawię.

— *Przebacz, mężny łuczniku — odrzekł rycerz. — Słuszna jest twoja wymówka. Da Bóg, spotkamy się jeszcze, kiedy nie będziemy już potrzebowali tak się przed sobą ukrywać. A tymczasem rozstajemy się po przyjacielsku, nieprawdaż?*

— *Dajęć na to moją rękę — rzekł Locksley — a jest to dłoń prawego Anglika, choć obecnie wywołańca.*

— *A oto nawzajem moja dłoń — odparł Czarny Rycerz — i mam sobie za honor uścisnąć twoją; ten, co czyni dobrze, chociaż ma nieograniczone władztwo czynienia zła, godzien jest pochwały nie tylko za to, co dobrego zdziałał, ale że się wstrzymał od złego. Żegnaj, mężny łuczniku! Rozstali się w jak największej zgodzie i rycerz z okowami w herbie, dosiadłszy swego dzielnego, bojowego wierzchowca, pocwałował przez las.*

XXXIII

Mówię ci, mój druhu,

Że on mi wadzi na drodze jak wąż,

Że gdziebykolwiek postąpił mą stopą —

Leży przede mną... Rozumiesz mą myśl?

W. SZEKSPIR; Król Jan

Księżę Jan wydał na zamku w Yorku wspaniałą ucztę i zaprosił na nią wszystkich wielmożów, dostojników kościelnych i wodzów, na których mógł liczyć, że mu dopomogą w jego ambitnych zamiarach owładnięcia tronem brata. Waldemar Fitzurse, jego zręczny agent polityczny, tajnie

działał wśród nich, zachęcając, by otwarcie się wypowiedzieli. Lecz sprawa się opóźniła z powodu nieobecności wielu ważnych uczestników spisku. Do jego powodzenia walnie by się przyczyniła nieustraszona i zacięta, choć brutalna odwaga Bawolego Łba, zapal i męstwo de Bracy'ego, przezorność, wojenne doświadczenie i znana wszystkim waleczność Briana de Bois-Guilbert; przeklinając w duchu ich niewczesną i niezrozumiałą nieobecność, ani Jan, ani jego doradca nie śmieli bez nich rozpocząć działania. Również nie dostawało im Żyda Izaaka, który znikł gdzieś, a wraz z nim nadzieja na znaczną sumę pieniędzy. Księżę Jan bowiem ułożył się z nim i jego rodakami, że mu ją dostarczą. W tych krytycznych okolicznościach brak pieniędzy mógł się okazać zgubny w skutkach.

Następnego ranka po zdobyciu Torquilstone w Yorku rozeszła się niejasna wieść, że de Bracy i Bois-Guilbert wraz ze swym towarzyszem Bawolim Łbem zostali wzięci do niewoli czy zabici. Waldemar przyniósł tę wiadomość księciu Janowi, zaznaczając, że obawia się, iż jest ona prawdziwa, ponieważ rycerze wyruszyli z niewielką garstką zbrojnych, by napaść Cedryka Saksona i jego orszak.

Kiedy indziej księżę byłby uważał ten napad za dobry żart, lecz teraz, kiedy przeszkodził jego zamiarom, oburzył się na spiskowców.

— Nikczemni zbójcy! — wołał. — Jeśli kiedy zostanę królem Anglii każę takich przestępców wieszać na zwodzonych mostach ich własnych zamków.

— Lecz aby zostać królem Anglii — rzekł jego doradca — trzeba, by

wasza wysokość nie tylko znosił wybryki tych nikczemnych zbójców, ale nawet roztaczał nad nimi opiekę pomimo swej chwalebnej chęci przestrzegania praw, które oni zazwyczaj depczą. Niezbyt pięknie to będzie, jeśli saksońskie chłopcy uprzedzą pragnienie waszej książęcej mości i pierwsi ze zwodzonych mostów uczynią szubienice, a łącno może taka myśl przyjść do głowy zuchwałemu Cedrykowi. Wasza wysokość wie o tym dobrze, że niebezpieczną byłoby rzeczą ruszać bez Bawolego Łba, de Bracy'ego i templariusza, a posunęliśmy się już zbyt daleko, by móc się cofnąć nie narażając się na niebezpieczeństwo.

Książę Jan, zniecierpliwiony, uderzył się w czoło i zaczął chodzić po komnacie.

— Łotry!. — wykrzyknął. — Podłe, zdradzieckie łotry! Opuścili mnie w takiej chwili!

— Raczej lekkomyślni, nierozsądni szaleńcy — rzekł Waldemar — którzy zabawiają się głupstwami, kiedy należałoby myśleć o ważniejszych sprawach.

— Co zatem czynić? — spytał książę stając przed swym doradcą.

— Nie wiem, co można by zrobić — odparł Fitzurse — prócz tego, com już rozkazał uczynić. Nie przyszedłem biadać z waszą wysokością nad niepomysłną wieścią, nie postarawszy się przedtem zaradzić złu.

Jesteś, Waldemarze, moim aniołem opiekuńczym — rzekł książę. — Gdy będę miał takiego kanclerza w radzie, rządy Jana zasłyną w naszych kronikach. Coś kazał zrobić?

Wydałem rozkaz Ludwikowi Winkelbrandowi, dowódcy hufca de

Bracy'ego, by zatrąbił wsiadanego i z rozpostartą chorągwią ruszył natychmiast do zamku Torquilstone, gdzie ma uczynić wszystko, co się da, w obronie naszych przyjaciół.

Księżę Jan zaczerwienił się z gniewu, jak rozpieszczone dziecko, gdy uważa, iż je obrażono.

— Na Boga, Fitzurse! — zawołał. — Jak śmiałeś samowolnie wydać podobny rozkaz? Zbytnią to zuchwałość kazać zadąć w trąby czy też rozwinąć chorągwie w grodzie, gdzie my jesteśmy obecni, bez naszego wyraźnego rozkazu.

— Daruj, dostojny panie — odparł Fitzurse przeklinając w duszy głupią próżność swego władcy — ale gdy czas naglił, a strata każdej minuty groziła niebezpieczeństwem, wziąłem odpowiedzialność na siebie; przecie chodziło o sprawę wielkiej wagi dla waszej książęcej mości.

— Przebaczam ci, Waldemarze — rzekł książę poważnie. — Powody te tłumaczą twój pośpiech. Ale któż to do nas przybywa? Na Boga, toż to de Bracy we własnej osobie! Ale jakże dziwny ma wygląd!

Był to istotnie de Bracy: „posoką ociekają mu ostrogi, a pośpiech rozgrzał go do czerwoności”/.* /* Cytat z dramatu Szekspira „Ryszard II”.

Zbroja jego nosiła ślady zażartej walki, była popękana, pocięta, obficie krwią zbroczona, okryta błotem i kurzem od pióropusza na szyszaku aż po ostrogi. Zdjął hełm, położył go na stole i chwilę stał, jakby zbierał myśli, zanim opowie nowiny.

— De Bracy — zawołał książę Jan — co to ma znaczyć?! Mów!

Rozkazuję ci! Czy Saksończycy się zbuntowali?

— *Mów, de Bracy — rzekł Fitzurse nieomal jednocześnie ze swym panem. — Zachowaj się, jak przystoi mężowi! Gdzie templariusz? Gdzie Bawoli Łeb?*

— *Templariusz uszedł — przemówił de Bracy — a Bawolego Łba nigdy już nie ujrzym. Znalazł ognistą mogiłę pod płonącymi gruzami własnego zamku. Ja sam tylko ocalałem, żeby wam o tym donieść.*

— *Przebiegł nas zimny dreszcz, choć nam prawisz o ogniu i pożodze — rzekł Waldemar.*

— *Jeszcze nie wyjawilem najgorszego — odparł de Bracy i zbliżywszy się do księcia Jana, szepnął przyciszonym i dobitnym głosem: — Ryszard jest w Anglii. Widziałem go i mówiłem z nim.*

Księżę zbladł, zachwiał się i chwycił za oparcie dębowej ławy jak człowiek trafiony strzałą w pierś.

— *Oszalałeś, de Bracy — rzekł Fitzurse. — Nie może to być!*

— *To prawda — odparł de Bracy. — Byłem jego brańcem i mówiłem z nim.*

— *Z Ryszardem Plantagenetem, powiadasz? — nie mógł uwierzyć Fitzurse.*

— *Z Ryszardem Plantagenetem — odpowiedział de Bracy. — Z Ryszardem Lwie Serce, z Ryszardem królem Anglii.*

— *I byłeś jego brańcem? — pytał dalej Waldemar. — Stoi więc na czele zbrojnych hufców?*

— *Nie, miał wkoło siebie tylko garść zbuntowanych chłopów, którzy*

nawet nie wiedzieli, kim on jest. Słyszałem, jak mówił, że ich opuszcza.

Przyłaczył się tylko do nich, by pomóc im w szturmowaniu

Torquillstone.

— Oto postępek godny Ryszarda! Prawdziwy to błędny rycerz w pogoni za przygodami, ufny we własne siły jak sir Guy czy sir Bevis/, niepomny na najważniejsze sprawy swego królestwa ani na własne bezpieczeństwo. De Bracy, co zamierzasz uczynić?*

**/ Guy z Narwiku i Bevis z Hampton — bohaterzy średniowiecznych romansów angielskich.*

Ja? Ofiarowałem Ryszardowi usługi mej wolnej kompanii, ale je odrzucił. Poprowadzę ich zatem do Hull, zdobędę jakiś statek i popłynę do Flandrii; w tych burzliwych czasach mąż, co zna rycerskie rzemiosło, zawsze znajdzie zajęcie. A ty, Waldemarze? Czy porzucisz politykę dla tarczy i miecza? Pójdź ze mną dzielić dołę, jaką nam Bóg ześle.

— Za stary już jestem i mam córkę — odparł Waldemar.

— Daj mi ją, Fitzurse, a postaram się z pomocą mej włóczni i konia utrzymać ją na godnej jej stopie — rzekł de Bracy.

— Nie, tego nie uczynię — odpowiedział Fitzurse. — Schronię, się tu, w kościele Świętego Piotra, arcybiskup bowiem zaprzysiął mi drużstwo.

W czasie tej rozmowy książę Jan powoli budził się z osłupienia, w jakie go wprowadziła niespodziewana wiadomość, i słuchał uważnie, co mówili jego dworzanie.

„Odstępują mnie — powiedział sobie. — Trzymają się mnie, jak zeschły liść trzyma się krzaka, gdy wieje wiatr! Do wszystkich diabłów z piekła!

Czyż nie dam sobie rady, gdy mnie opuszczą ci nikczemnicy?"

Milczał, aż wreszcie przerwał ich rozmowę szatańskim śmiechem.

— Cha, cha, cha, moi zacni panowie! Na koronę Najświętszej Panny!

Uważałem was za mądrych, odważnych, chętnych do czynu, miłujących zbytek, a wy gotowi jesteście porzucić bogactwa, zaszczyty, rozkosze, to, co obiecywała wam nasza szlachetna gra, w chwili gdy wszystko można by zdobyć jednym śmiałym czynem!

— Nie rozumiem waszej książęcej mości — rzekł de Bracy. — Gdy rozejdzie się wieść o powrocie Ryszarda, wnet znajdzie się on na czele wielkiego wojska, a z nami będzie koniec. Radziłbym księciu schronić się do Francji lub udać się pod opiekę królowej matki. */ Królowa matka — Eleonora Akwitańska, wdowa po Henryku II.*

— Nie będę szukał schronienia dla siebie — odparł wyniośle książę Jan.

— Gdy rzeknę jedno słowo bratu, zapewni mi on bezpieczeństwo. Ale choć ty, de Bracy, i ty, Waldemarze Fitzurse, tacy jesteście skorzy do porzucenia mnie, nierad widziałbym wasze głowy zatknięte na bramie cliffordzkiej. Czy sądzisz, Waldemarze, że przebiegły arcybiskup nie pozwoliłby cię schwytać nawet na stopniach ołtarza, gdyby to miało go pogodzić z królem Ryszardem? A ty, de Bracy, czyś zapomniał, że Robert Estoteville stoi na czele wszystkich swych sił na twojej drodze do Hull, a hrabia Essex zbiera swych sprzymierzeńców? Jeśli mieliśmy powody obawiać się ruchawki i przed powrotem Ryszarda, czyż możesz wątpić, po czyjej stronie staną teraz jej wodzowie? Wierzaj, sam Estoteville jest dość silny, by całą twoją wolną kompanię utopić w

nurtach rzeki Humber.

Waldemar Fitzurse i de Bracy spojrzeli na siebie pomieszani.

— Jedna nam została droga ocalenia — ciągnął dalej książę, a twarz jego stała się jak noc posepna. — Ten, który jest przyczyną naszych obaw, podróżuje samotnie; trzeba wyruszyć na jego spotkanie.

— Ja nie pojedę! — zawołał de Bracy żywo. — Byłem jego brańcem, a on puścił mnie wolno. Nie tknę nawet pióra na jego szyszaku.

— Któż by chciał go skrzywdzić? — rzekł książę z wymuszonym uśmiechem. — Ten łotr gotów potem twierdzić, że kazałem mu zamordować Ryszarda! Nie, lepsze będzie dla brata więzienie, a czy ono będzie w Anglii, czy w Austrii, to nie gra żadnej roli. Położenie będzie takie samo jak w chwili, gdyśmy zaczęli wprowadzać w czyn nasze zamiary. Oparte były na nadziei, że Ryszard pozostanie w więzieniu w Austrii. Nasz krewniak Robert żył i umarł w lochu zamku Cardiff. */ Roberta, starszego syna Wilhelma Zdobywcy, więził aż do śmierci jego brat Henryk I.*

— Henryk siedział wtedy mocniej na tronie niż wasza książęca mość — wtrącił Waldemar. — Mniemam, że najlepszym dozorcą więziennym jest grabarz: nie masz lepszego więzienia nad kryptę kościelną.

Rzekłem.

— Więzienie czy grób — rzekł de Bracy — umywam od tego ręce.

— Podły! — zawołał książę Jan. — Chciałżebyś zdradzić, o czym obecnie radziliśmy?

— Nikogom jeszcze w życiu nie zdradził — odparł wyniośle de Bracy — i

dlatego nie lza mnie nazywać podłym.

Zamilcz, rycerzu — rzekł Waldemar — a wasza książęca mość niech raczy wybaczyć de Bracy'emu jego skrupuły; myślę, że wkrótce je rozproszę.

— Tego nie zdoła dokonać twoja wymowa — odparł rycerz.

— Drogi mój Maurycy — przerwał chytry polityk — nie dawaj szczupaka w bok, jak wystraszony koń, zanim dokładnie nie rozważysz powodu twej trwogi. Czyż jeszcze przed dwudziestoma czterema godzinami nie pragnąłeś gorąco spotkać się z tymże Ryszardem oko w oko na polu walki? Setki razy słyszałem, jakeś to powtarzał.

— Tak — rzekł de Bracy — ale jak sam to powiedziałeś: oko w oko na polu bitwy! Nigdy zasię nie słyszałeś z mych ust, abym chciał go napaść zniemacka w lesie.

— Nie jesteś tedy prawdziwym rycerzem, jeżeli cię powstrzymują podobne wątpliwości — odparł Waldemar. — Czy Lancelot i Tristan zdobyli sławę na polu bitwy, czy napadając na olbrzymów w głębi nieznaney puszczy? */ Lancelot du Lac i Tristan — sławni rycerze legendarnego króla Artura.*

— Zaręczam ci — odparł de Bracy — że ani Tristan, ani Lancelot nie dorównaliby w walce wręcz Ryszardowi Plantagenetowi. Nie zdaje mi się również, by mieli zwyczaj napadać na samotnego człeka.

— Oszalałeś, de Bracy! Jesteś najemnym i płatnym dowódcą wolnej kompanii, która zaciągnęła się na służbę księcia Jana. Znasz naszego wroga, a wahasz się, choć w grę tu wchodzi los twego pana, twoich

*towarzyszy, twój własny wreszcie, gdy chodzi o życie i honor nas
wszystkich!*

*— Mówiłem wam już, że darował mi życie — odpowiedział de Bracy
posępnie. — Prawda, że kazał mi iść precz i odrzucił moje usługi, nie
potrzebuję więc dotrzymywać mu ani wierności, ani posłuszeństwa, ale
nie chcę podnieść na niego ręki.*

*— Nie trza nam tego. Poślij tylko Ludwika Winkelbranda i dwudziestu
zbrojnych z twojej kompanii.*

*— Macie dość własnych łotrów — odparł de Bracy. — Żaden z moich
ludzi nie weźmie w tym udziału.*

*— Taki jesteś uparty, de Bracy? — spytał księżę Jan. — I opuścisz mnie,
mimo przyrzeczeń gorliwej służby?*

*— Nie, księżę — rzekł de Bracy. — Gotów jestem wypełnić wszystko, co
przystoi rycerzowi czy to w szrankach, czy w obozie; ale do mych
obowiązków nie należą zbójckie sprawy.*

*— Zbliź się, Waldemarze — rzekł księżę Jan. — Jestem nieszczęśliwym
władcą. Mój ojciec, król Henryk, miał wierniejsze sługi. Ledwo rzekł
słowo, że pewien zażarty klecha go prześladowuje, a krew Tomasza
Becketa popłynęła po stopniach ołtarza. Tracy, Morville, Brito*,
przywiązani i odważni słudzy, wraz z wami znikła śmiałość i męstwo! A
choć Reginald Fitzurse pozostawił syna, ten jednak nie odziedziczył
wierności i odwagi swego ojca!*

**/ Reginald Fitzurse, William de Tracy, Hugh de Morville i Ryszard
Brito byli dworzanami Henryka II. Za jego poduszczeniem*

zamordowali arcybiskupa Tomasza Becketa (przyp. autora).

— Nie brak mu ani wierności, ani odwagi — odezwał się Waldemar Fitzurse — i jeśli inaczej być nie może, weźmie na siebie to niebezpieczne przedsięwzięcie. Ale mój ojciec drogo zapłacił za sławę wiernego przyjaciela, choć dowody jego wierności były fraszką wobec tego, co ja mam uczynić. Wolałbym walczyć przeciw wszystkim świętym niż mierzyć włócznią w Ryszarda Lwie Serce. De Bracy, tobie powierzam podtrzymywanie na duchu wątpiących i pieczę nad osobą księcia Jana. Gdy otrzymacie wieści, jakie, mam nadzieję, będę wam mógł przesłać, nasze przedsięwzięcie przestanie budzić podejrzenia. Paziu mój — dodał — śpiesz do mego obozu, niech mój giermek będzie w pogotowiu; niech Stefan Wetheral, Broad Thoresby i trzech oszczepnicy ze Spyinghow stawią się przede mną natychmiast, a także i Hugon Bardon, dowódca zwiadowców. Do zobaczenia, książę, w lepszych czasach.

— Udaje się, by pojmać mego brata — zwrócił się książę do de Bracy'ego — a tak mało jest tym przejęty, jakby szło o pozbawienie wolności jakiegoś saksońskiego franklina. Spodziewam się, że trzymać się będzie mych rozkazów i odniesie się do drogiego naszego Ryszarda z należnym mu szacunkiem.

De Bracy uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

— Przysięgam na pełne blasku lico Najświętszej Panny — dodał książę Jan — że wydałem mu wyraźne rozkazy; snadnie mogłeś ich nie dosłyszeć, bośmy stali we framudze okna. Wyraźnie i stanowczo nakazałem mu, by strzegł życia Ryszarda i gorze mu, jeśli wykroczy

przeciw mej woli.

— *Słuszniej może byłoby, abym zaszedł na jego kwaterę — rzekł de Bracy — i przedstawił mu jasno, jaka jest wola waszej wysokości, boć jeśli ja nie dostyszałem rozkazów, to łącznie mogły nie dojść też i do uszu Waldemara.*

— *Nie, nie — przerwał niecierpliwie książę. — Usłyszał bez ochyby. A dla ciebie mam inne poruczenie. Zbliź się, Maurycy, i pozwól mi się oprzeć na twym ramieniu.*

I książę, ująwszy de Bracy'ego pod ramię, przeszedł się z nim parę razy po sali, ciągnąc poufnym tonem:

— *Co sądzisz, mój Maurycy, o Waldemarze Fitzurse? Mniema on, że zostanie naszym kanclerzem. Ale my jeszcze głęboko się zastanowimy, zali powierzać tak ważny urząd człowiekowi, który z ochotą podjął się wyprawy przeciw Ryszardowi i okazał przez to jasno, jak mało ma szacunku dla naszego rodu. Może sądzisz, żeś utracił nasze względy, śmiało odrzuciwszy ten przykry obowiązek? Zgoła tak nie jest. Raczej cenię, Maurycy, twoją, zaszczyt ci przynoszącą, stałość. Czasem potrzebujemy pewnych czynów, ale ich wykonawców ani nie lubimy, ani nie cenimy; a odmowa niekiedy podnosi w naszych oczach tego, który się nie chce podjąć ich. Uwzięnie mego nieszczęśliwego brata nie zachęci mnie do mianowania Fitzurse'a kanclerzem, gdy przeciwnie, twoja rycerska i odważna odmowa wyznacza cię na stanowisko wielkiego marszałka koronnego. Zastanów się nad tym, de Bracy, i obejmij ten urząd.*

— *Zmienny tyranie — mruknął do siebie de Bracy opuszczając komnatę.*

— *Szalony, kto ci zaufa! A twój kanclerz?... Wiera, kto ma pieczę nad twym sumieniem, nie ma czego strzec. Ale zostać wielkim marszałkiem Anglii, to jest coś, nad czym warto się potrudzić — rzekł wyciągając ramię, jakby już chciał pochwycić buławę marszałkowską, i ruszył żwawym krokiem przez sień.*

Zaledwie de Bracy odszedł, książę Jan zawołał służbę.

— *Niech się tu stawi Hugon Bardon, dowódca zwiadowców —*

przykazał — gdy tylko skończy rozmowę z Waldemarem Fitzurse.

Zanim wezwany nadszedł, Jan przechadzał się przez krótką chwilę po komnacie niespokojnym krokiem.

— *Bardonie, czego chciał od ciebie Waldemar?*

— *Dwóch odważnych ludzi, znających doskonale północne puszcze i umiejących wytropić ślady człowieka i konia.*

— *I dałeś mu ich?*

— *Wasza książęca mość może na mnie polegać — odparł dowódca zwiadowców. — Jeden jest z hrabstwa Hexham. Przywykł tropić tam zbójców jak ogary rannego jelenia. Drugi jest z hrabstwa Yorku i w pięknej okolicy Sherwoodu często brzęczała cięciwa jego łuku. Zna on aż po Richmond każdą polanę i każdy parów, każdy gaj i każdy ostęp.*

— *To dobrze! Kiedy Waldemar wyrusza?*

— *Natychmiast.*

— *W jakiej sile? — zapytał książę od niechcienia.*

— *Bierze ze sobą nieustraszonego Thoresby'ego i Wetherala, którego*

zwą dla jego okrucieństwa Stefanem o Kamiennym Sercu, oraz trzech ludzi z Północy z bandy Ralfa Middletona; nazywają ich oszczepnikami ze Spyinghow.

— To dobrze — powiedział książę, a po chwili dodał: — Bardonie, zależy mi na tym, abys pilnie zważał na de Bracy'ego. Od czasu do czasu prześlij nam wiadomość, z kim się zadaje i jakie ma zamiary. Pilnuj go, bo będziesz zań odpowiadał!

Hugon Bardon skłonił się i odszedł.

— Jeśli Maurycy mnie zdradzi, czego należy się obawiać sądząc po jego zachowaniu, odpowie za to głową, nawet gdyby Ryszard stał już pod bramami Yorku!

XXXIV

Obudź tygrysa w pustyniach hyrkańskich,
Wydzieraj zdobycz na pól głodnym lwom —
A ryzykujesz mniej, niż gdybyś zbudził
Drzemiącą iskrę w zgasłym fanatyzmie.

ANONIM

Wróćmy teraz do Izaaka jadącego na mule, ofiarowanym mu przez wywołańców, w towarzystwie dwóch rosnących chłopów, którzy mieli mu służyć za straż i przewodników. Dążył do Templestowe, by układać się o uwolnienie córki. Komandoria oddalona była o dzień drogi od zburzonego zamku Torquilstone i Żyd spodziewał się dojechać tam przed nocą. Odprawił więc swych przewodników na skraju lasu, wynagrodziwszy ich srebrną monetą, po czym ruszył tak szybko, jak

tylko pozwalało mu zmęczenie. Ale siły opuściły go na cztery mile przed Templestowe; dokuczliwe bóle przeszywały mu plecy, ręce i nogi, a te cierpienia cielesne do tego stopnia zwiększały udrękę duszy, że nie był w stanie jechać dalej i zatrzymał się w małym miasteczku, gdzie odbywały się targi i gdzie mieszkał rabin, znakomity lekarz i dobry jego znajomy.

Natan ben Samuel okazał choremu rodakowi wiele dobroci, z jaką się Żydzi wzajemnie do siebie odnosili, zgodnie z nakazami swych praw. Nalegał, by Izaak się położył i zażył powszechnie wówczas używane driadwie zapobiegające gorączce wywołanej strachem, zmęczeniem, złym obejściem i troską.

Następnego dnia, gdy Izaak chciał wstać i ruszyć w dalszą drogę, Natan przeciwstawił się temu jako gospodarz i lekarz. — Za taką nieostrożność zapłacić możesz życiem — rzekł. Lecz Izaak odparł, że od jego podróży do Templestowe zależy rzecz ważniejsza od śmierci i życia.

— Chcesz jechać do Templestowe? — zawołał Natan ze zdumieniem; wziął starca za puls i mruknął do siebie: Gorączka spadła, ale chyba rozum mu się pomieszał.

— Dlaczegoż to nie miałbym się udać do Templestowe? — spytał pacjent.

— Wiadomo mi, Natanie, że jest to siedziba tych, dla których naród wybrany jest kamieniem obrazy i budzi w nich wstręt, ale wiesz przecie, że ważne sprawy handlowe nieraz zmuszają nas do odwiedzania tych krwiożerczych żołnierzy nazarejskich i że bywamy w komandoriach zarówno templariuszy, jak i joannitów.

— Tak — odparł Natan — ale czy wiesz, że Łukasz de Beaumanoir,

przełożony zakonu, którego nazywają wielkim mistrzem, jest obecnie w Templestowe?

— Nie wiedziałem o tym — rzekł Izaak. — Nasi bracia donosili nam w ostatnich swych listach, że jest w Paryżu, gdzie zabiega o pomoc Filipa przeciw sultanowi Saladynowi.

— Od tamtej pory zdążył przyjechać do Anglii, niespodziewanie dla swych braci zakonnych. Przybył z wzniesionym ramieniem, by uzdrowić ich i ukarać. Płonie gniewem na tych, którzy złamali śluby, i wielka trwoga padła na tych synów Beliala. Zapewne znany ci jest z imienia?

— Słyszałem — rzekł Izaak — że chrześcijanie uważają Łukasza de Beaumanoir za gorliwego obrońcę wiary; a nasi bracia określają go jako srogiego wroga Saracenów i okrutnego prześladowcę wybranego narodu.

— I słuszne to określenie — potwierdził lekarz. — Zwykle templariusze dają się zjednać obietnicą rozkoszy lub przekupić złotem i srebrem, lecz Beaumanoir jest inny: nienawidzi rozpusty, pogardza bogactwem i pragnie osiągnąć koronę męczeńską, którą, oby Bóg Jakuba jemu oraz całemu jego zakonowi szybko zesłał. Ten srogi mąż wznosił swą karzącą prawicę szczególnie nad głowami dzieci Judy i uważa, że równie słodką ofiarą jak śmierć Saracena jest zamordowanie Żyda. Opowiada różne bezbożne i fałszywe rzeczy o skuteczności naszych driakwi, twierdząc, że są fortelami diabelskimi. Niech Bóg go za to pokarze!

— Muszę jednak udać się do Templestowe — rzekł Izaak — choćby miało

to grozić płonącym stosem.

I wytłumaczył Natanowi, jak ważny powód zmusza go do tej podróży.

Rabin wysłuchał starca z zaciekawieniem i wedle zwyczaju swego narodu wyrażał mu współczucie rozdzierając szaty i jęcząc:

— O moja córko! O moja córko! Biada, nieszczęsna róžo Syjonu! Biada, narodzie izraelski!

— Widzisz więc — zakończył Izaak — jaka jest moja sprawa i że nie mogę zwlekać. Może obecność Łukasza de Beaumanoir odmieni Briana de Bois-Guilbert, może porzuci swe nieczne zamiary i uwolni moją ukochaną Rebekę.

— Jedź więc — rzekł Natan ben Samuel — bądź mądry jak Daniel wrzucony do jaskini lwów i niech się stanie wedle pragnienia serca twego. Ale jeśli zdołasz, unikaj wielkiego mistrza, wiadomo bowiem, że od rana do wieczora lubi znęcać się nad naszym ludem. Może uzyskalbyś coś, gdyby ci się udało porozmawiać na osobności z Bois-Guilbertem, powiadają bowiem, że ci przekłęci Nazarejczycy w tamtejszej komandorii nie są między sobą zgodni — bodajby się pokłócili i sromotę na siebie ściągnęli! A ty, bracie, wracając możesz zajechać znów do mnie jak do rodzinnego domu; opowiesz mi, jak ci się powiodło, a mam nadzieję, że przywieziesz ze sobą Rebekę, która dorównuje w sztuce lekarskiej mądrej Miriam, obmawianej przez chrześcijan, że leczyła czarami.

Izaak pożegnał się ze swym przyjacielem i po godzinie jazdy stanął przed komandorią Templestowe. Siedziba templariuszy leżała wśród

pięknych łąk i pastwisk, a ufundował ją poprzedni pobożny komandor dla swego zakonu. Twierdza była silna i dobrze ufortyfikowana, o co templariusze zawsze dbali; było to zresztą konieczne w czasie zamieszek, w jakich Anglia była pogrążona. Dwóch habalabardników w czarnych strojach pilnowało mostu zwodzonego, a inni, w równie posępnych ubiorach, przechadzali się poważnie po wałach, podobniejsi do widm niż do żołnierzy. Od czasu do czasu jakiś rycerz w białym płaszczu, ze spuszczoną głową i ramionami skrzyżowanymi na piersiach, przechodził przez podwórze. Mijając się, bracia zakonni wymieniali poważne, uroczyste i milczące powitania, taki był bowiem przepis ich reguły, opierający się na świętych tekstach: „W wielu słowach nie unikniesz grzechu” i „Życie i śmierć są we władzy języka”. Jednym słowem, surowa i ascetyczna reguła templariuszy, o której przez dłuższy czas pozwoliła im zapomnieć nierozważna i lekkomyślna pobłażliwość, zdawała się znów odżywać w Templestowe pod surowym okiem Łukasza de Beaumanoir.

Izaak stanął pod bramą, zastanawiając się, jakim sposobem dostać się do środka i przychylnie usposobić zakonników; zdawał sobie sprawę, że rozbudzony znów fanatyzm był nie mniej niebezpieczny dla jego nieszczęśliwego narodu, jak pozbawiona zasad rozwiązłość i że zarówno jego wiara może nań ściągnąć nienawiść i prześladowania, jak jego bogactwo wystawić na łupiestwo ciemężycieli.

W owym czasie Łukasz de Beaumanoir przechadzał się po małym ogródku należącym do komandorii, mieszczącym się między

zewnątrznymi fortyfikacjami. Prowadził poważną i poufną rozmowę z jednym z braci zakonnych, który wraz z nim przyjechał z Palestyny. Wielki mistrz był już w podeszłym wieku; dowodziła tego długa, biała broda i krzaczaste, siwe brwi zwisające nad oczami, których ognia lata nie zdołały stłumić. Ostre i surowe rysy tego groźnego wojownika miały wyraz żołnierskiej zawziętości; a choć twarz miał wychudzoną przez posty, malowała się na niej duma i zadowolenie z siebie pobożnego ascety. W tej surowej twarzy było też coś uderzającego i szlachetnego; wypływało to niewątpliwie z jego wysokiego stanowiska, które powoływało go do działalności wśród królów i książąt i dawało mu najwyższą władzę nad wielu mężnymi i szlachetnie urodzonymi rycerzami, związanymi z nim wspólną regułą zakonu. Był wysokiego wzrostu, a chód jego mimo wieku i przebytych trudów odznaczał się sprężystością.

Biały płaszcz, zgodnie z regułą świętego Bernarda skrojony z surową prostotą, z grubego, zwykłego sukna, okrywał jego postać; na lewym ramieniu miał naszyty ośmioramienny krzyż z czerwonego sukna, charakterystyczny dla zakonu templariuszy. Ani popielice, ani gronostaje nie zdobiły jego ubioru, ale ze względu na wiek i zgodnie z regułą wielki mistrz nosił kaftan obsyty i podbity kożuszką jagnięcą, włosiem na zewnątrz; w ten sposób mógł, nie przekraczając reguły, używać futra, uważanego wówczas za największy zbytek w stroju. W ręku dzierżył abacus, czyli tę dziwną laskę, oznakę swej funkcji, z którą zazwyczaj przedstawiają templariuszy, zakończoną

okrągłą blachą z wyrytym krzyżem zakonu, otoczonym kołem, zwanym przez heraldyków „skrajem”.

Rycerz towarzyszący dostojnikowi był prawie tak samo ubrany, lecz niezwykle szacunek dla zwierzchnika wskazywał wyraźnie, że między nimi nie było równości. Komandor, gdyż takie było jego stanowisko, nie dotrzymywał kroku wielkiemu mistrzowi, lecz szedł za nim w takiej odległości, by Beaumanoir mógł do niego przemawiać nie odwracając głowy..

— Konradzie — rzekł wielki mistrz — drogi towarzyszu mych walk i trudów, tobie jednemu mogę powierzyć me troski, tobie jednemu mogę powiedzieć, jak często, odkąd przybyłem do tego królestwa, pragnę śmierci i połączenia ze Sprawiedliwym. Nie napotkałem jeszcze niczego, na czym oczy moje spoczęłyby z przyjemnością prócz grobów naszych braci pod ciężkim dachem naszego kościoła w Temple, w stolicy kraju.*

**/ Kościół ten stoi jeszcze w Londynie. Konsekrowany był w 1185, a odnowiony w 1842 roku.*

„O mężny Robercie de Ros! — zawołałem w głębi duszy, gdy patrzyłem na dobrych rycerzy krzyża spoczywających na swych grobowcach. — O zacny Wilhelmie de Mareschal, otwórz twą marmurową celę i pozwól spocząć obok siebie znużonemu bratu, który wolałby walczyć ze stoma tysiącami pogan niżli patrzeć na taki upadek naszego zakonu!”

— To prawda — odparł Konrad Mont-Fitchet — to prawda; rozprężenie naszego zakonu w Anglii jest jeszcze gorsze niż we Francji.

— Bowiem jego bogactwa są większe — odparł wielki mistrz. —

*Przebacz mi, bracie, że się nieco pochwalę. Wiesz, jakie pędziłem życie trzymając się ściśle naszej reguły, walcząc z szatanem wcielonym i niewidzialnym, z „ryczącym lwem, który szuka, kogo by pożarł”, jak przystoi prawemu rycerzowi i pobożnemu zakonnikowi, gdziekolwiek go napotkałem, jak to nam nakazał święty Bernard w czterdziestym piątym rozdziale naszej reguły *Ut leo semper feriatur**. */ *Ut leo semper feriatur* (łac.) — niech lew (szatan) będzie zawsze zwalczany.*

Co mówią nasze reguły i jak nasi bracia się ich trzymali? Nie powinni nosić próżnych, światowych ozdób, pióropuszy na szyszakach ani złota na strzemionach i uzdach, ale czyż teraz ktoś stroi się wspanialej i barwniej od ubogich rycerzy Świątyni? Reguła zakazuje im wypuszczać jednego ptaka na drugiego, polować na zwierzęta z łuku lub kuszy, dąć w róg myśliwski i gonić na koniu zwierzynę, a tymczasem kto z większym zapalem poluje z gończymi i sokołami, zabawia się w lasach i na wodach od templariuszy, tak zamięłowanych we wszystkich tych próżnych zabawach? Wolno im czytać tylko dzieła dozwolone przez przełożonych lub podczas posiłków słuchać świętych tekstów; lecz — niestety! — sercami ich kierują minstrelle, a oczy ich błędzą po kartach lekkomyślnych romansów. W widzeniach nocnych oglądałem, Konradzie, czyste duchy założycieli naszego zakonu: ich pobożne oczy wylewały łzy nad grzechami i lekkomyślnością braci, nad plugawą i haniebną ich rozwiązłością. Mówili mi: „Beaumanoir, ty śpisz, zbudź się! Pomścij nas! Wytęp grzeszników i grzesznice!” Sen znikł, Konradzie, lecz gdy się zbudziłem, słyszałem jeszcze szczęk ich zbroi i dojrzałem

rąbek ich białych płaszczy. I postąpię wedle ich rozkazów: uzdrowię zakon templariuszy, a splugawione kamienie, w których tkwi zaraza, usunę precz ze Świątyni!

— Zastanów się jednak, przewielebny ojcze — rzekł Mont-Fitchet. —

Czas i pobłażliwość pozwoliły rdzy głęboko się weźreć. Przeprowadzaj twe reformy ostrożnie, sprawiedliwie i mądrze.

— Nie — odparł srogi starzec — muszą one być surowe i

niespodziewane. Zakon jest na skraju przepaści. Skromność,

poświęcenie i pobożność naszych poprzedników zdobyły zakonowi wielu

przyjaciół; nasza pycha, bogactwa i zbytek przyczyniły nam wrogów.

Musimy wyrzec się tych bogactw, które są pokusą dla księząt; musimy

odrzucić pychę, która ich obraża, musimy uzdrowić nasze obyczaje,

które gorszą całe chrześcijaństwo. W przeciwnym wypadku —

zapamiętaj to sobie — zakon nasz upadnie i nawet pamięć o nim zaginie

wśród narodów.

— Niech Bóg odwróci od nas taką klęskę! — zawołał komandor.

— Amen — dodał wielki mistrz uroczyście — ale musimy sobie zasłużyć

na Jego względy.

W tej chwili giermek odziany w wytarte suknie — gdyż wedle reguły

zakonu nowicjusze donaszali odzież rycerzy — wszedł do ogrodu i

skłoniwszy się nisko przed wielkim mistrzem, stanął w milczeniu,

czekając na pozwolenie oznajmienia, z czym przyszedł.

— Jakże budujący jest widok Damiana — rzekł wielki mistrz —

odzianego w szaty pokory chrześcijańskiej, stojącego w pełnym

uszanowania milczeniu przed swym zwierzchnikiem, gdy jeszcze dwa dni temu ten głupi błazen, wystrojony w kolorowe łaszki, trzpiotał się zuchwały i dumny! Pozwalam ci mówić, Damianie. Czego chcesz?

— Przewielebny i dostojny panie — rzekł giermek — przed bramą stoi jakiś Żyd i prosi, aby mu pozwolono rozmówić się z bratem Brianem de Bois-Guilbert.

— Słusznie przyszedłeś z tym do mnie — odparł wielki mistrz — wobec nas komandor jest tylko zwykłym konfratrem, któremu nie wolno postępować wedle własnej woli. Ważną jest dla nas rzeczą znać postępowanie rycerza de Bois-Guilbert — dodał zwracając się do swego towarzysza.

— Mówią o nim, że jest odważny i waleczny — odpowiedział Konrad.

— Jeśli tak jest — rzekł wielki mistrz — to pod tym względem nie jesteśmy gorsi od naszych poprzedników, bohaterskich rycerzy krzyża świętego. Lecz brat Brian wstąpił do naszego zakonu pod wpływem niezadowolenia i rozczarowania i nie wątpię, że złożył śluby i wyrzekł się świata nie ze szczerego serca, lecz skłoniony do tego przez drobną przykrość. Od samego początku był czynnym i groźnym wichrzycielem, szemrał i intrygował, stał na czele tych, którzy podkopywali naszą władzę, nie zważając, że wielki mistrz otrzymywał ją w tej symbolicznej lasce, a zarazem różdze: laska — podpira słabych, różga — karci występki grzeszników. Damianie — ciągnął dalej — przyprowadź nam Żyda.

Giermek odszedł z głębokim ukłonem i po paru minutach przyprowadził

Izaak z Yorku. Żaden nagi niewolnik stawiony przed oblicze potężnego władcy nie zbliżał się do jego krzesła sędziowskiego z głębszym szacunkiem i lękiem niżli Izaak do wielkiego mistrza. Gdy znalazł się w odległości trzech jardów, Beaumanoir dał mu znak laską, by się dalej nie przysuwał. Żyd ukląkł na ziemi i pocałował ją w dowód najwyższego szacunku, po czym stanął przed templariuszem z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z głową spuszczoną z całą pokorą wschodnich niewolników.

— Damianie — odezwał się wielki mistrz — odejdz i bądź gotów na nasze zawołanie. Nie pozwól też, aby ktokolwiek wszedł do ogrodu, zanim my go opuścimy.

Giermek skłonił się i odszedł.

— Żydzie — powiedział wyniosły starzec — posłuchaj mnie. Nie przystoi nam długo z tobą rozmawiać ani tracić na próżno słów i czasu.

Streszczaj się więc w swych odpowiedziach na moje pytania i bądź szczery, bo jeśli zechcesz mnie oszukiwać, każę wyrwać ci kłamliwy język z twej pogańskiej gęby.

Żyd chciał coś odpowiedzieć, lecz wielki mistrz nie dał mu mówić.

— Milcz, niewierny, ani słowa więcej! Możesz odpowiadać tylko na nasze pytania. Jaką masz sprawę do Briana de Bois-Guilbert?

Izaak, wylękły i niepewny, ciężko westchnął. Jeśli wyzna całą prawdę, może to być wzięte za oszczerstwo rzucone na zakon; a jeżeli tego nie opowie, jaką może mieć nadzieję na uwolnienie córki? Beaumanoir zauważył jego śmiertelną trwogę i raczył go nieco uspokoić.

— *Możesz nie obawiać się niczego, nędzny Żydzie, jeśli tylko odpowiadać będziesz uczciwie* — rzekł. — *Twoja córka jest branką Briana de Bois-Guilbert?*

— *Aj, aj, wielebny, dostojny panie* — wyjąkał nieszczęsny Izaak. — *Gotów jestem zapłacić okup, jaki ubogi człek...*

— *Milcz!* — zawołał wielki mistrz. — *Czy twoja córka zna sztukę leczenia chorych?*

— *Aj, aj, miłościwy panie!* — wykrzyknął Żyd odzyskując nieco pewności siebie. — *Rycerze i wojacy, giermki i wasale błogosławili umiejętność, jakiej Bóg jej udzielił. Wielu może poświadczyć, że ich wyleczyła, gdy wszelkie usiłowania innych lekarzy zawiodły. To Bóg Jakuba obdarzył ją tą łaską.*

Beaumanoir rzekł z posępnym uśmiechem do Mont-Fitcheta:

— *Widzisz, bracie, jak podstępny jest okrutny kusiciel! Zauważ, jakie sidła zastawia na dusze ofiarowując im krótkie mgnienie życia ziemskiego w zamian za wieczną szczęśliwość na tamtym świecie.* — *I zwróciwszy się do Żyda, dodał:* — *Twoja córka leczy, zapewne, zaklęciami, znakami, czarami oraz tajemniczą sztuką czerpaną z Kabały?*

— *Nie, wielebny i waleczny rycerzu* — odparł Izaak. — *Leczy ona głównie pewnym balsamem posiadającym cudowne własności.*

— *Skąd posiada ten sekret?* — zapytał Beaumanoir.

Żyd z pewnym wahaniem odparł:

— *Powierzyła jej ten sekret Miriam, pewna mądra niewiasta z naszego*

plemienia.

— *Ach, ty przewrotny Żydzie!* — zawołał wielki mistrz. — *Zapewne czarownica Miriam, o której wstrętnych praktykach rozeszła się wieść w całym chrześcijańskim świecie?* — *Tu wielki mistrz się przeżegnał.* — *Ciało jej spłonęło na stosie, a popiół został rozsiany na cztery wiatry.* *Ten sam los spotkałby mnie i mój zakon, gdybym nie postąpił tak samo z jej uczennicą! Nauczę ją rzucać czary i zaklęcia na rycerzy błogosławionej Świątyni! Hej, Damianie, wyżeń precz tego Żyda za bramę, a jeśli będzie stawiał opór lub chciał powrócić, zabij go. A z jego córką postąpimy tak, jak nakazują nasze chrześcijańskie prawa i nasz wysoki urząd.*

Biedny Izaak został więc wygnany z komandorii. Nikt go nie słuchał, nie zważał na jego prośby ani nawet na to, co ofiarowywał. Nie pozostało mu nic innego, jak powrócić do domu rabina i usiłować wszelkimi dostępnymi mu środkami dowiadywać się o losach swej córki. Dotychczas drżał o jej cześć, teraz zaczął się obawiać o jej życie. Tymczasem wielki mistrz wezwał do siebie komandora z Templestowe.

XXXV

*Nie mów, że moja sztuka — to kłam; wszak pozorem
Wszystko bije, ba, żebrak pozorami żebrze,
Dworzanin swe tytuły i ziemie zdobywa.
Ksiądz chętnie z nich korzysta, nawet dzielny żołnierz
Bierze je w swoją służbę. Dbamy o pozory
I stwarzamy pozory. A komu wystarczy,*

Kim jest naprawdę — marna jego rola

W kościele, w polu, w państwie... Tak toczy się świat.

Stara Tragedia

Albert de Malvoisin, przełożony lub, jak zwano ten urząd w zakonach rycerskich, komandor klasztoru w Templestowe, był bratem Filipa de Malvoisin, wspomnianego już w tej opowieści barona, i pozostawał tak jak tamten w bliskich stosunkach z Brianem de Bois-Guilbert.

Wśród rozwiązłych i pozbawionych zasad braci, których było aż nazbyt wielu wśród templariuszy, rej wodził Albert; różnił się jednak tym od zuchwałego Bois-Guilberta, że umiał swe występki i ambicje ukryć pod zasłoną hipokryzji i na zewnątrz odgrywał rolę gorliwego obrońcy wiary, choć w głębi duszy gardził fanatyzmem. Gdyby wielki mistrz nie był się zjawiał niespodziewanie w Templestowe, nie byłby zauważył żadnego rozluźnienia dyscypliny klasztornej. A choć zaskoczony, a nawet do pewnego stopnia zdemaskowany, Albert Malvoisin z takim szacunkiem i pozorną skruchą słuchał wymówek swego zwierzchnika i tak się śpieszył z przeprowadzeniem zmian w rzeczach, które zasłużyły na naganę, jednym słowem, udawał takie poświęcenie dla zgromadzenia, które ostatnio pogrążyło się w rozpuście i zabawach, że Łukasz Beaumanoir nabrał lepszego mniemania o zasadach moralnych komandora, niż skłonny był sądzić w pierwszych chwilach po przybyciu do klasztoru.

Lecz to dobre mniemanie wielkiego mistrza poważnie zachwiała

wiadomość, że Albert zgodził się przyjąć do klasztoru brankę żydowską

i, jak należało się obawiać, kochankę jednego z braci. Toteż gdy Albert stanął przed najwyższym dostojnikiem zakonu, został przyjęty z niezwykłą surowością.

— W domu templariuszy — rzekł wielki mistrz srogim tonem — przebywa Żydówka przywieziona tu przez jednego z braci za twoim przyzwoleniem, komandorze.

Albert Malvoisin zmieszał się; nieszczęsną Rebekę umieszczono przecież w ukrytej i odległej części zabudowań, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, by zataić jej pobyt w klasztorze. W oczach Beaumanoira wyczytał wyrok na Bois-Guilberta i na siebie samego, chciał więc uprzędzić grożącą burzę.

— Czemu milczysz? — zapytał wielki mistrz.

— Czy wolno mi mówić? — ozwał się pokornym tonem komandor, choć stawiając to pytanie starał się jedynie zyskać czas do namysłu.

— Pytam się ciebie raz jeszcze, jak mogłeś pozwolić jednemu z braci, by przywiózł swą kochankę, żydowską czarownicę, do tego świątobliwego klasztoru, by splamić go i splugawić?

— Żydowską czarownicę! — powtórzył Albert Malvoisin. — Brońcie nas, święte anioły!

— Tak, bracie, żydowską czarownicę — odparł posepnie wielki mistrz — tak rzekłem. Czy ośmielisz się zaprzeczyć, że Rebeka, córka tego podłego lichwiarza Izaaka z Yorku i uczennica przeklętej czarownicy Miriam, przebywa — aż wstyd pomyśleć, a tym bardziej powiedzieć! — w tutejszej komandorii?

— *Wielka mądrość twoja, przewielebny ojczy — odparł Albert —*

rozjaśniła mój umysł. Dziwiło mnie bardzo, że zacny rycerz Brian de Bois-Guilbert dał się tak usidlić wdziękom tej młódki, którą przygarnąłem jedynie po to, by przeszkodzić grzesznemu jej zbliżeniu z naszym mężnym i pobożnym bratem.

— *Nic więc nie zaszło między nimi, co by spowodowało złamanie przez niego ślubów? — spytał wielki mistrz.*

— *Jakże? Pod tym dachem?! — zawołał komandor i przeżegnał się. —*

Broń nas, święta Magdaleno i dziesięć tysięcy dziewic! Przenigdy!

Zgrzeszyłem jedynie, przypuszczając, że uda mi się w ten sposób

przeszkodzić rozmiłowanemu w Żydówce bratu; zdało mi się to rzeczą

tak dziwną i nienaturalną, że przypisywałem ją szaleństwu, które

można raczej wyleczyć współczuciem niżli wymówkami. Lecz gdy

mądrość waszej wielebności odkryła, że ta żydowska ladacznica jest

czarownicą, należy przypuszczać, iż to było powodem szaleńczej miłości

Briana.

— *Iście, iście! — rzek Beaumanoir. — Oto, bracie Konradzie, skutki*

ulegania podszeptom i pokusom szatana! Z początku tylko spoglądamy

na niewiasty dla radości oczu i cieszymy się tym, co ludzie zwą

pięknością, ale odwieczny wróg, żarłoczny lew, zdobywa nad nami

władzę, by z pomocą talizmanów i czarów dokończyć dzieła

rozpoczętego przez próżniactwo i głupotę. Może przeto nasz brat Bois-

Guilbert zasłużył sobie w tej sprawie snadniej na litość niż na tak

surową karę i powinien raczej znaleźć w naszej lasce podporę niż

otrzymać nią chłostę; może nasze napomnienie i modlitwy zawrócą go z drogi szaleństwa na łono zgromadzenia.

— Żle by się stało — rzekł Konrad z Mont-Fitchet — gdyby zakon utracił jednego z najdzielniejszych swych kopijników, w chwili gdy nasze święte zgromadzenie potrzebuje tak bardzo pomocy swych synów.

Przecie Brian de Bois-Guilbert zabił własnoręcznie trzystu Saracenów.

— Krew tych przeklętych psów — rzekł wielki mistrz — była słodką ofiarą dla świętych i aniołów, którymi oni pogardzali i którym bluźnili.

Z boską pomocą zdołamy może przeciwdziałać czarom i zaklęciom, w których sieci znalazł się nasz brat. Może zerwie więzy tej Dalili, jak Samson zerwał mocne pęta, którymi Filistyni go związali, i dalej będzie tępił niewiernych. Natomiast przeklęta czarownica, która rzuciła czary na templariusza, zginie!

— Lecz prawa angielskie... — zaczął Albert, który choć był uszczęśliwiony, że gniew wielkiego mistrza odwrócił się od niego i Briana de Bois-Guilbert, przeląkł się, że zemsta poniesie przełożonego zbyt daleko.

— Prawa angielskie — przerwał mu Beaumanoir — pozwalają i nakładają obowiązek na każdego sędziego, by wydawał wyroki w obrębie własnej jurysdykcji. Najnędzniejszy baron może uwięzić, osądzić i skazać czarownicę wykrytą w obrębie jego posiadłości. Czyżby prawo to nie miało przysługiwać wielkiemu mistrzowi w obrębie komandorii jego zakonu? Nie! Osądzimy i skażemy wiedźmę, która zostanie usunięta, a zło wybaczymy. Przygotujcie salę zamkową do

sądu nad czarownicą.

Albert Malvoisin skłonił się i wyszedł, lecz nie po to, by wydać rozkaz przygotowania sali, lecz by odszukać Briana de Bois-Guilbert i zawiadomić go, jak może się zakończyć jego sprawa. Wkrótce znalazł rycerza pieniącego się z oburzenia na piękną Żydówkę, która odprawiała go z niczym.

— Nierozsądna i niewdzięczna! — wołał. — Gardzi człowiekiem, który ocalił ją spośród bitwy i płomieni, narażając własne życie! Na Boga, Malvoisin! Dotrwałem tam, dopóki dach i krokwie nie zaczęły pękać i walić się naokoło. Byłem celem dla strzał; tłukły o moją zbroję jak grad, a tarczą osłaniałem tylko ją. Tyle wycierpiałem dla niej, a teraz ta uparta młódka wyrzuca mi, że nie pozwoliłem jej zginąć, i nie tylko, że nie chce mi dać najmniejszego dowodu wdzięczności, ale nie robi mi nawet nadziei, aby to kiedyś mogło nastąpić. Diabeł, który plemię jej obdarzył uporem, najhojniej chyba ją nim wyposażył

*— Myślę, że diabeł rządzi wami obojgiem. Ile razy polecałem ci ostrożność, jeśli nie wstrzeźliwość? Czy nie mówiłem, że znajdziesz mnóstwo chętnych chrześcijanek, które ofiarują ci le don d'amoureux merci *!*

**/ Le don d'amoureux; merci (franc.) — dar miłosnej wdzięczności*

Po co się trzymać tej zaciętej i upartej Żydówki? Dalibóg, mniemam, że słuszne jest podejrzenie Łukasza de Beaumanoir, iż dziewczyna rzuciła na ciebie czar.

— Łukasz de Beaumanoir? — zapytał z wyrzutem Bois-Guilbert. —

Gdzie jest twoja ostrożność, Malvoisin? Jak mogłeś dopuścić, by ten stary głupiec dowiedział się, że Rebeka jest tutaj?

— Nic na to nie mogłem poradzić — odrzekł komandor. — Nie zaniedbałem niczego, by ukryć tę tajemnicę, ale ktoś ją zdradził, diabli wiedzą kto. Kręciłem, jak mogłem; ocalisz się, jeśli wyrzekniesz się Rebeki. Ułaskawią cię jako ofiarę czarów. Ona zaś jest czarownicą i musi za to zapłacić.

— Na Boga, nie zapłaci! — wykrzyknął Bois-Guilbert.

— Na Boga, musi zapłacić — odparł Malvoisin. — Ani ty, ani nikt inny nie może jej ocalić. Łukasz Beaumanoir postanowił, że śmierć Żydówki będzie odkupieniem za wszystkie miłosne sprawy templariuszy; a wiesz, że ma on możliwość i ochotę wypełnić ten rozumny i zbożny zamiar.

— Czyż kiedyś, w przyszłości ludzie zdołają uwierzyć, że istniały takie głupie przesady?! — zawołał Bois-Guilbert przechadzając się po komnacie.

— Czy w to uwierzą, nie wiem — odparł Malvoisin ze spokojem — ale wiem dobrze, że w naszych czasach dziewięćdziesięciu na stu duchownych i świeckich zawoła „amen” po wyroku wielkiego mistrza.

— Wierzęc — potaknął Bois-Guilbert. — Ty jednak, Albercie, jesteś moim przyjacielem i musisz mi dopomóc, bym mógł ją przewieźć w bezpieczniejsze i lepiej ukryte miejsce.

— Nawet gdybym chciał, nie mogę tego uczynić — odparł komandor. — Dom pełen jest sług wielkiego mistrza i innych oddanych mu ludzi. A

jeśli mam być z tobą szczery, bracie, nie mieszałbym się do tej sprawy, nawet gdybym wiedział, że pomyślnie dopłynę do portu. Za dużo już ryzykowałem dla ciebie. Nie myślę narażać się na degradację lub choćby tylko na utratę mej komandorii dla jednej powabnej Żydowicy. Jeżeli chcesz, posłuchaj mej rady, przestań, powiadam, gonić wiatr w polu i zwróć swe amory gdzie indziej. Zważ, Brianie: obecne twoje stanowisko, przyszłe zaszczyty, wszystko zależy od miejsca, jakie zajmiesz w zakonie. Jeśli ulegniesz twej namiętności dla Rebeki, Beaumanoir będzie miał pretekst do wygnania cię z zakonu i nie omieszka tego uczynić. Żal mu laski wielkiego mistrza, jaką dzierży w swych drżących od starości dłoniach, a wie, że sięgasz po nią. Bądź pewien, że cię zgubi, jeśli tylko dasz mu tak doskonały pretekst jak opieka nad żydowską czarownicą. Daj mu wolną rękę w tej sprawie, bo nie możesz mu przeszkodzić. Gdy ujmiesz w swoją twardą dłoń laskę wielkiego mistrza, wtedy będziesz mógł pieścić córy Judy lub palić je na stosie, jak ci przyjdzie ochota.

— Malvoisin, jesteś pozbawionym krwi w żyłach...

— Przyjacielem — przerwał komandor, pośpiesznie wtrącając to słowo w obawie, że Bois-Guilbert użyłby gorszego. — Jestem twym przyjacielem, który z zimną krwią daje ci rady. Powtarzam raz jeszcze, że i tak nie zdołasz ocalić Rebeki. Spiesz do wielkiego mistrza, rzuć mu się do nóg i powiedz...

— Bogać tam! Rzucę temu staremu głupcowi prosto w twarz...

— Rzuć mu więc prosto w twarz — ciągnął spokojnie Malvoisin — że

kochasz Żydówkę do szaleństwa. Im dłużej będziesz się rozwodził nad tą namiętnością, tym pewniej przyśpieszysz koniec pięknej czarodziejki. A ty sam, przyznając się do złamania ślubów, nie możesz liczyć na pomoc twych braci, będziesz musiał porzucić piękne i ambitne marzenia o władzy i oddawać swą włócznią płatne usługi w drobnych sporach między Flandrią a Burgundią.

— Masz słuszność, Malvoisin — rzekł Bois-Guilbert po chwili zastanowienia. — Nie pozwolę, by zgrzybiały świętoszek uzyskał nade mną przewagę. A Rebeka nie zasłużyła na to, bym narażał dla niej honor i stanowisko. Porzucę ją, pozostawię ją jej własnemu losowi, chyba że...

— Nie wycofuj się z tego mądrego postanowienia — odparł Malvoisin. — Kobiety służą nam do zabawy w chwilach wytchnienia; ale poważnym zajęciem w naszym życiu jest dążenie do ambitnych celów. Niech zginie i tysiacy takich marnych bawidełek jak owa Żydówka, bylebyś zdołał wstąpić pewnym, rycerskim krokiem na drogę zaszczytów, jaka przed tobą się otwiera! A teraz musimy się rozstać: nie trzeba, by nas widziano radzących społem. Muszę kazać przygotować salę na sąd.

— Jak to? — zawołał Bois-Guilbert. — Tak rychło?

— Ach — odparł komandor — sąd odbywa się szybko, gdy sędzia wie z góry, jaki wyda wyrok.

— Rebeko — szepnął Bois-Guilbert, gdy został sam — drogo możesz mnie kosztować. Czemu nie mogę pozostawić cię twemu losowi, jak mi to zalecał ten spokojny obłudnik? Jeszcze jeden wysiłek uczynię dla

twego ocalenia, ale strzeż się, niewdzięcznico! Jeśli mnie znów odepchniesz, moja zemsta równa będzie mej miłości. Bois-Guilbert nie zaryzykuje życia i honoru, jeśli odpłacisz mu tylko wzgardą i wyrzutami!

Zaledwie komandor zdążył wydać odpowiednie rozkazy, nadszedł Konrad Mont-Fitchet i zawiadomił go o postanowieniu wielkiego mistrza, by natychmiast rozpocząć nad Żydówką sąd o czary.

— Toć to urojenie — rzekł Albert. — Mamy przecież tylu lekarzy Żydów i nikt ich nie pomawia o czary, choć nieraz leczą w cudowny sposób.

— Wielki mistrz innego jest zdania — odparł Mont-Fitchet. — A ja, Albercie, będę z tobą szczery: czary czy nie czary, lepiej, by podła młódka zginęła, niż gdybyśmy mieli utracić Briana de Bois-Guilbert lub gdyby nas miały poróżnić wewnętrzne niesnaski. Wiesz, z jakiego rodu jest Brian, jaką uzyskał sławę wojenną, wiesz, jakim poważaniem cieszy się u wielu braci. Lecz wszystko to nie obroni go w oczach wielkiego mistrza, jeśli ten uzna go za współwinowajcę, a nie za ofiarę Żydówki. Gdyby nawet w jej ciele miała cierpieć dusza dwunastu pokoleń izraelskich, lepiej, by sama zginęła, niż gdyby z nią razem zginął Bois-Guilbert.

— Staralem się jeszcze go namówić — rzekł Malvoisin — by ją porzucił. Ale czy mamy dostateczne powody, by skazać Rebekę za czary? Czy wielki mistrz nie zmieni jeszcze swego poglądu, gdy się przekona, że dowody są tak nikłe?

— Trzeba je wzmocnić — rzekł Mont-Fitchet. — Trzeba je wzmocnić!

Rozumiesz?

— Tak — odparł Albert. — Nie zawaham się, gdy chodzi o dobro zakonu.

Ale brak już czasu, by przygotować dowody.

— Muszą się znaleźć — nalegał Konrad. — Będzie to korzystne i dla

zakonu, i dla ciebie. Templestowe jest ubogą komandorią, natomiast

Maison-Dieu opływa w bogactwa. Znasz moją zażyłość ze starym

naszym przełożonym; jeśli znajdziesz kogoś, kto dostarczy dowodów,

będziesz komandorem w Maison-Dieu, w urodzajnym hrabstwie Kent.

Co na to powiesz?

— Wśród tych, którzy tu przybyli z Bois-Guilbertem, jest dwóch

pachołków dobrze mi znanych, służyli bowiem u mego brata Filipa, a od

niego przeszli na dwór Bawolego Łba. Może oni coś wiedzą o czarach tej

niewiasty.

— Idź, poszukaj ich natychmiast. Słuchaj jeszcze: jeżeli parę bizantów

może im przywrócić pamięć, to im ich nie żałuj.

— Za cekina gotowi przysiąc, że ich rodzona matka była czarownicą —

odparł Malvoisin.

— Idź więc, w południe rozpocznie się sąd. Nie widziałem naszego

przełożonego tak poważnie przygotowującego się do sprawy, od czasu

gdy skazał na stos Hameta Alfagi, nawróconego mahometanina, który

powrócił potem do wiary przodków.

Dzwon zamkowy wydzwonił głośno południe, gdy Rebeka usłyszała

kroki na tajnych schodach wiodących do jej kryjówki. Szło kilka osób, co

ją raczej ucieszyło, gdyż obawiała się bardziej samotnych odwiedzin

*groźnego i namiętnego Bois-Guilberta od wszelkich innych
niebezpieczeństw. Drzwi izby otworzyły się i wszedł Konrad z*

*Malvoisinem w otoczeniu czterech strażników z halabardami w ręku,
ubranych w czarne szaty.*

— Córo wyklętego narodu! — zawołał Albert. — Wstań i chodź z nami.

— Dokąd? — zapytała Rebeka. — I po co?

*— Nie przystoi ci pytać — odparł Konrad — musisz tylko słuchać. Wiedz
jednak, że masz stanąć przed sądem wielkiego mistrza naszego zakonu,
by odpowiedzieć za twe występki.*

*— Niech będzie pochwalony Bóg Abrahama! — rzekła Rebeka składając
pobożnie dłonie. — Sędzia, choćby był wrogiem mego narodu, znaczy
dla mnie tyle, co opiekun. Chętnie pójdę z wami: pozwólcie mi tylko
zarzucić zasłonę na twarz.*

*Zeszli powoli i uroczyście po schodach, potem minęli długą galerię i
przez rozsuwane, podwójne drzwi na jej końcu wkroczyli do obszernej
sali, gdzie wielki mistrz kazał wszystko przygotować do rozprawy.*

*Dolna część wielkiej sali pełna była giermków i luczników, usuwających
się, acz niechętnie, z drogi Rebecce, której towarzyszył Albert i Mont-
Fitchet; za nimi postępowała straż złożona z halabardników, którzy
zaprowadzili dziewczynę do przeznaczonego dla niej miejsca. Gdy
przechodziła przez tłum z głową spuszczoną i skrzyżowanymi
ramionami, ktoś wcisnął jej do ręki kartkę, którą przyjęła na wpół
świadomie, nie zaglądając do niej. Poczucie, że ma przyjaciela w tym
okropnym zgromadzeniu, dodało jej odwagi; rozejrzała się dokoła, by*

się przekonać, gdzie ją prowadzono.

XXXVI

Srogie to prawa, co ludziom nie zwolą

Sercem nad ludzką zapłakać niedolą.

Srogie to prawa, co radości echo

Tłumiąc, nie dają zakwitać uśmiechom.

Lecz jeszcze sroższe, gdy ku chwale Pana

Żelazną wznoszą maczugę tyrana.

Średniowiecza

Trybunał, zebrany dla sądenia niewinnej i nieszczęśliwej Rebeki,

zasiadał na podwyższeniu, zwanym dais, miejscu zaszczytnym,

przeznaczonym zwykle dla najznacniejszych mieszkańców danego

domostwa lub dla gości.

Na ozdobnym karle na wprost oskarżonej siedział wielki mistrz w

długiej i obszernej, białej szacie, trzymając w dłoni mistyczną laskę,

symbol zakonu. U jego stóp znajdował się stół, przy którym siedzielo

dwóch skrybów, kapelanów zakonu; obowiązkiem ich było zapisywać

wszystko, co się tego dnia zdarzyło. Czarne suknie, tyse głowy i

poważny wygląd tych duchownych ostro się odcinał od zbrojnych

postaci rycerzy, którzy bądź należeli do miejscowej komandorii, bądź

przybyli w orszaku wielkiego mistrza. Czterej obecni tu komandorzy

zajmowali siedziska niższe i nieco cofnięte za zwierzchnika; rycerze nie

zajmujący takiego stanowiska w zakonie siedzieli jeszcze niżej, na

ławach, w takiej samej odległości od komandorów jak ci od wielkiego

mistrza. Za nimi, ale jeszcze na podwyższeniu, stali giermkowie zakonni w białych, ale skromniejszych szatach.

Całe to zgromadzenie cechowała niezwykła powaga. Na twarzach rycerzy widniało męstwo i uroczyste skupienie, właściwe mężom zakonnym szczególnie w obecności wielkiego mistrza.

Pozostałą, niższą część sali zajmowali strażnicy, najemni żołnierze, czeladź, których ściągnęła tu chęć ujżenia wielkiego mistrza i żydowskiej czarownicy. Ludzie ci, podlejszej kondycji, przeważnie zależni w ten lub inny sposób od zakonu, nosili czarne suknie. Chłopi z sąsiednich wiosek zostali też dopuszczeni, gdyż Beaumanoir chciał, by sprawiedliwy wyrok mógł zbudować jak najwięcej osób. Jego wielkie, niebieskie oczy rozszerzały się, gdy patrzył na zgromadzonych, a w poczuciu świadomej siebie godności i domniemanej zasługi zachowanie jego stawało się bardziej jeszcze uroczyste. Ceremonię sądu rozpoczęto odśpiewaniem psalmu. Wielki mistrz wtórował głębokim, melodyjnym głosem, któremu wiek nie odebrał siły.

Gdy dźwięki psalmu zamilkły, Beaumanoir potoczył wzrokiem dokoła i zauważył, że siedzisko jednego z komandorów jest puste. Brian de Bois-Guilbert, który je przed chwilą zajmował, stał teraz koło jednej z ławek, gdzie siedzieli zwykli rycerze. Jedną ręką podtrzymywał swój długi płaszcz, by choć częściowo skryć za nim twarz, a w drugim dzierżył głowicę miecza, którego ostrzem, choć ukrytym w pochwie, kreślił jakieś znaki na podłodze.

— Nieszczęsny człowiek — rzekł wielki mistrz rzuciwszy na niego

spojrzenie pełne współczucia. — Widzisz, Konradzie, jak go ta sprawa nurtuje! Do czego może doprowadzić mężnego i zasłużonego rycerza spojrzenie kobiety popieranej przez księcia ciemności! Zważ, jak nie może podnieść wzroku ani na nas, ani na nią, i kto wie, czy to nie kusiciel zmusza go do kreślenia tych kabalistycznych znaków na podłodze. Może zagraża to nawet naszemu życiu i bezpieczeństwu, lecz ja pluję na tego piekielnego wroga i gardzę nim!

Beaumanoir powiedział to szeptem do swego zausznika, po czym podniósł głos zwracając się do wszystkich zebranych:

— Szacunku godni i waleczni mężowie, rycerze, komandorzy i zakonnicy tego świętego zgromadzenia, bracia moi i dzieci moje! I wy także, szlachetnie urodzeni i pobożni giermkowie, którzy pragniecie nosić święty znak krzyża! I wy, bracia chrześcijanie wszelkiego pochodzenia, wiedźcie, że to zebranie zwołałem na mocy przysługującego mi prawa, bo choćem niegodny, wraz z tą oto łaską przyznano mi władzę sądzenia i wydawania wyroków we wszystkich sprawach tyczących się dobra naszego zgromadzenia. Święty Bernard w pięćdziesiątym dziewiątym rozdziale reguły naszego rycerskiego zakonu przykazuje, by bracia zwoływani byli na radę tylko na rozkaz wielkiego mistrza. Wezwaliśmy więc przed nasze oblicze pewną Żydówkę, zwaną Rebeką, córkę Izaaka z Yorku, kobietę oskarżoną o gusła i czary, którymi zdołała wzburzyć krew i zaćmić umysł nie prostego chłopca, lecz rycerza poświęconego służbie Świątyni. I nie jest on tylko bratem-rycerzem, lecz komandorem naszego zgromadzenia,

zajmującym wysoką godność i stanowisko. Nasz brat, Brian de Bois-Guilbert, znany jest dobrze nam samym oraz wszystkim tu obecnym jako szczerzy i gorliwy obrońca krzyża świętego, który dokonał wielu rycerskich czynów w Ziemi Świętej oraz przyłożył się do oczyszczenia krwią niewiernych miejsc, które oni zbezczeszili. Jego przezorność i ostrożność były równie znane wśród braci, jak jego zasługi i surowa dyscyplina, tak że rycerze zakonni zarówno ze wschodu, jak i z zachodu uważali go za jednego z kandydatów na spadkobiercę tej oto laski wielkiego mistrza, gdy niebiosom spodoba się mnie zwolnić z obowiązku dzierżenia tej godności. Gdy dowiadujemy się, że ów mąż, tak szanowny i szanowany, nagle nie licząc się ze swym stanowiskiem, ze swymi ślubami, ze swymi braćmi i z widokami na przyszłość, stowarzysza się z Żydówką, podróżuje z nią po odludnych miejscach, broni jej z narażeniem własnego życia i ostatecznie jest tak zaślepiony i otumaniony, że przywozi ją do jednej z naszych komandorii, możemy tylko przypuszczać, że ten szlachetny rycerz został opętany przez złośliwego szatana bądź rzucono na niego czary. Na skutek tych licznych, obmierzłych występków Brian de Bois-Guilbert powinien być usunięty z naszej kongregacji, choćby był jej prawą ręką i źrenicą. Wielki mistrz zamilkł. Cichy szept przebiegł przez zgromadzenie: czekano na dalsze jego słowa.

— Taka powinna spaść kara na templariusza, który świadomie wykroczył przeciw regułom własnego zakonu w tak ważnych punktach — ciągnął Beaumanoir. — Lecz jeśli z pomocą czarów i zaklęć szatan

zdołał władzę nad rycerzem, gdy on wypadkiem rzucił okiem na piękną
ladacznicę, powinniśmy raczej ubolewać nad nim niżli karać jego
potknięcie. Powstańcie więc i dajcie świadectwo tym nieszczęsny
występcom, abyśmy mogli je rozważyć i osądzić, zali wystarczy ukarać
tę niewierną czy też, z krwawiącym sercem, musimy posunąć się dalej i
wystąpić również przeciw naszemu bratu.

Wezwano kilku świadków, którzy mieli złożyć poznanie, na jakie
niebezpieczeństwo Bois-Guilbert się narażał chcąc ocalić Rebekę z
płonącego zamku i jak lekceważył własne życie.

Następnie wezwano komandora z Templestowe, by opisał przybycie do
klasztoru Briana de Bois-Guilbert wraz z Żydówką. Malvoisin składał
bardzo ostrożnie swe zeznania. Z westchnieniem żalu przyznawał się
skruszony, że wpuścił Rebekę i jej kochankę za mury komandorii.

— To, co miałem na moją obronę — zakończył — wyznałem wielebnemu
naszemu ojcu, wielkiemu mistrzowi: on wie, że moje zamiary nie były
złe, choć może niestusznie postąpiłem. Z radością poddam się każdej
karze, jaką zechce mi naznaczyć.

— Dobrześ to powiedział, bracie Albercie — rzekł Beaumanoir — twoje
zamiary były słuszne, jeśliś chciał ocalić twego błędzącego brata przed
otchłanią grzechu. Ale postąpiłeś źle, bo tak jak ten, który chcąc
powstrzymać rozhukanego rumaka chwyta go za strzemię zamiast za
uzdę, sam zostałeś poszkodowany, zamiast dopiąć zamierzonego celu.

Nasz bogobojny założyciel kazał nam odmawiać trzynastcie razy „Ojcie
nasz” na jutrzni i dziesięć razy na nieszpórach — ty masz tę liczbę

podwoić. Trzy razy na tydzień wolno templariuszom pożywać mięso — ty masz pościć siedem razy tygodniowo. Masz tak czynić przez sześć tygodni. Oto jaka będzie twoja pokuta.

Z obłudnym wyrazem pokornego posłuszeństwa komandor z Templestowe skłonił się aż do ziemi przed zwierzchnikiem i siadł na swoim miejscu.

— Byłoby chyba dobrze, moi bracia — rzekł wielki mistrz — abyśmy teraz zbadali dotychczasowe życie i postępy tej oto niewiasty i wykryli, czy należy ją podejrzewać o magiczne czary i zaklęcia wobec tego, że zeznania, które tu usłyszeliśmy, skłaniają nas do przypuszczenia, iż nasz nieszczęsny brat popełnił swe błędy na skutek jakichś piekielnych pokus i złud.

Herman z Goodalricke był czwartym obecnym na rozprawie komandorem obok Konrada, Malvoisina i samego Briana de Bois-Guilbert. Stary wojownik, z twarzą pokiereszowaną bliznami po ranach zadanych przez miecze mahometan, cieszył się wielkim uznaniem i zajmował pierwsze miejsce wśród braci. Wstał i skłonił się wielkiemu mistrzowi, który mu natychmiast udzielił głosu.

— Chciałbym się dowiedzieć, przewielebny ojcze, co nasz dzielny brat, Brian de Bois-Guilbert, sam powie na te niezwykle zarzuty i jak się zapatruje na swe niegodne stosunki z tą żydowską dziewczyną.

— Brianie de Bois-Guilbert — zapytał wielki mistrz — czy słyszysz, czego żąda nasz brat z Goodalricke? Rozkazuję ci, odpowiedz mu.

Bois-Guilbert zwrócił głowę w stronę wielkiego mistrza, ale milczał.

— *Opętał go diabeł milczenia — rzekł Beaumanoir. — Strzeż się szatana!*

*Mów, Brianie de Bois-Guilbert, zaklinam cię na ten święty symbol
naszego zakonu!*

*Rycerz zapanował nad sobą, by nie okazać gniewu i oburzenia; zdawał
sobie sprawę, że nic by mu to nie pomogło.*

— *Brian de Bois-Guilbert — odparł — nie odpowiada, przewielebny
ojcze, na tak nierozumne i nieokreślone zarzuty. Jeśli jego honor będzie
zagrożony, potrafi go obronić własnym ramieniem i tym oto mieczem,
który nieraz walczył w obronie chrześcijaństwa.*

— *Przebaczam ci, bracie Brianie — rzekł wielki mistrz — choć chwaląc
się wojennymi czynami, ulegasz namowom szatana, który nas kusi do
samouwielbienia. Wybaczam ci, sądząc, że słowa te wypowiedziałeś
pod wpływem tego, którego będziemy się starać na tym zebraniu
pognębić i przepędzić precz.*

*W ciemnych, okrutnych oczach Briana de Bois-Guilbert błysnęła
pogarda, ale nic nie odpowiedział.*

— *A teraz — ciągnął wielki mistrz — wobec tego, że na pytanie naszego
brata Goodalricke'a nie otrzymaliśmy zadowalającej odpowiedzi,
będziemy dalej prowadzić śledztwo, by zbadać do dna tę otchłań
zbrodni." Niechaj ci, którzy wiedzą coś o życiu i postępkach Żydówki,
staną przed nami.*

*W głębi sali powstało pewne zamieszanie, a gdy wielki mistrz zapytał o
powód, odpowiedziano mu, że w tłumie widzów jest człowiek, któremu
Żydówka z pomocą cudownego balsamu przywróciła zdrowie, gdy*

niemoc przykuła go do łóża.

Biedny wieśniak saksońskiego pochodzenia, przyprowadzony przed sędziego, drżał z lęku, że jego wyleczenie poczytywane mu będzie za grzech. Nie był zresztą całkowicie zdrowy, przywłókł się bowiem na kulach. Składał zeznania bardzo niechętnie, zalewając się łzami.

Powiedział jednak, że przed dwoma laty mieszkał w Yorku, gdzie pracował w swoim zawodzie jako stolarz u Izaaka, bogatego Żyda, i tam uległ nagle ciężkiej niemocy. Nie mógł ruszyć się z łóża i dopiero pod wpływem leków zastosowanych przez Rebekę, a szczególnie rozgrzewającego korzennego balsamu, do pewnego stopnia powróciła mu władza w nogach. Prócz tego dziewczyna dała mu słoik cennej maści oraz sztukę złota, która mu pozwoliła powrócić do domu rodzinnego w pobliżu Templestowe.

— Za pozwoleniem waszej dostojności — zakończył — nie wydaje mi się, by ta młódka, choć jest Żydówką, chciała mi zaszkodzić. Bo gdy stosując jej leki zmówiłem „Ojcze nasz” i „Wierzę W Boga”, nie działały one gorzej.

— Milcz, poddańcze — rzekł wielki mistrz — i odejdz. Tylko takim prostakom, którzy poświęcają swój trud niewiernym, przystoi kurować się diabelskimi driakwiami. Powiadam ci, że diabeł może spuścić na kogoś niemoc, by potem mieć ludzi swymi lekami. Czy masz tę maść, o której mówiłeś?

Chłop drżącymi rękami wy dostał z za pazuchy małe puzderko, mające na pokrywce hebrajski napis, co utwierdziło obecnych w przekonaniu,

że diabeł przyrządził owo lekarstwo. Beaumanoir, przeżegnawszy się, wziął puzderko do ręki, a że znał wiele wschodnich języków, bez trudu przeczytał słowa: „Zwyciężył Lew Judy”.

— Dziwna jest potęga szatana — rzekł — który potrafi obrócić słowa Pisma świętego w bluźnierstwo, a do naszych pokarmów dodać trucizny! Czy jest tu może obecny jakiś lekarz, który mógłby zbadać składniki tej tajemniczej maści?

Znaleźli się dwaj medycy, jak się sami tytułowali, jeden zakonnik, a drugi balwierz; wyznali, że nie umieją rozpoznać składników leku, powiedzieli tylko, że pachnie mirrą i kamforą, które brali za wschodnie zioła. Lecz z prawdziwie zawodową zawiścią nadmienili, że wobec tego, iż lekarstwo było im nie znane, musiało być zrobione według recepty nieprawej i magicznej farmakopei, bowiem oni sami, choć nie są czarodziejami, znają się na szlachetnej sztuce lekarskiej, zgodnej z nauką chrześcijańską.

Gdy zakończono te badania, chłop saksoński pokornie prosił, by mu oddano lek tak pomocny. Lecz wielki mistrz zmarszczył się surowo.

— Jak cię zwą? — zapytał kaleki.

— Higg, syn Snella — odparł chłop.

— A więc, Higgsu, synu Snella — rzekł wielki mistrz. — Powiadam ci, zaiste lepiej, byś był przykuty do łoża, niżli zażywając leki niewiernych miał wstać i chodzić; lepiej siłą pozbawić niewiernych ich skarbów niżli przyjąć od nich dobrowolne dary czy też służyć im za wynagrodzeniem.

Odejdź i czyń, jak ci rzekłem.

— *Niestety* — *odparł chłop* — *za pozwoleniem waszej dostojności, dla mnie pouczenie to już na nic się nie zda, jako że jestem kaleką; ale powiem mym dwóm braciom, którzy służą u rabina ben Samuela, że wasza wysokość powiada, iż lepiej go ograbić niż wiernie mu służyć.*

— *Precz, gadatliwy chamie!* — *zawołał Beaumanoir, który nie miał przygotowanej odpowiedzi na tak praktyczne zastosowanie swych poglądów.*

Higg, syn Snella, zmieszał się z tłumem, lecz niespokojny o los swej dobrodziejki, chcąc wiedzieć, co ją czeka, nie myślał odejść, nawet gdyby miał się narazić na niezadowolenie sędziego; a przecież w obawie przed nim serce mu w piersiach zamierało.

W tym momencie wielki mistrz rozkazał Rebecce, aby odłoniła twarz.

Żydówka po raz pierwszy przemówiła i odpowiedziała spokojnie, ale z godnością, że nie jest zwyczajem cór jej narodu ukazywać się z odłoniętą twarzą wśród obcych. Słodki jej głos i łagodna odpowiedź wywołały wśród widzów współczucie i litość. Lecz Beaumanoir wierzył, że tłumienie w sobie wszelkich ludzkich uczuć, które by mogły mu przeszkodzić w wypełnianiu domniemanych obowiązków, jest samo przez się cnotą, powtórzył więc swój rozkaz, by podsądna odłoniła twarz. Gdy strażnicy chcieli to wykonać, Rebeka stanęła wyprostowana przed wielkim mistrzem i rzekła:

— *Zaklinam cię, dostojny panie, na miłość twych córek. Niestety* — *dodała opamiętawszy się* — *nie masz córek! Ale wspomnij na twą matkę, na twe siostry, zważ na wstyd niewieści i nie zezwól na takie*

postępowanie w twej obecności; nie przystoi, by siepacze zdzierali z młódki zasłonę. Sama wypełnię twój rozkaz— ciągnęła dalej, a głębokie cierpienie, które zabrzmiało w jej głosie, wzruszyło nieomal samego wielkiego mistrza. — Jesteś znacznym człowiekiem wśród swoich, więc na twój rozkaz ukażę lico najnieszczęśliwszej z dziewic.

I odrzuciwszy zasłonę, spojrziała na obecnych, zawstydzona, lecz pełna godności. Jej niezwykła uroda wywołała szmer zdumienia, a młodzi rycerze wymienili w milczeniu spojrzenia mówiące, że postępowanie Briana da się raczej wytłumaczyć wdziękami dziewczyny niżli jej czarami. Lecz najbardziej zachowaniem się swej dobrodziejki przejęty był Higg, syn Snella.

— Puśćcie mnie — rzekł do strażników przy drzwiach. — Puśćcie mnie! Gdybym jeszcze raz na nią spojrział, umarłbym, gdyż przyczyniłem się do jej śmierci!

— Uspokój się, nieboraku! — odparła Rebeka usłyszawszy jego słowa. — Nie uczyniłeś mi krzywdy wyznając prawdę, nie pomożesz mi swymi skargami i narzekaniem. Zamilcz, proszę cię, idź do domu i nie narażaj się!

Strażnicy chcieli usunąć Higga z sali, w obawie, że głośnie lamenty chłopca ściągną na nich niezadowolenie przełożonego, a jego narażą na karę. Ale gdy obiecał, że będzie milczał, pozwolono mu zostać. Wezwano teraz przed sędziego dwóch zbrojnych, których Albert Malvoisin nie omieszkał pouczać o wadze ich zeznań. Choć byli to okrutni i zatwardziali łotrzy, widok uwięzionej dziewczyny, tak cudnej urody,

wzruszył ich w pierwszej chwili i dopiero wymowne spojrzenie komandora z Templestowe wróciło im nieugiętą postawę. Dokładność, z jaką ci świadkowie zeznawali różne szczegóły bądź zmyślane, bądź zupełnie zwykłe i naturalne, bardziej bezstronnym sędziom wydałaby się podejrzaną. Przedstawiali je w sposób przesadny i dodawali do nich ponure objaśnienia, tak że mogły się stać podstawą poważnych posądzeń. Fakty, przytoczone przez nich, byłyby dzisiaj podzielone na dwa rodzaje — na takie, które miały uchodzić za nadprzyrodzone, i na takie, które w danym momencie były po prostu fizycznym niepodobieństwem. Ale w owych czasach ciemnoty i przesądów z łatwością im uwierzono. Do pierwszego rodzaju zaliczyć można zeznania, że słyszano, jak Rebeka mówiła do siebie w nieznanym języku, że pieśni nucone przez nią czasem brzmiały dziwnie słodko w uszach słuchaczy, a serca w piersiach zaczynały mocniej bić; że mówiąc do siebie, spoglądała w górę, jakby stamtąd oczekiwała odpowiedzi; że szaty jej były dziwnego i niezwykłego kroju, niepodobne do tych, w jakie ubierały się uczciwe kobiety; że nosiła pierścienie z kabalistycznymi znakami, a na jej zasłonie wyhaftowane były dziwne litery. Wszystkie te szczegóły, tak naturalne i zwykłe, przyjęto z powagą jako dowody winy lub przynajmniej fakty rzucające silne podejrzenie, iż Rebeka utrzymuje zbrodnicze stosunki z ukrytymi potęgami.

Przytoczono też inne dowody, których większa część łatwowiernego zgromadzenia wysłuchała chciwie, choć były zupełnie niewiarogodne.

Pewien żołnierz widział, jak Rebeka leczyła jednego z rannych

przyniesionych do zamku Templestowe. Uczyniła — jak mówił — kilka znaków nad raną, powtarzając jakieś tajemnicze słowa, których na szczęście nie rozumiał, i żelazny belt wystrzelony z kuszy wyszedł z ciała, krew przestała płynąć, rana się zasklepiła, a umierający po upływie kwadransa poszedł na wały i pomagał świadkowi w nastawianiu beluardy, czyli maszyny do miotania kamieni.

Legenda owa miała zapewne związek z faktem, że Rebeka pielęgnowała ранego Ivanhoe w zamku Torquilstone. Ale trudno było spierać się ze świadkiem, gdyż na dowód prawdy swych słów wydobył z mieszka belt, który wedle jego opowieści w cudowny sposób wyszedł z rany, a że żeleźce ważyło całą uncję, potwierdziło więc to nieprawdopodobną bajkę.

Jego towarzysz z sąsiedniego odcinka muru był świadkiem sceny między Rebeką a rycerzem de Bois-Guilbert, gdy Żydówka chciała się rzucić ze szczytu wieży. By nie być gorszym od swego towarzysza, twierdził, że widział, jak Rebeka wdrapała się na blanki i przemieniona w śnieżnobiałego łabędzia, trzykrotnie obleciała zamek Torquilstone, po czym siadłszy na szczycie baszty, przyoblekła znów postać kobiecą. Znacznie mniej ważne dowody wystarczyłyby do skazania staruchy, biednej i brzydkiej, choćby nie była Żydówką. W tym wypadku, w połączeniu z fatalnym pochodzeniem, dowody winy okazały się dostatecznie przekonujące, by nawet młodość Rebeki oraz jej niezwykła piękność nic nie pomogły.

Wielki mistrz porachował głosem i uroczystym tonem zapytał Rebeki, co

ma do powiedzenia na swoją obronę wobec wyroku skazującego, jaki ma wydać.

— Błagać was o litość — rzekła piękna Żydówka głosem nieco drżącym ze wzruszenia — byłoby, nie wątpię, równie bezcelowe, jak podłe.

Przekonywać was, że niesienie pomocy chorym i rannym, wyznającym inną wiarę, jest miłe w oczach wspólnego naszego Stwórcy — także nie ma celu; dowodzić, że wiele z tych rzeczy, które mi ci ludzie zarzucają, jest wręcz niemożliwe, na nic się nie zda, jako że im chcecie wierzyć; a jeszcze mniej pomoże mi tłumaczenie, że moje odmienne szaty, moja mowa i obyczaje są pospolitym ubiorem, mową i obyczajem mych rodaków... nie mogę powiedzieć, mojego kraju, bo niestety, my własnego kraju nie mamy. Nie będę się też bronić kosztem mojego prześladowcy, stojącego tam i przysłuchującego się tym bajkom i podejrzeniom, które robią z krzywdziciela ofiarę. Niech Bóg nas rozsądzi, ale wolę dziesięciokrotnie być skazaną przez was na śmierć niż znosić umizgi tego syna Beliala do mnie, pozbawionej przyjaciół, obrońców i będącej w jego mocy. Lecz on jest waszej wiary i każde jego najlżejsze podejrzenie zaważy więcej od uroczystej przysięgi nieszczęśliwej Żydówki. Nie chcę więc obciążać go oskarżeniem, jakie na mnie spadło, lecz zwracam się wprost do ciebie — tak, Brianie de Bois-Guilbert! — do ciebie z zapytaniem, czy te zarzuty nie są kłamliwe? Czy nie są równie potworne i oszczercze, jak stanowiące śmiertelne dla mnie niebezpieczeństwo?

Nastąpiła chwila milczenia, wszystkie oczy zwróciły się ku Brianowi de

Bois-Guilbert. Ale on milczał.

— Mów — rzekła — jeśliś jest mężczyzną, jeśliś jest chrześcijaninem, mów! Zaklinam cię na suknię, jaką nosisz, na imię, jakie ci dano, na godność rycerza, jaką się szcycisz, na cześć twej matki, na prochy i grób twego ojca! Zaklinam cię, odpowiedz, czy te zarzuty są prawdziwe?

— Odpowiedz, bracie — rzeki wielki mistrz — jeśli ci zezwoli ten, który cię opętał.

W istocie Bois-Guilbert zdawał się pasować z uczuciem, które wykrzywiło mu twarz, i zduszonym głosem wymówił patrząc na Rebeke:

— Kartka! Kartka!

— Ach — rzekł Beaumainoir — oto dowód! Ofiara jej czarów może jedynie mówić słowo „kartka”, bowiem zapewne na niej wypisane zostało owo fatalne zaklęcie, które zmusza do milczenia rycerza.

Lecz Rebeka inaczej zrozumiała znaczenie wymuszonego na templariuszu okrzyku i spojrzawszy na kartkę pergaminu, którą wciąż trzymała w dłoni, przeczytała na niej napisane arabskim pismem następujące słowa: „Zażądaj sądu bożego!”

Szept, który przebiegł wśród widzów komentujących dziwną odpowiedź Bois-Guilberta, pozwolił Rebecce przeczytać, a potem niepostrzeżenie zniszczyć kartkę. Gdy się uciszyło, wielki mistrz przemówił:

— Rebeko, nie licz, by zeznanie nieszczęsnego rycerza mogło ci pomóc, gdyż jak widzimy, szatan wciąż trzyma go w swej mocy. Co masz

jeszcze do powiedzenia?

— Mogę jeszcze w jeden sposób bronić mego życia — odparła Rebeka. —

Jest on dozwolony nawet przez wasze surowe prawa. Życie moje było ciężkie, przynajmniej w ostatnich czasach, ale nie chcę porzucić tego

daru bożego, gdy mam możliwość go bronić. Odrzucam oskarżenie,

twierdząc, że jestem niewinna, a zarzuty są fałszem. Dopraszam się sądu bożego, mój obrońca dowiedzie mej niewinności.

— A kto, Rebeko — spytał wielki mistrz — zechce użyć kopii w walce o cześć czarownicy? Kto zechce się potykać o honor Żydówki?

— Bóg mi ześle obrońcę — odparła Rebeka. — Nie może to być, by w całej Anglii, gościnnej, szlachetnej, wolnej, gdzie tylu rycerzy gotowych jest narażać życie dla honoru, nie znalazł się nikt, kto by stanął w obronie sprawiedliwości! Wystarczy chyba, że żądam sądu bożego. Oto moje wyzwanie.

I zdjęwszy z ręki haftowaną rękawiczkę, cisnęła ją przed wielkiego mistrza. Na twarzy jej malowała się przy tym taka skromność i godność, że postępek jej wzbudził ogólne zdumienie i podziw.

XXXVII

Oto rękawica!

Bronić jej będę do ostatniej kropli

Mej krwi żołnierskiej.

W. SZEKSPIR: Ryszard II

Nawet na Łukasz de Beaumanoir zachowanie i postać Rebeki zrobiły pewne wrażenie. Okrucieństwo ani nawet surowość nie były to jego

*cechy wrodzone: był tylko zimny z natury i zbytńo cenil swe
wygórowane i błędne poczucie obowiązku; serce jego stało się twarde
na skutek ascetycznego życia, sprawowania najwyższej władzy oraz
mniemania, że jemu przypadła w udziale powinność zgnębienia
niewiernych i wykorzenia herezji. Z twarzy jego znikła jednak
zwykła surowość, gdy patrzył na piękną istotę stojącą przed nim,
osamotnioną i słabą, która umiała się bronić z takim męstwem.*

*Przeżegnał się dwukrotnie, jak gdyby nie był pewien, dlaczego zmiękło
mu serce, które zazwyczaj w podobnych wypadkach stawało się twarde
jak stal jego miecza.*

*— Młódko! — przemówił wreszcie. — Jeśli litość, jaką we mnie
wzbudziłaś, ma przyczynę w twych czarach, wielka jest twoja wina.*

*Lecz mniemam raczej, że wypływa to ze skłonności natury do
ubolewania, iż tak wdzięczna postać może być naczyniem zła. Żałuj za
grzechy, moja córko, przyznaj się do czarów, porzuć twoją fałszywą
wiarę, nawróć się na chrześcijaństwo, a wszystko obróci się dla ciebie
na dobre w tym i przyszłym życiu. W jednym z zakonów o surowej
regule będziesz się modlić, odprawiać odpowiednią pokutę i nie
pożałujesz swej skruchy. Uczyn tak, a będziesz żyła; czym jest dla ciebie
Mojeszowy Zakon, byś miała poświęcać dlań swe życie?*

*— Jest to wiara mych ojców — odparła Rebeka — która została im
objawiona na górze Synaj wśród błyskawic i grzmotów, w chmurach i
płomieniach. W co, jeśliś jest chrześcijaninem, powinieneś sam również
wierzyć. Powiadasz, że zostało to odwołane? Lecz tego nie powiedzieli*

mi moi nauczyciele.

— Niech zbliży się tu nasz kapelan — rzekł Beaumanoir — i niech powie tej upartej...

— Przebacz mi, że ci przerwę — rzekła łagodnie Rebeka. — Jestem nieuczoną młodką i nie potrafię bronić mej wiary w dyspucie; mogę tylko za nią umrzeć, jeśli taka jest wola boska. Natomiast upraszam o odpowiedź na moje żądanie sądu bożego.

— Podajcie mi jej rękawiczkę — rzekł wielki mistrz. — Iście — ciągnął dalej, spoglądając na delikatną tkaninę i drobne paluszki — jest to kruchy dowód śmiertelnego wyzwania! Miarkuj, Rebeko, że tak jak cienką i lekką jest ta rękawiczka w porównaniu z naszymi ciężkimi, stalowymi rękawicami, taką jest twoja sprawa wobec potęgi zakonu templariuszy, który wyzwalaś.

— Rzuć na wagę i moją niewinność — wtrąciła Rebeka — a jedwabna rękawiczka przeważy rycerską, stalową rękawicę.

— Upierasz się więc i nie chcesz ani przyznać się do winy, ani odwołać swego zuchwałego wyzwania?

— Tak, szlachetny panie — odparła Rebeka.

— Niech się więc stanie wedle woli niebios — rzekł wielki mistrz — i niech Bóg będzie sędzią!

— Amen — odpowiedzieli stojący dookoła niego komandorzy, a słowo to odezwało się echem w całym zgromadzeniu.

— Bracia — powiedział Beaumanoir — zapewne zdajecie sobie sprawę, że moglibyśmy odmówić tej niewieście sądu bożego. Lecz choć to

Żydówka i niewierna, niemniej jest cudzoziemką i bezbronną; niech więc Bóg nas strzeże, byśmy mieli odrzucić jej prośbę o pozwolenie skorzystania z naszych łagodnych praw. Poza tym jesteśmy rycerzami i wojownikami, a jednocześnie zakonnikami, wstyd było zaiste, gdybyśmy pod jakimkolwiek pretekstem odrzucili wyzwanie. Sprawa więc przedstawia się tak: Rebeka, córka Izaaka z Yorku, została posądzona na podstawie wielu podejrzanych okoliczności o czarodziejskie praktyki na osobie jednego z szlachetnych rycerzy naszego bogobojnego zakonu i zażądała sądu bożego, by móc dowieść swej niewinności. Komu więc, dostojni bracia, wedle waszego, mniemania mamy doręczyć rękawiczkę, jednocześnie mianując go naszym obrońcą?

— Brianowi de Bois-Guilbert, bo to głównie jego dotyczy — rzekł komandor z Goodalricke. — Wie on ponadto najlepiej, co jest prawdą w tej sprawie.

— Lecz jeżeli — spytał wielki mistrz — ów brat jest pod wpływem uroku czy zaklęcia? Mówimy to tylko z ostrożności, gdyż nikomu w całym zakonie nie powierzyłbym chętniej tej ważnej sprawy, a nawet ważniejszych jeszcze.

— Przewielebny ojciec — odparł komandor z Goodalricke — czary nie mogą mieć wpływu na obrońcę, który staje w sądzie bożym.

— Masz słuszność, bracie — przyznał wielki mistrz. — Albercie de Malvoisin, oddaj rękawiczkę Brianowi de Bois-Guilbert. Ufamy ci, bracie — ciągnął zwracając się do Briana — że będziesz walczył, jak

przystąpiło na prawego rycerza, i nie wątpimy, że sprawiedliwość zatryumfuje. A ty, Rebeko, wiedz, że przyznajemy ci trzy dni na znalezienie obrońcy.

— Mało to czasu — odparła Rebeka — szczególnie dla cudzoziemki wyznającej inną wiarę, by mogła znaleźć kogoś, kto by naraził swe życie i honor dla jej sprawy, stając przeciw tak znamienitemu rycerzowi.

— Nie możemy tego terminu przedłużyć — odrzekł wielki mistrz. — Bój powinien się odbyć w naszej obecności, a za cztery dni musimy stąd odjechać, gdyż wzywają nas gdzie indziej ważne sprawy.

— Niech się stanie wola boża — rzekła Rebeka. — Bogu powierzam moją sprawę, może On bowiem ocalić człowieka równie skutecznie w przeciągu mgnienia oka, jak na przestrzeni wieku.

— Dobrześ to powiedziała, niewiasto — przyznał wielki mistrz — lecz wiemy też dobrze, kto umie przybierać nawet postać anioła światłości. Pozostaje więc tylko oznaczyć miejsce spotkania, a w razie potrzeby — wykonania wyroku. Gdzie jest komandor tego domu?

Albert de Malvoisin, wciąż trzymając w dłoni rękawiczkę Rebeki, cichym głosem prowadził poważną rozmowę z Bois-Guilbertem.

— Jak to? — spytał wielki mistrz. — Czyżby on nie chciał przyjąć wyzwania?

— Przyjmie, musi je przyjąć, przewielebny ojcie — odpowiedział Malvoisin chowając pod płaszczy rękawiczkę. — Mniemam, że najodpowiedniejszym miejscem spotkania będą należące do komandorii

szranki świętego Jerzego, gdzie odbywamy ćwiczenia rycerskie.

— Dobrze — rzekł wielki mistrz. — Rebeko, w tych szrankach ma stanąć twój obrońca; jeśli się nie stawi lub jeśli na sądzie bożym spotka go porażka, wtedy zgodnie z wyrokiem czeka cię śmierć przeznaczona czarownicom. Niech ten nasz wyrok zostanie uwidoczniiony na piśmie i odczytany, aby nikt nie zasłaniał się nieświadomością.

Jeden z kapelanów, który był pisarzem kapituły, wykonał rozkaz i zapisał wyrok w ogromnej księdze. Gdy skończył pisać, drugi kapelan odczytał głośno wyrok wielkiego mistrza, który, przełożony z języka franko-normandzkiego, miał następujące brzmienie:

„Rebeka, Żydówka, córka Izaaka z Yorku, oskarżona o czary, uwodzicielstwo i inne diabelskie praktyki na rycerzu bogobojnego zakonu templariuszy, zaprzecza tym zarzutom i twierdzi, że złożone świadectwa są fałszywe, niepocziwe i wiarołomne. Powołując się zaś na przysługujące jej prawo sądu bożego i nie mogąc sama się bronić, zamiast siebie wyznaczy obrońcę, który spełni swój rycerski obowiązek walcząc bronią, jaka w takiej potrzebie przystoi, na jej ryzyko i koszt. Do czego zobowiązuje ją — jako zastaw wyzwania — rękawiczka.

Zastaw ten został doręczony szlachetnemu panu i rycerzowi Brianowi de Bois-Guilbert ze zgromadzenia templariuszy, by walczył w imieniu zakonu oraz własnym, jako że został pokrzywdzony i uszkodzony przez wyzywającą. Wobec czego przewielebny ojciec i dostojny pan, Łukasz margrabia de Beaumanoir, zezwolił na wzmiankowany sąd boży i naznaczył na ową walkę trzeci dzień, licząc od dzisiejszego. Ma

się ona odbyć na placu, zwanym szrankami świętego Jerzego, w pobliżu komandorii Templestowe. Wielki mistrz rozkazuje wyzywającej stanąć tam przez swego obrońcę pod groźbą wyroku potępiającego ją jako podejrzaną o czary; również wyzwany ma się stawić pod groźbą sądenia go za tchórzostwo. Wyżej wymieniony dostojny pan i przewielebny ojciec rozkazał, by walka odbyła się w jego obecności, wedle wszelkich zalecanych i koniecznych w takich wypadkach zwyczajów. Niech Bóg wspiera słuszną sprawę!"

— Amen — zakończył wielki mistrz, a słowo to powtórzyli wszyscy dokoła.

Rebeka milczała, spoglądając w niebo ze złożonymi rękami, i chwilę pozostała nieruchoma w tej postawie. Po czym przypomniała wielkiemu mistrzowi, że powinna dostać pozwolenie na swobodne porozumienie się z przyjaciółmi, by móc ich zawiadomić o swym losie i prosić o wyszukanie jej obrońcy.

— Jest to rzecz słuszną i godziwą — odparł wielki mistrz. — Wybierz więc posłańca, któremu byś ufała, a wolno mu będzie się widywać z tobą w izbie więziennej.

— Czy jest tu kto — zapytała Rebeka — kto chciałby z litości lub też za sowitym wynagrodzeniem dopomóc dobrej sprawie i spełnić polecenie nieszczęsnej istoty?

Wszyscy milczeli, gdyż obawiali się w obecności wielkiego mistrza okazać współczucie potępionej, by ich nie posądzono o sprzyjanie wierze żydowskiej. Obawy tej nie mogła przewyciężyć chęć zarobku, a tym

bardziej uczucie litości.

*Rebeka kilka chwil stała pogrążona w nieopisanej trwodze, po czym
zawołała:*

*— Czyż to możliwe, bym w Anglii była pozbawiona nawet tej niewielkiej
nadziei na ocalenie, by nie znalazł się nikt, co by chciał spełnić dobry
uczynek, którego nie odmawia się nawet najgorszemu zbrodniarzowi?*

Wtedy nareszcie odezwał się Higg, syn Snella:

*— Jestem kaleką, lecz to, że mogę się w ogóle poruszać, zawdzięczam
jedynie jej miłosiernej pomocy. Spełnię tedy twe polecenie — dodał
zwracając się do Rebeki — o ile może to uczynić kaleka; chciałbym, aby
moje nogi odkupiły błąd popełniony przez język. Niestety! Nie
przypuszczałem, że chwaląc twe miłosierdzie, ściągnę na ciebie takie
niebezpieczeństwo!*

*— Bóg rządzi wszystkim — odparła Rebeka — może więc użyć
najmarniejszego narzędzia do wyrwania z niewoli córki Judy. Ślimak
jest równie pewnym posłem jak sokół. Wyszukaj Izaaka z Yorku — oto
zapłata za konia i pacholka — i oddaj mu tę kartkę. Żegnaj! Życie moje
zależy od twego pośpiechu.*

Kaleka wziął karteczkę zawierającą parę wierszy w języku hebrajskim.

*Wielu spośród widzów usiłowało mu doradzać, by nie dotykał tak
podejrzanego pisma, lecz Higg postanowił stanowczo przyjść z pomocą
swej dobrodziejce.*

*— Uleczyła moje ciało — rzekł — pewien więc jestem, że nie chce zgubić
mej duszy. Postaram się dostać szkapę mojego sąsiada Buthana i dojadę*

do Yorku tak prędko, jak tylko się da.

Na szczęście niedaleko musiał jechać — o ćwierć mili od bram komandorii spotkał dwóch jeźdźców, których stroje i wielkie żółte czapy zdradzały Żydów; zbliżywszy się poznał w jednym z nich dawnego swego pracodawcę Izaaka z Yorku. Drugim był rabin ben Samuel; obaj chcieli podjechać do komandorii tak blisko, jak tylko im na to odwaga pozwoliła, gdyż dowiedzieli się, że wielki mistrz kazał się zebrać kapitule dla osądzenia czarownicy.

— Bracie ben Samuelu — rzekł Izaak — dusza moja jest niespokojna, sam nie wiem dlaczego. Posądzenie o czary często służy za pretekst do znęcania się nad naszymi rodakami.

— Bądź spokojny, bracie! Możesz traktować z Nazarejczykami, gdyż posiadasz grzeszną mamonę i możesz ich przekupić. Ale cóż to za nędzarz o kulach zbliża się do nas? Zdaje się, że chce z nami mówić.

Przyjacielu — zwrócił się medyk do Higga, syna Snella — nie odmawiam nikomu pomocy mej sztuki lekarskiej, ale nie wspieram żebrzących na gościńcu... — Tu przerwał spojrzawszy na Izaaka, który przeczytał kartkę podaną mu przez Higga, jęknął głucho i spadł z mulara jak śmiertelnie rażony, po czym przez chwilę leżał bez zmysłów na ziemi.

Rabin, przerażony, zsiadł z wierzchowca i pośpiesznie zaczął ratować swego towarzysza środkami, jakie zalecała sztuka lekarska. Wyjął nawet z kieszeni lancet i zabrał się do puszczenia mu krwi, gdy nagle chory wrócił do przytomności, ale tylko po to, by zerwać z głowy czapkę

i posypać swe siwe włosy pyłem. Lekarz w pierwszej chwili skłonny był uważać to nagłe i gwałtowne wzruszenie za utratę zmysłów i opierając się na tym przypuszczeniu znów zabrał się do swych narzędzi. Lecz wkrótce Izaak wyprowadził go z błędu.

— O nieszczęsne dziecko! — zawołał. — Śmierć twoja wpędzi mnie do grobu, a moje zgorzkniałe serce przeklinać będzie Stwórcę aż do śmierci!

— Bracie — zapytał zdumiony rabin — jak możesz, ty, syn Izraela wymawiać takie słowa? Przecie twoja córka żyje!

— Żyje — odparł Izaak — lecz jest w niewoli synów Beliala, którzy się będą okrutnie nad nią znęcać nie zważając ani na jej młodość ani na urodę. O ukochane moje dziecię! Pociecho starości!. Och Rebeko, córko Racheli! Okrył cię już mrok śmierci!

— Przeczytaj mi pismo — rzekł rabin. — Może uda nam się znaleźć jakiś ratunek dla niej.

— Ty czytaj, bracie — odparł Izaak — bowiem łzy zalewają mi oczy.

Medyk czytał w ich ojczystym języku następujące słowa:

Do Izaaka, syna Adonikama, którego chrześcijanie zwą Izaakiem z

Yorku. Niech pokój i błogosławieństwo spłynie na ciebie! Ojcze mój,

jestem skazana na śmierć za winę, która nie skalala mej duszy: za

czary. Ojcze mój, jeśli znajdzie się krzepki człowiek, który zechce

mieczem i kopią walczyć za moją sprawę wedle obyczaju

Nazarejczyków w szrankach w Templestowe od dziś za trzy dni, może

Bóg obdarzy go siłą i obroni niewinność, która nie ma nikogo do

pomocy. Lecz jeśli nie znajdziesz obrońcy, niech dziewice naszego plemienia oplakują mnie jak jelenia ustrzelonego przez myśliwego, jak kwiat ścięty przez kosę żniwiarza, Staraj się więc znaleźć dla mnie ratunek. Pewien nazarejski rycerz, Wilfryd, syn Cedryka, zwany przez chrześcijan Ivanhoe, dobyłby pewnie miecza w mej obronie, ale nie zdoła jeszcze ująć ciężaru zbroi. Mimo to ślij do niego, ojcze, ma bowiem uważanie wśród potężnych ludzi w swym narodzie, a że dzielił nasz los w domu niewoli, może znajdzie kogoś, kto mnie obroni. I daj znać Wilfrydowi, synowi Cedryka, niech wie, że Rebeka, czy będzie żyła, czy umrze, nie splamiła się winą, jaką jej zarzucają. A jeśli jest wolą boską, byś utracił córkę, nie pozostawaj, stary mój ojcze, w tym kraju krwiożerczym i okrutnym, lecz udaj się do Kordoby, gdzie twój brat żyje bezpiecznie w cieniu tronu Baobdila Saracena. Okrucieństwo Maurów względem Żydów jest niczym w porównaniu z okrucieństwem chrześcijan".

Izaak słuchał dość spokojnie, gdy ben Samuel czytał list, po czym znów zaczął wyrażać swą rozpacz na wschodni sposób, gestami i okrzykami, drąc na sobie suknie, posypując głowę pyłem i wołając:

— O moja córko, moja córko! Krew z mojej krwi, kość z mojej kości!

— Zbierz całą odwagę — rzekł rabin. — Na nic się nie zda twoja rozpacz.

Opasz twe biodra i ruszaj na poszukiwanie Wilfryda, syna Cedryka.

Może ci dopomoże bądź radą, bądź siłą, gdyż ten młodzieniec jest w

łaskach u Ryszarda, zwanego przez Nazarejczyków Lwim Sercem, o

którym wciąż krążą wieści, że powrócił do kraju. Może Wilfrydowi uda

się wydobyć list z pieczęcią, zakazujący popełnienia zamierzonej

zbrodni tym krwiożerczym mężom, którzy wzięli swą nazwę od

świętyni jerozolimskiej, bezczeszcząc ów przybytek.

— Odnajdę go — rzekł Izaak. — Jest to dobry młodzieniec i lituje się nad

wygnanymi potomkami Jakuba. Lecz on nie może jeszcze przywdziać

zbroi, a któż inny walczyć będzie w obronie prześladowanej córki

Syjonu?

— Mówisz tak — odparł rabin — jakbyś nie znał chrześcijan. Za złoto

kupisz ich odwagę, tak jak kupujesz swe bezpieczeństwo. Bądź dobrej

myśli i ruszaj na poszukiwanie Wilfryda z Ivanhoe. Ja też wyruszę,

gdyż byłoby wielkim grzechem opuścić cię w takiej biedzie. Udam się do

Yorku, gdzie zebrało się wielu zbrojnych i silnych mężów, i bez

wątpienia znajdę tam kogoś, kto będzie walczył o twoją córkę, złoto

bowiem jest ich bóstwem, a dla pieniędzy gotowi są poświęcić nawet

swe życie i swój kraj. Czy spełnisz, mój bracie, wszelkie obietnice, jakie

im dam w twoim imieniu?

— Z pewnością, bracie — odparł Izaak. — Niech Bóg będzie

błogosławiony, że mi zesłał pocieszyciela w mej niedoli. Ale nie zgadzaj

się od razu na ich żądania, gdyż ci przekłęci ludzie chcą najprzód

funtów, a potem przyjmują uncje. Niemniej, niech będzie wedle twej

woli, gdyż odchodzę od zmysłów, a jaką wartość będzie posiadało moje

złoto, jeśli ukochane me dziecię zginie?

— Żegnaj — rzekł medyk — i niech się spełnią twe pragnienia. Uścisnęli

się i rozjechali w przeciwne strony, a kaleka przez chwilę spoglądał za

nimi.

— *Niewierne psy!* — zawołał. — *Nie zwrócili nawet uwagi na mnie, wolnego człeka, jak gdybym był poddańcem, Turkiem lub obrzezanym Żydem jak oni sami! Powinni mi byli rzucić choć ze dwa tynfy! Nikt mnie nie zmuszał, abym roznosił ich pogańskie skrypty i narażał się na czary, przed czym mnie wielu ostrzegało. I co mi przyjdzie z cnego złota, które mi ta młódka dała, jeśli na przyszłą Wielkanoc przy spowiedzi będę miał przykrości od księdza i będę musiał dać, dla ułagodzenia go, dwa razy więcej? A może ponadto będą mnie zwać przez całe życie żydowskim posłańcem? Mniemam że iście ta dziewczyna rzuciła na mnie czary! Ale zawsze tak było. że kto się do niej zbliżył, Żyd czy chrześcijanin, nikt nie mógł się oprzeć jej rozkazom i jeszcze teraz, gdy pomyślę o niej, gotowym dla ocalenia jej życia wszystko poświęcić.*

XXXVIII

O, wiedz, dziewczyno zimna, niedostępna,

Że moje serce tak dumne jak twoje.

A. SEWARD

O zmierzchu tego dnia, w którym nad Rebeką odbył się sąd, jeśli to sądem nazwać można, ktoś z cicha zastukał do jej więziennej celi. Nie zwróciła na to uwagi, pogrążona w wieczornych modłach nakazanych jej przez wiarę, a zakończonych hymnem, który ośmieliliśmy się przełożyć na język angielski.

Gdy z ziemi klęski, z ziemi niewoli

W dom Izraela powracał lud,

*Pan słupem ognia w skier aureoli
Dniem go i nocą przez puszcę wiódł.
W dzień przez kraj dziki, pusty i piaski
Ów słup ognisty na zachód parł,
Nocą czerwone Arabii piaski,
Trawione ogniem, zdwajały żar.
Grzmiał wtedy w niebo potęgą tonów
Wśród trąb i bębnow radosny hymn,
Śpiewały pieśni córki Syjonu,
Kapłan i żołnierz wybijał rytm.
Dziś bez Twych znaków jak stado owiec
Lud Izraela szuka swych dróg;
Wzgardzili Bogiem nasi ojcowie,
Odwrócił od nas oblicze Bóg.
Twa dobroć nawet niewdzięcznych strzeże
Gdy w dzień nas susza praży wśród skał —
Niech myśl o Tobie będzie puklerzem
I niech nas chroni od słońca strzał.
A gdy słoneczne zgaśnie zarzewie
I noc jak czarny wyrośnie las —
Boże cierpliwy, powolny w gniewie,
Bądź dla nas gwiazdą w niebie bez gwiazd.
Harfy zostały nam w Babilonie,
Gdzie lud Twój dręczył tyran i wróg,*

Wiatr porozwiewał kadzidel wonie,

Zgłuchly bębenki, trąba i róg.

Lecz Tyś powiedział: nie krew barana

Ani ofiarny miły mi dym —

Ale myśl szczerą, dusza oddana,

I łza przelana nad losem złym.

*Gdy pobożny śpiew Rebeki zamilkł, pukanie do drzwi znów się
powtórzyło.*

*— Wejdz — rzekła — jeśliś jest przyjacielem; a jeśliś wrogiem, nie mam
możności zakazać ci wstępu.*

*— Będę twym przyjacielem lub wrogiem — odpowiedział Brian de Bois-
Guilbert — zależnie od wyniku naszej rozmowy.*

*Przerażona widokiem człowieka, którego nieczyste pożądanie uważała
za przyczynę wszystkich swych nieszczęść, Rebeka, zatrwożona, choć
nie onieśmielona, cofnęła się w najodleglejszy kąt izby, jakby
postanowiła odsunąć się od niego jak najdalej, lecz nie ustąpić ani na
krok, gdy ucieczka nie będzie już możliwa. Przybrała postawę
stanowczą, choć nie zaczepną, jak ktoś, kto nie chce wywołać napaści,
lecz gotów jest bronić się w razie potrzeby do upadłego.*

*— Niestusznie się mnie lękasz, Rebeko — rzekł templariusz — lub jeśli
mam się wyrazić jaśniej, możesz się teraz niczego nie obawiać.*

*— Nie boję się ciebie, panie rycerzu — odparła Rebeka, choć z trudem
łapała oddech, co przeczyło jej odważnym słowom. — Moja wiara jest
mocna i nie boję się ciebie.*

— Nie masz powodu do obawy — ciągnął z powagą Bois-Guilbert. — Nie lękaj się już wybuchów mego szaleństwa. Na twoje wołanie nadbiegną straże, nad którymi nie mam władzy. Mają cię zaprowadzić na śmierć, Rebeko, ale nie pozwolę, aby ci ktoś ubliżał, nawet ja, gdyby moje szaleństwo — gdyż jest to szaleństwo — miało mnie pchnąć do tego.

— Niech Bogu będą dzięki — rzekła Żydówka. — W tej jaskini zła najmniej obawiam się śmierci.

— Ach! — zawołał templariusz. — Mężna dusza łatwo się godzi z myślą o śmierci, gdy droga do niej wiodąca jest krótka i prosta. Pchnięcie włóczni, cios miecza mało mnie przeraża, a ty nie boisz się skoczyć z wyniosłego muru ani pchnąć się sztyletem. Dla nas obojga gorsza jest hańba. Zważ, Rebeko, że moje poczucie honoru jest równie wyniosłe jak twoje, oboje gotowi jesteśmy poświęcić zań życie. Ale jesteś skazana nie na śmierć nagłą i bez cierpienia, na którą nieszczęście chętnie się zgadza, rozpacz wita z radością; czekają cię powolne męki, które, wedle mniemania tych diabelskich świętoszków, są słuszną zapłatą za twoją winę.

— A komu zawdzięczam ten okropny los? — spytała Rebeka. — Tylko temu, kto z samolubnych powodów brutalnie mnie tu uprowadził, a teraz z przyczyn sobie tylko wiadomych usiłuje mnie straszyć tym, co mnie czeka i na co mnie sam naraził.

— Nie myśl, że to ja cię wystawiłem na to niebezpieczeństwo; byłbym cię zasłonił własną pierśią, tak jak nastawiłem ją wtedy na strzały, które mogły cię trafić.

— Gdybyś bronił niewinnej w uczciwych zamiarach, podziękowałabym ci za twą opiekę; lecz tylokrotnie żądałeś za to zapłaty, że powtarzam ci, iż życie nie ma dla mnie już wartości, gdy mam za nie zapłacić ceną żadaną przez ciebie.

— Przestań czynić mi wyrzuty, Rebeko — powiedział templariusz. —

Mam dosyć własnych zmartwień, nie powiększaj ich swymi wymówkami.

— Panie rycerzu — odrzekła — nie czyniłabym ci wyrzutów, ale czyż nie jest rzeczą dowiedzioną, że śmierć mi grozi z powodu twej nieopanowanej żądz?

— Mylisz się — przerwał jej gwałtownie templariusz — przypisując mi tę winę! Nie mogłem ani przewidzieć sądu, ani mu zapobiec. Czyż mogłem wiedzieć, że niespodziewanie zjawi się tu ten starzec, którego przebłycki szalonego męstwa oraz pochwały głupców sławiących jego ascetyczną samoudrękę wyniosły ponad jego zasługę, ponad to, co nakazywał zdrowy rozsądek? Wyniosły go one wyżej ode mnie i od setek rycerzy z naszego zakonu, którzy myślą i czują, jak przystoi ludziom wolnym od głupich przesądów, jakimi on się kieruje.

— Ale jednak brałeś udział w sądzie nade mną — rzekła Rebeka. —

Jestem niewinna, zupełnie niewinna, o czym wiesz dobrze, a jednak przyczyniłeś się do wydania wyroku na mnie. Jeśli dobrze zrozumiałam, ty masz wystąpić zbrojnie, by dowieść mej winy i bronić słuszności wydanego wyroku.

— Cierpliwości — odparł templariusz. — Nikt lepiej od twego plemienia

nie umie naginać się do wymogów chwili i dostosowywać się do przeciwnego wiatru.

— Przeklęta niech będzie godzina — odpowiedziała Rebeka — w której naród izraelski się tego nauczył! Lecz przeciwności gną serca jak ogień oporną stal i ci, którzy już sami się nie rządzą, uchodźcy z własnego, ongiś niepodległego kraju, muszą się płaszczyć przed obcymi. To nasze przekleństwo, panie rycerzu, bez wątpienia zasłużone jako kara za nasze i naszych przodków występki. Lecz ty, ty, który chętnie się, że urodziłeś się wolny, o ileż bardziej jesteś winien, gdy poniżasz się, uznając cudze przesady wbrew własnemu przekonaniu?

— Gorzkie są twe słowa, Rebeko — rzekł Bois-Guilbert przechadzając się niecierpliwie po izbie. — Ale nie przyszedłem tu, byśmy wzajemnie robili sobie wymówki. Czyż pismo, które ci radziło żądać sądu bożego, nie Bois-Guilbert ci przysłał? W kim innym mogłabyś obudzić takie współczucie dla siebie?

— To odsunęło tylko nieco grożącą mi śmierć — odparła Rebeka — i małą mi przyniesie korzyść. Czyż to tylko mogłeś uczynić dla mnie, na której głowę ściągnąłeś takie nieszczęście, którą doprowadziłeś na brzeg mogiły?

— Nie, Rebeko — rzekł Bois-Guilbert — to nie wszystko, co miałem zamiar uczynić. Przeszkodził mi ten przeklęty stary fanatyk i ten głupiec Goodelricke, który będąc templariuszem chce myśleć i sądzić wedle zwykłych praw ludzkich. Obrońcą zakonu w szrankach nie powinien być komandor, lecz zwykły brat zakonu. Wtedy było moim zamiarem

na dźwięk trąby zjawić się w szrankach, w przebraniu błędnego rycerza, który szuka przygód, by wypróbować swą tarczę i konia. I gdyby nawet Beaumanoir naznaczył nie jednego, lecz dwóch lub trzech braci, byłbym bez wątpienia ich wszystkich sam jeden wysadził z siodeł. W ten sposób, Rebeko, dowiodłbym twej niewinności i zwróciłbym się do ciebie o nagrodę za moje zwycięstwo.

— Jest to, panie rycerzu, czcza przechwałka, chełpienie się tym, co byłbyś zrobił, gdybyś nie uważał, że lepiej postąpić inaczej. Oddano ci moją rękawiczkę i mój obrońca, jeśli taka nieszczęsna istota może znaleźć obrońcę, w szrankach spotka się z tobą, a ty mimo to udajesz mojego przyjaciela i opiekuna.

— Pozostanę na zawsze twym przyjacielem i opiekunem — rzekł z powagą templariusz. — Zważ jednak, jaką to grozi lub raczej jaką to będzie hańbą, i nie potępiaj mnie, że chcę sobie coś zawarować, zanim poświęcę wszystko, co dotychczas uważałem za cenne, dla jednej żydowskiej młódki.

— Mów dalej; nie rozumiem cię.

— Dobrze więc — rzekł Bois-Guilbert. — Jeśli nie stanę w szrankach, utracę sławę i stanowisko: stracę to, co jest mi drogie jak źrenica oka, mam na myśli poważanie mych braci i nadzieję na objęcie władzy, jaką dzierży obecnie ten stary świętoszek, Łukasz de Beaumanoir, i z której inny zrobiłbym użytek niż on. To by mnie czekało, gdybym nie stanął w szrankach. Przeklęty Goodalricke, który zastawił na mnie takie sidła! A dwakroć przeklęty niech będzie Albert de Malvoisin, który mnie

wstrzymał, gdy chciałem cisnąć rękawiczkę w twarz temu

*przesądnemu, zgrzybiałemu błaznowi, wierzącemu w głupie oskarżenie
rzucone na tak mądrą i wdzięczną istotę, jaką ty jesteś!*

*— Na co się zdadzą teraz wielkie słowa i pochlebstwa? — powiedziała
Rebeka. — Wybrałeś między niewinną krwią niewiasty a twym
własnym ziemskim powodzeniem i nadzieją. Na co zdadzą się te
spóźnione obrachunki? Dokonałeś już wyboru.*

*— Nie, Rebeko — odparł rycerz łagodniejszym tonem, zbliżając się do
niej. — Nie uczyniłem jeszcze wyboru, od ciebie on zależy. Jeśli zjawię
się w szrankach, będę musiał bronić mej sławy wojennej, a jeśli tak
uczynię, to czy będziesz miała obrońcę, czy też nie, zginiesz na stosie w
płomieniach, nie ma bowiem na świecie rycerza, który mógłby się ze
mną równać lub zwyciężyć mnie, z wyjątkiem Ryszarda Lwie Serce i
jego faworyta Ivanhoe. Jak wiesz, Ivanhoe nie może przywdziać
pancerza, a Ryszard jest na obcej ziemi w więzieniu. Jeśli się stawię,
musisz zginąć, choćby nawet twe wdzięki skłoniły jakiegoś
zapalczywego młodzieńca do podjęcia się twej obrony w szrankach.*

— I na co się zda powtarzać to ciągle? — spytała Rebeka.

*— Trzeba — odparł templariusz — byś umiała spojrzeć na twoją
przyszłość z różnych stron.*

*— W takim razie — powiedziała Żydówka — ukaż mi tę drugą stronę
medalu!*

— Jeśli się stawię w tych nieszczęsnych szrankach — rzekł Bois-Guilbert

— umrzesz powolną i okrutną śmiercią, w mękach, o jakich powiadają,

że są udziałem grzeszników na tamtym świecie. Jeśli się nie stawię, będę uważany za nikczemnego i zhańbionego, zostanę posądzony o udział w czarach i porozumienie z niewiernymi, a mój znakomity ród, któremu dotąd przysparzałem chwały, stanie się przedmiotem szyderstwa.

Stracę sławę, honor, nadzieję osiągnięcia potęgi, jaką zaledwie koronowane głowy posiadają; będę musiał porzucić wszelkie ambicje, zniweczyć plany, których wielkość można by porównać do tych gór, o których poganie twierdzili, że sięgały nieba. A mimo to, Rebeko — dodał rzuciwszy się do jej nóg — wszystko to poświęcę, o sławie zapomnę, władzy się wyrzeknę, nawet tej, jaką już posiadam, jeśli powiesz:

„Briane, bądź moim kochankiem”.

— Porzuć te szaleństwa, panie rycerzu — odparła Rebeka — i pośpiesz raczej do regentki, królowej matki, i do księcia Jana. Nie mogę dopuścić, by honor Korony angielskiej ucierpiał przez postępowanie waszego wielkiego mistrza. W ten sposób, bez żadnego poświęcenia z twojej strony ani zapłaty z mojej, udzielisz mi pomocy.

— Nie udam się do nich — powiedział rycerz, wciąż trzymając ją za kraj sukni — do ciebie jednej się zwracam. Cóż możesz mi przeciwstawić?

Zastanów się! Nawet gdybym był samym diabłem, lepszy będę od śmierci, bo jedynie śmierć jest moją rywalką.

— Nie chcę się zastanawiać nad tymi okropnościami — rzekła Rebeka, aby nie drażnić zuchwałego rycerza, zdecydowana jednak nie ulec jego żądzy ani nawet nie udawać uległości. — Bądź prawym mężem, bądź prawym chrześcijaninem! Jeśli ci twoja wiara istotnie nakazuje

miłosierdzie, które głoszą raczej wasze usta niżli uczynki, ocal mnie od okropnej śmierci, nie żądając w zamian zapłaty, boć zmienia to twą wspaniałomyślność w podłe frymarczenie.

— Nie, młódko! — zawołał dumny templariusz zrywając się. — Nie będziesz mi rozkazywać! Jeśli wyrzeknę się obecnie sławy, a w przyszłości ambicji, wyrzeknę się ich tylko dla ciebie, aby razem z tobą uciec. Posłuchaj, Rebeko — dodał znów łagodniej — Anglia, Europa to nie cały świat. Są inne krainy, gdzie mogę działać, dość wielkie, by zaspokoić moje ambicje. Pojedziemy do Palestyny, do mego przyjaciela, grabiego na Montserrat, który ma umysł równie jak mój wolny od przestarzałych zabobonów krepujących nasz rozum. Zamiast znosić szyderstwa świętoszków, którymi pogardzamy, zawrzemy przymierze z Saladynem. Poszukam nowych dróg prowadzących do władzy — ciągnął dalej, chodząc po komnacie. — Będziesz królową, Rebeko. Na górze Karmel wzniosę dla ciebie tron, zdobędę go własnym męstwem i zamienię dawno upragnioną przeze mnie łaskę wielkiego mistrza na królewskie berło.

— To marzenia — odpowiedziała Rebeka — senne majaki, które nawet gdyby się ziściły, nie nęciłyby mnie wcale. Nie żądaj ode mnie zapłaty, panie rycerzu, za ocalenie, nie sprzedawaj miłosiernego uczynku. Ratuj uciemiężoną z litości, a nie w samolubnych zamiarach! Udaj się do stóp tronu: Ryszard wysłucha mej skargi na tych okrutnych mężów.

— Nigdy, Rebeko — odparł surowo templariusz. — Jeśli porzucę zakon, to tylko dla ciebie. Jeśli ty odmawiasz mi swej miłości, będę bronił mej

sławy, bo nie chcę utracić wszystkiego. Schylić głowę przed Ryszardem?

Prosić o łaskę tego pyszałka? Nigdy, Rebeko, nie poniżę w mej osobie zakonu templariuszy.

Mogę porzucić zgromadzenie, ale nigdy go nie poniżę ani nie zdradzę.

— Niech się więc Bóg nade mną zlituje — rzekła Rebeka — gdy nie mam nadziei na pomoc ludzką.

— Tak jest istotnie — powiedział templariusz — bo choć jesteś dumna, natrafiłaś we mnie na równie dumnego przeciwnika. Jeśli się znajdę w szrankach z kopią w pół ucha końskiego, żadne względy nie zdołają mnie powstrzymać od natężenia wszystkich sił; zważ więc, jaki będzie wtedy twój los: okropna śmierć przeznaczona dla najgorszych zbrodniarzy, śmierć przez spalenie na stosie. Rebeko, to nie na siły kobiece! Bądź mi powolna!

— Panie rycerzu — odparła Żydówka — nie znasz serca kobiecego lub może miałeś do czynienia tylko z takimi, które wyzbyły się już wszelkich szlachetniejszych uczuć. Żegnaj! Nie będę na próżno tracić czasu na rozmowę z tobą; czas, jaki pozostał córce rodu Jakubowego tu na ziemi, musi być zużytkowany w inny sposób. Odwołam się do Pocieszyciela, który, choć ukrył twarz swą przed swym wybranym narodem, wysłucha wołania tej, która go szczerze i prawdziwie szuka.

— Musimy się więc rozstać? — zapytał templariusz po krótkim milczeniu. — Czemu niebiosy pozwoliły się nam spotkać lub czemu nie jesteś szlachetnie urodzoną chrześcijanką?

Rebeka zarumieniła się i powtórzyła z westchnieniem:

— Żegnaj! Nie zazdroszczę ci ani krwią zdobytych zaszczytów, ani twego barbarzyńskiego pochodzenia od północnych pogan, ani twej wiary, która istnieje tylko w twoich słowach, lecz nie w twym sercu ani w twych czynach.

— Na Boga, rzuciłaś na mnie urok! — zawołał Bois-Guilbert. — Nieomal wierzę, że prawdę mówił ten głupi, stary truposz, bo istotnie jest w tym coś nienaturalnego, że nie mogę się z tobą rozstać. Łzy, które od dwudziestu lat nie zwilżyły mych oczu, napływają do nich, gdy patrzę na ciebie. Lecz musi się to stać — nic nie uratuje twego życia. Przebac mi więc i rozstańmy się jak przyjaciele. Na próżno starałem się wpłynąć na twoje postanowienie, a moje jest też niewzruszone jak przeznaczenie.

— Tak oto ludzie zwalają na przeznaczenie skutki własnych namiętności

— rzekła Rebeka. — Lecz przebaczam ci, niepoprawny i nieposkromiony rycerzu de Bois-Guilbert, choć przyczyniłeś się do mojej śmierci.

— Tak — odparł templariusz. — Jestem taki, jakim mnie nazwałaś, Rebeko: niepoprawny i nieposkromiony. I takim już pozostanę: dumny, niezłomny i niezmienny; świat się o tym przekona. Ale czy mi naprawdę przebaczasz, Rebeko?

— Równie szczerze, jak ofiara może przebaczyć swemu katowi.

— Żegnaj więc! — rzekł templariusz i opuścił izbę.

**

Komandor Albert niecierpliwie czekał w sąsiedniej komnacie na powrót Briana de Bois-Guilbert.

— *Długoś tam przebywał — rzekł — a ja siedziałem jak na rozpalonych węglach. Co by to było, gdyby nadszedł wielki mistrz lub jego szpieg Konrad? Byłbym drogo zapłacił za moją wyrozumiałość. Ale co ci jest, bracie? Krok masz niepewny, a czoło pokryte chmurą. Brianie, czy ci niedobrze?*

— *Ach — odparł templariusz — czuję się jak łotr, na którym wyrok ma być wykonany za godzinę. Na święty krzyż! Gorzej jeszcze! Bo on może zrzucić życie jak suknię. O nieba, ta dziewczyna odmieniła mnie do głębi. Chyba pójdę do wielkiego mistrza i w oczy mu powiem, że występuję z zakonu! Nie chcę popełnić tej zbrodni, do jakiej mnie jego despotyzm zmusza!*

— *Oszalałeś! — zawołał Malvoisin. — Zgubisz siebie, nie ratując w ten sposób tak cennego dla ciebie życia dziewczyny. Beaumanoir wyznaczy kogoś innego zamiast ciebie na obrońcę wyroku, a oskarżona zginie tak samo, jak gdybyś ty spełnił ten obowiązek.*

— *Tak nie będzie, bo ja sam stanę w jej obronie — rzucił wyniośle templariusz. — Myślę, że nie ma nikogo w zakonie, kto by utrzymał się w siodle po uderzeniu mej kopii.*

— *Ale zapominasz — odparł przebiegły doradca — że nie będziesz miał ani czasu, ani sposobności, by wykonać ten zamiar. Idź do Łukasza de Beaumanoir i powiedz mu, że łamiesz ślub posłuszeństwa. Przekonasz się, jak prędko ten despotyczny starzec pozbawi cię wolności. Ledwie wypowiesz te słowa, znajdziesz się na głębokości stu stóp pod ziemią, w lochach komandorii, by czekać na sąd za złamanie rycerskich ślubów.*

Musisz zjawić się w szrankach lub będziesz zgubiony i zhańbiony.

— Wydostanę się stąd i odjadę precz — rzekł Bois-Guilbert. — Udam się daleko, do kraju, gdzie nie panuje jeszcze szaleństwo i fanatyzm. Ani kropla krwi tej najdoskonalszej istoty nie zostanie przelana za moją przyczyną.

— Nie uda ci się zbiec — powiedział Malvoisin. — Twoje szaleństwa obudziły podejrzenia i nie będziesz mógł opuścić komandorii. Idź i spróbuj: stań u bramy i rozkaż, aby spuszczone most zwodzony, a zobaczysz, jaką otrzymasz odpowiedź. Jesteś zdziwiony i oburzony, ale czyż tak nie jest lepiej dla ciebie? Gdybyś uciekł, co by się stało?

Strzaskano by twoją tarczę herbową, hańba spadłaby na twój ród, a ty sam zostałbyś poniżony. Pomyśl o tym. Twoi towarzysze broni wstydziliby się podnieść oczy, gdyby Brian de Bois-Guilbert, najdzielniejszy rycerz, został ogłoszony odstępcą wśród szyderstwa motłochu. Jakiż to wzbudziłoby żal na dworze francuskim! A jak ucieszyłby się pyszny Ryszard, gdyby doszła go nowina, że rycerz, który współzawodniczył z nim w Palestynie i nieomal zaćmił jego sławę, pogardził sławą i honorem dla żydowskiej dziewczki, której nawet nie udało mu się za taką cenę ocalić!

— Malvoisin — rzekł rycerz — dziękuję ci. Poruszyłeś wrażliwą strunę w moim sercu! Niech się dzieje, co chce, ale nikt nie powie o Brianie de Bois-Guilbert, że jest odstępcą. Dałby Bóg, aby Ryszard lub któryś z jego zarozumiałych faworytów zjawił się w szrankach! Lecz nie, na pewno pozostaną one puste. Nikt nie zechce się potykać o tę niewinną,

*lecz potępioną dziewczynę. Oto co postanowiłem — dodał dumny
templariusz. — Ona pogardziła mną, odrzuciła mnie i znieważyla;
dlaczego więc miałbym dla niej poświęcać moje dobre imię? Malvoisin,
stawię się w szrankach.*

*Mówiąc te słowa, opuścił spiesznie komnatę, a za nim wyszedł
komandor, by go dopilnować i utwierdzić w jego postanowieniu;
chodziło mu bowiem wielce o sławę Bois-Guilberta — liczył, że osiągnie
znaczną korzyść, gdy Brian stanie na czele zakonu, nie mówiąc już o
obietnicach, jakie mu robił Mont-Fitchet, jeśli poprze wyrok na Rebeke, i
choć zwalczając lepsze skłonności swego przyjaciela miał nad nim
wyższość, jaką posiada człowiek przebiegły, opanowany i samolubny
nad kimś ulegającym silnym i sprzecznym namiętnościom, Malvoisin
musiał sięgnąć do całej swej wymowy, by Bois-Guilbert nie zmienił
znów postanowienia, jakie uprzednio na nim wymusił. Musiał go
dobrze pilnować, by nie spełnił groźby ucieczki, a także, by nie zobaczył
się z wielkim mistrzem, z obawy, że dojdzie wówczas do otwartego
zerwania z przełożonym. Musiał mu też od czasu do czasu przypominać
rozmaite argumenty, za pomocą których usiłował dowieść rycerzowi, że
stając w obronie zakonu, ani nie przyspieszy, ani nie przypieczętuje
wyroku na Rebeke, natomiast, że jest to jedyna droga, która jego
samego może ocalić od upodlenia i hańby.*

XXXIX

Ustąpcie, cienie! To idzie sam Ryszard.

W. SZEKSPIR: Ryszard III

Gdy Czarny Rycerz — gdyż trzeba nam teraz powrócić do jego przygód — opuścił dąb, pod którym zbierali się buntownicy, podążył wprost do pobliskiego klasztoru, niewielkiego i mającego skromne dochody opactwa Świętego Botolfa. Tam, po zdobyciu zamku Torquilstone wierny Gurt i poczciwy Wamba umieścili rannego Wilfryda. Nie będziemy tu opisywać, co zaszło wówczas między Wilfrydem a jego wybawcą; wystarczy, gdy powiemy, że po długich naradach opat rozesłał posłańców w różne strony, a następnego dnia z rana Czarny Rycerz zaczął się zbierać w drogę wraz z błaznem Wambą, który miał mu służyć za przewodnika.

— Spotkamy się w Coningsburghu — powiedział Czarny Rycerz do Wilfryda — w zamku nieboszczyka Athelstana, gdzie ninie twój ojciec urządza stypę pogrzebową po swoim szlachetnym krewniak. Zobaczę tam twych saksońskich krewnych, Wilfrydzie, i poznam ich lepiej. Tam się spotkamy, a obowiązkiem moim będzie doprowadzić do zgody między twym rodzicem a tobą.

Rzekłszy to, pożegnał się serdecznie z młodzieńcem, który wyraził mu gorące pragnienie towarzyszenia mu w podróży. Ale Czarny Rycerz nie chciał o tym słyszeć.

— Odpocznij przez ten dzień jeszcze, i tak ledwo będziesz miał siły puścić się w drogę jutro. Zabieram ze sobą tylko poczciwego Wambę jako przewodnika, który może być to księdzem, to błaznem, jak zapragnę.

— A ja — rzekł Wamba — gotowym ci towarzyszyć. Chciałbym jeno zobaczyć stypę na pogrzebie Athelstana, bo jeżeli nie będzie nadmiaru

jadła i napitku, to on gotów z martwych powstać, by wylajać kuchtę, krajczego i piwniczego, a na to warto byłoby popatrzeć. Zastonię się też twym męstwem, panie rycerzu, gdy będę się miał tłumaczyć przed Cedrykiem, a mój własny dowcip mnie zawiedzie.

— Znasz drogę — odparł rycerz — nie będę się więc krzywił, gdy zechcesz mi ją urozmaicić. Żegnaj, Wilfrydzie, proszę, nie ruszaj się stąd przed jutrem.

Mówiąc to, Czarny Rycerz wyciągnął rękę do Wilfryda, który przycisnął ją do ust, pożegnał się z opatem, dosiadł konia i odjechał w towarzystwie Wamby. Ivanhoe patrzył za nimi, dopóki nie znikli mu z oczu w gąszczu pobliskiego lasu, po czym powrócił do klasztoru. Lecz wkrótce po rannym nabożeństwie zażądał widzenia się z opatem.

Starzec przyszedł natychmiast i z niepokojem począł dopytywać się o jego zdrowie.

— Czuję się lepiej — odparł Ivanhoe — niż mogłem oczekiwać; albo rana była lżejsza, niżli należało sądzić po upływie krwi, albo balsam uczynił cuda. Wydaje mi się, że mógłbym już przywdziać pancerz, a czuję się tym zdrowszy, że przyszła mi pewna myśl do głowy, która nie daje mi spokoju i nie pozwala pozostać bezczynnym.

— Niech Pan Bóg broni — zawołał opat — aby syn Cedryka Saksona opuścił nasz klasztor z nie zagojonymi ranami! Byłby to wstyd dla naszej sławy lekarskiej.

— Sam nie chciałbym opuścić waszych gościnnych progów, przewielebny ojcie — odrzekł Ivanhoe — gdybym nie czuł się na siłach,

by podjąć tę podróż, i gdybym nie był do niej zmuszony.

— A cóż tak nagle cię do tego skłoniło? — spytał opat.

— Czyś nigdy, świętobliwy ojcze — odparł rycerz — nie czuł nadchodzącego nieszczęścia, na próżno szukając przyczyny tej obawy? Czyż nigdy ci się nie zdawało, że na twoją duszę padł nagle taki mrok, jaki w dzień słoneczny rzuca na świat niespodziewana chmura zapowiadająca burzę? I czy nie sądzisz, że na takie przeczucia powinniśmy zwracać uwagę, gdyż są to ostrzeżenia naszych aniołów stróżów?

— Nie mogę zaprzeczyć — rzekł opat żegnając się — że takie rzeczy się zdarzają, i to z natchnienia boskiego. Ale zazwyczaj znaki owe mają jakiś pożyteczny cel. A co by z tego przyszło, gdybyś ty, ranny, udał się w jego ślady? Nie mógłbyś mu nawet pomóc, gdyby został napadnięty!

— Opacie — rzekł Ivanhoe — mylisz się. Jestem dość silny, by stanąć do walki na pięści z każdym, kto mnie wyzwie. Ale gdyby nawet było inaczej, czy nie mógłbym mu pomóc w inny sposób niż uciekając się do siły? Wiadomo aż nazbyt dobrze, że Saksończycy nie lubią Normandów, i kto wie, co może się stać, kiedy on zjawi się między nimi, teraz gdy żal z powodu śmierci Athelstana rozeźlił ich serca, a pijatyka uderzy im do głowy! Wydaje mi się, że obecność jego wśród nich w takiej chwili może być zgubna. Jestem więc gotów dzielić z nim niebezpieczeństwo lub obronić go przed nim i dlatego prosiłbym cię, przewielebny ojcze, o pożyczenie mi konia, który by niósł lżej od mego bojowego wierzchowca.

— *Naturalnie — odparł zacny mnich — dam ci moją własną, spokojną klacz, niech cię bezpiecznie niesie na grzbiecie jak kobyła opata z Saint Alban. I to jeszcze ci powiem o mojej Malkin, bo tak ją nazywam, że równie ostrożnie i spokojnie jak ona stąpa chyba tylko koń igrcy, co tańczy między jajcami. Siedząc na jej grzbiecie, ułożyłem niejedno kazanie ku zbudowaniu moich braci zakonnych i wielu biednych dusz chrześcijańskich.*

— *Proszę cię, przewielebny ojcze — rzekł Ivanhoe — każ natychmiast okulbaczyć tę Malkin, a Gurtowi poleć, by stawił się ze zbroją.*

— *Ależ, rycerzu! — zawołał opat. — Pamiętaj, że Malkin jest równie niezwykajna oręża jak jej pan i nie wiem, czy zniesie widok i ciężar całej twej zbroi! Zapewniam cię, że jest ona bardzo mądrym stworzeniem i nie zgodzi się nieść większego niż zwykle ciężaru.*

*Pożyczyłem od plebana z St. Bee Fructus Temporum**

**Fructus Temporum (łac.) — „Owoc czasu”; jest to tytuł średniowiecznej kroniki.*

i co powiesz: kobyła nie chciała ruszyć za bramę, dopóki nie zmieniłem ogromnej tej książki na mój brewiarz.

— *Możesz mi zaufać, świątobliwy ojcze — odrzekł Ivanhoe — że nie obciążę jej zbyt. Ale jeśli będzie chciała ze mną wojować, nie zdaje mi się, by mogła wziąć nade mną górę.*

Gdy to mówił, Gurt przypinał mu już do stóp parę ogromnych, złoconych ostróg, które przekonałyby najbardziej narowistego konia, że lepiej zgadzać się z wolą jeźdźca.

Wielkie, kolczaste kółka przy ostrogach, które zdobyły trzewiki rycerza, spowodowały, że opat zaczął żałować swej uprzejmości i rzekł:

— Przypomniałem sobie, prawy rycerzu, że Malkin nie znosi ostróg.

Może byś lepiej poczekał na szkapę naszego kanafarza z folwarku; za godzinę już by tu była, a na pewno jest spokojna, gdyż przywozi nam całą zimę drwa, nie dostając prawie wcale obroku.

— Dziękuję ci, przewielebny ojcze, ale skorzystam raczej z twej poprzedniej propozycji, bo widzę, że kobyła już stoi u bramy. Gurt powiezie moją zbroję, więc nie obawiaj się, nie obładuję jej zbyt, a ona nie będzie potrzebowała nadużywać mej cierpliwości. A teraz żegnajcie!

Ivanhoe zszedł po schodach, prędkiej i swobodniej, niżby się można spodziewać po jego ranie, i wskoczył na wierzchowca, chcąc umknąć przed zrządzeniem opata, który pośpieszył za nim tak szybko, jak mu na to pozwalały wiek i tusza, to wychwalając kobyłę, to przykazując rycerzowi, by ją oszczędzał.

— Jest ona w najniebezpieczniejszym wieku zarówno dla białek, jak dla klaczy — mówił starzec, sam się śmiejąc z własnego żartu — bo ma zaledwie piętnaście lat.

Ivanhoe, który miał ważniejsze sprawy na głowie niż rozważanie wraz z opatem chodów kobyły, udawał, że nie słyszy poważnych rad i wesołych żartów mnicha. Dosiadł konia i kazał swemu giermkowi (gdyż Gurt tak siebie teraz nazywał), by go nie odstępował ani na chwilę. Po czym wjechał w puszcę w ślad za Czarnym Rycerzem, pozostawiając

przy bramie klasztornej opata, który patrzył za nim i wołał:

— Najświętsza Panno! Jacyż ci rycerze są prędcy i ogniści! Iście, żal mi, żem mu zawierzył kobyłę, bo jak się jej coś złego przytrafi, co pocznę bez niej? Przecież pokręcony i chromy. Ale — dodał pomiarkowawszy się — jak ja sam, stary i kulawy, nie pożałowałbym fatygi dla kochanej Anglii, tak i moja kobyła niech się naraża w tej dobrej sprawie. Może zmiarkują, że nasz biedny klasztor zasłużył sobie na hojną nagrodę, i przyślą staremu opatowi dobrego stępaka. Ale jeśli by nawet nic z tego nie wyszło, bo często możni zapominają o przysługach oddanych im przez maluczkich, to i tak będę się uważał za sownie wynagrodzonego, wiedząc, iż uczyniłem to, co powinienem był uczynić. Ale oto i pora wezwać braci do refektarza na śniadanie. Baczę, że na takie wezwanie chętniej przybiegają niż na prymarię czy jutrznię.

I opat pokuśtykał z powrotem do refektarza, gdzie prezydował za stołem, na którym właśnie podano śniadanie braci składające się ze sztokfiszka i piwa. Zasapany i dostojny, zasiadł za stołem i w niejasnych słowach dał do zrozumienia, że dzięki oddanym przez niego ważnym usługom klasztor może się spodziewać wielkich korzyści, co w innych okolicznościach zwróciłoby ogólną uwagę. Ale sztokfisz był bardzo słony, piwo dosyć mocne, a szczęki braci tak zajęte gryzieniem, że już nie wysilali uszu; toteż nie zostało zapisane, by ktoś ze zgromadzonych zastanowił się nad tajemniczą wzmianką przełożonego, prócz ojca Diggory, któremu ból zęba pozwalał gryźć tylko jedną stroną szczęki.

Tymczasem Czarny Rycerz ze swym przewodnikiem jechali wolno przez

gęstwinę lasu; dobry rycerz to nucił sobie piosenkę o zakochanym rybalcie, to rzucał pytania, by pobudzić gadatliwość swego sługi, tak że ich rozmowa tworzyła zabawną mieszaninę piosenek i żartów, o której trudno dać czytelnikowi wyobrażenie. Natomiast możemy teraz przedstawić dokładniej rycerza, choć opisywaliśmy go już poprzednio. Był silny, wysoki, barczysty i grubokościsty, a dosiadał ogromnego, karego rumaka, jakby stworzonego do dźwigania takiego ciężaru, tak lekko pod nim stapał. Rycerz jechał z podniesioną przyłbicą hełmu, by móc lepiej oddychać, lecz dolna część szyszaka osłaniała go tak, że rysy twarzy zaledwie były widoczne. Nie były zakryte tylko jego opalone i rumiane policzki oraz wielkie, jasnobłękitne oczy, które rzucały blask w cieniu podniesionej przyłbicy. W ruchach i wyrazie twarzy rycerza malowała się beztroska wesołość i nieustraszona odwaga. Dusza jego nie znała lęku i gdy groziło mu niebezpieczeństwo, gotów był je natychmiast odeprzeć, myśl bowiem o nim nigdy go nie opuszczała, jak wszystkich tych, których rzemiosłem była wojna i przygody.

Wamba ubrany był jak zwykle w swe błazeńskie szaty, ale ostatnie wypadki skłoniły go do zastąpienia drewnianej szabli dobrym, ostrym mieczem i stosowną tarczą; podczas szturmowania zamku Torquilstone okazało się nawet, że umie dobrze tą bronią władać. Istotnie, słabość umysłowa Wamby zasadzała się tylko na podnieceniu i drażliwości, które nie pozwalały mu usiedzieć ani chwili spokojnie; bywały jednak momenty, w których miał umysł na tyle przytomny, że mógł doraźnie wykonać jakąś pracę i wszystko w lot zrozumieć. Jednakże siedząc na

koniu, huśtał się na nim to w tył, to naprzód, raz siedząc na łbie, to znów na zadzie wierzchowca. To spuszczał obie nogi na jedną stronę, to siadał twarzą do ogona; raz był osowiały, to znów wykrzywił się po małpiemu. Wreszcie wierzchowiec tak się przejął jego fochami, że zrzucił go po prostu na zieloną trawę; wypadek ten bardzo zabawił rycerza, ale zmusił Wambę do spokojniejszego zachowania.

W chwili gdy spotkaliśmy się w podróży z tą wesołą parą, śpiewali oni razem piosenkę trubadurów, a głos błazna dodawał słodczy bardziej uczonym pieniom rycerza z okowami w herbie.

RYCERZ

Wstań, Anno-Maryjko, o miła, już czas.

Wstań, Anno-Maryjko, na niebie już brzask,

Już mgła się rozwiewa, ptak nuci pieśń ranną,

O, zbudź się, kochanie, o, zbudź, Mario-Anno! Wstań, Anno-Maryjko, w okienko puk, puk,

Już w borze myśliwy dmie w złoty swój róg,

A echo powtarza mą prośbę poranną:

O, zbudź się, kochanie, o, zbudź, Mario-Anno!

WAMBA

Tybalcie, kochanie, a nie budź mnie, nie,

Jak słodko, Tybalcie, się marzy we śnie!

Bo cóż mi da dzionek, Tybalcie mój miły,

o cudach, co nocą tak słodko się śniły?

Niech ptaszki śpiewają, rozwiewa się mgła,

A w borze myśliwy na rogu niech gra!

O, słodkie mi oczy i usta się śniły,

Lecz nie myśl, że twoje, Tybalcie mój miły.

Po czym błazen zanucił nową pieśń, rodzaj sowizdrzalskiej śpiewki, na którą rycerz, podchwyciwszy melodię, odpowiedział w podobnym tonie.

RYCERZ i WAMBA

Trzej męże z trzech krain przybyli w tę stronę —

A wieść tę piosenka nam śle —

By wdowę z Wycombu uprosić na żonę,

A któraż odpowie im: nie?

A pierwszy — to rycerz z tyndalskiej był ziemi

— Tę wieść pioseneczka nam śle —

Co przodków miał sławnych czynami chrobremi,

Więc któraż odpowie mu: nie?

O ojcu jej prawił, o stryju, rodzinie —

Tę wieść pioseneczka nam śle —

A ona: idź, grzej się przy swoim kominie,

Bo taka to umie rzec; nie.!

WAMBA

Mąż drugi przed wdową też rodem się chwali

— A wieść tę piosenka nam śle —

Że szlachcic z pradziada, że rodził się w Walii,

Więc któraż odpowie mu; nie?

Że Morgan, Hugh, Griffth to jedno z nim ciało —

Tę wieść pioseneczka nam śle —

A ona: że jedna dla tylu to mało,

Więc raczej odpowie mu: nie.

A trzeci był chłopek, co rodził się w Kencie —

Tę wieść też piosenka nam śle —

I prawił o gruntach, dochodach i rencie —

Więc jakże powiedzieć mu: nie?

OBAJ

Tak obaj panowie dostali po głowie —

A wieść tę piosenka nam śle —

Bo gdy się chłop z rentą oświadczyć chce wdowie,

To żadna nie powie mu: nie.

*— Chciałbym — rzekł rycerz — by nasz gospodarz spod umówionego
dębu lub nasz rubaszny braciszek posłuchał tej piosenki o chłopku.*

*— Ja bym tego wcale nie pragnął — odparł Wamba. — Ważniejszy dla
mnie róg wiszący u pasa jegomości.*

*— Stanowi on rękojmię dobrych względem nas zamiarów Locksleya, ale
wolałbym nie korzystać z owego daru. Ponoć trzy „słowa”, wygrane na
tym rogu, w razie potrzeby sprowadzą nam na pomoc całą gromadę
mężnych wywołańców.*

*— Dodałbym: niech Bóg nas od tego obroni, gdyby podarek nie był też
rękojmią, że nas przepuszczą w spokoju.*

*— Dlaczego? — spytał rycerz. — Czy myślisz, że gdyby nie ten zastaw
przyjaźni, nie przepuściliby nas?*

— *Nie, nic podobnego nie powiedziałem — rzekł Wamba — bo zielone drzewa też mają uszy, jak miewają je ściany. Wolałbym jednak, aby mój tłumok był już w domu, a trzos w komorze, gdy spotkam tych poczciwców, bo oszczędziłoby to im kłopotu. Ale dla podróżnych — dodał zbliżywszy się do rycerza — istnieją jeszcze inne niebezpieczne spotkania niż z tymi opryszkami.*

— *A z kimże? Boć baczę, nie macie tu ani niedźwiedzi, ani wilków? — spytał rycerz.*

— *Mamy za to zbirów Malvoisina — odparł Wamba — i mniemam, że w czasie domowych zamieszek gorszą jest rzeczą spotkać dziesięciu takich zbrojnych niż w zwykłych czasach stado wilków. Teraz to dla nich żniwo, a posiłki im nadeszły w postaci wojaków, którzy się wymknęli z Torquilstoine; toteż jeśli się z taką bandą spotkamy, drogo możemy zapłacić za nasze wojenne czyny. Co byś uczynił, panie rycerzu, gdybyś napotkał dwóch takich rabusiów?*

— *Jeśliby chcieli wszcząć z nami zwadę, przygwożdżę ich tą włócznią do ziemi.*

— *Ale gdyby ich było czterech?*

— *To samo by ich spotkało — odparł rycerz.*

— *A jeśli sześciu? — ciągnął Wamba. — A nas jest tylko dwóch; czy nie pomyślałbyś o rogu Locksleya?*

— *Co? Zatrąbić o pomoc?! — zawołał rycerz. — Przeciw takiej hołocie, którą prawy rycerz pognałby przed sobą, jak wichher niesie suche liście?*

— *Pozwól mi więc — rzekł Wamba — obejrzeć z bliska ten róg o tak*

doniosłym głósie.

Rycerz odpiął róg od pasa i spełnił prośbę towarzysza, który natychmiast powiesił sobie na szyi podarek łuczника.

— Tra-lira-la — zagwizdał umówione nuty. — Ja także znam tę gamę.

— Co to ma znaczyć, hultaju?! — krzyknął rycerz. — Oddaj mi mój róg.

— Ciesz się, panie rycerzu, że jest w tak dobrych rękach.

— Łotrze! Za wiele sobie pozwalasz! — wybuchnął Czarny Rycerz. — Nie nadużywaj mej cierpliwości.

— Nic siłą ode mnie nie uzyskasz, panie rycerzu — rzekł błazen trzymając się z dala od rozgniewanego towarzysza — bo głupota weźmie nogi za pas, a męstwo będzie musiało samo szukać drogi w lesie. Ale kiedy róg jest w posiadaniu głupoty, niech męstwo przystanie i potrząśnie lwią grzywą, bowiem jeśli się nie mylę, w tamtych krzakach ktoś na nas czyha.

— Skąd wiesz? — zapytał rycerz.

— Parę razy wśród zielonych liści błysnęły mi helmy. Gdyby to byli uczciwi ludzie, wyszliby na ścieżkę. Ale te krzaki to odpowiednia kaplica dla wyznawców świętego Mikołaja.

— Iście, słusznie gadasz — odparł rycerz spuszcżając przyłbicę.

Uczył to w odpowiedniej chwili, gdyż w tym momencie z owego podejrzanego miejsca wypuszczono trzy strzały, celując w jego pierś i głowę; jedna ze strzał byłaby ją przeszyla, gdyby nie stalowa przyłbica.

Dwie inne odskoczyły od podbródka zbroi i od tarczy wiszącej na szyi.

— Dzięki, wierny giermku — rzekł rycerz. — Skończmy z nimi, Wambo!

I pocwałował wprost w gęstwinę. Wypadło z niej galopem sześciu czy siedmiu zbrojnych mierząc w niego kopiami. Trzy z nich, trafiwszy w zbroję Czarnego Rycerza, pękły natychmiast, jakby uderzyły o stalową wieżę. Nawet poprzez szparę w przyłbicy widać było, jak oczy rycerza ciskają błyskawice. Podniósł się w strzemionach z niewypowiedziana godnością i zawołał:

— Co to znaczy, panowie?

Zbrojni nic nie odpowiedzieli, tylko obnażywszy miecze obskoczyli go ze wszystkich stron, krzycząc:

— Śmierć tyranowi!

— Ha! Święty Edwardzie! Ha! Święty Jerzy! — wołał Czarny Rycerz, przy każdym wezwaniu obalając jednego przeciwnika. — Czyżby to była zdrada?

Napastnicy cofnęli się przed orężem, którego każdy cios zadawał śmierć, i zdawało się, że sam lęk przed siłą rycerza zapewni mu zwycięstwo, gdy nagle wojownik w błękitnej zbroi, który dotychczas ukrywał się za towarzyszami, rzucił się naprzód z wyciągniętą włócznią skierowaną nie w jeźdźca, lecz w wierzchowca, którego zranił śmiertelnie.

— To podły podstęp! — krzyknął Czarny Rycerz, gdy rumak padał na ziemię, pociągając go za sobą.

W tej chwili Wamba zadął w róg. Ostatnie wypadki nastąpiły tak szybko, że nie zdążył tego uczynić wcześniej. Niespodziewany dźwięk zmusił znów morderców do cofnięcia się i wtedy Wamba, choć słabo

uzbrojony, nie zawahał się rzucić na pomoc Czarnemu Rycerzowi.

— Wstyďte się, podli tchórze! — zawołał rycerz w błękitnym pancerzu, który zdawał się dowodzić napastnikami. — Uciekacie przed dźwiękiem rogu błazna!

Podnieceni tymi słowami, zbrojni zaatakowali znów Czarnego Rycerza, lecz napadnięty znalazł osłonę w dębie i oparłszy się o niego plecami, bronił się mieczem. Podstępny rycerz, który uzbroił się w inną włócznię, upatrzwszy chwilę, gdy jego potężny przeciwnik został zewsząd osaczony, puścił się na niego galopem, chcąc go przygwoździć do drzewa, ale zamiar ten udaremnił Wamba. Błazen, u którego ruchliwość zastępowała siłę, nie zwrócił na siebie uwagi zbrojnych, zajętych ważniejszym zadaniem; kręcił się na skraju pola bitwy i oto teraz udało mu się skutecznie przeszkodzić napaści Błękitnego Rycerza: uderzeniem miecza podciął pęciny jego wierzchowca. Koń wraz z jeźdźcem runął na ziemię, lecz niewiele to poprawiło ciężkie położenie Czarnego Rycerza otoczonego przez kilku zbirów uzbrojonych od stóp do głów. Zaczynał już odczuwać zmęczenie, musiał się bowiem gwałtownie bronić na wszystkie strony jednocześnie, gdy nagle strzała powaliła na ziemię jednego z najgroźniejszych napastników, a z zarośli wypadła gromada ludzi z Locksleyem i rubasznym pustelnikiem na czele; wmieszali się do walki i wkrótce większość łotrów leżała na ziemi martwa lub śmiertelnie ranna. Czarny Rycerz podziękował swym obrońcom z godnością, której przedtem nie okazywał; zachowanie jego do tej pory przystało bowiem raczej prostemu i śmiałemu żołnierzowi

niż osobie na wysokim stanowisku.

— Zanim wyrażę mą wdzięczność wiernym przyjaciółom — rzekł — pilno mi wykryć, jeżeli się da, kim są moi wrogowie, którym nie wyrządziłem żadnej krzywdy. Podnieś przyłbicę Błękitnego Rycerza, Wambo, zda mi się, że on był wodzem tych łotrów.

Błazen podszedł natychmiast do wodza morderców, który potłuczony i przygnięciony przez rannego konia, nie mógł ani uciekać, ani się bronić.

— Nuże, dzielny rycerzu — odezwał się do niego Wamba — muszę ci służyć za giermka, tak jak byłem już twym koniuszym. Najpierw zsadziłem cię z konia, a teraz zdejmę ci hełm.

Mówiąc to, niezbyt lekką ręką zdjął wojownikowi szyszak, który potoczywszy się daleko po trawie, ukazał rycerzowi z okowami w herbie siwiejące kędziory i twarz, jakiej się nie spodziewał ujrzeć w tych okolicznościach.

— Waldemar Fitzurse! — wykrzyknął zdumiony. — Co skłoniło ciebie, barona na takim stanowisku i o takich rzekomo zasługach, do wzięcia udziału w tym podłym przedsięwzięciu?

— Ryszardzie — odparł jeniec spoglądając w górę ku niemu — widno mało znasz ludzi, jeśli nie wiesz, do czego może doprowadzić synów Adama ambicja i chęć zemsty.

— Chęć zemsty? — zdumiał się Czarny Rycerz. — Przecie nigdy cię nie skrzywdziłem. Za co miałbyś się na mnie mścić?

— Pogardziłeś ręką mej córki, Ryszardzie. To obraza dla Normanda, którego ród nie jest gorszy od twego.

— *Twojej córki!* — powtórzył Czarny Rycerz. — *Oto powód do*

nienawiści i do rozlewu krwi! Odstąpcie, panowie, chcę z nim pomówić

w cztery oczy. A teraz, Waldemarze, powiedz mi prawdę: wyznaj mi,

kto cię namówił do tej zdrady?

— *Syn twego ojca* — odparł Waldemar. — *Chciał w ten sposób ukarać*

twoje nieposłuszeństwo względem rodzica.

Oczy Czarnego Rycerza błysnęły oburzeniem, lecz jego lepsze skłonności

wzięły górę. Przesunął dłonią po czole i przez chwilę wpatrywał się w

twarz upokorzonego barona, na której duma walczyła ze wstydem.

— *Nie prosisz o życie, Waldemarze?* — spytał król.

— *Kto się dostał w lwie pazury* — odparł Fitzurse — *ten wie, że próżne*

będą jego prośby.

— *Daruję ci je nie proszony* — rzekł Ryszard. — *Lew nie żywi się*

padliną. Żyj, ale pod warunkiem, że w przeciągu trzech dni opuścisz

Anglię i ukryjesz hańbę w twoim normandzkim zamku oraz że nigdy nie

wspomnisz imienia Jana Andegańskiego w związku z twoją zdradą.

Jeśli cię ktoś spotka w Anglii po terminie naznaczonym ci przeze mnie —

zginiesz; a jeśli piśniesz słowo, które mogłoby przynieść ujmę memu

rodowi, to — na świętego Jerzego! — nawet ołtarz cię nie obroni!

Powieszę cię na wieży twego własnego zamku, by cię rozdziobały kruki.

Locksleyu, podaj temu rycerzowi wierzchowca spośród tych, które twoi

łucznicy połapali, i niech jedzie w spokoju.

— *Gdybym nie musiał być powolny temu głosowi (iście, jego rozkazów*

nie można podawać w wątpliwość!) — rzekł łucznik — posłałbym za tym

podstępny łotrem strzałę, co by mu oszczędziła długiej podróży.

— W moich piersiach bije prawdziwie angielskie serce — rzekł Czarny Rycerz — i słusznie mniemasz, że musisz mnie słuchać: jestem bowiem Ryszardem, królem Anglii.

Na te słowa, wypowiedziane majestatycznym tonem, odpowiadającym wysokiemu stanowisku i niemniej wzniosłemu charakterowi Ryszarda Lwie Serce, łucznicy uklękli przed nim natychmiast, składając mu hołd i błagając o przebaczenie win.

— Wstańcie, przyjaciele — rzekł Ryszard, uprzejmie na nich spoglądając; na twarzy króla zwykła jego wesołość wzięła już górę nad przelotnym gniewem i zatarła ślady zmęczenia po niedawno stoczonych walce, pozostawiając tylko rumieniec wywołany ruchem. — Wstańcie — powtórzył. — Odkupiliście wasze przestępstwa, popełnione w lasach czy na polach, obroną mych pokrzywdzonych poddanych pod murami Torquilstone oraz pomocą, jakiej dziś udzieliliście waszemu władcy. Wstańcie, moi lennicy, i na przyszłość bądźcie mi wierni. A ty, dzielny Locksleyu...

— Nie nazywaj mnie, miłościwy panie, Locksleyem, ale imieniem, które, lękam się, zbyt wiele już nabrało rozgłosu, by nie dojść do twoich uszów. Jestem Robin Hood z lasu Sherwood.

— Królu opryszków i władco zacnych ludzi! — odparł król. — Któż by nie znał twego imienia? Sława jego dotarła aż do Palestyny. Bądź pewien, poczciwy chłopcze, że wszystkie wasze sprawy, których dopuściliście się pod naszą nieobecność, jako popełnione w

niespokojnych czasach, zostaną wam zapomniane.

— Prawdę mówi przysłowie — wtrącił Wamba, ale z mniejszą żywością niż zazwyczaj — „Kot do lasa, myszka hasa”.

— Ach, to ty, Wambo! — rzekł Ryszard. — Tak dawno nie słyszałem twojego głosu, że myślałem, iż uciekł.

— Ja? Uciec? — rzekł Wamba. — Kto to słyszał, by szaleństwu nie towarzyszyła odwaga? Tam oto leży ofiara mego miecza, ten poczciwy, siwy wałach. Iście, wolej, by znów stanął na nogach, byleby pan jego leżał dalej okulawiony. To prawda, że początkowo nieco ustąpił, gdyż kaftan nie osłania tak dobrze przed ostrzem włóczni jak stalowy pancerz. Ale jeśli nie walczył mieczem, to wasza miłość przyzna, że zatrąbił do ataku.

— I słusznieś uczynił, mój poczciwy Wambo — odparł król. — Twe zasługi nie będą ci zapomniane.

*— Confiteor! * Confiteor! —*/ Confiteor! (łac.) — przyznaję się/ zawołał nagle jakiś skruszony głos tuż obok króla. — Nie umiem więcej po łacinie, ale przyznaję się do zdrady i błagam o absolucję, zanim poprowadzą mnie na śmierć!*

Ryszard rozejrzał się dokoła i ujrzał wesołego pustelnika na kolanach, odmawiającego różaniec; obok niego na trawie leżała maczuga, która nie próżnowała w czasie potyczki. Przybrał postawę, która, jak mu się zdawało, najlepiej wyrażała głęboką skruchę, z oczami wzniesionymi do góry i z kącikami ust opuszczonymi wedle określenia Wamby, jak ściągnięty mieszek. Tej przesadnej jednak i wymuszonej skruszce

przeczył rozbawiony wyraz jego grubych rysów, który zdradzał obłudę zarówno udanego lęku, jak pokuty.

— Przecz jesteś taki smutny, szalony mnichu? — spytał go Ryszard. — Czy lękasz się, że twój biskup dowie się, jak służysz Najświętszej Pannie i świętemu Dunstanowi? Dalibóg! Nie bój się! Ryszard nie zdradzi tego, co się działo przy dzbanie.

— Nie, wasza miłość! — odparł pustelnik, który w późniejszych opowieściach o Robin Hoodzie występował jako brat Tuck. — Nie obawiam się ja pastorału, lecz berła! Biada mi! Świętokradczą pięścią zdzieliłem łeb pomazańca boskiego!

— Ha! — zawołał Ryszard. — W tym rzecz! Prawdę mówiąc, zapomniałem o tym, mimo iż przez cały następny dzień dzwoniło mi w uchu. Ale choć dobrze mnie zdzieliłeś, biorę tych zuchów na świadków, że odplaciłem ci się niezgorzej. Jeśli jednak uważasz, że coś ci się jeszcze należy, to gotów jestem dołożyć...

— Bynajmniej — odparł brat Tuck. — Wasza miłość oddał mi dług, i to z procentem. Oby zawsze tak swe długi spłacał!

— Gdybym zawsze mógł je spłacać pięściami — rzekł król — to moi wierzyciele nie narzekaliby na pusty skarb.

— Ale nie wiada — rzekł brat, znów powracając do swej przesadnej i obłudnej postawy — jaką mam odbyć pokutę za ten świętokradczy kuksaniec!

— Nie wspominaj już o tym, bracie — rzekł król. — Tyle wytrzymałem ciosów pogan i niewiernych, że niewiele znaczy dla mnie jeden

kuksaniec tak świątobliwego mnicha jak pustelnik z Copmanhurst.

Sądzę jednak, mój zacny bracie, że lepiej będzie i dla Kościoła, i dla ciebie samego, jeśli się postaram o zwolnienie cię ze ślubów zakonnych, abyś mógł służyć w mojej straży przybocznej tak wiernie, jak dawniej służyłeś przy ołtarzu świętego Dunstana.

— Najjaśniejszy panie — rzekł pustelnik — przepraszam cię pokornie, lecz proszę, poniechaj mnie tam, gdzieś mnie znalazł. A jeśli chcesz mi okazać swą łaskę, zwól, niech dalej uważany będę za biednego pustelnika z celi świętego Dunstana w Copmanhurst: przyjmie on każdy dar z wielką wdzięcznością.

— Iście, rozumiem cię — rzekł król — i świątobliwy mnich będzie miał zapewnione polowanie w lesie Warncliff. Zważ, że przeznaczam ci po trzy jelenie na każdą porę roku; ale — jakem chrześcijański, prawdziwy król — będę patrzył przez palce, jeśli zabijesz ich trzydzieści.

— Wasza miłość może być pewny — rzekł braciszek — że z pomocą świętego Dunstana uda mi się pomnożyć jego wspaniałomyślny dar.

— Nie wątpię, zacny bracie — odparł król — ale że zwierzyna jest suchą spyżą, wydamy rozkaz naszemu piwniczemu, by posyłał ci kufę wina, baryłkę małmazji i trzy beczki przedniego piwa rocznie. Jeślić to nie wystarczy dla ugaszenia pragnienia, przyjdź na dwór i zapoznaj się z moim piwnicznym.

— A dla świętego Dunstana? — spytał brat.

— Ornat, stulę i obrus na ołtarz — powiedział król żegnając się.

— Ale dosyć już tych żartów! Bóg mógłby nas pokarać, że więcej

myślimy o naszych szaleństwach niżli o Jego czci i chwale.

— Ja odpowiadam za mego patrona — odparł wesolo mnich.

— Odpowiadaj za siebie, bracie — rzekł król Ryszard z pewną

surowością lecz zaraz wyciągnął do pustelnika rękę, a ten, nieco

zmieszany zgiął przed nim kolano w pokłonie. — Mniej uczciłeś moją

wyciągniętą do ciebie dłoń niż moją ściśniętą pięść — dodał monarcha

— boś przed dłonią ukląkł tylko, a przed pięścią pokajałeś się.

Brat obawiając się może obrazić władcę, gdyby dalej prowadził

rozmowę w równie żartobliwym tonie (przed takim fałszywym krokiem

ostrzegamy przede wszystkim tych, którzy mają sposobność rozmawiać

z królami), pokłonił się nisko i wycofał ku tyłowi. W tej samej chwili na

scenie ukazały się dwie nowe postacie.

XL

Cześć wam, panowie, co na dworskiej niwie

Żyjecie dumniej — lecz nie tak szczęśliwie!

Po trudach, mazołach

Prosimy do stoła,

Pod lasu zielone igliwie.

G. MACDONALD

Nowo przybyłymi osobami był Wilfryd Ivanhoe na szkapie opata z

klasztoru Św. Botolfa oraz Gurt jadący na bojowym rumaku swego

pana. Zdumienie Wilfryda nie miało granic, gdy ujrzał króla

zbroczonego krwią i sześciu lub siedmiu zabitych, leżących na małej

polance, na której rozegrała się potyczka. Niemniej był zdziwiony, że

otacza Ryszarda dziwna kompania, wyglądająca na bandę leśnych rozbójników. Było to dla króla raczej niebezpieczne otoczenie. Ivanhoe zawahał się, czy ma się odezwać do swego władcy jako do Czarnego Rycerza, czy też inaczej. Ryszard zauważył jego zakłopotanie.

— Nie lękaj się, Wilfrydzie — rzekł — zwracać się do mnie jako do Ryszarda Plantageneta, gdy jestem otoczony przez szczerych Anglików, choć może czasem poniosła ich na bezdroża gorąca krew.

— Sir Wilfrydzie z Ivanhoe — rzekł dzielny łucznik występując naprzód

— wobec słów naszego monarchy nie potrzebuję dodawać żadnych obietnic wierności. Zwólże mi jednak powiedzieć ci z dumą, że ze wszystkich jego poddanych, co tyle wycierpieli, nie ma on od nas wierniejszych.

— Nie wątpię, zacny mój człeku — odparł Wilfryd — gdy ty do nich się zaliczasz. Lecz co znaczą te ślady niebezpieczeństwa i śmierci, ci pomordowani ludzie i zakrwawiona zbroja mego pana?

— Zdrada nas zaskoczyła — rzekł król — lecz dzięki tym dzielnym sprzymierzeńcom spotkała ją zasłużona zapłata. Ale przypomniałem sobie, żeś ty także jest zdrajcą — dodał Ryszard uśmiechając się. — I to najnieposłuszniejszym ze zdrajców! Bo czyż nie nakazaliśmy ci wyraźnie, że masz odpoczywać w klasztorze Świętego Botolfa, dopóki twa rana się nie zagoi?

— Już się zgoiła — odparł Ivanhoe. — Nie zostawiła większego śladu jak zadrapanie szpilką. Lecz czemu, szlachetny panie, wystawiasz na taką próbę serca wiernych sług, narażając twe życie w samotnych podróżach

i niebezpiecznych przygodach, jak gdyby nie miało ono większej wartości niż życie jakiegoś błędnego rycerza, który nie posiada nic prócz tego, co zdobył włócznią i mieczem?

— Ryszard Plantagenet — rzekł król — także pragnie zdobyć sobie sławę jedynie włócznią i mieczem. I dumniejszy jest, gdy odniesie zwycięstwo sam jeden swym dobrym mieczem i sprawnym ramieniem, niż gdy prowadzi do boju stutysięczny hufiec.

— Lecz twemu królestwu, miłościwy panie — rzekł Ivanhoe — zagraża rozprężenie i wojna domowa. Wszelkie możliwe klęski grozić będą twym poddanym, jeśli utracą monarchę. Tobie zaś przygody sprawiają największą przyjemność, a dziś z jednej z nich ledwieś uszedł z życiem.

— Ho! ho! I królestwo, i moi poddani! — zawołał niecierpliwie Ryszard.

— Ręczę ci, Wilfrydzie, że nawet najlepsi spośród nich gotowi są odplacić za moje szaleństwa tą samą monetą. Na przykład mój najwierniejszy sługa Wilfryd z Ivanhoe nie usłuchał mych rozkazów i w dodatku palnął mi kazanie, że nie trzymałem się ściśle jego rad. Który z nas ma prawo robić drugiemu wyrzuty? Lecz przebacz mi, mój wiemy przyjacielu! Czas, który spędziłem i który jeszcze spędzę w ukryciu, jak ci to mówiłem w klasztorze Świętego Botolfa, potrzebny był mej wiernej szlachcie do zgromadzenia sił, bym w chwili gdy oznajmię o moim powrocie, znalazł się na czele potęgi, na jaką moi wrogowie nie śmieliby napaść; pomoże to królowi zdusić zdradę, uknutą przez nich, nie wyciągnąwszy nawet miecza z pochwy. Estoteville i Bohun jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny nie będą mogli ruszyć na York. Muszę mieć

wiadomości z południa od Salisbury'ego, z hrabstwa Warwick od Beauchampa i z północy od Multona i Percy'ego. Kanclerz musi sobie zabezpieczyć Miasto Londyn. Gdybym się za wcześnie pokazał, naraziłbym się na groźne niebezpieczeństwo, przed którym nie obroniłaby mnie ani moja włócznia, ani mój miecz, choćby mnie wspierał łuk dzielnego Robina czy maczuga brata Tucka oraz róg mądrego Wamby.

Wilfryd skłonił się pokornie, dobrze wiedząc, że na próżno walczyłby z szaleńczą, rycerską odwagą Ryszarda, która nieraz bez potrzeby narażała króla na niebezpieczeństwo, co było z jego strony lekkomyślnością nie do wybaczenia. Młody rycerz westchnął więc i zamilkł, a Ryszard — zadowolony, że zmusił do milczenia swego doradcę, choć w głębi serca przyznawał słuszność jego zarzutom — zwrócił się do Robin Hooda.

— Królu zbójców — rzekł — czy niczym nie poczęstujesz swego kolegi i monarchy? Gdy mnie napadły te zbiry, byłem już zmęczony i głodny.

— Po prawdzie, najjaśniejszy panie — odparł zbójca — przykro byłoby mi łgać; w naszej spiżarni jest ino... Tu zatrzymał się zakłopotany.

— Zwierzyna zapewne? — rzucił wesoło Ryszard. — Lepsze to niż nic.

Kiedy król nie siedzi w domu i nie poluje sam na własną zwierzynę, wydaje mi się, że nie powinien robić głośnych wyrzutów, gdy mu ją ktoś dostarczy upolowaną.

— Jeśli więc najjaśniejszy pan zechce znów zrobić nam zaszczyt — rzekł Robin — i odwiedzić jedną z naszych kryjówek, nie zabraknie tam

dziczyzny, dzbana piwa, a może nawet i kielicha niezgorszego wina do popicia.

Zbójcy poprowadzili swego dziarskiego króla, który zapewne bardziej był zadowolony ze spotkania z Robin Hoodem i jego leśnymi ludźmi, niż gdyby znów, objąwszy tron, przewodniczył wspaniałemu zebraniu parów i szlachty. Ryszard Lwie Serce najbardziej cenił w życiu częstą zmianę otoczenia i przygody, szczególnie gdy było to okraszone przewycięzonym niebezpieczeństwem.

Pod ogromnym dębem szybko przygotowano posiłek dla króla Anglii, otoczonego przez wyjętych spod prawa buntowników, którzy tworzyli teraz jego dwór i straż. W miarę jak spełniali coraz liczniejsze puchary, prości ci ludzie wyzbywali się lęku przed majestatem królewskim.

Spierano się i żartowano, opowiadano sobie o dawnych przewagach. A gdy się chwalili, jak z powodzeniem omijali prawo, żaden nie pamiętał, że słucha tego najwyższy strażnik tych praw. Wesoły król — nie bacząc ani na swój majestat, ani na otaczające go towarzystwo — śmiał się, pił i żartował wśród rubasznej gromady. Robin Hood jednak, kierując się wrodzonym, zdrowym rozsądkiem, pragnął, by uczta się skończyła, zanim nastąpi coś, co mogłoby zepsuć jej harmonię, szczególnie że zauważył chmurę niepokoju na czole Wilfryda z Ivanhoe.

— Bardzo jesteście zaszczyceni — rzekł z cicha do młodego rycerza — obecnością wśród nas naszego dzielnego króla, lepiej by wszakże było, aby nie tracił tu czasu tak cennego dla królestwa.

— Słusznie i mądrze gadasz, zacny Robinie — odparł Wilfryd.

— *Poza tym bacz, że zabawiać się z jego królewską mością nawet gdy jest najweselszy, to tak jakby się igrało z lwiatkiem, co z lekka nawet podrażnione, drapie i gryzie.*

— *Tego się właśnie lękam — odparł wódz opryszków. — Moi ludzie są nieokrzesani, a król — popędliwy, nawet gdy jest w dobrym usposobieniu; nigdy nie da się przewidzieć, co może być powodem obrazy i jaka może nastąpić zwada. Czas przerwać tę hulankę.*

— *Musisz się tym zająć, dzielny łuczniku — rzekł Ivanhoe — gdyż wszystkie moje usiłowania przerwania zabawy pobudzają tylko króla do jej przeciągania.*

— *Przecż tak rychło mam się narazić na niełaskę mego monarchy? — zapytał Robin Hood. — Ale, na świętego Krzysztofa — zawołał po chwili — niech tak będzie! Nie zasłużyłbym na jego łaskę, gdybym nie zaryzykował jej utraty dla jego dobra. Hej, Scathlock, ukryj się w tamtych krzakach i zadmij na rogu normandzkie hasło, ale, przebóg, nie zwlekaj!*

Scathlock posłuchał rozkazu wodza i nie minęło nawet pięć minut, gdy biesiadujących zaalarmował dźwięk jego rogu.

— *To granie Malvoisina! — krzyknął Młynarz zrywając się na równe nogi i chwytając za łuk. Pustelnik odstawił dzban i ścisnął w ręce maczugę. Wamba zatrzymał się w połowie żartu i rzucił się do miecza i tarczy. Reszta też chwyciła za broń.*

Ludzie żyjący tak jak oni, w ciągłej niepewności, bez trudu przerzucają się z uczyty do bitwy, a Ryszarda ta zmiana właśnie bawiła. Zawołał, by

mu podano szyszak i te niewygodne części zbroi, które odłożył na bok.

Podczas gdy Gurt mu je wkładał, przykazywał Wilfrydowi, grożąc mu swym niezadowoleniem, by nie brał udziału w potyczce, która, jak przypuszczał, niebawem rozgorzeje.

— Setki razy widziałem, jak walczyłeś w mej obronie, Wilfrydzie. Dziś będziesz się patrzył, jak Ryszard staje za swego przyjaciela i lennika. Tymczasem Robin Hood rozesłał kilku swych towarzyszy w różnych kierunkach, niby to na zwiady, a gdy gromada się rozproszyła, podszedł do Ryszarda, ubranego już całkowicie w zbroję, i klękając prosił go o przebaczenie.

— Za co, zacny łuczniku? — spytał Ryszard, nieco zniecierpliwiony. — Czyś już nie uzyskał mego przebaczenia za wszystkie dotychczasowe wykroczenia? Czy sądzisz, że moje słowo jest jak puch, który wiatr unosi między nami? Nie mogłeś popełnić żadnego przestępstwa od tamtej pory.

— Niestety, popełniłem przestępstwo — odparł łucznik — jeśli jest wykroczeniem wyprowadzenie w pole swego władcy dla jego dobra. Róg, jaki słyszeliśmy, to nie był róg Malvoisina; kazałem zatrąbić, by przerwać ucztę. Przeciągała się ona zbyt długo, a każda chwila jest droga. Rzekłszy to, łucznik wstał z kolan, skrzyżował ramiona na piersi i raczej z szacunkiem niż z pokorą oczekiwał na odpowiedź króla, świadomy, że może go obraził, lecz pewien słuszności swego postępowania. Ryszard poczerwieniał z oburzenia, lecz był to gniew przelotny, nad którym natychmiast wzięło górę poczucie sprawiedliwości.

— *Król Sherwoodu* — rzekł — *pożałował zwierzyny i dzbana wina*

królowi Anglii! Dobrze, mój dzielny Robinie, ale gdy przyjedziesz mnie odwiedzić w wesołym Londynie, obiecuję, że ja nie będę taki skąpy.

Masz jednak słuszność, poczciwy chłopcze! Wsiadajmy na koń i jazda!

Wilfryd już od godziny się niecierpliwi. Powiedz mi, mój zuchu, czy

masz w swej bandzie takiego przyjaciela, któremu nie wystarcza, że ci

doradza, ale który chce jeszcze kierować twym postępowaniem i

okazuje swe niezadowolenie, gdy chcesz działać po swojemu?

— *Takim jest mój pomocnik, Mały John* — odparł Robin. — *Udał się on*

teraz na wyprawę nad granicę Szkocji. Przyznam się najjaśniejszemu

panu, że czasem złości mnie jego poufalskość; ale gdy się nad tym

zastanowię, nie mogę się długo gniewać na towarzysza, którego

gorliwość ma na celu dobro dowódcy.

— *Masz słuszność, dobry łuczniku* — odparł Ryszard — *ale gdybym z*

jednej strony miał Wilfryda, który by mi dawał dobre rady z powagą

na twarzy, a z drugiej strony ciebie, który dla mojego dobra

wyprowadzasz mnie w pole, byłbym pozbawiony własnej woli jak

wszyscy chrześcijańscy i pogańscy monarchowie. Ale teraz, panowie,

ruszajmy do Coningsburgha i nie myślmy już o tym.

Robin Hood zapewnił, że wysłał mały oddziałek drogą, jaką rycerze

zamierzali jechać, który miał ich zawiadomić o każdej ukrytej zasadzce.

Nie wątpił więc, że podróż będzie spokojna, bo gdyby groziło jakieś

niebezpieczeństwo, jeźdźcy, uprzedzeni w porę, mogli się cofnąć aż do

silnego hufca łuczników, któremu nakazał jechać za nimi.

Ta mądra troskliwość o jego bezpieczeństwo wzruszyła Ryszarda i usunęła najlżejszy nawet cień obrazy, jaką mógł odczuć z powodu podstępu wodza rozbójników. Podał raz jeszcze dłoń Robinowi, zapewnił go o swym przebaczeniu i łasce na przyszłość oraz o swym postanowieniu ograniczenia okrutnych praw leśnych oraz innych, tak uciążliwych, że zmusiły wielu Anglików do buntu. Dobre zamiary Ryszarda względem dumnych wywołańców nie zostały jednak spełnione: przeszkodziła temu jego przedwczesna śmierć, a na słabym królu Janie wymuszono Kartę Leśną, gdy odziedziczył tron po bracie. Dalszy ciąg dziejów Robin Hooda oraz jego śmierci na skutek zdrady znaleźć można w drukowanych gotyckimi literami zbiorkach ballad, kiedyś rozprzedawanych po pół pensa, a teraz skupywanych na wagę złota.

Wywołańcy mieli słuszość przewidując bezpieczną drogę i król w towarzystwie Wilfryda, Gurta i Wamby przybył bez przygód do zamku Coningsburgh, zanim słońce zaszło.

Mało jest w Anglii równie niezwykłych i pięknych krajobrazów jak widok tej starej saksońskiej twierdzy. Cicha i spokojnie płynąca rzeka Don wije się poprzez dolinę, gdzie ciągną się na zmianę bogate pola i lasy, a na jednym ze wzgórz, wznoszących się nad rzeką, stoi starożytna budowla otoczona murami i fosami; przed podbojem normandzkim była to rezydencja królów Anglii, jak to sama nazwa wskazuje.

Zewnętrzny mur został prawdopodobnie dobudowany przez Normandów, ale wewnętrzny robi wrażenie budowli sprzed wieków.

Ciągnie się on górą wału od rogu wewnętrznego podwórca, tworząc zamknięty krąg o średnicy około dwudziestu pięciu stóp. Mur ten jest niebywalej grubości, a podtrzymuje go sześć ogromnych zewnętrznych skarp wysuniętych poza okrąg; mur otacza stołp, jakby go wzmacniając i podpierając. Te ciężkie skarpy od fundamentów aż do dość dużej wysokości są masywne i dopiero ku szczytowi stają się ażurowe, kończąc się rodzajem wieżyczki mającej połączenie z samym stołpem. Z daleka ten ogromny budynek ze swymi dziwacznymi dobudówkami przyciąga miłośników malowniczych widoków, podczas gdy wewnątrz zamku zaciekawia gorliwych znawców starożytności, których wyobraźnia unosi w czasy Heptarchii. W pobliżu kasztelu widnieje kopiec, który ma być mogiłą sławnego Hengista, a na sąsiednim cmentarzu jest wiele grobowców, bardzo dawnych i ciekawych.

Gdy Lwie Serce ze swym orszakiem zbliżał się do tej prostej, lecz imponującej budowli, nie była ona jeszcze, tak jak obecnie, otoczona zewnętrznymi fortyfikacjami. Saksoński budowniczy całą swą sztukę wysilił na obronność głównego stołpu, nie otoczonego żadnymi wałami, tylko prostym częstokołem.

Ogromna, czarna chorągiew, powiewająca ze szczytu wieży, świadczyła, że obrzędy pogrzebowe ostatniego pana zamku jeszcze się odbywają. Nie było na niej żadnego godła oznaczającego ród zmarłego, bowiem herby były wówczas nowością nawet wśród normandzkiego rycerstwa, a zupełnie nie znali ich Saksończycy. Natomiast nad bramą zwisała inna chorągiew, na której w nieudolny sposób wymalowano

białego konia, określając tym dobrze znanym symbolem Hengista i saksońskich wojów narodowość i wysoką godność zmarłego.

Dokoła zamku panował ogromny ruch, gdyż stypy były okazją do roztaczania nieograniczonej i hojnej gościnności, z której mogli korzystać nie tylko bliżsi i dalsi krewni i powinowaci nieboszczyka; na ucztę zapraszano każdego przechodnia. Wobec wielkiej zamożności i wysokiego stanowiska Athelstana zwyczaj ten był dziś zachowany w całej rozciągłości.

Widać więc było, jak liczne grupy wchodziły i schodzą ze wzgórza, na którym stał zamek, a gdy król ze swym orszakiem wjechał za otwarte i nie strzeżone wrota w zewnętrznym częstokole, uderzył go widok dziwnie nie licujący z przyczyną tego zgromadzenia. Tu kucharze zajęci byli pieczeniem ogromnych wołów i tłustych baranów; ówdzie z odszypuntowanych beczek wszyscy mogli bez ograniczenia spijać piwo. Gromady ludzi różnego stanu objadały się i popijały korzystając z gościnności. Nagi niewolnik saksoński zapominał w tym dniu obżarstwa i opilstwa o głodzie i pragnieniu, jakie cierpiał przez połowę roku. Bardziej syci mieszczanie i towarzysze cechowi zajadali z apetytem lub rozprawiali o ilości słodu w piwie i umiejętnościach piwowara. Było też kilku uboższych Normandów odbijających od reszty wygolonymi twarzami i krótkimi szatami, a także tym, że trzymali się razem i spoglądali z pogardą na całą uroczystość, nawet gdy raczyli kosztować smacznego jada, którego była tu taka obfitość.

Naturalnie żebraków kręciło się mnóstwo, a także żołnierzy-tulaczy,

powracających z Palestyny (tak przynajmniej sami opowiadali); kramarze porozkładali swe towary, wędrowni wyrobnicy dopytywali się o pracę, a pielgrzymi, zbiegli mnisi, saksońscy minstrele i walijscy bardowie mruzcili modlitwy, brzdąkając fałszywie dumki na harfach, gęślach i lirach. Jeden wychwalał Athelstana w płaczliwym panegiryku, inny w saksońskim genealogicznym poemacie wymieniał dziwaczne, o chropawym brzmieniu imiona szlachetnych jego przodków. Nie brakło też igrców i żonglerów, a nikt nie uważał za nieprzystojne czy niestosowne ich pokazy podczas uroczystości pogrzebowej. Bowiem poglądy Saksończyków na te sprawy były równie naturalne, jak prymitywne. Jeśli żal wywoływał pragnienie, trzeba go było ugasić, jeśli wywoływał głód — podawano jadło; jeśli przygniatał i zasmucał — można się było uśmieć lub przynajmniej zabawić. Toteż obecni nie pogardzali tą pociechą, choć od czasu do czasu, jak gdyby przypomniawszy sobie powód, dla którego tu się zebrali, mężczyźni zaczynali wszyscy razem jęczeć, a kobiety, licznie też zgromadzone — głośnym lamentem oplakiwały nieszczęście.

Taki obraz roztoczył się przed Ryszardem i jego orszakiem, gdy wjechali na podwórzec w Coningsburghu. Seneszał, czyli ochmistrz, nie raczył zwracać uwagi na bez ustanku wchodzących i wychodzących gości niższego stanu, chyba tylko po to, by utrzymać wśród nich porządek; tym bardziej uderzyła go powierzchowność króla i Ivanhoe, szczególnie, że rysy tego ostatniego wydały mu się znajome. Poza tym przybycie dwóch rycerzy, których zdradzał normandzki strój, było

niezwykłym wydarzeniem na saksońskiej uroczystości; potraktowano je jako zaszczyt dla nieboszczyka i jego rodziny. Seneszał w żałobnym stroju, dzierżąc w ręku białą laskę, odznakę swego urzędu, przepchnął się przez różnorodny tłum gości i przeprowadził Ryszarda wraz z Wilfrydem do wejścia. Gurt i Wamba natomiast wkrótce na podwórku znaleźli znajomych i nie usiłowali przedostać się dalej, czekając, aż zostaną wezwani.

XLI

A gdy ciało Marcella zawijały w całun,
Słyszałem wokół groźne, uroczyste tony
Pośród żalosnych pieśni, pośród łez, elegii,
Iście na podobieństwo skarg żałobnych płaczek,
Które w ten sposób przepędzają noc...

Stara Tragedia

Niezwyčajne jest wejście do największej wieżycy kasztelu w Coningsburghu, a surowa prostota tej budowli tłumaczy się pradawnym jej pochodzeniem. Schody, spadziste i wąskie, nieomal prostopadle prowadzą do niskiego portalu w południowej ścianie wieży, a odważny miłośnik starożytności może, czy też mógł jeszcze parę lat temu, wejść tędy do ciasnej klatki schodowej umieszczonej w głównym murze stołpu i prowadzącej na trzecie piętro budynku. Bowiem dwa niższe piętra są to sklepione ciemnice; powietrze i światło dochodzi tam jedynie przez otwór na trzecim piętrze, do którego można się dostać po drabinie. Do górnych komnat stołpu, mającego cztery

piętra, można wejść po schodach umieszczonych w zewnętrznych skarpach.

Tym trudnym i skomplikowanym wejściem poprowadzono dobrego króla Ryszarda wraz z jego wiernym lennikiem do kolistej izby, która zajmowała całe trzecie piętro. Wilfryd podczas uciążliwego wejścia zasłonił sobie twarz płaszczem, postanowiono bowiem, że młodzieniec nie pokaże się ojcu, dopóki król nie da mu umówionego znaku.

W komnacie dokoła długiego dębowego stołu zgromadziło się ze dwunastu najznakomitszych mężów z saksońskich rodów osiadłych w sąsiednich hrabstwach. Byli to starcy lub co najmniej ludzie dojrzały, gdyż cała młodzież, ku wielkiemu niezadowoleniu starszych, podobnie jak Ivanhoe przelamała bariery od pół wieku dzielące normandzkich zwycięzców od podbitych Saksończyków. przygnębione i smutne twarze tych czcigodnych mężów, ich milczenie i posępny wygląd jaskrawo odbijały od beztroskiej hulanki odbywającej się na zewnątrz zamku. Ich siwe kędziory i długie brody, staroświeckie tuniki i czarne, luźne płaszcze harmonizowały z niezwykłym, surowym wyglądem izby, w której starcy ci zasiadali, niby zgromadzenie czcicieli Wotana, zmartwychwstałych, by oplakiwać upadek swego narodu.

*Cedryk, choć nie zajmował pierwszego miejsca wśród swych rodaków, zdawał się jednak za wspólną zgodą przewodniczyć zgromadzeniu. Na widok Ryszarda (którego znał tylko jako dzielnego rycerza z okowami na tarczy) wstał z powagą i powitał go zwykłym saksońskim pozdrowieniem: *Waes hael!* podniósłszy puchar na wysokość czoła.*

Król, znając obyczaje swych angielskich poddanych, odpowiedział na powitanie tradycyjnymi słowy: Drink hael! i wypił wino z puchara, który mu podał podczaszy. Wilfryda przyjęto z tym samym ceremoniałem; młody rycerz w milczeniu wypił zdrowie ojca, skłoniwszy tylko głowę zamiast zwykłej odpowiedzi, by nie zdradzić się głosem.

Po tym ceremonialnym powitaniu Cedryk wstał i podawszy ramię Ryszardowi poprowadził go do małej i bardzo skromnej kapliczki, mieszczącej się w jednej z zewnętrznych skarp. Nie było w niej otworów okiennych, prócz bardzo wąskiej strzelnicy, i gdyby nie dwie dymiące pochodnie, rzucające czerwony blask na sklepienie i gołe ściany, prosty, kamienny ołtarz i takież krucyfiks, panowałyby w niej zupełne ciemności.

Przed ołtarzem ustawiono katafalk, a z każdej jego strony klęczało trzech zakonników odmawiając różaniec i szepcząc modlitwy z oznakami wielkiej pobożności, za modły te bowiem matka zmarłego hojnie obdarzyła klasztor Świętego Edmunda. W dowód wdzięczności wszyscy bracia z wyjątkiem kulawego zakrystiana przenieśli się do Coningsburgha, ale podczas gdy sześciu czuwało odprawiając modły przy trumnie Athelstana, reszta nie omieszkała wziąć udziału w ucztach i zabawach odbywających się na zamku. Podczas tego czuwania dobrzy ojcowie starali się ani na chwilę nie przerywać swych modłów, by Zerneck, dawny saksoński szatan, nie porwał w swe szpony nieboszczyka. Pilnowali również, by żaden świecki nie dotknął całunu,

użytego ongiś przy pogrzebie świętego Edmunda, ponieważ bezbożne ręce mogłyby go zbezczęścić. Gdyby nawet te starania braci miały się na nic nie zdać zmarłemu, w każdym razie miał on prawo wymagać tego od nich, bo oprócz stu złotych grzywien, jakie matka Athelstana wypłaciła na intencję syna, obiecała jeszcze zapisać klasztorowi większą część jego ziemi, by odprawiano nieustanne modły za jego duszę oraz za duszę zmarłego jej małżonka.

Ryszard i Wilfryd udali się za Cedrykiem do kaplicy pogrzebowej, a gdy ich przewodnik wskazał im na leżącego na marach przedwcześnie zmarłego Athelstana, poszli za jego przykładem, pobożnie się żegnając i szepcząc modlitwy za duszę nieboszczyka.

Po spełnieniu tego obowiązku miłosierdzia Cedryk skinął na nich; krocząc bez szelestu po kamiennej podłodze, wstąpili po kilku stopniach i otworzyli ostrożnie drzwi do jeszcze mniejszej kapliczki przylegającej do poprzedniej. Miała ona zaledwie osiem stóp kwadratowych i tak jak większa kaplica mieściła się w grubości murów. Otwór strzelnicy, który ją oświetlał, skierowany był na zachód i rozszerzał się znacznie od wewnątrz. Promień zachodzącego słońca utorował sobie drogę do tego ciemnego pomieszczenia i oświetlił kobiecą postać o dostojnym wyglądzie, noszącym jeszcze ślady majestatycznej urody. Jej długie, żałobne szaty i spływający na nie czarny kwef podnosiły jeszcze bladość jej lic i pięknych, jasnych, rozpuszczonych kos, których czas ani nie przerzedził, ani nie posrebrzył siwizną. Na twarzy jej malował się głęboki smutek i poddanie się losowi. Na kamiennym stole stał przed

nią krucyfiks z kości słoniowej; obok niego leżał mszał o bogato iluminowanych kartach, ozdobionych złotymi klamrami i nabijany gwoździami z tego samego metalu.

— Szlachetna Edyto — rzekł Cedryk postawszy chwilę w milczeniu, jakby chciał, by Ryszard i Wilfryd przyjrzeni się do woli pani tego domu

— oto dostojni goście, przybyli, by dzielić z tobą twój smutek. Ten dzielny rycerz walczył mężnie o uwolnienie Athelstana, dziś przez nas opłakiwanego.

— Dzięki mu składam — odparła niewiasta — choć z woli niebios wysiłki jego poszły na marne. Dzięki mu też składam za jego i jego towarzysza uprzejmość, która ich tu przywiodła dla podtrzymania na duchu wdowy po Adelingu, matki Athelstana, w godzinie jej strapienia i żalu.

Oddaję ich pod twoją opiekę, dobry mój krewniaku, i nie wątpię, że zadowoli ich gościnność, jakiej mogą im udzielić te żalosne mury.

Goście skłonili się głęboko przed dostojną matroną, pogrążoną w tak ciężkiej żalobie, i wyszli ze swym gościnnym przewodnikiem.

Inne kręcone schody zaprowadziły ich do komnaty tej samej wielkości, co ta, do której najpierw weszli, znajdującej się o piętro wyżej. Zanim otworzyli drzwi komnaty, doszła ich stamtąd powolna i smutna pieśń.

Wszedłszy do środka, znaleźli się w obecności około dwudziestu matron i panien z najpierwszych rodów saksońskich. Cztery dziewice z Roweną na czele śpiewały chórem pienia żałobne za duszę zmarłego, z których możemy przytoczyć tylko parę strofek.

I z prochu w pył,

Bo prochem był,

Duch zbywszy ziemskiej szaty,

Cielesny kształt

Robactwu dał

Na wiecznej żer zatraty.

Zaświatów druh —

Wędruje duch

W królestwo łez i klęski,

By ognia żar

Zeń grzechy start

I brud niecnoty ziemskiej.

O pełna łask,

Skróć, Mario, czas

Pokuty i katuszy —

Modlitwy szept

Przyśpieszy wnet

Wniebowstąpienie duszy.

Podczas gdy kobiety chór śpiewał tę pieśń o przytłumionej i smutnej melodii, reszta kobiet podzieliła się na dwie grupy: jedna z nich zajęta była haftowaniem wedle własnego gustu jedwabnego całunu mającego pokryć mary Athelstana, a druga w tym samym żalobnym celu wybierała ze stojących na ziemi koszów wieńce plecione z kwiatów.

Dziewczęta zachowywały się skromnie, choć nie okazywały może należytego żalu, toteż szept lub uśmiech wywoływał czasem naganę

surowszych niewiast; niejedna z młódek bardziej się zastanawiała, czy jest jej do twarzy w żałobnych szatach niż nad żałobną uroczystością, do której czyniła przygotowania. Zachowanie dziewcząt, trzeba przyznać, nie stało się bynajmniej poważniejsze na widok dwóch nieznanomych rycerzy, przeciwnie, był to powód do spojierania na nich ukradkiem i do szeptów. Jedna tylko Rowena — zbyt dumna, by być próżna — powitała swego oswobodziciela z wdzięczną uprzejmością.

Zachowanie jej było pełne godności, lecz nie przygnębienia; nie wiadomo, czy niepewność co do losów Wilfryda i myśli o nim przyczyniały się bardziej do jej powagi niż śmierć krewnego.

Dla Cedryka, który, jak to już zaznaczyliśmy, nie odznaczał się w takich wypadkach przenikliwością, smutek wychowanicy wydał się o tyle głębszy od smutku reszty dziewcząt, że uważał za wskazane szepnąć:

— Rowena była narzeczoną szlachetnego Athelstana.

Należy wątpić, czy to wyjaśnienie usposobiło dobrze Wilfryda do żałobników w Coningsburghu.

Cedryk oprowadziwszy swych gości po komnatach, gdzie w tak różnoraki sposób obżalowywano Athelstana, powiódł ich do małej izby przeznaczonej, jak im powiedział, ku wygodzie najdostojniejszych gości, którzy mało znając nieboszczyka woleliby może trzymać się z dala od najbardziej dotkniętych przez jego śmierć żałobników. Upewnił się, czy nie brakuje im niczego, i miał już odejść, gdy Czarny Rycerz ujął go za rękę.

— Chciałbym ci przypomnieć, szlachetny thanie — rzekł — że gdyśmy się

po raz ostatni żegnali, obiecałeś w zamian za przysługę, którą ci

oddałem, spełnić każde moje życzenie.

— Słowo się rzekło, szlachetny rycerzu — powiedział Cedryk — ale w tej smutnej chwili...

— Pomyślałem o tym — przerwał mu król — ale mało mam czasu, a także nie wydaje mi się rzeczą nieprzystojną, byśmy wraz z ciałem szlachetnego Athelstana złożyli do grobu pewne uprzedzenia i zbyt pośpieszne sądy...

— Rycerzu — tym razem Cedryk, czerwieniąc się, przerwał królowi. — Myślałem, że twoje życzenie tyczyć się będzie jedynie ciebie. Nie przystoi, by obcy mieszał się do spraw związanych z honorem mego domu.

— Bynajmniej nie chcę się do nich mieszać — odparł łagodnie król — chyba że sam na to zezwolisz. Znałeś mnie dotychczas jako Czarnego Rycerza. Poznaj mnie teraz jako Ryszarda Plantageneta.

— Ryszard Andegaweński! — zawołał Cedryk cofając się w najwyższym zdumieniu.

— Nie, szlachetny Cedryku, nie Andegaweński, ale Angielski. Ryszard, król Anglii, któremu jak najbardziej zależy na zgodzie między jej synami i który niczego bardziej nie pragnie. A teraz, zacny thanie, czyż nie klękiesz przed twym władcą?

— Nie ugiąłem nigdy kolana, przed Normandem — odparł Cedryk.

— Odlóż więc twój hołd — powiedział monarcha — aż do chwili, gdy dowiodę, że jednak otaczam opieką Normandów i Anglików.

— *Najjaśniejszy panie — rzekł Cedryk — zawsze podziwiałem twoją odwagę i zacność. Wiem także, że pretendujesz do tronu jako potomek Matyldy, siostrzenicy Edgara Athelinga i córki Malcolma Szkockiego. Lecz Matylda, choć pochodziła z saksońskiego, królewskiego rodu, nie miała praw do tronu.*

— *Nie będę z tobą, szlachetny thanie, roztrząsał mych praw do tronu — zauważył spokojnie Ryszard. — Lecz rozejrzyj się dokoła i powiedz, czy znajdziesz kogoś, kto by mógł się ze mną równać?*

— *Czy po to przyjechałeś tu, miłościwy panie, by mi to powiedzieć? By mnie pognać upadkiem mego narodu, zanim jeszcze ziemia nakryła szczątki ostatniej odrośli królewskiego rodu Saksonów? — zapytał posępnie Cedryk. — Postąpiłeś sobie, królu, zbyt śmieie i niebaczenie.*

— *Bynajmniej, przysięgam na święty krzyż! — zawołał monarcha. — Postąpiłem jak uczciwy człowiek, szczerze, bez cienia obawy ufający drugiemu uczciwemu człowiekowi.*

— *Dobrześ powiedział, miłościwy panie! Uznaję, żeś jest królem i będziesz nim mimo mego słabego oporu. Nie ośmielę się sięgnąć do jedyne go sposobu zapobieżenia temu, choć wystawiłeś mnie na wielką pokusę!*

— *A teraz wróćmy do mej prośby — rzekł król — z którą się zwracam do ciebie z nie zmniejszonym zaufaniem, choć nie chcesz uznać mego prawa do tronu. Żądam od ciebie, jako od człowieka, który dotrzymuje danego słowa, pod groźbą, że będę cię w przeciwnym razie uważał za wiarołomnego i krzywoprzysięcę, byś swemu synowi, dobremu*

rycerzowi Wilfrydowi z Ivanhoe, przebaczył i przywrócił mu swą miłość rodzicielską. Widzisz przecie, jak bardzo chodzi mi o to pogodzenie, o szczęście mego przyjaciela i o przywrócenie zgody wśród mych wiernych poddanych.

— Czyżby to był Wilfryd? — zawołał Cedryk wskazując na syna.

— Mój ojczec, mój ojczec! — zawołał Ivanhoe kłoniąc się do stóp Cedryka.

— Przebacz mi!

— Przebaczam ci, mój synu! — odparł Cedryk podnosząc go. — Syn

Harevarda dotrzyma słowa, choćby go dał Normandowi. Lecz musisz

powrócić do stroju twych angielskich przodków: krótkie płaszcze,

kolorowe czapki i dziwaczne pióropusze nie przystoją nikomu w moim

zaczynnym domostwie. Ten, kto chce być uznanym za syna Cedryka, musi

dać dowody swego angielskiego pochodzenia. Wiem, co chcesz

powiedzieć — dodał posepnie — domyślam się, o czym chcesz mówić.

Lady Rowena przez dwa lata musi nosić żałobę jak po poślubionym

małżonku; wszyscy nasi saksońscy przodkowie wyparliby się nas,

gdybyśmy myśleli o małżeństwie dla niej, zanim nie zostanie usypana

mogiła tego, którego powinna była poślubić... tego, który był jej godny

urodzeniem i rodem. Duch Athelstana zrzuciłby z siebie całun i stanąłby

przed nami, by nie dopuścić do takiego pohańbienia jego pamięci.

Zdawało się, że słowa Cedryka wywołały ducha, bo zaledwie je

wymówił, drzwi otwarły się na rozcież i Athelstan w swych szatach

pogrzebowych stanął przed nimi blady, nieprzytomny, jak ktoś

z martwych powstał!

*Zjawa ta zrobiła na obecnych przerażające wrażenie. Cedryk cofnął się aż do ściany, oparł się o nią i zdawało się, że nie może utrzymać się na nogach; wpatrywał się w przyjaciela tępym wzrokiem, z otwartymi ustami, jakby nie był w stanie ich zamknąć. Ivanhoe przeżegnał się i zaczął się modlić kolejno w języku saksońskim, łacińskim i frankońsko-normandzkim, tak jak modlitwy przychodziły mu na myśl, gdy tymczasem Ryszard powtarzał na zmianę: *Benedicite* i *klął: Mort de ma vie!**/ */ *Mort de ma. v i e!* (starofranc.) — *niech zginę!**

Tymczasem w dole schodów rozległ się okropny hałas i krzyki:

„Łapać zdradzieckich mnichów!”, potem: „Do lochu z nimi!”, a wreszcie:

„Zrzucić ich z najwyższych murów!”

— Na miłość boską! — Cedryk zwrócił się do rzekomego widoma swego zmarłego przyjaciela. — Jeśliś jest człowiekiem, przemów! Jeśliś jest duszą zmarłego, powiedź, czemuś nas odwiedził i czy mogę coś uczynić, by zapewnić ci wieczny spoczynek. Żywy czy umarły, szlachetny Athelstanie, mów!

— Zaraz wszystko powiem — odparło widmo bardzo spokojnie — gdy pozwolicie mi trochę odpocząć. Pytasz mnie, czym żyw? O tyle, o ile może być żyw ktoś, kto był o chlebie i wodzie przez trzy dni, które dłużyły mu się jak trzy wieki. Tak, ojcie Cedryku, tylko o chlebie i wodzie. Klnę się na niebiosa i wszystkich zamieszkałych w nim świętych, że przez te trzy nieskończenie długie dni nic więcej nie miałem w ustach i tylko dzięki opiece boskiej znalazłem się tu, by wam to opowiedzieć.

— *Co mówisz, szlachetny Athelstanie?! — zawołał Czarny Rycerz. —*

Sam przecież widziałem, że pod koniec szturm na Torquilstone poraził cię srogi templariusz! Sądziłem, a także mówił o tym Wamba, że rozrąbał ci głowę aż po szczękę.

— *Pomyliłeś się, panie rycerzu — rzekł Athelstan — a Wamba skłamał.*

Zęby mam w porządku, czego dam dowód przy wieczerzy. Ale nie zawdzięczam tego templariuszowi: miecz jego skręcił mu się w dłoni i uderzył mnie płazem. Rękojeść mego znakomitego czekana zasłoniła mnie od tego ciosu, gdy chciałem go odparować. Gdybym miał na głowie mój stalowy szłom, nic by mi nie było i tak bym mu odplacił, że nie potrzebowałby nawet uciekać. Ale w tym wypadku padłem ogłuszony, choć nie ranny. Wielu pomordowanych legło na mnie, odzyskałem więc zmysły dopiero w trumnie — na szczęście otwartej — ustawionej przed ołtarzem w kościele Świętego Edmunda. Kichnąłem parę razy, jęknąłem, i zbudziłem się; byłbym wstał, gdyby zakrystian i opat, przerażeni hałasem, nie przybiegli zdumieni i zapewne niezbyt zadowoleni widząc żywym człowieka, po którym mieli dziedziczyć. Poprosiłem o wino, przynieśli mi je, ale zapewne dodano doń silny środek nasenny, bo zasnąłem mocniej jeszcze niż przedtem i ocknąłem się dopiero po wielu godzinach. Ręce miałem skrępowane,, nogi związane tak mocno, że mnie dotychczas kostki bolą na samo wspomnienie. Panowały zupełne ciemności: był to chyba loch więzienny tego przeklętego klasztoru i sądząc po panującym tam zatęchłym wilgotnym zaduchu, przypuszczam, że używano go też, jako kostnicy.

Dziwne myśli przychodziły mi do głowy, gdy nagle drzwi więzienia zaskrzypiały i weszło dwóch podłych mnichów. Chcieli mi wytłumaczyć, że jestem w czyścicu, ale poznałem dychawiczny, krótki oddech opata. Święty Jeremi! Innym zaiste tonem prosił mnie dawniej o jeszcze jeden kawałek udźca baraniego, bo ten łotr ucztował ze mną od Godów aż po Trzech Króli!

— Mów powoli, szlachetny Athelstanie — rzekł król. — Nie śpiesz się, opowiedz wszystko szczegółowo. Wierzaj mi, twego opowiadania słucham jak bajki.

— Ach, ale na święty krzyż z Bromholmu, nie jest to wcale bajka! — zawołał Athelstan. — Ci podli zdrajcy dali mi tylko bochenek chleba i dzban wody. Słyszałem, jak śpiewali psalmy pokutne, ale niewielka to była pociecha, że modlą się za moją duszę ci, którzy głodzą moje ciało. Poszli na stypę, a ja długo czekałem na jedzenie — chromy zakrystian zbyt był zajęty karmieniem własnej osoby, by pamiętać o mnie.

Wreszcie zszedł do mnie chwiejnym krokiem, woniejąc winem i korzeniami. Dobre jadlo zmiękczyło mu serce: przyniósł mi więc kawał pasztetu i flaszkę wina zamiast poprzedniej spyży. Najadłszy się i napiwszy, poczułem się silniejszy, a do tego miałem jeszcze i to szczęście, że pijany zakrystian nie zamknął drzwi na skobel i otworzyły się na rozcież. Światło, jadlo, wino — wszystko to razem pobudziło mój dowcip. Ani ja, ani ten podły opat nie przypuszczaliśmy, że hak przytrzymujący mój łańcuch jest aż tak zardzewiały. W tym piekielnym lochu wilgoć potrafiła przegryźć nawet żelazo.

— Odpocznij chwilę, szlachetny Athelstanie — rzekł Ryszard — i posil się nieco, zanim dalej będziesz nam ciągnął tę okropną opowieść.

— Posilić się! — zawołał Athelstan. — Ja dziś już pięć razy się posilałem, ale kawał szynki nie byłby tu od rzeczy. I proszę cię, dostojny panie, przepij do mnie tym kielichem!

Goście, choć nie mogli się jeszcze otrząsnąć ze zdumienia, wypili zdrowie zmartwychwstałego gospodarza, który dalej ciągnął swą opowieść. Miał teraz znacznie więcej słuchaczy, niż gdy ją rozpoczął, bo Edyta, wydawszy odpowiednie zarządzenia, weszła za żywym nieboszczykiem do gościnnego pokoju w otoczeniu tylu gości, mężczyzn i kobiet, ile się ich mogło tylko pomieścić w niewielkiej izbie; reszta, tłocząc się na schodach, podchwytywała przekręconą już opowieść i powtarzała ją jeszcze bardziej zmienioną stojącym niżej, którzy znów podawali ją pospólstwu na zewnątrz w wersji dalekiej od prawdy.

Tymczasem Athelstan tak dalej snuł historię swej ucieczki:

— Gdy uwolniłem się od haka, obciążony łańcuchami i wygłodzony, powlokłem się, jak mogłem, po schodach na górę i błędząc po omacku, skierowałem się wreszcie za głosem wesołej piosenki do izby, gdzie zacny zakrystian odprawiał, za waszym pozwoleniem, diabelskie nabożeństwo wraz z ogromnym, posepnym, barczystym mnichem w szarym habicie z kapturem, wyglądającym raczej na zbójcę niż na duchownego. Ukazałem im się nagle, a w śmiertelnym radnie i dzwoniąc łańcuchami podobny byłem do mieszkańca tamtego świata. Oslupieli obaj, ale gdy zdzieliłem pięścią zakrystiana, jego kompan od

dzbana zamierzył się na mnie maczugą.

— Na Boga, ani chybi był to nasz brat Tuck! — zawołał Ryszard spoglądając na Wilfryda.

— Może to był nawet sam diabeł — odparł Athelstan — ale na szczęście nie trafił we mnie, a gdy się do niego zbliżyłem, wziął nogi za pas i uciekł. Nie omieszkałem się wtedy uwolnić od kajdanów z pomocą klucza, który wisiał w pęku innych przy pasie zakrystiana. Przez chwilę miałem ochotę roztrzaskać mu głowę tym pękiem kluczy, ale wdzięczność za kawał pasztetu i flaszkę wina, którymi umilił moją niewolę, wzięła górę i tylko skopawszy dobrze lajdaka pozostawiłem go na podłodze. Sam schwyciłem kawał pieczystego i bukłak skórzany wina, którym się raczyli ci dwaj godni bracia, po czym udałem się do stajni i znalazłem w niej mego najlepszego wierzchowca, zapewne odstawionego tam do osobistego użytku opata. Przygalopowałem tu co koń wyskoczy, a przede mną, gdziekolwiek się ukazałem, wszyscy uciekali, biorąc mnie za upiora, bowiem aby nie być poznany, zasłoniłem twarz kapturem. Nie byłbym się dostał do własnego zamku, gdyby mnie nie byli wzięli za pomocnika kuglarza, który na podwórku zabawia pospólstwo aż nazbyt ucieszenie, zważywszy, że zebrano się tu na pogrzeb pana. Powtarzam więc: seneszał myślał, że jestem tak przebrany, bo mam brać udział w igrach rybałtów, więc mnie wpuścił do środka, a ja objawiłem się matce i zjadłem cośkolwiek, zanim poszedłem cię poszukać, zacny mój przyjacielu.

— I odnalazłeś mnie — powiedział Cedryk — jak zawsze gotowego do

czynów mających nam przywrócić cześć i wolność. Powiadam ci, że nigdy jeszcze nie było odpowiedniejszej chwili dla Saksończyków do zrzucenia jarzma.

— Nie wspominaj mi o uwolnieniu kogokolwiek — odparł Athelstan. — Dobrze, że udało mi się samemu wyzwolić. Chodzi mi teraz najbardziej o ukaranie tego łotra opata. Powieszę go w ornacie i stule na szczycie tego zamku, a jeśli jego tłusty zewłok nie zmieści się na schodach, wciągnę go od zewnątrz.

— Ależ, mój synu! — zawołała Edyta. — Zważ, że to sługa boży!

— Zważcie raczej na moje trzy dni głodowania — odparł Athelstan. — Bawoli Łeb został spalony za mniejsze przestępstw bo dawał dobrze jeść więźniom, jeno w zupie za dużo było czosnku. Ale ci obłudnicy, niewdzięczni pochlebcy, którzy sami się napraszali do mojego stołu, nie dali mi zupy ani z czosnkiem, ani bez. Na duszę Hengista, klnę się, że zginą!

— Ale co powie na to papież, mój przyjacielu? — zapytał Cedryk.

— A co diabli, mój przyjacielu? — odparł Athelstan. — Muszą zginąć i szczeznąć. Gdyby byli nawet najlepszymi mnichami, świat się bez nich obejdzie.

— Wstydz się, Athelstanie — rzekł Cedryk. — Zapomnij o tych łotrach, gdy czekają cię zaszczyty i sława. Powiedz temu normandzkiemu księciu, Ryszardowi Andegaweńskiemu, że choć ma serce lwa, nie zasiądzie na tronie Alfreda, póki żyje jeszcze męski potomek Świętego Wyznawcy.

— *Jak to?* — zawołał Athelstan. — *Czyż to jest najdostojniejszy król*

Ryszard?

— *Tak, to Ryszard Plantagenet we własnej osobie* — rzekł Cedryk. — *Ale chyba nie potrzebuję ci przypominać, że gdy przybył tu jako gość z własnej chęci, nie wolno go ani skrzywdzić, ani uwięzić. Znasz przecie swe obowiązki względem każdego gościa.*

— *Dalibóg!* — odparł Athelstan. — *Znam także me obowiązki poddanego i całym sercem składam mu hołd lenniczy.*

— *Mój synu* — odezwała się Edyta — *— pomnij na swe królewskie prawa!*

— *Pomnij na niepodległość Anglii, wyrodny książę* — dodał Cedryk.

— *Matko moja i ty, mój przyjacielu* — odparł Athelstan — *— porzućcie*

wasze wyrzuty! Chleb i woda w lochu więziennym doskonale tłumią

ambicję, toteż zmartwychwstałem z grobu mądrzejszy, niż byłem

przedtem. Chcę panować w mych własny włościach, ale nigdzie dalej; a

pierwsza rzecz, jaką uczynię, to powieszę opata.

— *Chyba się jednak nie wyrzekniesz* — zapytał Cedryk — *mojej*

wychowanki, Roweny?

— *Ojcie Cedryku* — odparł Athelstan — *— bądź rozsądny. Lady Rowena*

nie myśli o mnie. Kocha bardziej mały paluszek rękawicy mego

krewniaka Wilfryda niż całą moją osobę. A oto ona sama może mi

przyświadczyć. Nie potrzebujesz się rumienić, krewniaczko, nie wstyd

to, że wolisz dwornego rycerza niż prostego franklina; ale nie śmieję się,

Roweno! Dalibóg, śmiertelne radno i wychudła twarz nie są powodem

do szyderstwa. A jeśli chcesz się rozweselić, to gotuję ci lepszy żart: daj

mi twą rękę, a raczej użyj mi jej, bo proszę o nią tylko jako przyjaciel.

Oto, mój kuzynie, Wilfrydzie z Ivanhoe, na twoją rzecz zrzekam się i odprzysięgam... Hejże, na świętego Dunstana, a gdzież to znikł nasz kuzyn Wilfryd?! Chyba moje oczy nie ucierpiały od głodu? Widziałem go tu przed chwilą!

Wszyscy zaczęli się rozglądać i szukać młodzieńca. Wreszcie dowiedziano się, że jakiś Żyd pytał o niego i po krótkiej z nim rozmowie Ivanhoe wezwał Gurta, kazał sobie podać zbroję i opuścił zamek.

— Piękna moja krewniaczko — rzekł Athelstan do Roweny — gdybym nie wierzył, że do nagłego zniknięcia Wilfryda skłonił go ważny powód, snułbym przypuszczenia...

Lecz w chwili gdy na wieść o zniknięciu Wilfryda Athelstan wypuścił jej dłoń ze swej ręki, Rowena uważając, że sytuacja jej stała się nadzwyczaj kłopotliwa, skorzystała z pierwszej sposobności i wymknęła się z komnaty.

— Wiera — rzekł Athelstan — kobietom należy ufać mniej niż wszelkim stworzeniom, z wyjątkiem może mnichów i opatów. Możecie mnie nazwać poganinem, jeśli nie oczekiwał, że mi podziękuje, a może nawet obdarzy całusem. Ale widać to śmiertelne radno jest zaczarowane — każdy przed nim ucieka. Zwracam się więc do ciebie, najjaśniejszy panie, składając ci hołd, do którego jako lennik...

Ale król Ryszard też już odszedł i nikt nie wiedział dokąd. Wreszcie dowiedziano się, że wybiegł na podwórzec, zawołał do siebie Żyda, który porozumiewał się z Wilfrydem, i po krótkiej z nim rozmowie

zaczął gwałtownie wołać o konia, po czym wskoczył na siodło, zmusił starca, by dosiadł drugiego wierzchowca, i popędził z taką szybkością, że jak Wamba mówił, nie dałby grosza za starego Żyda.

— Na wszystkie świętości!. — zawołał Athelstan. — Z pewnością Zernebock zamieszkał w mym zamku w czasie mej nieobecności!

Wróciłem w śmiertelnym radnie, zmartwychwstały z grobu, a tymczasem do kogo Sie zwrócę, ten znika usłyszawszy mój głos. Ale nas nic się nie da rozmyślać nad tym. Chodźcie, moi przyjaciele, którzyście jeszcze pozostali, do jadalni, aby ktoś więcej nie zniknął. Myślę, że jeszcze sporo zostało jadła z tej stypy godnej potomka starożytnego rodu saksońskiego. Gdy zaczniemy zwlekać, to może i ucztę diabeł nam porwie!

XLII

*Winy Mowbraya tak niechaj mu ciężą,
By się pod nimi załamał grzbiet konia,
A jeździec w szranki runął głową w dół —
Ten łotr tchórzliwy.*

W. SZEKSPIR: Ryszard II

Powracamy znów do komandorii w Templestowe, w chwili gdy krwawa walka miała zawyrokować o życiu lub śmierci Rebeki. Panował tu ruch i życie, jak gdyby wszyscy okoliczni mieszkańcy zgromadzili się na kiermasz lub odpust. Ludzie, jak zawsze zresztą, nie tylko w tych czasach ciemnoty, byli ciekawi widoku krwi i śmierci, choć często mieli sposobność widzieć, jak w walkach między poszczególnymi

zapaśnikami lub na zbiorowych turniejach mężczyźni wojownicy

mordowali się nawzajem.

Toteż oczy tłumu wlepione były w bramy komandorii w oczekiwaniu na procesję z czarownicą; jeszcze więcej widzów otoczyło szranki należące do zakonu. Był to ogrodzony plac przylegający do zamku, starannie wyrównany i służący do ćwiczeń wojskowych i zabaw rycerskich.

Położony był na szczycie łagodnego wzgórza, ogrodzonego palisadą, a że templariusze chętnie spraszali widzów, by podziwiać ich sprawność wojenną, otoczyli więc szranki trybunami i ławkami.

Na tę okazję dobudowano na wschodniej stronie okola tron dla wielkiego mistrza otoczony siedziskami dla co znacniejszych komandorów i rycerzy zakonnych. Nad nim powiewała święta chorągiew, zwana Beauseant, będąca godłem templariuszy, tak jak ich zawołaniem była jej nazwa.

Na drugim końcu szranków wznosił się stos drzewa wokół pala głęboko wkopanego w ziemię, z wolnym przejściem, którym ofiara skazana na spalenie miała wstąpić w ten przeklęty krąg. Tam miano przykuć ją do pala specjalnie w tym celu zawieszonymi łańcuchami. Przy tych narzędziach śmierci stało czterech czarnych niewolników, których cera i afrykańskie rysy twarzy, rzadko widywane w Anglii, wywoływały zdumienie wśród tłumów; uważano ich za diabłów spełniających swe szatańskie zadanie. Niewolnicy stali nieruchomo, tylko od czasu do czasu, pod kierunkiem jednego z nich, który zdawał się być ich wodzem, to poruszali, to przesuwali coś w gotowym już stosie. Nie patrzyli na

tlum. Zdawało się, że nie zwracają nań uwagi i zajęci są tylko swym okropnym obowiązkiem. A gdy rozmawiali między sobą, otwierając szeroko grube wargi i pokazując białe zęby, jakby się uśmiechali na myśl o zbliżającej się tragedii, przerażony motłoch nie mógł się powstrzymać od myśli, że są to złe duchy spoufalone z czarownicą, które, gdy nadejdzie pora, gotowe będą pomagać przy jej okropnej kaźni. Szeptano między sobą, opowiadając o wszystkich sprawkach szatana w owych czasach pełnych strasznych wydarzeń i nieszczęść, przypisując mu więcej, niż w istocie działał.

— Słyszeliście, ojczy Denecie — rzekł jeden z kmieci do swego towarzysza, sędziwego starca — że diabeł porwał wielkiego saksońskiego thana, władkę z Coningsburgha?

— A ino, ale z pomocą bożą i świętego Dunstana odniósł go z powrotem.

— Jakże to? — zapytał dziarski młodzieniec ubrany w zielony kaftan haftowany złotem, za którym szedł tęgi chłopak niosący na plecach harfę zdradzającą zawód jego pana. Minstrel zdawał się pochodzić z wyższego stanu, gdyż prócz bogato haftowanego kaftana nosił na szyi srebrny łańcuch z kluczem do strojenia harfy. Na prawym jego ramieniu lśniła srebrna blacha, na której wyryto nie jak zwykle znamię czy godło barona, do którego domowników minstrel należał, lecz tylko słowo „Sherwood”.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał strojny minstrel mieszając się do rozmowy chłopów. — Przybyłem tu pragnąc ułożyć pieśń, a — na Najświętszą Pannę! — cieszyłbym się, gdybym mógł ułożyć dwie.

— *Wiadomo — mówił starszy z chłopów — że w sześc niedziel po śmierci*

Athelstana z Coningsburgha...

— *Nie może to być! — przerwał minstrel. — Przecie go widziałem na turnieju w Ashby-de-la-Zouche.*

— *Zmarł jednak czy też żywcem przeniósł się na tamten świat — wyjaśnił młodszy z chłopów. — Słyszałem przecie, jak zakonnicy z klasztoru Świętego Edmunda wyciągali żałobne pienia, a co ważniejsze, wedle zwyczaju odbyła się suta stypa i rozdano jałmużnę w kasztelu coningsburskim; byłbym tam poszedł, gdyby nie Mabel Parkins, która...*

— *Och, pomarł Athelstan, pomarł — rzekł starzec kiwając głową. — I tym większa żałość padła na kraj, że to dawny ród saksoński.*

— *Ale, opowiadajcie dalej, opowiadajcie! — przerwał niecierpliwie minstrel.*

— *Tak, tak, opowiedz nam to zdarzenie — rzekł otyły mnich stojący obok chłopów i podpierający się kijem, który miał pewne podobieństwo zarówno do laski pielgrzymiej, jak i do maczugi, a służył zapewne do obu tych celów, zależnie od potrzeby. — Szkoda czasu, niewiele go mamy — dodał.*

— *A więc za pozwoleniem waszej wielebności — rzekł Dennet — pijany mnich przyszedł w odwiedziny do zakrystiana od Świętego Edmunda...*

— *Mojej wielebności — wtrącił zakonnik — nie podoba się wcale historia o pijanym zakonniku, a gdyby nawet tak było, nie podoba mi się, by człowiek świecki tak się o nim wyrażał.*

Gadaj przystojnie...

— *Opowiadaj dalej, mój przyjacielu, opowiadaj!* — powtórzył minstrel.

— *A więc Athelstan z Coningsburgha został pochowany u Świętego Edmunda.*

— *Ależ to kłamstwo oczywiste!* — zawołał mnich. — *Sam widziałem, jak go niesiono do kasztelu w Coningsburghu!*

— *W takim razie, moi panowie, sami o nim opowiadajcie* — rzekł Dennet, *zły, że mu bez ustanku przeczą. Z trudem jego towarzysz i minstrel zdołali go uprosić, by dalej ciągnął opowieść.*

— *A więc ci dwaj trzeźwi bracia* — podjął kmicz — *kiedy takimi każe im być wielebny ojciec, popijali sobie dobre piwo i wino przez prawie cały ten letni dzionek; wtem przeraziły ich okropne jęki i szczękanie łańcuchów i do komnaty wszedł nieboszczyk Athelstan. „O, źli pasterze...”*

— *To fałsz!* — zawołał pośpiesznie mnich. — *Nie powiedział ani słowa.*

— *A więc to tak, bracie?* — zapytał minstrel odciągając go od wieśniaków. — *Inaczej teraz śpiewasz!*

— *Powiadam ci, Alanie-a-Dale* — odparł zakonnik — *że widziałem go na własne oczy żywego i zdrowego. Ale okryty był całunem i szedł od niego odór trupi. Cała beczka wina nie zdoła splukać onej woni z mej pamięci.*

— *Ejże!* — wykrzyknął minstrel. — *Nie żartuj sobie ze mnie!*

— *Nie wierzysz mi?* — spytał mnich. — *Przecie dzieliłem go pałą tak, że powaliłbym wołu, a ona trafiła jakby w słup dymu!*

— *Na świętego Huberta!* — rzekł minstrel. — *Opowiadasz mi cudenka; warto by je podłożyć pod dawną melodię piosenki „Martwi się stary*

brat".

— Śmieję się, śmieję — rzekł brat Tuck, on to był bowiem — ale jak mnie namówisz na taką piosenkę, to gotów mnie duch czy diabeł porwać ze sobą. Nie, nie! Postanowiłem wziąć udział w jakimś cnotliwym dziele, jak spalenie na stosie czarownicy, sąd boży czy inna służba Najwyższemu, i dlatego tu się znalazłem.

Gdy tak rozmawiali, przerwał im nagle poważny głos dzwonu rozlegający się z kościoła pod wezwaniem Świętego Michała w Templestowe, starożytnej budowli położonej w wiosce w pewnej odległości od komandorii. Każde takie ponure uderzenie rozbrzmiewało z osobna w uszach, dopiero gdy jego echo umilkło w oddali, na nowo głos dzwonu zappełnił powietrze. Dźwięk ten, oznajmiający zbliżającą się chwilę uroczystości, zmroził przerażeniem serca tłumu widzów, których oczy zwrócone były ciągle ku komandorii, skąd spodziewano się nadejścia wielkiego mistrza, obrońcy wyroku i oskarżonej.

Wreszcie spuszczone zwodzony most, wrota się otworzyły i z zamku wyjechał rycerz dzierżąc wielką chorągiew zakonu, poprzedzany przez sześciu trębaczy; za nim jechali rycerze i komandorzy po dwóch w szeregu, a na końcu wielki mistrz na wspaniałym rumaku w bardzo skromnym rzędzie. Za nim ukazał się Brian de Bois-Guilbert, okryty od stóp do głów błyszczącą zbroją, ale bez kopii, tarczy i miecza, które nieśli za nim dwaj giermkowie. Twarz rycerza, częściowo zakryta długim piórem zwisającym z beretu, miała wyraz namiętności pomieszanej z dumą i niepewnością. Był śmiertelnie blady, jak gdyby

nie spał od kilku nocy, ale kierował swym wierzchowcem ze zwykłą swobodą i wdziękiem, jak przystało na pierwszego spośród templariuszy. Wygląd miał dostojny i imponujący, ale przyjrząwszy się baczniej jego posępnej twarzy, ludzie szybko się od niego odwracali. Towarzyszyli mu, jadąc po obu stronach, Konrad z Mont-Fitchet i Albert de Malvoisin, którzy występowali jako świadkowie obrońcy wyroku. Ubrani byli w zwykłe swe, białe, zakonne szaty. Za nimi sunęli inni templariusze z długim orszakiem czarno ubranych giermków i paziów, którzy czekali na dzień, gdy spotka ich, zaszczytne pasowanie na rycerzy zakonu. Za nowicjuszami szła pieszo straż, również w czarnych tunikach, a wśród niej widniała blada twarz oskarżonej, kroczącej z wolna, lecz bez trwogi, ku swemu przeznaczeniu.

Pozbawiono ją wszelkich ozdób, obawiano się bowiem, żeby wśród nich nie ukryła amuletów, jakimi przypuszczano, że szatan obdarza swe ofiary, by nie mogły nic wyznać, nawet pod wpływem tortur. Zgrzebna, biała szata najprostszego kroju zastąpiła wschodnie suknie Rebeki, ale w jej wzroku malowało się tyle odwagi i rezygnacji, że nawet w tym stroju i bez innego przybrania, prócz długich, czarnych warkoczy, zmuszała każdego, kto na nią spojrzał, by wylewał łzy żalu. Nawet najzatwardziały fanatycy ubolewali nad jej losem, który takie piękne stworzenie przemienił w narzędzie zła i najemną służkę diabła.

Tłum czeladzi z komandorii szedł za skazaną, wszyscy w największym porządku, z rękami skrzyżowanymi na piersi i ze spuszczoneym wzrokiem.

Procesja wstąpiła powoli na niewielkie wzniesienie, na szczycie którego ciągnęły się szranki, po czym obeszła je od prawej strony do lewej i zatrzymała się, kiedy krąg został zamknięty. Przez chwilę panowało zamieszanie, gdy wielki mistrz i jego towarzysze, prócz obrońcy wyroku i świadków, zsiadli z koni, które natychmiast wyznaczeni w tym celu giermkowie wyprowadzili z szranków.

Nieszczęśliwą Rebekę powiedziano do czarnego siedziska stojącego pod słupem. Zauważono, iż ujrzawszy po raz pierwszy to okropne miejsce, gdzie czyniono przygotowania, by wykonać na niej wyrok śmierci, równie przerażającej dla duszy, jak bolesnej dla ciała, dziewczyna zadrżała i przyknęła oczy. Zapewne modliła się w duchu, gdyż wargi jej poruszały się, choć słów nie było słychać. Po chwili otworzyła znów oczy wpatrując się w stos, jakby chciała swą duszę oswoić z tym widokiem, po czym powolnym i naturalnym ruchem odwróciła głowę. Tymczasem wielki mistrz zasiadł na tronie, a gdy całe rycerstwo zakonne stanęło dokoła niego i za nim, zajmując należne sobie miejsca, trąby głośno i przeciągle oznajmiły, że sąd się rozpoczął. Wówczas Malvoisin, jako świadek obrońcy wyroku, wystąpił naprzód i położył u stóp wielkiego mistrza rękawiczkę Żydówki, która stanowiła zastaw wyzwania.

— Mężny panie i wielebny ojcze — rzekł — tu oto przed tobą stoi dobry rycerz, Brian de Bois-Guilbert, komandor zakonu templariuszy; przyjął on zastaw wyzwania, który składam u twych stóp, i zobowiązał się walczyć, by dowieść, iż słuszny był wyrok kapituły świątobliwego

zakonu templariuszy skazujący żydowską młodkę, zwaną Rebeką, na śmierć jako czarownicę. Powtarzam, że stoi on tu, by walczyć wedle rycerskiego obyczaju, o ile taka będzie twoja dostojna i święta wola.

— Czy przysięgał — spytał wielki mistrz — że bronić będzie sprawiedliwości i czci? Podajcie krucyfiks i Te igitur!*

**/ Te igitur (łac.) — Ciebie więc... Początkowe słowa mszału, na który przysięgano.*

— Panie i sprawiedliwy ojciec — odparł pośpiesznie Malvoisin — nasz tu obecny brat złożył już przysięgę na ręce dobrego rycerza Konrada z Mont-Fitchet, że jego oskarżenie jest prawdziwe; choć właściwie nie powinien przysięgać, gdyż jego przeciwniczka to niewierna, która nie może składać przysięgi.

Odpowiedz ta okazała się wystarczająca ku wielkiej radości Alberta.

Przebiegły rycerz przewidywał bowiem, że będzie bardzo trudno lub może w ogóle nie da się namówić Briana de Bois-Guilbert na złożenie przysięgi wobec całego zgromadzenia; wymyślił zatem wymówkę dla uniknięcia tej trudności. Wielki mistrz, uznawszy słuszność obiekcji Alberta, rozkazał heroldowi wystąpić i spełnić swój obowiązek. Trąby znów zagrzmiały a herold, wyszedłszy naprzód, zawołał głośno:

*— Oyez, oyez, oyezi * */ Tradycyjny okrzyk z czasów normandzkich, który dotychczas rozbrzmiewa przy otwarciu posiedzeń sądu w Anglii, a znaczy: „Słuchajcie!”*

Oto dobry rycerz Brian de Bois-Guilbert gotów jest walczyć z każdym wolnym człowiekiem, który własną osobą zechce bronić oskarżonej

Żydówki Rebeki. Takiemu jej obrońcy wielebny i waleczny, obecny tu wielki mistrz wyznaczy pole do walki jednakowo wystawione na słońce i wiatr oraz zapewni mu wszelkie prawa obowiązujące przy uczciwej walce.

Trąby znów zagrzmiały i przez dłuższy czas panowała śmiertelna cisza.

Nie zgłosił się żaden obrońca oskarżonej — rzekł wreszcie wielki mistrz.

— Heroldzie, idź i zapytaj podsądnę, czy spodziewa się kogoś, kto będzie walczył w obronie jej czci..

Herold zbliżył się do siedziska Rebeki: w tej samej chwili Bois-Guilbert zawrócił nagle konia w tę stronę szranków i nie zważając na znaki

Malvoisina i Mont-Fitcheta stanął koło Rebeki jednocześnie z heroldem.

— Czy jest to zgodne z przepisami walki? — spytał Malvoisin spoglądając na wielkiego mistrza.

— Tak, Albercie de Malvoisin — odparł Beaumanoir. — W czasie sądu bożego porozumienie między przeciwnymi stronami nie jest wzbronione, może bowiem doprowadzić do wyjaśnienia prawdy.

Tymczasem herold odezwał się w te słowa do Rebeki:

— Pani, czcigodny i wielebny wielki mistrz pyta ciebie, czyś się umówiła z jakimś obrońcą, że stanie dziś do walki po twojej stronie, czy też uznasz się za słusznie skazaną na zasłużoną karę?

— Odpowiedz wielkiemu mistrzowi — rzekła Rebeka — że dalej twierdzę, iż jestem niewinna, i nie uznaję za słuszną kary, na jaką zostałam skazana, chyba że zawiniło tu moje pochodzenie. Powiedz mu, że proszę o taką zwłokę, na jaką pozwalają jego przepisy, by się

przekonać, czy Bóg, który jest ostatnią ucieczką człowieka, ześle mi wybawiciela. Gdy termin ten upłynie, niech się stanie Jego najświętsza wola.

Herold odszedł, by zanieść tę odpowiedź wielkiemu mistrzowi.

— Niech Bóg nas broni — rzekł Łukasz de Beaumanoir — by Żydzi czy poganie mogli nam zarzucić niesprawiedliwość! Będziemy czekać na obrońcę tej nieszczęśliwej niewiasty, póki cienie nie zaczną padać z zachodu na wschód. Gdy dzień tak się daleko posunie, oskarżona powinna się zacząć gotować na śmierć.

Herold zaniósł słowa wielkiego mistrza Rebecy, która pokornie spuściła głowę, skrzyżowała ramiona i podniósłszy wzrok ku niebu, stamtąd zdawała się oczekiwać ratunku, którego zapewne nie mogła się już spodziewać od ludzi. W czasie tej okropnej ciszy usłyszała nagle tuż koło siebie głos Bois-Guilberta: był to tylko szept, ale przeraził ją bardziej niż wezwanie herolda.

— Rebeko, czy mnie słyszysz? — zapytał.

— Nie mam nic wspólnego z tobą, okrutny człowieku o kamiennym sercu — odrzekła nieszczęsna dziewczyna.

— Ale chyba, rozumiesz moje słowa? — ciągnął templariusz. — Dźwięk mego głosu nawet w moich uszach brzmi przeraźliwie. Nie wiem ani gdzie jestem, ani po co nas tu sprowadzono. Ten ogrodzony plac, to siedzisko, ten stos... wiem, po co to wszystko, ale wydaje mi się to czymś nie z tego świata, okropną jakąś wizją, która zmysłom moim podsuwa przerażające obrazy, ale nie może przekonać rozumu.

— Nie ma rozbieżności między moją duszą a zmysłami — odpowiedziała

Rebeka — a one mówią mi, że stos ten przeznaczono na spalenie mej doczesnej powłoki: będzie to bolesne, lecz krótkie przejście na inny, lepszy świat.

— To są urojenia, Rebeko, urojenia! — zawołał templariusz. — Próżne marzenia odrzucone już przez niektórych waszych mędrców. Posłuchaj mnie, Rebeko — ciągnął dalej z ożywieniem — możesz zachować życie i wolność; nie przyjdzie to na myśl ani temu starcowi, ani pacholkom.

Wsiądź za mnie na mego rumaka, na Zamora, który nigdy nie zawiódł swego jeźdźca! Zdobyłem go w pojedynku na sultanie Trebizondy.

Powtarzam, wsiądź na konia! Po godzinie daleko za sobą zostawimy pogoń i poszukiwania! Świat nie znanych ci rozkoszy otworzy się przed tobą, a ja odzyskam sławę. Niech mnie potępią i wymażą imię Bois-Guilberta z listy zakonnych niewolników! Krwią zmyję plamę, jaką ośmieliliby się zbrukać moje godło!

— Odejdź ode mnie, kusicielu! — rzekła Rebeka. — Nawet w tej ostatniej chwili nie zdołasz mnie poruszyć z tego miejsca. Otoczona przez nieprzyjaciół, ciebie uważam za mego najgorszego, śmiertelnego wroga. W imię Boga, odstęp ode mnie!

Albert Malvoisin, zaniepokojony i zniecierpliwiony tą przedłużającą się rozmową, zbliżył się, by ją przerwać.

— Czy młódka przyznała się do winy? — zapytał Bois-Guilberta. — Czy też wciąż stanowczo się jej wypiera?

— Wciąż się wypiera — rzekł Bois-Guilbert.

— *W takim razie — powiedział Malvoisin — szlachetny mój bracie, musisz powrócić na swoje miejsce i czekać. Na zegarze słonecznym cień się przesuwa. Chodź, mężny Brianie! Jesteś nadzieją naszego świątobliwego zakonu, a wkrótce będziesz jego głową.*

Mówił to uspokajającym, tonem i położył dłoń na uździe konia rycerza, jakby chciał go poprowadzić na poprzednie miejsce.

— *Falszywy druhu! Czemu chwytasz za mą uzdę?! — zawołał Bois-Guilbert z gniewem. I odtrąciwszy rękę komandora, odjechał na drugi koniec szranków.*

— *Duch jest w nim silny — szepnął Malvoisin do Mont-Fitcheta. — Trzeba jednak, żeby ktoś nim kierował; jest jak grecki ogień, który pali wszystko, do czego się zbliży.*

Minęły już dwie godziny, a sędziowie oczekiwali na próżno przybycia obrońcy.

— *I słusznie — rzekł brat Tuck — boć to Żydówka; ale żal mi, że taka młoda i piękna istota zginie, a nikt nawet jednego ciosu nie zada w jej obronie! Gdyby była dziesięciokrotnie gorszą czarownicą, ale choć trochę chrześcijanką, na stalowym helmie tego srogiego templariusza, zanimby się opatrzył, wydzwoniłbym południe moją maczugą.*

Ogólnie mniemano, że nikt nie stanie w obronie Żydówki oskarżonej o czary; rycerze, podmówieni przez Malvoisina, szeptali między sobą, że trzeba już ogłosić, iż minął czas wyznaczony na obronę Rebeki. W tej samej chwili jednak ukazał się rycerz, który popędzał swego wierzchowca i zdążył w kierunku szranków. Setki głosów zawołały:

— *Obrońca! Obrońca!*

I mimo uprzedzenia i przesądów tłumu, gdy rycerz wjechał na okole, rozległ się jednogłośnie okrzyk radości. Gdy mu się jednak bliżej przyjrzano, zgasły nadzieje obudzone nieoczekiwanym zjawieniem się obrońcy. Koń, od dawna pędzący resztkami sił, zataczał się z wyczerpania, a jeździec, choć wygląd miał nieustraszony, ledwo mógł się utrzymać na siodle, nie wiadomo, czy z osłabienia, czy ze zmęczenia, czy z obu tych przyczyn razem.

Na wezwanie herolda, który zapytał go o godność, imię i powody przybycia, nieznajomy rycerz odparł bez wahania i z dumą:

Jestem prawym, szlachetnie urodzonym rycerzem, a przybyłem tu, by walczyć włócznią i mieczem w obronie słusznej i sprawiedliwej sprawy tej oto dziewicy, Rebeki, córki Izaaka. Chcę dowieść, że zarzuty przeciwko niej są fałszywe i nieprawdziwe, a sir Brian de Bois-Guilbert jest zdrajcą, mordercą i łgarzem! Walczyć będę przeciwko niemu z pomocą Boga Najwyższego, Najświętszej Marii Panny i naszego miłościwego patrona, świętego Jerzego, prawego rycerza.

Nieznajomy musi najprzód wykazać — rzekł Malvoisin — że jest prawym i dobrze urodzonym rycerzem. Zakon templariuszy nie dozwoli walczyć swemu obrońcy z człowiekiem nieznanym.

— Moje imię — odparł rycerz podnosząc przyłbicę — jest bardziej znane, a mój ród jest lepszy, Malvoisin, niż ten, z którego ty pochodzisz. Jestem Wilfryd z Ivanhoe.

— Nie chcę teraz walczyć z tobą — rzekł templariusz zmienionym,

głuchym głosem. — *Wpierw musisz wygoić rany i znaleźć sobie lepszego konia; wtedy dopiero postaram się wyleczyć cię z twej młodzieńczej zarozumiałości.*

— *Ha, pyszny rycerzu! — zawołał Ivanhoe. — Czyś zapomniał, że dwukrotnie uległeś tej kopii? Przypomnij sobie swe przechwałki w sali w Rotherwood i złoty łańcuch, który wraz z moim relikwiarzem złożyłeś w zastaw, że będziesz walczył z Wilfrydem z Ivanhoe, by odzyskać straconą cześć! Na relikwiarz i święte szczątki, jakie zawiera; jeśli nie staniesz mi natychmiast, ogłoszę cię tchórzem, templariuszu, na wszystkich dworach Europy i we wszystkich komandoriach twego zakonu!*

Bois-Guilbert zwrócił się, niezdecydowany, ku Rebecce, po czym wykrzyknął, rzuciwszy wściekłe spojrzenie na Wilfryda:

— *Ty psie saksoński! Chwyć twoją kopię i przygotuj się na śmierć, którą sam na siebie ściągnąłeś!*

— *Czy przewielebny wielki mistrz pozwala mi walczyć? — spytał Ivanhoe.*

— *Nie mogę ci tego zabronić — odparł Beaumanoir — o ile ta dziewczyna przyjmie cię za swego obrońcę. Wolałbym jednak, żebyś stanął do boju w lepszym zdrowiu. Zawsześ był wrogiem naszego zakonu, ale pragnąłbym ninie walki honorowej.*

— *Walczyć będę taki, jakim jestem, toć to sąd boży — odparł Ivanhoe — i boskiej opiece się oddaję. Rebeko — spytał podjeżdżając do jej siedziska — czy zgadzasz się, bym był twym obrońcą?*

— Zgadzam się — odrzekła Rebeka drżąc ze wzruszenia, którego nie zdołała w niej wywołać nawet obawa przed śmiercią.— Zgadzam się mieć cię za obrońcę, niebo mi cię zesłało! Lecz... nie, nie! Twoje rany jeszcze się nie zgoiły! Nie walcz z tym pysznym człowiekiem! Czemu miałbyś zginąć razem ze mną?!

Lecz Ivanhoe stanął już na swoim miejscu, spuścił przyłbicę, a kopię poprawił w toku. Bois-Guilbert uczynił to samo, a jego giermek zauważył, że twarz pana, która mimo tylu wzruszeń przez cały ranek była blada jak chusta, nagle mocno poczerwieniała.

Herold widząc, że obaj zapaśnicy są na swoich miejscach, podniósł głos i zawołał trzykrotnie: „Faites vos devoirs, preux chevaliers!” */ Faites vos devoirs, preux chevaliers! (franc.) — wykonajcie swój obowiązek, dzielni rycerze!

Po trzecim wezwaniu usunął się na bok i ostrzegł, by nikt nie ośmielił się słowem, wołaniem czy działaniem przeszkodzić w prawej walce. Wielki mistrz, który w rękę trzymał dowód wyzwania, rękawiczkę Rebeki, teraz cisnął ją w szranki i wymówił złowieszcze słowa, będące znakiem rozpoczęcia walki:

— Laissez aller!

Trąby zagrzmiały i rycerze ruszyli na siebie pełnym galopem. Tak jak się wszyscy tego spodziewali, zmęczony koń Wilfryda i równie wyczerpany jeździec runęli na ziemię przy starciu z dobrze wymierzoną kopią i potężnym rumakiem templariusza. Ten wynik walki wszyscy przewidzieli, ale choć włócznia młodzieńca zaledwie musnęła tarczę

*Bois-Guilberta, rycerz zakonny, ku zdumieniu wszystkich widzów,
pochylił się na siodle, wypuścił strzemiona i osunął się na ziemię.*

*Ivanhoe, wydobywszy się spod powalonego konia, wkrótce stanął na
nogach i pośpieszył, by mieczem osiągnąć zwycięstwo, lecz jego
przeciwnik nie poruszył się. Wilfryd postawił stopę na jego piersi, ostrze
miecza przytknął mu do gardła i rozkazał poddać się, jeśli nie chce
zginąć. Bois-Guilbert nie odpowiadał.*

*— Nie zabijaj go, panie rycerzu — zawołał wielki mistrz — zanim się nie
wyspowiada i nie otrzyma rozgrzeszenia! Nie zabijaj jego duszy i ciała!
Uznajemy go za zwyciężonego.*

*Po czym sam zszedł w szranki i rozkazał zdjąć hełm z głowy
pokonanego rycerza. Bois-Guilbert miał zamknięte powieki, a ciemny
rumieniec okrywał jego lico. Gdy patrzono na niego ze zdumieniem,
oczy otwarły się, lecz były one nieruchome i zasnute mgłą. Rumieniec
znikł z jego twarzy, powlókł ją blady cień śmierci. Nie tknięty kopią
nieprzyjaciela, Brian de Bois-Guilbert umarł jako ofiara własnych,
tłumionych namiętności.*

*— Oto prawdziwy sąd boży — rzekł wielki mistrz wznosząc oczy ku
niebu. — Fiat voluntas tua!**

**/ Fiat voluntas tua! (łac.) — niech się stanie wola Twoja!*

XLIII

I tutaj koniec jak w bajce piastunki.

J. WEBSTER

Gdy minęła pierwsza chwila zdziwienia, Wilfryd z Ivanhoe zapytał

wielkiego mistrza, jako sędziego w szrankach, czy walczył po rycersku i sprawiedliwie.

— Walka była rycerska i sprawiedliwa — odparł wielki mistrz. —

Ogłaszam, iż dziewczyna jest wolna i niewinna. Zbroja i ciało zmarłego rycerza należą do zwycięzcy.

— Nie chcę go pozbawiać oręża — rzekł Ivanhoe — ani wystawiać jego ciała na pohańbienie, bo walczył niegdyś w obronie chrześcijaństwa.

Powaliła go nie człowiecza, lecz boża prawica. Ale niech zostanie pochowany potajemnie, jako człowiek, który zginął w obronie niesłusznej sprawy. A co do dziewczyny...

Przerwał mu tętent koni tak licznych i pędzących spieszenie, że ziemia zdawała się drżeć pod ich kopytami; w szranki wpadł galopem Czarny Rycerz. Za nim popędzał hufiec zbrojnych oraz kilku baronów zakuty w zbroje.

— Przybyłem za późno — rzekł rozejrzawszy się dokoła. — Bois-Guilberta dla siebie przeznaczyłem. Ivanhoe, czy słusznie podjąłeś tę walkę, gdy zaledwie możesz utrzymać się w siodle?

— Miłościwy panie — odparł Ivanhoe — to niebiosy ukarały tego pysznego człowieka, który nie zasłużył na tak zaszczytną śmierć, jaką mu przeznaczyłeś.

— Niech odpoczywa w spokoju — rzekł Ryszard wpatrując się w trupa

— jeśli taka jest wola boska. Był to dzielny rycerz i zmarł śmiercią rycerską w pełnej zbroi. Ale nie możemy tracić czasu. Bohun, czyń, co do ciebie należy.

Z orszaku królewskiego wystąpił naprzód rycerz i położył dłoń na ramieniu Alberta Malvoisin mówiąc:

— Pójdź za mną. Stoisz pod zarzutem zdrady głównej.

Wielki mistrz ze zdumieniem spoglądał na przybycie tylu zbrojnych, lecz teraz przemówił:

— Kto ośmiela się pozbawiać wolności rycerza należącego do zakonu templariuszy w obrębie jego własnej komandorii i w obecności wielkiego mistrza? Kto ośmielił się wydać tak zuchwały i obelżywy rozkaz?

— Ja go pozbawiam wolności — odparł rycerz. — Ja, Henryk Bohun, grabia Essexu, wielki strażnik Anglii.

— A stało się to — rzekł król podnosząc przyłbicę — na rozkaz i w obecności Ryszarda Plantageneta. Ciesz się, Konradzie Mont-Fitchet, że nie urodziłeś się moim poddanym. Zanim minie tydzień, ty, Albercie de Malvoisin, oraz twój brat Filip — umrzecie.

— Nie uznaję twoich rozkazów — odezwał się wielki mistrz.

— Dumny templariuszu — rzekł król — twój bunt na nic się nie zda; spójrz w górę i zobacz, że królewska chorągiew powiewa już nad wieżami waszego zamku, zamiast proporca zakonu! Bądź rozsądny, Beaumanoir, i porzuć próżny opór. Jesteś w pazurach lwa.

— Oskarżę cię w Rzymie — odpowiedział wielki mistrz — o nieprawne pozbawianie naszego zakonu jego swobód i przywilejów.

— Uczyń, jak chcesz, ale radzę ci, nie oskarżaj mnie teraz o łamanie prawa. Rozwiąż kapitułę, a sam ze swymi sługami udaj się do

najbliższej komandorii, jeśli znajdziesz taką, która nie knuje zdrady przeciw królowi Anglii. Lub jeśli wola, pozostań, korzystaj z naszej gościnności i poddaj się naszemu wyrokowi.

— Miałbym być gościem w klasztorze, w którym powinienem rozkazywać?! — zawołał templariusz. — Nigdy! Kapelani, zaśpiewajcie psalm Quare iremuerunt gentes? Rycerze, giermkowie, słudzy Świątyni, bądźcie gotowi pociągnąć za chorągwią Beauseant!*

**/ Quare fremuerunt gentes? (łac.) — Czemu się wzburzyli poganie? Wielki mistrz wypowiedział te słowa z godnością nie mniejszą niż król angielski i wlał nimi odwagę w serca swych zdumionych i wystraszonych podwładnych. Skupili się dokoła niego jak owce, które gromadzą się wokół pasterskiego psa, gdy usłyszą szczekanie wilka. Ale nie było to wylęknione stado owiec: czoła zakonnych rycerzy sposepniały, a we wzroku ich można było wyczytać groźbę, której nie ośmielali się wypowiedzieć w słowach. Ustawili się w najeżony włóczniami szereg, gdzie białe płaszcze rycerzy odbijały od ciemnych szat pacholków, niby jasne obrzeżenie czarnej chmury. Tłum, wzniósłszy głośny okrzyk oburzenia, zamilkł i cofnął się, spoglądając na groźny i sprawny hufiec, któremu się nieopatrznie przeciwstawił.*

Grabia Essexu, widząc wrogów gromadzących się w zwartym szyku, spiął ostrogami rumaka i galopując tam i z powrotem, ustawiał swój hufiec w obliczu groźnego przeciwnika. Ryszard samotnie, jak gdyby lubując się w niebezpieczeństwie wywołanym swoją obecnością, przejeżdżał z wolna wzdłuż szeregów templariuszy wołając:

— *Cóż to, panowie! Wśród tylu mężnych rycerzy czyż nikt się nie ośmieli skruszyć kopii z Ryszardem? Panowie templariusze! Wasze damy snadź nie grzeszą urodą, jeśli nie warto za nie połamać w drzazgi włóczni!*

— *Bracia templariusze — rzekł wielki mistrz wysuwając się na czoło swego hufca — nie walczą o takie próżne i świeckie sprawy; a w mojej obecności żaden z nich nie skrzyżuje włóczni z tobą, Ryszardzie, królu Anglii. Papież i książęta europejscy rozsądzą nasz spór i powiedzą, czy chrześcijański władca uczynił słusznie, stając po stronie takiej sprawy, jakiej ty dziś broniłeś. Jeśli nikt nas nie zaczepi, odjedziemy nie zaczepiwszy nikogo. Powierzamy twemu honorowi pozostawione przez nas zbroje i sprzęty naszego klasztoru, a zgorszenie całego chrześcijaństwa mech zaciąży na twym sumieniu.*

Wymówiwszy te słowa i nie czekając na odpowiedź, wielki mistrz dał znak do odjazdu. Trąby zagrzmiały dzikim marszem o wschodnim brzmieniu, który dawał hasło templariuszom do ruszenia w pochód.

Zmieniili szyk z wyciągniętego szeregu na kolumnę i ruszyli tak wolno, jak tylko potrafiły stąpać ich wierzchowce, jak gdyby chcieli pokazać, że zmusiła ich do wycofania się tylko wola wielkiego mistrza, a nie lęk przed wrogą i przeważającą siłą.

— *Na piękne liczko Najświętszej Marii Panny!* — *zawołał król Ryszard.*

— *Jaka szkoda, że wierność templariuszy nie dorównuje ich sprawności i męstwu!*

Rebeka nic nie widziała ani nie słyszała z całego zamieszania

wywołanego odjazdem zakonnych rycerzy: oszołomiona i niemal

nieprzytomna pod wpływem wypadków szybko rozgrywających się dookoła niej, tuliła się do ramion starego ojca. Lecz jedno słowo Izaaka powróciło jej wreszcie równowagę.

— Chodźmy — rzekł — moja najdroższa córko, mój odzyskany skarbie! Rzucimy się do nóg tego dobrego młodzieńca.

— Nie — odparła Rebeka. — Nie, nie, nie! Nie ośmielę się teraz przemówić do niego. Niestety! Powiedziałabym więcej niż... Nie, mój ojczy! Opuścimy natychmiast to okropne miejsce.

— Ależ, moja córko — rzekł Izaak — nie możemy opuścić rannego rycerza, który, jak gdyby był krzepkim mężem, przybiegł z włócznią i tarczą, mając w pogardzie swe życie, by wyrwać cię z niewoli, ciebie, córkę obcego narodu! Trzeba przecie okazać mu naszą wdzięczność.

— Trzeba... i to z głębi serca — odparła Rebeka. — Podziękuję mu jeszcze, ale nie teraz... Zaklinam cię na imię twej ukochanej Racheli, przychył się do mej prośby, ojczy... Nie teraz!

— Pomyśl — nalegał Izaak — że nazwą nas niewdzięcznymi łotrami.

— Ale przecież, ojczy drogi, jest tutaj król i...

— Słusznie, moja najdroższa, najmądrzejsza córko. Jedźmy więc, jedźmy! Król jest pewnie bez grosza po powrocie z Palestyny i jak powiadają, z niewoli. Jeśli będzie chciał szukać powodu do wymuszenia na mnie pieniędzy, znajdzie go w mych stałych stosunkach z jego bratem Janem. Jedźmy więc stąd, jedźmy!

I sam z kolei przynaglając córkę, wyprowadził ją z szranków, a mając wszystko przygotowane do drogi, dowiózł ją szczęśliwie do domu

rabiego Natana.

Dotychczas cała uwaga tłumu skupiała się na Żydówce, ale gdy niespostrzeżenie zdołała zniknąć, zwrócono ją na Czarnego Rycerza.

Wokół padały okrzyki:

— Niech żyje Ryszard o lwim sercu! Hańba zdrajcom templariuszom!

— Pomimo wierności poddanych — rzekł Ivanhoe do grabiego Essexu — dobrze, że król był tak ostrożny i przyprowadził ze sobą ciebie, dostojny panie, i tylu dzielnych rycerzy.

Grabia uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Szlachetny panie — rzekł — znasz dobrze naszego władcę, a sądzisz mimo to, że sam się tak mądrze zabezpieczył! Ciągnąłem na York, słyszałem bowiem, że książę Jan zbiera tam siły, gdy spotkałem króla Ryszarda pędzącego w tę stronę niby prawdziwy błędny rycerz. Sam, osobiście, chciał rozstrzygnąć zatarg między templariuszem a Żydówką. Towarzyszyłem mu więc z moim hufcem nieomal wbrew jego woli.

— A jakie są wieści z Yorku, dostojny panie? — spytał Ivanhoe. — Czy rokoszanie będą się nam opierać?

— Tak jak grudniowy śnieg opiera się lipcowemu słońcu — odpart grabia. — Już są w rozsypce. A wiesz, kto przybył nam to oznajmić?

Książę Jan we własnej osobie!

— Zdrajca! Niewdzięczny, bezczelny zdrajca! — wykrzyknął Ivanhoe. —

Czy Ryszard go uwięził?

— Och, przyjął go, jakby się spotkali po powrocie z łowów — odpart grabia. — A wskazując na mnie i moich zbrojnych, rzekł:

„Widzisz, bracie, iż mam w orszaku rozeźlonych ludzi, lepiej więc pojedź do naszej matki, zawieź jej ode mnie należne wyrazy czci i pozostań z nią, dopóki umysły się nie uspokoją”.

— I to wszystko, co powiedział? — zapytał Ivanhoe. — Monarcha nasz swoją wyrozumiałością iście sam nakłania ludzi do zdrady.

— Zupełnie tak samo — odparł grabia — można powiedzieć, że kusi śmierć ten, kto zabiera się do walki, mając niebezpieczną, nie zagojoną ranę.

— Przebaczam ci ten żart, grabio — rzekł Ivanhoe — pamiętaj atoli, że rzucił na szalę tylko własne życie, Ryszard zaś — dobro swego państwa.

— Ci, którzy lekceważą własne dobro — odpowiedział Essex — rzadko dbają o cudze. Lecz śpieszmy do zamku, Ryszard bowiem zamierza ukarać kilku podrzędnych spiskowców, choć wybaczył ich wodzom.

Z dochodzenia, które potem nastąpiło, okazało się, że Maurycy de Bracy uciekł za morze i wstąpił na służbę Filipa, króla Francji; natomiast na Filipie de Malvoisin i jego bracie Albercie, komandorze z Templestowe, wykonano wyrok śmierci, gdy tymczasem Waldemar Fitzurse, będący duszą sprzysiężenia, został tylko skazany na banicję, a książę Jan, na rzecz którego spisek uknuto, nie otrzymał nawet nagany od swego dobrotliwego brata. Nikt jednak nie żałował panów de Malvoisin, którzy zasłużyli po stokroć na karę śmierci za swe liczne zdrady, okrucieństwa i ciemnienie ludu.

Wkrótce po sądzie bożym zawezwano Cedryka Saksona na dwór

Ryszarda, który dla uspokojenia hrabstw podburzonych przez ambitne zamiary brata, sprawował sądy w Yorku. Cedryk zżymał się i sarkał na ten rozkaz, ale nie ośmielił się nie usłuchać króla. Powrót Ryszarda bowiem zgasił jego nadzieje na przywrócenie tronu angielskiego dynastii saksońskiej; gdyby nawet Saksończycy walczyli w wojnie domowej z największym bohaterstwem, jasną było rzeczą, że nic nie wskórają przeciw bezspornej władzy Ryszarda. Jego osobiste zalety i sława wojenna uczyniły go bardzo popularnym, choć rządził lekkomyślnie i niedbale — to zbyt pobłażliwy, to skłonny do despotyzmu.

Co więcej Cedryk musiał, acz niechętnie, wyrzec się swego planu pogodzenia wszystkich Saksończyków przez małżeństwo Roweny z Athelstanem, a to z powodu wzajemnej niechęci obydwu zainteresowanych osób. Tego istotnie, w swym gorliwym oddaniu sprawie saksońskiej, nie mógł przewidzieć. Nawet wtedy, gdy ta obustronna niechęć zarysowała się jasno i otwarcie, trudno mu było uwierzyć, że dwoje Saksończyków, potomków królewskiego rodu, mogło się wzdrygać z osobistych powodów na myśl o związku tak potrzebnym dla dobra kraju. Niemniej było to rzeczą nie do odrobienia.

Rowena zawsze okazywała odrazę Athelstanowi, a teraz i Athelstan stanowczo oświadczył, że nigdy nie będzie się starał o jej rękę. Nawet wrodzony upór Cedryka musiał ustąpić wobec takich przeszkód.

Uczynił wprawdzie ostatni, potężny atak na Athelstana, ale przekonał się, że zmartwychwstały potomek królewskiego rodu pochłonięty był

teraz całkowicie zaangażowaną walką z klerem.

Zdaje się jednak, że szukanie pomsty na opacie klasztoru Świętego Edmunda wyczerpało się w groźbach, na skutek zwykłej, niedbałej dobroćliwości Athelstana oraz prośb jego matki, Edyty, która, jak większość ówczesnych dam, przywiązana była do zakonów. Ostatecznie Athelstan przetrzymał tylko opata wraz z zakonnikami przez trzy dni w lochach Coningsburgha na chudej strawie. Opat groził mu ekskomuniką za to okrutne postępowanie i spisał listę straszliwych krzywd, jakich doznał na ciele i duszy on sam i jego braciszkanie w wyniku barbarzyńskiego i niesprawiedliwego uwięzienia. Cedryk zastał Athelstana tak zajętego tym sporem i sposobami przeciwdziałania zuchwałości kleru, że o niczym innym nie był w stanie myśleć. A gdy padło imię Roweny, Athelstan poprosił, aby mu wolno było spełnić puchar za jej zdrowie i na intencję jej rychłego ślubu z Wilfrydem. Cedryk przegrał więc sprawę: wedle wyrażenia Wamby, które od czasów saksońskich przetrwało do naszych dni, Athelstan był kogutem, co nie chciał brać udziału w walce.

Ostatecznie między Cedrykiem a postanowieniem młodej pary zostały tylko dwie przeszkody: jego własny upór i niechęć do normandzkiej dynastii. Pierwsze z tych uczuć ustąpiło pod wpływem przywiązania starego Saksończyka do wychowanki i dumy, jaką go napawała sława syna. Poza tym pochlebiał mu jednak związek z rodem Alfreda, gdy musiał się wyrzec poważniejszych ambicji dotyczących potomka Edwarda Wyznawcy. Niechęć Cedryka do królów z normandzkiego

domu zmniejszyła się znacznie, przede wszystkim dlatego, że zdał sobie sprawę, iż nie da się uwolnić Anglii od nowej dynastii — co znakomicie wpływa na lojalność poddanych względem panującego — a po wtóre dzięki osobistym zaletom Ryszarda. Królowi podobała się mimo wszystko postawa Cedryka i tak postępował ze szlachetnym Saksończykiem, że ten zgodził się na małżeństwo wychowanki ze swym synem Wilfrydem z Ivanhoe, po czym Ryszard gościł go przez tydzień na swoim dworze.

Po uroczystym zezwoleniu ojca obrzęd zaślubin naszego bohatera odbył się w najwspanialszej świątyni, w sławnej katedrze w Yorku. Sam król był obecny, a wskutek jego zachowania wtedy i w różnych innych okolicznościach nieszczęśliwi i dotychczas wciąż poniżani Saksończycy nabrali nadziei, że odzyskają swe słuszne prawa bezpieczniejszą drogą niż poprzez niepewne losy wojny domowej. Ceremonia kościelna odbyła się uroczyście i ze wspaniałością, jaką Kościół katolicki umie nadawać swym obrządkom.

Wierny Gurt, pięknie przystrojony, służył za giermka swemu panu, a szlachetny Wamba dostał nową czapkę ze wspaniałym garniturem srebrnych dzwonków.

Dzielili

z

Wilfrydem

największe

niebezpieczeństwa i przygody, toteż słusznie pomyślny jego los i do nich się uśmiechnął.

Uroczyste zaślubiny uświetnili swą obecnością zarówno Normandowie, jak Saksończycy z najlepszych rodów, a w ogólnym święcie brał także udział i niższy stan, uważając ten związek za rękojmię spokoju i zgody między dwoma narodami, które od tamtej pory tak się zespoliły, że nie sposób ich odróżnić. Cedryk dożył chwili nieomal zupełnego zbratania się obu narodów, gdy pod wpływem współżycia i mieszanych małżeństw Normandowie wyrzekli się swej dumy, a Saksończycy nabrali oglądy. Ale dopiero za panowania Edwarda Trzeciego mowa, która powstała ze zmieszania się obu języków i którą nazwano językiem angielskim, zapanowała na dworze londyńskim, a wrogie rozróżnianie Normandów i Saksończyków zupełnie zanikło.

Następnego ranka po szczęśliwych zaślubinach Elgita, dworka Roweny, zawiadomiła ją, że jakaś młódka pragnie się z nią widzieć i prosi, by rozmowa ich mogła się odbyć bez świadków. Rowena zawahała się zdziwiona, ale po chwili ciekawość przemogła: kazała wprowadzić petentkę.

Postać przybyłej cechowała szlachetność i duma, a długa, biała zasłona nie zakrywała całkowicie jej wytwornych i majestatycznych kształtów. Zachowanie jej było pełne szacunku, lecz pozbawione cienia obawy czy służalczości. Rowena, zawsze gotowa przychylić się do próśb bliźniego lub współczuć mu, wstała chcąc pięknego gościa podprowadzić do karła. Ale nieznajoma spojrzała na Elgitę i powtórzyła swą prośbę, by

mogła porozmawiać z lady Roweną w cztery oczy. Zaledwie Elgita, acz niechętnie, opuściła komnatę, piękna nieznajoma, ku zdumieniu lady Ivanhoe, uklękła na jedno kolano, przycisnęła swe dłonie do czoła i schyliwszy głowę aż do ziemi, mimo oporu Roweny, ucałowała rąbek jej haftowanej tuniki.

— Co to znaczy, pani? — spytała ze zdziwieniem młoda mężatka. — Dlaczego mi oddajesz tak niezwykle hołd?

— Pragnę, dostojna pani — odparła Rebeka, bo ona to była — spłacić ci dług wdzięczności zaciągnięty względem Wilfryda z Ivanhoe. I nie obawiam się odmowy — dodała podnosząc się i przybierając postawę pełną spokojnej godności. — Wybacz mi, że ośmielam się złożyć ci hołd w imieniu mego narodu, jestem bowiem ową nieszczęsną Żydówką, dla której twój małżonek naraził swe życie w walce przeciw przeważającym siłom w szrankach w Templestowe.

— Pani — rzekła Rowena — Wilfryd z Ivanhoe w tym dniu tylko w niewielkiej części odwdzieczył ci się za miłosierdzie okazane mu przez ciebie, gdy był ranny i ubogi. Mów, czy jest coś, co moglibyśmy — on czy ja — zrobić dla ciebie?

— Nie — odparła spokojnie Rebeka. — Przekaż mu tylko moją wdzięczność i pożegnanie.

— Opuszczasz więc Anglię? — spytała Rowena ochłonąwszy nieco ze zdumienia, które wywołały te niezwykle odwiedziny.

— Opuszczę ją, zanim księżyc się odmieni. Mój ojciec ma brata cieszącego się łaskami Boabdila, króla Grenady; tam się udamy, gdyż

*zapłaciwszy okup, jakiego mahometanie żądają od naszego narodu,
będziemy tam mieli zapewniony spokój i opiekę.*

— Czyż w Anglii nie spodziewacie się tej opieki? — spytała Rowena. —

*Mój mąż jest w łaskach u króla, a nasz władca słynie jako mąż
sprawiedliwy i szlachetny.*

*— Pani— odparła Rowena — nie wątpię w to, lecz Anglicy są okrutni,
wciąż klóćcą się między sobą lub z sąsiadami i w każdej chwili gotowi są
sięgnąć po miecz. Izrael nie może osiąść w kraju, gdzie toczą się walki i
leje się krew, w kraju otoczonym przez wrogich sąsiadów i szarpanym
przez wewnętrzne zamieszki.*

— Ale ty — rzekła Rowena — z pewnością nie masz się czego obawiać.

Ta, która pielęgnowała Wilfryda z Ivanhoe — ciągnęła dalej z zapalem

— niczego nie powinna się lękać w Anglii, gdzie Saksończycy i

Normandowie ubiegać się będą, by składać jej hołdy.

— Pięknie to powiedziałaś, pani, a skłoniły cię do tego szlachetne

powody; lecz nie może to być... między nami jest przepaść. Nasze

wychowanie i nasza wiara nie pozwalają nam jej przekroczyć. Żegnaj,

lecz zanim odejdę, pozwól, abym cię o jedną rzecz poprosiła. Zastania ci

twarz welon ślubny: racz go podnieść, abym mogła ujrzeć twe rysy,

które wszyscy tak gorąco wychwalają.

— Niewarte są one jednego nawet spojrzenia — rzekła Rowena — lecz

spodziewając się nawzajem, że ujrzę twarz mego gościa, podniosę

zastonę.

I uniosła welon; po części zdając sobie sprawę ze swej urody, po części z

nieśmiałości zaczerwieniła się przy tym tak gwałtownie, że jej policzki, czoło i szyję oblał ciemny rumieniec. Rebeka zaczerwieniła się także, lecz rumieniec trwał chwilę tylko, poskromiony przez głębsze uczucia, i przemknął po jej twarzy jak purpurowa chmura, której barwa mierzchnie, gdy słońce skryje się za horyzontem.

— Pani — powiedziała — twarz twoja, którą raczyłaś mi ukazać, długo pozostanie w mej pamięci. Wryta jest na niej łagodność i dobroć, a jeśli nawet odcień światowej dumy czy próżności łączy się z tak uroczym wyrazem, nie można się dziwić, że to, co ziemskie, ma barwy doczesnego świata. Długo będę pamiętała twoją twarz i dziękuję Bogu, że pozostawiam mego wybawcę połączony z...

Zatrzymała się nagle i oczy jej napęłniły się łzami. Otarła je szybko i odrzekła na niespokojne pytania Roweny:

— Nic mi nie jest, pani. Lecz serce mnie boli, gdy wspomnę Torquilstone i szranki w Templestowe. Żegnaj! Jeszcze tylko jeden, drobny obowiązek pozostaje mi do spełnienia. Przyjmij tę szkatułkę i nie dziw się jej zawartości.

Rowena otworzyła srebrem nabijaną szkatułkę i zobaczyła diamentowy naszyjnik oraz zausznicę, ogromnej niewątpliwie wartości.

— To niemożliwe — rzekła oddając szkatułkę. — Nie mogę przyjąć tak kosztownego daru.

— Zachowaj go jednak, pani — powiedziała Rebeka. — Masz władzę, urodzenie, potęgę, wpływy, a my mamy bogactwo, źródło zarówno naszej siły, jak i słabości. Nawet dziesięciokrotna cena tych cacek nie

miałaby i połowy tego znaczenia, co twoje jedno życzenie. Dla ciebie więc dar ten niewielką ma wartość, a dla mnie, gdy się z nim rozstaję, jeszcze mniejszą. Pozwól mi mniemać, że nie masz tak złego wyobrażenia o naszym narodzie jak ogół twoich rodaków. Czy myślisz, że bardziej cenię te błyszczące kamyczki od mej wolności? Lub że mój ojciec stawia je na równi z honorem swego dziecka? Przyjmij je, pani... dla mnie nie mają one wartości. Nigdy już nie będę nosić klejnotów.

— A więc nie jesteś szczęśliwa?! — zawołała Rowena, uderzona tonem, jakim Rebeka wymówiła ostatnie słowa. — Och, pozostań z nami! Rada świętobliwych mężów nawróci cię z twej błędnej wiary, a ja będę ci siostrą.

— Nie, pani — odparła Rebeka, a spokojny smutek brzmiał w jej słodkim głosie i widniał na jej pięknej twarzy. — Nie może to być. Nie odrzucę wiary mych ojców jak sukni nieodpowiedniej w klimacie kraju, w którym pragnę zamieszkać. Nie będę też nieszczęśliwa. Ten, któremu poświęcę przyszłe życie, będzie moją pociechą, jeśli spełniać będę Jego wolę.

— Czyż macie klasztory i czyżbyś w jednym z nich chciała się ukryć? — zapytała Rowena.

— Nie, pani — odpowiedziała Żydówka. — Lecz w naszym narodzie od czasów Abrahama zawsze były niewiasty, które myśli swe obracały ku niebu, a czyny ku pożytkowi ludzi, pielęgnując chorych, karmiąc głodnych i pocieszając nieszczęśliwych. Do ich liczby należeć będzie Rebeka. Powiedz to twemu małżonkowi, jeśli kiedy zapytał o los tej,

której ocalił życie.

Głos Rebeki, który mimo woli zadrżał i nabrał miękkości, zdradził uczucie, jakie z pewnością wołałaby ukryć. Spiesznie pożegnała się z lady Roweną.

— Żegnaj! — zawołała. — Niech Bóg ześle ci wszelkie dobro! Barka, która nas stąd zabierze, długo musi płynąć, nim dotrze do portu.

I wysunęła się z komnaty pozostawiając Rowenę zdumioną, jak gdyby się jej ukazała zjawa. Piękna Saksonka opowiedziała tę dziwną rozmowę swemu mężowi, na którym zrobiła ona głębokie wrażenie.

Ivanhoe żył długo i szczęśliwie z Roweną, gdyż łączyły ich więzy młodzieńczego uczucia, a gdy wspominali przeszkody piętrzące się niegdyś przed nimi, miłość ich stawała się tym gorętsza. Ale mimo to nie należy badać zbyt wnikliwie, czy wspomnienie pięknej i wielkodusznej Rebeki nie nasuwało się rycerzowi częściej, niżby tego pragnęła urodziwa córka rodu Alfreda.

Ivanhoe gorliwie służył Ryszardowi, który wciąż obsypywał go dowodami swej łaski. Wilfryd zaszedłby wysoko, gdyby nie przeszkodziła temu przedwczesna śmierć bohaterskiego Ryszarda Lwie Serce pod twierdzą Chaluz, w pobliżu Limoges. Wraz ze śmiercią tego szlachetnego, choć porywczego i romantycznego monarchy, skończyły się jego ambitne plany. Można by do niego zastosować z drobną tylko zmianą te wiersze ułożone przez Johnsona na śmierć Karola

Dwunastego, króla Szwecji:

Los jego się dopełnił gdzieś na obcej błoni,

Przed niewielką forteczką, z pospolitej dłoni.

Pozostało nazwisko świata dla nauki

Albo żeby je w baśniach powtarzały wnuki.